

Jose Carlos Somoza



przynęta



José Carlos Somoza

przynęta

El cebo

przełożyła Agnieszka Rurarz

Dla Diega Jimeneza

i Margi Cueto

Świat jest teatrem, aktorami ludzie, którzy kolejno wchodzą i znikają.

WILLIAM SHAKESPEARE

Jak wam się podoba

tłum. Stanisław Barańczak, Poznań 1993, W drodze, akt II, scena 7

Spis treści

[Spis treści4](#)

[Prolog5](#)

[I ROZPOCZĘCIE 10](#)

[II ANTRAKT 200](#)

[III FINAŁ 308](#)

[Epilog 330](#)

[Posłowie Autora 343](#)

Prolog

Ibiza

trzy miesiące wcześniej

Maska zdawała się patrzeć na dziewczynę złośliwie. Była to jednak tylko etniczna wyrzeźbiona w drewnie dekoracja, wisząca na ścianie. Nieco dalej wisiała druga, identyczna.

Dziewczyna zwróciła na nie uwagę, gdy poproszono ją, by odwróciła się bokiem. Mówiła tylko osoba siedząca na krześle. Ta z tyłu milczała.

- A teraz proszę zdjąć bluzkę.

Chociaż prośba wypowiedziana została życzliwie, dziewczyna pomyślała, że chcąc pokazać, iż umie wzbudzać zainteresowanie, może zbyt szybko pozbyła się butów i spodni.

Rozpięła bluzkę już wcześniej, teraz więc zsunęła najpierw jeden rękaw, potem drugi, pozwalając im opaść aż do nadgarstków. Nie miała na sobie biustonosza, jej drobne piersi ledwie rysowały się na szczupłej sylwetce klasyfikującej się między chudością a anoreksją.

Majtki, maleńki trójkącik, były czarne, jak reszta garderoby. Świadomie wybrała ten kolor, aby tworzył kontrast z mleczną barwą skóry i krótkimi jasnymi włosami w platynowym odcieniu. Z subtelnym wyglądem nieco kłóciły się pełne zmysłowe wargi, a przede wszystkim opuchnięte powieki - świadectwo pracy po nocach i nadmiernych ilości wypitego alkoholu.

Położyła bluzkę na tym samym krześle co wcześniej spodnie, i wróciła na środek zaimprovizowanej sceny. Kilka oślepiających reflektorów ledwie pozwalało jej dostrzec cokolwiek więcej niż owe dwie maski na ścianie po lewej stronie i wycelowany w nią obiektyw kamery wideo. Głos osoby siedzącej za kamerą był delikatny, miły, bardzo wyraźny.

- Obróć się dookoła, proszę.

Spełniając polecenie, odezwała się, by wypełnić pełną napięcia ciszę.

- Dobrze?

- Tak, spokojnie.

Była spięta. Oczywiście, że była, choć nieustannie wmawiała sobie, że jest inaczej.

Nie chodzi o to, że brakowało jej doświadczenia w tego rodzaju sesjach, wcale nie. „Leni” albo Olena Gusiewa, jak stało w jej wymiętym paszporcie z koszmarną fotografią odcisniętą z boku, jak obelga, lat dwadzieścia cztery, często pozowała przed kamerą, niejednokrotnie mając na sobie mniej bielizny niż teraz. Winę ponosił Karl, berliński fotograf, który wyciągnął ją z rodzinnego Kijowa i przywiózł na Ibizę. Mieszkali razem przez trzy lata, zanim ją ostatecznie porzucił, ale przez ten czas zmontował jej fantastyczne portfolio, które umieściła na swojej stronie internetowej i które demonstrowała we wszystkich agencjach hiszpańskich i zagranicznych, jakie według niej mogłyby zainteresować się jej osobą.

Chwilowo pracowała jako kelnerka w jednej z ibizańskich dyskotek, była jednak pewna, że jej los się odmieni. Któregoś dnia ziścił się jej sen o filmie. Adriana, dziewczyna z Hondurasu, z którą dzieliła mieszkanie, wyczytała jej kiedyś z kart:

- Czeka cię wspaniała przyszłość, Leni, ale tylko pod warunkiem, że mnie posłuchasz.

Adriana była niska, miała smagłą skórę i indiańskie rysy twarzy. Zaczęła pracować jako kelnerka razem z Oleną, ale teraz dostała „poważne stanowisko” asystentki w agencji turystycznej. Olena bardzo ją lubiła za jej otwartość i entuzjazm. Szkoda, że przy tym była tak drażliwa. Bez przerwy pouczała. Olena nazywała ją „mamuśką”, choć jej prawdziwa matka nigdy się nią tak nie przejmowała. Adriana mawiała, że dla dziewczyn podobnych do Oleny Ibiza to nie wyspa, ale rodzaj ziemi niczyjej połączonej z pięcioma kontynentami. „Znam takie, które tu przyjechały i nagle zniknęły - mówiła. - Kończą gdzieś w Azji czy u Arabów”. Miała obsesję na punkcie porwań, zabójstw i gwałtów. Nalegała, by Olena miała przygotowany „podręczny zestaw na przeżycie”: wiedzę, jak się zachować w rozmaitych sytuacjach, by poruszać się pewnie we wszystkich środowiskach.

Adrianę obchodziła wyłącznie przyszłość: odgadywała ją albo się jej obawiała. Olena natomiast żyła teraźniejszością, ale była równie ostrożna jak jej koleżanka. W jej rodzinnym kraju, na Ukrainie, żyło się wcale nie łatwiej niż gdzie indziej, i trzeba się było od małego uczyć przezorności, by uniknąć niebezpieczeństwa. I tak Olena nie szła nigdy w nieznane sobie miejsce, nie poinformowawszy o tym wszystkich włącznie z dwiema lalkami -

pamiątkami z dzieciństwa, które stanowiły jej jedyny bagaż przy wyjeździe z Kijowa.

Czasami chodziła na „podejrzone” spotkania w towarzystwie jednego z umiśnionych ochroniarzy dyskoteki i zawsze pozostawiała nagraną informację, kiedy wychodzi i kiedy zamierza wrócić. Rzecz jasna, nigdy nie zapominała o komórce, choć wiedziała, że to marne zabezpieczenie z uwagi na rozliczne kombinacje, jakie można zastosować, by ograniczyć zasięg. Miała więcej zaufania do ludzi niż do urządzeń, jak każdy świadomy obywatel jej czasów. „Leni” Gusiewą trudno było oszukać, mimo że z pozoru wyglądała na łatwowierną.

Jej „podręczny zestaw” był o wiele lepszy niż zestaw samej Adriany.

- Doskonale. Stój tak, en face. Patrz w kamerę.

Denerwowała się, nie mogła zaprzeczyć. Czowała suchość w ustach i chociaż była prawie naga, zaczęła się pocić. I wcale nie dlatego, żeby było w tej sesji coś, co by ją choć w minimalnym stopniu zaniepokoiło. Dwie osoby, które znajdowały się w pomieszczeniu, zachowywały się właściwie, nawet uprzejmie i z dystansem. Nagranie trwało już pół godziny.

Uprowadzono ją, że będą ją filmować w bieliźnie, co było rzeczą absolutnie normalną. Jej niepokój brał się, niewątpliwie, z pragnienia, by wypaść dobrze i wygrać ten casting. Z całą pewnością z tego powodu.

Domyślała się od początku, że może to być dla niej olbrzymia szansa. Ogłoszenie, które znalazła w internecie, wydawało się, na pierwszy rzut oka, podobne do innych.

Chodziło o znalezienie dziewczyn „z możliwościami”, zdjęcia próbne i wybór spośród wszystkich nagrań dwóch, trzech najlepszych, by wysłać je do europejskich i amerykańskich agencji filmowych.

Tak po prostu. W ogłoszeniu widniała nazwa agencji: Ephesus. Olena długo przeszukiwała strony w poszukiwaniu informacji na jej temat i dowiedziała się, że agencja ma ponaddziesięcioletnie doświadczenie w promowaniu nowych twarzy, które pojawiają się w niewielkich rolach w wysokobudżetowych produkcjach. Bez wahania przesłała swoje portfolio i dane kontaktowe. Oni i tak nigdy nie odpowiadają, „nawet, gdybyś im wysłała zdjęcie, na którym robisz to z osłem”, jak mawiała wieczna optymistka Adriana.

A jednak tym razem odpowiedzieli.

Trzy dni później dostała mejla. Zakwalifikowano ją do udziału w zdjęciach próbnych.

Wyznaczono spotkanie w pewien lipcowy wieczór, o siódmej, w jednym z bliźniaczych budynków Java de Playa d'en Bossa. Już samo miejsce przedstawiało się dobrze: Java de Playa d'en Bossa to apartamentowce z wewnętrznym domofonem i takimi bajerami jak przezroczyste ściany lub drzwi otwierające się na dźwięk głosu. Lokal w takim miejscu mogła wynająć jedynie agencja rangi Ephesus.

Olena namyślała się kilka dni nad wyborem stosownej kreacji, takiej, w której sprawi najlepsze wrażenie. W końcu zdecydowała się wystąpić w czerni: džinsach, bluzce i sportowych butach. A gdy się szykowała w dzień sesji, do jej małego pokoju wpadła jak burza Adriana.

- Nie idź tam, Leni. Źle to widzę.

Olena знаła to wyrażenie. „Źle widzieć” znaczyło mieć złe przeczucia. Adriana mówiła, że jej przeczucia biorą się stąd, iż pozostaje w stałym kontakcie duchowym ze swoją siostrą bliźniaczką, która nigdy się nie urodziła. Bliźniaczka dawała jej znać z tamtego świata, kiedy chciała ją przed czymś ostrzec, zazwyczaj - przed niebezpieczeństwem. Dzięki takim sygnałom, twierdziła Adriana, pewnego razu nie wsiadła do autobusu, który stoczył się w przepaść.

- Opowiadałaś mi już o tym autobusie, Adri - zauważyła Olena swoim chropowatym głosem z lekkim słowiańskim akcentem. - Przecież pójdę tam tylko na chwilę. Poza tym wiem, dokąd idę.

- A jak ci dadzą prochy i gdzieś wywiozą?

- To jest poważna agencja. Oglądałam ich stronę. To Ephesus...

Adriana wpatrywała się w nią wielkimi antracytowymi oczami.

- Sfotografują cię nago, a jak się im spodobaś, znikniesz - ostrzegła.

Olena pokręciła głową i uśmiechnęła się, poprawiając przed lustrem włosy.

- A ty będziesz mogła znów wynająć mój pokój, o czym zawsze marzyłaś.

- Mówię serio, Leni. Wiem to od bliźniaczki. - Adriana była tak śmiertelnie poważna, że Leni się odrobinę zaniepokoiła. - Proszę cię, nie idź.

Olena ujęła ręce przyjaciółki. Były zimne.

- Powiedz mi jedno, mamusko: czy te twoje złe przeczucia okazały się kiedyś fałszywe?

- Nigdy - Adriana przecząco pokręciła głową, ale nagle się zawahała - może... może kiedyś, raz...

- Czyli nie zawsze się sprawdzają, zgoda? Wróć, zanim zauważysz, że mnie nie ma.

Posłała Adrianie całusa i wyszła.

*

Nagle się skończyło.

- No dobrze, wystarczy. Dziękujemy, Leni.

Przez chwilę mrugała powiekami, jakby zaskoczona nagłym końcem. Potem spostrzegła, że kosmyk włosów klei jej się do czoła mokrego od potu. Było jej gorąco od żaru reflektorów. W tym momencie zgasły, pozostawiając jej przed oczami sine plamy, dwa ogniste koła, niczym tęczę szatana. Zaczęła mrugać powiekami, powoli przyzwyczajała się na powrót do zwyczajnego oświetlenia.

Mężczyzna, który przedtem siedział, teraz wstał. Uśmiechał się lekko.

Możesz się ubrać. Skończyliśmy.

- Mam jakieś szanse? - zagadnęła Olena, zapinając bluzkę. Chciała uniknąć zbędnych pytań, ale dręczyła ją niepewność, a przy tym mężczyzna, który z nią rozmawiał, zachowywał

się tak uprzejmie, że wzbudzał zaufanie.

- Trudno powiedzieć z całą pewnością, kochana. Kandydatek jest wiele, a nie mamy jeszcze określonego wzoru. Ale spodobałaś się nam. Masz osobowość i swobodnie zachowujesz się przed kamerą.

Olenę ucieszyła ta ostatnia uwaga.

- Dziękuję. Kiedy się dowiem?

- Pod koniec lata. Wrzesień, październik, coś takiego. Mamy twoje dane, więc zadzwonimy, jeżeli... Dobrze się czujesz?

- Tak, to tylko... - Nagle poczuła zawrót głowy. Przymknęła oczy i widziała, jak silne reflektory, groteskowe maski, kamera wideo, wszystko wiruje wokół niej.

A j a k c i d a d z a p r o c h y.

Wzięła głęboki oddech, zrobiła kilka kroków i pokój odzyskał swoje właściwe położenie. Uspokoila

się. Nikt jej nie dał prochów, nie zaproponowano jej nawet wody.

Jedyna rzecz to gorąco. Uśmiechnęła się i wzięła chusteczki higieniczne podane jej przez drugiego mężczyznę, tego, który się nie odzywał. Wyjął je z pudełka stojącego na szklanym stoliku, na którym leżała także jakaś książka. Gdy ocierała czoło, spojrzała z ciekawością na okładkę: *Komedia pomyłek*, William Szekspir. To przekonało ją ostatecznie, że jedyne, co obchodzi obecnych w pokoju ludzi, to świat sztuki.

- Chcesz może pójść do łazienki? - zapytał ten, który się odzywał.

- Nie, dziękuję, już mi lepiej...

Rzeczywiście, czuła się lepiej. Coraz lepiej. Pożegnała się mocnym uściskiem dłoni i kiedy wychodziła z budynku na rozpasane słońce i morską bryzę, nie czuła już zawrotu głowy. Nie wiedzieć czemu, przeczucie mówiło jej, że zostanie wybrana.

Idąc na przystanek autobusowy, wyjęła komórkę i wysłała esemesa do Adriany: „Nie porwali mnie”. W domu Adriana udawała, że jest urażona, ale w końcu obie zaczęły żartować. Olena miała tego wieczoru wolne, więc zjadły razem kolację, wznosząc toast za aktorską karierę Oleny.

Dopiero później, w swoim pokoiku, tuż przed zaśnięciem, Olena przypomniała sobie o drobiazgu - bez znaczenia, ale ciekawym.

Człowiek, który odzywał się podczas zdjęć próbnych, pod koniec zwrócił się do niej per „Leni”. Była pewna, że nie podała im swojego przezwiska. A może jednak?

Łamała sobie głowę, grzebiąc w pamięci, w końcu jednak uznała, że ten szczegół tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia, i z tym przekonaniem zasnęła.

I

ROZPOCZĘCIE

Jakim narzędziem pomożesz nam skrócić

Wieczór? Teatrem? Muzyką? Baletem?

WILLIAM SHAKESPEARE

Sen nocy letniej

tłum. Stanisław Barańczak, Kraków 2008, Znak, akt V, scena 1

1

Madryt

obecnie

Mężczyzna wydawał się normalny i to właśnie obudziło we mnie podejrzenie, że jest niebezpieczny.

Jego dom, albo dom, do którego mnie zaprowadził, mówiąc, że należy do niego, sprawiał takie samo wrażenie przesadnej normalności: panele słoneczne, mały ogródek i wymyślny system alarmowy. Stał przy spokojnej uliczce w Padua, jednym z tych licznych podmadryckich osiedli stworzonych po to, by pomieścić budynki i ludzi, którzy nie mieszczą się gdzie indziej. Wnętrze pachniało czystością i było posprzątane, co także mnie zaintrygowało. Mówił mi, że mieszka sam, a ten niesłychany porządek w przypadku samotnego mężczyzny był niepokojący.

- Wejdz, rozgość się - zaproponował, zajęty wyłączaniem systemu alarmowego.

- Dziękuję.

- Czego się napijesz? - uśmiechnął się, rozkładając ręce. - Nie mam alkoholu.

- Coś zimnego, najlepiej light, co tam masz.

Położyłam torebkę na sofie, ale nie usiadłam. Kiedy wyszedł po napoje, rozejrzałam się po salonie. Naliczyłam nie mniej niż pięć obrazów o tematyce wiejskiej, które zanudziłyby na śmierć starsze panie, i ponad tuzin wizerunków religijnych, w tym jedną z tych mikroskopijnych rzeźb z twarzą Matki Boskiej lub Chrystusa, którą można zobaczyć tylko przez szkło powiększające. Przesadnej religijności mogłam się spodziewać. Tego, że na stoliku pośrodku będzie leżał laptop na podczerwień, także. Zapewne pracuje jako redaktor w jakimś kanale informacyjnym Online, a skoro mieszka sam, może trzymać komputery, gdzie mu się żywnie podoba.

Nie spodziewałam się natomiast widoku kobiety.

Holografia na niewielkiej kamiennej podstawce bujała się w ramce w kształcie litery U. Stała na białym regale obok czterech książek informatycznych i krucyfiksu. Kobieta siedziała obok mężczyzny, najprawdopodobniej w jakimś barze. Oboje uśmiechali się i wydawali znudzeni, ona bardziej niż on. Nagle zaczęłam się jej przyglądać: jakieś trzydzieści lat, mocna budowa, gęsta ciemna czupryna. Sukienka odsłaniała nagie ramię i lewe udo.

Jedną ręką podtrzymywała drugą. Kobieta zdawała się dominować w tym związku, co mnie specjalnie nie zaskakiwało, zważywszy na to, czego spodziewałam się po Panu Czyścioszku, jednakże było w jej pozie coś, co mnie zastanawiało.

Usłyszałam kroki za plecami i postanowiłam nadal przyglądać się portretowi.

- Nie wiedziałem, czy chcesz z lodem, czy... - urwał.

- Może być bez lodu.

- Patrzyłaś na ten portret?

Zacząłam bąkać jakieś głupie przeprosiny, ale mężczyzna się uśmiechnął.

- To moja żona. To jest, moja była.

- Och, w porządku.

Usiedliśmy na sofie, on po mojej lewej stronie. Odwróciłam się w prawo i zrobiłam małe doświadczenie. Miałam na sobie spodnie, ale obcisłe, z czarnej skóry, co pomagało mi demonstrować bok uda. Oczekałam, aż na mnie spojrzy, by zdjąć obcisłą czarną skórzaną kurtkę, odsłaniając najpierw lewe ramię. Obserwowałam jego oczy: zainteresowanie mną nie narastało, ale też i nic nie wskazywało, by malało. Było oczywiste, że odpowiada mu oglądanie mnie w tej pozie - pozie jego byłej - aczkolwiek bez przesady. Odezwałam się, manipulując przy kurtce.

- Mówiłeś, że jesteś kawalerem.

- Rozwiodłem się niedawno - machnął ręką. - Bez znaczenia.

- Tak. Jak coś nie działa, lepiej to przeciąć - mówiąc to, rzuciłam kurtkę obok torebki.

Usiadłam daleko od torebki, żeby pokazać, że dysponuję sporą ilością czasu, jednak zaznaczyłam:

- Będę musiała niedługo pójść.

- Też coś - rzucił, jakby chodziło o drobną sprzeczność, i wskazał na szklanekę na stole. - Nie napijesz się nawet łyka?

- Oczywiście.

Spróbowałam. Napój miał cytrynowy smak, co jednak nie dawało pewności, że nie zawiera jakiegoś narkotyku. Nie miało to znaczenia, byłam pewna, że nic mi nie robi, póki jestem nieprzytomna. Jeżeli był Widzem, to potrzebował mnie przytomnej, żeby się zabawić.

- Piękna jesteś - odezwał się - bardzo, bardzo piękna.

- Dziękuję.

- Taka szczupła i... wysoka. Wyglądasz jak modelka... I taka młoda...

- Pytasz, ile mam lat? - Zaśmiałam się i dodałam:

- Dwadzieścia pięć.

- Aha. A ja czterdzieści dwa.

- Też wyglądasz młodo.

Podniósł owłosioną rękę, podziękował mi gestem i roześmiał się jak z tajemnego żartu. Kiedy

kończyłam pić, jego oczy wciąż wracały do mojej twarzy i nie odrywały się od niej, ale ja wiedziałam, że podnieca go we mnie, pociąga, wszystko - począwszy od włosów zebranych w kok, przez to, co niżej: czarne ramiączka rysujące się wyraźnie na ramionach, skórzane bransolety o wyglądzie kajdanek na nadgarstkach, goły brzuch pod topem, nogi pod czarnymi skórzanymi spodniami, które przedłużały jeszcze spiczaste wysokie buty.

- Jesteś... Hiszpanką czy...? Wyglądasz... nie wiem... jak Szwedka, czy jakoś tak...

- Jestem z Madrytu. Szwedka z Chueca.

Mężczyzna roześmiał się, potrząsając głową.

- Dzisiaj nikt nie jest tym, na kogo wyglądasz.

- Żebyś wiedział - przytaknęłam.

Zamilkł. Wykorzystałam tę chwilę, by popatrzeć na niego z udanym zainteresowaniem, i zastanawiałam się intensywnie: „Nad czym tak myślisz, palancie? Jest coś, co nieustannie chodzi ci po głowie. Nie chodzi tylko o seks... Coś się kryje w tym czarnym spojrzeniu, coś chcesz powiedzieć albo zrobić... O co chodzi?”.

Mężczyzna przedstawił się jako Joaquín. Wyglądem przypominał mi człowieka z Cro-Magnon z filmów dokumentalnych, które można zobaczyć na płatnych kanałach: silny, niski, z cofniętym czołem, włosy ostrzyżone na jeża, gęste brwi zrosnięte u nasady nosa oraz szeroko osadzone, nieruchome oczy. Osobnik o ogromnej sile, który nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Jeden z tych, którzy, przy odpowiednim wysiłku, mogą rozbijać cegły głową. W

jego okazałym wyglądzie uderzał jeszcze jeden szczegół: zielona koszula dobrana do swetra.

Dbłość o własny wygląd. Człowiek samotny i zarozumiały, religijny i rozwiedziony, o delikatnym głosie i nieforemnej sylwetce. Owłosiona i muskularna zagadka, nieśmiały, o nieruchomym spojrzeniu.

Wyraźnie go pociągałam, ale wydawało się, że potrzebuje czegoś więcej, by przejść do działania. Pomyślałam znowu o dominującym wyglądzie jego byłej - jeżeli to rzeczywiście była ona - i przypominałam sobie, co Gens mówił o *Poskromieniu złościcy* i związku tej sztuki z osobnikami zaliczanymi do holokaustofilów. W sztuce Kasia, złościca, mnoży trudności, które złościca Petruchia, wobec tego on „ujarzmia” ją jeszcze większymi trudnościami. „To walka między dwiema wolami, które sobie wzajemnie wadzą - mawiał

Gens - symbol maski Holokaustu”.

Spróbowałam tej taktyki. Odstawiłam głośno szklanekę na stół i poruszyłam się na sofie, odzywając się ostrzejszym głosem:

- No więc, co?

- Słucham? - Poderwał się.

- Co chcesz robić?

- Robić?

- Przyprowadziłeś mnie chyba do domu w jakimś celu?

Wyglądało na to, że długo przetrawia moje pytanie.

- No tak... Pomyślałem sobie, że moglibyśmy pogadać...

- Czyli według planu mam spędzić całą noc na pogaduszkach. A tak naprawdę...

- Spiesz ci się?

- Wiesz, daję ci godzinę - poruszyłam rękami - nie mogę zostać dłużej.

- Dobrze, dobrze. Chciałem tylko, żebyśmy się trochę poznali...

- Już się znamy. Ja jestem Jane, ty - Tarzan. Coś jeszcze?

- Nie, dobrze już, ja...

Prowokowałam dalej.

- Jak chcesz płacić za godzinę seksu, twoja sprawa. Biorę też za to, że się nudzę.

- Nie, nie, lepiej tak. Dwoje nieznajomych.

- To powiedz mi, czego właściwie chcesz?

- Nie zrobię nic, czego ty nie będziesz chciała - przerwał mi.

Fakt, że mi przerwał po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy godzinę wcześniej w nocnym klubie, wydał mi się dobrym znakiem: oznaczało to, że powoli włączał silniki.

- Twoja sprawa. Powiedziała ci, że wszystko da się ustalić, z wyjątkiem zapłaty z góry... Jak zobaczę pieniądze, zrobię, co zechcesz. Jak zobaczę więcej, zrobię więcej.

- I tak po prostu?

- Tak właśnie.

Mężczyzna wyjął portfel i zaczął liczyć banknoty. Nagle poczułam rozczarowanie.

Pomyślałam, że to taki najzwyczajniejszy palant, jeden z wielu, niewinny holokaustofil, niedysponujący zagraconymi pokojami i niebezpiecznymi piwnicami. Było to wysoce prawdopodobne, jednakże

jeden szczegół sprawiał, że nie zamierzałam ustąpić. Tylko jeden szczegół.

„Dlaczego tak kontrolujesz mój wzrok, Joaquín? N a c o n i e c h c e s z p a t r z e ć i n i e c h c e s z t e ż, ż e b y m j a n a t o p a t r z y ł a?” Podniosłam rękę, jak gdybym chciała spojrzeć na zegarek, ale w pół gestu popatrzyłam znowu na Rybie Oczy.

I przyłapałam go. Jego czarne źrenice przez ułamek sekundy zatrzymały się na miejscu znajdującym się dokładnie za mną, zanim znowu powróciły do kontemplacji mojej twarzy. Co to mogło być? Nie mogłam się odwrócić, bo to by oznaczało wskazać zamkniętą komnatę Sinobrodemu. Zganiłam się za nieuwagę: Gens uprzedzał, że trzeba dobrze sprawdzać dekoracje, zanim założy się którąkolwiek maskę.

Na nic zdałoby się szukanie luster, ale wykorzystałam jeden z obrazów za szkłem wiszący na ścianie za mężczyzną. Na jego powierzchni odbijało się światło wpadające przez szyby w drzwiach pokoju za moimi plecami. To na to patrzył?

- Wystarczy? - zapytał, przesuwając ku mnie banknoty.

Wzięłam pieniądze. On znowu się napił, a mnie pozwoliło to raz jeszcze rzucić okiem na obraz. Obok drzwi było coś jeszcze, jakaś kanciasta figura. Starłam się przypomnieć sobie wszystko, co dostrzegłam, wchodząc do tego domu. I nagle odgadłam.

Pręty balustrady.

Schody na górę.

Piętro. To tam. To na to nie chciał patrzeć. Wszystko znajdowało się na piętrze.

Musiał spróbować przenieść tam teatr jak najprędzej.

- Nudzisz się? - zapytał.

- Skądże: uwielbiam patrzeć na twoje obrazy.

Nie zamierzał zabrać mnie tam szybko, jasne. Jego psynom musiał pogotować się we własnym sosie, skoro już był usidlony. Ale ja musiałam wiedzieć jak najszybciej, że nie mylę się co do obiektu. Jakakolwiek inicjatywa seksualna była niewskazana: gdybym to ja zrobiła pierwszy krok, jego prawdziwe pożądanie wycofałoby się i nigdy nie zaprowadziłby mnie n a g ó r ę ani nie odkrył swojej t a j e m n i c y. Myślałam gorączkowo i wybrałam drastyczny sposób.

- Słuchaj, przykro mi. Muszę iść.

Zostawiłam pieniądze na stole, wstałam, wzięłam kurtkę i zaczęłam ją wkładać.

- Mówiłaś, że masz godzinę - zaprotestował beznamiętnie.

- Tak, ale przemyślałam sprawę. - Przechyliłam głowę, przepraszając, że zapomniałam o torebce, ale

tak naprawdę zapięłam jeden z pasków kurtki i dopiero potem wzięłam torebkę.

Obracając się, by przejść przez salon, podniosłam rękę i oparłam ją na torebce, jakbym chciała ją otworzyć, ale tylko wzruszyłam ramionami. - Przykro mi, może innym razem. Do widzenia.

Moje gesty były dobrze obliczone. Szkoleniowcy nazywają to „tańcem”, ponieważ są to gesty prowadzące do konkretnego celu i krzyżują się między sobą niczym kłótnie między Petruchem a Kasią. Klasyczne dla teatru Holokaustu. Mój plan polegał na zwiększeniu jego zadowolenia, żeby jak najszybciej przeszedł do działania.

Ruszyłam do wyjścia. Przystanąłam.

- Jest tu gdzieś stacja metra?

- W głębi ulicy.

- Dzięki.

Zwątpiłam, że mi się uda. Pozwalał mi odejść. Stukanie moich butów rozlegające się, gdy szłam do drzwi, brzmiało jak żalosne tykanie zegara.

I wtedy wreszcie usłyszałam jego głos.

- Poczekaj.

Zatrzymałam się i popatrzyłam na niego.

Podniósł się i uśmiechał, ale jego szerokie policzki i cofnięte czoło były blade.

- Ja... chciałbym coś zrobić.

- Powiedziałam ci, że muszę już iść.

Wyjął portfel.

- Jak zobaczysz więcej, zrobisz więcej, tak mówiłaś? - Położył kolejny banknot na pozostałych. Udałam, że ustępuję. Roześmiał się. - Chodź, chcę ci coś pokazać.

Ruszył schodami w górę.

2

W tym pomieszczeniu wystrój był mniej więcej taki sam: wszystko białe, nieskazitelne, odległe. Jakaś figurka średniowiecznego rycerza na gipsowej kolumnie. Dwie pary drzwi na wprost siebie, które mogły prowadzić do sypialni. Mężczyzna otworzył prawe, z szybkami, i automatycznie regulowane światła zapaliły się.

- To moja sypialnia - powiedział - wejdz.

Wszystko było tak czyste, że pomyślałam machinalnie o sali operacyjnej. Łóżko było gładkie jak myśli nieboszczyka. Na oszczędne umeblowanie składały się komoda, na której nic nie stało, i szafa otwierająca się elektronicznie, obie białe. Nad komodą pierwsze i jedyne lustro, jakie dotychczas zauważyłam, w ukośnych ramach, zdawało się tak dobrze wykonywać swoją pracę, że przejrzałby się w nim nawet wampir. Żaluzje ze stalowych rurek zamykały dostęp do czegoś, co mogłoby być tarasem.

- Jak ci się podoba? - zapytał mężczyzna.

- Sama nie wiem - odpowiedziałam szczerze - naprawdę, większy u ciebie porządek niż u mnie.

Joaquín zaczerwienił się jak burak.

- Tak, lubię porządek. Aż za bardzo. - Odwrócił się do szafy, która składała się z czterech modułów. Zaczął wstukiwać kod.

- Mam się rozgościć?

- Nie, zaczekaj - odparł.

Było w tej atmosferze coś, co mnie niepokoiło, ale nie wiedziałam co. Nie dziwiło mnie, że w jego kryjówce nie ma żadnego przedmiotu kultu. Gdyby był, to by oznaczało, że jego świadomość dociera aż na ten poziom. Ale cała ta biel i swoisty zapach środków odkażających unoszący się w pomieszczeniu sprawiały, że pomyślałam o intensywnym związku jego psynomu z wystrojem. Nie bardzo to pasowało do holokaustofila. A poza tym nie miałam pewności, że brak tu przedmiotu kultu: w kącie, nad komputerem z ruchomym ramieniem, umieszczonym nad wezglowiem łóżka, wisiały dwa obrazki. Ktoś, kto śpi w łóżku, może je dokładnie widzieć. Podczas gdy Joaquín wstukiwał kod, przyjrzałam się im dokładniej. Były to reprodukcje dawnych dzieł przedstawiające męczeństwo dwóch kobiet z aureolami. Pierwsza, naga i na klęczkach; rzucane w jej kierunku noże miały ją chyba pokroić w plastry jak kielbasę. Druga, w tunice, miała właśnie zostać przywiązana do drewnianego krzyżaka. Żadna, rzecz jasna, nie wyglądała na zadowoloną.

- Ciekawe - odezwał się mężczyzna, wciąż odwrócony tyłem, podczas gdy drzwi szafy rozsuwały się cicho. - Dziś wieczorem pojechałem do Orleans spotkać się z kimś do mojej strony, a spotkałem ciebie...

To właśnie mi wcześniej opowiedział. El Orleans to nędzny przydrożny klub *pick up*, ostatnio przebudowany tak, że stał się jeszcze bardziej podły - udawał średniowieczną budowlę z kolorowymi szybami. Blondynki ze Wschodu gapiły się w ziemię, udawały panny na wydaniu i przyjmowały pozy panienek z dobrych domów. Akceptowano w lokalu obce dziewczyny, pod warunkiem że robiły swoje w sposób dyskretny. Dlatego wybrałam go na zakończenie swojej tury, tym bardziej że był to jeden z tych lokali, w których z pewną dozą prawdopodobieństwa mógł bywać Widz. Siedziałam przy barze, odwiedziwszy wcześniej toaletę i zamówiwszy koktajl o nazwie Płomień, kiedy ten typ z rybimi oczami podszedł do mnie i zapytał, czy znam pewnego faceta, Anglika

nazwiskiem Talbot. Wyjaśnił mi, że to dekorator, który dokonał przebudowy lokalu, a on właśnie przyszedł, żeby zrobić z nim wywiad. Kiedy mówił, wykonałam kilka banalnych gestów i doszłam do wniosku, że może należy do holokaustofilów. Postanowiłam dać mu szansę. Usidliłam go, gdy proponował cenę za „moje usługi”. To wówczas zaprosił mnie do siebie.

No i byliśmy u niego: drzwi szafy rozsuwały się bezszmerowo, a on sam, odwrócony tyłem, wciąż mówił.

- Chcę powiedzieć, że znam cię zaledwie od godziny... Swoją żonę znałem osiem lat i tylko raz, pod koniec, odważyłem się z nią o tym rozmawiać...

- Kobiety zamężne nie znają swoich mężów, co do tego nie mam wątpliwości -

wtrącałam.

- Sam nie wiem... - Połowa jego muskularnego ciała zniknęła w szafie. Ujrzałam rząd ciemnych marynarek wyglądający jak goście na pogrzebie. - Ona była bardzo dobra, powiedzmy... Nie mam nic przeciwko niej. Bardzo dobry był z niej człowiek, ale... nie rozumiała mnie. Tymczasem ty... wydaje się, że mnie rozumiesz, chociaż nie wiem dlaczego...

- No proszę, dzięki. Może nie jestem aż tak dobra.

Pochylił się, żeby coś podnieść. Z miejsca, gdzie siedziałam, nie mogłam dojrzeć, co to jest. Jego głos z otchłani szafy brzmiał jak przyduszony.

- Wy, kobiety, jesteście dziwne... Nagle was widzimy i przestajemy być sobą.

Możemy pracować razem albo udawać, że pracujemy, całe lata... Całe tajone lata... i nagle zjawia się jedna z was i... wszystko zmienia. Wyciąga nas na zewnątrz. W y c i ą g a z n a s dokładnie wszystko, co nas stanowi. - Wyłonił się niczym żółw z głębi stawu, wstał i się odwrócił. Trzymał coś w ręku. - Wszystko. Od góry do dołu. I człowiek robi rzeczy, jakie nigdy wcześniej nie powstałyby mu w głowie...

Położył ten przedmiot na nieskazitelnym łóżku, na którym nabrał on jeszcze bardziej dziwnego wyglądu. Było to pudełko po męskich butach Bedford, czarne, z logo przedstawiającym pozłocaną szpadę. Położył ręce na pudełku, jak gdyby chodziło o świętego Graala, i oblizał wargi. Odezwał się:

- Kiedy przypadkiem zobaczyłem, jak wieczorem idziesz przez klub, pomyślałem, że... że czuję się tak, jakbym znał cię całe życie. Jakbym mógł ci w pełni zaufać. To było pierwsze wrażenie. Potem, gdy z tobą pogadałem, to się potwierdziło.

Byłam tak rozkojarzona, patrząc na to pudełko, że przez chwilę nie docierało do mnie, co powiedział.

- Po raz pierwszy zobaczyłeś mnie, jak szłam przez klub?

- Tak, odwróconą tyłem. Chyba szłaś do łazienki. - Roześmiał się, zdejmując oburącz pokrywkę z

pudełka, jakby odprowadzał jakiś rytuał... - Ale nie musiałem oglądać twojej twarzy... Już wtedy wiedziałem.

Wstępne usidlenie, w dodatku osoby odwróconej tyłem, nie pasowało do tego, co wiedziałam o holokaustofilii. Zrobiłam się czujna. Próbowałam rozpaczliwie przypomnieć sobie, jak wygląda korytarz prowadzący do łazienki w Orleans, jak są tam umieszczone światła, jaki był kontrast między moim ciemnym ubraniem a tłem... Co było w głębi? Damska łazienka... Czy drzwi były... otwarte? Czy wewnątrz było białe? Czy paliło się tam światło?

Moja sylwetka odcinałaby się od takiego tła. Białe, czarne. Skóra spodni połyskiwałaby na pośladkach przy każdym moim kroku...

Gdy te myśli kłębiły mi się w głowie, mężczyzna wyjął z pudełka pierwszy nóż.

- Należą do mnie - rzekł. - Mam ich całą kolekcję.

Skinęłam głową, ale moje myśli już nie koncentrowały się na jego słowach: oślepiająca biel pokoju, podobna do bieli łazienki, holografia kobiety o dominującym wyglądzie, przedziwna i jednocześnie zwyczajna obecność pudełka po butach jako schowka dla skrywanej tajemnicy, pożądanie jego psynomu... Każdy szczegół z osobna byłby do zaakceptowania w przypadku holokaustofilii, ale wszystkie razem przynależały do czegoś kompletnie innego.

- Boisz się? - zapytał, gładząc nóż.

- Nie, skądże, przecież to zupełnie normalne. Chcę powiedzieć, że to normalne, że płacisz dziewczynie, żeby się z tobą przespała, a potem wyciągasz pudło pełne noży.

Zaczerwienił się i wydał dźwięk, który mógłby uchodzić za śmiech lub chichot, ale szybko odzyskał powagę i znów patrzył błagalnie jak ryba.

- Proszę, nie obawiaj się. To tylko kolekcja. Mam tu prawdziwe skarby, jak ten.

Zobacz, to Somerset, z palisandrową rękojeścią i klingą ze stopu molibdenu i wanadu.

Nazywa się Czerwona Róża, wszystkie egzemplarze są numerowane... Ten obok to Biała Róża, ma rękojeść z naturalnego jeleniego rogu, wytłaczanego kością słoniową...

- Bardzo mi miło - odparłam, ale on się nie zaśmiał. Był cały czerwony i splotywał potem, rozkładając swoje „skarby” na łóżku. W stali odbijały się surowe światła z sufitu.

- Powiem ci, co masz robić. I zapłacę ci więcej, jak zechcesz.

Znów włożył rękę do pudełka, ale tym razem nie wyjął noża, tylko zwój delikatnego sznura w kolorze różowym.

W przypadku holokaustofila można się było spodziewać sznurów każdego rodzaju, zresztą Widz także

się nimi posługiwał. Ale facet, który stał przede mną, nie był

holokaustofilem, teraz nie miałam wątpliwości. Niewłaściwie go zaklasyfikowałam. Nie po raz pierwszy mi się to zdarzało i okazywało się prawie logiczne w przypadku filii tak podobnej do filii mojej zdobyczy, ale czyniłam sobie wyrzuty, że nie upewniłam się wcześniej, zanim dokonałam usidlenia.

- Zapłacę, ile zechcesz - powtórzył. Dwie grube krople potu spłynęły mu po czole, gdy wyciągał z pudełka ostatni przedmiot: małą rolkę taśmy samoprzylepnej. Wszystko sprawiało wrażenie, że nie było od dawna używane.

- Masz tylko wypełniać moje instrukcje...

Gdzieś zadzwonił telefon i oboje zamrugaliśmy powiekami, jakbyśmy obudzili się z tego samego snu. Dzwonek ucichł.

- Alarm jest włączony - Joaquín Rybie Oczy wykrzywił wargi w uśmiechu - nikt nam nie przeszkodzi przez... Hej, a ty dokąd?

Wykorzystałam przerwę, by przewiesić przez ramię torebkę i przemieścić się w kierunku drzwi.

- Sądzę, że... nie nadaję się do tego, Joaquín - odparłam, udając niepokój.

- Powiedziałem, że nie masz się czego obawiać... Nie chodzi o to, że... Pozwól, że ci wyjaśnię...

Zauważyłam, że robi się spięty, i postanowiłam zaczekać.

- Zgoda - odezwałam się. - Ale niczego ci ni obiecuję.

- Zapewniam cię, że to nie będzie nic złego, n i c z ł e g o.

- Nie powiedziałam, że będzie.

- Jeżeli pozwolisz mi wyjaśnić... Jeżeli mogę... - zaschło mu w gardle i musiał

przesunąć językiem po podniebieniu, żeby móc dalej mówić - jestem d o b r y m człowiekiem. A to nie jest złe. Zaraz zrozumiesz...

Rozumiałam aż nazbyt dobrze. Rozłożenie akcentów na słowach „dobry” i „zły” było typowe dla wstrętofilii, w której mogłyby się zdarzyć tak szokujące kontrasty jak czystość i obrazy przedstawiające tortury, pudełka po butach i noże. Gens porównywał wstrętofilów do Joanny d’Arc z trylogii *Edward VI*, jednej z pierwszych sztuk angielskiego dramaturga.

Joanna była postacią pełną kontrastów: wojowniczką i panną, kurwą i świętą, czarownicą i zbawicielką. Nawet sam król Edward był typowym okazem wstrętofila. Oczywiście nic z tego, co wygadywał przed chwilą ten mężczyzna, nie miało jakiegokolwiek związku z moralnością: mówił wyłącznie o własnym psynomie, o płonąącym pożądaniu, które wyzierało z jego oczu.

- Nie chcę, żebyś się rozbięła... Zostań tak... tak jak jesteś...

- W porządku.

- No więc... skrepujesz mnie tym sznurem, ręce i nogi...

- Tak.

- Potem weźmiesz Czerwoną Różę i... ukłujesz mnie... Powiem ci gdzie... Proszę, nie śmieć się...

- Nie śmieję się.

- Możesz mnie ukłuć lekko... nie mocno, ale wystarczająco, żebym... żeby mnie zabolęło... - Jego głos stwardniał. - Śmiesz cię to?

- Nie.

Nawet się nie uśmiechnęłam. Gens powiedziałby, że wszystkie te komentarze były skierowane do tej drugiej, śmiesznej i rozrywkowej strony wstrętofila, do „pudełka po butach”, wnętrza jego świadomości, ale oczywiście on je kierował do mnie. Obawiałam się, że nie wytrzymam dłużej, i odwróciłam wzrok, żeby nie patrzeć bezpośrednio na mężczyznę.

- Zrobisz to? Zrobisz? O d d a w n a nikogo o to nie prosiłem...

Jedyne, czego pragnęłam, to odejść i nie przeszkadzać mu dłużej. Kimkolwiek był Pan Czyścioszek, cokolwiek mu się podobało, miałam pewność, że nie jest moją zdobyczą.

Usidliłam go przypadkiem, a usidlenie wzmogły jeszcze moje własne gesty rodem z maski Holokaustu, które powinny przyciągać inne filie, przede wszystkim naśladowanie gestów kobiety ze zdjęcia, jego byłej żony, Joanny d'Arc jego życia, czarownicy i świętej, biernej i dominującej. Teraz musiałam postarać się naprawić własny błąd, nie robiąc sobie krzywdy.

- Proszę - wyjęczał.

Nie przyszło mi do głowy nic innego, niż zamknąć interes. „Pogasić reflektory i zejść ze sceny”, jak powiedziałby Gens. Grać dalej, by uspokoić sytuację, nie miało sensu. Moje własne czarne ubranie dostarczało mu obfitego kontrastu z bielą sypialni. A znajdując się tak blisko jego obrazów ze świętymi męczennicami, identyfikowałam się z katem, co jeszcze bardziej mu się podobało. Pomyślałam, że jego psynom musi mu stale wysyłać dreszcze rozkoszy z siłą gorączki malarycznej. Ale nie to było najgorsze.

Najgorsze, że nadal trzymał w ręku Czerwoną Różę.

- Proszę, Eleno, czy jak się tam nazywałeś... powiedziałaś... powiedziałaś, że jak ci zapłacę, zrobisz wszystko...

Rozluźniłam mięśnie i delikatnie poruszyłam rękami, ponieważ sztywność i gwałtowne gesty

przyciągają jeszcze bardziej kogoś, kto ma zadatki na wstrętofila. Starając się nadać głosowi normalne brzmienie, skierowałam się do drzwi.

- Przykro mi, ale... chyba nie chcę tego robić. Żałuję, Joaquín.

- Podaj mi cenę. Powiedz tylko ile.

- Naprawdę żałuję. Na razie.

Zrozumiałam, że zbyt szybko odwróciłam się do niego plecami. Pociągały go moje plecy, zapominałam o tym. Czułam, że dyszy coraz bliżej mnie.

- Słuchaj, słuchaj, słuchaj... - każde kolejne „słuchaj” brzmiało bliżej i wypowiedane było z większą furją. Poczułam, że jego ręka chwyta mnie za kurtkę, kiedy znalazłam się na ostatnim odcinku schodów. - Wydaje ci się, że dokąd idziesz? No? Dokąd?

- Puszczaj! - Uwolniłam się szarpnięciem, ale schwycił mnie za ramię.

- Zaczekaj... Cholera, zaczekaj... Powiedziałaś, że zrobisz, co zechcę, prawda?

- Powiedziałam, że masz mnie puścić - usiłowałam zaapelować do jego respektu wobec dominujących kobiet, ale na próżno: im bardziej się starałam, tym większą czerpał z tego przyjemność.

- Przecież cię puściłem! - wykrzyknął, zwalniając uścisk. - A teraz posłuchaj!

Schodziłam po schodach, nie odpowiadając, póki nie sparaliżował mnie wrzask.

- Zaczekaj, kurwa! Powiedziałaś: „co tylko zechcesz”, prawda? Powiedziałaś! To co się nagle stało?! Teraz mówisz, że tego nie chcesz? Co się stało? Wydaje ci się, że jestem nienormalny? Powiedz! Masz mnie za wariata?!

Odwróciłam się na schodach i popatrzyłam na niego. Nie, z pewnością nie był

wariatem. Ten biedak właśnie zaczynał się wypalać. W pewien sposób moje usidlenie było silniejsze, niż się spodziewałam, i w chwili zamknięcia teatru zaczynał się wypalać. Wypalanie się to wybuch pożądania, pogrąžas się tak bardzo w psynomie, że niemal wciskasz się w ziemię, i nagle widzisz ropę tryskającą niczym czarne, lepkie wymioty.

- Za kogo się masz, gówniana kurwo?! - wrzeszczał dobry Joaquín, a jego otwarte usta wydawały się większe niż cała jego głowa. - Za kogo ty się, kurwo, uważasz?! Przez całe życie musiałem znosić kurwy takie jak ty! Najpierw tak, potem nie! Najpierw „chodź”, potem

„wynoś się”. Obrzydzenie bierze na wasz widok! Na widok was wszystkich! Obrzydzenie!

Nie było sensu kazać mu się uspokoić czy w ogóle mówić do niego. Moje własne napięcie, a nawet lekka zadyszka spowodowana zbieganiem po schodach podniosłyby do piątej potęgi to wstępnę

wypalanie. Można było tylko poczekać, aż się uspokoi, straciwszy mnie z oczu. Byłam dla niego pokusą, rozkoszą; gdybym wyszła na scenę, może by się zatrzymał.

Zeszłam ostatnie cztery czy pięć stopni niżej i pobiegłam do drzwi. Były zablokowane elektronicznie, ale uznałam, że nie na kod. Gdy znalazłam klawiaturę i przycisnęłam „open”, usłyszałam za sobą głos i niemal poczułam oddech na karku. Odwróciłam się.

- A czym ja jestem dla was? Czym...? C z y m z a w s z e b y ł e m? - Mężczyzna trząsł się od stóp do głów i szlochał. Ale ja zwróciłam uwagę tylko na drgającą w jego prawej ręce, połyskującą klingę ze stopu molibdenu i wanadu.

- Pozwól mi odejść, Joaquín - odezwałam się spokojnie.

Ale w chwili, gdy wypowiadałam te słowa, zrozumiałam, że już nie uda mi się odejść ot, tak. Westalka Joaquín, święta męczennica z pewnością zrobiłby coś potwornego swoją Czerwoną Różą, gdybym go w tym stanie zostawiła. Może zresztą nie, ale nie zamierzałam ryzykować. Był niewinny. Albo raczej nie był tym winnym, którego szukałam.

- Powiedz, za kogo mnie masz! - ryczał, podnosząc nóż do twarzy. - Za wariata? Tak?

Tak? J e s t e m s z a l o n y, b o l u b i ę, j a k s i ę m n i e k ł u j e n o ż e m?!

Tak? Tak? Jestem szalony?

- Tak - odparłam. - Jesteś pieprznięty.

Przez chwilę stał spokojnie.

W tej właśnie sekundzie podniosłam prawą rękę i walnęłam go pięścią w twarz. Było to jak uderzenie o ścianę, ale nie jego pierwszego tak potraktowałam. Przewrócił się natychmiast, a Czerwona Róża wypadła mu z rąk i ześlizgnęła się niczym dobrze wyostrzona, śmiertelna narta po posadzce z białego marmuru.

Roztarłam nadgarstki, pochyliłam się nad tym supermęczennikiem i oceniłam sytuację: nos zaczynał mu już puchnąć, co oznaczało, że albo go złamał, upadając, albo zawdzięczał to mnie. Oddychał jednak normalnie, a serce biło rytmicznie. Poza tym był już bezbronny i gdy się ocknie, nie będzie śladu wypalenia. Nie można mieć w życiu wszystkiego.

Podniosłam Czerwoną Różę i poszłam na górę. Zapakowałam noże i pozostałe akcesoria do pudełka po butach i wsunęłam je ponownie w czeluści szafy, w której znalazłam przy okazji dobrze ukryte wydruki ze stron internetowych przedstawiające skępowanych facetów. Pożegnałam się ze świętymi męczennicami, a wróciwszy do przedpokoju, zanim jeszcze otworzyłam drzwi, przystanąłam i przyjrzałam się tobołkowi w oliwkowym ubraniu i dzinsach, który chrapał jak pijak na posadzce salonu.

- Tak, jesteś szaleńcem - powiedziałam głośno - ale nie większym niż inni.

Otworzyłam drzwi i zesłam ze sceny.

3

- Nie złożył doniesienia.

Wstrzymałam się od komentarza. Álvarez ciągnął dalej.

- Ocknął się, pojechał na pogotowie i powiedział, że uderzył się o drzwi.

- Dobrze, że faceci czasami dają tego rodzaju wyjaśnienia - zauważyłam.

Álvarez zrobił coś, czego nie robił podczas żadnego spotkania: przestał wpatrywać się w przednią szybę i zwrócił twarz ku mnie. Dotychczas ograniczał się do kontemplowania, w jaki sposób wściekłość owego poniedziałkowego madryckiego poranka roztrzaskuje się uderzeniami deszczu. Oczywiście, trwało to zaledwie chwilę. Samochód stał zaparkowany w pobliżu niewielkiego parku Veronés na północy Madrytu, stworzonego najprawdopodobniej po to, by ozdobić okolice otwartej nie tak dawno nowej stacji metra. Był to opel, którego wewnątrz pachniało nową skórą, wilgotnym płaszczem i płynem po goleniu. Unosił się w nim także zapach dobrych, drogich perfum i pomyślałam, że najprawdopodobniej pozostawiła go jego żona, nie jakaś tajemnicza kochanka: Álvarez zdawał się urodzonym monogamistą.

- Nie chcę wiedzieć, dlaczego złamała pani nos fałszywemu obiektowi - odezwał się Álvarez po chwili milczenia. - Wiem, że podała pani ten fakt w swoim raporcie, Blanco. Nie chcę o tym wiedzieć.

- Zaczął się wypalać z myśliwskim nożem w rękę. Musiałam coś zrobić, żeby stracił przytomność, zanim wyjdę.

- Powiedziałem: nie chcę nic o tym wiedzieć.

- Ale ja chciałam panu o tym powiedzieć.

- Dobrze, że przynajmniej nie złożył doniesienia.

- Prawdę mówiąc, gówno mnie obchodzi, co zrobi ten skurwysyn... - wydusiłam -

Wybaczy pan język.

Álvarez wciągnął powietrze, po czym głęboko odetchnął.

- Ten „skurwysyn” to obywatel mający prawa konstytucyjne. Gdyby złożył

doniesienie na dziewczynę, która złamała mu nos, prawdopodobnie na tym etapie otrzymałbym już pytanie z MSW, jak długo Diana Blanco Bermúdez pracuje w zawodzie, i sondowałiby, czy możemy się pani pozbyć bez wypłaty odszkodowania. Niech pani mniej pilnuje własnego języka, Blanco, a

bardziej własnych pomysłów.

- Jak pan chce, niech mi pan da jego adres mejlowy, to mu wyślę przeprosiny.

- Nie jestem w nastroju do żartów.

- Mogę napisać: „Przykro mi z powodu osądzenia o szaleństwo. Chciał pan, żeby pana związać i ukłuć myśliwskim nożem, jasne, wstrętofil, nie holokaustofil, ależ ze mnie idiotka. Jest pan zwariowanym sukinsynem, ale przynajmniej nikomu nie robi pan krzywdy”.

- Powiedziałem już: dosyć, Blanco.

- A ja panu powiedziałam, że facet się wypalił, starczy? I że trzymał w łapie nóż długi jak jego własne ramię. Co by pan wołał? Fałszywy obiekt ze złamanym nosem czy kolejnego zarżniętego?

- Niczego nie wolę. - Álvarez wpatrywał się z uwagą w szybę. - I niech mi pani nie gada o „wypaleniach”, „wybuchach”, „psynomach”, „filiach” czy fobiach i „maskach”. Nic z tego nie rozumiem, zresztą nie muszę. Wiem jedynie, że w piątek jakiś niewinny facet został

napadnięty. I, chcę czy nie, osoba, która go napadła, pracuje w departamencie pod moim kierownictwem.

Álvarez nigdy na mnie nie patrzył, ja natomiast na niego często, i to z przyjemnością, między innymi dlatego, żeby go irytować; obserwowałam jego łysinę, przyprószone siwizną skronie, nieustanny wyraz zdenerwowania na twarzy, gęstą siatkę żyłek na nosie, zmarszczki człowieka po pięćdziesiątce, ciemny garnitur za dwa tysiące euro, turkusową koszulę i dobrany krawat, obcięte paznokcie i obrączkę na prawej ręce. Alberto Álvarez Correa, oficer łącznikowy między MSW a Departamentem Psychologii Kryminalnej. Człowiek przewidywalny od pierwszego wejrzenia, przejrzysty w ramach własnego pokrętnego labiryntu. Może właśnie dlatego potrzebowałam go teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Poruszywszy się niespokojnie na siedzeniu, dodał:

- Chciałbym, żeby się pani wytłumaczyła. Przecież po to chciała pani się spotkać.

Przez chwilę patrzyłam na niego w milczeniu. Wyobraziłam sobie, że dla hipotetycznego obserwatora, który podgląda nas z ulicy, nie moglibyśmy oboje stanowić większego kontrastu: dojrzały, dobrze ubrany mężczyzna i dziewczyna z włosami w strąkach, upapranych spodniach od dresu i kurtce, w ubłoconych butach, obrażających plusz jego złotego opla.

- Wie pan, na co mam ochotę? - wycedziłam. - Chce pan wiedzieć?

- Słucham.

- Mam ochotę upolować tego skurwysyna. Ale nie tylko upolować. Mam ochotę nasikać mu na twarz, kiedy się będzie wykrwawiał. Czuję się jak dziecko w Disneylandzie, gdybym mogła zobaczyć, jak skręca się z bólu, błagając, bym go zabiła.

Myślę o tym, kiedy chcę odpocząć. Bawi mnie to i relaksuje jak nic na świecie, to więcej niż tai-chi.

- Chwileczkę: nie wiem, ku czemu pani zmierza... Chce pani powiedzieć, że nikt, poza panią, nie chce złapać Widza? Że ja tego nie chcę?

- Nie wiem, czego pan chce. Mówię tylko, czego ja chcę.

- Wszyscy chcemy schwytać tego typu, Blanco.

- Ale nie wszyscy z taką samą ochotą. Jest nas piątka na obszarze obejmującym okolice Madrytu. Na początku była nas piętnastka, a teraz tylko piątka. Nazywają to cięciami budżetowymi. Pomijając już fakt, że profilowcy nie dostarczają nam aktualnych informacji o zmianach w jego modus operandi ani o podejrzeniach, że jego filia to może nie być Holokaust. To jest ta „chęć” ludzi, których interesów pan broni. Pięć przynęt ignorantek na cały Madryt i okolice. Cały jeden dzień zmarnowaliśmy na przegląd terenów polowania i oczywiście pod koniec dnia mieliśmy namierzonych więcej fałszywych obiektów. A wie pan, czemu brakuje budżetu? Przypuszczam, że pan wie, ale powiem to panu. Bo ten facet zabija kurwy. Mało, że je zabija: przez kilka tygodni posyła je do piekła, a potem zostawia zwłoki po wsiach, jak ktoś, kto sobie wyciera buty z gówna. Zabija kobiety pomiędzy piętnastym a trzydziestym rokiem życia, tak, ale w większości to imigrantki albo kurwy. Lepiej przeznaczyć budżet Departamentu Psychologii Kryminalnej na ochronę dup tych, którzy uwielbiają kłuć się myśliwskimi nożami. Ale w końcu czemu tu się dziwić? My, przynęty, jesteśmy jak kurwy, przecież tak się mówi, prawda? Udajemy uczucia, żeby zadowolić niepożądanych. Więc przypuszczam, że zmniejszenie jednocześnie liczby przynęt i kurw to wielkie osiągnięcie pana przyjaciela burmistrza i pana przyjaciela biskupa na rzecz nowego Madrytu. „Madryt bez przynęt i kurw” - to będzie slogan kolejnej kampanii...

- Dosyć, Blanco.

- Może powinniśmy publicznie podziękować Widzowi, że oczyszcza miasto ze śmieci.

Co by pan powiedział na mszę w katedrze?

- Blanco!

Skończyłam i poczułam się jak zawsze, gdy powiem, co mi leży na sercu: spełniona.

Nie jakbym coś z siebie wyrzuciła, ale jakbym zafundowała sobie szalony bankiet, na jaki tylko przy wyjątkowych okazjach mogłam sobie pozwolić. Álvarez natomiast zmarszczył nos w odruchu lekkiego obrzydzenia, jak gdyby szczerłość była dla niego prymitywnym daniem.

- Jeżeli chce pani przedyskutować logistyczne aspekty tego przypadku, mogła pani oszczędzić sobie obrażania. Pani skarga została zachowana na twardym dysku. Porozmawiam z Padillą. A teraz...

- Nie chciałam się z panem zobaczyć, żeby się skarżyć.

- Na Boga, niech mi pani wreszcie powie, czego chce, i kończymy. Za godzinę mam spotkanie w ministerstwie.

Przez chwilę patrzyłam na jego profil przez strąki wilgotnych włosów przyklejonych do czoła, potem wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłam z siebie to, o czym myślałam dwadzieścia cztery godziny na dobę przez cały ten koszmarny weekend.

- Chcę złożyć dymisję.

*

Gdy Álvarez patrzył na mnie ostatnio, byłam naga.

Było to dwa lata wcześniej, pewnego kwietniowego dnia, krótko po pogrzebie Gensa.

Znajdowałam się na scenie jednego z departamentalnych teatrów, na tle dekoracji udającej kabinę prysznicową wyłożoną białymi kaflami, i poruszałam się bez przerwy, trzymając rączkę prysznicową, w ramach ćwiczeń dydaktycznych na temat maski Dwuznaczności, służącej do treningu dla początkujących przynęt. Álvarez zszedł do teatru, aby pilnie spotkać się z Padillą. Okazało się, że sam ma filię Dwuznaczności, i gdy tylko mnie zobaczył, został

usidlony.

Sceny teatrów dla przynęt przypominają dekoracje w telewizji: są otwarte, ze światłami i nawet kamerami, a próby odbywają się na oczach wszystkich. Dzieje się tak dlatego, że my, przynęty, jesteśmy bardzo niebezpieczne i zaleca się, by nikt, nawet trener, nie zamykał się sam na sam z którąś z nas w oddzielnym pomieszczeniu do indywidualnego treningu. Jednakże z tych samych powodów dostęp do piwnic, gdzie znajdują się sceny, jest zakazany dla ludzi spoza kręgu Departamentu Psychologii Kryminalnej.

Przypadek Álvareza dało się jednak zakwalifikować tak jak jego filię: dwuznaczność.

Chodziło o naszego łącznika z MSW i teoretycznie nikt nie mógł mu zabronić wstępu do teatru. Było poza tym oczywiste, że odwiedzał już to miejsce przy innych okazjach i znał

ryzyko związane z dokładnym przyglądaniem się przynęcie podczas próby. Był to zatem czysty przypadek. Wędkarze wyławiają czasami puszki czy stare buty zamiast ryb, a my, przynęty, usidlamy niechcący.

Ktoś, kto ma filię Dwuznaczności, odczuwa przyjemność, patrząc na ciało poruszające się na tle, które nieustannie się zmienia. Paulo Elazian, brazylijski psycholog, odkrywca tej filii, kazał przynętom przechadzać się na tle dekoracji przedstawiających trzy różne tła.

Technika pozwala obecnie, by sama przynęta posługiwała się własnym ciałem jak ruchomą dekoracją. W mitologii starożytnej Proteusz był bogiem morza, który umiał przybierać każdą postać, jaką zechciał, i nie bez powodu jeden z bohaterów *Dwóch panów z Werony* Szekspira nosi takie imię, a jego nieustanna przemiana z przyjaciela we wroga, z kochanka jednej damy w kochanka drugiej, z dobrego chłopca w perwersyjnego gwałciciela przywołuje symboliczne klucze tej maski. Gens kazał nam grać fragmenty tej sztuki w łazience, gdzie ciało i woda tworzą kobierzec ruchomych, zmieniających się obrazów.

Przypuszczam, że Álvarez, schodząc do podziemi, spojrział niebacznie na jedyną oświetloną scenę, na której poruszałam się naga, grając maskę jego filii, i dokładnie w tej chwili wykonałam gest, którym go usidliłam. Było to ulotne spojrzenie w określonej s e k u n d z i e. Pewnie możesz przejść dwadzieścia razy obok celu w czasie, gdy strzelec ładuje pistolet, ale Álvarez przeszedł dokładnie wtedy, gdy ja s t r z e l a ł a m.

Naturalnie wiedziałam, kim jest. Od kilku lat widywaliśmy się w departamencie, kilkakrotnie konferował z nami i wydawał instrukcje, ale nigdy nie rozmawiałam z nim osobiście. Wystarczyła jednak tamta sekunda, by nasza relacja zmieniła się w sposób drastyczny i raz na zawsze.

Natychmiast zorientowałam się, co się stało, widząc, że znieruchomiał u stóp sceny.

Gotów był przerwać próbę, żeby uniknąć dalszego ataku, na szczęście pojawił się Padilla i wyratował go, ująwszy za ramię. Oczywiście usidlenie przetrwało, więc kiedy skończyłam pracę, włożyłam szlafrok i poprosiłam trenera, żeby mnie przedstawił Álvarezowi.

Zlikwidowałam usidlenie kilkoma gestami pozbawionymi owej mglistej dwuznaczności, która dostarcza takiej rozkoszy wszystkim z tej filii: podałam mu rękę, uśmiechnęłam się, rozmawialiśmy o najbanalniejszych sprawach.

Jednakże pomny tamtego doświadczenia Álvarez nigdy na mnie nie patrzył. Odwracał

szybko wzrok, kiedy przypadkiem wpadaliśmy na siebie na korytarzu w teatrze lub w sali konferencyjnej. Nie winiłam go za to: był katolikiem, ojcem rodziny, miał trójkę dzieci. Praca zobowiązywała go do kontaktów z naszym światem, ale nie znał się na psynomach, maskach, filiach czy powodach, z jakich Szekspir jest tak perwersyjny i tak przydatny. Był

dwuznacznofilem i posługiwał się swoim upodobaniem do dwuznaczności podczas spotkań politycznych, ale w życiu prywatnym łudził się, że ma stałe poglądy.

Nawet owego deszczowego poniedziałku, kiedy oznajmiłam mu decyzję o dymisji, zamrugał i odezwał się niepewnie, nie odrywając jednak wzroku od przedniej szyby.

- Dymisję? Przecież... mówiła pani właśnie, że chce upolować tego typu.

- Powiedziała, że tego bym właśnie chciała. Ale już nie mogę tego ciągnąć.

Álvarez odetchnął głęboko i po raz pierwszy w trakcie tego spotkania odezwał się łagodnie.

- Ile ma pani lat, Diano?

- Dwadzieścia pięć. - Nie umknął mojej uwagi fakt, że po raz pierwszy także zwrócił się do mnie po imieniu.

- A od kiedy się pani tym zajmuje?

- Zaczęłam, jak miałam piętnaście.

Álvarez namyślał się przez chwilę.

- Wedle kanonów obowiązujących w tym zawodzie rzeczywiście jest już pani weteranką. Wiele przynęt wycofuje się wcześniej. Ale znam trochę przebieg pani kariery i wiem, że ma pani opinię nadzwyczajnej... - zdobył się na pochlebstwo. Przettrzymałam. - Nie jestem skłonny do przeceniania czyichś zalet czy wad, zaznaczam tylko to, co wszyscy wiedzą. Poza tym, o ile rozumiem, profesor Víctor Gens przygotowywał panią osobiście, czego nie doświadczyła większość pani koleżanek... Dlatego też myślę, że utrata pani byłaby... - zawahał się. - Tak czy inaczej będzie to dla departamentu kosztowne, ale w pani zawodzie, bardziej niż w jakimkolwiek innym, wszystko zależy od pani. Tak więc, jeżeli taka jest pani decyzja, nikt nie ma prawa jej negować. Zna pani oficjalne procedury?

- Tak.

- Przypuszczam, że Padilla już wie?

- Nie, jeszcze nie.

- A zatem... to ja pierwszy się dowiedziałem?

- Tak.

Zapadło milczenie. Skuliłam ramiona, złączyłam nogi, ubranie wciąż jeszcze było mokre. Wiedziałam, że pewne ruchy mokrych włosów i wilgotne ubranie mogą się okazać niebezpieczne dla mojego rozmówcy, dlatego starałam się poruszać jak najmniej. Polecenie spaceru w deszczu było bez wątplenia kolejnym środkiem ostrożności: w ten sposób zapobiegano wrażeniu, że wszystko wygląda na z góry zaplanowane. Przy spotkaniu „sam na sam” z przynętą stosowano nadzwyczajne środki ostrożności. Przynęta, która chciała spotkać się z Álvarezem, musiała wstukać tajny PIN prócz numeru telefonu służbowego, następnie odbierała telefon od operatora i identyfikowała się kolejnym kodem. Nigdy nie informowano z wyprzedzeniem, w jakich okolicznościach nastąpi spotkanie, a w określonym dniu wypełniałam instrukcje, które w tym wypadku brzmiały: dotrzeć do parku Veronés, zaparkować na jego obrzeżach i przejść przez park w kierunku samochodu Álvareza. Jakby tego było mało, czujnik zachowań umieszczony w błotniku opla rejestrował wszystkie moje gesty i tony głosu, a centralny komputer kwantowy przetwarzał je. Gdyby całość zachowania składała się na jakąś maskę, komputer to stwierdzi, a ochroniarze czekający w innym samochodzie, za oplem, natychmiast podejmą interwencję. Nam, przynętom, nie wolno nawet oddychać bez podglądu.

- Niech pani posłucha, Diano - odezwał się Álvarez tonem osoby, która stara się za wszelką cenę zachować twarz - może byłem wobec pani nieco brutalny, ale niech pani nie przywiązuje tyle wagi do tego fałszywego obiektu z piątku. To się zdarza i...

- Nie chodzi o piątkowy przypadek - starałam się mówić jak najszczerzej - myślę o tym od dawna. Kiedy pojawił się Widz, zgłosiłam się, ponieważ przysięgam, że chciałabym dopaść tego skurwiela, zanim odejdę, ale chyba nie mogę. Chcę żyć normalnie, na tyle normalnie, na ile administracja mi pozwoli... - zaśmiałam się gorzko. - Wiem, że nie na tyle, na ile bym chciała, ale przynajmniej

przestanę się bawić w teatr. - Zadawałam sobie pytanie, czy Álvarez wie, że Miguel stanowi drugi silny motyw mojej decyzji, i uznałam, że skoro przejrzał cały mój życiorys, nie było sensu niczego przed nim ukrywać. - Poza tym jest ktoś, kto mi się podoba... Mój kolega, Miguel Laredo... Planujemy oboje wycofać się i zamieszkać razem. - Zauważyłam, że Álvarez lekko kiwa głową. - I jeszcze ta historia z moją siostrą...

- Z pani siostrą? - Zmiana tonu głosu zaskoczyła mnie.

- Tak, Verą Blanco. Zawsze mnie naśladowała, a teraz właśnie trenuje w jednym z teatrów. Wiem, że ma osiemnaście lat i może robić, co jej się żywnie podoba, ale w jakiś sposób czuję się za nią odpowiedzialna i... Tak naprawdę nigdy nie podobało mi się, że chce być przynętą. Sądziłam, że może postanowi się wycofać, kiedy ja to zrobię.

- No tak - przyznał zamyślony Álvarez - rozumiem, Diano, i życzę pani szczęścia.

Po krótkiej chwili dodałam:

- Dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać. Chciałam, żeby pan pierwszy się dowiedział. Pójdę teraz do teatru porozmawiać z Padillą, ale przedtem... Przedtem chciałabym powiedzieć panu coś jeszcze.

Nie przedłużałam zbyt długo pauzy: czujnik zachowań rejestrował mnie nadal i nie było rozsądne „dramatyzowanie” sytuacji. Odrzuciłam wszelką emfazę.

- Tamtego dnia w teatrze usidliłam pana przez przypadek.

Nie poruszył się i nic nie powiedział. Patrzył wciąż przed siebie, kiedy mówiłam, a przerwy w monologu wypełniały uderzenia kropli deszczu o samochód.

- Próbowałam akurat pana filię i przez czysty przypadek spojrział pan na mnie. Nie powinien pan przywiązywać do tego wagi. Może myślał pan wiele o tym, co pan poczuł na mój widok, i pewnie pana myśli obrały bardzo dziwny kurs... ale proszę się tym więcej nie przejmować. To była moja maska, nie pańska. To tak, jakby przez pomyłkę zażył pan LSD

zamiast aspiryny. Nie miało to też nic wspólnego z faktem, że byłam naga czy że jestem kobietą. Męska przynęta usidliłaby pana również, a pan przypisywałby to innym powodom.

Proszę o tym zapomnieć. To był najzwyczajniejszy teatr.

Álvarez Correa westchnął i odwrócił głowę. Jego oczy zatrzymały się na chwilę, zanim spojrzały w moje, ale chciałam wierzyć, że w tym wysiłku była wdzięczność, i uśmiechnęłam się.

- Czy mogę panią o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Dlaczego to mnie pierwszemu zechciała pani obwieścić swoją dymisję?

- Ponieważ... - chciałam jakoś upiększyć odpowiedź, ale ponownie wybrałam prawdę.

- Ponieważ jest pan jednym z moich szefów, ale nie należy do teatru. Musiałam powiedzieć to najpierw komuś takiemu jak pan. Jest pan jedyną szczerą osobą, jakie mam w swoim otoczeniu - dodałam.

Starałam się, żeby to zabrzmiało jak pochwała, ale gdy wysiadałam z samochodu, uświadomiłam sobie, że przecież Álvarez jest politykiem i może się obrazić za oskarżenie go o szczerą osobę.

4

Miguel i ja nazywaliśmy to pomieszczenie „pokojem szczerości”. Mieliśmy jedno takie w każdym teatrze, a to znajdowało się w Los Guardeses, tam gdzie skierowałam się po spotkaniu z Álvarezem.

- Myślałem o tobie całe rano - powiedział Miguel, całując mnie w usta.

- Kłamca.

- W „pokoju szczerości” nie wolno kłamać, proszę pani.

Roześmialiśmy się. Zaczęliśmy się znów całować, a Miguel położył ręce na mojej wilgotnej kurtce, przytulając mnie mocno. Miał ładne ręce, jak najbardziej męskie, ale delikatne i zarazem mocne. Lubiłam czuć ich dotyk.

Skończyliśmy się całować dokładnie wtedy, gdy spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Jak poszło? - spytał Miguel cicho.

- Dobrze. Bez niespodzianek.

- Jak to przyjął?

- Chyba normalnie. Álvarez nie należy do gadatliwych, wiesz przecież.

- A tobie tacy odpowiadają.

- Kanalia. - Ucałowałam go.

Nigdy nie mogłam sobie przypomnieć, które z nas pierwsze zaczęło nazywać te pomieszczenia „pokojami szczerości”. Wydaje mi się, że nastąpiło to wtedy, gdy zorientowaliśmy się, że we wszystkich praktycznie zakamarkach teatrów prawie wciąż udajemy. W pokoju w Los Guardeses nie było okien, a na całe oświetlenie składała się jedna naga żarówka wisząca pod sufitem. Powierzchnia była tak mała, że gdybym stanęła na środku i rozłożyła ramiona, dotknęłabym metalowych półek, które stały przy każdej ścianie, pełne teatralnych rekwizytów: naszyjników, bransoletek, kapeluszy, zegarków, okularów, części damskiej i męskiej bielizny, a nawet olbrzymich sztucznych orchidei i bukietów fiołków upchniętych w szufladzie. Był tam też sedes na podłodze, oczywiście także rekwizyt, przedmiot nieustannych żartów. Czasem stawało się to już nudne.

Tak czy inaczej, mimo swoich rozmiarów i brzydoty, było to nasze schronienie, miejsce, gdzie spotykaliśmy się na rozmowy, z dala od czujników i rejestratorów zachowania.

Miguel i ja mieliśmy mało czasu, a ostatnio spotykaliśmy się jedynie w teatrze.

- Powiedziałaś mu o nas? - zapytał, odsłaniając mi czoło gestem charakteryzatora.

„O nas” zabrzmiało dobrze. Uśmiechnęłam się.

- Powiedziałałam, że jestem zakochana w koledze. Resztę wie. Miałam mu powiedzieć, że zakochałam się w pewnym „chłopcu”, ale zważywszy, że mam do czynienia z czterdziestolatkiem, brodatym i przedwcześnie posiwiąłym, stwierdziłam, że to lekka przesada.

- Podoba ci się moja przedwczesna siwizna.

- To prawda, tatuśku.

Miguel śmiał się w ujmujący sposób, ale zauważyłam w jego twarzy jakąś nutę powagi. Wiedziałałam, że mu przeszkadza różnica wieku między nami.

- Wszystko, co dobre, potrzebuje lat, by się w pełni rozwinąć, proszę pani - zauważył.

Zanim odpowiedziałam, zagłębiłam się na chwilę w jego oczy.

- Nabijałam się z ciebie. Jesteś najmłodszym facetem, jakiego znam.

- Nawet nie próbuj tego łagodzić, dziecinko. - Musnął koniuszek mojego nosa. Znow się całowaliśmy. Był pociągający. - W każdym razie - dodał - kiedy to oznajmisz Padilli, wszyscy będą wiedzieli.

- Więc za kilka godzin będziemy sławni.

- Powiedzą o tym w dziennikach...

- „Przynęta hiszpańskiej policji rzuca pracę, by związać się z nieco przejrzałym przynętą” - zaryzykowałam, licząc, że go sprowokuję.

- Nie: „Słynny profesor technicznego przygotowania psychologicznego, swego czasu przynęta hiszpańskiej policji, Miguel Laredo, postanowił związać swój los z młodą, nieznaną madrycką przynętą”.

- Za długie.

- W takim razie... „Słynny i atrakcyjny szkoleniowiec Miguel Laredo żeni się”.

- Nie zamierzamy brać ślubu - zauważyłam ze śmiechem.

- No to nie mam na podorędziu innych nagłówków. A bez nagłówka nie ma newsa.

- No to nie będzie newsa.

Wpatrywaliśmy się w siebie, a ja wykorzystałam ten czas, by cieszyć się jego uśmiechem. Miguel był wysoki, wyższy ode mnie, choć i ja nie należę do niskich, i znajdował

się w doskonałej formie. Brodę miał tak krótko przyciętą, że trzeba było przesunąć palcem po jego policzkach, by ją wyczuć, ale jej śnieżnobiały kolor, bielszy niż odcień jego gęstej i zmierzwionej czupryny, kontrastował prawie zawsze z ciemną barwą ubrań, jakie nosił. Tego dnia miał na sobie półgolf i włoskie spodnie, wszystko doskonale czarne. Ale to jego uśmiech dodawał całości kolorytu, jak gdyby cała jego uroda została stworzona ku radości wszystkich pozostałych. Ta wieczna mina mówiąca: „mógłbym sprawić, że pękiesz ze śmiechu” fascynowała mnie. Kiedy się temu przyglądałam, zastanawiałam się, jak bardzo nam, kobietom, podobają się mężczyźni, którzy nie przestali jeszcze być dziećmi.

Nasz związek zaczął się w ubiegłym roku. Wcześniej Miguel był dla mnie

„profesorem Laredo”: żywą legendą hiszpańskiego świata przynęt i zaskoczyło mnie, jak zresztą wszystkich, że słynny i atrakcyjny były przynęta i szkoleniowiec zwrócił na mnie uwagę. „Jak go zdobyłaś?”, spytała żartem moja siostra Vera, kiedy się dowiedziała.

Zyskałam wtedy na ważności, ale najbardziej szczerą odpowiedź, na jaką mogłam się zdobyć, brzmiała: „Bo wcale nie próbowałam”. Stało się, po prostu. I trwało naprawdę. Jeżeli w moim życiu coś się działo naprawdę w owym czasie, to tylko to, że się kochaliśmy.

- No dobrze, i jak się czujesz w tym wielkim dniu? - spytał w końcu.

- Tak naprawdę to sama nie wiem. Wszystko stało się bardzo szybko. Będę musiała się przyzwyczaić.

- Pewnie, to logiczne.

- I nadal mi nie odpowiada porzucenie pracy gdzieś w połowie.

- Mogą cię zastąpić w polowaniach, które prowadziłaś, tłumaczyłem ci przecież...

- Tak, jasne.

- Tylko że nie o to ci chodzi, tak?

Opuściłam głowę i odsunęłam z twarzy wilgotne włosy.

- Przejdzie mi.

- Chodzi o Widza - domyślił się Miguel.

Coś wymamrotałam, uchylając się od odpowiedzi. Rozmawialiśmy o tym milion razy, milion razy starałam się przespać ten problem i milion razy rozwiązywałam go przed lustrem.

A jednak wciąż nie udawało mi się go rozwikłać. Widz. Pseudo, na którego dźwięk zółć podchodziła mi do gardła, a obrzydzenie wypełniało całe ciało, jak gdyby właśnie przetoczono mi gówno w żyły.

„Ale już dosyć. Zrezygnowałaś. *Kaput. The end*”.

- W końcu go złapiemy, kochanie, zapewniam cię.

- Wiem - odparłam. - Zawsze ich łapiemy. Tylko że... Nie wiem, jak to wyjaśnić.

- Chodzi o to, że angażujesz w to całą siebie, robisz wszystko, by stać się tym, czego twoja ofiara najbardziej pragnie... a potem dużo cię kosztuje, by z tego wyjść. Ze mną było tak samo, kiedy postanowiłem, że nadeszła godzina, by zwinąć interes.

- Tak, chyba o to chodzi - przyznałam niechętnie. Miguel, podobnie jak prawie wszyscy faceci, uwielbiał myśleć, że doskonale zna swoją partnerkę, a ja nie wątpiłam, że przy wielu okazjach połapie się w moich najskrytszych motywacjach, jednakże coś we mnie buntowało się zawsze przeciwko takiemu badaniu.

Otworzyły się drzwi i stanęła w nich młodziutka dziewczyna, niska, jasnowłosa, o jasnoniebieskich oczach, z włosami zebranymi w krótki ogonek. Miała na sobie biały szlafrok, taki, jakie noszą wszystkie przynęty w przerwach między próbami, a na szyi czerwony identyfikator. Nie musiałam go czytać, by wiedzieć, że to Elisa Monasterio.

Przyszła w towarzystwie dziesięcio-, może jedenastoletniego, bardzo ładnego chłopaczka, ubranego w podobny sposób.

- Och, przepraszam was, myślałam, że nikogo tu nie ma - powiedziała, czerwieniąc się. - Chciałam znaleźć dla niego jakieś drobiazgi. To nowy „Artur” i czuje się jeszcze trochę zagubiony. - Zmierzwiała ręką włosy chłopczyka.

- Przeszkodziłam wam?

- Nie, wchodź - zachęcił ją Miguel.

- Cześć, Diana. - Elisa się uśmiechnęła. Kosmyk włosów opadł jej na oczy.

- Cześć.

Elisa Monasterio dzieliła służbowy lokal z moją siostrą i była jej najlepszą przyjaciółką. Zaciekawiona jak zwykle wszystkim, co dotyczyło Very, wystąpiłam już o wszelkie informacje na jej temat. W departamencie uważano Elisę za dobrą, choć żądną kariery dziewczynę.

- Jak się miewasz? - zapytała mnie, wyciągając szuflady pełne rekwizytów.

- W porządku, a ty?

- Mnóstwo mam pracy, ale w porządku.

Zapadła niezręczna cisza. Pomyślałam sobie, że z nami, przynętami, dzieje się coś dziwnego: Miguel i ja dokonywaliśmy, albo pozwalaliśmy, by to na nas dokonano praktyk nie do pomyślenia, groteskowych, perwersyjnych. Praktyk, które, gdyby je tylko opowiedzieć, odebrałyby sen szefowi gangu narkotykowego. A teraz czuliśmy się niczym dwoje byłych alkoholików podczas terapii grupowej, poddani społecznym osądom w trakcie niezręcznej przerwy.

- Szybko skończymy. - Elisa przyciągnęła chłopca do siebie i zaczęła przeglądać szuflady. - Spójrzmy: potrzeba nam trochę kwiatów...

Tak naprawdę chłopiec nie nazywał się Artur. Gens ochrzcił w ten sposób małego przynęty, wzorując się na przykładzie dziecięcego bohatera jednej z pierwszych sztuk Szekspira, *Życie i śmierć króla Jana*. Artur to następca tronu, ale panujący król rozkazuje go zabić, a wcześniej próbuje oślepić rozżarzonym żelazem. Według Gensa scena tortur zawiera kluczowe rady dotyczące maski Niewinności. Pseudonim stał się popularny.

Zastanawiałam się, patrząc, jak się wspina w bawełnianych kapciach, by zajrzeć w głąb szuflad, z jakiego zakamarka życia wychynął ten „Artur”, jakiego rodzaju traumatyczne przeżycia zafundował swoim rodzicom - o ile ich miał - że zgodzili się zaakceptować taki los dla swego dziecka. Albowiem, choć ratowanie wielu dzieci przez narażenie kilkorga na niebezpieczeństwo może się okazać do zaakceptowania, nie znałam żadnego normalnego rodzica, który przystałby na taki deal. A jednak Gens uważał „Arturów” za część obsady.

Jego punkt widzenia w tej kwestii zawsze był teatralny.

- Sądzę, że to nam wystarczy - odezwała się Elisa z naręczem sztucznych kwiatów i kilkoma zwojami gumy.

- Jeszcze raz przepraszamy za najście. - Zarumieniona rzuciła ku nam uśmiech i wyszła.

- Nie wiedziałam, że dzisiaj są zajęcia z teorii - zauważyłam, kiedy wreszcie zostaliśmy sami z Miguelem.

- To nie teoria. Profilowcy wymyślają nowe techniki na Widza. Padilla chce jak najszybciej zobaczyć efekty.

Zamarłam na te słowa.

- Padilla zamierza posłużyć się niedouczonymi przynętami?

- Nie, nie... - odparł szybko Miguel. - „Artur” jest na innych próbach...

- Nie chodzi mi o małego.

- Elisa niezupełnie jest niepełnoletnia...

- Mówię o niedouczonej, nie o małoletniej, Miguel. Wiem, że Elisa ma osiemnaście lat, tak jak Vera. Jest jedną z jej najlepszych przyjaciółek. Ale w ilu polowaniach tak naprawdę uczestniczyła? W dwóch? Trzech? A kogo złapała? Falszerza kart kredytowych?

Nie ma dość doświadczenia na kogoś na miarę Widza!

- Kochanie, ten temat zostawiam profilowcom. Moja praca polega na...

- Jedyne, co chciałabym wiedzieć - ucięłam - to dlaczego nikt mi nie powiedział, że parametry profilu Widza zmieniły się do tego stopnia, że można się posłużyć niedouczonymi.

- Zmieniają się nieustannie, kochana. Ten typ nie jest podobny do nikogo, z kim dotychczas mieliśmy do czynienia... W dodatku wszystko odbywa się z klauzulą poufności.

Sam dowiedziałem się wczoraj, że mam trenować Elisę i wypuścić ją w rejon polowania tej nocy...

- O Boże.

- Padilla i Álvarez mają obsesję na punkcie tej kreatury.

- Ja też - dodałam.

- I to błąd - Miguel podniósł głos, ale natychmiast złagodził ton. - Mówiłem ci tysiące razy, że ten zawód to nie kwestia obsesji, ani nawet nie emocji...

- To już nie jest mój zawód. Nie pouczaj mnie.

Umilkliśmy i poczułam wyrzuty sumienia z powodu swojej ostrej reakcji.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało.

- Nie chciałam tego powiedzieć.

- Naprawdę, nic się nie stało, kochanie. Chodzi o to, że mam wrażenie... No dobrze...

że porzucasz teatr za wcześnie.

Zapadła cisza.

- Powiem Padilli, żeby powierzył ci wyłącznie polowanie na Widza... Kiedy go złapiemy, będziesz mogła spokojnie się wycofać.

Ta nieoczekiwana propozycja ożywiła moją irytację.

- To absurd! Sam przecież najbardziej nalegałeś, żebym to wszystko rzuciła. Zaczynać od zera, żyć przez pewien czas z twojej pensji... Nie tego chciałeś?

- Nadal tak jest.

- Więc co?

- Nie chcę, żebyś spędziła resztę życia z niezagojoną raną... Nie ma wątpliwości, że nadal absorbuje cię ten temat, chcesz złapać Widza... No więc dobrze. Nie podoba mi się to, ale jeszcze bardziej, żebyś rzucała wszystko po doświadczeniu z fałszywym obiektem...

- Fałszywy obiekt nie ma z tym nic wspólnego. - Zacisnęłam zęby. - Rzuciłam to, bo mnie o to prosiłeś. Nie chciałeś mnie utrzymywać?

Wszelkie ślady łagodności zatarły się kompletnie na jego twarzy. „Po raz kolejny przywaliałaś mu, Diano”, skłęłam sama siebie.

- Nie, nie chcę cię utrzymywać, i przykro mi, że to mówisz - odparł Miguel. - Chcę, żebyś rzuciła pracę, owszem, ale gdybyś miała jakikolwiek inny zawód, nigdy bym cię o to nie poprosił.

Wiedziałam, o co mu chodzi, i nie odezwałam się. Mimo wszystko nie odpowiadało mi, że tak bardzo mnie chroni. To, że się mną przejmuje, oznaczało strumień łagodności spływający na najwrażliwszą część mojego jestestwa: było to miłe i jednocześnie mi przeszkadzało.

- Wiesz co? - zaczął - Padilla odwiedził niedawno Claudię Cabildo... Opowiedział mi, co u niej... - spuścił głowę i przez chwilę mogłam oglądać jego szpakowate włosy - i pomyślałam, że... że za nic na świecie nie chcę, żebyś zmieniła się w kogoś takiego, o ile będziesz miała takiego pecha, by przeżyć coś podobnego... nie chcę, byś w tym nadal uczestniczyła, Diano. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Claudię Cabildo trzy lata temu uwięził psychol nazwiskiem Renard. Ja też ją czasami odwiedzałam i widziałam, co zrobił Renard. W tej chwili nie chciałam o tym pamiętać.

Odetchnęłam głęboko i wykorzystując jego milczenie, powiedziałam łagodnie:

- Nie będę w tym uczestniczyła, Miguelu. Podjęłam decyzję. Powiedziałam, że to rzucam, i to właśnie zamierzam zrobić. Przypuszczam, że po prostu potrzebuję czasu, żeby się z tym pogodzić...

- Mówisz, jak gdyby chodziło o zerwanie związku - stwierdził ironicznie Miguel.

Przez chwilę się zastanawiałam. Nie przyszło mi do głowy, by tak na to spojrzeć.

- To chyba Víctor Gens mówił, że porzucić kogoś, kogo nienawidzisz, to tak samo jak porzucić kogoś, kogo kochasz - powiedziałam. - W obu przypadkach widzisz wokół siebie pustkę.

- Víctor Gens był świnią.

Roześmiałam się.

- Niewiele mu ustępujesz - stwierdziłam, myśląc, że nie da się nie kochać człowieka, który umie cię rozbawić, gdy czujesz się źle. - Sądzę, że potrafię żyć, nie będąc przynętą, jeżeli mi pomożesz.

Czasami miałam wrażenie, że jestem bohaterką jakiegoś romantycznego dzieła: naiwną i pustą. Przyszło mi to do głowy także wtedy, gdy się objęliśmy, wyobraziłam sobie nawet, że umiałabym wydobyć z siebie jakiś rodzaj muzyki. Czułam się kochana i zaspokojona, bezpieczna przy tej silnej piersi, otulona jego ramionami niczym jedwabnym płaszczem, ale jednocześnie głupia i słaba, jak gdyby jakaś moja część nie czuła się wygodnie w tej sytuacji. Jak pies, który pozwala głaskać się po brzuchu, a zarazem ma ochotę ugryźć.

Kiedy skończyliśmy się całować, Miguel dostał swoistego ataku nieśmiałości.

Udawał, że obserwuje okładkę holowideo, którą zostawił na regale, kiedy weszliśmy do

„pokoju szczerości”, próba Althei, jedna z najbardziej okrutnych na temat maski Niewinności, jakie kiedykolwiek podjęto, przy użyciu zawodowej przynęty i pod auspicjami FBI.

Przypomniałam sobie słowa Gensa: „Zrobili to, gdy FBI było jeszcze poważną instytucją”.

Zadałam sobie nie po raz pierwszy pytanie, czy zmiana pracy w przypadku Miguela przekształciłaby go także w „poważną instytucję”. Przez ponad dwa lata pracował na obecnym stanowisku, po wycofaniu się z roli przynęty w wieku lat czterdziestu, gdy większość z nas już nie żyła albo „wpadła w kanał”, nie wycofawszy się na czas. A jednak Miguel nie wydawał się specjalnie zainfekowany swoimi doświadczeniami.

Przestał się wpatrywać w holowideo i zwrócił się do mnie:

- Jest... coś jeszcze, Diano. Padilla nie chciał ci o tym mówić... - to, co ujrzałam w jego oczach, sprawiło, że zadrzałam. Przełykając ślinę, dodał: - Chodzi o twoją siostrę.

5

Trudno jest się poruszać po teatrze Los Guardeses, jak zresztą po każdym policyjnym teatrze. Nie chodzi o jakąś wyrafinowaną ochronę, uzbrojonych agentów i skomplikowaną aparaturę elektroniczną, które i tak byłyby zbędne, ponieważ nawet najbardziej zaawansowana technologia może zostać pokonana przez jeszcze nowszą, a najlepiej wyszkoleni ludzie - ulec lepszym od siebie. Sam budynek niczym się nie wyróżnia: to piętrowy wiejski dom, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Madrytu, o kamiennych ścianach i olbrzymiej piwnicy. Podczas prób pełno wokół niego samochodów i ciężarówek parkujących przed bramą, a po skończeniu pracy wszyscy odjeżdżają i nie ma śladu po tym, co się tam działo, może poza paroma przedmiotami w „pokoju szczerości” i jakimś porzuconym elementem dekoracji. Przypadkowy przechodzień myślałby, że ktoś kręci tam film. Przy wejściu, na parkingu, zwyczajny ochroniarz po wylewnym powitaniu prosi o dowód tożsamości. Nic więcej. Ani złych psów, ani karabinów maszynowych, ani drutów kolczastych. A jednak, niczym w opowiadaniu Cortazara, biedny ten, kto chciałby się dostać do tego „nawiedzonego domu”, jakim jest

teatr podczas prób przynęt.

Mimo wszystko, kiedy Miguel skończył mówić, zacisnęłam zęby, odwróciłam się i wyszłam z „pokoju szczerości” bez słowa, ignorując jego wołanie i przechodzących koło mnie kolegów i techników. Ze wzrokiem wbitym w podłogę, jak mamy zwyczaj poruszać się po teatrze, nie patrząc na nikogo, z nikim nie rozmawiając, przecięłam sień i zanim dotarłam do salonu rozrywki (olbrzymi pokój ze stołem do ping-ponga, kilkoma przyrządami sportowymi i podręcznym barkiem z napojami bezalkoholowymi), skręciłam w kierunku schodów prowadzących na piwniczne sceny. Na drzwiach przy schodach wypisane było, jaką maskę aktualnie się próbuje: Orgia. „Nieźle”, dopisał poniżej jakiś żartowniś pismem zdradzającym pośpiech. Nie byłam orgiofilem, ale niektóre gesty tej maski mogły wzbudzić we mnie niepokój, tak więc podziękowałam za ostrzeżenie. Pchnęłam drzwi i weszłam w ciemności.

Były tam cztery oświetlone sceny; na każdej znajdowały się dwie lub trzy przynęty.

Nieletni skupili się na jednej scenie, dorośli - na pozostałych trzech. Na wszystkich próbowano orgie i wyczuwało się gęstą, niemal klejącą się atmosferę. Dawało się wyłapać w powietrzu dyszenie i krótkie kwestie z Szekspira, zmieszane z suchymi uwagami szkoleniowców. Zaczęłam się posuwać do przodu, starając się rozróżnić sylwetki w mroku, aż zatrzymałam się przed ostatnią sceną.

Znajdowała się na niej moja siostra. Dekoracje stanowiły drewniane kłocę oświetlone reflektorami, a Vera tarzała się po podłodze pomiędzy nimi. Kiedy ją obserwowałam, przyłączyła się do niej Elisa Monasterio. Obie były nagie i spletały się w choreografii nieskonsumowanych pieszczot, jak gdyby istniało coś, co nie pozwala im się dotknąć. Elisa robiła to doskonale, profesjonalnie, ale Vera, co zauważyłam z żalem, myliła się, ponieważ u s i ł o w a ł a zrobić to dobrze. Wkładała w ćwiczenie wolę, co jest błędem debiutantów.

Nie wiedziała jeszcze, że praca w roli przynęty polega nie tyle na oszukiwaniu innych, ile na oszukiwaniu siebie. Naszą największą siłą jest właśnie to, że nie mamy świadomości, jaką siłą dysponujemy. Elisa też była debiutantką, ale nie miałam najmniejszej wątpliwości, że z czasem stanie się niezwykle wartościową przynętą. Vera natomiast wciąż jeszcze była zielona.

Kiedy nadeszła chwila zagrania sceny maski - dialogu między Gloucesterem a Anną z *Ryszarda III* - Elisa zrobiła to w sposób cudownie prosty:

- „Niech czarne noce twoje dni zamroczą, niech śmierć twe życie pograży w ciemnościach!”

Vera odpowiedziała:

- „O, piękna moja! Nie przeklinaj siebie! Przecież ty jesteś dniem moim i życiem!”¹

Próba była niemal nieszkodliwym ćwiczeniem na podstawie opracowań grupy FOX.

Normalnie by mnie to nie wciągnęło, ale kiedy obserwowałam próbę, poczułam się tak, jakbym wypila kieliszek mocnego alkoholu. Pomyślałam o czymś, co wcześniej nigdy mi się nie przytrafiło: maska Orgii ustalała, że przynęta ma być o d r z u c o n a przez świadomość ofiary, by usidlenie się

udało, w ten sam sposób, jak Anna pozwalała się kusić nieciekawemu Gloucesterowi, mimo że czuła do niego odrazę. Fakt, że jednym z uczestników była moja siostra, bez wątpienia łatwiej wywoływał we mnie ten odruch odrzucenia, i tym samym owo narastające p o ż ą d a n i e w moim psynomie. Postanowiłam im przerwać.

Nie chciałam narażać się na ryzyko, że zostanę usidlona przez własną siostrę.

Wiele twarzy zwróciło się ku mnie, kiedy się odezwałam. Szkoleniowiec, muskularny, łysy facet z silnym niemieckim akcentem, okazał oburzenie, ale pozwolił mi na pilną rozmowę z Verą. Ruszyłyśmy do garderoby i nie spodobało mi się, że poszła za nami Elisa, jak gdyby tworzyła nieodłączną część Very albo jakby chciała ochronić ją przed moim złym 1 W. Shakespeare, *Ryszard III*, tłum. Roman Brandstaetter, Warszawa 1952, PIW, akt I, scena 2.

wpływem.

Garderoba była wąskim pokoikiem z czarnymi półkami, klasycznym lustrem z żarówkami i komodą. Wisiały w niej szlafroki, ale żadna z dziewczyn nie pomyślała nawet, by się ubrać. Elisa, być może chcąc mieć wymówkę, żeby zostać, zaczęła wkładać kabaretki.

Vera wyjęła szal z połyskliwego jedwabiu i owinęła się nim. Obie posyłały sobie porozumiewawcze uśmiechy, jak uczennice.

- Eli powiedziała mi, że widziała cię w teatrze z Miguelem. - Vera starała się wyglądać na zadowoloną. - Podobało ci się nasze „wykonanie”?

- Mogłybyśmy porozmawiać w cztery oczy? - poprosiłam bezczelnie.

- Och, to coś poufnego? - Vera bawiła się szalem, okrywając nim biust. - Coś między siostrami?

Wiedziałam, że usiłuje mnie sprowokować, ale nie dałam jej satysfakcji.

- Wszystko jedno - odezwała się Elisa z kocią przymilnością, głaszcząc powolnymi ruchami wysoką lampę stojącą przy ścianie - już wychodzę.

Położyła palec na ustach, ucałowała go i dotknęła warg Very. Przechodząc koło mnie, posłała mi szelmowski uśmiech. Odwzajemniłam go. Nie byłam na nią obrażona, prawdę mówiąc, na Verę także nie. Obie były bardzo młode i cieszyły się przywilejem bycia przynętą jak my wszyscy. Sama przesłam przez ten okres i dobrze to znałam: niesamowite uczucie, że można mieć nad kimś władzę, uzyskać od innych, co tylko zechcesz, wyłącznie dzięki własnym ruchom czy słowom. Marzenie, że w końcu jesteś panem własnego losu i losu wszystkich wokół, tak jak sądzi zły król Ryszard III w tragedii Szekspira.

Gdy zostałyśmy same, zachowanie Very się zmieniło. Była jawnie zniecierpliwiona.

Zamotała szal na szyi i odwróciła się do mnie tyłem, żeby wybrać jakiś szlafrok.

- Kończ szybko, siostrzyczko - odezwała się - muszę wracać na próbę.

Przez chwilę ją obserwowałam. Urzekła mnie jej niebywała młodość, bijąca od gładkiej, błyszczącej skóry. Vera nie była tak wysoka jak ja, ale doskonale zbudowana. Jej włosy, w przeciwieństwie do moich - jasnych i sięgających ramion - były bardzo długie i niemal czarne, a wilgoć niedawno branego prysznic nadawała im jeszcze ciemniejszy odcień.

Odwrócona tyłem wydawała się doroślejsza, drobne piersi i blask uśmiechu zdradzały niewinność, niemniej widać było, że jest sprawna i silna. Lubiłam na nią patrzeć. Kochałam ją bardzo. Była jedyną osobą, jaka mi została na świecie. Mieszkałyśmy razem, dopóki nie osiągnęła wieku, w którym ja stałam się przynętą - czyli piętnastu lat - ale postanowiłam nigdy jej nie zostawiać. I chronić ją.

- Wiesz już, czego chcę - stwierdziłam.

Zdjęła z wieszaka szlafrok, ale go nie założyła. Odwróciła się do mnie, a część włosów opadła jej na twarz.

- Więc już się dowiedziałaś. Byłam pewna, że Miguel, ten pocziwina, nie potrafi milczeć...

- Więc skoro już wiem, przyszedłam ci powiedzieć, że nie możesz.

- Przypominamy łaskawie, że Vera ma osiemnaście lat, a w przyszłym miesiącu skończy dziewiętnaście - odparła, akcentując liczebniki. - Pozwól mi żyć własnym życiem.

- Tego właśnie chcę: żebyś żyła. Dlatego nie weźmiesz udziału w polowaniu na Widza. Tylko to chciałam ci zakomunikować. Zobaczymy się później.

Kiedy się odwracałam, wycodziła słowa, które wbiły mnie w ziemię:

- Idź w cholere, siostrzyczko!

- Idę pogadać z Padillą, a to mniej więcej to samo.

- Nie masz prawa gadać mi, co powinnam robić, a czego nie!

- Przeciwnie, jestem właśnie tą osobą, która ma absolutne prawo ci to powiedzieć. W dodatku wiem, o czym mówię.

- Ja też wiem, o czym mówię!

- Nie masz zielonego pojęcia. Polowanie na Widza to polowanie na grubego zwierza, Vero.

- Co z tego?

- To, że po prostu nie jesteś na to przygotowana!

- Padilla sądzi, że jak najbardziej jestem! - Jej pozorna kontrola nad sobą zaczynała się kruszyć. Tego

właśnie chciałam: urazić ją, wprawić we wściekłość, wykazać, jak bardzo jest dziecinna.

- Nie krzycz, proszę. Padillę interesuje jedynie uzasadnienie jego pensji na koniec miesiąca i obniżenie wydatków. Obcięto budżet na doświadczone przynęty i posługują się studentami. Cały on. Ale ty nie będziesz grała w tej drużynie.

- A jak mi tego zabronisz, Diano? - Zrobiła minę, która mnie zabolęła, bo przypominała mamę, kiedy ta się złościła. - Prześpisz się z nim po to, żeby mnie odstawił na bok? Urządzisz mu Orgię, jak kiedyś Gensowi na folwarku?

Zlekceważyłam ten atak. Wiedziałam, że Vera zazdrości mi kontaktu z Gensem.

- Padilla zrobi to, co mu powiem.

Ta prosta odpowiedź dała jej do myślenia. Jej twarz kojarzyła mi się teraz z zamrożonym stawem, na który nagle nadepnęłam. Żal mi się zrobiło, gdy zauważyłam, jak łagodni ton i szuka innych argumentów.

- Posłuchaj, przygotowywałam się i wiem, że mogę to zrobić... Elisa mnie widziała i też tak uważa. A ją wybrano na tę noc. Trenowałyśmy razem.

Pomyślałam, że powiedzieć jej, iż Elisa Monasterio też się nie nadaje do polowania na Widza, byłoby jak wysłanie jej do wąwozu z zawiązanymi oczami, ale postanowiłam zaoferować rozejm. Moją siostrę wiele kosztowało poprosić mnie o cokolwiek: była petycjofilem i nie bardzo wychodziło jej proszenie. Zawsze wyobrażała sobie, że, o ile będzie miała szczęście, zwiąże się z mężczyzną (albo z kobietą, w końcu wiedziałam, że ona i Elisa są więcej niż przyjaciółkami), w którego będzie wpatrzona jak we mnie, zobowiązując go, by zachowywał się jak baranek.

- Proszę cię tylko o jedną szansę, Diano. Zaufaj mi, proszę. Przez całe życie patrzyłaś na mnie jak na dziecko, które traktuje pracę jak rozrywkę... Nie robisz tego celowo, wiem...

Chcesz mnie chronić i dziękuję ci za to. Ale ja już nie jestem dzieckiem - dodała z całą powagą, na jaką ją było stać, i odsunęła od siebie szlafrok, który cały czas trzymała w ręku, może po to, żeby zaprezentować mi, jaką kobietą się we własnym mniemaniu stała. - A ta praca to całe moje życie. Tak jak dla ciebie... Dałabyś za nią wszystko, prawda? Zrobiłaś rzeczy... straszne... za mamę i tatę, prawda? Żeby uczcić ich pamięć... Jesteś najlepszą przynętą na świecie i nigdy tego nie rzucisz... Więc nie prosz mnie, żebym ja to rzuciła.

Na taką chwilę czekałam. Nie zmieniając wyrazu twarzy, odparłam:

- Rzucam to, Vero.

Patrzyła na mnie jak na zjawę.

- Co takiego?

- Przyszłam do teatru oznajmić swoją dymisję Padilli. Rozmawiałam już z Álvarezem.

- Mówisz... mówisz serio?

- Jak najbardziej.

Kiedy podjęłaś taką decyzję? - przybrała taki ton, jakby chodziło o coś potwornego.

- Od miesiący o tym myślałam. Ale ostatecznie w ubiegły weekend.

- Nic... nic nie wiedziałam...

- Nie chciałam, żebyś wiedziała, póki nie załatwię tego oficjalnie. Teraz już wiesz.

Prócz Very i Padilli zamierzałam jeszcze poinformować dwie osoby. Jedną z nich była Claudia Cabildo.

I chciałam to też powiedzieć panu Peoples, ale przez telefon.

Nigdy nie poszłabym zobaczyć się z panem Peoples, nawet z tak istotnego powodu.

Już sama możliwość zobaczenia go przyprawiała mnie o drgawki i zimny pot spływał mi po plecach. Powiem mu przez telefon. Krótka rozmowa.

Vera kręciła głową, oszołomiona.

- Ale... dlaczego?

Wzruszyłam ramionami.

- Chcę prowadzić normalne życie z Miguelem. Sądzę, że chyba mam do tego prawo?

- I porzucisz Widza? - zabrzmiało to jak pytanie, czy porzucę człowieka, którego kocham. - Pozwolisz, żeby dalej robił to, co robi? Co... co u kurwy nędzy się z tobą dzieje?

- Daruj sobie ten język - upomniałam ją. - A odpowiadając na twoje pytanie: mam dość życia w ciągłej nienawiści. Teraz chcę wiedzieć, co się czuje, kiedy kogoś kochasz. Tak dla odmiany. I namawiam cię do tego samego, Vero. W życiu liczy się też coś innego i powinnaś tego spróbować. Pamiętasz? Marzyłaś o kręceniu filmów. Dlaczego nie spróbujesz?

Mogę ci pomóc, mam pieniądze...

- Nie chcę twoich o b r z y d l i w y c h pieniędzy - odparła, wkładając powoli szlafrok. W lustrze, za jej plecami, widziałam, jak jej ręce wyciągają na wierzch długie włosy.

- Vero - wyszeptałam - możemy żyć normalnie... obie.

Dało się słyszeć pukanie i drzwi się otworzyły. Znajdowałam się tak blisko nich, że prawie mnie uderzyły. Pojawiła się podłużna twarz Elisy Monasterio.

- Wybaczcie. Kiedy skończycie? Hermann mówi, że musimy iść dalej, Vero.

Obie powiedziałyśmy: „zaraz”, a ona spojrzała na nas podejrzliwie i, według mnie, nieco bezczelnie. Wiedziałam, że Vera nie pójdzie nawet do łazienki, nie poinformowawszy przedtem o tym „Eli”, i ta intymność mnie oburzała. Jednak gdy drzwi się zamknęły, moja siostra wydawała się spokojniejsza.

- Zróbmy tak - zaproponowała - pozwól mi nadal uczestniczyć w sprawie Widza. Jak go złapią, przysięgam, że pomyślę poważnie o rzuceniu tego wszystkiego.

Staralam się spokojnie zebrać myśli.

- Vero, Widz to najbardziej niebezpieczny okaz, jakiego kiedykolwiek tropiliśmy.

Nawet profilowcy jeszcze go do końca nie rozumieją...

- Nic mi się nie stanie, wiesz przecież. Nigdy się nie nabierze na osobę niedoświadczoną. Sama to mówisz: Padilla używa nas, żeby się usprawiedliwić. Wpadnie przy jednej z was... - przerwała - przy jednej z twoich koleżanek, jeżeli to rzucisz... Ja chcę tylko mieć w tym swój udział. Przecież wiesz, że go nie złapię! - Wydawała się zawiedziona, jak gdyby skarżyła się, że przystojny aktor nie zwraca na nią uwagi w tłumie adoratorek.

Myliła się jednak. Widz był jak wilk w stadzie jagniąt. Mógł wybrać którekolwiek.

Musiał tylko wskazać palcem, by pożreć kolejne.

- Proszę cię tylko o to - nalegała. - Cztery lata pracuję, by zostać przynętą.

- Nigdy nie chciałam, żebyś to robiła. Ale ty musiałaś zawsze iść w moje ślady.

- Tak czy inaczej j e s t e m, i to się liczy. Pozwól mi spróbować, Diano, proszę cię...

„Narkotyk”. Tym według Gensa, stawała się nasza koszmarna praca. „Kiedy odkrywasz, że pasja i perwersja są jak trucizna wobec kogoś, kogo nienawidzisz, już nie możesz się z tego wycofać”. Vera miała tę truciznę w oczach. Wiedziałam, że nigdy nie zrezygnuje.

W milczeniu patrzyłam na nią przez chwilę: osiemnaście lat skryte w drobnym, czystym ciele, pełne żarliwej woli, tak samo spragnione sprawiedliwości jak ja w tym wieku.

Czy moje słowa mogłyby ją powstrzymać?

- Zgoda. Ale jak go już złapią, pomyślisz na serio o wycofaniu się - przystałam.

- Oczywiście! - Jej twarz się rozjaśniła. - Przysięgam!

Niespodziewanie rzuciła mi się na szyję. Poczułam bijącą od niej młodość i słyszałam jej dźwięczny głos powtarzający: „dzięki, dzięki”. Jej ramiona obejmowały mnie, niemal dusiły. To była cała Vera: pełna emocji, pełna pasji.

- Wiesz co? - Odsunęła się, by spojrzeć na mnie rozjaśnionymi oczyma. - Czasem myślę, że nie robię tego dla mamy i dla taty, tylko dla samej siebie... Dla własnego dobrego samopoczucia.

Wiedziałam, że ma rację. W rzeczywistości nigdy się nie poświęcałyśmy. Robiłyśmy, co chciałyśmy, to, co zawsze chciałyśmy robić. Wybierano nas, bo sprawiało nam przyjemność niszczenie tych, którzy nas niszczyli, i angażowałyśmy się całkowicie w nasze zadanie. Byłyśmy niczym bomby pełne zemsty i nie obchodziło nas, że wybuchniemy w pobliżu tych najokrutniejszych.

Odsunęłam włosy z twarzy. Uśmiechnęłam się.

- Świetnie. Pogadam z Padillą o swojej dymisji, a o tobie nawet nie wspomnę.

- A jak on wspomni? - zapytała niepewnie.

- Powiem mu, że możesz robić, co chcesz. Jesteś już duża, prawda? A teraz musisz wracać na próbę. Pogadamy później.

Jej rozemocjonowany uśmiech towarzyszył mi niczym ochroniarz, gdy opuszczałam garderobę. Na pierwszych trzech scenach nadal próbowano fragment z *Ryszarda III*: mężczyźni z mężczyznami, mężczyźni z kobietami, dzieci oddzielnie. Na ostatniej scenie Elisa Monasterio oczekiwała przybycia mojej siostry i widząc mnie, posłała mi pełne złości spojrzenie. Zlekceważyłam ją: nie przepadałyśmy za sobą, ale niewiele mnie to obchodziło.

Odczekałam, aż Vera dołączy, i podeszłam do Olgi Campos, koordynatorki szkolenia, która przyglądała się ćwiczeniom, popijając jakiś napój.

- Olga, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale chciałabym zobaczyć się z Padillą. Ty zawsze wiesz, gdzie go znaleźć. Możesz do niego zadzwonić?

Olga także była kiedyś przynętą, i to dosyć dobrą, aż do chwili, gdy w drodze awansu

- dzięki, jak głosiła plotka, związkowi z Padillą - znalazła się na tym stanowisku. Miała na sobie szlafrok w kolorze głębokiej czerni, tak ciemnej jak jej kręcone włosy, i w mrocznej atmosferze piwnicy wydawało się, że jej twarz dryfuje wsparta na papierowym kubku.

Uniosła czarne brwi, prawie na mnie nie patrząc znad brzegu kubka.

- Czy to takie ważne, Diano? Mam powyżej uszu...

- Bardzo ważne. Chcę go prosić, by wyrzucił moją siostrę z departamentu ze skutkiem natychmiastowym. Bez odszkodowania. Chcę tylko, żeby ją usunął.

Wreszcie raczyła zwrócić na mnie uwagę. Odsunęła szklankę od ust i przyjrzała mi się z uwagą. Olga, nieco nieokrzęsana, o zębach równie prostych jak jej słowa, uważała się za królową balu w tym świątku debiutantów.

- Za kogo ty się właściwie masz? - zaśmiała się. - Sądzisz, że Padilla w ogóle zwróci na ciebie

uwagę, sieroto?

- Jeżeli nie - ciągnęłam niezrażona - albo nie zrobi tego dostatecznie szybko, to możliwe, że będę zmuszona rozmawiać z mediami. Zapewniam cię, że sprawi im przyjemność rozmowa ze mną. Opowiem im o teatrach, piwnicach, jak ta, w których małe dzieci szkolą się na chwałę rządu, o tych dziewczynach i chłopcach, trenujących, by kusić szaleńców, o operacjach wszystkich razem i o każdej z osobna, w których uczestniczyłam.

Może nawet zaniosę im zdjęcia. Uznają to za fascynujące.

Nie sądziłam, by ktoś mnie słuchał. Na scenach trwał spektakl gestów i fraz. Olga zaś demonstrowała w całości swoje końskie uzębienie. Wiedziałam, że mi nie wierzy: po prostu donosicielstwo nie mieściło się w logice naszej profesji. Miałam jednak nadzieję, że moja groźba pobudzi ją do działania. Wyciągnęła ku mnie palec wskazujący.

- Kiepski żart, sieroto. Zadbam o to, żeby Padilla skopał ci tyłek. Wylecisz z pracy.

- Sama się o to postarałam - odparłam. - Ogranicz się łaskawie do telefonu.

Odeszłam na bok. Vera i Elisa zrobiły sobie kolejną przerwę i słuchały instrukcji szkoleniowca, ale Elisa wykorzystwała chwilę, by spojrzeć na mnie wyzywająco, jak gdyby podejrzewała, co zamierzam zrobić.

6

Elisa Monasterio nie znosiła Diany.

Zastanawiała się nad tym, idąc cichymi ulicami, skulona, szukając własnego ciepła, nie z powodu intensywnego zimna i skąpego ubrania, lecz z powodu maski, którą na ten wieczór przybrała.

„Przemądrzała baba. Głupia, przemądrzała baba, która żyje z zasiłku.

Teraz, jak już przeszła na emeryturę, nie chce, żeby siostra jej dorównała”.

W głębi ducha wiedziała, że to opinia mocno niesprawiedliwa. Mogła bez przeszkód uwierzyć, że Diana chciała jedynie chronić Verę. Ona sama także by ją chroniła, gdyby było trzeba. Nie ulegało wątpliwości, że Vera jest debiutantką, że dziwi ją ekstrawagancje zawodu i niektóre próby przerażają bardziej, niż powinny, ale czy to wystarczający powód, by zamknąć jej przed nosem drzwi do kariery?

Przyznawała przed samą sobą, że jest zazdrosna o to, iż Vera darzy Dianę takim uwielbieniem. W opinii Very nie było na ziemi nikogo ważniejszego niż jej siostra i rzeczywiście nawet jej nie wymieniła, gdy trzy dni temu, przy wyjściu z Los Guardeses, po próbach i po spotkaniu z Padillą, rzuciła się Elisie w ramiona, żeby z płaczem zakomunikować jej nowinę:

- Mówi, że powinnam poprawić styl...

- Twój styl?

- Będzie mnie trzymał w odwodzie... ale może nie będę mogła dalej być przynętą...

Elisa, wściekła i pełna niedowierzania, ucałowała Verę delikatnie we włosy i przytuliła ją.

- Więc twoja siostrzyczka w końcu pokazała, na co ją stać - wycedziła. Był to błąd i Vera niemal się obraziła.

- Nie, to nie tak. Diana nie ma z tym nic wspólnego. Padilla podjął decyzję dzisiaj.

- Cóż za zbieg okoliczności. Właśnie w tym dniu, gdy Diana przyszła do teatru rozmówić się z Miguelem.

- Eliso - Vera spojrzała na nią (Elisa zapamiętała to) jednocześnie błagalnie i z agresją

- moja siostra zmieniła zdanie, mówiłam ci już. Zapewniała mnie, że nic nie powie.

„A skoro Diana ją zapewniała, to jest to święta prawda”, pomyślała zirytowana Elisa, mając w pamięci biedną Verę skuloną jak tobołek na łóżku w niewielkim służbowym mieszkaniu, jakie zajmowały razem w Leganés, płaczącą i niedającą się pocieszyć. Cała jej przyszłość została zmięta i wyrzucona do kubła w ciągu niecałej minuty. I dlaczego? Padilla był skurwysynem, zgorzkniałym z powodu posiadania kalekiej córki. Elisa miała tego świadomość, ale wiedziała także, iż jako dyrektor departamentu nigdy nie zmieniłby zdania w sprawie Very, gdyby jej Wielka Siostra nie wmieszała się w sprawę. Była pewna, że to wszechmocna i wpływowa Diana Blanco, jedna z najlepszych przynęt hiszpańskiej policji, stała za decyzją, którą podjął Padilla.

Mogła wybaczyć Dianie, która wzięła na siebie pełną odpowiedzialność za Verę, ale nigdy by jej nie wybaczyła, gdyby wyrządziła Verze najmniejszą krzywdę. „Bez względu na twoje siostrzane uczucia i bez względu na twoją nieposzlakowaną opinię nie masz do tego prawa”. Uwielbiała Verę i czuła się, w pewnym stopniu, odpowiedzialna za nią. A jeśli Diana chciała odgrywać wobec Very rolę mamusi, której ta nie zdążyła mieć, Elisa godziła się na rolę prawdziwej starszej siostry. Siostry, w której relacjach z Verą istniała swoista intymność, jakiej Diana nigdy nie zdołałaby doświadczyć.

Przystanąła na chwilę, potknąwszy się na nierówności chodnika. Miała na nogach absurdalne ciemne buty na koturnie, które w Los Guardeses określano po prostu mianem

„koturny”, nieco już ubłocone. Drobną deszcz padający nieprzerwanie przez całą noc wzmógł

się i czuła, jak osiada jej na włosach splecionych w sztywny, wypracowany warkocz. Było jej zimno w pupę, co zupełnie jej nie dziwiło, ponieważ miała na sobie lateksowe amarantowe, rozcięte po bokach spodnie, praktycznie odsłaniające pośladki. Spodnie były jak najbardziej sexy, spływały po nogach niczym strużka potu, ale po trzech kolejnych nocach ich używania przyzwyczała się. Całe jej ubranie stanowiło kostium starannie obliczony na przyciągnięcie uwagi holokaustofila. Tak czy inaczej, mimo że czuła się dziwnie i przeszkadzało jej zimno oraz obcisłe ubranie, odpowiadały jej takie wyjścia. Ponadto była na prochach. Nie dlatego, że ich potrzebowała, zwłaszcza po trzech nocach wykonywania tego samego zadania, ale nigdy nie zaszkodzi taka kapsułka z zawartością, która sprawia, że czujesz upragniony lekki zawrót głowy i nie zasypiasz: jakiś prizaprim, dialdren, coś w

tym rodzaju. Narkotyki zmuszał ją czasami do zwolnienia kroku i rozstawienia nóg, by nie upaść, ale jednocześnie przynosił relaks i dzięki temu nerwy nie niszczyły maski.

W istocie bowiem nerwy ją zżerały.

Trudno, żeby było inaczej przy świadomości, że Widz może być gdzieś blisko.

Zastanawiała się, czy „profesjonalistki” w rodzaju Diany Blanco uciekały się do prochów. Pewnie tak, do diabła.

Niektóre maski wymagały wręcz lekkiego odurzenia, tak by koń biegł sam, bez jeźdźca, jakim jest świadomość. Ona sama brała nie z powodu braku doświadczenia: wszystkie przynęty ćpały, i nie tylko dlatego, by dodać sobie odwagi. Miały pracę wyjątkowo dziwną, ale i wyjątkowo pasjonującą.

Znów zaczęła myśleć o Verze, zbolełej po idiotycznej decyzji kierownictwa. Obiecała porozmawiać z Padillą nazajutrz. Nawet jeżeli niczego nie osiągnie, przynajmniej spróbuje wy badać, czy wpływ na jego decyzję miała Diana. Bo jeśli tak... „Uff, zapomnij. Co przez to osiągniesz? Diana Blanco już się nie liczy, złożyła dymisję, a co do Very, to czy myślisz, że odzyska pracę, bo udowodnisz mu, że Diana miała wpływ na jego decyzję? Jest wysoce prawdopodobne, że Padilla wyrzuci też ciebie”. Takie myśli podsuwał jej zły anioł. Odsunęła je od siebie. Zbyt kochała Verę, by nie próbować się o nią upomnieć.

Czuła pod makijażem swoje szorstkie wargi i skórę wilgotną od deszczu. Ścisnęła oburącz paski długiej torby, wewnątrz której nie miała nic ważnego. Był to zwykły teatralny rekwizyt, którego jedynym celem było właśnie zwrócenie uwagi na owe długie paski: zakładano, że nagie ramię widoczne pod elektryzującym niebieskim topem i przecinający je pasek przyciągną uwagę holokaustofila. Teoretycznie.

Minęła pojemniki na śmieci równie brudne jak cała ulica. Sama też się tak czuła: brudna, zapiaszczona, jak gdyby deszcz niósł ze sobą cząsteczki kurzu. Zresztą może i tak było, skoro szła ulicą, przy której wznosiło się potężne niedokończone dzieło, planowane jako gigantyczne madryckie audytorium w stylu rzymskim, jeden z najambitniejszych miejskich projektów. Ludzie nazwali je „cyrkiem”, co według Elisy pasowało idealnie do budowli: oddawało w pełni cały cyrk wokół spekulacji nieruchomości, przy udziale rozlicznych przedsiębiorstw prywatnych i ratusza. Wielu porównywało inwestycję do prac podjętych piętnaście lat wcześniej, po wybuchu bomby w dniu 9-N: coś równie kolosalnego, budowanego bez końca. A mimo wszystko obiekt nie przypominał ani teatru, ani w ogóle żadnej budowli: był to jedynie szeroki ciąg wydm, gigantyczna dziura otoczona łukami na obrzeżach, w środku wypełniona niezmordowaną, skomplikowaną maszyną unieruchomioną w nocy. W epoce powstawania „cyrku” na obszarze, na którym go budowano, na południu stolicy, wałęsała się znakomita większość nocnej fauny. Dilerzy, przedstawiciele przestępczości zorganizowanej i półzorganizowanej oraz prostytutki pojawiali się i znikali w oazach światła emitowanych przez halogenowe latarnie i podświetlone reklamy na ogrodzeniu. Samochody przecinały od czasu do czasu brudne aleje, jak upiory, i jedynie autobusy zdawały się żywymi istotami: zatrzymywały się, wydalają z siebie młoda, kolorową zawartość i jechały dalej jak pudełka po butach pełne żarówek. Pod kamiennymi łukami można było dostrzec zimną ogniska rozpalane przez włóczęgów. To wyludnione miejsce przyciągało jedynie amatorów łatwej zdobyczy w postaci

jedzenia, narkotyków, płatnej miłości. Zupełnie się nie nadawało dla samotnie spacerującej dziewczyny, lecz było jednocześnie obszarem polowań wybranym przez profilowców. „Dostał ci się cyrk, Eliso -

oznajmił jej profilowiec Nacho Puentes w poniedziałek wieczorem, gdy ubierała się w garderobie. - Ale nie przejmuj się, szanse są niewielkie”. Co oznaczało, że prędzej umrzesz od rażenia pioruna w pogodną noc, niż natkniesz się na Widza.

Elisa wiedziała to wszystko i zgadzała się. Była debiutantką, a w Los Guardeses plotkowano, że używa się dziewczyn takich jak ona tylko dla zachowania pozorów. „No dobrze, i co z tego. Tak zaczynały wszystkie. Nawet bóstwa, jak Diana Blanco, Claudia Cabildo, Miguel Laredo i Olga Campos, prawda?” Gdyby musiała pieprzyć się przez trzy noce w tygodniu, pełniąc rolę figurantki, robiłaby to. Otrzymałaby wielkie role, gdyby tylko nadszedł jej czas. Najgorsze było to, co się stało z Verą, dla której nie było już przyszłości.

„Biedna Vera... ale teraz przestań o niej myśleć...”

Klap, klap - stukot jej butów na koturnach przypominał wystrzały w ciszy i spokoju cementarza w budowie. Nie było słyhać nic innego, z wyjątkiem odległego odgłosu wody płynącej w wodociągach. Była prawie druga w nocy i od niemal godziny Elisa nie widziała, żeby przejeżdżał jakiś samochód. Za jakieś trzydzieści minut miała zejść ze sceny, wyjąć schowany w torebce prochowiec i wsiąść do autobusu, by wrócić do Moncloa, gdzie w podziemnym garażu trzymała własne ubranie. Miała się tam przebrać i wyjść na ulicę ponownie jako Elisa Monasterio, po czym wrócić do służbowego lokalu, gdzie czekałaby na nią Vera, może jeszcze nie śpiąc, zdenerwowana i zazdrosna o jej szczęście. I tak do następnego razu. Streszczenie tego odcinka? Cholerne zimno, dwa lub trzy spotkania z pijakami i włóczęgami, niewiele więcej. Uznała jednak, że było to niezłe doświadczenie.

Jakiś cień zbliżał się w jej kierunku z przeciwnego krańca prostego odcinka chodnika.

Przyjrząwszy się lepiej, Elisa zdała sobie sprawę, że jest ich dwóch. Wyglądali na facetów, zapewne młodych i zapewne tak samo zdecydowanych, by jej nie zaczepiać, jak deszcz, by oszczędzać jej odkrytą blond głowę. Przycisnęła mocniej do siebie torebkę i ruszyła bez wahania w ich kierunku. Nie bała się. Była przynętą na scenie, przebraną, przygotowaną fizycznie i psychicznie do roli. Przynętą być może świeżą, ale potrafiącą bronić się i atakować.

„A jeśli któryś z nich to Widz? Dobra: to ty go z a ł a t w i s z”.

Uśmiechnęła się lekko, zastanawiając się, co powiedziałyby matka, ujrząwszy ją w amarantowych spodniach obnażających pośladki, idącą samotnie po Cyrku w kierunku dwóch nieznajomych. „Pewnie wpadłaby w histerię”, pomyślała.

Najbardziej nienawidziła w matce nie tyle jej ataków histerii, co facetów, których miała prawie tylu, ile ataków. Tak przynajmniej sądziła Elisa, która mieszkała z nią pod jednym dachem przez trzynaście lat, póki nie osiągnęła wieku, gdy zaczęła odpowiadać na niezrównoważenie matki własnym rozchwianiem. Pochłaniała jedzenie i natychmiast zwracała je niestrawione, niczym

starożytni Rzymianie na orgiach. W owych czasach była grubiutką, próżną dziewczynką bez przyszłości i nieraz myślała o zejściu z drogi cnoty.

Jedyne, co ją powstrzymywało, to świadomość, że matkę i tak mało obchodziło, co ona robi, a ona c h c i a ł a, by ją obchodziło. Jednakże zdaniem Elisy trudno było doprowadzić do tego, by coś obeszło tę panią, której czas wypełniało udawanie, że prowadzi dwa luksusowe butikie odzieżowe w Madrycie, zapewne jeden z kasków, które wyrwała ojcu, gdy ten postanowił odejść. Ojciec stanowił wielki rodzinny sekret: Elisa wiedziała, że był politykiem, posłem czy kimś w tym rodzaju, ale matka nigdy o nim nie wspominała, a jeżeli już, to po to, by wyrzekać na niego w trakcie ataków histerii, gdy tłukła lustro, porcelanę albo jedno i drugie. Jednakże normalnie akceptowała fakt, że została sama, będąc w ciąży z Elisą, nie licząc na powrót ojca dziecka, może dlatego, że wówczas dysponowała dostateczną ilością pieniędzy i nieograniczonym powodzeniem u mężczyzn. Ostatnim facetem jakiego Elisa poznała, był czarny masażysta: to pod jego nogi Elisa zwymiotowała pewnego dnia obiad i matka zdecydowała się w końcu zaprowadzić ją do psychologa.

Wszystko odbyło się jak zwykle w takich przypadkach (zorientowała się później): zdiagnozowano u niej tak zwaną „bulimię na tle nerwowym” i przeprowadzono test składający się z pół setki głupich pytań w rodzaju: „Jaki kolor lubisz najbardziej” czy „Jaka jest twoja ulubiona piosenka”. Jak się wydaje, Elisa odpowiedziała na nie zgodnie z oczekiwaniami, bo poproszono ją, by zgłosiła się do kolejnego gabinetu, nieco dziwniejszego niż pierwszy, w którym postawiono jej kolejne pytania, indagując także o rodzinę i przyjaciół

(ale jaką niby rodzinę i jakich niby przyjaciół?). Tam nauczono ją, jak się relaksować, jak samemu zwalczać bulimię, a przede wszystkim jak napawać się maksymalnie - czego Elisa nie umiała i nawet sobie nie wyobrażała, że można aż tak, przy jej trzynastu latach pełnego wyrzeczeń życia - obrazami ludzi, który poruszają się i rozmawiają, ubrani lub nadszy.

Następnie kazano jej uczestniczyć w dziwacznych ćwiczeniach, jak na przykład to, w którym miała stać, nie poruszając się od pasa w górę, nie przekraczając pola wyznaczonego przez trójnóg. Z czasem zorientowała się, że były to ćwiczenia typowe dla ciałofilów i że na taką właśnie filię sama cierpi. Nie chodziło bynajmniej o to, czy woli jeść ciało zwierzaka, czy rybę, jak jej to dowcipnie wyjaśnił jeden z psychologów:

- Nazwy filii to po prostu nazwy, jak nazwy kwiatów. Być ciałofilem oznacza jedynie, że twój psynom ma specyficzną strukturę i jest uzależniony od pewnych gestów, zachowań i słów innych osób, które na przykład nie mają znaczenia dla mnie, jako że jestem maskofilem.

Elisa odpowiedziała żartem, że dziękuje za wyjaśnienia, lecz nadal nic nie rozumie.

Co to jest psynom? Jednakże w owym świecie na odwrót „nic nie rozumieć” oznaczało dokładnie, według tego samego psychologa, najwyższą mądrość. Jeżeli nic nie rozumie, jest w stanie bardziej się cieszyć, uwalniać swój psynom i korzystać z tego, co rzeczywiście sprawia jej przyjemność, nie musząc niczego wyjaśniać. „Jakbyś grała w teatrze - powiedział

psycholog - nie jesteś autorem sztuki, tylko kimś, kto mówi słowami tej sztuki”. I rzeczywiście, jedyne, co obchodziło Elisę, to dalsze powtarzanie ćwiczeń, zabawa w ruch, przebieranie się i

recytowanie wyuczonego tekstu. Nauka w szkole, życie w domu z matką, a nawet marzenie, by zostać dziennikarką, zeszyły na drugi plan. Pragnęła jedynie gry.

Później, gdy ci niesłuchanie poważni panowie w granatowych garniturach spotkali się na prywatnej rozmowie z jej matką, Elisę poproszono o spakowanie walizek i pożegnanie się z tą smutną i nieszczęśliwą dziewczynką, jaką swego czasu była. Przez kilka lat mieszkała w czymś w rodzaju akademika w górach pod Madrytem, a potem przyznano jej służbowe mieszkanie w Leganés, wraz z Verą. Poznała teatry, czytała Szekspira, zakochała się w koledze, a potem w Verze. Matkę widywała przelotnie i po raz pierwszy rozmowy z nią kończyły się spokojnie. Miała przyjaciół, czuła się szczęśliwa i spełniona.

A kiedy usłyszała, że ma zostać przynętą, nie miało to dla niej znaczenia.

Pragnęła nią zostać, jeszcze zanim dowiedziała się, jak się nazywa.

*

Dwaj mężczyźni przecięli jej drogę, ustawiając się w poprzek, nie na wprost niej, aby uniemożliwić jej przejście na drugą stronę chodnika bądź odwrót. Czuła na twarzy oddechy obu: cuchnęły kwaśnym piwem.

- Zobacz no, co tu mamy.

- No. Sama? Zabłądziłaś?

- Zabłądziła? Gdzie tam! Zobacz z tyłu - rechot.

- Ale dupa!

- Ale spodenki - zarechotali - pasowałyby ci.

Mówili po hiszpańsku z pewną trudnością. Elisa przypuszczała, że to Rumuni albo Czesi. Blondyni, bardzo młodzi, i obaj wyglądali na dilerów, w dodatku pospolitych. Ten po jej lewej stronie, niższy, miał na sobie obcisłą kurtkę, która w świetle reklamy pobliskiej dyskoteki Tarquin wyglądała jak z wężowej skóry. Drugi ubrany był w długi skórzany płaszcz, miał włosy gęstsze i bardziej zmierzwione niż kompan, a twarz bardziej wydłużoną, jak u wilka. Bez wątpienia ciuchy obu kupione zostały u Chińczyków albo wymienione za prochy. „Wąż i Wilk, dwaj kretyni”, pomyślała Elisa. Dwaj podrzędni pośrednicy, którzy liczyli na to, że sprzedadzą towar w klubach, a jak noc okaże się dobra, obrobiją jakiegoś gościa lub zgwałcą panienkę, a może obie rzeczy naraz. Niewykluczone, że mają broń, ale Elisa wątpiła, żeby jej użyli.

Wymienili parę zdań w obcym języku, po czym odezwał się Wilk:

- Jesteś kurwą? Wyglądasz na małodatę.

- Zostawcie mnie - wymamrotała Elisa pozornie obojętnym tonem, powoli opuszczając głowę, jak ją uczono, i przymykając powieki.

- „Proszę” - dodał Wilk, celując w nią palcem w rękawiczce. - Brak wychowania.

„Zostaw mnie, proszę”.

- Zostaw mnie, proszę - powtórzyła posłusznie Elisa.

- Chcemy ją zostawić? - zapytał Wilk.

Przez chwilę nie było odpowiedzi.

- Nie, n i e c h c e m y - odezwał się w końcu Wąż innym tonem. - N i e z a m i e r z a m y j e j zostawić.

Nawet jego kumpel wydawał się zaskoczony i popatrzył na niego z wahaniem. Coś, co dla Wilka było nadal żartem, dla Węża stawało się sprawą poważną.

Ta reakcja zaintrygowała Elisę. Z pewnością nie miała do czynienia z dwoma holokaustofilami: żaden z nich nie wpatrywał się uważnie w paski torebki na jej ramieniu. A sądząc po tonie głosu Węża, gdy powiedział: „zobacz z tyłu”, uznała, że to on decyduje. Ale co mu się mogło stać? Skąd ta nagła zmiana?

Postanowiła spróbować przelotnego gestu: odgarnęła włosy ze skroni. Zauważyła, że Wąż nadal wpatruje się w środek jej ciała, a jej gest nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

Zastanawiała się, czy ma do czynienia z ciałofilem, jak ona sama, w rodzaju tych, którzy epatują się fantazjami związanymi z torsem i nogami. Bez rąk, bez słów, niczym Lawinia z młodzieńczej sztuki Szekspira *Tytus Andronikus*, której obcinają ręce i język, by nie mogła zdradzić swoich oprawców. Zmarły geniusz Víctor Gens (Elisa wielokrotnie czytała jego książki) uważał, że Lawinia jest uosobieniem maski Ciała, jak cała sztuka. Pamiętała jego słowa: „Ciało jest nieświadome, nie działa, nie mówi. Technika polega na braku gestykulacji czy przekazu słownego, chodzi tylko o pokazanie ciała jako przedmiotu użytkowego”. Było to oczywiste, pewien węgierski psycholog wypróbował tę metodę z przynętami będącymi pod wpływem narkotyków. Ale tanto to teoria, a teraz Elisa miała do czynienia z ćwiczeniem praktycznym. Serce biło jej bardzo mocno, czuła niemal, że za chwilę wyskoczy jak korek spod topu z połyskliwego lateksu.

Po pierwszej chwili zaskoczenia Wilk zorientował się w nowej taktyce kumpla. Stał

za Elisą, ujął w ręce jej warkocz i zaczął nim kołysać. „Czemu nie - zdawał się mówić - ta chwila jest tak samo dobra jak każda inna”.

- Ile chcesz od nas dwóch? - zapytał, bawiąc się wciąż warkoczem.

- Proszę, teraz nie mogę.

- Nie może teraz. Cóż. A kiedy? Jutro?

- Zrobi to gratis - wysyczał Wąż. - Gratis. Z oboma. Teraz.

- Właśnie. I spodoba jej się.

- Pewnie, że jej się spodoba.

Wąż jeszcze jej nie dotknął (kolejny dowód, że był bardziej podatny na wszelki dotyk), choć podszedł tak blisko, że jego kurtka ocierała się o lewe ramię Elisy. Słyszała, jak dyszy. Postanowiła dać im ostatnią szansę.

- Zostawcie mnie - powtórzyła i dodała, patrząc na Węża - jestem niebezpieczna.

- Ty, słyszałeś? - zawył Wilk za nią, chwytając ją za pośladki - jest „niebezpieczna”...

„O Wilka mniejsza - myślała Elisa - skoncentruj się na dowódcy”. Nie chciała im zrobić krzywdy, w końcu wiedziała już, że żaden z nich nie jest Widzem. Ponieważ jednak zaczynała się denerwować, postanowiła przejąć inicjatywę. W ułamku sekundy podsumowała swoje świadome spostrzeżenia. Wykorzystała swój lekki zawrót głowy wywołany prochami i skupiła się na pantomimie, którą wykonała kilka dni wcześniej, z koleżanką, w Los Guardeses. Jej pamięć odtwarzała kolejno zapachy, tonację i fakturę dekoracji, a także ciało koleżanki, aż terażniejszość rozwiła się niczym obłok pary. Elisa odwróciła twarz od Węża, pilnując się, by nic nie mówić i nie gestykulować. „Kaleka” - wedle wskazówek szkoleniowca.

Reakcja była natychmiastowa.

Wąż znieruchomiał, patrząc na Elisę, jak gdyby nie dowierzał temu, co widzi. Elisa zorientowała się: dostarczyła mu takiej przyjemności, że chłopak był praktycznie rozłożony.

- Wynoście się i zostawcie mnie w spokoju - poleciła Wężowi i umknęła tą stroną, gdzie stał.

Szła, nie spiesząc się, nie zwracając uwagi na protesty Wilka, gdy nagle posłyszała dyskusję we własnym języku. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Wąż oddala się szybkim krokiem, a Wilk podąża za nim, nieco zmieszany, spoglądając od czasu do czasu w jej kierunku, a może zastanawiając się, czemu kumpel pozwolił się wymknąć tak łatwemu łupowi. Elisa była pewna, że będzie się śniła Wężowi tej nocy i przez następne. Będzie się masturbował na samą myśl o niej. Może się rozchoruje z obsesji. Może podetnie sobie żyły.

Dobrze to rozegrała - uznała.

Przyspieszyła kroku, mijając kolorową reklamę klubu z dyskoteką Tarquin, i powstrzymała chęć, by się roześmiać. Kto mógłby zaprzeczyć, że wspaniale jest być przynętą? Gdyby tylko zechciała, mogłaby zrobić wszystko z tą parą kretynów, wszystko, na co tylko miałyby ochotę. Wszystko! Na samą myśl o tym czuła się mocna, niepokonana. Jak świetnie sobie poradziła i jak czysto! Polowanie było pokazowe, szybkie i skuteczne. Musi to opowiedzieć Verze, musi jej opisać, jak znakomicie opanowała sytuację. Jak bardzo spodobałoby się mamie panować w ten sposób nad facetami! Zaśmiała się na to nowe skojarzenie. Spojrzała na zegarek i gdy z zadowoleniem stwierdziła, że jej dyżur dobiegł już końca, skierowała się do wylotu ulicy, gdzie znajdował się przystanek autobusowy. Idąc chodnikiem, nie zwróciła nawet uwagi na samochód w kolorze zielonego jabłka zaparkowany

przy krawężniku. W jego przyciemnionych szybach odbiły się światła latarni, gdy w jednej chwili otworzyły się drzwi od strony kierowcy.

Wciąż z siebie zadowolona Elisa obejrzała się o kilka sekund za późno.

7

Mój ojciec miał na imię Eduardo. To była pierwsza rzecz, jaką usłyszałam tamtej nocy, trzynaście lat temu.

- Nazywasz się Eduardo.

Nie wiem, dlaczego się obudziłam, bo ten, który to mówił, nie krzyczał. Przeciwnie, jego głos brzmiał dziwnie miękko. Przetarłam oczy i popatrzyłam na zegarek stojący na szafce nocnej, śliczny, w kształcie ptaka, z okrągłą tarczą z zielonymi cyframi, wbudowaną w jedno z rozpostartych skrzydeł. Mam to niemal wypalone w pamięci: wskazywał 3:38.

Zaintrygowało mnie, że cyfry nie błyszczały, a powinny, skoro były fosforyzujące, a ja lubiłam patrzeć, jak połyskują w ciemnościach. Było jednak w mojej sypialni coś, co im błyszczeć nie pozwalało.

Było światło.

To znaczy, niezupełnie. Mój pokój pogrążony był w ciemnościach, ale drzwi były otwarte, a światło dochodziło ze schodów, bez wątpienia z salonu na dole. Przypuszczałam, że ktoś otworzył drzwi, może mama, a potem wyszedł, nie zamykając ich. Był to absurdalny pomysł, ponieważ mama nigdy nie była tak roztargniona, ale tak właśnie wtedy myślałam.

Miałam już ją zawołać, kiedy usłyszałam śmiechy i jakieś głosy, między innymi Oksany, naszej służącej, oraz ponownie t a m t e n g ł o s:

- Świetnie, Eduardo. A teraz spokój. Nie usłyszemy pana, jak nie będzie spokoju.

Głos męski i zarazem miękki. Spodobałby mi się, gdybym mogła uniknąć jednocześnie narastającego łaskotania w żołądku, jak po zażyciu lekarstwa, które skutkuje dopiero po kilku chwilach od połknięcia. Był to głos mężczyzny, ale natychmiast skojarzyłam go z Oksaną, która w podobny sposób mówiła po hiszpańsku. N i e u s ł y s z y m y p a n a, j a k n i e b ę d z i e s p o k o j u. Śmieszyło mnie to zdanie. Tak naprawdę sądziłam, że w salonie odbywa się coś w rodzaju przyjęcia i że jeden z kolegów taty naśladuje akcent Oksany. Ale dlaczego przyjęcie o takiej porze?

Zaczęłam sobie gorączkowo przypominać, co robiliśmy owego dnia: była sobota i wraz z całą rodziną poszliśmy do kina na piękny film, romans - gatunek, który tak lubiliśmy z mamą, a Vera upuściła torbę z popcornem na podłogę, pod fotel, i mama na nią nakrzyczała.

Z pewnością tata nie uprzedzał nas o żadnym przyjęciu wieczorem, poza tym było bardzo późno. Odrzuciłam tę myśl.

Podniosłam się cichutko i podeszłam do progu, i nagle uświadomiłam sobie, że wśród tych wesołych głosów rozlega się czyjś szloch.

Gdy wreszcie zorientowałam się, kto to płacze, poczułam się winna, że nie rozpoznałam tego głosu wcześniej. Przez lata wielokrotnie przychodził mi na myśl obraz mojej matki, jej twarz, ruchy warg, ale zawsze bez słów. Od tamtej nocy w mojej pamięci mama już nigdy do mnie nie przemawia: czasami cicho płacze, wśród niezrozumiałego bełkotu.

Wyszłam na korytarz, ale przystanąłam przy balustradzie, usłyszawszy drżący szept taty:

- ...nie widzisz? Jestem zupełnie spokojny... A teraz może byś pozwolił, żeby żona poszła na chwilę na górę do dziewczynek?

- Eduardo, niech pan słucha...

- Jestem spokojny... To potrwa chwilę. Maite, proszę, przestań płakać...

Moje drzwi znajdowały się na końcu korytarza. Z prawej strony pokój Very też był

otwarty, ale na szczęście Vera leżała w łóżku i mocno spała. Przez drzwi sypialni rodziców, otwarte na oścież, dostrzegłam na podłodze czerwoną kołdrę i prześcieradło. Pomyślałam sobie, że mama byłaby zła na widok tego bałaganu, ale natychmiast skojarzyłam, że musiała już go widzieć, skoro teraz płakała.

Podeszłam ostrożnie do schodów. Tak naprawdę nie byłam przestraszona, ale jakoś dziwnie wydawało mi się, że dobrze by było, gdyby osoby w salonie mnie nie spostrzegły.

Dlatego wybrałam schody, a nie korytarz, ponieważ wiedziałam, że z nich, sama nie będąc zauważona, zdołam objąć wzrokiem dużą część parteru. Zeszłam kilka stopni bosą, nie robiąc hałasu i wyciągając szyję, by widzieć jak najwięcej przez drewnianą balustradę, jak ktoś, kto próbuje ogarnąć przestrzeń, choć stoi w złym miejscu.

Najpierw zauważyłam tatę. Był przywiązany taśmą samoprzylepną do krzesła stojącego na wprost schodów. Taśma była srebrzysta i przecinała jego tors i brzuch, nagie pod rozpiętą piżamą, a niżej okręcała nogi i kostki. Był niemal nie do poznania z tą zaczerwienioną, spoconą twarzą i rozczochranymi włosami. Wytrzeszczał oczy i zorientowałam się, że to dlatego, iż nie miał szkieł kontaktowych, które zdejmował zawsze przed pójściem spać, ani też okularów. To absurdalne, ale właśnie ten szczegół najbardziej mnie oszołomił: brak dbałości u człowieka takiego jak tata, wysokiego rangą urzędnika w fabryce produkującej włókno szklane, zawsze tak schludnego i eleganckiego.

Oksana, ukraińska służąca zatrudniona u nas od dwóch miesięcy, stała tuż obok taty.

Była niska, jasnowłosa i bardzo młoda, chyba jeszcze przed dwudziestką. Nie miała na sobie swojego służbowego stroju, tylko kurtkę i dzinsy, jakie nosiła w wolne dni, i często wtrącała się do rozmowy, odzywając się albo po swojemu, albo w swoim dziwnym kastylijskim.

Zdumiał mnie jej sposób wysławiania: gestykulowała gwałtownie i podnosiła głos, co całkowicie kontrastowało z tą uległą Oksaną, jaką do tej pory znałam. Mamy nie mogłam dojrzeć, zapewne dlatego, że siedziała po przeciwnej stronie niż tata, pod schodami, ale dwie inne osoby obecne w salonie nie przestawały się poruszać i widziałam je dokładnie. Kobieta i mężczyzna. Kobieta stała odwrócona tyłem do schodów, dlatego zdołałam jedynie dostrzec jej obfite ciemnokasztanowe włosy i skórzaną kurtkę. Mężczyzna, właściciel owego g ł o s u, chodził od krzesła taty do sofy. Najbardziej rzucający się w oczy szczegół to ogolona prawie na łyso głowa z wyjątkiem oseedca pośrodku, od czoła do karku, czarnego i gęstego niczym końska grzywa.

- Eduardo - mówił Człowiek Koń, wymawiając to imię tak, że brzmiało jak „Edardo” -

dziewczynki dobrze. Spokój.

- Cholera, jestem spokojny - jęczał tata, ale oczywiście nie był. - Powtarzam ci, że jestem spokojny. Dałem wam już karty kredytowe i kody... Czego jeszcze, cholera, chcecie?

- *Cash* - odparł na to Człowiek Koń, pocierając kciuk i palec wskazujący. Wiedziałam, że to oznacza pieniądze.

- Pan rozumie?

- Nie mam w domu gotówki, już mówiłem! *No Cash!* Rozumiesz?

- Niech nie krzyczy - rzekł ostrzegawczo Człowiek Koń

- Oksa myśli inaczej. Oksa mówi, że widziała pieniądze, dużo banknotów w pana biuro. Gdzie one są.

- Czasami miewałem gotówkę w domu, ale zazwyczaj...

Wtedy Oksana coś zrobiła. Jednym susem znalazła się przed moim ojcem, tak szybko, że aż mnie to zaskoczyło, i zaczęła się na niego wydzierać. Oksa była ładna, wszyscy to mówiliśmy, mimo grubych rysów i okrągłej twarzy. Miała szczupłą sylwetkę i wyraz oczu zalęknionej sarny. W owej chwili jednak jej twarz była cała czerwona, a czoło przecinała nabrzmiała żyła.

- Pieniądze! - wrzasnęła i uderzyła ojca w twarz. - Pieniądze! Masz przecież! -

Uderzyła go ponownie swoją małą dłonią: były to ciosy o niesamowitej sile, albo też tak mnie się wydawało, a duża głowa mojego ojca okręcała się to w jedną, to w drugą stronę. - Gdzie!

W sypialni! W biurze! Gdzie!

Człowiek Koń odezwał się: „Oksa”, wtedy przestała, wciąż jeszcze dysząc. W tym samym czasie płacz mojej matki zmienił się w rozdzierające błagania. Druga kobieta, ta o kasztanowych włosach, odeszła poza zasięg mojego wzroku, usłyszałam kolejne uderzenie, a potem krzyk mamy. Tata też zaczął krzyczeć i Oksa podbiegła zaciągnąć zasłony.

Krótkotrwałe zamieszanie zdławiło mój własny płacz. Na widok Oksany bijącej mojego ojca dosłownie skamieniałam. Poczułam, że zaraz się zsiusiam, jakbym nagle cofnęła się w czasie i zmieniła na powrót w pięcioletnią dziewczynkę, jak Vera. Podniosłam dłonie do ust i starałam się zdusić szloch albo go uciszyć, ale dopiero gdy na powrót zapanowała cisza, zdołałam złapać oddech, tak że moje popłakiwanie, choć niepowstrzymane, nie było tak silne, by dało się słyszeć. Nawet o tym nie wiedząc, dokonałam wówczas pokazu sztuki samokontroli, co potem przy tyłu okazjach miało mi ratować życie.

- „Edardo” - zaczął znowu mówić Człowiek Koń, gdy wszyscy pozostali zamilkli, ale jego głos już nie wydawał mi się miękki: brzmiał jak głos pięknego zwierzęcia, które nagle wyszczerza kły. - Coś zrobimy. Nie chcemy robić, ale pan nie pomaga... Przeprowadzimy dziewczynki?

- Gdy wypowiadał te słowa, Oksana odwróciła się do ojca i zakleiła mu usta taśmą samoprzylepną. Policzki ojca wyduły się jak te balonowe rybki, które Vera i ja oglądałyśmy kiedyś w edukacyjnym filmie. - Chce tego? Przeprowadzić dziewczynki?

Tata kręcił głową, że nie, a jego krzesło trzeszczało niczym zabawka na sznurku.

Szloch mamy przeszedł w krzyk, cichnący, jakby jej także zaklejano usta taśmą.

- Woli żonę? Dziewczynki? Niech sam wybiera.

- Dziewczynki - zdecydowała Oksana, która od tyłu pochylała się nad ojcem i trzymała go ręką za głowę - Mówi, że dziewczynki. Woli dziewczynki.

Tata nic nie mówił, jęczał jedynie, a jego twarz przybrała kolor wiśni. Drżały mu policzki nad wypełniającym usta kneblem, co Oksanę chyba bawiło, i gdy jedną ręką trzymała go za włosy, drugą sięgnęła pod brzuch, tam, gdzie nigdy nie chciałam patrzeć, ale zawsze patrzyłam.

- Tak... woli dziewczynki. „Edardo” lubi małe dziewczynki - zaśmiała się.

- Nie chcemy - Człowiek Koń kierował palec wskazujący w stronę mojego ojca - nie chcemy. Ale nas zmuszasz. Oksa, idź po dziewczynki.

Na te słowa wyrwałam się z odrętwienia. Niemalże czułam, jakby ktoś wyjął mi z ręki hamulec: coś skrzypnęło i moje stawy odzyskały możliwość ruchu. Ale nie byłam w stanie się podnieść, za mocno drżały mi nogi, więc podciągnęłam się na szczyt schodów, kalecząc sobie kolana, i zaczęłam czołgać się w kierunku pokoju Very. Docierało wówczas do mnie jedynie to, że muszę chronić swoją siostrę. W moim mózgu panoszył się strach, a ja sama znajdowałam się w środku niego, skulona w ciemnościach. W głowie kołatała mi jedna myśl:

„Vera, Vera, Vera...”.

*

- I?

- To wszystko. Od tej chwili nic dalej nie pamiętam.

- No dobrze - odezwał się niepewnie doktor Valle, jak gdyby moja amnezja była dla niego ogromnym rozczarowaniem, po czym charakterystycznym dla siebie gestem poprawił

sobie okulary niemal pozbawione oprawek, o okrągłych szklach. Konsultacja była jak studnia, mroczna i spokojna. Siedziałam naprzeciwko niego przy biurku, z łokciami na udach, pochylona do przodu, jakbym miała wymiotować. - W każdym razie uczyniliśmy pewien postęp - dodał - niewielki, ale jednak, w porównaniu z poprzednią sesją. Jak to teraz zarzucimy, cała droga, jaką dotychczas przebyliśmy, na nic się nie zda...

Skinęłam głową i rozsunęłam nogi, biorąc głęboki oddech. Było mi trochę gorąco, ale nie zdejmowałam kurtki. Nie odzywałam się, czekałam w milczeniu, co Valle powie dalej.

- Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć, Eleno? Jak to tak zostawimy, wszystko, co udało nam się osiągnąć w trakcie poprzednich konsultacji, pójdzie na marne. To tak jak nadmuchać balon i nie zawiązać nitki na końcu - nie zdziwiły mnie te słowa, byłam przyzwyczajona do jego metafor - rozumiem, że musi ci być ciężko odtwarzać sobie tamte wydarzenia. Masz tu blokadę, to typowe w pewnego rodzaju traumach, ale wierz mi, że dokonaliśmy pewnego postępu. To wydarzenie z twego dzieciństwa może się wiązać z objawami, jakie masz. Jeżeli porzucisz terapię, w przyszłości będziesz musiała zacząć od zera...

Przełknęłam kulę śliny i odezwałam się ochrypłym tonem:

- Wiem. Ale nie mogę więcej przychodzić.

Valle przyglądał mi się z głową wspartą na rękach.

- Możemy to jakoś rozwiązać, jeżeli to kwestia pieniędzy - zaproponował. - Serio. Nie będziesz mi płaciła, póki...

- Nie, to nie o to chodzi. Naprawdę, dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać. Chodzi o to, że po prostu nie mogę tu więcej przychodzić.

- Rozumiem - przytaknął Valle, nie nalegając, i odetchnął głęboko.

Zakasłałam lekko, czując, że policzki mi płoną (wiedziałam, że powinny być zaczerwienione), i spojrzałam przeciągle na doktora Valle, czekając, aż pozwoli mi wyjść.

Nie chciałam być niegrzeczna, ale decyzja została podjęta. Nie miałam już po co przychodzić do niego na konsultacje i, podobnie jak w przypadku Alvareza i Padilli cztery dni wcześniej, chciałam spalić za sobą wszystkie mosty i rozpocząć nowe życie. Dlatego prosiłam o przełożenie wizyty na czwartek, żeby „Elena” mogła także zniknąć, im wcześniej, tym lepiej.

A teraz czekałam ze spojrzeniem wbitym gdzieś w przestrzeń wokół twarzy doktora Valle, choć od czasu do czasu przyglądałam jej się uważnie w świetle płynącym z ekranu komputera.

Arístides Valle był atrakcyjny, ale przede wszystkim elegancki i miły. Miał mniej więcej czterdzieści lat, był średniego wzrostu, korpulentny, ze szpakowatymi włosami przyciętymi na jeża. Z jego owalnej twarzy, młodzieńczej i mięsistej, emanowało słuszne poczucie niezmaconego spokoju, niczym ze stawu, którego wód nie zmaci żaden kamień na dłużej niż kilka sekund. Kiedy mówił, pochylał się do przodu, jakby chciał zachować dzielący nas dystans i jednocześnie znaleźć się w odległości kilku centymetrów od mojej twarzy.

Zawsze był doskonale ubrany, teraz także: ciemna koszula, dobrane kolorem spodnie, krawat w barwie fuksji. Świetnie wykształcony, o delikatnych manierach i pewnej swobodzie bycia, wydawał się posiadać nieskończoną cierpliwość pozwalającą znosić każde milczenie.

Przyszedł do niego na prywatne konsultacje przed czterema tygodniami, skarżąc się na bóle głowy i bezsenność, a teraz, po czterech sesjach rozmów, podczas których udało mi się opowiedzieć mu wszystko, co zdołałam zapamiętać z tamtego potwornego epizodu, który całkowicie zmienił moje życie (oczywiście, używając fałszywych imion i nie ujawniając zbyt wielu faktów), postanowiłam zrezygnować z dalszego ciągu. Patrząc na doktora Valle, stwierdziłam nagle, że nigdy nie pozna on już mojego prawdziwego ja.

O ile w ogóle miałam jakieś „prawdziwe ja”, jeżeli można to tak nazwać.

Nagle doktor Valle przerwał panujące milczenie i odezwał się tonem bardziej dobrodusznym, jakby wydarzyło się coś nowego.

- Mogę cię o coś zapytać, Eleno?

- Jasne.

- Powiedziałaś mi całą prawdę?

Zamrugałam powiekami.

- To znaczy?

Moje zaskoczenie w pewien sposób go zadowoliło. Rozparł się na krześle i zaczął poprawiać okulary. Odezwał się nieśmiało, choć w jego przypadku wydawało się to udawane.

- Wiesz co? Pracuję w tym zawodzie ponad dwadzieścia lat, piętnaście w Hiszpanii, przedtem pięć w Argentynie, jakiś czas w Stanach Zjednoczonych... Masz przed sobą moje dyplomy... - Wskazał na ścianę za plecami i uśmiechnął się. - Ale nic z tego, czego się w życiu nauczyłem, nic, posłuchaj mnie dobrze, nie pomogło mi bardziej w zawodzie niż dzieciństwo spędzone w biednej dzielnicy Bogoty. Zapewniam cię, że byłem psychologiem już dużo wcześniej, nim otrzymałem dyplom, ponieważ w moim kraju trzeba być od dziecka trochę psychologiem, żeby wiedzieć, na kogo można liczyć, kto jest z tobą szczerzy, a kto chce ci zrobić krzywdę. Widziałem wiele biedy i bólu... - Spojrzał na sufit z wahaniem i domyśliłam się, że ucieknie się do kolejnej metafory. - Jak ci azjatyccy poławiacze pereł, którzy mogą nurkować długi czas bez dostępu tlenu, bo trenują od małego... Mnie, Eleno, życie nauczyło wstrzymywać oddech i co nieco znam głębinę. Wszystko, co zrobiłem potem, służyło tylko

wyjaśnieniu, czego się właściwie nauczyłem. Temu właśnie służą studia i książki, niczemu innemu: wyjaśnieniu ci tego, czego się nauczyłeś na ulicy. Myślisz sobie pewnie: po co mi to wszystko opowiada? - Pytanie było retoryczne, więc nie odpowiadałam. -

To ci powiem: bo mogę wyczuć, kiedy ktoś kłamie, kiedy ktoś usiłuje mnie oszukać, kiedy ktoś coś przede mną ukrywa... A ty, z tobie tylko znanych powodów, kłamiesz od samego początku.

Nie bardzo wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Gryzłam własny kciuk, jakby to był

batonik, i wpatrywałam się w doktora Valle. On też mi się przez chwilę przyglądał, a potem, nagle, poruszył ręką przed ekranem monitora.

- „Elena Fuentes Marchena - przeczytał - dwadzieścia pięć lat, pochodząca z Madrytu, przyjęta przed czterema tygodniami z polecenia kolegi... - pomiął kilka faktów, jakby chciał

prędzej przejść do sedna. - Bezsenność, zawroty głowy, utrata apetytu, symptomy porównywalne z depresją niepoddającą się rutynowemu leczeniu... Antecedencje...” -

przerwał i spojrzał na mnie obojętnie - tu właśnie przestaję rozumieć, o co chodzi.

Odgarnęłam z czoła niesforne kosmyki, które wymykały się spod gumki okręcającej koński ogon. Czekając, co Valle dalej powie, zmarszczyłam brwi, czując się jak uczennica, której czyni wymówki dojrzały i atrakcyjny nauczyciel.

- To nie pasuje. Wyjaśnię ci. Wymienia się tutaj potworne wydarzenie w twojej rodzinie. Z drugiej strony, nie jest to coś, czego bym nie znał. To typowa technika „na służącą”. W Bogocie zaczęło się to plenić w domach ludzi bogatych. Dziewczyna przychodzi na służbę z fałszywymi papierami, przez kilka tygodni zbiera informacje o zwyczajach domowników i miejscach, gdzie przechowuje się pieniądze, a potem nagle, którejs nocy, wyłącza alarm i otwiera drzwi swoim koleżkom, którzy zabierają się do roboty. Generalnie kradną, co się da, i więcej. W tym jednak przypadku wszystko się skomplikowało, ponieważ mieliśmy do czynienia z psychopatami. Wyrządzili wam straszną krzywdę... Wszystko prawidłowo. Ale jest jeden element, który nie pasuje.

Znów poruszył ręką, żeby wyszukać inny plik, i tym razem odwrócił ekran w moim kierunku.

- Szukałem informacji w archiwach, ponieważ, jak ci mówiłem, sądziłem, że nie mówisz mi prawdy. I rzeczywiście znalazłem. Masz tu stronę z „El País”. Data zgadza się z twoją wersją. Ale, mimo że członków rodzin wymienia się tylko z pierwszej litery imienia, jak możesz sama zobaczyć... pierwsze litery waszych imion są inne, niż podajesz.

- Zmieniono inicjały, by chronić naszą tożsamość - powiedziałam.

Valle zrobił grymas, jakby przyznawał mi rację w czymś banalnym, a jednocześnie mi ją odbierał w najważniejszym aspekcie.

- Możliwe, myślałem o tym, ale... Wiesz co to jest Winf-Pat? To taka konstrukcja złożona z zaszyfrowanych w sieci raportów i plików, gdzie możesz znaleźć wszystko na temat wszystkich

pacjentów na świecie, jeżeli masz odpowiedni poziom dostępu. Dostęp pełny można uzyskać jedynie wskutek orzeczenia sądowego, ale można mieć dostęp częściowy, na przykład w przypadku lekarzy i psychologów sądowych. Po przyjeździe do Hiszpanii pracowałem jakiś czas, zajmując się przestępcami, nawet jeszcze teraz prowadzę kilka przypadków, tak więc zachowałem kod dostępu. Zaintrygowany tymi inicjałami szukałem dalej i otrzymałem dane z gazet: chodzi o siostry Dianę Blanco i Verę Blanco, a nie Elenę i Cristinę.

Umilkł, a ja nie spuszczałam z niego wzroku. Nie mam pewności, jak długo panowała cisza. Przypomniałam sobie, jak kiedyś na próbach do *Romea i Julii* dla Gensa, na folwarku, Claudia Cabildo i ja grałyśmy parę kochanków i przez cały czas musiałyśmy na siebie patrzeć, nie dotykając się, wypowiadając tekst na błyskawicznym oddechu, podniecone do granic narkotykami. Przez chwilę myślałam, że doktor Valle i ja patrzymy na siebie w identyczny sposób, oddzieleni od siebie nieuchronnym balkonem biurka.

- Z początku sądziłem, że po prostu mnie oszukałaś - odezwał się doktor Valle, zorientowawszy się, że nie zamierzam się tłumaczyć. - Niektóre symulatory mogą nawet fałszować oficjalne dokumenty... Ale najdziwniejsze jest to, że w Winf-Pat naprawdę istnieją Elena i Cristina Fuentes, z i d e n t y c z n y m wydarzeniem w życiorysie, lecz przy braku innych dowodów na istnienie, jakby celowo wprowadzone w sieć. - Wzruszył ramionami. -

Inne adresy, inne rodziny, podobne życiorysy... Bardzo to dziwne. Tym bardziej jeśli wziąć pod uwagę, że aby sfalszować pliki w Winf-Pat, trzeba czegoś więcej niż zwykłych umiejętności albo chęci oszustwa...

Znów umilkł, dając mi kolejną możliwość przyznania się. Mnie jednak intrygowała natrętna myśl. „Psycholog”, myślałam. I zastanawiałam się, aczkolwiek nie po raz pierwszy, do jakiego stopnia może on poznać istnienie psynomu i co by powiedział, gdyby któregoś dnia mu się to udało.

Co by powiedział kochany „psycholog”, gdyby zdołał zorientować się na przykład w tajnym eksperymencie dotyczącym ogniofilii, pod kryptonimem „Sekstans”, w którym wykazuje się, że przyjemność, jaką odczuwamy, można przekazać innej ludzkiej istocie, zaledwie dotykając jej, jakbyśmy sami płonęli i spalali ją naszym płomieniem, bez względu na płeć czy wiek. Co by powiedział, gdyby znał prawdę o ludzkim pożądaniu i miłości. A może ją zna? Mimo wszystko wątpliwe, wydawał się optymistą.

- Kim ty jesteś, Eleno? - Valle zniżył głos, jak ktoś, kto mówi do usypiającego dziecka. - A może powinienem powiedzieć: „Diano”? Skąd się wzięłaś? Nie wyglądasz tak po prostu na oszustkę. Dlaczego nie powiesz mi prawdy, a potem, jeżeli zechcesz, nie odejdziesz i już nie wrócisz? Jest tak, jakbyś nosiła maskę... Czemu jej nie zdejmiesz?

Ta nowa „metafora” zbiła mnie z tropu. Poczułam, jakby prąd przebiegł mi przez plecy, jakby wpijał mi się w ciało drut kolczasty, i przez chwilę siedziałam znieruchomiała, niezdolna się ruszyć ani skoncentrować na czymkolwiek, aż w końcu zdołałam się podnieść.

- Muszę iść. Przykro mi.

Valle nie odpowiedział, ale zawołał mnie, gdy już stałam w drzwiach, żeby zwrócić mi uwagę, że zostawiłam plecak. Gdy go zabierałam, czułam na sobie skupiony wzrok i usłyszałam głos doktora, z tym akcentem, który brzmiał, jakby pozytywka uruchamiała się przy każdej jego wypowiedzi.

- Co takiego powiedziałem, że tak się źle poczułaś? Czemu płaczesz?

Otarłam łzy i nie oglądając się, zawróciłam do drzwi.

- Do widzenia, doktorze. Dziękuję.

Na ulicy, w strumieniu świeżego, szarego powietrza jesiennego popołudnia, zdołałam się wreszcie uspokoić. Idąc szybkim krokiem do samochodu, pomyślałam sobie, że co jak co, ale na pewno nigdy już nie wrócę na konsultacje do doktora Arístidesa Valle. I chociaż może błędem było przyjęcie i powiedzenie mu o tym, przynajmniej miałam to już za sobą. Moja praca dobiegła końca, a tym samym poprzedni etap życia.

Teraz wyruszałam, niczym Romeo, ku pustyni życia normalnego.

8

W sypialni mam stare krzesło z rogoży, pamiątkę z rodzinnego domu. Brat taty, stryj Javier, u którego mieszkaliśmy z Verą przez kilka lat po tragedii, zabrał wszystko, co miałyśmy, i przechował w gigantycznym magazynie, w nadziei, że kiedyś zechcemy się tym podzielić. Ale nie było jak: Vera nigdy nie odwiedziła tego miejsca, a ja, choć także nie miałam ochoty, byłam jednak praktyczniejsza od siostry i na koniec zdecydowałam się wziąć sobie coś, co wypełniłoby puste przestrzenie w moim służbowym lokalu w Yuste.

Był to poważny błąd, jak później stwierdziłam. Łzy skutecznie mi uniemożliwiały obejrzenie tego, co znajdowało się w magazynie. Nie chodzi o to, że te przedmioty ożywiały wspomnienia, przeciwnie: wydawało mi się, że w ogóle nie należą one do mnie. Stanowiły własność dziewczynki, Diany Blanco, która wiodła życie równoległe ze mną. Odwróciłam się i już miałam stamtąd wyjść, kiedy przez łzy dostrzegłam to krzesło. Stanowiło część kompletu w takim samym stylu, który kiedyś stał w naszym ogrodzie, przy basenie, i drewniana krzyżownica łącząca nogi była w jednym miejscu pęknięta, co tata byle jak naprawił za pomocą taśmy samoprzylepnej. Nie wiem, czemu wzięłam akurat to krzesło, bo ani trochę nie pasowało do minimalistycznego umeblowania mojego skromnego mieszkania.

Potem sobie pomyślałam, że było to typowe dla mamy uniesienie, w rodzaju tych, które odziedziczyła po niej Vera, a które dla mnie nie były charakterystyczne, coś jak wściekłe pragnienie, by stawić czoło własnemu bólowi: „Zabrałaś mi rodziców, zabrałaś mi przeszłość, a teraz chcesz mi jeszcze zabrać w s z y s t k i e moje rzeczy?”. Wzięłam pod pachę krzesło i wyszłam stamtąd. Nie wróciłam już do magazynu i po śmierci stryja wystawiłam wszystko na sprzedaż za pośrednictwem agencji. Krzesło jednak pozostało ze mną, w sypialni, przy łóżku, choć używałam go tylko, żeby kłaść na nim ubranie. Nigdy na nim nie siadałam, nie tylko dlatego, że było stare i bałam się, że się złamie, lecz dlatego, że skrzypiało w specyficzny, nieprzyjemny dla ucha sposób, jakby ktoś chodził po suchych liściach, co zdarzało się tylko wówczas, gdy ktoś na nim usiadł.

I ten właśnie dźwięk posłyszałam, wyłączywszy rano telewizor: charakterystyczne s k r z y p i e n i e krzesła z rogoży w sypialni, do której od przyjscia do domu nawet nie weszłam.

*

Wróciłam właśnie z konsultacji u doktora Valle i czułam się nie tyle niedobrze, co pusta w środku, jak wtedy, gdy starasz się coś zrobić jak najlepiej i nagle to coś brutalnie się kończy, a ty nie wiesz, na co przeznaczyć rozpierającą cię energię. Był czwartek rano i minęły zaledwie trzy dni, od kiedy oznajmiłam swoją dymisję. Niemal wszyscy, którzy powinni byli o niej wiedzieć, już wiedzieli: Álvarez, Padilla, Miguel i Vera. Ustaliłam także szczegóły z doktorem Valle. Zostało mi jedynie odwiedzić Claudię Cabillo i zatelefonować do pana Peoples, choć to postanowiłam zostawić na sam koniec, nie byłam nawet jeszcze pewna, czy to zrobię. Znajdowałam się w okresie przejściowym: jeszcze nie odczuwałam efektów nowego życia, ale już zaczynałam odczuwać brak poprzedniego: taki odstęp czasu między tym, czego chcesz, a tym, co ostatecznie robisz, niczym jakiś „duch”, wedle określenia Brutusa z dzieła Szekspira, medytującego, jak tu zabić Cezara. Na szczęście miałam o czym myśleć: moje życie z Miguelem, możliwość znalezienia nowej pracy i ta druga - zarysowująca się gdzieś w oddali, ale wyraźnie - posiadania dzieci, i oczywiście moja siostra.

Wiedziałam, czego Vera dotychczas nie załatwiła, bez względu na to, jak się starałam nalegać na Padillę w Los Guardeses i zmuszać go, by się bez niej obył, sprawiając, by jej to przedstawił, jak gdyby był to jego własny pomysł. Oczywiście Vera przyjęła to fatalnie.

„Wyszła z biura z płaczem”, oznajmił mi Miguel, obecny podczas tego żalosego spotkania.

Nie chodzi o to, że nie odczuwałam żadnych wyrzutów sumienia z powodu tej gry: czasami należało poświęcić jedną rzecz dla zdobycia drugiej, to także określenie Brutusa, a życie mojej siostry było dla mnie o wiele ważniejsze niż to, że ją zdradzam. Ufałam, że moja najzwyczajniejsza dymisja wpłynie na nią tak, że przestanie być przynętą, ale robiła wszystko, by nią być, bardziej niż kiedykolwiek. Chociaż nie wątpiłam w słuszność własnego postępowania, trudno mi było myśleć o konsekwencjach. Czułam się tak, jakbym wymierzyła własnej siostrze cios w plecy.

Mało tego: od naszej rozmowy w Los Guardeses nie miałam okazji się z nią spotkać, a gdy do niej dzwoniłam, zawsze włączała się poczta głosowa. Tak długie milczenie niepokoiło mnie. Czyżby coś podejrzewała? Miguel zapewniał, że moje imię nie padło podczas spotkania Very z Padillą, ale do tego ostatniego nie miałam ani krzty zaufania. Możliwe również, że Vera nie chciała z nikim rozmawiać, co skądinąd brzmiało logicznie. Potrzebowała nieco czasu, by się oswoić. „Podobnie jak ja”, pomyślałam. I wchodząc do domu w ów czwartek, po wizycie u doktora Valle, postanowiłam, że jeżeli nadal nie będzie dawała znaku życia, postaram się złapać Elisę Monasterio, żeby u niej zasięgnąć informacji o Verze.

Mieszkanie przy ulicy Yuste było lokalem służbowym. Oficjalnie mieszkała w nim Elena Fuentes Marchena, dwudziestopięcioletnia telefonistka, której pozostał semestr do ukończenia studiów z zarządzania. Ale ja nie musiałam prowadzić podwójnego życia czy też zachowywać się jak filmowy szpieg, miałam miło uśmiechać się do sąsiadów, ale traktować ich z chłodną uprzejmością, żeby mój uśmiech ich nie zmylił. Elena istniała tylko po to, by moje prawdziwe nazwisko nie pojawiała się w niezliczonych książkach telefonicznych i spisach zalegających w sieci, poza, jak wspomniał doktor

Valle, czymś takim jak Winf-Pat.

Wystrój lokum pasował do mojej skromnej egzystencji: było mniejsze niż większość znanych mi dotychczas mieszkań, choć miało drzwi oddzielające salonik od kuchni i sypialnię z łazienką. Najlepszy był w nim system alarmowy. Dlatego upewniwszy się, że wszystkie kody alarmowe są na miejscu, weszłam spokojnie, ponownie włączyłam alarm i wyciągnęłam się na sofie w salonie, nie wchodząc nawet do sypialni. Wyprostowałam nogi, machnęłam ręką w powietrzu, wypowiadając nazwę odpowiedniego kanału, i zaczęłam oglądać wiadomości, mając wciąż w głowie kłopot z Verą.

Wiadomości były typowe dla świata, w jakim żyliśmy, tych „luperkaliów naszych miast”, według określenia Gensa, które zaczerpnął z *Juliusza Cezara*. Nowy zamach terrorystyczny w Egipcie. Nasilenie wojny w Gruzji. Mafijne porachunki. Nowa organizacja handlująca kobietami we Włoszech. A w Madrycie kolejne wyczyny domniemanego Truciciela i Widza. Zdaje się, że MSW postanowiło, że ten pierwszy zastąpi teraz zainteresowanie ludzi tym drugim, i dziennik poświęcił mu całe pięć minut więcej. Zmarła kolejna osoba, z identycznymi objawami jak w poprzednich przypadkach: paraliż i konwulsje.

Tym razem był to dwudziestotrzyletni człowiek, narkoman, znaleziony martwy w domu.

Autopsja wykazała, że zażył tę samą, nieznaną jeszcze substancję co poprzednie ofiary, niepozostawiającą żadnych organicznych śladów. Policja była coraz bardziej przekonana, że za wszystkimi tymi przypadkami ktoś stoi, ktoś, kogo media ochrzciły już mianem

„Truciciela”, chociaż nawet nie dowiedziono istnienia trucizny. Wiadomość tę podawano, jakby to był film sensacyjny, pokazano nawet ofiarę - chłopaka o włosach w kolorze brudnego złota, jasnych oczach i twarzy bez życia.

W porównaniu z tym reportażem informacje o drugim przypadku, z udziałem potwora, były skąpe. Widz zaczynał wyraźnie nudzić media. Raczej na pewno od odkrycia w śmietniku na tyłach domu starców ciała pewnej Dominikanki cztery tygodnie wcześniej nie było kolejnego przypadku z jego udziałem, i ten okres spokoju wyraźnie osłabiał zainteresowanie wokół niego, ale ja należałam do tych nielicznych osób, które widziały zdjęcia zwłok Aídy Domínguez, dwudziestodwulatki z Republiki Dominikańskiej, wyplutej przez Widza na śmietnik niczym ogryziona kość, po siedmiu dniach przetrzymywania, i na tę nową

„wiadomość” zareagowałam wręcz alergicznie.

Śniłam o Aídzie, wczuwałam się w nią, napawała mnie grozą ta kobieta żyjąca z kupczenia ciałem w Madrycie, póki Widz nie zawładnął nim, by je zniszczyć, by je najgłębiej poranić, by się nim nasycić po samą duszę. Widziałam siebie patrzącą oczami Aídy, czułam jej ból, krzyczałam jej ustami. Aída Domínguez, lat dwadzieścia dwa, stanęła w długim szpalerze duchów, które swoim udreczeniem oskarżały całe okrucieństwo i gwałt tego świata.

„Według źródeł bliskich MSW policja jest na ewidentnym tropie sprawy morderstwa prostytutek” - mówił spiker. „E w i d e n t n y trop”, pomyślałam. Brawa dla Álvareza, z każdym przypadkiem wykazywał więcej wyobraźni. „Ewidentny trop”, gdy w rzeczywistości nie mieliśmy zielonego

pojęcia. „Ale już rzuciłaś tę pracę, kretynko. *Kaput. The end.* To już ciebie nie dotyczy”. Wściekłym gestem wyłączyłam telewizor, czując, że zaraz się rozpłaczę.

I usłyszałam ów dźwięk.

Krzesło z rogoży. W sypialni.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że ktoś tam jest. Ktoś, kto przebywał już w domu, kiedy weszłam, i kto siedział cicho, gdy waliłam się na sofę w salonie niczym worek kartofli. W moim mózgu nieomal pojawił się, jak w kinie, obraz tego, co uczynił domniemany intruz: usiadł na krześle, ufając, że dźwięk telewizora stłumi hałas, nie podejrzewając, że tak nagle go zgaszę.

Elena Fuentes Marchena, telefonistka pracująca w różnych godzinach, zerwałaby się z krzesła, zeszywniała ze strachu, że ktoś obcy jest w domu. Ale ja w moim prawdziwym życiu, o ile takie w ogóle istniało, byłam przygotowana na tego rodzaju sytuacje. Nie potrzebowałam wcale broni, byłam przecież przynętą. Sama stanowiłam własną broń. Ryzyko polegało tu wyłącznie na zaskoczeniu, ale niewiele mogło mi zagrażać, o ile byłam przygotowana.

Podniosłam się więc i na palcach podeszłam do drzwi sąsiedniego pokoju. Były wpółotwarte, a sypialnia zdawała się pogrążona w mroku. To ostatnie potwierdziło moje przekonanie, że ktoś tam jest. Nigdy nie zapominałam rano podnieść żaluzji. Lubiłam światło.

Przez chwilę wpatrywałam się w otwarte drzwi. Wspomnienie innej ciemności stało się niemal bolesne, jak gdyby ślinianki reagowały na coś kwaśnego: tamtej ciemności, w którą weszłam jak burza w wieku dwunastu lat i którą zdmuchnęłam, gasząc w ten sposób świece dzieciństwa. Do tamtej innej ciemności nie byłam przygotowana i, najwyraźniej, sądząc po moim zachowaniu u doktora Valle, ten stan trwał nadal.

S p o k ó j.

Nie

usłyszy pana,

jak

nie

będzie

spokoju.

Przygotowałam sobie w myślach obronną maskę i delikatnie pchnęłam drzwi. Jakiś cień stał przy krześle z rogoży. Na chwilę przed zapaleniem światła ustnym poleceniem wróciły wszystkie moje koszmary. Choć trudno w to uwierzyć, kiedy wreszcie objawiła mi się prawda, nie czułam się o wiele lepiej niż przedtem.

- Ty kurwo! - usłyszałam.

Osoba znajdująca się w pokoju trzymała coś w ręku. Zanim zorientowałam się, co to jest, dostrzegłam, że leci to ku mojej głowie.

Ten przedmiot nie trafił wprawdzie we mnie, ale wbił się w futrynę przy akompaniamencie rozbitego szkła. Jakaś drobna część mojej świadomości rozpoznała oprawiony holoportret rodziców, który trzymałam na nocnym stoliku, reszta ograniczyła się do zidentyfikowania sylwetki mojej siostry, która właśnie rzuciła się na mnie.

Przez te lata, kiedy mieszkaliśmy razem u stryja Javiera, zanim przypadkowy test psychologiczny wykazał, że powinnam być przynętą, Vera i ja często się kłóciłyśmy.

Początek był zawsze taki sam: mówiłam coś, co ją wprawiało w złość, i zamiast dyskusji uciekała się do siły fizycznej. Żaden z jej ciosów nigdy nie zrobił mi krzywdy, między innymi dlatego, że zawsze miałam więcej siły niż ona.

Czasami myślałam, że drażni się ze mną, żebym się zachowywała jak ojciec. Jak gdyby mi mówiła: „Dość już bycia siostrzyczką, która rządzi, teraz potrzebny mi ktoś, kto mi pokaże moje miejsce”. Było to ładne wytłumaczenie dla trywialnych sprzeczek, ale bynajmniej niewystarczające dla tej wściekłości, która teraz opanowała Verę.

Najbardziej zaskoczyło mnie to, że pod furją kryły się kontrola i wyrafinowanie.

Chwyła mnie za klapy kurtki i pociągnęła na środek pokoju, popychając ku ścianie. Nie dając chwili wytchnienia, przewróciła mnie na łóżko, przysiadła na moim brzuchu i zacisnęła mi na gardle dwa palce. Niezbyt mocno wprawdzie, ale widząc jej zaczerwienione i wściekłe oczy, poczułam, że samym jej spojrzeniem zostałam już uduszona wielokrotnie.

- Ty cholerna kurwo! - syczała ochryple. - Zabiję cię!

Nie broniłam się, otworzyłam tylko usta, chwytając powietrze. Wtedy puściła mnie, ale zaczęła mnie wściekle bić otwartymi dłońmi. Użyłam ramion, żeby się zasłonić, i w pewnej chwili odezwałam się bez złości, pojednawczym tonem:

- Proszę, dalej, zasłużyłam na to.

Zastygła z pięściami w powietrzu, parszając jak koń. Posłużyłam się szybką techniką Miłości, w której tekst mówi dokładnie co innego niż to, na czym ci zależy, niczym zręczne szekspirowskie przemówienie Marka Antoniusza nad ciałem Cezara. Nie była to filia Very, ale wiedziałam, że pewne gesty maski Miłości mogą powstrzymać lub wzmóc atak niektórych psynomów na kilka sekund. Nienawidziłam posługiwania się tą maską wobec własnej siostry, ale posłużyła mi, by odeprzeć jej wściekły atak.

- A teraz możemy pogadać? - Oparłam ręce na głowie i chwyciłam pukle swoich gładkich włosów, żeby przedłużyć jej przyjemność. - Pogadajmy, proszę.

Vera opuściła ramiona, ale nadal mnie przyciskała i teraz runęła na mnie niczym lawina.

- Co mi, kurwo, zrobiłaś? Jak mogłaś? Jak ty mogłaś...

Pozwoliłam jej się wypłakać z głową na moim ramieniu. Zabolało mnie to bardziej niż jej ciosy. Objęłam ją nieśmiało, uprzedzając kolejny wybuch.

- Nie chcę cię stracić, Vero - powiedziałam - nie ciebie.

- Już mnie straciłaś - odparła na to chłodno. Podniosła się, odgarniając włosy i odsłaniając twarz z podkrążonymi oczami, zmęczonymi płaczem i bezsennością. Wygladziła żółtą sięgającą ud bluzkę, pod którą miała czarne ażurowe body wystające spod rękawów i kończące się w okolicy kolan, gdzie zaczynały się rzemienie rzymskich sandałów. Nie przestawała przy tym mówić, wściekła, zimna jak lód.

- Twoja sprawa, siostrzyczko... Możesz sobie rzucać pracę, pieprzyć się z Miguelem Laredo, mieć z nim dzieci i prowadzić je do kina... Możesz sobie zapominać tatę i mamę...

ale ja tego nie zrobię, nawet dla stu zwalniających mnie Padillów... Odkryłam, że mogę być przynętą, nawet jak mnie zwolnią. Świetny zawód. Nie zamierzam go porzucać, o nie. Nie t e r a z! I ty też mi tego nie zabronisz - dodała znowu bliska płaczu. - Wiesz co? Od śmierci profesora Gensa masz mniej znajomości w departamencie niż kij od szczotki... Nikt nie zwróci na ciebie uwagi, bo dla nikogo już nic nie znaczysz. Już cię tam nie ma, jesteś *out*...

Padilla przyjmie mnie z powrotem. Ileż to dla niego roboty? Jak będę polowała, tym lepiej dla niego. Jak nie, obojętne mu, czy spróbuję. Jasne?

- Kto ci to powiedział? Padilla?

- Powiedział mi dzisiaj, że w poniedziałek nalegałaś, żeby mnie zwolnił! - rozplakała się.

Podniosłam się i usiadłam na łóżku. Bolało mnie całe ciało, włosy wymknęły się z gumki i czułam, jakbym miała rozciętą wargę, choć nie miałam. Vera płakała, patrząc na rozbity holoportret u swoich stóp. Ja rozmyślałam o różnych możliwych formach zemsty na Padilli za jego zdradziecki brak dyskrecji, ale nagle zorientowałam się, że jest jeszcze coś.

Wyczułam to w drżeniu rąk Very przy wygładzaniu ubrania, w sposobie, w jaki wymawiała zdanie: „Nie t e r a z”, w jej brutalnych ciosach... To było coś więcej niż odkrycie mojej intrygi. Wykorzystałam chwilowe milczenie, by ją o to zapytać.

- Co się właściwie stało?

Nie patrząc na mnie, odpowiedziała drżącym głosem:

- O n m a E l i s ę... Zniknęła wczoraj wieczorem, na dyżurze, w rejonie polowań, w Cyrku... Analizy dowodzą, że to był o n. - Czułam, jak zimny pot oblewa mnie od stóp do głów, ale słuchając mojej siostry, starałam się ukryć własne przerażenie, by nie powiększać jej strachu.

- Mogło jej się przecież przytrafić coś innego - skłamałam, pragnąc, by wyczuła, iż kłamię, żeby ją uspokoić, jako że dzięki temu może zdołałaby uwierzyć w moje następne (poważniejsze) kłamstwo. - W dodatku Elisa jest dobrą przynętą. Widz jak dotąd nie wpadł w pułapkę zastawianą przez którąś z nas, tak więc nawet nie przypuszcza, że ma przynętę...

Jeżeli to on ją ma, jeśli to o n, to Elisa go wyeliminuje, z całą pewnością...

Najgorsze było dla mnie to, że widziałam, iż Vera u d a j e, ż e m i w i e r z y, jak te powolne striptizerki z maski Miłości, w której ofiara zostaje pochwycona, przekonana właśnie, że staramy się ją oszukać.

- Tak, oczywiście. Eli załatwi tego skurwiela... ale nie zostawię jej samej.

- Nie zawsze porywał drugą dziewczynę, mając już jedną - zauważyłam.

- Jeżeli raz to zrobił, zawsze może powtórzyć.

- Rozumiem - odparłam z wahaniem. Ale rozumiałam jedynie to, że tym razem nie zdołam jej powstrzymać, i to sprawiało, że czułam się niepewnie i nie do końca wierzyłam we własne słowa, co z kolei wywołało gwałtowną reakcję. - Mimo wszystko nie powinnaś była wchodzić do domu bez uprzedzenia. Wiem, że dałam ci kody, ale to lokal służbowy...

Popełniłaś poważny błąd.

Wymówki to jednak marny sposób na uspokojenie. Vera, która schyliła się, żeby pozbierać rozbite szkło, ponownie się obraziła.

- Ten lokal nie należy już do ciebie. Rzuciłaś przecież pracę! Szybko się stąd wyniesiesz. Poza tym chciałam, żebyś wiedziała, że nie udało ci się mnie oszukać. Dzisiaj rano powiedziałam Padilli, że póki Elisa nie wróci cała i zdrowa, będę co noc wychodziła na polowanie, czy się mu podoba, czy nie. Usłyszałam: „Powiedz to swojej siostrze, bo to ona nie chce, żebyś pracowała”. Więc jestem, po to właśnie przyszłam - pociągnęła nosem i otarła twarz rękawem. - Możesz być pewna, że będę wychodziła co noc, póki ten skurwysyn mnie nie wybierze albo dopóki Elisa nie wróci, przysięgam... - zakończyła łamiącym się głosem.

- Zbiłaś portret rodziców - przerwałam, sama nie wiem czemu, tak samo głupio oburzona jak ona.

- To ty ich podeптаłaś - odparła. - Ich i pamięć o nich.

Oskarżenie mnie dotknęło. Odezwałam się z nieoczekiwanym spokojem:

- Nie, nie zdeptałam. Naszych rodziców zamordowano na naszych oczach, Vero, gdy ty miałaś pięć lat, a ja dwanaście. Wyrządzono nam tyle zła, że nawet tego nie pamiętamy.

Spędziłyśmy długie miesiące w szpitalu i ten etap owszem, pamiętam. Ty miałaś pęknięte bębunki i nie słyszałaś mnie. Lekarze wyjaśniali mi, że to na skutek uderzeń. Przesypiałaś większą część dnia, ale ja starałam się siedzieć przy tobie, żebyś mnie widziała, gdy się obudzisz, a gdy się budziłaś, mówiłam do ciebie, chociaż wiedziałam, że mnie nie usłyszysz.

Wiesz, co ci mówiłam? Mówiłam, że wtedy nie umiałam ci pomóc, ale że przysięgam na pamięć naszych rodziców, że nigdy, nigdy więcej nie pozwolę, żeby ktokolwiek zrobił ci krzywdę. Przysięgałam ci, że zabiję każdego, kto cię dotknie. Nie, nie zabiję: że żywcem obedrę go ze skóry. I starałam się spełnić tę obietnicę - zamilkłam. - Wiem, że w poniedziałek zrobiłam ci na złość, ale zrobię tak zawsze, gdy tylko uznam, że jesteś w niebezpieczeństwie.

Zrobię w s z y s t k o, gdy tak uznam, Vero. Wszystko. Nie tylko ze względu na ciebie, także ze względu na tatę i mamę.

Vera zebrała już wszystkie szczątki portretu i ostrożnie położyła je na stoliku. Potem odwróciła się i wzięła swój wełniany żakiet, który powiesiła na krześle z rogoży. Nie odezwała się, dopóki go nie włożyła i nie uporządkowała ruchem głowy swoich długich, pięknych, ciemnokasztanowych włosów. Spojrzała na mnie, a ja z żalem dostrzegłam, ile samotności kryje się w jej oczach.

- Rób, co uważasz - odezwała się obojętnie. - Ale ja będę polowała na tego typa co noc. Co noc.

Skierowała się ku drzwiom, po czym, jakby czegoś zapomniała, odwróciła się do mnie.

- Proszę cię tylko o jedno: zachowaj swoje współczucie dla siebie.

Wychodząc, nie zamknęła żadnych drzwi. I przez dłuższą chwilę ja również.

*

- Czego, do cholery, chcesz, Blanco? Nie jest to najlepsza chwila na rozmówki, kurwa, mamy od cholery roboty od wczoraj... Wiesz chyba o porwaniu Elisy...

- Tak, Vera mi powiedziała - odparłam, powstrzymując gniew. - A także wiele innych rzeczy.

Padilla zachnął się.

- Wiesz, musiałem jej powiedzieć prawdę, kiedy rano do mnie zadzwoniła... Chodziła po ścianach z powodu Elisy, rozumiesz? Powiedziała, że będzie chodzić na polowanie, bez względu na to, co

zrobimy, że nie możemy jej tego zabronić...

- Ale przecież możecie - odparłam sucho.

Starłam się trzymać emocje na wodzy, mimo że rozmawialiśmy tylko przez telefon, a nie wśród dekoracji. Julio Padilla, dyrektor naszego departamentu, cesarz przynęt, był

petycjofilem, jak Vera: najlepszy sposób, by się od niego opędzić, to przemawiać do niego chłodno.

- Możecie zadzwonić do kapituły - wyliczałam. - Możecie ją zająć próbami co noc.

Możecie wysłać do niej inną przynętę, by powstrzymała ją petycją. Możecie posadzić przy drzwiach tresowane psy...

- I możemy sprawić, że ktoś ją ostrzeże przed idami marcowymi, jeżeli chcesz -

zagrzmiał Padilla w przenośnej słuchawce, którą trzymałam przy uchu. Klęczałam na podłodze w swoim mieszkaniu i przyciskałam klawisze laptopa, by wynaleźć wszystkie informacje na temat technik holokaustowych, zamieszczone w naszej kodowanej sieci.

- Posłuchaj, Blanco: w poniedziałek przyjąłem twoje groźby, ale nie staraj się mnie przechytrzyć, dobrze? Chcesz, żebyśmy pilnowali twojej siostry, ale co dasz w zamian?

Pieniądze czy ciało? - pytał ironicznie.

- Widza - odpowiedziałem. - Dostaniecie go jak na tacy.

Zapadło milczenie.

- Żartujesz.

- Nie.

- Przypominam ci, że starasz się o to od dwóch miesięcy, królowo.

- Od dwóch miesięcy wykonuję rutynową robotę zalecaną przez profilowców. Od teraz zajmę się tym sama. Nadgodziny.

- Wielka Diana Blanco prosi o ponowne przyjęcie? - zakpił. - To tak nie funkcjonuje, ślicznotko, nie ma wchodzę albo wychodzę, jak w seksie, mała. Wyobraź sobie, jak się wściekną w administracji, jeśli cię ponownie przyjmę do roboty...

- Nie chcę, żebyś mnie przyjmował. Zrobię to na własny rachunek. Przytaszczę ci Widza za darmo. Żądam tylko, żebyś zakazał mojej siostrze wychodzenia na polowanie.

Milczenie. Po raz kolejny. Wiedziałam, że Padilla jest na swój sposób jeszcze bardziej politycznie poprawny niż Álvarez, ale gdy rozmawiał z przynętami, okazywał się niekiedy straszliwym brutalem.

Mówiono, że po wypadku, w którym jego córka została sparaliżowana, ludzka strona jego profesji uległa całkowitej atrofii, i może właśnie dlatego uważano go powszechnie za tak dobrego dyrektora. Ja jednak nie zamierzałam odwoływać się do jego ludzkich uczuć, lecz do jego oportunistycznego.

- Nie chcę żadnej pomocy - dodałam. - Chcę tylko, żebyś mi zorganizował spotkanie z profilowcami jutro z samego rana. Chcę wiedzieć o Widzu w s z y s t k o: to, co wy o nim wiecie, to, co podejrzewacie, to, co jedynie przypuszczacie, począwszy od rozmiaru koszuli, aż po partię, na którą głosuje. Wszystko, co jawne, co poufne i co tajne.

Śmiech Padilli zabrzmiał, jak w pomieszczeniu zamkniętym sklepieniem.

- Diana Blanco, „mózdzek” Gensa, nic się nie zmieniała... Po co to wszystko? Żeby chronić swoją siostrę? Nie zdołamy kontrolować Very, dopóki nie upolujesz tego potwora, o ile ci się to w ogóle uda, rozumiesz chyba...

Rozumiałam. Co więcej, miałam już przygotowaną odpowiedź.

- Daj mi tydzień. Jeżeli do przyszłego piątku go nie upoluję, rzucam to.

- Mam przez tydzień powstrzymać Verę? Będę musiał zamknąć ją w więzieniu.

- Ty decydujesz.

Znalazłam setkę plików na temat maski Holokaustu. Umieściłam je na wirtualnym ekranie w powietrzu i salonik mojego mieszkania zaśnił niczym choinka. Wówczas wygrzebałam z folderów wszystko, co wiedziałam o Widzu, i także розміściłam na ekranie, czekając na odpowiedź Padilli. Gdy miał podjąć jakąś decyzję, zachowywał się jak usypiający słoń.

- Tydzień to dużo, mądralo.

- Więc trzy noce: jutro, w sobotę i w niedzielę, ale spotkanie z profilowcami na jutro.

- Nie upolujesz nawet pieprzonego królika przez trzy noce.

- Co ci szkodzi spróbować? Proponuję ci zamianę debiutantki na weterankę i w dodatku gratis, genialne posunięcie.

- Czy naprawdę sądzisz, że z twoich kurewskich jajników, wielka Diana Blanco, pocznie się mądrycki Departament Psychologii Kryminalnej?

Nie zająknęłam się, otwierałam kolejne pliki.

- Wiesz, że mogę go upolować, Julio. To Widz, łakomy kąsek. Nie musisz mnie nawet wymieniać. Sukces będzie twój, Julio, Vera posiedzi w domu, a ze mną możesz potem zrobić wszystko, co ci podsuną twoje pieprzone jaja.

Cisza, tym razem krótka.

- Trzy noce. I ani jednej więcej, Blanco - oznajmił Padilla i odłożył słuchawkę.

9

Ricardo Montemayor i Nacho Puentes, dwaj profilowcy, którzy koordynowali przypadek Widza, czekali na mnie w piątek rano w Los Guardeses. Kiedy wszyscy zajęliśmy miejsca, pierwszy odezwał się Montemayor:

- Zaczynaj, Nacho.

- *Please*, ty pierwszy. Przerwę ci, jak się pomylisz.

- Uf, w takim razie w ogóle nie otworzysz dzioba.

Roześmieliśmy się. Montemayor i Nacho zawsze się wygłupiali.

- No to spójrzmy - Montemayor uniósł brew - w profilu Widza mamy cechy dobre i cechy bardzo złe...

- *Sorry*, ale już popełniłeś błąd - przerwał Nacho. - Są cechy złe, bardzo złe i kompletnie zajebiste. Te ostatnie stanowią większość.

- Założmy. Nie będę się sprzeciwiał pańskiemu punktowi widzenia, panie Puentes.

Nacho uniósł rękę w geście podziękowania. Montemayor mówił dalej:

- W każdym razie mamy dostatecznie dużo danych. Może lepiej, żebyś nam zadawała pytania, Diano.

Założyłam nogę na nogę i lewą dłonią przytrzymałam mały notebook; prawą podrapałam się w bok pod koszulką na ramiączka.

- Tak naprawdę, chłopaki, mam tylko jedno pytanie. Jak mogę go załatwić w trzy noce?

- Sprawdź sama, a potem nam opowiedz - odparł Nacho.

- Kochany uczniu - odezwał się Montemayor - panna Blanco potrzebuje najpierw alfy, dopiero potem omegi.

- *Okay*, tatuśku.

Montemayor coś mruknął i uniósł brew, sadowiac się na krześle. Nie ulegało wątpliwości, że choć starszy od Nacha, nie mógł być jego ojcem. Mimo łysiny i szpakowatej bródki brak zmarszczek i gładkość skóry wskazywały na ledwie przekroczoną czterdziestkę; nieco psuł tę wizję pokaźny brzusek. Ubierał się zawsze cudownie niestaranie, preferując (nie wiem czemu) wojskowe kamizelki i spodnie w panterkę z pokaźną liczbą kieszeni. W

przeciwieństwie do niego Nacho Puentes należał do owej klasy modeli, które łatwo można sobie

wyobrazić na wystawie luksusowego sklepu. Miał gęstą czarną czuprynę zaczesaną do tyłu, smagłą skórę i ciemne oczy, a jego ciało tancerza zawsze okrywała markowa odzież (tym razem był to świetnie leżący brązowy Armani). Stanowił przykład dojrzałej -

trzydziestoletniej - męskiej urody tak doskonałej, że wydawała się nieomal banalna. Zdaniem niektórych był gejem, w Montemayorze widziano jego partnera, ja jednak podejrzewałam, że te plotki były efektem męskiej zazdrości kolegów, gotowych zaklasyfikować do grona kochających inaczej każdego greckiego boga spacerującego po ziemi.

Jedno nie ulegało wątpliwości: miałam przed sobą dwóch najlepszych profilowców europejskiej policji, a to było najważniejsze.

Albowiem Widz był czymś n a j g o r s z y m, co się nam w Europie od dłuższego czasu przytrafiło.

- Spójrzmy, co tu mamy - Montemayor manipulował przy małej klawiaturze trzymanej na kolanach - wiemy, że to kawaler, w typie kaukaskim, około czterdziestki, atrakcyjny, zdrowy, nieprzeciętnie inteligentny, z wysokimi dochodami... Taki Nacho -

podsumował.

- Moje dochody są nadal niskie, *dear professor* - odparł Nacho.

- I mam nadzieję, dla twego dobra, oczywiście, że jeszcze parę szczegółów was odróżnia - brzmiała odpowiedź. - Dysponuje dość dobrze wyposażonym domem, z kilkoma piętrami i piwnicą, a może dwoma poziomami piwnic. Najprawdopodobniej znajduje się on gdzieś na peryferiach Madrytu. Mniej prawdopodobne - w sąsiadujących ze stolicą prowincjach. Jest holokaustofilem...

- I to zdecydowanym - dodał Nacho - używa sznurów nawet do krępowania głowy.

- Zostawmy na razie jego perwersyjne skłonności, drogi uczniu. Na początek alfa.

- *All right*. Ślini się na widok czarnych topów, ramiączek, *G-strings*...

Montemayor wpatrywał się w kolegę z wyrzutem.

- *G-strings* - mruknął - stringów, do cholery. Mówże, kurwa, po ludzku.

- *Sorry, daddy*.

- Aktualnie w stanie wolnym. Nacho i ja skłaniamy się ku hipotezie, że to raczej wdowiec niż PR.

Uniosłam wzrok znad ekranu notebooka.

- PR?

- Pierdolony rozwodnik - wyjaśnił Nacho i obaj się roześmiali. - Pozwy sądowe, kłótnie o opiekę nad dziećmi. Astronomiczne odszkodowania, sama wiesz...

- Sądzymy raczej, że jego partnerka zniknęła z mapy.
- Sądzymy raczej, że on sam doprowadził do jej zniknięcia - uściślił Nacho.
- Nie wiemy kiedy. Może to była jego pierwsza ofiara. - Montemayor wzruszył

ramionami. - Spodobało mu się i zrobił powtórkę. De facto jego ewolucja wykazuje objawy

„Berowne Perjuro” - zacytował uczenie. - Nie wiemy, kiedy zaczął, może już jako młody człowiek, ale z czasem udoskonalił rytuały i zwiększył częstotliwość. Może wcześniej wszystko było dziełem przypadku. Teraz jest „Berowne” i ma swoje miejsce, swoje

„Królestwo”. Sądzymy, że to jego dom, dlatego wydaje nam się, że dzieli się on na dwie części: wyższą przeznaczoną dla świadomości i niższą - dla instynktów.

Zanotowałam ten fakt. Wiedziałam, że Montemayor czynił aluzję do eseju Victora Gensa na temat komedii Szekspira *Stracone zachody miłości*, w której pewien król i jego trzech poddani przysięgają pędzić życie w czystości i na naukach, a gdy wmieszają się we wszystko cztery damy z francuskiego dworu, wycofują się z przysięgi. Pierwszy podejmuje decyzję Berowne i Gens określał tym mianem przestępcę, który po etapie stłumienia uwalnia swój psynom i nic go już nie powstrzyma. Z notebookiem na kolanach i skrzyżowanymi kostkami wystukałam: „To Berowne: przeszedł od etapu stłumienia swoich holokaustowych instynktów. Teraz daje im upust w domu, najprawdopodobniej w jego dolnych partiach”.

Delikatnie przerwałam Montemayorowi, pytając, czy ten fakt może się wiązać z pewnym upodobaniem do wrokofików, co według Gensa stanowiło symboliczny szyfr zawarty w tej komedii. Przyjęli moje spostrzeżenie.

- Jednakże należy ocenić wagę kontaktu wrokowego w tym przypadku, Diano -
sprecyzował Montemayor.

- Nie chcę powiedzieć, że nie lubi, żeby na niego patrzeć, ale jego świadomość została w pewnym punkcie porażona psynomem i to w istotny sposób zwiększyło jego samokoncepcję podmiotu dominującego.

- I to zabójcze tempo: dziewiętnaście ofiar w osiem miesięcy - dodał Nacho.

- Dwadzieścia, jeśli dodać Elisę - uściślił Montemayor.

Z roztargnieniem myślałam o przejrzeniu dawnej pracy Moore'a o technice Wzroku i musiałam ich poprosić, by powtórzyli ostatnie zdania. Przebiegł mnie zimny dreszcz.

- Wedle moich informacji było ich tylko dwanaście - odezwałam się. W przestrzeni między profilowcami pojawił się wirtualny ekran z talią dwudziestu kart z twarzami.

- MSW zdecydowało zamieść przypadki wątpliwe pod dywan, by nie wzmaczać paniki

- wyjaśnił Montemayor - jest jednak pewne, że to nie tylko prostytutki i nie tylko imigrantki.

Mamy tu wiele Hiszpanek, jedną francuską turystkę, polską uczennicę, Rosjanę...

- Tak czy inaczej sporo dziewczyn ze Wschodu - zauważył Nacho - ale jest dość kosmopolityczny, chociaż zawsze wybiera te długonogie, mamy tu nawet dwie baletnice.

- Puścił do mnie oko. - Masz długie nogi, Diano. Punkt dla ciebie.

- Kopnę cię w jaja tymi długimi nogami - odparowałam, a Nacho się roześmiał. -

Dlaczego tyle cudzoziemek? Może być cudzoziemcem?

Nacho przecząco pokręcił głową.

- Niewątpliwie jest człowiekiem światowym, ale w pewnym stopniu wydaje się uspokajać swoje ofiary, z czego wnioskujemy, że mówi po hiszpańsku i prawdopodobnie po angielsku bez obcego akcentu. Jego *pick up* jest całkowicie spontaniczny, nic w stylu

„wsiadaj, bo strzelam”, uderzeń w głowę, aczkolwiek w finale, kiedy już je sadza w samochodzie, używa *drugs*: sprayu anestetycznego, niezwykle skutecznego, który zostawia zapach róż.

- Na Boga, Nacho - przerwał mu Montemayor - możesz przez chwilę mówić, jak Bóg przykazał? „Jego *pick up*”, „*drugs*”... - Popatrzył na mnie komicznie urażony. - Przykro mi, zachowuje się tak, od kiedy latem zaczął pracować z grupą z Berkeley. Do mnie mówi „*let's go*”, zawsze ilekroć idziemy na obiad...

- Zamknij się już, Monte, ty pieprzony hiszpański *son of a bitch* - zanucił Nacho.

Uśmiechnęłam się, jak przystało panience otoczonej wesołymi kawalerami. Nie znałam ani jednego profilowca, który by nie żartował nieustannie, może dlatego, że spędzali życie, badając pod mikroskopem horrory. Żartowali gorzej niż lekarze sądowi... i ta myśl nasunęła mi kolejne pytanie:

- Sądzicie, że zna się na medycynie sądowej?

Montemayor uniósł brwi, a Nacho westchnął.

- Skończylibyśmy wcześniej, gdybyśmy ci powiedzieli, na czym się nie zna -

odpowiedział poważnie pierwszy z nich. - Orientuje się w nowościach na temat pobierania próbek, używa najnowocześniejszych systemów usuwania DNA i odcisków palców, skanuje całe ciało... Czego chcieć więcej? Ma wiedzę informatyczną, medyczną...

- Jak wszyscy dzisiaj - podsumował Nacho. - Aktualny dostęp do informacji przekształca nas wszystkich wirtualnie w ekspertów od wszystkiego.

- Co jednak nie oznacza, że jest się lekarzem czy policjantem...

Obaj profilowcy wymienili między sobą spojrzenia.

- Na eBayu można kupić ostatniej generacji preparaty do usuwania śladów DNA -

zauważył Nacho.

- Średnio inteligentny chłopak mógłby wiedzieć tyle samo co on, gdyby mu to zaproponować, Diano - dodał Montemayor.

Pisałam przez chwilę, a gdy przestałam, przyłapałam Nacha na kontemplowaniu moich piersi, przysłoniętych jedynie koszulką na ramiączka. Uśmiechnął się do mnie bez śladu zażenowania, więc uśmiechnęłam się także. Tak jakby chciał mi powiedzieć: „Praca i przyjemności nie są niekompatybilne”.

- To wszystko, o czym mówiliśmy, to te dobre cechy, czy już jesteśmy przy złych? -

zapytałam.

Nacho poruszył się, co wywołało opalizujące refleksy na jego welwetowym garniturze.

- Nawet nie zaczęliśmy mówić o tych złych, *honey*. Co powiesz, Monte?

- Powiem, że cechy złe zaczynają się, gdy stwierdzasz, że jest ekspertem od psynomów.

- Co takiego?

Obaj patrzyli na mnie w milczeniu. Montemayor zamknął plik z twarzami ofiar za pomocą wskaźnika i pozwolił mu krążyć w przestrzeni.

- Jesteśmy przekonani, że zna świat przynęt i unika nas, Diano. Nawiasem mówiąc, w jego przypadku nie udają się klasyczne sztuczki. Zobaczmy na przykład jego scenariusz.

Wiesz już, że holokaustofil dokonuje porwania w chwili wyboru. To jest dowiedzione.

Czyhanie może się przedłużać, ale porwanie następuje zawsze natychmiast po dokonaniu wyboru i dlatego pojawienie się ofiary jest kwestią kluczową, zgadza się?

Przytaknęłam. Znałam te fakty.

- Ale nie wszystkie pojawienia się są czysto holokaustyczne. Francuzka, Sabine Bernard, miała na sobie taki płaszcz... - Montemayor skierował wskaźnik na odpowiedni plik.

W mroku pokoju, jednego z biur profilowców w Los Guardeses, utworzył się obraz manekina ubranego w płaszcz. Monte nadał mu postać trójwymiarową.

- Przyjrzyj się miejscom zaznaczonym przez badanie kwantowe. Ten płaszcz nie pasuje do holokaustofila, raczej do wyglądofila. Inny przykład: niemiecka studentka przebywająca na

wymianie, Silke-Hedrun Lang. Miała na sobie zwyczajne ubranie i bardzo luźne spodnie, jak te - czerwone strzałki zaznaczyły zarys widmowych spodni, które pojawiły się w miejscu płaszcza. - Takie seksualne niedookreślenie od pasa w dół podoba się raczej upadkofilowi. Ale Nadia Jiménez, prostytutka porwana miesiąc później, szła prawie naga, ubrana jedynie w coś w rodzaju kolorowego topu i markowe okulary, czyli strój, który przyciąga ekshibicjonistofilów. Holokaustofil nie odczuwa pokusy na widok gołych nóg.

Poczułam zakłopotanie.

- W takim razie dlaczego każecie nam polować na niego w stroju przeznaczonym dla holokaustofila?

- Ponieważ badanie kwantowe scenariusza wykazuje, że w pięćdziesięciu do sześćdziesięciu procent przypadków wybór o d p o w i a d a h o l o k a u s t o f i l o w i

- odparł Montemayor. - Ale cała reszta jest typowa dla różnych innych filii. Staraliśmy się dopasować pewne szczegóły do waszych przebrań, jak na razie bezskutecznie...

- A skąd się biorą te pozostałe filie?

- Poczekaj. Pokażemy ci więcej przykładów.

Kolejne szybkie stukanie w klawiaturę i nowy obraz w przestrzeni. Plaster miodu o regularnych komórkach, a w każdej jakiś element dekoracji: latarnie, chodniki, mury.

- Scena też nie we wszystkich przypadkach jest taka sama - ciągnął Montemayor. -

Był świadek porwania polskiej studentki Marzenki Zajac w maju ubiegłego roku. Jakaś sąsiadka wygłądała akurat na ulicę, kiedy dziewczyna wsiadała do samochodu...

- Zwróciła, biedna, uwagę na markę i kolor wozu - podjął temat Nacho - ale była to, oczywiście, starsza pani. Nie orientowała się w technicznych nowinkach, jakimi są przenośne zestawy do szybkiego „przerabiania”. Mam jeden taki. Mieści się w torbie podręcznej.

Cholerna sprawa: wywozisz samochód za miasto i zmieniasz go w ciągu pół godziny. Bez potrzeby uciekania się do jakichś wyrafinowanych technik... Och, *dear professor*, przepraszam, przerwałem panu.

Montemayor głęboko odetchnął, zanim podjął temat, manipulując jednocześnie przy wirtualnym obrazie.

- Marzenka czekała na autobus i wtedy on dokonał wyboru. Patrz na dekoracje.

Figurka pokazuje, gdzie stała ofiara. Przy rogu ulicy. Dosyć widoczna, powiedziałbym, a na widok nadjeżdżającego samochodu pewnie się odwróciła, w taki sposób, przez co możliwość, że holokaustofil ją wybierze, zwiększa się... Ale popatrz, z tego rogu, albo z tego, mamy dwa możliwe kierunki, z których nadjedzie samochód... - przestawiał figurkę z miejsca na miejsce i rozłożył ją na części, które z kolei zajęły różne pozycje: talia, piersi, nogi. - Widzisz? Scena, w której wybrał

ofiare, nie jest typowa dla czystego holokaustofila, są w niej elementy aurofilii i sekretofilii, nawet zakładając mikrozachowania ofiary... Z pewnością kat, który tu działał, nie był holokaustofilem, zakładałam się o roczną pensję.

- Nie stawiaj takiego gówna, bo nikt nam nie uwierzy - zaproponował Nacho.

Montemayor zignorował go.

- W przypadku Gerit van Oosten zaś...

Uznałam, że pora mu przerwać.

- Może to nie są t e w ł a ś c i w e momenty wyboru - urwałam nagle i zawstydziałam się, widząc spojrzenia obu profilowców. - Dobrze, oczywiście, wy obaj wiecie lepiej...

- Psynom, droga Diano, to matematyka - zauważył chłodno Montemayor. - Ty patrzysz na to z punktu widzenia aktorki na scenie, ale ten, kto patrzy na ciebie, reaguje w określony i obliczalny sposób, z a w s z e.

- Sherlock Holmes jest już nazbyt „elementarny”, *dear Watson* - dodał Nacho. -

Dzisiaj każda zbrodnia to równanie, które rozwiązują komputery kwantowe.

- Koniec z detektywami, policjantami, lekarzami sądowymi... - przypieczętował sentencjonalnie Monte. - Zostają już tylko komputery, profilowcy, przynęty i Szekspir.

- Zgoda - stwierdziłam.

- Nie, wcale nie zgoda - obruszył się Nacho żartobliwie - obraża nas pani, panno Blanco.

- Opowiemy ci lepiej o sprawach, które ciebie dotyczą - uznał Montemayor, a ja z udawaną pokorą powtarzałam: „strasznie mi przykro, panie Puentes”.

Nagle w ciemnościach pojawiły się sceny z prawdziwego horroru.

- Organy płciowe ofiar - Montemayor wskazywał kolejno holografie. - Przedmioty pochodzenia nieorganicznego w waginie mogą być dwojakiemu rodzaju: falliczne i niefalliczne. Holokaustofile nigdy nie wprowadzają przedmiotów niefallicznych, po prostu nie sprawiłoby im to przyjemności. Ale w waginie Marzenki Zajęc znajdowało się ponad piętnaście kawałków szkła z rozbitej butelki, wpychanych tam kolejno pęsetą. Szkło nie jest przedmiotem fallicznym, ale w samej c z y n n o ś c i ich wprowadzania był jakiś ułamek holokaustofilii. Żeby ci to lepiej wyjaśnić: to tak, jakby Nacho trzymał pęsetę, ty wpychałabyś szkło odrobinę, a ja popychałbym je dalej... i każde z nas wpływało w ten sposób swoim psynomem na psynom pozostałych. Po waginie Veroniki Casado natomiast znać j e d y n i e usiłowania...

- Miała przecież tylko piętnaście lat - wtrącił Nacho - to w tej grupie *teenager* par excellence.

Niektórzy holokaustofile nie gwałcą ofiary, jeżeli jest bardzo młoda...

- Słusznie, drogi uczniu. Ale przy kończynach wyrwanych ze stawów mamy znowu problem. Można wyrwać kończyny ze stawów w sposób otwarty i zamknięty. Pierwszy sposób to ten, który umożliwia łatwy dostęp do organów płciowych. To tak, jakby kat powiedział: „wyłamałem twoje zamki”. Widz posługuje się ciężkim sprzętem, aby złamać główkę kości udowej i kość ramieniową i wyrwać ze stawów kończyny. W przypadku wielu ofiar odnotowano zwicnięcie i amputację kości palców - poruszył palcami lewej ręki w przód i w tył. - To są sposoby zamknięte, nie holokaustyczne, uczniu, aczkolwiek analiza wykazuje również domieszkę holokaustofilii...

Montemayor poszedł nieco dalej, opanowany swoistym poczuciem urażonej dumy wobec Nacho. Mówił o „próbach zastosowania wiertel”, o „niedokończonych perforacjach”, o

„hiperrozszarpaniach”, a wszystko to opatrywał odpowiednimi obrazami. Siedziałam jak skamieniała, patrząc na to wszystko. Przestałam nawet słuchać medycznej perory Montego.

W moim zawodowym życiu upolowałam albo pomogłam upolować tuzin potworów, ale nadal odczuwałam to samo zaskoczenie co pierwszego dnia, ten sam strach, ten nieskończony wstręt na widok ich psychopatycznych czynów. I zadawałam sobie pytanie: „dlaczego?”.

Chociaż wiedziałam, że wyjaśnienie tkwi w psynomie, wciąż jeszcze zastanawiałam się: d l a c z e g o ?

Kiedy panowie dyskutowali nad sposobem wycinania zwieracza, przerwałam im.

- Chłopaki, obawiam się, że nie mogę wam poświęcić całego ranka. Co z tego wszystkiego wynika?

- Ty jej powiedz, Nacho - zaproponował Montemayor.

Ja nie lubię obwieszczać złych wiadomości.

- Wiesz, Diano - zaczął więc Nacho - dlaczego nazywamy go „Widzem”?

- Ponieważ jest ekspertem w dokonywaniu wyboru wzrokiem. Tak mówią.

- Tak myśli większość ludzi w departamencie... ale w rzeczywistości tak go przeważaliśmy, ponieważ ogranicza się do tego, by działał i n n i, chociaż on trzyma nad wszystkim kontrolę.

Nie spuszczałam wzroku z Nacha. A on dodał:

- Tak właśnie jest: ktoś inny mu p o m a g a.

- Chwileczkę - odparłam - jeżeli ma współników i pozwala im dokonywać wyboru, to w analizie kwantowej powinien się pojawić całościowy zespół różnych psynomów.

Mówilibyśmy wówczas o grupie dwóch lub trzech zbrodniarzy czy o bandzie...

- Są wyjątki, ale generalnie mamy pewność - przyznał Montemayor. - I to właśnie jest najgorsze: pojawiają się ślady innych psynomów, ale według komputera -

n i e w y s t a r c z a j ą c e.

- A tłumacząc to na normalny język? - zapytałam bez tchu.

- Posługuje się innymi, to jasne. Ale robi to w tak dziwaczny sposób, że nie wiemy, jaki jest między nimi związek, nie wiemy nawet, czy są to r ó ż n e o s o b y. Nazywamy ich „pracownikami”. Spełniają jego polecenia, czasami działają na jego rachunek, tyleż przy wyborze ofiary, ile przy późniejszych zabawach, ale przestają w określonych momentach i czasami działają pod wyraźnym wpływem Widza. To podstępna technika, wcześniej niespotykana. Dlatego sądzimy, że jego wiedza o psynomie jest naprawdę znaczna. Wymyka nam się nieustannie.

- Nie wiemy, ilu ma „pracowników” - wtrącił Nacho.

- Ale tu nie chodzi o jakąś zorganizowaną grupę ani o *folie à deux*. To raczej coś w rodzaju symbiozy.

- Może osobowość złożona? - podsunęłam, ale widząc natychmiastowe zaprzeczenie zorientowałam się, że spodziewali się takiego pytania.

- Wówczas każda osobowość miałaby ten sam psynom, a „pracownicy” by nie istnieli

- wyjaśnił Montemayor.

- To, przede wszystkim, przypadek holokaustofilii - zapewnił Nacho. - Krępuje ofiarom twarz, tak i tak - rozpostarł palce na wysokości oczu. - Używa bardzo cienkiego sznura, aby skrępować głowę. Obecność spermy na twarzy i pod sznurem wskazuje, że ta końcówka scenariusza mocno go podnieca. To bardzo wyraźny holokaustofil, do tego straszliwy skurwysyn. Ale są też ślady innych psynomów współpracujących...

- A nie mógłby naśladować skutków różnych innych psynomów?

Montemayor roześmiał się. Nacho, bardziej uprzejmy (a może pragnący, bym się nie obraziła, dopóki mnie nie zaprosi, by gdzieś wyjść), ograniczył się do zignorowania mojego

„skretynienia”.

- N i k t nie potrafi naśladować skutków psy-no-mu, Dia-nu-siu - wyskandował

Montemayor. - Sam sposób krępowania twarzy kryje w sobie miliardy psynomicznych znaków szczególnych zwanych mikroprzestrzeniami. Ty masz obsesję na punkcie pracy.

Gdybyś chciała skrępować komuś twarz, n i g d y byś tego nie zrobiła identycznie jak holokaustofil, nawet gdybyś posługiwała się komputerem kwantowym.

- Ale k t o ś mu pomaga - zaprotestowałam. - Dlaczego nie poinformowano nas, przynę, że Widz to więcej niż jedna osoba?

Po raz pierwszy zauważyłam, że Monte się zdenerwował.

- Ponieważ to n i e j e s t w i ę c e j niż jedna osoba a n i t a k ż e jedna osoba.

Nie patrz tak na mnie, tyle sami wiemy. Nie wiemy, k i m on jest. Jeżeli mówimy wam, że zobaczycie w samochodzie dwie trzy osoby, może się mylimy, może to ktoś inny. Trudno stwierdzić, że to kilka osób naraz, to raczej ktoś o jednym mózgu podzielonym na przegrody.

Może mamy do czynienia z jakąś nową filią, ale gdyby nawet tak było, to skąd tyle cech holokaustofilii?

- A co się stało z Elisą? Czy to był on... czy może oni?

- Za wcześnie, by wiedzieć. Centralny komputer analizuje mikroprzestrzenie sceny, w których mogła zniknąć. Potrwa to około tygodnia. Cyrk jest mało prawdopodobny, ale nie wykluczamy go.

- A ja? - zapytałam. - Mam zamiar przejść w ciągu trzech nocy przez rejony ryzyka.

Na ile mnie oceniacie?

- Na jakieś trzydzieści lat, mniej więcej - odparł Nacho.

Pokazałam mu środkowy palec.

- Wysoce prawdopodobne, że go namierzysz - przyznał Montemayor, skrobiąc się po łysinie. - Nie znaczy to, że właśnie ciebie wybierze, to zależy od jego „pracowników” i ich genialnych sztuczek. Ale prawdopodobieństwo, że się na niego natkniesz, jest ponad osiemdziesięcioprocentowe. Nawet jeżeli porwał Elisę, wyjdzie znowu na łowy. Ciągłe jeszcze jest głodny. I to bardzo. Nie zapominajmy przy tym, że jeżeli Elisa będzie się starała go usidlić i nie uda się jej, wykończy ją szybko, ponieważ wytrąci go z równowagi. Da mu zbyt wiele rozkoszy. Nie przetrwa nawet trzech dni.

Nacho Puentes pokazał czubek języka, opierając go na górnej wardze, zanim się odezwał.

- Opracowano, - powiedział, nowe ćwiczenia dotyczące etapu wyboru i porwania, które mogą opanować w kilka godzin. Prześlę mi je siecią. - O ile naprawdę chcesz spróbować - dodał.

Przez chwilę siedziałam w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w notebooku. Nagle opanowała mnie całkowicie jedna wizja: nagie ciała w czeluściach piwnicy, moje koleżanki i ja, grające tak, jakbyśmy pozowały, starając się przypodobać. „Ach tak, to ja z o s t a n ę w y b r a n a, nie one. J a”. Zapach rozgrzanej skóry w światłach reflektorów, kołyszące się ciała... przekształcone następnie w puzzle holografii medyków sądowych. Opanowało mnie nagłe zmęczenie. Naszła mnie ochota, by zamknąć notebook, wstać i wyjść, zapomnieć o Widzu i o przeklętej misji, o odpychającym poświęceniu bogini sprawiedliwości. Ale wtedy przypomniła mi się Vera i poczułam, że oddycham

świeżym powietrzem.

- Zgoda - rzekłam - chcę wiedzieć, jak mogę się stać najbardziej łakomym kąskiem w całym jego pierdolonym życiu.

10

Byłam potworem i wiedziałam o tym. Moja praca właśnie na tym polegała.

Już jakiś czas temu przestałam oszukiwać samą siebie urojeniami na temat cnoty i sprawiedliwości: nie byłam wcale lepsza od tych, których miałam niszczyć. Claudia oznajmiła mi kiedyś: „Należy przynajmniej się starać, by nie być gorszym od nich” i zapamiętałam jej słowa.

Zawsze ilekroć przygotowywałam się w domu, by stać się obiektem pożądania dla potwora, jak to się właśnie działo w owej chwili, nie mogłam się uwolnić od tej myśli. Jak gdyby sam fakt przygotowywania się dla nich oskarżał mnie. S p ó j r z n a s i e b i e,

D i a n o,

s t a n i e s z

si ę c z y m ś ,

c o

t e j

bestii

n a j b a r d z i e j o d p o w i a d a. I w tym „najbardziej” tkwił problem. Nie wystarczyło być pociągającą: żeby spodobać mu się bardziej niż inne, żeby wybrał właśnie m n i e, musiałam stać się czymś, czego n a j b a r d z i e j pożąda. Od skóry po wnętrzności musiałam być t y m c z y m ś, co potwór pragnął posiadać, kiedy gryzł.

„Zachowując mimo to pewną równowagę, prawda, doktorze Gens?”, pomyślałam, zasuważąc przestarzałe, tradycyjne zasłony w moim skromnym salonie.

„Jeżeli zapragnie mnie za mocno, rzuci się na mnie i połknie żywcem, zanim zdołam go rozpracować... Jak to pan mówił, doktorze?” Starłam się dokładnie przypomnieć sobie słowa, mówiąc jednocześnie głośno: „Światła!”. Dwie lampy stojące, w kształcie szyi żyrafy, umieszczone w przeciwległych rogach, zapaliły się posłusznie, rzucając światło na środek salonu. „Czy trzeba być zarazem wodą i pożywką dla tego samego ognia?”, może niezupełnie tak brzmiała ta maksyma, ale jeżeli nawet nie, to zasadniczy sens był zachowany.

Odwrociłam do siebie oparcie krzesła. Specjalnie wybrałam mebel z oparciem bez otworów, ponieważ jego solidne wygięcie było, pośród wszystkich przedmiotów, jakie miałam w domu, najbardziej podobne do powierzchni kolumny, o którą Gens kazał nam się ocierać, gdy próbowaliśmy grać maskę Enigmy. Upewniłam się, że włączony komputer leży na pufie, a na ekranie widnieją wgrane przez profilowców ćwiczenia i tekst *Snu nocy letniej* z komentarzami Gensa. Przy pufie stała butelka wody mineralnej. Wszystkie drzwi były zamknięte. Był piątek, wpół do dziewiątej wieczorem, i miałam trzy godziny na trening.

Najpierw chciałam przećwiczyć Enigmę, potem Holokaust.

Profilowcy zapewniali, że szybka maska Enigmy uchroni mnie przed atakami gwałtownej furii w kluczowych pierwszych godzinach po porwaniu. „Zwiąże cię i będzie cię trzymał do swojej dyspozycji. Będiesz, wybaczone wyrażenie, stała z gołą dupą podczas burzy, więc postaraj się o parasol”, pouczali.

Maska Enigmy stanowiła nie lada wyzwanie. Polegała na wywołaniu kilkoma gestami, tekstami i elementami dekoracji drobnego obsunięcia się rzeczywistości. Mogła się przydać w sytuacji, gdy znajdujesz się w małym pomieszczeniu, skrępowana i zakneblowana.

Przypuszczano, że poczucie dziwaczności, jakie wywoływała w psynomie, mogło powstrzymać dzikie, przedwczesne ataki agresji, które stawiałyby przynętę całkowicie poza grą. Gdy ustawiałam się pośrodku zaimprovizowanej sceny i zdejmowałam sandały, przypominałam sobie, że Claudię Cabildo uważano za ekspertkę od tej maski i że ćwiczyłyśmy ją kiedyś razem, zarówno na terenie folwarku, jak i we wspomniałym domu Victora Gensa w Barcelonie.

„Claudia”, pomyślałam i przystanąłam, zanim zdjęłam z siebie spodnie od dresu.

Przypadkiem czy nie, odwiedziłam Claudię Cabildo tego samego piątkowego popołudnia i właśnie

od niej wróciłam. „Claudia, kolejny potwór, jak ja. Przebiegałyśmy razem labirynty ciemności, prawda? Dwa potwory trzymające się za ręce na spacerze w bezksiężycową noc szaleńców”.
Superwoman. U d a c i s i ę.

Claudia, moja przewodniczka, mój znak w ciemnościach, najdoskonalszy potwór, jakiego kiedykolwiek stworzono ku rozkoszy pozostałych.

Dopóki jej nie pożarł o wiele gorszy potwór.

*

Claudia Cabildo żyła poza światem. Chociaż czasami mówiła coś do mnie, zawsze czyniła to z grobowej otchłani. Kiedy zamierzałam ją odwiedzić, zobowiązywała mnie, bym nie traciła z oczu tej konkretnej perspektywy: miałam zobaczyć się, spędzić chwilę z kimś, kto już nie funkcjonował na powierzchni ziemskiego żywota.

Mimo wszystko musiałam się z nią widywać. Bywały dni, że ta potrzeba stawała się nieomal fizyczna, jak pragnienie, by ugryźć owoc i poczuć, jak jego sok wypełnia usta, albo rozkoszować się deszczem obmywającym ciało. Kiedy indziej łudziłam się myślą, że to racjonalna decyzja, podobnie jak oparcie się o kolejny stopień przy wchodzeniu po schodach.

Bez względu na to, jak naprawdę było, w ciągu ostatnich kilku lat chodziłam do niej zawsze, ilekroć coś się w moim życiu wydarzało: kiedy łąpałam trudny przypadek, kiedy ponosiłam klęskę, kiedy zorientowałam się, że jestem zakochana w Miguelu Laredo, czy kiedy kłóciłam się z Verą. Opowiadałam jej wszystko, choć miałam wątpliwości, czy mnie słucha.

W piątkowy ranek, po spotkaniu z profilowcami, poczułam znowu taką potrzebę.

Wybrałam jej numer w komórce i niemal natychmiast odezwał się ochryply głos Nely Ramos.

Tak, oczywiście, mogę przyjść nawet po południu, jeśli chcę. „Clau” ucieszy się ze spotkania ze mną, wpół do piątej to idealna pora. Kiedy wyłączyłam telefon, uświadomiłam sobie, że przecież już kilka dni wcześniej planowałam do niej pojechać, żeby opowiedzieć o złożonej dymisji; teraz miałam zupełnie inne powody.

Popołudnie było zimne i deszczowe. Wysiadając z samochodu przy ulicy Teseo w Las Rozas, spjrzałam na niebo i zauważyłam, że chmury wiszą na nim niczym worki. Tej nocy -

pierwszej nocy mojego intensywnego polowania na Widza - miało nie być księżycy. „Fatalny księżyc ściągnął nas ku sobie, dumna Tytania”². Poczulałam nagle zapach kwiatów kwitnących w małym przydomowym ogródku. Departament uznał, że może zatrudnić ogrodnika, i Nely opowiadała mi, jak cieszył Claudię widok koszonej trawy, stawiania ogrodzenia i sadzenia krzewów róż. Claudia i jej zieleń. „Roślina dbająca o rośliny”. Żart był koszmarny i głupi, ale zawsze przychodził mi na myśl.

I nerwy, rzecz nieunikniona. Mrowienie w żołądku, poczucie niepewności przed każdym spotkaniem. „Fatalny księżyc ściągnął nas ku sobie”. Po raz kolejny stawiałam sobie to samo pytanie: czy Claudia Cabildo i ja byłyśmy przyjaciółkami? I po raz enty ta sama odpowiedź: nie możesz być przyjaciółką

osoby, z którą robiłaś w s z y s t k o. Nie możesz do końca kochać kogoś, kto cię gnębił i dawał ci rozkosz w tym stopniu, w jakim cię ignorował; kto wie, że masz pieprzyk na wzgórku łonowym, kto zna twoje nocne koszmary, kto wprawdzie wie, jak krzyczysz z bólu lub przy orgazmie, ale nie wie, jakie filmy lubisz albo czy wzrusza cię zachód słońca.

Claudia i ja, koleżanki od dziesięciu lat, nie byłyśmy zaprzyjaźnione ani nie kochałyśmy się, coś nas jednak łączyło, coś silniejszego, bardziej cielesnego niż ten fragment skóry, jaki niektóre bliźnięta mają wspólny.

Nely czekała na mnie przy wejściu, otworzywszy kraty. Trzymała w ręku kiść winogron i owoce znikwały w jej ustach. Poczęstowała mnie, ale odmówiłam z uśmiechem.

- Cześć - przywitała mnie swoim głosem jednocześnie chropowatym i śpiewnym, który zdawał się skrywać w sobie historię dwudziestu lat jej życia, począwszy od urodzenia w Las Palmas.

- Cześć, Nely. Jestem za wcześnie?

- Nie, w samą porę. Wejdz.

2 W. Shakespeare, *Sen nocy letniej*, tłum. S. Barańczak, Kraków 2008, akt II, scena 2.

Nely miała kręcone czarne włosy, smagłą skórę, kocie ruchy i umięśnioną sylwetkę.

Była wcześniej przynętą, i to niezłą, póki nie ukończyła dziewiętnastu lat i nie uznała, że pora to rzucić. Nie z jakiegoś konkretnego powodu, wyjaśniała, nikt nie zrobił jej wielkiej krzywdy, ale „są rzeczy, które należy robić do pewnego momentu, a potem trzeba przestać”, twierdziła. Czasami można było odnieść wrażenie, że o czymś nie chce mówić, ale nawet jeżeli tak było, to chodziło o jej własne, najzupełniej prywatne koszmary. Ponieważ nadal była bardzo młoda, departament zlecał jej drobne prace, jak na przykład opiekę na godziny nad przynętą będącą „w kanale” (a zatem potencjalnie zbyt niebezpieczną, by mogły się nią opiekować zwykłe pielęgniarki), jak właśnie Claudia. Praca ta tak się Nely spodobała, że poprosiła o możliwość przychodzenia codziennie, a nawet wykorzystywała przysługujący jej co roku urlop na towarzyszenie Claudii w jakimś kurorcie. Gotowała, szykowała kąpiel, dbała o Claudię jak dziewczynka o swoją najukochańszą lalkę. Cieszyłam się, że rola opiekunki przypadła właśnie Nely, bo wydawała się tak twarda, na jaką wyglądała, a jednocześnie miła i oddana.

Przeszliśmy przez cichy korytarz tego bezosobowego domku o białych, gładkich ścianach i nielicznych, podstawowych meblach. Typowy dom rządowy, tak podobny do tego, w którym po raz pierwszy mieszkaliśmy z Claudią razem, z pokojami jak akwaria i ukrytymi rejestratorami zachowań, wymyślonymi dla stworzeń takich jak my.

- W jakim jest stanie? - zapytałam.

- Raz lepiej, raz gorzej. - Nely ledwie się ku mnie zwróciła, połykając ostatnie winogrono i prowadząc mnie przez salon. Jej sportowe obuwie nie czyniło hałasu w zetknięciu z błyszczącym parkietem.

- Dzisiaj jest raczej w gorszym stanie. Ale wczoraj przyszedł ten ogrodnik i, wyobraź

sobie, niesłychanie się ożywiła. Nie wiem, zależy... - Wzruszyła ramionami i stanęła przed zamkniętymi drzwiami. - Sądzę, że czasami udaje głupszą, niż jest, żeby tylko zwrócić na nią uwagę... Złośliwa jest, biedaczka, okropnie złośliwa...

Otworzyła drzwi, przed którymi stałyśmy, i weszłam do pokoju. Identyczny znajdował się dziesięć lat temu w willi, do której zawieziono mnie, abym poznała Victora Gensa, po tym jak zaliczyłam etap edukacji w domku w górach. Wtedy chuda jak szkielet figurka ubrana w długą koszulę i słomiany kapelusz też tam czekała, aby ją przedstawiono Wielkiemu Doktorowi. Siedziała na krześle skulona, z podniesionym kolanem, a ja spojrzałam na nie i stwierdziłam, że to najsłabsze i najbardziej kościste kolano, jakie w życiu widziałam. Potem dowiedziałam się, że jego posiadaczka nazywa się Claudia, co w jej szybkiej wymowie brzmiało „Clada”, bo nigdy nie starała się mówić wolno, chyba że akurat grała. Dowiedziałam się także, iż kapelusz nie należy do niej, a stanowi jeden z rekwizytów, które kazał nam nosić Gens (tylko kapelusz i cienutki paseczek w talii), gdy grałyśmy *Bottoma* w końcowych scenach *Snu nocy letniej*. Używałyśmy tak często tego kapelusza, że w końcu popękał, i pamiętam, że Claudia stwierdziła wtedy: „No, teraz dopiero będzie mi w s t y d: pokazywać się nago i do tego w dziurawym kapeluszu”, a mnie ubawiła jej ironia.

Ale to nie był tamten pokój sprzed dziesięciu lat. Ani tamta Claudia.

- Cześć, Cece - odezwałam się.

- Jej, kto to przyszedł! Na wakacje? Wyjeżdżamy?

- Myśli, że ją zabierzesz do kurortu - wyjaśniła Nely, śmiejąc się. - Biedaczka!

- Byłaś już nad morzem w tym roku, Cece - uśmiechnęłam się - chcesz znowu pojechać?

- Hau! Hau! Hau! - brzmiała odpowiedź. Claudia poruszała trzymanym w rękę pluszowym pieskiem. Był okropnie brzydki. Z tyłka zwisała mu metka.

- Wiesz, kim jestem? - zapytałam.

- *Superwoman*. Naprawdę.

- To Diana Blanco, głuptasie - mówiąc to, Nely zaciągnęła zasłony w oknie, naciskając odpowiedni guzik. - Nie udawaj dziewczynki, proszę. Wiesz przecież, kim jest.

- Jasne - odparła Claudia i szepnęła coś pieskowi - to Żyrafa, hau.

Roześmiałam się. Claudia wciąż pamiętała pierwsze przezwisko, jakie mi nadała, nawiązujące do mojego wzrostu.

Zalany szarym popołudniowym światłem i wypełniony zapachem wilgotnych roślin pokój wydawał się najbardziej ożywioną rzeczą w tym domu. Paradoksalnie, ponieważ stanowił grób Claudii. A w nim była ona, w sarkofagu gigantycznego łoża, zawsze tak silna i tak słaba.

- Żyrafa - powiedziała schrypniętym szeptem - ten pieprzony deszcz na scenie. Na czworakach. I znowu ten pieprzony deszcz.

Wiedziałam, że chodzi jej o nasze próby w policyjnych teatrach, które mają zamontowane w sufitach specjalne skraplacze dla wywołania efektu deszczu. Ćwiczenia z mokrym ciałem stanowiły podstawę w przypadku niektórych masek, ale ja wyjątkowo ich nienawidziłam.

- „Och, znowu, ten pieprzony deszcz...” - naśladowała mnie.

3 Bottom w przekładach polskich *Snu nocy letniej* występuje jako „Spodek” (Koźmian, Tarnawski, Gałczyński), „Dupek” (Słomczyński), „Podszewka” (Barańczak), por. S. Barańczak, *Dwa postscripta szekspirowskie w: Ocalone w tłumaczeniu*, Poznań 1994, Wydawnictwo a5.

- Tak, Cece - uśmiechnęłam się na to nieoczekiwane skojarzenie wywołane przez jej pamięć - ten pieprzony deszcz.

Claudia Cabildo była w moim wieku, ale wydawała się o trzydzieści lat starsza. Nadal szczupła, niemal ascetyczna. W jej twarzy wyróżniały się oczy: niebieskie, odległe, dwa magnesy, dwa puste nieba. Czula opiekunka Nely upiękzyła Claudię na spotkanie. Jej jasne, krótkie włosy błyszczały świeżo uczesane, spódnica i bluzka były czyste i wyprasowane, a całą postać otaczała delikatna woń lawendy. Nagle przyszło mi do głowy, że rozumiem tę miłość Very do biednej Elisy. Ale nie sądziłam, że to naprawdę miłość, raczej potrzeba znalezienia własnego odbicia w koleżance i stwierdzenia: „Ona robi to samo co ja. Nie jestem sama w tym szaleństwie”.

Nie, nie kochałam Claudii. I w rzeczywistości jedynie u d a w a ł a m, że jej pragnę.

Ale nie przychodził mi do głowy nikt inny - nie wyłączając Miguela - komu mogłabym się zwierzyć, niczego nie tając. Z wyjątkiem pana Peoples, oczywiście, do którego jeszcze nie zadzwoniłam i o którym nie chciałam myśleć.

- Doskonale wyglądasz, Cece. Plaża dobrze ci służy.

- Tak, Żyrafo, bardzo dobrze.

- Coś ci przyniosłam.

Nely zostawiła nas same „aż do pory na soczek”, wobec tego usiadłam u stóp Claudii i wyjęłam z kieszeni kurtki holoprzełęczarkę.

- Wiesz, kto to? Synek naszej Tere Obrador... W zeszłym miesiącu skończył pięć lat, byłam na jego urodzinach... Zrobiłam te zdjęcia dla ciebie... A to Tere... Poznajesz ją? -

ufałam, że rozpozna imię szybciej niż trójwymiarowe twarze, które jawiły się przed jej oczami niczym barwny dym.

- Władczyni.

Roześmiałam się, podniecona.

- Tak, to Władczyni... chciałam ci pokazać jej synka... To też twarz Tere...

Rozmawiałyśmy z Claudią wiele o Tere i nie ulegało wątpliwości, że pamiętała ją, ponieważ wymieniła przezwisko, które jej nadałyśmy, jako że Gens obsadzał ją zawsze w rolach władczych kobiet.

Teresa Obrador rozpoczęła naukę razem z nami, ale porzuciła ją, gdy jej matka zmieniła zdanie co do niej i zagroziła pójściem do sądu, jeżeli nie zwróci się jej dziecka.

Wszystko zostało załatwione dzięki odszkodowaniu i chociaż Teresa niemal przyplącała chorobą wymuszenie na niej porzucenia zajęcia, które tak lubiła, skończyła inne studia i wyszła za mąż. Poszłam na jej ślub i starałam się być na wszystkich urodzinach małego Victora (nie chciałam wiedzieć, czemu nadali mu to w ł a ś n i e imię). Był to chłopczyk o buzi okrągłej jak u mamy, skrzat o tłuściutkich rączkach. Uwielbiałam na niego patrzeć.

- Mogę przetrzucić te zdjęcia do twojego komputera, jeśli tylko zechcesz -

zapropnowałam. Claudia nie odpowiedziała i nagle poczułam się jak idiotka, wyłączyłam aparat i schowałam go do kieszeni kurtki. - Tak naprawdę, Cece, przyszedłam ci opowiedzieć o czym innym...

I zaczęłam. Opowiedziałam wszystko, jej i pluszowemu pieskowi. Już wcześniej opowiadałam jej o Widzu, tak więc szybko przeszłam do zniknięcia Elisy i do impulsywnej decyzji Very, która z kolei wpłynęła na moją. Claudia jedynie słuchała albo udawała, że słucha, wpatrując się we mnie swoimi wielkimi, głębokimi jak studnie oczami.

- Boję się, Cece... Jestem umoczona... Nie tylko przez Verę, przez siebie samą też...

Ten facet jest niebezpieczny... Duża sztuka... Nie mogę pozwolić, żeby to Vera na niego polowała...

- No cóż, Żyrafo... - rzekła Claudia beznamiętnie.

Czy mnie w ogóle zrozumiała? Nieważne. Zwierzałam się jej dalej.

- Nie wiem, czy tym razem go upoluję. To sprytny skurwysyn. Zdołał oszukać profilowców. Wiem tylko, że muszę spróbować... Jest już dwadzieścia ofiar, wyobrazasz sobie? Naprawdę cholernie duża sztuka, Cece. Mam trzy noce, zanim wyjdzie Vera. Muszę to zrobić... Muszę to być ja, i to jak najprędzej, ale tak bardzo się boję... Nikomu tego nie mówię, ale bardzo się boję, Cece... - bałam się, że się rozplaczę, ale w pewnej chwili coś się wydarzyło: oto nagle pięć lodowatych przedmiotów chwyciło moją rękę.

- Uda ci się - powiedziała Claudia - Jesteś *superwoman*.

Ręce Claudii były takie jak ona sama: nerwowe, słabe, napięte. Na nadgarstku miała blizny po kajdankach, w których ten potwór Renard przetrzymywał ją przez miesiąc w jakiejś norze na południu Francji „o ścianach z ziemi i suficie o skrzyżowanych belkach”, jak opisywała ciągle

biedna Claudia zaraz po uwolnieniu, trzy lata temu. Jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać, chociaż wytrzymała niepojętą serię tortur, nie odniosła poważniejszych obrażeń fizycznych. Renard wyrządził tylko spustoszenie w jej rozumie: doprowadził do całkowitego pomieszenia zmysłów.

- Uda ci się - powtórzyła Claudia, chociaż nie miałam pojęcia, czy pojmowała cokolwiek z tego, co do niej mówiłam. - Jesteś *superwoman*, Żyrafo.

Siedziałyśmy tak, trzymając się za ręce, aż przyszła Nely z sokiem owocowym. Wtedy się pożegnałam, ale przez całą drogę powrotną rozbrzmiewały mi w głowie słowa Claudii:

- Jesteś *superwoman*... Uda ci się. U d a c i s i ę.

*

Sen nocy letniej, jedna z młodzieńczych sztuk Szekspira, napisana, zdaniem Víctora Gensa, na zlecenie tajnego Londyńskiego Kręgu Gnostyków, jest dziełem zaskakującym: to świat wróżek, elfów, szlachetnych Ateńczyków i aktorów amatorów, z których jeden nosi głowę osła, a sok z czarodziejskiego kwiatu, gdy skropi się nim czyjeś oczy, sprawia, że osoba ta zakochuje się w pierwszej istocie, na którą spojrzy, choćby nawet najbrzydszą; to stanowi według Gensa „klucz do enigmofilii”.

Maska Enigmy należała do grupy Odrzucenia, to znaczy do tych, w których ofiara usidla się w ł a ś n i e dlatego, że n i e podoba jej się to, co widzi. Ruchy, zachowania i ton głosu przynęty wywołują w obiekcie niepokój pełen napięcia i pożądania, jak również czasowe stłumienie, pohamowanie pragnienia wyrządzenia krzywdy. Gens kazał mi próbować tę maskę po raz pierwszy w plenerze - na wiejskiej drodze w roli dekoracji - w kostiumie, jaki stanowiły jedynie wysokie buty i pareo zwinięte w rodzaj grubego sznura, na ziemi, z rozłożonymi nogami. Parę lat później odkrył bardziej „elegancki” sposób jej grania, bez przebrania i jakiegokolwiek dekoracji, przy użyciu jedynie przedmiotu, o który można się ocierać, jak jedna z kolumn jego barcelońskiego domu.

W moim mieszkaniu nie było kolumn ani dróg, ale nie potrzebowałam ich, skoro miałam oparcie krzesła. Opierając się o nie, zdjęłam spodnie od dresu i miałam właśnie zdjąć koszulkę, kiedy jeden z dozwolonych kanałów mojego telefonu przekazał na głośniki wiadomość. Postanowiłam, że jej wysłucham, ale nie podejmę rozmowy.

- Wiem, że tam jesteś, kochana, i ćwiczysz, i wiem, że jak zaczniemy dyskusję, rozpieprzę cały ten twój teatr, a naprawdę wcale nie chcę... Powiem ci to, co powiedziałem wczoraj, kiedy mi oświadczyłaś, że chcesz nadal polować: jesteś przeklętym uparciuchem, ale właśnie to mi się w tobie podoba...

Uśmiechnęłam się, stojąc nieruchomo w świetle zapalonych lamp z rękami ściskającymi koszulkę w geście jej zdejmowania. Pomyślałam, że tęsknię za nim, że pragnę poczuć, jak jego ramiona obejmują moje ciało i jak mnie całuje. A gdy o tym myślałam, łagodny głos Miguela rozbrzmiewał w głośnikach, jakby on także zwierzał się Claudii odległej i spustoszonej.

- Wiesz co? Od kiedy zaczął się nasz związek, żyję w ciągłym strachu, że coś ci się stanie...

Przypuszczam, że to rozumiałe, jako że powinienem pani powiedzieć, że szaleję za najlepszą przynętą hiszpańskiej policji... - znowu się uśmiechnęłam - ale nawet jeżeli to całkowicie rozumiałe, nie sposób się do tego przyzwyczaić... Jednakże, powtarzam, jesteś uparciuchem i czegoś takiego się spodziewałem... Twoje listy zawsze mają postscriptum, jak mawiała moja babcia. Wszystko, co zaczynasz, kończysz - przerwał na chwilę, a potem dodał

- to nie jest zły zwyczaj w pewnych sytuacjach, pewnie, ale ufam, że nie będziesz go nadużywała podczas trwania naszego związku. Nie chcę, żeby kiedykolwiek się skończył...

Wyszeptał to ostatnie zdanie w taki sposób, że zmusił mnie do odpowiedzi.

Powiedziałam głośno: „odpowiadam”, a kiedy zorientowałam się, że Miguel mnie słucha, odezwałam się:

- Pozwól mi zacząć z tobą bez zaległości, zanim pomyślę, żeby skończyć.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Rozumiem - przyznał Miguel - chcę tylko wiedzieć... Padilla dał ci trzy noce. Co zrobisz, jeżeli do niedzieli go nie złapiesz?

- Nie wiem - odparłam szczerze.

Znów milczenie, a potem pełne szacunku: „Kocham cię”.

- Ja też cię kocham - odpowiedziałam i wyłączyłam się. Przypomniałam sobie nagle coś, co profilowcy powiedzieli mi rano: „Jeżeli chcesz, żeby cię wybrał, pokaż, że jesteś c a ł a jego, świadomie. Spróbuj go k o c h a ć”. - Kocham cię, kocham cię, kocham cię... -

powtarzałam na głos, jak Tytania Bottomowi z twarzą potwora, zwracając się do Widza. I ubiję cię żywcem, ukochany...

Pozwalając, by ogarnęła mnie wściekłość, zaczęłam ściągać koszulkę.

11

Mężczyzna w szlafroku przewiązanym paskiem zszedł boso do niedużej piwnicy.

Przywitał się ze swoim asystentem i na jedynym pustym stole postawił ciężki pakunek: dwie torby zawierające prawie wszystkie towary, jakie udało mu się zdobyć w niedzielę; te największe pozostawił w garażu kilka pięter wyżej.

Włożył rękę do pierwszej torby i wyjął dwa pneumatyczne automaty do wbijania gwoździ i zszywek oraz wiertarkę zasilaną akumulatorem i zestaw cienkich wiertel w eleganckim futerale. Zauważył przyczepiony do niego kwit kasowy, zdjął go, otworzył

umieszczoną w ścianie spalarnię i wrzucił kwit do środka wraz z pustą torbą. Zauważył przy tym, że

zostało mu do spalenia sporo metek. Zamknął spalarnię, uznawszy, że zdąży spalić wszystko później.

Z drugiej torby wyjął wielkie nożyce krawieckie w opakowaniu z recyklingu oraz bardzo ważną rzecz, całe szczęście, że sobie o niej przypomniał - pneumatyczną pompę olejową. Ostatnio zauważył pewne problemy z narzędziami w drugiej piwnicy: skrzypiały, ilekroć ich używał, i to tak mocno, że stawało się to nie do zniesienia, a puszki smaru nie przynosiły żadnego efektu.

Na koniec postawił na stole fiolki z betadyną i pudełka z ampułkami disodolu, zakupione w pełniącej dyżur aptece.

Pozbył się w ten sam sposób opakowania i kwitu kasowego. Przygotowawszy to wszystko, odetchnął głęboko i pozwolił sobie na chwilę odpoczynku.

Był nieco wyprowadzony z równowagi: jako że była niedziela, został zmuszony do gorączkowego poszukiwania otwartego supermarketu. Zazwyczaj dokonywał zakupów z rozmysłem i korzystał z dużych upustów oferowanych przez stare, wyspecjalizowane sklepiki w centrum Madrytu albo wykorzystywał swoje kontakty w sieci. Jednakże ten ostatni tydzień pracy okazał się zupełnie szalony, pozbawiał go praktycznie chwili na odpoczynek i dopiero w sobotni wieczór zorientował się, że musi pilnie wymienić niektóre narzędzia, a może to zrobić jedynie w niedzielę. Zdecydował się na zakupy w Leroy-Merlin, choć nienawidził

wielkich centrów handlowych przepełnionych fałszywymi promocjami, w których targowanie się było nie do pomyślenia, jak w przypadku sieci czy niewielkich sklepików.

I jeszcze to zadrapanie. Ponownie je obejrzał w niebieskawym świetle fluorescencyjnych lamp. Była to prosta czerwona linia długości czterech centymetrów, tuż u nasady kciuka, na grzbiecie dłoni. Czytał kiedyś, że zadrapania i ugryzienia przez ludzi są bardzo niebezpieczne, dlatego zaraz po powrocie do domu przemył ranę sześciokrotnie, trzy razy zwykłym mydłem i trzy razy hiposanem, płynem dezynfekującym dla chirurgów. Rana przestała krwawić i zmniejszyło się podrażnienie skóry.

Skądinąd to zadrapanie nie drażniło go tak bardzo jak to d r u g i e.

Postanowił jednak zapomnieć o tej sprawie, a na to miał jeden niezawodny sposób: przypomnieć ją sobie po raz ostatni, po czym wrzucić do spalarni własnej pamięci.

Rękę zadrapała mu dziewczyna. To d r u g i e zadrapanie też chyba było jej dziełem, ale nie miał pewności. To pierwsze powstało po części z jego winy, ponieważ zauważył, przed przystąpieniem do dzieła, że dziewczyna ma długie, ostre paznokcie ze zdartym do połowy lakierem, co wskazywało, że są prawdziwe, a nie sztuczne, i że używała ich do wszystkiego. Młodociany kociak z paskudnym charakterem. Z całą pewnością na plecach albo na wzgórku łonowym ma jeden z tych wojowniczych głupawych tatuaży, w kształcie jakiegoś idiotycznego, fałszywie ezoterycznego symbolu. Pewnie też rozmaite kolczyki w najdziwniejszych miejscach. Na pierwszy rzut oka wydała mu się Hinduską z powodu rysów twarzy i koloru skóry, a potem stwierdził, że to Latynoska, kto tam dokładnie wie skąd, przy tej różnaitości ich akcentów. Chłopaka, który jej towarzyszył, nie widział

dobrze, ale niemal mógł sobie wyobrazić długie włosy i nagie bicepsy pokryte tatuażami.

Mimo wszystko przyznał, że miał szczęście. Kończył właśnie zakupy w Leroy-Merlin i postanowił zostawić mały zapasowy wózek hydrauliczny w sklepie, a do samochodu zanieść najpierw tylko dwie torby. Gdyby postarał się znieść wszystko na podziemny parking, co zajęłoby mu więcej czasu, być może teraz nadal składałby zeznania na komisariacie. Ale los zdecydował inaczej. W dodatku przy niedzieli parking był dość opustoszały i jego terenowego mercedesa bluefire zasłaniał jeden tylko samochód. Dlatego też mimo pewnej odległości bez trudu zauważył dwa cienie skradające się do wozu.

Natychmiast zorientował się, co się dzieje. Postawił torby z zakupami na ziemi i odszedł cicho, nie na tyle jednak ostrożnie, by dziewczyna stojąca na czatach nie zauważyła go i nie zaalarmowała swojego kumpla.

- Hej! - krzyknął, widząc, jak rzucają się do ucieczki

- Hej tam!

Chłopak zwał co sił w nogach i zniknął mu z oczu, natomiast dziewczynę udało się dogonić. I gdy już ją trzymał, pierwszą myślą, ku jego zaskoczeniu, było, że ma włosy jak Jessie. Jessie miała identyczne, to było widać mimo czarnej wełnianej czapki na głowie dziewczyny: długie, ciemnobrązowe, miękkie jak szalik. W dodatku była tak samo niska i szczupła. Pamiętał Jessie doskonale, mimo że minęło już dziesięć lat od jej śmierci.

Bez względu jednak na wszystko, przyspieszył i udało mu się pochwycić szczupłe ramię okryte niechlujną czarną kurtką.

- Hej! Hej! - powtarzał.

- Puść mnie! - krzyczała dziewczyna.

Odpowiedział: „dobrze, dobrze”, ale nie puścił jej. Przeciwnie, wykorzystał moment, gdy na chwilę przestała wrzeszczeć, i mocniej chwycił ją za ramiona. Nie było to trudne.

Obrócił ją ku sobie i to chyba wtedy go zadrapała.

- Cicho bądź - polecił, bez trudu przypierając ją do ściany, tuż przy swoim samochodzie. Starał się powstrzymać nerwy i zatkał jej usta pięścią.

- Uspokój się, słyszysz?... Nic ci nie zrobię... Jak będziesz krzyczeć, ochroniarz z parkingu wsadzi tu głowę, zobaczy cię i będziesz miała kłopoty. Przyjedzie policja, wsadzą cię, rozumiesz? Lepiej się uspokój.

Powoli odsunął ręce, nie dość daleko jednak. Gdy tylko ją puścił, zwinna sylwetka oderwała się od ściany i rzuciła na niego niczym gwiazda futbolu robiąca zwód. Był i na to przygotowany. Zdołał pochwycić dziewczynę w ostatniej chwili i zdusił jej krzyk w taki sam sposób jak poprzednio.

- Widziałem już zapuszkowane dziewczyny w twoim wieku - oznajmił. - To pieprzona chwila, wiesz, chociaż czasem szybko wypuszczają. Musisz się kapać na oczach innych, czasami w obecności

facetów, wiesz o tym? - Spodobało mu się opowiadanie takich głupot i patrzenie, jak marszczą się czarne brwi dziewczyny nad jego ręką kneblującą jej usta.

- Może cię szybko puszcza, ale zapewniam cię, że i tak wdepniesz w gówno...

- Ja... nic nie zrobiłam... - wyjęczała dziewczyna, gdy tylko pozwolił jej przemówić.

- Próbowaliście ukraść mój samochód. Moim zdaniem to jest coś.

- Nie... ja nie...

Teraz wydawała mu się pokorniejsza i odsunął się, by na nią spojrzeć. Odkrył nagle, że trzęsie się i szczęka zębami, a pot spływa jej po czole. Przypomniał sobie, że nie należy nikogo sądzić po pozorach: wiedział, że nie ma rzeczy czarnych i białych, jest tylko nieskończoność szarości o nieznaczących różnicach w tonach. Jednakże z żalem stwierdził, że zachowania takie jak w przypadku tej dziewczyny przyznawały rację hiszpańskiej prawicy, która zawsze uznawała, że wszystkie środki bezpieczeństwa i represji w Madrycie są i tak niewystarczające. To sprawiło, że przypomniał sobie liberalne poglądy Cristiny, swojej ostatniej towarzyszkii życia, w pięknym wieku dwudziestu trzech lat.

- Wiesz, czym jesteś? - zapytał uprzejmym tonem.

- Proszę... pozwolić mi odejść, proszę... - błagała dziewczyna, opierając się o ścianę.

- Wiesz, czym jesteś? - powtórzył.

- Ja... nazywam się... - podała mu swoje imię, nawet wiek, jedno i drugie pewnie fałszywe. Uśmiechnął się spokojnie.

- Nie pytam, k i m jesteś. Pytam, czy wiesz, czym jesteś? Coś ci powiem: jesteś na haju, prawda? Od kiedy bierzesz? Nie kupujesz niby tego ostatniego śmiecia, które rozwała ci mózg, prawda? Oglądasz taki program na Canal Joven „Wiedz, że”? Ten, który prowadzi Michelle, taka blondynka, niemiecka lekarka? Parę tygodni temu mówili o tych prochach i pokazali ludzi, którzy to biorą. Boże, nie widziałaś? Michelle ich broni, ale... jak można bronić tego koszmarnego stanu, w jakim się znajdują? Są jak mumie. Nawet gorzej: dziewczyny w twoim wieku wyglądają jak chłopaki. Takie zalane w cztery dupy, przeklinające i spluwające, gdzie popadnie. Nie widziałaś tego...? Spójrz, zaczekaj, mam coś dla ciebie.

Nie słuchała go, zalękniona, zerkając to w jedną, to w drugą stronę wielkimi, czarnymi jak węgiel oczami, których białka połyskiwały przy każdym ruchu półksiężycem barwy kości słoniowej, ale zatrzymała wzrok na ręce mężczyzny, gdy ten wyjmował ją z kieszeni.

Mężczyzna zatrzepotał jej przed twarzą banknotami. Wyjął z kieszeni drugą rękę.

- A tu mam wizytówkę z numerem telefonu. To klinika prywatna. Możesz tam zadzwonić i poprosić o wizytę, mówiąc, że dzwonis z mojego polecenia. Żadnych list oczekujących, żadnych pięciu minut na pacjenta czy pastylek, żebyś wytrzymała w samotności: nic z tych rzeczy. Potraktują cię jak królową,

wyprowadzą na prostą, wyleczą cię.

Możesz zabrać ze sobą jedną z tych dwóch rzeczy - poruszył obiema rękami, demonstrując plik euro w jednej i wizytówkę w drugiej, jak magik - ty wybierasz: dalej kupować te śmieci i rujnować sobie życie albo zerwać z nałogiem i nadać nowy sens własnemu istnieniu, zadać kłam tym wszystkim „szanowanym” obywatelom, którzy uważają was za bydło, za ludzką nędzę...

Dziewczyna wpatrywała się w niego oszołomiona. Pukle jej ciemnych włosów wysuwały się spod wełnianej czapeczki i otaczały twarz niczym kaptur, a żelastwo wiszące na szyi pobłyskiwało przy ruchu głęboko oddychających piersi.

- Dlaczego... dlaczego pan to robi? - zapytała.

Ograniczył się do wzruszenia ramionami. Dziewczyna popatrzyła na niego raz jeszcze i niespodziewanie, zwinnym ruchem zmił, porwała pieniądze i odbiegła. Stało się to w ułamku sekundy. Mężczyzna zaśmiał się, schował wizytówkę - reklamującą salon fitness, a nie prywatną klinikę - i musiał powstrzymać wesołość na samą myśl, że pieniądze, które dziewczyna porwała, należały do niej: kilka pięcioeurowych banknotów, które wyjął jej z kieszeni kurtki podczas przepychanki. „Ty kradniesz i ja kradnę”, pomyślał. Uznał, że ma przed sobą przyszłość jako kieszonkowiec. Ubawiony tym żartem zastanawiał się przez chwilę, potrząsając głową. Oczywiście, od początku przecież wiedział, co dziewczyna wybierze. Czy można było oczekiwać, że ta mała złodziejka zechce poprawić własny los?

Przecież tak było zawsze: najważniejsze to, co się świeci, pozory, blichtr. „Madryt na takim samym poziomie jak metropolie obłudy”, uznał.

Najpierw zauważył zadrapanie na rękę, które już krwawiło, ale uspokajał się myślą, że w domu ma wszystko, czego potrzeba do koniecznej dezynfekcji. Wrócił po torby z zakupami, podszedł z nimi do samochodu i włożył je do bagażnika; przed powrotem do sklepu po wózek coś go podkusiło, by sprawdzić, czy z jego wspaniałym wozem wszystko jest w porządku.

I wówczas to zauważył: drugie zadrapanie, na chromowanej granatowej karoserii, tuż przy klamce drzwiczek, skośne, może niezbyt długie, ale widoczne, bez wątpienia ślad pozostawiony przez jakieś narzędzie w niezdatnych, nerwowych łapach narkomana.

Dom znajdował się w górach, otoczony lasem. „Samotność i bliskość natury w pobliżu stolicy”, głosił anons reklamowy agencji, który przyciągnął uwagę mężczyzny. Był to dawny pawilon myśliwski należący do arystokratycznej rodziny. Jedyne, co mężczyzna zachował z dawnego wyposażenia, to taboret w pierwszej piwnicy. Czasami kładł na nim brudne ubranie.

Prowadził samochód, rozmyślając w milczeniu, jedynie przy akompaniamencie jednostajnego warkotu silnika. Panująca cisza przypominała mu własną bibliotekę z półkami sięgającymi sufitu, a przez ciąg skojarzeń studentkę filologii w okrągłych okularach, którą poznał dwa miesiące wcześniej. Zauważył, że na niebie gromadzą się znowu szare chmury -

cały weekend tak wyglądał - i w nocy pewnie znowu spadnie deszcz. Światło było nieco

przybrudzone, jakby przesączone przez dno butelki.

Podjazd pokryty zeschniętymi liśćmi zachrząścił pod kołami, gdy parkował na wprost szerokiej bramy. Na lewo znajdowały się drzwi garażu, w którym stały inne wozy, a także maszyny do malowania karoserii, ale po wyjęciu toreb i pozostawieniu nowego wózka przy drzwiach mężczyzna wszedł głównym wejściem i machnięciem ręki zapalił światła w jadalni.

Wewnątrz panowała głęboka cisza przesycona zapachem różnorodnych środków do czyszczenia mebli i odświeżaczy powietrza. Nowa sprzątaczką, z Ciempozuelos, przychodząca na godziny, okazywała się dosyć staranna. Poprzednia, starsza wiekiem Rumunka, zatrudniona od chwili kupna domu, zadzwoniła kilka tygodni wcześniej z płaczem, że jej syn ciężko się rozchorował i żałuje, ale będzie musiała wziąć kilka dni wolnego, by jechać do kraju. „To tylko parę dni”, powiedziała. Biedaczka wydawała się tak przejęta tym, że musi zostawić pracę, i tym, co się dzieje z synem, że mężczyzna nawet starał się ją uspokoić. Zapewniał, że nie widzi problemu, może przerwać pracę na tyle czasu, na ile musi, najważniejsze jest zdrowie syna. Ale gdy tylko odłożył słuchawkę, zablokował dostęp telefonów od niej, usunął jej numery i zlecił agencji znalezienie nowej osoby, która mogłaby rozpocząć pracę od następnego dnia. Kiedy Rumunka zdołała go jakoś zlokalizować, po tygodniu bezskutecznych wysiłków i nękania telefonami, oznajmił jej, że została zwolniona.

Nowa dziewczyna była bardzo dobra, dostatecznie głupia, by nie okazywać zbytniego zainteresowania, dostatecznie rozsądna, by nie wkurzać go historiami o chorych dzieciach.

- Cześć - odezwał się mężczyzna głośno - jestem. Cześć, asystencie.

Ale nie usłyszał odpowiedzi.

Jego „asystenta” - to określenie podobało się obu - nie było na parterze domu.

„Widocznie jest na dole”, pomyślał mężczyzna.

Pogwizdując melodię z jakiegoś starego filmu, wszedł do sypialni, postawił torby na podłodze i przeszedł do łazienki. Tam przemył starannie zadrapanie dwoma rodzajami mydła.

Potem wysuszał się i przez chwilę zabawiał penisem: ujął go kciukiem i palcem wskazującym i pocierał, póki nie poczuł, że twardnieje. Z członkiem wystającym ze spodni przeszedł do sypialni i rozebrał się, rzucając całe ubranie na łóżko: marynarkę, sweter, koszulę, wełniane spodnie, buty, skarpetki, nawet zegarek.

I wtedy zaczął krzyczeć.

Otworzył szeroko usta i przełknął ślinę. Żyłki na szyi mu nabrzmiały, a twarz poczerwieniała. Stał przy ścianie, przyjmując taką pozycję jak ktoś gotowy na atak w dzikim pojedynku, w którym wszystkie chwytaki są dozwolone. Nie przestając wyć, zacisnął

pięści i uderzył nimi raz, dwa, trzy, cztery razy w ścianę działową. Poczuł ból, ale niedostateczny. Dziewczyna od zadrapania, facet od karoserii... obrazy, które przelatywały mu przed oczami. Wiesz, czym jesteś? W i e s z, c z y m j e s t e ś?

Krzyki i ciosy ustały, ale wściekłość nie minęła. Podeszedł do łóżka, starannie posłanego, tak, jak wymagał, odrzucił narzutę i prześcieradła, zdjął poszewkę z poduszki i zaczął szarpać materiał. Do stóp spadło mu coś jak gigantyczne różnokolorowe płatki. To przypomniało mu, że musi wymyślić prostszy system pozbywania się ubrania po przepuszczeniu go przez skaner czystości, jako że trudno mu było znieść je do spalarni z pierwszej piwnicy, nie mówiąc o ryzyku pozostawienia gdzieś jakiejś szmatki, metki lub kawałka materiału. I kolejna myśl z głębi pamięci: któregoś dnia, gdy miał dwanaście lat, kolega z klasy pobazgrał mu zeszyt.

Nagle poczuł się zupełnie dobrze. Bolały go ręce, ale sprawdził, że nie zrobił sobie krzywdy waleniem w ścianę. Otworzył szafę, wyjął szlafrok w kolorze młodego bobu i włożył go. Łóżko stanowiło obraz nędzy i rozpacz i nie mógł pozwolić, by w takim stanie zobaczyła je następnego dnia sprzątaczką, ale postanowił posprzątać później. Miał

rozpakować torby, więc wyszedł z sypialni bosy i w szlafroku. Zatrzymał się na chwilę przed drzwiami innej sypialni. Była umeblowana jeszcze bardziej minimalistycznie niż jego.

Upewnił się, że nikogo tam nie ma. „Jest pewnie na dole”, pomyślał, teraz już z większym przekonaniem.

Minął salon i kuchnię i wszedł do garażu. Przyjemnie mu było dokonać bosy i w szlafroku na nagim ciele całej skomplikowanej operacji otwierania sterowanej elektroniką bramy, przeniesienia wózka hydraulicznego i ponownego zamknięcia wszystkiego. Potem przystanął przed trzema komputerami w rzędzie, które kontrolowały przez satelitę drogę dojazdową, blokady domu, alarmy i serwis informacyjny. Otworzył kolejne okna w tym ostatnim i przejrzał najnowsze doniesienia z Madrytu: poszukiwania domniemanego

„Truciciela” i domniemanej niezidentyfikowanej trucizny nie zainteresowały go, podobnie jak wiadomość o „mordercy prostytutek”, którą przeczytał uważnie. Uznał, że powinien sprawić sobie multikomputer, który zastąpiłby mu te trzy stare pecety. Wolał jednak jeszcze poczekać i zamówić go w częściach, a potem zmontować samemu. Było to tańsze i pozostawiało mniej śladów. W życiu wszystko jest kwestią czekania, stwierdził, przypomniawszy sobie, jak swego czasu udało mu się zacząć na chłopaka, który pobazgrał mu zeszyt, i śledzić go przez tydzień, i jak potem rozwalił mu łeb żelaznym prętem wykradzionym z warsztatu. Nie uważał

się za Shylocka, ale nie wybaczał targu o funt ciała.

Przy okazji przypomniał sobie, że w tym tygodniu musi znowu przeczytać *Kupca weneckiego*. Była w nim mowa o wyglądofilii, co właściwie streszcza się w przysłowiu „nie wszystko złoto, co się świeci” czy w scenie wybierania skrzyń przez Portię. Najważniejsze to dobrze poznać wroga.

Trzymając w jednym ręku torby z zakupami, odblokował drzwi do piwnicy i podeszedł do schodów, po których niekiedy kazał im schodzić nago, bijąc paskiem.

*

Odzyskawszy spokój w małej piwniczce, mężczyzna zwrócił się do asystenta. Kazał

mu przestać, wyciągnął rękę i sprawdził puls dziewczyny na szyi. Nadal był silny, a przy środkach przeciwbólowych i betadinie rany na piersiach i udach nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia dla jej życia. Zauważył, że wypłała dość dużo wody. Kalkulował, że mogą ją przetrzymać jeszcze kilka dni.

Stał przy niej i uśmiechnął się, odsuwając jej włosy z twarzy. Dziewczyna na klęczkach, z rękami skrępowanymi nad głową, przestała już krzyczeć i słabo jęczała, gryząc sznury, które krępowały jej twarz.

- Wiesz, czym jesteś? - wyszeptał.

Chrapliwy dźwięk wyrwał się z młodego gardła. Mężczyźnie przypomniała się latynoska złodziejka w centrum handlowym.

- Wiesz, czym jesteś? - powtórzył, wskazując rozbawiony na jej piersi. - Wybieraj: funt ciała albo pieniądze.

Żadnej reakcji. Było oczywiste, że potrzebują nowego materiału.

Wstał, a jego asystent przyklęknął znowu i sięgnął po wiertarkę. Posługiwał się nią leniwie. Wydawał się znudzony.

Mężczyzna sprawdził godzinę na ekranie komputera w piwnicy, który kontrolował tokarkę. Dziesięć po siódmej, dość czasu na dojazd do Madrytu. Po następną.

- Weź prysznic i przebierz się - polecił asystentowi.

- Jedziemy.

12

Liczyłam na to, że zostałam wybrana. Liczyłam na to, że to oni.

Wieźli mnie z wielką szybkością ciemną drogą. Domniemany „pracownik” siedział koło mnie na tylnym siedzeniu. Ten, który prowadził i nie przestawał mówić, był

holokaustofilem i moim kandydatem na Widza. Rzucił na mnie wesołe spojrzenia w lusterku wstecznym, a jego gromki głos dosłownie wypełniał wnętrze wozu.

- Odpowiadają nam dziewczyny, które na wszystko się zgadzają... A, cholera, wiesz przecież. Bez zahamowań. Takie, co to od razu kładą się i pozwalają zrobić wszystko... Czy to jasne?

- Daj spokój, Leo - mówił mój towarzysz - Elena ma więcej klasy niż takie...

- Dobra, z klasą czy bez, zrobi, co zechcemy - jego oczy uśmiechnęły się do mnie. -

Prawda, ślicznotko?

- Wy płacicie, wy rozkazujecie.

- O, cholera, widzisz, Pedro? Praktyczna dziewczyna.

Samochód jechał coraz szybciej, a mnie coraz szybciej waliło serce. Byłam spięta, czułam suchość w gardle i myślałam tylko o jednym: żebym się nie pomyliła. „To o n i.

Muszą to być o n i. I s ą”. Była niedziela, prawie pierwsza w nocy, ostatnia moja szansa dana przez Padillę. Myślałam o Verze, której nie zdołałby powstrzymać, mającej zacząć już następnej nocy. Myślałam, że czas mi się kończy i że dwie poprzednie noce były kompletną klęską. Uczepiłam się tej ostatniej możliwości, bo nie miałam już innych szans.

Zostałam wybrana w rejonie polowań w barze przy autostradzie, kiedy poprawiałam pasek kozaków i oparłam obcas o krzesło, co było ruchem holokaustowym. Ten fakt utwierdzał mnie w myśli, że rozgrywającym jest pan Cholera, a Pedro tylko wykonuje polecenia. Przypuszczałam, że c o ś łączy tę parę. Pożądali mnie, to na pewno. Gdyby ich spojrzenia były wodą, byłabym cała mokra. I udawali, zwłaszcza Leo. Jego wyglupy skrywały coś więcej niż zwykłe podniecenie po neokoce, którą bez wątpienia był

nafaszerowany.

- W końcu mieliśmy szczęście, co, Pedro?

- Pewnie, Leo.

- Po czterech godzinach jeżdżenia w kółko bez szans na żadną, która byłaby coś warta... Co się stało z twoimi koleżankami, ślicznotko? Pochowały się?

- Na pewno to z powodu tej historii z „mordercą prostytutek”, Leo - oświadczył Pedro.

- A tam, ten facet to wymysł mediów. Nie wierzę w to. A ty, mała?

- Elena wie, że z nami może być spokojna - Pedro znów odpowiedział za mnie.

- Ja nie wkładałbym ręki w ogień - roześmiał się Leo.

- Ale przynajmniej znaleźliśmy jedną, która wygląda na niezłą.

- Niezłą, ładną i poważną.

- Chyba nawet zbyt poważną. Ale, cholera, znam ten rodzaj dziewczyn... takie poważne na początku, a potem, zobaczysz, powaga im mija i pokażą ci wszystko, nie tak?

Pan Cholera, mój faworyt, zdawał się stanowić jedność z pedałem gazu. Nie zdejmował z niego nogi, mówiąc bezustannie, a z szeroko otwartych ust wydobywały się cząsteczki śliny. Miał kanaryjski akcent, coraz bardziej wyraźny, jakby przez cały dzień się powstrzymywał. Głowa praktycznie pozbawiona włosów błyszczała jak plastik w stłumionym świetle wnętrza audi. Miał starannie przyciętą bródkę, a pod nią dwa lub trzy podbródki, przez co sprawiał wrażenie, że ma na twarzy kilka kolejno włożonych masek. Był tęgi, ale nie niechlujny: miał ten typ budowy, że gdyby przestał o siebie dbać, szybko wyglądałby jak wielki kotlet, ale uniknął tego dzięki gimnastyce, „zdrowej” diecie, a może i tai-chi praktykowanym wspólnie z kolegami z pracy.

I był holokaustofilem. Wielki, porywczy, z tych, którym lepiej nie patrzeć w oczy, bo spogląda jak wygłodniały pies. Pożądanie zmuszało go do udawania. Pan Cholera odpalał

ognie sztuczne i skrywał w sobie wulkaniczną lawę. Gdzieś tam, w tych czeluściach, mogło się coś ukrywać.

Ja liczyłam na to, że to szaleństwo.

- Nie zwracaj na niego uwagi - mówił Pedro, siedzący za nim, obrócony w moją stronę. - Leo jest trochę narwany, ale to dobry człowiek... Oszczędzaj siły, Leo. Panienska leci na ciebie.

- Pewnie, oszczędzaj siły, Leo - przyznałam.

Leo wybuchnął śmiechem, ale jego kompan uśmiechnął się jedynie, spoglądając na mnie w ciemnościach samochodu, jakby mówił: „Ty i ja dzielimy coś, czego Leo nie może zrozumieć”. Jego wygląd pasował do takiego zachowania: szczupły, z dobrze przystrzyżoną brodą, o dużych, ładnych oczach, w których wirowała jego własna filia. Zorientowałam się, po półgodzinnych próbach, że kręci go to, co płynne, że dałoby się go usidlić podstawową maską zmiennych zachowań. Wydało mi się logiczne, że jeden z jego „pracowników” ma filię na punkcie płynu, ponieważ ta właśnie filia wykazywała właściwości innych i może z tego się brał błąd profilowców. Holokaustofil, któremu w wyborze pomaga płynofil: taki „zestaw” pasował i zaczynałam wierzyć w sukces. Ale mogły to też być dwa znudzone japiszony, w drogich ciuchach i samochodach, które wyszły się rozerwać, wciągnąwszy przedtem trochę tej nowej koki, którą handluje się w sieci i która, jak wieść głosi, nie niesie żadnego ryzyka, za to wywołuje wspaniałą erekcję. Szybko można to sprawdzić.

- Daleko jeszcze? - zapytałam.

Leo, który na chwilę przestał mówić i fałszował teraz niemiłosiernie melodię z *Hard Mess*, odpowiedział: „Tak, kawał”, gdy jednocześnie jego kompan rzucił: „Nie”.

- Jesteśmy blisko - dodał uspokajająco Pedro.

- Co się dzieje, panno Elenowska, ruska kurewko? - wybuchnął wesoło Leo. - Spiesz ci się?

Uprzedzali mnie, że bawi ich nazywanie mnie „ruską”, choć wiedzieli, że nie jestem Rosjanką. I bawiło ich wiele innych rzeczy, o których mnie nie uprzedzili.

- Nie, nie spiesz mi się, ale też nie mam dla was całej nocy. Mówiłeś, że to blisko, łysy jełopie.

- Jak mnie nazwałaś?

Pedro się śmiał. Leo wykręcił byczy kark i wziął ostro zakręt, aż zagrzechotały kieliszki z martini umieszczone na stoliczku między Pedrem a mną. Syknął do mnie:

- Posłuchaj, hiperkurwo, zapłaciliśmy ci więcej kasy, niż widziałaś przez cały miesiąc, prawda? A jak skończymy, damy ci resztę. Więc nie pierdol, że się spieszysz. Cholera. Czuj się wynajęta na całą pierdoloną noc, słyszysz? Należysz do nas.

- Nie, nie słyszę. Możesz krzyczeć głośniej?

Chciałam stopniowo podsycać prowokację. „Zdejmij przebranie, Leo, no już, Leo, pokaż, jaki z ciebie macho i jaki szaleniec...” Pod pretekstem poprawienia buta pochyliłam się na siedzeniu, a kiedy się wyprostowałam, uśmiechnęłam się, potem spoważniałam i wyciągnęłam ramiona. Cały ten bukiet gestów spodobał się płynofilowi będącemu w ciągłym ruchu, który patrzył na mnie tak, jakby jego oczy emitowały światło. Kazali mi usiąść z tyłu, kiedy wsiadaliśmy do wozu, a ja uznałam, że Pedra należy trzymać tak, by go w każdej chwili usidlić, Leo zaś pozostawić swobodę ekspresji. Pedro przestał się śmiać i odezwał się:

- Panienska ma rację, Leo, mówiliśmy jej, że to blisko...

- I co? Nie ma jeszcze pierwszej. Musisz wrócić do mamusi? A może boisz się stracić cnotę? Zapłaciliśmy ci chyba. Mamy cię na całą noc, więc zamknij swój kurewski dziób i nie otwieraj, póki ci nie powiem, żebyś otworzyła, i to szeroko. Zamknij się, do cholery, dobrze?

Zamknij się!

- Leo, proszę, dosyć już - odezwał się Płyn błagalnym tonem - Elena zgodzi się na współpracę. - Nie nadszedł jeszcze moment, bym stała się kąskiem oddanym Leo, więc nic nie powiedziałam. Pedro znów na mnie spojrzał.

- Leo ma swój charakter, ja swój. Ale dobre z nas chłopaki, możesz być pewna.

Dobrze ci będzie. Twoje zdrowie - podniósł kieliszek z martini i znów się napiliśmy.

Liczyłam na to, że w moim kieliszku jest narkotyk. Albo że któryś z nich pokropi mnie płynem do usypiania pachnącym różami. Liczyłam, l i c z y ł a m.

Pijąc martini, przestałam słuchać Leo i jego partnera i ponownie rozejrzałam się wokół, jak wtedy, gdy wsiadałam do samochodu. Systemy bezpieczeństwa funkcjonowały: wychwytywacz rozmów i znaków na desce rozdzielczej, blokada drzwi, czerwone oko skanera, by się upewnić, że nie mam przy sobie nawet scyzoryka, i radar wykrywający samochody w sąsiedztwie. Typowe zabawki ludzi, którzy pragną bezpieczeństwa i prywatności. Czulałam się jak więzień, który nie może nawet zadzwonić z komórki czy być śledzony albo namierzony przez ekipy dalekiego zasięgu. Siedziałam w czarnym audi, które jak jakiś bolid wiozło mnie w niewiadome miejsce. Chyba podali mi narkotyk. Dwa skurwysyny, nie ma co.

Ale ja chciałam, żeby to były dwa moje skurwysyny.

*

W pierwszą noc, tę piątkową, podchodziłam jeszcze do sprawy optymistycznie.

Odwiedziłam ponad połowę rejonów polowań, te o dużym, średnim i małym stopniu prawdopodobieństwa, i nad ranem byłam wykończona, a rezultat to paru pijaków, pojedyncze grupy rozrabiaków z przywódcami wykazującymi cechy holokaustofilii i policjant z taką samą filią, który nie przestawał się na mnie gapić i łazić za mną, aż zrozumiałam, że nic mi nie zrobi. Liczyłam jednak na dwie kolejne noce. W sobotę odkryłam dwóch możliwych kandydatów w dwóch samochodach, którzy zatrzymali się na mój widok, najpierw na drodze, w rejonie klubów, potem w mieście w rejonie Santa Ana. Jeden z nich objawił się niespodziewanie jako fałszywy obiekt pozytywny, pijak z filią na punkcie spontaniczności, który zaczął mi opowiadać, jaką to ma złą mamusię, i wyrzucił mnie z samochodu. Drugi zawiózł mnie w odludne miejsce, otworzył rozporek i kazał to zrobić ustami. Zostawiłam go natychmiast, bo już wiedziałam na pewno, że mój s e k r e t n y k o c h a n e k nie będzie chciał ode mnie seksu w chwili wyboru.

W niedzielę rano, nieprzytomna z braku odpoczynku i napięcia, napełniłam małą i niewygodną wannę w łazience ciepłą wodą i płynem do kąpieli i usiadłam w niej, wyciągając długie nogi. Zgasiałam lampę sufitową, pozostawiając zapalone tylko małe lampki na rogach wanny, specjalnej konstrukcji, niemogące spowodować spięcia. Była to dekoracja bardzo podobna do tej z pewnej sławnej próby dotyczącej maski Płynu. Światła i para przywodziły na myśl latarnie we mgle, jak w scenie z Jackiem, tym z Whitechapel, innym „Widzem”, który poświęcił się zabijaniu własnych prostytutek w Londynie, który jeszcze nie miał pojęcia o istnieniu masek i psynomów, a w Szekspirze widział jedynie swojego narodowego autora.

Gdy korzystałam z tej chwili relaksu, wypowiedziałam w pewnej chwili na głos numer telefonu Miguela. Jego ładny głos (Boże, jak bardzo za nim tęskniłam!) był tak samo łagodny jak letnia woda w wannie.

Niestety, rozmowa nie była już tak przyjemna.

- Nie mogę przekonać Padilli, żeby ci dał więcej nocy, kochanie - powiedział, wysłuchawszy mojej prośby.

- Przecież wiesz.

- Tak naprawdę nie wiedziałam - odparłam, nagle zirytowana. - Myślałam, że jesteś zastępcą dyrektora działu szkolenia przynęt. Proszę cię tylko...

- Diano...

- Proszę cię tylko - ciągnęłam uparcie - żebyś dzwonił do Very, do teatrów, po nocach, żeby musiały mieć próby, powiedzmy, przez cały tydzień. Tylko t y l e. Mam ci napisać oficjalną prośbę? Podpisać papier?

- Diano, kochanie. Nie możesz sama tego ciągnąć...
- Skończyłam już osiemnaście lat, tatusiu.
- Nie jestem twoim tatusiem i nigdy nie próbowałem - jak wszyscy urażeni mężczyźni Miguel zareagował z nagłym, udawanym chłodem. - Po prostu, szczerze mówiąc, widzę, że rwiesz się do tego sama... A nawet jeżeli wybierze właśnie c i e b i e... Wiesz, kim jest Widz? To bilet w jedną stronę dla przynęty. Jeżeli chcesz się zabić, wrzuc suszarkę do wanny, może się uda. To szybszy i mniej bolesny sposób.
- To gadanie nie na miejscu. Jestem przynętą. Wykonuję swoją pracę. W dniu, kiedy przejdę na emeryturę, dam ci znać.
- Chciałaś pójść na emeryturę tydzień temu.
- A dwa dni temu prosiłam o przywrócenie do pracy.
- I udało ci się. Padilla przyznał ci trzy noce. Dzisiaj masz ostatnią.
- Dzięki za pomoc - odpowiedziałam, ale się nie rozłączyłam.
- Diano, nie uda ci się w trzy noce ani w dziesięć... Ten typ ma jakąś technikę, dzięki której unika wyboru psynomowego... Nikt nie wie, na czym to polega. Wszyscy jesteśmy zdezorientowani.
- Wybrał jedną przynętę i może wybrać kolejną. - Wyprostowałam się w wannie i spłukałam pianę z głowy.
- Tego też nie wiemy. Elisa zniknęła, to prawda, i wstępne analizy wskazują na Widza, ale czekamy na wyniki kwantowe. Jest więcej szaleńców w Madrycie.
- Powiedz mi coś, czego nie wiem.
- Może to, że wiele dla mnie znaczysz?

Przez chwilę żadne z nas nie przerywało milczenia. Chociaż czułam się urażona, rozumiałam ostrożność Miguela i jego niezręczną sytuację. W głośnikach słyszałam jego oddech, czasem głęboki, a czasem urywany.

- Więc co mam zrobić? - zapytał w końcu zrezygnowanym tonem.
- Chcę więcej nocy - odparłam, sięgając po ręcznik - p o t r z e b u j ę więcej czasu.

Nie pozwól, żeby Vera wychodziła na własny rachunek, proszę.

Obiecał mi, że się o to postara, i rozłączyliśmy się, bez miłosnych deklaracji, żeby niczym nie skazić naszego uczucia.

Padilla zadzwonił do mnie godzinę później, kiedy robiłam próbę Holokaustu w salonie.

- Blanco, wybacz, że będę wulgarny, ale muszę ci powiedzieć, że mam po dziurki w nosie twojej siostruni i ciebie. Kazaliśmy Verze, żeby przyszła do teatru na dwie ubiegłe noce na próby ad hoc, i zrobimy to samo dzisiaj. Ale przysięgam na konstelację Strzelca, która patronowała moim narodzinom, że nie zamierzam zatrzymywać jej ani jednej nocy dłużej.

Mówiąc wprost, nie mogę się podjąć jej wychowywania. A dzisiaj, jak sama wiesz, jest niedziela, moja córka siedzi w domu i chcę skorzystać z jej towarzystwa, by zapomnieć, że od poniedziałku do soboty siadam tyłkiem na beczce prochu pod nazwą „Widz”. Może niezupełnie jest to proch... To raczej zaostrzony pal wbity w moją pieprzoną dupę z wyrytą na nim moją własną dymisją. Wyjdź na ulicę, zarzuć wędkę, złap tego palanta, usuń go i wszystko się skończy. Gratulacje, order, moja dozgonna wdzięczność. Ale nie drażnij mnie więcej.

Nie siliłam się na odpowiedź. Natomiast gdy tylko Padilla skończył, wypowiedziałam awaryjny numer Álvareza. Po zalogowaniu się PIN-em, wrzuceniu prośby „audiencja” i rozłączeniu zadzwonił telefon. Álvarez wykazał więcej zrozumienia, ale u niego pozory wyrozumiałości nie dawały się odróżnić od polityki.

- Diano, jest pani nieprzeciętnie uzdolniona - powiedział, jak gdyby właśnie przeglądał moje CV. - Jedna z najwyższych punktacji w testach na inteligencję. Dlatego myślę, że rozumie pani swoją sytuację. Pani siostra jest pełnoletnia. Nawet gdybyśmy ją zwolnili, nie moglibyśmy powstrzymać jej przed robieniem tego, na co ma ochotę. Pani też nie. Padilla dał pani trzy noce, ta jest ostatnia. Szczerze mówiąc, radzę, by wykonała pani swoją pracę i pozwoliła, by pozostali zrobili swoje.

Rozłączyłam się, wiedząc, że nie mam już do kogo uderzać z kolejną prośbą. Gdy przebierałam się do wyjścia, myślałam: tej nocy albo nigdy.

Miałam przed sobą ostatnią szansę.

*

A moja ostatnia szansa jechała z szybkością przekraczającą sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę w czarnym audi sunącym z cichym pomrukiem silnika, przypominającym nieustanny szum liści.

Jakiś czas temu zjechaliśmy z autostrady na Walencję i teraz pędziliśmy drogą lokalną obsadzoną sosnami. Mżył deszcz, a podmuchy wiatru uderzały w szyby. We wnętrzu audi wielki Leo podśpiewywał, zatopiony we własnej dzikości, Pedro zaś, błędny rycerz, rozmawiał przez komórkę z kimś, kto, jak się wydawało, udawał się w to samo miejsce co my. Do jakiejś chaty, gdzie wozi się kurwy i ćpa do woli. Przyjęcie *high class*, jak by to określił Nacho Puentes. Może przynajmniej jedna z dziewczyn będzie skrępowana przez Leo.

Ostra muzyka i pewnie wirtualne porno. Nic specjalnie dziwnego.

Zaczynałam się niepokoić. Postanowiłam, że muszę coś zrobić, zanim dojedziemy na tę orgię. Coś decydującego. Musiałam ich o d r z u c i ć. Sposób, w jaki mnie przyciągnęli, był podejrzany,

zważywszy na ilość pieniędzy, jaką zaoferowali za „noc zabawy”. I rzeczywiście, prawie mnie przytruili napojami, ale nie było to nic na uspokojenie, przeciwnie: serce mi waliło, policzki płonęły, a nabrzmiałe sutki bolały pod topem. Najwyraźniej zależało im, żebym była gotowa na w s z e l k i e pomysły. Ale wszystko to było rzeczą normalną w światku „szalonych nocy” urzędnika Pedra i urzędnika Leo. Prochy, dziwki, duża kasa.

Mogli być. Mogli n i e b y ć. Musiałam się upewnić, zanim odurzą mnie mocniej i zaczną tańczyć nad basenem, naga i pijana, z panem Cholerą.

Spojrzałam przed siebie i zauważyłam guzik odtwarzacza muzyki online wmontowany między stolik a telewizję. To się nadawało.

Chociaż Szekspir mówi o zmianach emocjonalnych (zwanym „zmianami stanu” w psynonice) w wielu dziełach, jedno konkretnie, *Wiele hałasu o nic*, poświęcone jest studiowaniu efektów takich zmian: narzeczony nagle odrzuca narzeczoną, mimo że ją kocha, jeden bohater przysięga, że zabije kogoś, kogo uważa za swego oddanego przyjaciela, ci, którzy ledwie się tolerują, nagle zaczynają się kochać, a ci, którzy wyglądają na głupków, odkrywają wszystkie oszustwa. Gens mówił, że *Wiele hałasu o nic* to symbol zmian stanu w maskach takich jak Płyn czy Holokaust, powodują bowiem kontrolowane pokrzyżowanie planów w obu. „Czasami żeby wejrzeć do środka - mówił - trzeba się tam dostać za pomocą lancetu”.

Gotowa byłam do brutalnego zabiegu.

Wyciągnęłam rękę i przycisnęłam guzik odtwarzacza. Natychmiast odezwał się rap, wierny jak olbrzymi pies, który szczeka na polecenie. To sprawiło, że obaj panowie obejrzeli się na mnie. Posłużyłam się muzyką, żeby kołysać się, jakbym tańczyła, ale w rzeczywistości były to dobrze obliczone ruchy. Nie robiąc przerwy, wzięłam kieliszek z martini i udałam, że piję, rozlewając część zawartości kieliszka na brodę. Obróciłam się do Pedra tak, żeby zobaczył moją szyję i ubranie ze spływającym płynem, co taką przyjemność sprawiało przy jego filii, zaśmiałam się jak pijana i zaklaskałam. Jeszcze zanim skończyłam ten pokaz, grubiućki palce Leo skierowały się błyskawicznie ku przyciskom i wyłączyły muzykę. Na taki finałowy szczegół czekałam. Nagła cisza była niczym opadnięcie kurtyny. Szorstko wyciszyłam wszelkie impulsywne odruchy i zrobiłam się poważna i spokojna.

Wiele hałasu o nic: harmider, który kończy się spokojem.

Koniec. Całkowity czas mojej sceny: osiem sekund.

Pedro był już wyłączony z bitwy. Był to zwykły płynofil, o podłożu raczej wulgarnym. Pokrzyżowanie planów unieruchomiło go z prawym ramieniem wspartym o wysokie oparcie, a lewą ręką nadal trzymającą telefon, przez który rozmawiał. Twarz zwrócona ku mnie, oczy szeroko otwarte, jakbym uprawiała jakąś fantastyczną akrobatykę.

Wargi lekko mu drżały. Ale wszelka inicjatywa z jego strony została przebita reakcją Leo z nad kierownicy.

- Co u diabła...? - wyjąkał. - Co zrobiłaś...? - Stracił panowanie i samochód zaczął się zataczać. - To nie jest twój kurewski samochód, ty ruski pomioście. - Pomyślałam, że jego także już nie. - Następnym razem zanim czegoś dotkniesz, pytasz o pozwolenie! Słyszysz! O

pozwolenie! - Leo najwyraźniej nadal coś w sobie ukrywał, a ja musiałam wiedzieć wszystko.

- Przykro... mi - zaczęłam, wypowiadając ten prosty tekst w idealnym momencie, po krótkim ćwiczeniu oddechowym, wypuszczając słowa niczym dym.

Niemal czułam, jak wystrzał mojego głosu trafia w samo sedno jego holokaustofilii.

Psynom to kruchy i soczysty owoc zamknięty w skorupie najgrubszej z możliwych. W owej chwili jednak skorupa Leo pękła.

- „Przykro... mi”? „P r z y k r o m i”? - Jego oczy w lusterku wstecznym chodziły od drogi do mojej twarzy uporczywym zygzakiem, a samochód, powoli opanowany, zaczął

tracić szybkość, przeciwnie do tyrady Leo, która coraz bardziej przyspieszała.

- Wiesz, co z tobą zrobię za to „przykro mi”? Wiesz, co ja robię z dziewczynami, ruska kurwo?! Wiesz, kurwo przeklęta?! O, cholera!

W owej chwili wiedziałam jedynie, że psynom kogoś, kto torturuje ofiary albo patrzy na tortury, nie współgra z desperacją Leo, by pozostać wolnym. To głośne pragnienie zdradzało nędzarza żyjącego w swoim nędznym świecie.

Cholerny pan Cholera nie był moją s e k r e t n ą m i ł o ś c i ą, moim Wielkim Skurwysynem, moim celem. Tym bardziej jego kompan. Nic ich nie łączyło z Widzem.

Kolejny fałszywie pozytywny obiekt.

Nagle nie mieliśmy już przed sobą drogi, tylko drzewa i krzaki. Błotnik zarył w barierkę przy poboczu i kiedy samochód wpadał w poślizg, miałam dość czasu, by uświadomić sobie, że poważny wypadek obchodzi mnie mniej niż ta kolejna klęska. Naraz wszystko zatrzymało się na niewielkim drzewie o gałęziach tak splątanych jak moje plany.

- Jezu! - wydukał Leo i wyłączył silnik. - Kurwa, niech to wszystko...!

Popatrzyłam na jego kompana. Był wciąż wytrącony z równowagi, ale stan ten miał

minąć, gdy tylko się oddalę. To samo działo się z Leo, ale podczas gdy Pedro okazywał swoje wytrącenie z równowagi mruganiem powiek i zeszywnieniem, Leo błaznował, podnosił głos, dodawał sobie odwagi.

- Wynoś się, ale już! Rusz dupę, kurwo! Wrócisz do Madrytu na czworakach, cholera!

O, cholera! Idź się pieprzyć z pierdolonym tatusiem...!

Stwierdziłam, że drzwi są odblokowane. Wyjęłam pieniądze, które mi dali, i zostawiłam na podolku Pedra.

- Właśnie tak, pierdolona kurwo! Wynoś się! Pierdol tatusia! Wynocha!

Miałam sobie pójść. Przysięgam, że miałam to zrobić.

Nawet już wyszłam z samochodu. Ale zawróciłam i zobaczyłam go, spuchniętego od krzyku i nadmiaru tłuszczu, wciśniętego w garnitur na miarę. Dziewięćdziesiąt kilo forsy i frustracji, które wyladowywał na chętnych dziewczynach.

Łysa masa z otworem, przez który wylewały się obelgi. Gówniany urzędas dwudziestego pierwszego wieku pod wpływem neokoki. Zastanawiałam się mętnie, co wyprawiał z dziewczynami, które zwoził na swoje prywatne przyjęcia w towarzystwie pokornego Pedra. Taka myśl wystarczyła, żebym stojąc wciąż przy samochodzie, otworzyła drzwi obok kierowcy, przytrzymała się dachu, oparła jeden but o siedzenie, a drugim wyrznęła go w twarz. Usłyszałam trzask w połowie ostatniego: „popierdol się z tatusiem”.

Potem zapadła zbawienna cisza. Na tylnym siedzeniu Pedro jęknął i skulił się w sobie.

Popatrzyłam na zakrwawionego Leo i pomyślałam, że co najmniej rozwaliłam nos kolejnemu fałszywie pozytywnemu obiektowi. Może nawet go zabiłam, a to byłoby, uznałam, prawdziwa szkoda.

- O, cholera - spuentowałam i zatrzasnęłam drzwi.

Potem poszłam nocą przez pola, sprawdzając, czy mam zasięg, żeby zamówić taksówkę.

13

Był poniedziałek, dwudziesta piętnaście. Stałam w domu przed odbiornikiem głosu z mojego telefonu. Migotanie LED odbiornika wskazywało, że mogę podać jakikolwiek numer telefonu, a połączenie zostanie zrealizowane.

Wpatrywałam się w odbiornik, wiedząc, że nigdy się nie odważę.

Mogłam podjąć decyzję bardziej logiczną, łatwiejszą. Mogłam wybrać życie.

Wróciłabym do Miguela, tym razem na zawsze. Spróbowałabym przekonać Verę, żeby porzuciła to szaleństwo. Sama porzuciłabym je także, znalazłabym inną pracę. Widz i tak prędzej czy później wpadnie, a Vera i ja ocalałybyśmy.

Na ścianie nad odbiornikiem wisiało lustro. Podniosłam wzrok i przez chwilę patrzyłam na siebie w zamyśleniu. Spoglądała na mnie kobieta o jasnych włosach, podkrążonych oczach, w niechlujnym ubraniu. Ta kobieta mówiła mi co innego: „Podły tchórz” na przykład. „Zostawiasz ją samą, jak wówczas, gdy zamordowano tatę i mamę.

Nawet nie próbuj się tłumaczyć. Wiesz, co ty robisz? Chronisz własny tyłek, żeby cię nikt nie dotknął. A ona zostanie sama i nie przestanie. Bo w głębi duszy, Diano Blanco, *superwoman*, w głębi duszy, wiesz, co się dzieje? Potwornie się boisz, że Widz zrobi z ciebie wariatkę jak z Claudii, i to w najlepszym razie. Ten strach powoduje, że stałaś się egoistką. To właśnie się dzieje. Mnie nie oszukasz”.

Ale nie miałam pewności. Nie do końca. Zawsze starałam się oceniać niesprawiedliwie sama siebie, co pomagało mi się poprawić. Jednakże, mimo krytyki ze strony własnej świadomości, wiedziałam, że dałam z siebie wszystko. Spędziłam trzy noce, oddając się sprawie w pełni, bez wahania. Tylko szczęście mi nie dopisało. Widz nie wyszedł

na polowanie, mimo że, sądząc po okolicznościach, wszystko na to wskazywało. A może i wyszedł, tyle że jeden z jego „pracowników” wybrał inny, niespodziewany obszar polowania.

A może działali w rejonach prawdopodobnych i nawet mnie widzieli, ale z jakiegoś powodu nie wybrali. Może byłam dla nich jakimś c h w y t e m, tą nieznaną sztuczką, która pozwalała im unikać przynęt. „Ale ja, posłuchaj dobrze, lustreczko, zrobiłam naprawdę w s z y s t k o, co mogłam”.

„Nie - odpowiedziało moje odbicie z całkowitym spokojem - wcale nie zrobiłaś w s z y s t k i e g o”.

I to podkusiło mnie, by ponownie spojrzeć na telefon.

Był poniedziałek, prawie wpół do dziewiątej wieczorem. Stałam już tak godzinę przed odbiornikiem. I przypomniałam sobie wówczas popołudniową rozmowę z doktorem Valle.

*

Postanowiłam złożyć doktorowi niespodziewaną wizytę. Sama dobrze nie wiedziałam po co, zrobiłam to instynktownie. Zaanonsowała mnie sekretarka, ale gdy wchodziłam do gabinetu, Valle wciąż miał zdumiony wyraz twarzy.

- Elena... Jak się masz? Nie spodziewałem się, że przyjdiesz. Usiądź, proszę.

- Nie nazywam się Elena - powiedziałam, nie siadając.

- Jestem Diana Blanco. Miał pan rację: kłamałam.

Otaksował mnie wzrokiem, jak gdyby chciał mnie zakupić, ale nie miał pewności, czy jestem warta podanej ceny.

- Nie ma problemu - powiedział. - Nie przechodź do defensywy. Podstawowa zasada każdej terapii brzmi, że pacjent nigdy nie mówi całej prawdy. Ale przyjmijmy, że mówisz prawdę i że zrobiłaś pozytywny krok, decydując się wrócić. Nie czyń sobie wyrzutów za ukrywanie faktów.

- To nie ja je ukrywałam.

- Nie rozumiem.

- Ukrywali je ci, dla których pracuję.

Valle poprawił okulary na nosie.

- Skoro już przyszedłeś, to czemu nie usiądziesz?

Usiadłam. Zauważyłam zasadniczą zmianę w tonie: był chłodniejszy, bardziej profesjonalny. Niespodzianka zmieniła się w podejrzenia. Wyobraziłam sobie, że dotychczas jakoś nie udało mu się mnie zaklasyfikować. Nie byłam nieśmiałą i zakompleksioną dziewczynką. Nie byłam sfrustrowaną mężatką. Nie nurkowałam w morzu narkotykowych nowości. Ale włączenie „innych” w moją egzystencję podsunęło mu zapewne myśl, że poza wszystkim wymykam się jakimkolwiek klasyfikacjom, że może potrzebuję nawet kogoś więcej niż tylko psychologa. W swojej karierze spotkałam już wielu szaleńców i wiedziałam, że wielu łapało się na takie słowa jak moje.

Nie uśmiechnęłam się, chociaż czułam taką pokusę. Nie przyszedłam pożartować, ale wyrzucić z siebie wszystko. Więc zaczęłam, niezwykle spokojnie, zanim zdołał o cokolwiek zapytać. Konsultacja, jak zawsze, odbywała się w półmroku. Jedynie komputer oświetlał

twarz doktora Valle i kilka lampek podświetlało okazy sztuki indiańskiej, dyplomy, szachownicę.

- Nie znajdzie pan nic na mój temat w Winf-Pat czy gdziekolwiek indziej. Mój dokument tożsamości i numer ubezpieczenia społecznego wystawione są na nazwisko Eleny Fuentes. Wszystkie dane są zmyślane. Nie ma nic, co by dotyczyło naprawdę mnie, poza moimi inicjałami w tym artykule. Nic więcej. Nie ma mnie - wyglądał, jakby sądził, że to wyznanie bierze się z mojego smutku, więc szybko dodałam - a to, co panu mówię, to nic ważnego. Pan tego nie słyszy. Tej wizyty nigdy nie było. Jestem jak aktorka, ale moje prawdziwe życie to tajemnica państwowa. Jeżeli teraz pan wyjdzie i opowie sekretarce połowę z tego, co tu powiedziałam, żadne z was nie przeżyje doby. Niech pan sobie wyobrazi, że jestem jak trujący gaz zamknięty w butelce. Proszę otwierać ostrożnie.

- Czy coś mi się stanie? - zapytał spokojnie.

- Z m o j e j strony nic. Pan sądzi, że ludzie ukrywają prawdę w obronie własnej. A ja ją ukrywam w obronie cudzej. Dlatego poprzednim razem uciekłam z wizyty, gdy zaczął

pan dobierać się do butelki z gazem. Nie oszukałam pana co do moich objawów: źle sypiam, mam bóle głowy... Mam lekarzy, do których mogłabym się zwrócić, ale chciałam rozmawiać z kimś s p o z a mojego życia. Na początku sądziłam, że zdoła mi pan pomóc, nawet jeżeli niczego nie będę musiała opowiadać, aplikując jakieś recepty z psychologicznej kuchni, nie wiem, czy pan rozumie. Takie: „weź to, zrób tamto”. Głupota. Pan jest na to za dobry. A gdy wspomniał pan o Winf-Pat, zrozumiałam, że muszę uciec, żeby pana chronić.

Przerwałam. Wyraz twarzy doktora Valle zdradzał profesjonalistę, który już wyciąga wnioski. Patrzył na mnie jak na biedną dziewczynę, która chce „dodać sobie ważności” i żeby to osiągnąć, nie waha się popaść w szaleństwo. „Panie doktorze, proszę spojrzeć, jaka jestem ważna”. Byłam zdecydowana wyprowadzić go z błędu, ale chciałam posuwać się wolno, nie przewracając się na wybiegu niczym debiutantka.

- To jest moja dobra strona - ciągnęłam. - A zła - że jestem egoistką, a... a przy panu po raz pierwszy poczułam, że się uspokajam i mam wsparcie. Nadal tego potrzebuję. Dlatego dzisiaj rano postanowiłam wrócić i narazić pana, żeby otrzymać kolejną dawkę pomocy. Ale decyzja należy do pana: jeżeli nie chce pan dalej słuchać, zrozumieć. Odejdę i nigdy mnie pan nie zobaczy. Już pana uprzedzałam o ryzyku.

Ledwie pozwolił mi dokończyć. Kiedy mówiłam: „odejdę”, podniósł rękę, jak gdyby moje słowa były ludźmi, którzy podchodzą do niego, żeby walczyć.

- Diano, jestem tu po to, żeby wysłuchiwać zwierzeń. Przyszłaś do mnie, więc cię wysłucham i postaram się pomóc - pozwolił sobie na lekki uśmiech. - I nie przejmuj się: bez względu na to, jak dziwaczne jest to, co mi mówisz, zapewniam cię, że opowiadano mi już dziwniejsze rzeczy.

Ja też się uśmiechnęłam. Przerwa przedłużała się niczym przyjacielska kolacja. Nie przestając się uśmiechać, powiedziałam w końcu:

- Nawet pan sobie nie wyobraża, co pan usłyszysz.

*

Mówiłam przez dziesięć minut, zanim mi przerwał. Już nic na pewno nie było takie samo: ja byłam aktorką, a Valle moją publicznością. Przesuwał powoli ośrodek swego zainteresowania z mojej osoby na to, co mówiłam.

Używany przeze mnie język z początku brzmiał mu znajomo.

- Zaczekaj, znam teorię psynomu...

- Wspaniale, to może mi ją pan wyjaśni - zakpiłam. - Ja nigdy nie mogłam jej zrozumieć.

- Ma wyjaśnić, że to, czym jesteśmy, co myślimy i co robimy, zależy wyłącznie od naszych pragnień; że wyrażamy te pragnienia w każdym ułamku sekundy: gestem, ruchem oczu, głosem... Niektórzy psychologowie wysunęli nawet parę lat temu teorię, że ta ekspresja jest obliczalna. To znaczy, że da się wyliczyć i wyrazić za pomocą czegoś w rodzaju...

matematycznego zapisu, jak genom, i stąd nazwa „psynom”. Psynom byłby zatem czymś w rodzaju kodu naszych pragnień. Ale dowiedziono, że nie da się przepuścić przez komputer miliarda danych z wyrazu twarzy i otoczenia ani zmian dokonanych z określoną częstotliwością. To tak, jakby chcieć skomputeryzować nieskończoną liczbę posunięć szachowych - wskazał na szachownicę. - Więc teoria poszła w zapomnienie. Nie da się jej dowieść. A może się mylę?

- Tylko w jednym - odparłam z uśmiechem: - Teraz o w s z e m, m o ż n a. Kiedy wynaleziono pierwsze komputery kwantowe, które wykonują... no dobrze, t r y l i o n y operacji na sekundę, zarejestrowano gesty, tony głosu, zachowania ludzkie wobec nieskończonej liczby bodźców i dowiedziono, że można je pogrupować według pewnych cech wspólnych. Jest ponad pięćdziesiąt grup: noszą nazwę filii i każdy człowiek ma jakąś.

- Ciekawe - Valle uśmiechnął się sceptycznie - ale nie znam tych opracowań.

- Bo są tajne - szepnęłam, a Valle przyjął to jak dobry dowcip i odparł: „Aha!”, też znizywszy głos. - Obiekty z taką samą filią zachowują się identycznie wobec identycznych bodźców. Nas, przynęty, szkoli się w wykrywaniu filii.

Uświadomiłam sobie, że doktor Valle wraca do swojej pierwszej diagnozy: że to, co mu opowiadam, stanowi deliryczne urojenie.

- No dobrze, dobrze... A jaką ja mam „filię”? Wiesz już?

- Pan jest zdobywcophilem - odparłam natychmiast. - Proszę nie brać sobie do serca tej nazwy.

- A co to oznacza? - zapytał, jakby chodziło o znak zodiaku.

- Ogólnie rzecz biorąc, że lubi pan, żeby ktoś się poświęcał, ale nie dla pana... Lubi pan ofiary, nieszczęśników, tych, co kapitulują... Ale ponadto to, co naprawdę pan lubi, to obroty ciała, by dało się zobaczyć tylną stronę. Nie chcę powiedzieć, że lubi pan oglądać tylko tyłeczki, ale tyłeczki także - zaśmiałam się. - Pana psynomowi odpowiada oglądanie przedziałka na pupie, który się od pana oddala. I poszarpane obrazy, takie jak w popękany lustrze. Wiem, że mnie pan nie rozumie.

Arístides Valle zaniemówił. Domyślałam się, że po raz pierwszy ktoś, szalony czy nie, powiedział mu coś podobnego. Szybko jednak zebrał się w sobie, jak zresztą oczekiwałam.

- Przykro mi, ale nie rozpoznaję siebie w niczym, co powiedziałaś.

- To dlatego, że sami nie jesteśmy świadomi, czego naprawdę pożądamy. Kiedy widzimy, że ktoś robi coś, co się nam podoba, przypisujemy to czemuś innemu, żeby to zrozumieć: mówimy, że się zakochaliśmy albo że podziwiamy czyjąś inteligencję... Moi profesorowie mówili mi, że psynom nie kryje się w świadomości, ale że ją w sobie z a w i e r a.

- Czasami jednak zakochujemy się naprawdę - zaprotestował Valle.

- Mówiłam już, że określenia są mało ważne. Panu może się bardzo podobać jakaś kobieta i określi pan to mianem „miłości”, ale w rzeczywistości nastąpiła pewna sekwencja faktów: kiedy ją pan poznał, poruszyła się w określony sposób albo coś powiedziała jakimś tonem, albo na tle, które zadowoliło pana jako zdobywcophile. Czysty przypadek. Gdyby zobaczył pan tę kobietę na jakimś konkretnym tle i ubraną w określony sposób, i gdyby ona z a g r a ł a lepiej, zostałby pan „usidlony” i trudno byłoby panu ją rzucić. A gdyby ona nadal zaspokajała pana filię, rozkosz, jaką by pan odczuwał, byłaby maksymalna i zostałby pan „zawładnięty”. Nie mógłby już pan działać z własnej woli. Nas, przynęty, naucza się sztuki usidlania i zawładnięcia.

- Zaraz, zaraz... - doktor Valle nadal okazywał sceptycyzm, ale widać było, że moje szaleństwo go zaintrygowało. - Zgodnie z tym, co mówisz, nie istniałyby żadne prawdziwe uczucia. A ta kobieta z podanego przez ciebie przykładu porusza się, coś mówi, a ja się w niej zakochuję... Przyjąwszy, że to prawda, świat byłby teatrem.

- Właśnie tak, teatrem. Przynęty są jak aktorzy: uczymy się zestawu gestów, tonów, scen i kostiumów i oferujemy coś w rodzaju... spektaklu, który usidla innych. Nazywamy to

„maskami”. Każda filia ma swoją.

- Więc uczucia są dla ciebie tylko tym? „Maskami”?

Wzruszyłam ramionami.

- Nasza inteligencja nazywa to „uczuciami”, ale dla psynomu wystarczy „maska”.

Mówiłam już, że nazwy nie mają znaczenia. Przynajmniej dla przynęty nic nie znaczą... A tak naprawdę spekulacje filozoficzne też nic mnie nie obchodzą.

- Więc pracujesz jako przynęta... - Valle w zamyśleniu pokiwał głową. - Zawsze wiedziałem, że policja ma takie osoby, ale nie sądziłem, że to zjawisko jest tak złożone.

Myślę, że są sposoby prostsze i bardziej bezpośrednie, by walczyć z przestępczością...

- Nie w tej chwili. Dzisiejsza technologia jest ogólnie dostępna. Dziś naukowcy wymyślają substancję, która ma zapobiec, by DNA mordercy dało się usunąć ze zwłok, a jutro ktoś wymyśli inną, która eliminuje działanie poprzedniej. To samo dzieje się z bronią i ze wszystkim. Już jakiś czas temu zaprzestano tej drogi. Właśnie dlatego trzymano w sekrecie odkrycie i sklasyfikowanie psynomu: bo jedynie to mogło nam zapewnić bezpieczeństwo...

Morderca może zatrzeć ślady swojego DNA, ale nie sposób, w jaki wybrał ofiarę, w jaki ją zabija, a potem porzuca: to wszystko zależy od jego psynomu. Pewna firma podejrzewana o pranie pieniędzy zatrze swoje ślady, posługując się zaawansowaną technologią informatyczną. Ale przynęta może do niej przeniknąć i zdobyć dowody, o ile usidli psynom wysoko postawionego urzędnika... Psynomu nie da się udawać ani ukryć: nasza rozkosz to formuła matematyczna. Nawet gdybyśmy próbowali, odkryją to komputery. A kiedy zna się filię zbrodniarza, przynęty odgrywają maski, żeby go przyciągnąć. Dzisiaj używa się przynęt na całym świecie. W Hiszpanii zatwierdzono je potajemnie po wybuchu bomby 9-N.

Doktor Valle słuchał mnie, jakby chciał powiązać nici mojej historii.

- Na całym świecie, mówisz...? Chyba dziwne, że znajdzie się tylu ludzi, którzy chcieliby w tym pracować, nie sądzisz? W jaki sposób się was dobiera? Odpowiadacie na ogłoszenia w gazetach?

- Cóż, w pewnym momencie jeden z psychologów, który uczestniczył w projekcie psynomu, wpadł na znakomity pomysł, Może pan o nim słyszał: doktor Víctor Gens.

- Tak. Katalończyk z pochodzenia. Kryminolog. Ale już chyba nie żyje?

- Zginął dwa lata temu. Miał wypadek na pełnym morzu.

- Tak, pamiętam, że chyba miał jacht czy żaglówkę, i utopił się podczas burzy. W

naszym światku to było ważne wydarzenie...

- No więc to jemu przyszło do głowy, żeby rekrutować przynęty. Było to proste i zarazem genialne: wystarczy wykorzystać własny psynom. Ustalił parametry, jakie winien mieć każdy psynom, by rola przynęty go z a d o w a l a ł a, i opracował program, do którego włączył szereg klinik na świecie. Zgłaszał się młody człowiek z jakimś problemem do jednej z tych klinik, badano jego psynom i jeżeli parametry się zgadzały, przechodzono do kolejnej fazy. Wybiera się zwykle tych, którzy pochodzą z rozbitych rodzin, w większości sieroty. Wtedy wszystko jest prostsze. Rząd bierze na siebie autoryzację i szkolenie. A trzymamy to w sekrecie, ponieważ chodzi o naszą r o z k o s z. Kto chciałby o tym opowiadać? W tym świecie wszystko się ze sobą wiąże, sam pan widzi - uśmiechnęłam się. -

Na koniec zawsze robimy to, co najbardziej lubimy.

- Innymi słowy, takie „sprzysiężenie” psychologów... - Doktor Valle pokręcił głową, wahając się zapewne, czy ma już zawiadomić szefa kliniki psychiatrycznej, czy dopiero po moim wyjściu. - Ciekawe, chociaż musisz przyznać, że brzmi to jak science fiction...

- Cóż, w rzeczywistości to nie jest nowa kwestia... De facto Gens twierdził, że psynom znano już pięćset lat temu. Uważał, że już Szekspir opisał wszystkie psynomy w swoich sztukach. Nie jest to teoria powszechnie uznawana, ale w Europie część szkolenia przynęt polega na dogłębnym studiowaniu dzieł Szekspira.

- Czyli łapiemy morderców, bo czytamy Szekspira...

Zignorowałam jego żartobliwe niedowierzanie.

- Na przykład cechy pana filii - upodobania do zdobyczy - są wyraźne w scenie abdykacji w *Ryszardzie II*, kiedy król prosi o lustro i rozbija je...

- Tak. - Doktor Valle machinalnie bawił się piórem.

- Nawiasem mówiąc, mogę się dowiedzieć, jaka jest twoja filia, czy to też tajemnica państwowa?

- Ja jestem pracofilem. Lubię przyglądać się różnym znakom fizycznym na ciele... -

przerwałam i wzięłam głęboki oddech. - Panie doktorze, wiem, że nie wierzy pan w ani jedno słowo. Ale ja p o t r z e b u j ę, żeby pan uwierzył. Po to przyszłam. Spróbuję to p o k a z a ć. Zrobię to bardzo ostrożnie, ale proszę mi wybaczyć, jeżeli poczuje się pan zażenowany.

Wpatrywał się we mnie przez szkła okularów i po raz pierwszy dostrzegłam w nim spojrzenie m ę ż c z y z n y. Jakbym wystawała na rogach w ażurowym topie. Jego wargi wyrażające przedtem lekkie rozbawienie, teraz wyrażały pogardę. Zdawał się mówić: „Jestem doktorem psychologii, nie nastolatkiem. Nie do mnie z takimi pomysłami”. Ale raczej spodobała mu się myśl, że przestanę wreszcie teoretyzować i zademonstruję mu, tu, w tym jego intelektualnym schronieniu, swoje szaleństwo.

- Zaczynaj - powiedział. - Co chcesz ze mną zrobić?

- Wykonam tutaj, na sofie, kilka szybkich gestów - wyjaśniłam. - Nim skończę, podniesie pan rękę do głowy i uda pan, że się drapie albo poprawia okulary. To będzie pierwsza oznaka pańskiej rozkoszy. Potem odczuje pan intensywną... intensywną erekcję. I to będzie druga oznaka.

- Aha - zgodził się poważnie, jakby wspomnienie o aspekcie seksualnym stanowiło szczegół, na który tylko czekał, żeby potwierdzić swoją diagnozę. Ale szybko wrócił mu na twarz uśmiech. - No dobrze, zaczynamy. Mam siedzieć czy wstać?

- Tak jest dobrze - powiedziałam i podniosłam ręce pod kątem prostym, pięści zaciśnięte i nieruchome, jakbym była przykuta do ściany. Potem połączyłam je w stawach i brutalnie rozłączyłam, z półotwartymi oczami i otwartymi w określony sposób ustami, tworząc podzielony obraz. Nie spuszczałam wzroku z doktora Valle przy każdym geście, ale wycofałam świadomość zwykłym wysiłkiem. Gens nazwałaby to „gestem abdykacji”. Był to teatr Gilesa Yilana. Oryginalna dekoracja, czyli purpurowa kanapa, nie była konieczna.

Zanim opuściłam ręce, Valle uniósł prawą rękę do skroni i podrapał się. Wtedy chyba nagle uświadomił sobie, co robi, i cofnął ją, trzęsąc się, jakby było mu bardzo zimno.

Staralam się zażartować, żeby zmniejszyć napięcie.

- Nie musi mi pan demonstrować drugiej oznaki. Wierzę panu.

Doktor Valle wpatrywał się we mnie, jakby oczekiwał czegoś więcej, jakiejś wskazówki, polecenia, chociaż widziałam dobrze, że nie został usidlony. Żal mi się go zrobiło na widok jego rumieńców.

- Proszę posłuchać, oszczędzę panu dalszych wrażeń - powiedziałam. - Gdyby połknął

pan środek nasenny, zachciałoby się panu teraz spać, prawda? Przyczyna i skutek. Otóż ja zrobiłam coś, żeby wywołać pańskie reakcje, a pan zareagował, to wszystko. Niech się panu wydaje, że widział pan film albo sztukę... Jedyne, co zrobiłam, to o d e g r a n i e p o ż ą d a n i a, a pański psynom zareagował na to - chrząknęłam. - Erekcja... szybko panu minie.

Nie zmienił pozycji, jego oczy wbijały się w moje, mrugał powiekami.

- Przykro mi - dodałam, a przełykając ślinę, poczułam ucisk w gardle. - Chciałam tylko, żeby mi pan uwierzył, doktorze... Ja... potrzebuję pomocy, p a ń s k i e j pomocy.

Wszyscy moi przyjaciele, człowiek, którego kocham, moja siostra... wszyscy należą do mojego świata. Jak to pan powiedział? Do teatru? Tak, tym jest moje życie... Potrzebuję trochę s z c z e r o ś c i - urwałam, smakując to ostatnie słowo. Paliły mnie oczy. - Podoba mi się moja praca, choć zarazem wiem, że jest okropna. Chcę to rzucić, ale moja siostra poszła w moje ślady i wmieszała się w bardzo niebezpieczne polowanie... Muszę ją chronić, ale nie wiem, jak... Nie wiem, z kim rozmawiać... Potrzebuję kogoś, kto mnie wysłucha i nie będzie na mnie patrzył jak na maskę... Wiem, że wewnątrz jestem czymś r z e c z y w i s t y m. Wewnątrz nie udaję... - Przesunęłam ręką po twarzy, ocierając łzy -

Przykro mi... nie chciałam panu przeszkadzać... Bardzo mi przykro... n i e n a w i d z ę tego, czym jestem...

Arístides Valle siedział sztywno. Jeżeli duszę może porazić uderzenie pioruna, to on stanowił doskonały obraz zjawiska. Odczekał, póki się nie uspokoję, i dopiero wtedy głosem cichym, ale bardzo twardym, przez zęby wysyczał, jakby mnie przeklinał:

- Wyjdź. W y j d ź s t ą d.

Skinęłam głowę i wyszłam z płaczem na ulicę.

*

„Ale nie ma pewności, nie wypróbowałaś w s z y s t k i e g o”.

Moje lustreczko miało rację, jak każde inne lustreczko.

Był poniedziałkowy wieczór, prawie za piętnaście dziewiąta, kiedy podjęłam decyzję.

Czułam pogardę dla samej siebie, wypowiadając na głos numer, ale nie mogłam rozpoznać przyczyny tej pogardy. Może to z powodu strachu, jaki odczuwałam. Strach, żeby uciec się do n i e g o ponownie, żeby z o b a c z y ć g o po latach - to wywoływało moją wściekłość: gęsty gniew, który podchodził do gardła jak wymioty, kiedy słuchałam dźwięku telefonu raz, dwa, trzy razy, ale który znikł, nie przeradzając się w słowa, gdy dotarła do mnie odpowiedź.

Wykrztusiłam jedynie:

- Chcę rozmawiać z panem Peoples - i dodałam jeszcze - proszę.

14

Park Strefy Zero znajduje się na południu Madrytu, a założono go na kraterze, który piętnaście lat wcześniej pozostawiła po sobie wielka bomba z dnia 9-N. To miejsce ciche, szare, niemal eleganckie. Są tam ogrodzenia, ławki wśród kwiatów i androgeniczne pomniki w pozach, które sugerują, że uciekłyby stamtąd natychmiast, gdyby tylko mogły. Nie miałam im tego za złe: to naprawdę niewiele więcej niż ugór o powierzchni trzech kilometrów kwadratowych, pełen duchów i przestępców, gdzie nigdy nie bawią się dzieci. Nawet w płaszczu odczuwałam pewien chłód. Pod spodem miałam tylko obcisłą bluzeczkę od Celi Touchstone, jeden z tych specjalnych modeli, który sprowadza się na zamówienie, w kolorze żółtym, ale z całym tyłem i ramionami wykonanymi z przezroczystej tkaniny. Gdy stałam bokiem, wyglądało, jakbym była naga. Nie miałam torebki, za to dopasowane do całości długie buty. Niedawne deszcze pozostawiły spore kałuże, w których zanurzały się moje obcasy. I chociaż owego wtorku o dziesiątej rano słońce przesłoniły potężne chmury, miałam ciemne okulary, może dlatego, że nie chciałam oglądać twarzy pana Peoples.

Park otaczały drzewa jak z bajki o złej czarownicy, z liśćmi zmiotymi przez wiatr albo ociekającymi deszczem. Miejska legenda głosiła, że w nocy młode prostytutki ze Wschodu

wdrapywały się na pnie, żeby zwrócić uwagę klientów w samochodach wolno sunących okolicznymi uliczkami. Każdy taksówkarz to powtarzał, zwłaszcza gdy pasażer był

facetem. Ja nigdy nie pracowałam w Strefie Zero, ale koleżanki, które chodziły tam polować, nie zauważyły, żeby jakakolwiek dziewczyna robiła coś takiego. Przypisywały tę plotkę temu, że ta część miasta była madrycką Małą Rosją, chociaż osiedlali się tam nie tylko Rosjanie. Z

całą pewnością komórka terrorystyczna odpowiedzialna za 9-N miała także swoją własną legendę.

Pod drzewami artyści na zlecenie ratusza umieścili swoje ekstrawaganckie prace. Na mojej trasie, aż po krańce graniczące z uliczką Corin, minęłam kilka z nich - w większości figury ludzkie z waty szklanej, z chustami na głowach: niektóre siedziały, powykręcane.

Pamiętałam, że w jakimś filmie dokumentalnym usłyszałam, iż powstały w hołdzie „dla ludzkiego bólu”. Nie wydawało mi się, żeby istniała potrzeba tworzenia takich figur, po prostu dlatego, że w zamachu 9-N zginęło ponad dziesięć tysięcy osób, włącznie z grupą, która stworzyła domowej roboty bombę atomową; rannych i dotkniętych promieniowaniem było dwa razy tyle. Nigdy w takich przypadkach nie myślę o liczbach. A figury nie podobały mi się nawet jako symbole ludzkiego bólu. Dla mnie „ludzki ból” nie wyrażał się w ładnej sylwetce; oznaczał raczej wymioty, nędzę, agonię, wrzody i krzyk. Nienawidziłam tego, podobnie jak nienawidziłam chorób. Nigdy nie wpadłoby mi do głowy stawiać im pomnika, podobnie jak dżumie czy paraliżowi.

Oczywiście wiedziałam, że pan Peoples jest innego zdania.

Od stóp do głów przeszył mnie dreszcz - jakbym dotknęła mokrymi palcami drutu pod napięciem dwustu woltów: na tle bezlistnych drzew i pustych ulic dostrzegłam samotną sylwetkę aktora wyjątkowego, pewnego siebie, jak zawsze, jedyne, dumne z siebie.

Czekał tam, gdzie zapowiedział, na krańcach parku, blisko ulicy. Poznałam go nawet od tyłu i dopiero podchodząc bliżej, zdałam sobie sprawę, że tych kilka lat, jakie upłynęły, odcisnęło się na nim z większą siłą, niż wynikałoby to ze zwykłej sumy dni.

Poznałam go, gdy był już stary, ale teraz jeszcze się p o s t a r z a ł. Plecy mu się pochyliły, jak gdyby siedział w teatrze w ostatnim rzędzie, starając się mieć jak najlepszy widok na scenę. Na głowie miał kapelusz z opadającym rondem, zapuścił brodę. Od niedawna używana laska wbijała się w ziemię niczym drewniana noga pirata. W odległości kilku metrów od niego grupa nastolatków w poszarpanych dżinsach, wełnianych czapkach z czerwonymi gwiazdami i szalikach przesłaniających twarze zabijała czas pod murkiem pokrytym starymi bohomasami. Zanim zauważyli moją obecność i rzucili w moim kierunku parę prowokacyjnych komentarzy, zauważyłam, że pokazują sobie „dziadka” w kapeluszu, jakby gapili się na śmiesznego bałwana, który zaczyna się roztopiać w słońcu. Oboje zignorowaliśmy tę grupę.

- Witam, panie Peoples.

Słaby uśmiech wykrzywił śnieżnobiałą brodę pod kościstymi policzkami i okrągłymi ciemnymi okularami.

- Witaj, Diano - odpowiedział doktor Víctor Gens.

*

- Mam zwyczaj spacerować po parku Bomby. Zmusza mnie do myślenia o samym sobie: coś nowego, co powstało na ruinach i śmierci. Dobre miejsce, żeby nikt nie przeszkadzał. Nawiasem mówiąc: nie śledzono cię, prawda?

- Nie, skądże - zdziwiło mnie to pytanie i rozejrzałam się wokół siebie. W parku było niewielu przechodniów, poruszali się jak na maskaradzie, kiedy trzeba chodzić z zawiązanymi oczami i mrużyć jak w transie.

- Ach, byłbym zapomniał... - Gens zaśmiał się chrapliwie - Chcę ci podziękować, że nie powiedziałaś nic więcej po przywitaniu, nawet wtedy, gdy umilkłem. Nic w rodzaju

„cieszę się, że...” czy „Jak wspaniale, że...”. Mój widok tak cię ucieszył jak widok karalucha chodzącego ci po twarzy, wiem. Dobrze, że przynajmniej nie udajesz. Co oznacza, że udajesz dobrze.

Uśmiechnęłam się niechętnie, by ukryć zaskakującą dla mnie samej nieśmiałość.

Upłynęły tylko dwa lata, ale stałam przed zupełnie innym Gensem. Alchemiczna mieszanina siły i słabości. Zwróciły moją uwagę ścięgna, które zdawały się podtrzymywać jego głowę niczym liny maszt, sieć zmarszczek wokół oczu pod ciemnymi okularami czy drżenie rąk, które nadawało całej postaci wygląd skostniałego z zimna bezdomnego. Był to dla mnie szok, nie mogłam się przyzwycząić. Musiałam zdobyć się na wysiłek, by uświadomić sobie, że to on. To był Víctor Gens grający starca. I grał dobrze.

- Będziesz mi musiała powiedzieć, co słyhać na świecie... Orientuję się co nieco, ale nie we wszystkim. Jestem trochę zbyt zajęty sobą. Spotkania z lekarzami online, rano pastylki w jednym kolorze, wieczorem w innym, wiesz, jak to jest... Prowadzę coś w rodzaju dziennika własnej obstrukcji. Przedtem spędzałem całe przedpołudnia, usiłując sobie przypomnieć, czy byłem w łazience po przebudzeniu, czy nie... Kiedy człowiek zapomina o własnym gównie, można powiedzieć, że nadszedł moment, by zamknąć interes... Potem mam ataki pytań, jak to określam... Jedno pytanie za drugim... Ale wszystkie oznaczają to samo: czy coś w życiu zrobiłem? To znaczy, coś, co było warto? I wiesz, jak brzmi odpowiedź? Że tak, że zrobiłem coś wartościowego. I teraz to coś spaceruje tu ze mną po parku.

Zacząłam dukać jakieś podziękowania, ale przerwał mi.

- Daj spokój. To jedyny pozytywny komentarz o tobie.

- Nie chciałam dziękować za te słowa, tylko za to, że pan przyszedł - odparłam.

Gens gwałtownie poruszył laską.

- Dajmy już spokój, Diano, sam przecież zostawiłem ci otwarte drzwi i tylko ja mogę ci je zatrzasnąć przed nosem. Tak chciałem. Jesteś moją spuścizną, moim zapisem testamentowym, więc dlaczego

niałbym nie zechcieć cię zobaczyć? Claudia Cabillo i ty, moje dwa zapisy dla świata... Dla tego świata w ruinach, zawsze tak młodego i tak starego, świata, który spokojnie śpi... - Rozejrzał się wokół pewnym wzrokiem, jakby rzeczywiście widział kogoś, kto śpi.

- Co ja mówiłem? - spytał. Przypomniałam mu. Skinął głową, ale nie podjął tego samego tematu, jak gdyby go już znudził. Podrapał się po brodzie. - Mówiłem ci, że możesz się do mnie zgłosić, dałem ci numer telefonu i nazwisko Peoples. Nikt poza tobą nie zna tego hasła. Nie chcę nikogo widzieć. Nie chcę nic wiedzieć. Dla mnie świat się skończył.

Po krótkiej chwili milczenia, które przypieczętowało to ostatnie zdanie, gdy tak krążyliśmy po obrzeżach parku, Gens podniósł swoją pomarszczoną twarz pod bezkształtnym kapeluszem.

- Widujesz ją? - zapytał. - Claudię?

- Czasami.

Kolejna chwila milczenia. Kolejne pytanie.

- Co z nią?

- Ma chwile przebłysków - odparłam. - Widziałam ją w zeszłym tygodniu i chyba mnie poznała. Ale ogólnie rzecz biorąc, nie wychodzi ze stanu odrętwienia. Czasami nawet nie zdaje sobie sprawy, że przy niej jestem.

- Renard dokonał dogłębnego wyniszczenia jej świadomości i odruchów. To była jego specjalność, jedna z wielu. Tak, tak, żołnierka... moja żołnierka... Dużo o niej myślę. W

końcu to ja ją stworzyłem, podobnie jak ciebie. Diana, moja Diana... - pozwolił, by głos mu przygasł, gdy wypowiadał moje imię. Potem roześmiał się. - Ile cię kosztowały te popisy posłuszeństwa! Grać uczennicę wciśniętą w ławkę, długie godziny na prześcieradle, a jednocześnie grać żołnierza, napakowanego testosteronem *marine*... „Panie, tak, panie!” Ależ fatalnie grałaś. Za to Claudii szło świetnie.

Przystanął. Kiedy się obejrzałam, uświadomiłam sobie, że nie przebyliśmy tak długiego dystansu, jak mi się wydawało. Wciąż widziałam chłopaków pod murkiem i słyszałam ich śmiech. Zrozumiałam, że poruszanie się w przestrzeni u boku Gensa to jak wędrówka w czasie. Byliśmy o krok od chodnika. Przed sobą mieliśmy uliczkę Corin; dalej oddział banku, supermarket i blok mieszkalny stwarzały wrażenie fałszywego spokoju.

Podmuch wiatru podniósł jednocześnie połę mojego płaszcza i grubej wełnianej marynarki Gensa.

- A ty? - zapytał. - Słyszałem, że się wycofujesz...

Nie zdziwiło mnie, że zna te informacje.

- No tak... wykańczam pewne prace. Kiedy skończę, rzucam to, tak.

- No cóż.

Nienawidziłam samej siebie za to, że mówię to wszystko ze wstydem, więc dodałam wyzywająco:

- Jestem zakochana. Chcę przeżyć coś jeszcze, kto wie, może mieć dzieci... Pamięta pan Miguela Laredo, prawda? Od roku się spotykamy. Chcemy razem zamieszkać.

Gens kiwał głową i słuchając mnie, mówił tylko „aha”. Wytrzymałam jego spojrzenie, ale nie mogłam przeniknąć ciemnych szkieł jego okularów. Natomiast odniosłam absurdalne wrażenie, że on, owszem, może przeniknąć moje. Kiedy umilkłam, odezwał się:

- A twoja siostra? Rozumiem, że nadal się szkoli...

- Z uporem maniaka - uśmiechnęłam się. - Chce koniecznie dokonać czegoś wielkiego.

- A, tak, tak. Widz. Niech cię nie dziwi, że wiem - dodał szybko. - Padilla regularnie przesyła mi raporty.

- To Padilla wie, że pan żyje?

- O, Boże, oczywiście! I ten handlarz... uciekło mi nazwisko... Álvarez, tak... Álvarez Correa. Tych dwóch wie wszystko. Może jeden bywa u drugiego, dzielą łożę i wiadomości... -

zaśmiał się. - Nie wiedzą tylko, gdzie jestem. Dlatego nie chcę, żebyś im mówiła, że się ze mną widziałaś. Sądzą, że jestem w Paryżu albo na folwarku...

Już sama wzmianka o folwarku, niczym nadejście oczekiwanej i budzącej obawy wizyty, sprawiła, że zadrżałam. Na szczęście Gens w swoim roztargnieniu zmienił temat.

- To właśnie Padilla wpadł na pomysł, żeby wykorzystać moje upodobanie do żagłówek do sfingowania mojej śmierci... W ten sposób mieli wspinałą wymówkę, żeby nie demonstrować zwłok. Rozumiesz chyba, że nie mogłem urządzić przedstawienia z własną śmiercią bez ich udziału... To jak kradzież w lokalu należącym do mafii: nie dasz rady sama.

Ale odmówiłem im jakiegokolwiek możliwości zobaczenia się ze mną, pod żadnym pozorem...

Wysyłają mi raporty na anonimowy adres mejlowy, ja je przepuszczam przez całą serię filtrów, a potem przesyłam na własny serwer. To banalne środki: jak kiedyś zechcą, znajdą mnie, ale najlepsze jest to, że i tak się dowiem. Tyle że nigdy nie zechcą. Potrzebują mnie.

Poczułam nagle głupią chęć, by mu pochlebić.

- Nie mogą się obejść bez kogoś takiego jak pan.

Popatrzył na mnie, nie zmieniając wyrazu twarzy, i przypomniałam sobie, że taką przybierał pozę wobec każdej przynęty: chciał wykazać, że nie zrobimy na nim wrażenia pochlebstwami.

- W każdym razie wycofałem się. Siedzę w moim Lesie Ardeńskim. - śmiejąc się, uniósł ramiona. - Jestem... kim? Starym Adamem? Jacques'em melancholikiem? Wiesz, podobno Szekspir grał Adama w *Jak wam się podoba*. Dziwne, prawda? Ta legenda, że zawsze grywał starców: Adama, ducha ojca Hamleta... Chciał może udawać starca... Nie pamiętam, po co to opowiadam...

- Mówi pan, że się pan wycofał.

- A, rzeczywiście... Na wygnaniu w moim Lesie Ardeńskim... póki ty, piękna Rozalindo, nie przybyłaś wydobyć mnie na światło słoneczne.

- Nie przybyłam znikąd pana wydobywać - zaprotestowałam - chcę tylko prosić pana o pomoc.

Na próżno czekałam, żeby mnie zapytał po co. W milczeniu kiwał głową. W pewnej chwili próbowałam poprawić przeklęty kosmyk włosów, który wymykał się z koka ciasno upiętego przed wyjściem z domu, a którym teraz posługiwał się wiatr, by smagać moją twarz.

Na ulicy przed nami zatrzymała się z piskiem opon niewielka furgonetka. Wsiadły z niej dwie osoby i poszły do supermarketu; jedną z nich była tęga kobieta w skórzanym berecie na głowie. Gens odezwał się:

- Pewnie, pomagaj siostrze. Chcesz ją ocalić przed potworem.

- Czytał pan jego profil?

- Pewnie, że czytałem. Niezła sztuka ten Widz. Prawdziwe trofeum. Najsprytniejszy psychol, jakiego od kilku lat mieliśmy. Ile bym dał, żeby nadal stać na czele i mu się poświęcić... Ale zrobiłbym to samo co Padilla: posłużyłbym się twoją siostrą. Na tym etapie powinnaś wiedzieć równie dobrze jak ja, że jest ona idealną przynętą, żeby go schwycić.

Staralam się zachować spokój.

- Nie sądzę, ale nawet gdyby tak było, nie jest idealna, żeby go usunąć.

- Daj spokój, Diano, przy twoim dziesięcioletnim doświadczeniu mam teraz jeszcze czytać elementarz? Kluczowy krok do usunięcia zdobywcy polega na tym, że to ona ma ciebie wybrać. Nie tylko to... - Podniósł drżącą lewą rękę do ust i poruszył palcami. - M a m u p o c i e ś l i n k a n a twój widok.

- Ale Vera nie zdoła go usunąć. Ten psychol jest podobny do Renarda... On...

Gens przerwał mi, podnosząc palec do góry.

- Nie znałaś Renarda. Nie znałaś go - powtórzył twardo. - Nie wypowiadaj się, kiedy nie znasz sprawy. - Wsparł ponownie obie ręce na lasce i powoli się uspokajał.

- Wy, przynęty weteranki, jesteście zabawne. Wycofujecie się wcześniej niż piłkarze, zarabiacie krocie i dostajecie dożywotnią pensję. Ten zielony płaszcz z syntetycznej skóry czy ta bluzka, którą

masz na sobie... Która dziewczyna w twoim wieku może sobie na coś takiego pozwolić? A co zrobiłaś, żeby to mieć? Rozkoszowałaś się. Dawłaś satysfakcję własnemu psynomowi. Reszta jest milczeniem, kochana. Albo raczej ignorancją. Nie musisz nic wiedzieć; przynęta doskonała to taka, która nic nie wie. A ignorancja to akceptowalna imitacja niewinności... Niewinność to p r z e c i w i e n s t w o udawania. To stan Adamowy, sprzed grzechu pierworodnego, kiedy prawie nie różniliśmy się pod względem seksualnym. Twoja siostra jest w dostatecznym stopniu ignorantką, by wydawać się niewinna.

Jeżeli potwór ją ugryzie, jego psynom może zostać wytrącony z równowagi i może sam się wyeliminuje. Na to liczą w departamencie, wiesz chyba.

- Nie, nie wiem.

- W i e s z upierał się Gens. - Nie przy twoim emocjonalnym mózgu, oczywiście.

Twoja część emocjonalna pcha cię do ochrony Very. Ale zwróć uwagę, im bardziej starasz się ją chronić, tym bardziej niewinna się staje, bo odrzuca ciebie i wybiera Widza. To tak jakbyś ją p r z y p r a w i a ł a twoją ochroną. Wybacz porównanie, ale o tej porze robię się zawsze głodny i zaczynam myśleć o jedzeniu... Więc doprawiasz ją, chcąc jej pomóc. I w ten sposób twoja siostra staje się najbardziej smakowitym kąskiem, słodkim, niemal mdłym...

Profilowcy sądzą, że Widz umrze z niestrawności. Rozumiesz teraz, dlaczego jej nie wycofują? Rumienisz się, widzę, że rozumiesz.

W rzeczywistości ogarniała mnie wściekłość. Wiedziałam, że Gens ma rację: Padilla nigdy nie myślał o wycofaniu Very. Liczył na jej nieświadomość jak na bombę zawiniętą w ozdobny papier. Gens zakasłał, wyjął chusteczkę, a potem dodał:

- Punkt widzenia, jaki tu należy przyjąć, to ile rozkoszy można oferować potworowi.

Wiele? W takim razie nie nadajesz się. Całą? M o ż e się nadasz.

- Wiem, jaki jest punkt widzenia.

- Och, ale wiesz w teorii. Nie zastanawiałaś się nad nim. Gdzie ja do diabła mam kieszeń? - Gens usiłował wepchnąć wilgotną chusteczkę w turkusowe spodnie. - Pewna kobieta kupuje mi od czasu do czasu ubrania, ale zdaje się, że je wybiera niczym test na zapobieganie alzheimerowi. A, tutaj...

Widząc, jaki jest stary, jak wyraźnie rozbity, popełniłam błąd, odwołując się do jego współczucia.

- Tu chodzi o moją siostrę... Może to i prawda, co pan mówi, ale to Vera...

- O, nie, proszę pani. Nie, nie, tu się pani myśli: tu chodzi o Widza. Zawsze chodziło o n i e g o. Wy, przynęty, liczycie się o tyle, o ile jesteście w stanie przyciągać potwory. Ty jesteś dostatecznie jadowita, ale nie dajesz im takiej rozkoszy jak Vera, i z tego powodu nie wybierze ciebie, choćbyś nie wiem jak jęczała i narzucała mu się. Ponadto ten psychol jest geniuszem i nigdy nie wybierze profesjonalnej przynęty. Ma swoje sztuczki. Vera jest dostatecznie niezdarna...

- Wybrał Elisę Monasterio.

Gens podszedł do mnie nagle, drobnymi kroczkami. W szklach jego okularów obserwowałam swoje podwójne odbicie, laleczkę wudu przyszpiloną jego wzrokiem.

- Nie igraj ze mną, kochana. Monasterio to kolejna amatorka... choć muszę przyznać, że w przypadku tej dziewczyny są pewne szokujące szczegóły. Trzeba będzie zaczekać na...

Nagle wydało mi się, że słyszę jakieś odgłosy. Myślałam, że się przesłyszałam, ale zauważyłam, że Gens także zwrócił głowę w kierunku ulicy. Przez chwilę oboje czekaliśmy, ale nic więcej się nie stało i uznałam, że krzyk, o ile to był krzyk, pochodził widocznie z jakiegoś telewizora. Gens, zirytowany, spojrzał na mnie ponownie. Zawsze był równie wysoki jak ja, ale teraz się zgarbił, więc sięgał mi ledwie do szyi. Wyglądał na starego zboczeńca, gapiącego się na moje piersi.

- Dobrze, koniec końców, po co przysłaś?

- Powiedziałałam już: chcę pomocy. Jak zwał tak zwał. Kocham moją siostrę. Może pan myśleć, że to psynom. Przyjmuję tę grę, naprawdę. Ale kocham moją siostrę i chcę, żebym to ja, a nie ona, upolowała tego zbira. Pan wie, jakiej sztuczki używa, żeby unikać profesjonalnych przynęt. Czego chce pan w zamian za to, że mi pan powie?

- „Chcę..., chcę...” - Podmuch wiatru sprawił, że Gens przytrzymał sobie kapelusz na głowie. - Od kiedy to wola przynęty sprawia, że staje się ona zdatniejsza do polowania?

- Ja zawsze byłam najzdolniejszą przynętą, kiedy mnie pan przygotowywał.

Tym razem dostrzegłam, że słysząc pochwałę, złagodniał.

- Diano Blanco... - Przystanął i zaśmiał się ochryple. - Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy zwróciłem na ciebie uwagę, powiedziałem: „Z takim nazwiskiem nie możesz być nikim innym niż przynętą4... Diano Blanco... w ciebie będą celować wszystkie potwory świata... To coś idealnego”. - Śmiał się jeszcze przez chwilę ze swojego starego żartu. - Jak się nazywała ta dziewczyna, która wycofała się, zanim została przynętą? Nazywałyście ją

„Władczyni”... - Przypomniałam mu i kiwnął głową, zadowolony. - Tak, Teresa Obrador...

Pamiętam ją w pantomimach, w boa z piór tak samo żółtych jak ten twój skórzany płaszcz... a ty nie mogłaś zaakceptować jej dominacji. Buntowałaś się. Claudia nie była bardziej pokorna, ale popełniała ten błąd, że z m u s z a ł a s i ę do tego, ty zaś byłaś naturalna...

- A pan miał pretensje, że nie daję z siebie wszystkiego na próbie.

- Tak, to prawda. Wiesz czemu? Żeby zwiększyć twoją rozkosz. Trudności tylko ją zwiększały. Twój psynom to czysty orgazm w zestawieniu z czymś, co cię kosztuje wiele wysiłku... Pracofil, oczywiście. A teraz zapewne pociąga cię Widz. Mówisz, że chcesz chronić siostrę. A ja mówię, że to j e g o najbardziej p r a g n i e s z.

- Już panu mówiłam, jak zwał tak zwał.

- Tak, ale liczy się motyw. Bardzo się liczy. Coś ci opowiem. Na pewno przez te wszystkie lata zastanawiałaś się, dlaczego chciałem zniknąć, dlaczego zmontowałem cały ten 4 Hiszp. *blanco* oznacza m.in. cel.

spektakl z moją domniemaną śmiercią. No więc faktem jest, że... nie oszczędłem - zachichotał

- jak w tych ćwiczeniach, w których musisz się podniecić niechcący, a potem znowu być zimna. Mówili mi, żebym został, ale z a c h ę c a l i do odejścia. Historia z Renardem... W

końcu doszło to na samą górę i zostało uznane nie tylko za klęskę, a wręcz za skandal.

Wyczerpała się ich cierpliwość do mnie, więc wykopali mnie. „Bez upokorzenia”, stwierdzili... Gdyby mogli, usunęliby mnie nawet ze spisu telefonów. A wiesz dlaczego? Bo byłem żabą, którą o n i m u s i e l i p o ł k n ą ć. Nie mogli uniknąć dotykania mnie, choć wkładali rękawiczki. Więc woleli, żebym zniknął, toteż przyszło mi do głowy upozorować, że nie żyję, a Padilla wymyślił żaglówkę... Padilla podzielił się pomysłem z Álvarezem, który z kolei jest, jak sama wiesz, lokajem Wielkiej Babilońskiej Kurwy, i wszyscy się na to zgodzili.

Chcieli mnie wykorzystywać w cieniu. Teraz robię za „doradcę” w MSW. Gardzą mną, ale do mnie przychodzą. Wiedzą, że beze mnie się nie da. Wiedzą to od piętnastu lat. Popatrz na te dzielnice. Park Bomby, zbudowany na kraterze o powierzchni trzech kilometrów kwadratowych. Kilka przynęt, nawet dwie, dobre w infiltracji, zdołałoby przeniknąć do komórki terrorystycznej i zapobiec masakrze. Ale zamiast tego co zrobiono? Zabawiono się w dwudziestowiecznych szpiegów: podsłuchy, obserwacja, analiza sieci... Typowe parafernalia.

Najmniejszej chęci zrozumienia, że już żadna technologia nie powstrzyma szaleństwa... Tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że wszystkie te sfabrykowane kilotony wybuchły tutaj, w dzielnicy na obrzeżach, a nie w samym centrum. Dziesięć tysięcy ofiar. Dwadzieścia tysięcy rannych. Plus trzydzieści procent więcej przypadków raka u tych, którzy przeżyli w rejonie skażenia. Po 9-N pospiesznie wprowadzono do akcji przynęty. A teraz... politycy, nieważne z której partii, patrzą jeden na drugiego, zawstydzeni jak przebierańcy w garderobie, i mówią:

„O tak, musieliśmy go zwolnić. Ta heca z Renardem... Jego dziewczyna, Claudia, wpadła i Renard ją zmasakrował... ale potrzebujemy jego przynęt. Potrzebujemy Víctora Gensa.

Bardziej niż kiedykolwiek”.

Ryk syreny policyjnego wozu dobiegał z daleka do moich uszu, ale Gens nadal patrzył

na mnie, jakby nic nie słyszał.

- Nie pamiętam, po co to mówiłem... - zaczął.

- Opowiadał pan, dlaczego musiał pan zniknąć.

- A! No więc już wiesz: pomagam potajemnie. Ich raporty należą także do mnie.

- Ale zachowuje pan dla siebie dane - odparłam, a Gens, teraz nieco bardziej zainteresowany dźwiękiem syreny, spojrział na mnie. - Wiem o tym, profesorze. Zachowuje pan dla siebie teorie, których im pan nie zdradza. Co mam zrobić, żeby je pan zdradził mnie?

W tym momencie coś się nagle stało. A właściwie stały się dwie rzeczy.

Najpierw z jednej strony podjechał potężny, rozszalały wóz policyjny, zatrzymał się na rogu i dosłownie wyrzucił z siebie pasażerów jak z katapulty. Było ich dwoje, kobieta i mężczyzna, ale wydawali się pozbawieni płci w mundurach, kaskach, z bronią i w całym rynsztunku. Różnicę znać było tylko po twarzach. Natomiast najwyraźniej zostali przeszkoleni na kursie w tej samej szkółce, bo oboje zajęli klasyczne pozycje do strzału.

Celowali w supermarket. Tam działała się ta druga rzecz, o wiele bardziej chaotyczna, wśród nowych krzyków (teraz byłam już pewna, że wcześniej słyszałam krzyki), obelg i zamieszania. Wyszły stamtąd dwie osoby, także uzbrojone, także kobieta i mężczyzna.

Rozpoznałam tę kobietę w skórzanym berecie, która nieco wcześniej weszła do sklepu. Była spocona, prychała i rzucała wściekłe spojrzenia spod czapki, ale coś w jej silnej sylwetce i potężnych rękach kazało myśleć, że może to być facet albo transseksualista. Mężczyzna miał

skośne oczy, ale mógł być tak samo Hiszpanem jak jego towarzyszka. Każde z nich prowadziło przed sobą zakładnika: kobieta trzymała za kark sprzedawcę w białym fartuchu, celując w niego z automatycznego karabinu, zwanego rozdrabniaczem. Mężczyzna prowadził

kobietę w ciąży. Wszyscy krzyczeli.

Policjantka wezwała ich do poddania się, na co kobieta w berecie skierowała w jej stronę karabin. Nagły wystrzał sprawił, że zamrużałam powiekami. Sekundę potem zastanawiałam się, co mogłam zrobić, żeby temu zapobiec, i uznałam, że nic. Ta w berecie wystrzeliła na chybił trafił, ale miała w ręku taką broń, z której nawet dziecko umiałoby zabić. Lewe ramię policjantki dosłownie rozpadło się na drobne kawałki - to dzięki takim możliwościom karabin został ochrzczoney „rozdrabniaczem” - a jej ciało uderzyło o drzewo i upadło kilka metrów dalej. Towarzyszący jej policjant zaklął głośno, po czym wyciągnął

ramiona w geście kapitulacji.

- Co ty robisz, kurwa? - wrzasnął skośnooki do tej w berecie. - Co narobiłaś??

Załatwiłaś policjantkę!

- Chciała mnie zastrzelić! - darła się na cały głos ta w berecie. - Zastrzelić!

W kolejnej sekundzie udało mi się zebrać myśli. Pierwsze, co pomyślałam: „A skutki?

Co zabrali, oprócz zakładników? Przecież nawet nie napadli na bank koło sklepu. To przecież zwykły

supermarket, Boże! Co zdobyli?”. Domyśliłam się natychmiast, że nie o to chodziło.

Oczywiście, wszyscy byli przerażeni, oni i my, ale oni bardziej. Pewnie też naćpani.

Następnego dnia całe wydarzenie zajmie trzy centymetry tekstu na ekranie komputera:

„Napad na supermarket w Madrycie zakończony.. To nie było n i c, to nie 9-N, to tylko dwoje idiotów. I to właśnie było przerażające.

- Do wozu, kurwa! Do wozu!

- Rozpoznają nas - wrzeszczała wariatka w berecie.

- Tamci! Widzieli nas!

I nagle Gens i ja, nie mając nawet chwili, by zacząć się bać, zdaliśmy sobie sprawę z sytuacji: szalona baba w berecie miała kontrolę nad naszym nędznym życiem. A nasze życie budziło w niej głęboki strach.

Podczas gdy skośnooki prowadził przed sobą ciężarną, żeby bez przeszkód dotrzeć do drzwiczek furgonetki (od strony pasażera, bezpieczniejszej), Wielka Szeftowa cofnęła się i otaksowała nas wychodzącymi z orbit oczami. Gęstwina włosów farbowanych na fioletowo wysuwała się spod beretu, a ja widziałam skórzane kozaki i coś jak turkusowy top za uniformem sterroryzowanego sprzedawcy. Uznałam, że może mam do czynienia z filią na punkcie spontaniczności.

- Na co się gapisz, stary dziadu? - Uniosła broń i wycelowała w Gensa, który stał, podobnie jak ja, w odległości pięciu metrów od niej.

Strzeli, brzmiała moja druga myśl. Widziałam białą i mokrą jak baletka twarz Gensa.

Widziałam Gensa leżącego trupem. O nim nawet nie byłoby wzmianki w serwisie, gdyż już n i e z y ł. Może pozwolono by mi wyjawić prawdę w pamiętnikach, gdy skończę osiemdziesiąt lat:

„Widziałam, jak Gens umiera, tym razem naprawdę, w sposób najbardziej plugawy, jaki można sobie wyobrazić: posiekany na kawałki karabinem naćpanej *drag queen*, która wybiegła z supermarketu, nakradłszy przedtem kiełbasy...”.

Uderzenie serca. Dwa.

Rozdrabniacz to automatyczny dwulufowy karabin maszynowy, umocowany specjalnym kablem do ręki. Wyposażony jest w wykrywacz celu i wykrywacz ruchu, który zmusza rękę do nieustannego poruszania się, co pozwala zapobiec niespodziewanemu atakowi. Nawet w Hiszpanii można go kupić w sieci, na takich stronach jak na przykład www.vitrans.com. Przesyłka płatna przy odbiorze. Całkowita dyskrecja. Akceptują kartę VISA. To skuteczna broń.

Ja także.

Prawdopodobieństwo, że to filia spontaniczności, było niewielkie, ale ani nie miałam dość czasu, ani

innego wyboru. „Poznaj swoją zdobycz - mawiał Gens podczas szkoleń -

obserwuj każdy jej gest, słuchaj jej, sprawdź, czego pragnie. I z a s p o k ó j j e j p r a g n i e n i a”.

Uderzenie serca. Zdjęłam ciemne okulary, żeby ostrzej widzieć. Dwa uderzenia. „Miej świadomość, jak jesteś ubrana, jak się zachowujesz, jak się przedstawia scena”. Uniosłam ramiona na tyle błyskawicznie, by przyciągnąć uwagę kobiety, zanim zdąży zastrzelić Gensa.

Jeszcze jedno uderzenie serca. Karabin wykręcił swoje potworne, ciemne, oblicze. Teraz *drag queen* obrała za cel mnie. Odwróciłam wzrok, rozstawiłam nogi i napięłam mięśnie. „Psynom jest jak niewidzialna ośmiornica: rozpościera swoje ramiona i chwyta cię. Dotyka twojej seksualności, twojej nieświadomości, twoich myśli”. Wycofałam świadomość.

Z a m r o z i ł a m s i ę, jak mawiamy w żargonie. Zyskałam kolejne uderzenie serca. Ale czułam, że moja zdobycz jedynie się waha. Zamierzała mnie zastrzelić. Na odpowiedniej scenie - ćwiczyliśmy spontaniczność na folwarku, przed ścianą z różowymi światłami - moje gesty byłyby zdecydowane. Ale nie dysponowałam sceną. „Improwizuj. Jesteś aktorką. Patrz na siebie. Improwizuj...”

Trzy uderzenia. Maską spontaniczności polegała na zmianie percepcji seksualnej za pomocą gestów, jak w tych sztukach Szekspira, w których mężczyzna udaje kobietę, która udaje mężczyznę, który udaje kobietę. Postanowiłam posłużyć się płaszczem. Prawą ręką zwinęłam klapy, zakrywając piersi. Miałam włosy upięte wysoko na głowie, więc podniosłam twarz tak mocno do góry, żeby *drag queen* uznała, że są krótkie. I błyskawicznie zgięłam się w pasie i rozpostarłam klapy lewą ręką, ukazując falowanie piersi pod ażurową bluzką. Istota androgeniczna.

Niemal mogłam wyczuć, jak bardzo ją zaspokoiliam.

Rozkosz ma swoje własne odgłosy. Wydało mi się, że ten brzmiał jak powstrzymany oddech.

Moja zdobycz pozwoliła zakładnikowi uciec z jękiem i krzykiem, i opuściła broń, zmieszana, uzależniona ode mnie.

Kiedy strzał policji kładł ją trupem, wiedziałam, że umierając, pragnęła mnie.

*

Wkrótce potem Gens i ja kończyliśmy nasz spacer. Za nami zostało policyjne zamieszanie, karetki, wozy strażackie i wszystkie te oddziały sił specjalnych, które są niezbędne dopiero wtedy, gdy już wydarzy się katastrofa. Ofiary: policjantka i jeden z zamachowców. Po śmierci towarzyszki skośnooki postanowił oddać się w ręce policji.

Zakładnicy ocaleli. Szczęśliwy finał Zamachu na Mortadelę. Gens skomentował z miękką ironią: „Drobne niedogodności mieszkania na obrzeżach” i ani on, ani ja nie wypowiedzieliśmy od tamtej chwili słowa. Czuliśmy się tak, jakbyśmy właśnie obejrzeliby szokujący spektakl w teatrze. W pewnej chwili Gens przystanął i zaczął grzebać w ziemi czubkiem laski. Nie patrzył na mnie, gdy się odezwał, ale zauważyłam, że się uśmiecha.

- Muszę ci to powiedzieć: od lat nie widziałem cię w akcji i jesteś...

h o r r e n d a l n i e d o s k o n a ł a. Nigdy nie przypuszczałem, że można tak rozegrać spontaniczność... Diana Blanco, najszybsza przynęta Missisipi...

Przez chwilę grzebał w ziemi. Rzecz jasna nic nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że do czegoś zmierza, więc cierpliwie czekałam.

Po chwili odezwał się:

- Chyba powinienem ci podziękować. Uratowałaś mi życie. Nawiasem mówiąc -

przestał ryc w ziemi i dodał, jakby nagle mu się coś przypomniało - mieszkam tu niedaleko.

Chodźmy do mnie. Pokażę ci, jak mi płaci rząd za moją ciężką pracę. I chcę czegoś w zamian.

- W zamian za co? - zapytałam.

Ale Gens oddalał się, utykając, bez odpowiedzi.

15

Wyobrażałam sobie, że Gens mieszka w jakimś specjalnym, „chorobliwym” może nawet miejscu, ale wszystkie moje fantazje wywietrzały, kiedy wprowadził mnie do swego niewielkiego mieszkania, na trzecim piętrze na lewo, w nowym bloku mieszkalnym w pobliżu Strefy Zero. Bloki były podobne i anonimowe, wciśnięte w ulice, białe, z oknami o zielonych okiennicach. Wejście oblegały głębokie wykopy i maszyny budowlane. Po wstukaniu kodu dostępu Gens wytarł kurz z klawiatury urządzenia, które wyjął z kieszeni turkusowych spodni. Potem zauważyłam, że czerwieni się i dyszy, wchodząc po schodach, ponieważ -

wyjaśnił - nigdy nie korzysta z windy. Nie wiem, czy próbował w ten sposób wzbudzić we mnie współczucie. Na razie zdołał mnie zadziwić.

- To żadne luksusy - rzekł po prostu, kiedy weszliśmy. - Możesz powiesić płaszcz na tym krześle... Nie ma potrzeby, żebyś wycierała ubłocone buty o wycieraczkę. Zresztą i tak jej nie ma. - ponownie chrapliwie się roześmiał. - Moja sowiecka silna baba posprząta wszystko, jak przyjdzie.

Tak naprawdę to nie brak luksusu wydał mi się rzeczą niezwykłą. Strych ze skrzypiącego drewna w jego paryskim mieszkaniu albo dom w Barcelonie miały także spartańskie wyposażenie. Natomiast brakowało mi historii, która dla Gensa zawsze była tak istotna. Pamiętałam, że nie miał szacunku dla ludzi, których nie interesowały antyki. Mawiał, że jedyny sens istnienia kryje się w przeszłości. Gromadził swoje skarby: wielkie płótna marynistyczne, tapicerskie meble, regały pełne książek, wszystko spowite wonią środków konserwujących. Był bardzo przywiązany do swoich katalońsko-włoskich korzeni oraz do historii swojej lekarskiej rodziny, której najwybitniejszą postacią był jego ojciec, chirurg Ricard Gens. Starał się usilnie naśladować swoich przodków w obyczajach i gestach, jakby chciał pokazać wyimaginowanej publiczności, że żył przed życiem. „Czcic przeszłość, zapewniać sobie przyszłość”, zwykł cytować swojego ojca.

Ale, sądząc po wyglądzie tego mieszkania, nie było nic bardziej niepewnego niż przyszłość Gensa.

Przerażał mnie brak osobowości tego lokalu. To było jak odkrycie młodego człowieka siedzącego przy stole w jadalni w domu starców. Myślałam, iż Gens zaakceptował to w z a m i a n za coś innego: może za pieniądze, może za anonimowość, kto wie za co.

Ogarniał mnie niepokój.

- To ul emerytów klasy średniej - wyjaśniał, szukając jakiegoś miejsca (a może: konkretnego miejsca), żeby odłożyć kapelusz i marynarkę, które właśnie zdjął. - Żyje nam się tu w miarę dobrze, ale przestałem chodzić na comiesięczne spotkania, bo jakaś sześćdziesięciolatka leci na mnie. No może inaczej, ma to w swoim psynomie, he, he. A ja nie lubię sąsiadów - dodał zupełnie niepotrzebnie, bo już gdy wchodziliśmy po schodach, zauważyłam, że spoglądał na mijane drzwi jak ktoś, kto obserwuje nory niebezpiecznych zwierząt. - Siadaj, proszę. Czego się napijesz? Mogę zaparzyć kawy, chyba że Anuszka już zaparzyła... I mam wino. Właściciel pewnej bodegi zawsze przysyła mi skrzynkę na Boże Narodzenie... Och, nie przejmuj się błotem...

Istotnie, obserwowałam własne buty, ale pomyślałam, że mówi tak, chcąc usprawiedliwić się za sposób, w jaki na mnie patrzy, zwłaszcza na moją ażurową żółtą bluzkę o przezroczystych bokach. Nadal stałam, powiesiłam płaszcz na krzesło i poprosiłam o szklanek wody. Ta przerwa dała mi możliwość zakończyć badanie. W lokalu były chyba trzy pokoje, salon, kuchnia i sypialnia, nie licząc łazienki na końcu korytarza w kształcie krzyża.

Salon był jasny, z przewagą metalu i plastiku, bez śladu dawnych skarbów. Najbardziej zwracały uwagę półki wypełnione książkami, stół z wmontowanym ekranem i reprodukcja portretu Szekspira z Chandos (jedyna pamiątka z przeszłości) na niewielkiej powierzchni ściany wolnej od okien czy regałów. Na stole stał talerz ze skórkami pomarańczowymi i kubek z resztką kawy z mlekiem. Do tego ten zapach zamknięcia: tak pachną lokale uchodźców.

Gens wrócił, szurając szarymi kapciami, z fioletowym fularem wokół szyi, co w połączeniu z zielonym swetrem, turkusowymi spodniami i śnieżnobiałą czupryną nadawało mu wygląd ekstrawaganckiego artysty. Zdjął okulary, odsłaniając oczy w kolorze bladoniebieskim, a kiedy podawał mi szklanek, dostrzegłam w nich błysk dawnej siły Gensa.

Potem starość ją przygasiła. Przeprosił, jak gdyby czegoś zapomniał, wrócił do stołu i machnął ręką przed ekranem. Pewnie kolejne badanie online. Obserwowałam migotanie klinicznej bransoletki na jego chudej lewej ręce.

- Mam kapryśne ciśnienie - wyjaśnił, sprawdzając dane na ekranie, i dało się słyszeć przerywane pikanie - a fakt, że dzisiaj omal mnie nie zastrzelono, nie wpłynął na jego uspokojenie... Kontroluje też puls i rytm serca... Przypuszczam, że chcę żyć nadal, i to nieźle, najdłużej, jak się da, bo jak nie, to nie wiem, po cholere tak się przejmować tymi wszystkimi drobiazgami...

Wypiłam kilka łyków i nagle uznałam, że dramat Gensa interesuje mnie o wiele mniej niż mój własny. I że pod każdym względem ten mój jest pilniejszy.

- Czego pan chce ode mnie, Gens? - zapytałam. - Niech pan to wreszcie z siebie wyrzuci.

- Czego od ciebie chcę? A czego mam chcieć!? - Jego oczy prześlizgnęły się po mnie od góry do dołu, zanim wróciły do ekranu. - Oczywiście rozkoszy. Tego przecież chcemy wszyscy, bez wyjątku, w każdej chwili. Nawet gdy pragniemy bólu, jedyne, czego chcemy, to rozkosz. A ty o tym wiesz.

Zacisnęłam pięści. Jego wypowiedź wywołała wspomnienie upokarzających ćwiczeń na folwarku i poza nim, zawirowało mi w głowie. Patrzyłam na niego przez ciemne okulary.

- To nie jest odpowiedź.

- Ale jedyna, jaką ci mogę dać. - Wygasił ekran machnięciem ręki. - Jesteś taka sama jak zawsze: szukasz odpowiedzi, które możesz zrozumieć. Uczennica przed profesorem... Ileż ja się starałam, żeby wyplenić z ciebie tę manię! Wiesz, czego chcę? Chcę śnić. Nie spać, zrozum dobrze... Śpię jak niemowlę i to bez pigułek. Ale moje noce są kompletnie czarne, jak gdyby film mojej nieświadomości się skończył, i nie ma kolejnej fazy. Wszystko, co robię, to jedynie to, co chcę robić. Czuję, że nawet moje serce bije tylko dlatego, że się o to staram.

Tęsknię za tym, żeby zrobić coś mimowolnie.

- Niech pan zostanie przynętą - odparłam.

- Bardzo dowcipne... - zaśmiał się swoim chrapliwym śmiechem, przyglądając jednocześnie kokieteryjnym gestem gęstą siwą czuprynę. - Nie staram się wzbudzić w tobie współczucia, kochana, tylko odpowiedzieć na twoje pytanie...

- Nie udało się panu w obu przypadkach.

Zamilkł i nagle wskazał na okno.

- Chcę morza. To jest druga rzecz, jakiej chcę. Tęsknię za nim. W Barcelonie lubiłem nawet pochmurne dni, dzięki morzu. Tu w Madrycie jest zbyt wiele kurzu. To złe miejsce na czekanie. Ja ograniczam się do czekania, jak wszyscy. To trochę przeszkadza, ale kto może tak sobie po prostu wyjść z poczekalni?

Nie usiłowałam nawet rozszyfrowywać sensu jego słów. Przyzwyczajona byłam do tego, że go nie rozumiem. Gens żył po to, by być zagadkowy. Być zrozumiałym oznaczało dla niego być zniszczonym.

- Koniec końców - dodał - nie chcę nawet twojej miłości. Nie jestem twoim tatusiem.

- Jeszcze tego by brakowało - wyszeptałam.

- Chcę jedynie wyjaśnić ci moją w u l g a r n o ś ć. To znaczy moją pozorną wulgarność. Gdybyś była mało atrakcyjna, nawet będąc przynętą... Ale popatrz na siebie: dwadzieścia pięć lat i taka piękna... Troszkę przybrałaś na wadze, co doskonale ci zrobiło.

Ten twój wygląd, tak... niesamowity... Na ulicy wszystkie głowy odwracały się za tobą, kochana... -

Przytrzymał się oparcia krzesła, jak gdyby potrzebował łaski także wtedy, gdy się nie poruszał. Wydał mi się nagle tak stary, że komplementy, jakie mi prawił, brzmiały rzeczywiście po ojcowsku. - Jutro ma być przyjęcie w tej dzielnicy na ruinach... Moi sąsiedzi starszycy zapytają, kim jesteś... Niektórzy będą myśleć, że cię widzieli w jakimś filmie.

Będą sobie zadawać pytanie: „Jak może sobie pozwolić na tak luksusową dziewczynę?”. I to jest właśnie w u l g a r n e. Nienawidzę tego.

Przerwałam mu niecierpliwie.

- Proszę mi powiedzieć, czego pan chce, czy to będzie wulgarne, czy nie, a ja powiem, czy się zgadzam.

Wyglądał na bardziej zażenowanego niż zaskoczonego, ale ja wiedziałam, że w pewnym wieku zażenowanie przestaje nas zaskakiwać.

- Po części chciałem ci wyjaśnić, d l a c z e g o tego chcę - odpowiedział i na chwilę przestał być troskliwą babcia, żeby pokazać swoje wielkie zęby.

- Tę część już zrozumiałam.

- Ale nie twoim emocjonalnym mózgiem. Przyjęłaś jedynie do wiadomości. Lecz u ciebie zawsze przeważają emocje, choćby twoja olbrzymia inteligencja bardzo chciała je kontrolować. Twoja inteligencja jest jak ten kok, który sobie upięłaś: skomplikowany, ale nie może zagarnąć całości twoich włosów. Dziwne. Pamiętam, że to samo mówiłem ci już dawno temu. Mając szesnaście lat, byłaś czystym ogniem. Odkryłaś rozkosz bycia przynętą, a ja nalegałem: „Diano, odsuń emocje. J e ż e l i c h c e s z być przynętą, nie będziesz nią. To jedyna praca, którą dobrze się wykonuje tylko wówczas, kiedy się tego nie chce”. A mimo wszystko wiedziałem, że będziesz jedną z najlepszych. Po to cię przecież wybrałem. Trening osobisty. I to jest właśnie ten punkt, do którego chcę dojść: szkoliłem cię przez cztery lata.

Byłaś prześliczną dziewczynką. Widziałem wszystko, co należało w tobie widzieć, i sprawiłem, że robiłaś wszystko. Są kochankowie, którzy umierają po życiu w luksusie, nie zrobiwszy nawet połowy z tego, co ty robiłaś przy mnie. Podobnie jak Claudia Cabildo czy ta Angielka, którą szkoliłem, Mia Anderson, albo Miguel Laredo, albo Alfredo Frommer...

Wybacz, ale muszę wyrażać się jasno. Jeżeli o coś cię proszę, nie chcę popaść w wulgarność starego zbrojnika. Człubym się o wiele bardziej upokorzony swoją prośbą niż ty, spełniając ją.

- Mówiłam już, że rozumiem.

- Powiedzmy.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie nawzajem. Czyniłam wysiłki, by opanować wstręt i lęk, jakie budziła we mnie obecność Gensa, pokazać mu, że już nie jestem „uczennicą”, która z lękiem wspina się na maszt jego żaglówki. Ale pojęłam, że on ma rację w jednym punkcie: jako przynęta zrobiłam już tak wiele rzeczy, że nie miało najmniejszego znaczenia zrobić coś więcej. Po prostu musiałam się

na to zgodzić.

Zdjęłam okulary i złożyłam je.

- Zrobię, co pan zechce, ale jeżeli coś w zamian dostanę.

- Jasne, układ to układ - Gens zmienił ton, zachowywał się teraz w sposób wystudiowane naturalny.

- Chcesz schwytać Widza, prawda?

- Chcę wiedzieć, jak może mnie wybrać.

- To proste: trzeba dać mu rozkosz. To jedyne, czego pragną wszystkie istoty żywe. W

naszym języku oznacza to, że wybierasz coś, co zadowala twój psynom. Na nieszczęście to, co najbardziej zadowala psynom Widza, to Vera, jak już wspominałem.

- Powiedzmy, że się z tym zgadzam.

Moja odpowiedź chyba go zdziwiła.

- No więc?

- Ale to pożądanie, które Widz u s i e b i e r o z p o z n a j e. Pragnienie, które on dopuszcza. Mówił pan, że to dopiero czubek góry lodowej. A pod spodem jest o wiele więcej, ta ogromna, ciemna strona jego psynomu. Ja chcę stać się dla niego pożądanym, k t ó r e g o n i e m o ż e z a a k c e p t o w a ć.

- Ani też odrzucić. - Gens z uśmiechem skinął głową, jak gdyby ucieszyły go moje słowa. - Chcesz być niezastąpiona i doskonała, ale zapominasz, moja kochana, że wtedy właśnie będzie cię unikał. Wpadnie w popłoch. Nie możemy kontemplować naszych najgłębszych pragnień, nie czując lęku.

Miałam gotową odpowiedź na te zastrzeżenia.

- Ale pan może mi pomóc znaleźć właściwy poziom. Punkt równowagi między przyjemnością a strachem. To, czemu nie zdoła się oprzeć przy wyborze, choćby go przerażało.

Gens wydawał się rozbawiony tą analizą. Złożyłam ręce z tyłu, jak pilna uczennica.

- Błąd twojej propozycji kryje się w formie - zauważył.

- Każdy psychol to całe uniwersum psynomicznego wyrafinowania i przenikliwości.

A Widz jest jednym z najbardziej przenikliwych. To geniusz przyjemności. Ma hedonizm Falstaffa. Chcesz go rozszyfrować w pięć minut, a to niemożliwe. Nie da się w ciągu minut zrozumieć Michała Anioła albo Beethovena. - Gens przymykał oczy, a jego ton stawał się coraz bardziej lodowaty. - Przyszłaś na spotkanie ze mną ubrana w określone ciuchy i kolory, bo wiesz doskonale, że one właśnie przyciągają aurofila. I chowasz ręce z tyłu, kierując do mnie głupawy tekst, występ pajaca,

żeby stary profesor ofiarował ci własną wiedzę. Daj spokój, Diano... Niedawno, stojąc oko w oko z tą uzbrojoną wariatką, dokonałaś wielkiej sztuki. Oszczędź mi więc teraz amatorskiego teatrzyku. I nie obrażaj mnie swoją w u l g a r n o ś c i ą.

Nie mrugnęłam nawet powieką. Gens był zbyt sprytny, ale i ja byłam przygotowana.

- Mówił pan o układzie - odparłam. - To znaczy, że ma pan coś do zaoferowania.

- Mam proste wnioski. Nikogo już nie obchodzą.

- Bardzo żałuję, że nie mogę panu osłodzić goryczy emerytury.

Gens odpowiedział na ogień tak jak zawsze: kontratakiem.

- Chcesz uratować swoją siostrę, a sama narażasz ją na niebezpieczeństwo tym pragnieniem chronienia jej, co, jak ci mówiłem, stwarza z niej idealny cel dla potwora...

- Pokręcił w rozbawieniu głową. - Ona jest doskonałą przynętą w tej akcji!

To ostatnie zdanie wywołało mój sprzeciw. Czasami podczas prób Gens zachowywał

się jak sadysta, adwokat diabła, i bronił idei dokładnie innej niż ta, która wydawała się oczywista. Pomyślałam, że może robić to samo teraz.

- Może aż z b y t doskonałą - odparłam.

- Słucham?

- Takie były pana wskazówki, gdy trenowałyśmy przyjemność kontaktową: pełne zaspokojenie pożądanego gasi je całkowicie.

- Wyjaśnij. - Zauważyłam, że obserwuje mnie z zaciekawieniem.

- Vera może być tym, czego Widz najbardziej pożąda, ale jeżeli to t y l k o to, bez domieszki czegoś innego, nigdy nie zdoła go usunąć, nawet jeżeli zostanie wybrana.

Eskalacja przyjemności Widza skończy się w chwili, gdy ją osiągnie. Vera po prostu szybko zagra Holokaust, i tyle. Nie będzie n i c więcej. Pożądanie Widza opadnie samo, nie prowadząc go nigdzie dalej. Mówił pan, że tylko chłodem można sprawić, by pojawiło się ciepło. Jeżeli stanę się jego t a j e m n ą przyjemnością, tym, czego pożąda i co zarazem odrzuca, mogę tak wysoko podnosić napięcie, że go zniszczę. I pan o tym wie, więc niech pan przestanie udawać. Był pan moim profesorem, ale ja już nie jestem pańską uczennicą. Niech pan mnie również n i e o b r a ż a swoją wulgarnością.

Umilkłam, jakby mi zabrakło oddechu. Gens patrzył obojętnie.

- Chcesz stać się jego stłumieniem... Tym, co jego stłumienie w sobie zawiera.

Genialne - przyznał, jak gdyby dokonywał oceny. - Ale nie przyklasnę temu.

- Jak to pan mówił? „Nieważne, że publiczność nie klaszcze, o ile w teatrze zapadnie absolutna cisza”.

Po braku pochwał widziałam, że tym razem był pełen podziwu dla mnie.

- Problem ze zdaniem „chcę stać się jego stłumieniem” tkwi w pierwszym słowie -

zaznaczył. - „Chcieć” być pozytywną i negatywną stroną czyjegoś pożądanego jest rzeczą niemożliwą. Wola ogranicza się do niszczenia treści nieświadomych. T o t a l n e pożądanego jest zawsze symboliczne, nie do zagrania: ulega zniszczeniu nawet przy próbie werbalizacji. Powiedz mi, czego c h c e Falstaff? Mam na myśli Falstaffa z *Henryka IV*, nie z *Wesołych kumoszek*...

Wiedziała, że Gens mówi o genialnym, zabawnym grubasie, którego w swoim filmie spopularyzował Orson Welles⁵.

- Przeżyć - odparłam.

- Wcale nie. Falstaff to czysta przyjemność: epikurejczyk, kłamczuch, uczuciowiec...

Nie chce nic, bo chce wszystkiego. Wielka gumowa lalka napęczniona cukrem, klucz do czystej przyjemności... Swego czasu rozważałem nawet pomysł, że w tej postaci może się zawierać sekret maski, która przyciąga w s z y s t k i e filie...

Skinęłam głową na wspomnienie tej dawnej złudnej teorii Gensa.

- Maską Yoricka.

- Tak, dzoker. Byłem przekonany, że w naszym wnętrzu, w epicentrum naszego pożądanego, tam gdzie bulgoce magma, która powoduje wybuch rozkoszy, obrazy, jakie posiadamy, są te same. Jeżeli nie, to po co istnieją symbole? Tam, w dole, w tej otchłani, twoja i moja rozkosz mają identyczną postać. On to wiedział - wskazał na portret Szekspira z Chandos. - Dlatego jego sztuki dotyczą nas wszystkich... Zawsze sądziłem, że maska Yoricka kryła się w nich. Tyle pracowałem, żeby ją zdobyć...

Przez chwilę oboje wpatrywaliśmy się w Szekspira: jego spiczastą brodę, kolczyk w uchu, dalekie i bystre spojrzenie. Wydawało mi się niewiarygodne i również niepokojące, że Gens nadal wierzy w to eldorado psynomiki, w legendę, do której ukucia sam się przyczynił, w istnienie maski, która jest w stanie przyciągnąć w s z y s t k i e filie, a którą sam ochrzcił

mianem „Yoricka”, błązna, którego czaszkę trzyma w ręku Hamlet w słynnej scenie. Może to oznaka starości.

- Ale nie udało mi się - powiedział na koniec, jakby mówił do portretu. - Maską tego rodzaju wymaga od przynęty stopnia mimowolności, który jest obcy żywym istotom. Trzeba 5 *Falstaff*, scen. i reż. Orson Welles, 1965.

być tak m a r t w y m, jak prawdziwy Yorick, żeby grać maskę Yoricka, o ile w ogóle istnieje... - Spojrzał na mnie i zauważyłam w wyrazie jego twarzy lekkie rozbawienie. - Tak więc jedyne rozwiązanie, które masz, jest niemożliwe... Nawet Szekspir nie zdołał go znaleźć.

- Są rzeczy bardziej konwencjonalne. Wykorzystanie mojego pragnienia ratowania siostry...

- Posłużyć się nim jako implikacją emocjonalną, tak - udał, że się nad tym zastanawia, drapiąc się w brodę.

- W stylu techniki Federa dla maski Bezczywności: ty nie c h c i a ł a ś przyciągać Widza, c h c i a ł a ś ratować swoją siostrę i w ten sposób p r z y c i a g a ł a ś nieświadomie... Odrobiłaś lekcje. - Nie odpowiedziałam. Gens uśmiechnął się brzydtko. - Ale to ci nie wyjdzie. Widz posługuje się pewnym z r ę c z n y m chwytem i... i, powiedziałbym, straszliwą sztuczką, aby wymykać się przynętom... Nawet jeżeli przekroczysz tę barierę, nie złapiesz go.

I nagle już wiedziałam. Miałam całkowitą świadomość, że Gens bawi się ze mną, jak zawsze: bawił się od początku, aby dostać ode mnie to, czego pragnął.

- Pan wie, co to jest - powiedziałam wolno - niech mi pan powie, czego chce pan w zamian. Cokolwiek by to było, proszę mi powiedzieć, a z r o b i ę t o.

Jak gdyby ta deklaracja była pieczęcią, na której postawienie czekał, Gens uniósł

nagle rękę i elektroniczna żaluzja za jego plecami opadła, pograżając salon w całkowitej ciemności. Lampa stojąca, wymierzona wprost w moją twarz, oślepiła mnie. Poczułam gorąco. Usłyszałam skrzypienie krzesła.

Przez jakiś czas siedział tam na wprost mnie, patrząc w milczeniu, z twarzą skrytą w mroku. Światło nad jego głową rozplómięniało białe włosy.

I wreszcie powiedział, czego chce.

16

Mniej więcej o tej samej porze, we wtorek rano, kiedy Víctor Gens oznajmiał Dianie Blanco, czego chce, Alberto Álvarez Correa, oficer łącznikowy między MSW a Departamentem Psychologii Kryminalnej, odkrył samochód: zaparkowany po drugiej stronie ulicy nowy model bmw w kolorze marengo, z przyciemnianymi szybami. Álvarez nie mógł

dostrzec, kto znajduje się wewnątrz, ale wiedział, że tam właśnie odbędzie się spotkanie.

Owinięty w ciemny płaszcz i wymachując neseserem, Álvarez rozejrzał się jak dobry obywatel w jedną i drugą stronę, zanim przeszedł przez jezdnię. Ulica nosiła nazwę jakiejś bitwy wygranej przez sławnego króla, ale Álvarez nie pamiętał ani co to za bitwa, ani co to za król. Uliczka była jakby wpasowana pomiędzy dwa biurowce w Campo de las Naciones i zaludniali ją jedynie młodzi urzędnicy i pracownicy luksusowych salonów samochodowych.

Znajdowały się na niej dwie restauracje i winiarnia. Ta ostatnia, o kilka kroków od bmw, była udekorowana beczkami i nieuchronnie przypominała Álvarezowi głupią anegdotę, jaką usłyszał tego ranka podczas „nieformalnego” śniadania z ministrem spraw wewnętrznych i dyrektorami wydziałów: Wywiadu, Zasobów Ludzkich i Operacyjnego w Krajowym Ośrodku Wywiadowczym. Wyśmiewano się z sekretarza za plan wakacyjnego spotkania z zagranicznymi kolegami, w którym wśród rozrywek figurowało zwiedzanie kilku bodeg.

- Następnym razem zaprowadzimy ich na zarzuelę - mówił minister. Był w dobrym humorze, choć Álvareza martwiło, że dobry humor polityków prawie zawsze zdradza ignorancję. - Przyjeżdżają do Hiszpanii? No to naturalnie zwiedzanie bodeg z przewodnikiem! Boże, co za chała!

- Lepiej ich od razu wziąć na corridę - podsumował, w tym samym duchu, dyrektor wywiadu, rostry brunet, którego uśmiech zdradzał pilną potrzebę wizyty u ortodonta.

Álvarez uśmiechnął się niechętnie, siedząc w kącie na końcu długiego stołu. Kroił

czerstwy rogalik i zmieniał go w przyswajalną miękką masę, popijając ohydny sokiem pomarańczowym. Na tych spotkaniach odnosił wrażenie, że świat rozpada się na kawałki i nikogo to nie obchodzi, ponieważ, koniec końców, to on ma wszystko powstrzymać, on, Alberto Álvarez Correa, godny oficer łącznikowy między MSW a całą resztą. On i jego

„chłopcy”.

Zorientował się, że zaciska szczęki na wspomnienie tego śniadania, i starał się przenieść napięcie na rękę, w której trzymał neseser. Spojrzał na zegarek: przybył o minutę za wcześnie, co było najwłaściwszą porą. Być punktualnym, głosił jego ojciec, to mieć połowę rzeczy dobrze zrobionych. „A ta druga połowa, tato?”, pytał zawsze, gdy był mały.

„Moi chłopcy”, pomyślał, przechodząc przez ulicę. Ukrył swoje oburzenie i wszystkie inne emocje głęboko, na kilometr wewnątrz własnej świadomości, jak zwykł czynić.

Tak ich nazywał minister: „chłopcy”. Álvarez musiał przyznać, że wyrażenie to podobało mu się bardziej niż „agentki”, jak mawiała poprzednia pani minister, przekonana błędnie, że dysponuje wyłącznie dziewczynami.

Ponadto pani minister nie chciała nawet słyszeć, że te „agentki” robią coś niewłaściwego lub obraźliwego dla ich płci, ani o tym, że można „nie szanować praw konstytucyjnych”, powierzając im zadania. Álvarez podejrzewał, że owa dama myślała, iż przynęty to coś niewiele mniej niż 007,

wyszkolone w sztukach walki, szpiegostwie i prowadzeniu sportowych wozów. On ograniczał się, jak zwykle, do wysłuchiwania jej i prezentacji swego raportu. Przez ponad dwanaście lat na swoim godnym i zaszczytnym stanowisku oficera łącznikowego itd. przywykł do kolejnych absurdalnych pomysłów każdego nowego ministra. Pomysł z „chłopcami” nie był taki znowu najgorszy.

- A jak tam chłopcy, Alberto? - zapytał minister podczas śniadania.

Álvarez wzruszył ramionami i podał ulubioną odpowiedź.

- W porządku, panie ministrze. Poprzydzielani. - Była to głupia odpowiedź typu A.

Normalnie nie potrzebował innej, ale w tej samej chwili zauważył, że nadciągają burzowe chmury, więc uznał za konieczne dołożyć odpowiedź B, bardziej dopracowaną. - Ale może lepiej omówić poszczególne przypadki.

- Człowieku, skoro już o tym mówimy... - zaczął dyrektor wywiadu i wyraził swoje zaniepokojenie powstaniem nowej neotalibańskiej komórki w Hiszpanii. Oznajmił, że widzi pilną potrzebę infiltracji wśród jej członków. Przez „chłopca”, uszczegółowił.

Z kolei dyrektor wydziału operacyjnego chciał wiedzieć, co ma przekazać Interpolowi w kwestii grupy handlującej białymi kobietami, działającej na andaluzyjskim wybrzeżu, której odnogi każą podejrzewać, że stanowi ona część pewnej znanej grupy „sowieckiej” (używał żargonu, jakim określano przestępcze ugrupowania ze Wschodu w Hiszpanii).

Potrzeba było „dwóch lub trzech” dziewczyn. Nie dodał, bo to było oczywiste, że dziewczyny te muszą dać się porwać. Kiedy przyszła jego kolej, minister oznajmił, że dosłownie śpi z aktami na temat Widza i Truciciela pod poduszką, a właściwie przyprawiają go one o bezsenność

Gdy skończył, wszyscy wlepili wzrok w Álvareza.

Wyjaśnił im więc, w jaki sposób poprzydzielani są „chłopcy” i jakie są priorytety w każdym przypadku, nie wchodząc jednak w szczegóły. „Ale by was wkurzyły szczegóły -

myślał - a was obchodzi tylko streszczenie”. Patrzył to na jednego, to na drugiego, ciskając im ogryzki wyjaśnień, świadom, jak bardzo by się przerazili, gdyby im powiedział, że nie widzi już żadnego „chłopca”, który mógłby tego uniknąć. Że już to omawiał z Padillą, zawsze poza teatrami. Że wznosił mur między przynętami a nim, tak jak politycy wznosili go między nimi samymi a Álvarezem. „Bo może ktoś mógłby pomyśleć, że istnieją takie istoty ludzkie -

przypuszczał - ale że nie pracują w tym kraju, w tym mieście, wśród nas”.

- Tak więc wszyscy zarzucili sieci - podsumował Álvarez, przypomniawszy sobie w porę, że słowo „przynęta” było całkowicie zakazane w rozmowach na wysokich szczeblach w policji hiszpańskiej, włącznie z „nieformalnymi” śniadaniem.

- Świetnie, świetnie, świetnie - Jorge Martos, minister, uśmiechał się, gładząc szpakowatą brodę. Álvarez czekał w pogotowiu. Wiedział, że Martos posługuje się politycznym systemem powtarzania

po trzykroć tego samego, by dać sobie więcej czasu do zastanowienia. - Niewątpliwie trzeba by mieć jakieś efekty, bo jak się patrzy w raporty moich ludzi, rozpacz ogarnia. Ostatnie, co proponują w przypadku mordercy dziewczyn, to załatwienie nakazu sądowego, by dokonać rewizji w kilkudziesięciu domach na prowincji.

Álvarez pamiętał, że minister nigdy nie używa określenia „Widz”, przezwiska, którego ktoś niezwiązany z psychologią kryminalną nie był w stanie zrozumieć.

- Powiedziałem im: „Proszę was, bądźmy poważni...” - dodał minister.

- Ależ to absurd - skomentował dyrektor wywiadu.

- Dziwactwo - stwierdził Álvarez ułamek sekundy później.

- Ale rozumiem ich, do diabła, ponieważ *suveillance* nie robi nic, nic, nic. - pochwała i nagana stanowiły u ministra normę w dyskusjach. - Mamy dziesięć helikopterów patrolujących Madryt wyposażonych w skaner do wykrywania... A jaki rezultat? Pięć fałszywych alarmów w domach prywatnych. Pozwy sądowe. I cholerne koszty procesów.

- Wychodzi się... - Álvarez umilkł, by przełknąć flegmę, która hamowała mu głos. -

Przepraszam... Wychodzi się z założenia, że obiekt ma olbrzymią dwupoziomową podziemną piwnicę. Ale najprawdopodobniej używa blokad najnowszej generacji plus wirtualnego konwertera, by fałszować strukturę domu. Mamy nowy system, który pozwala wykryć ten wyszukany sprzęt, ale... gdybym dysponował na przykład systemem F-SASAT, to jest aktywatorem fałszywych sygnałów z satelity, wówczas...

Gdy tak odczytywał informacje, czując się coraz bardziej głupio w swojej roli przemądrzałego młokosa, Álvarez myślał: „A folwarki? Zamknęliśmy wszystkie. To prawda, że przynęty były w nich traktowane w sposób nieludzki... Zwłaszcza w tym należącym do Gensa, pod Madrytem... Tak, tak... zgoda, ale... Czy teraz tęsknimy za dobrze wyszkolonymi przynętami, jak kiedyś Claudia Cabildo czy Diana Blanco? Zabraliśmy departamentowi prawie połowę budżetu z powodów etycznych i ekonomicznych, i teraz... Czego chcieć?

Mamy, co mamy, 007, licencja na zabijanie, to wszystko...”.

- Świetnie, świetnie, świetnie. Wszystko więc pod kontrolą - oświadczył minister.

„Wszystko pod kontrolą, jedno wielkie g ó w n o”, pomyślał Álvarez.

Kiedy śniadanie dobiegło końca, uświadomił sobie, że te błazny nawet nie zająknęły się na temat przynęty zaginionej w walce, „Elisy Iglesias”, jak ją nazwał mimochodem szef wydziału operacyjnego w rozmowie z Álvarezem. Elisa Catedral czy Elisa Monasterio, wszystko jedno, lepiej jej nie wymieniamy w ogóle. Miała z a l e d w i e osiemnaście lat, podkreślał ten z operacyjnego. Proszę, nie wymieniamy przynęt, które jeszcze nie osiągnęły wieku, w którym by na to zasługiwały. Nie mówmy o dzieciach. „Krzyczycie pod niebiosa, kiedy musicie wyjaśniać ambasadzie Francji, że jakaś szesnastoletnia francuska studentka z Tuluzy została porwana przez

naszego krajowego psychologa, ale nie mówmy o dzieciakach, które są przynętami...”

Przechodząc przez ulicę, Álvarez Correa poczuł, że rogalik wywraca mu się w żołądku. Najgorsze, że był w stanie zrozumieć stanowisko kolegów, bo sam miał dzieci.

„Wyobraź sobie, że one uczestniczą w takiej maskaradzie... Wyobraź sobie, że ćwiczą na jakimś folwarku, jak zadowolić szaleńca... A teraz wyobraź sobie, że temu wariatowi udało się porwać twoje dzieci t y l k o d l a t e g o, że nikt nie chciał poprawić świata przynęt.

Wyobraź sobie, że są torturowane t y l k o d l a t e g o, że nie istnieją dobre przynęty, zdolne zaprzedać się szaleńcowi i zniszczyć go”. Koniec końców - jak kiedyś powiedział

doktor Gens - przynęty robią to, co nam się podoba, choćby żaden ustawodawca nigdy nie zaakceptował przyjemności przynęty jako dowodu na legalność ich działalności.

Jego niespokojna podświadomość podsunęła mu inne złe wspomnienie: spotkanie z Dianą Blanco ponad tydzień wcześniej. Blanco, jedna z żywych legend departamentu, którą, przez przypadek, oglądał kiedyś podczas próby w teatrze, lata temu, doświadczając wówczas po raz pierwszy na własnym ciele wielkiej siły tych istot... Przeklęte przynęty, jego osobiste demony, jego dzienne koszmary, jego „chłopcy”, na których nie mógł patrzeć wprost, ale których także nie potrafił minąć obojętnie. Przynęty równie potworne jak ich zdobycze. I ich 6 Gra słów: *monasterio* to klasztor, *catedral* - katedra, *iglesia* - kościół, a *iglesias* jest częstym w Hiszpanii nazwiskiem.

szkoleniowcy, dodał w myślach Álvarez z dreszczem odrazy. Bo czy Víctor Gens był bardziej ludzki? Przypomniał sobie z ulgą dzień, kiedy ten dziwaczny psycholog odszedł na zawsze.

Oczywiście, wiedział, że Gens wciąż żyje, a Padilla opowiadał mu, że czasami przesyła mu raporty o szczególnych przypadkach, by zasięgnąć jego opinii. „Ale przynajmniej straciliśmy go z oczu. P r z y n a j m n i e j”.

Nie mógł znieść wspomnienia Gensa. Grzechy Gensa były także jego grzechami.

Jego grzechy, jego upadek. Na skutek incydentu z Dianą i mimo że nic nie rozumiał z psychologii psynomicznej, Álvarez przeczytał opis własnej filii. Filii dwuznaczności, powiązanej z drugą, zwaną „filią upadku”, wywodzącą się w pewnym stopniu ze sztuki Szekspira *Henryk V*, w której mowa o śmierci Falstaffa, symbolu owego „upadku” w dojrzałym wieku, o przyjemności, jaką młody król musi powstrzymać. „A czy także -

zastanawiał się Álvarez - jego osobistego upadku, poczucia pospiesznego staczania się ku moralnej pustce, ku gardzieli, która pochłania bez różnicy sprawiedliwych i grzeszników?” Samochód o przyciemnionych szybach wydawał się coraz większy, w miarę jak się doń zbliżał. Zapewniano go, że spotkanie nie przekroczy godziny, co mu rzecz jasna odpowiadało, gdyż mógł wrócić na czas do biura w MSW, zamknąć drzwi i przygotować się na przyjęcie holokonferencji z Londynu ze swoim najmłodszym synem, Ismaelem. Szesnaście lat radości i zmartwień. Och, Boże, jak b a r d z o pragnął znowu zobaczyć twarz syna i jego chude chłopięce ciało. Syn studiował w elitarniej szkole w Londynie, w której kładziono nacisk przede wszystkim na sztukę i przedmioty humanistyczne. Pragnął

być aktorem i Álvarez się ugiął. W końcu mógł już liczyć, że dwaj pozostali synowie, błyskotliwy przedsiębiorca i student Trinity w Dublinie, marzący o karierze polityka, zaspokoją mieszczańskie rodzinne pragnienia. Czemu nie pozwolić, by Ismael podążył swoją drogą?

Przypomniało mu się nagle, że podczas ostatniej holokonferencji chłopak skarżył się na nudę wiejącą z przedstawienia, które ostatnio widział w Globe Theatre. Był to właśnie *Henryk V*, a Ismael upewniał się: „Tato, nie jest to chyba n a j l e p s z a rzecz, jaką t e n c z ł o w i e k napisał, prawda?”.

Pragnął odsunąć synów od tego świata i jego niebezpieczeństw, chronić ich przed istnieniem przynęt, młodych jak i oni, grających Szekspira, żeby móc bronić innych. „Bo ktoś musi robić to, co należy”, mawiał Gens.

Álvarezowi żal się zrobiło samego siebie na widok odbicia w przyciemnionych szybach samochodu. Widział w nich człowieka, za jakiego mieli go inni: łysego biurokratę przechadzającego się w madryckiej jesiennej szarości. „Oficer łącznikowy, co za świństwo: wymyślone stanowisko, które nawet nie jest polityczne... Ale ktoś musi to robić, nieprawdaż?”

A połowa rzeczy dobrze wykonanych tutaj nie wystarczy, tatusiu”.

Samochód wydawał się pusty. Wewnątrz nic się nie poruszało, nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki. Álvarez obchodził go od tyłu, by otworzyć przednie drzwi od strony pasażera, i myślał: „Kiedyś przecież wreszcie wpadną... Widz i Truciciel... Pewnie złapalibyśmy ich nawet bez przynęt. Byłaby to tylko kwestia czasu. Pytanie brzmi: j a k d ł u g i e g o?”. Do pewnego stopnia miał taką nadzieję, jako że powodem tego tajnego spotkania było przekazanie świeżych śladów obu przestępców. Gdyby mógł poinformować ministra o pewnych postępach w obu śledztwach, dzień skończyłyby się szczęśliwie.

Wyciągnął rękę ku drzwiczkom i nagle coś mu przyszło do głowy.

Zachowując protokół przewidziany dla tego tajnego spotkania, polecił ochroniarzom, by na niego nie czekali i wrócili do ministerstwa. Zwolnił także swego szofera i sekretarza, który towarzyszył mu zawsze. Był sam.

Taka ewentualność nie powinna go niepokoić, jako że spotkanie, na które się wybierał, było sprawą zupełnie normalną. Kody zostały sprawdzone. Miał się spotkać z osobą, którą znał, jak zazwyczaj.

A jednak nagle poczuł niepokój.

W y o b r a ź s o b i e, że k t ó r y ś z t y c h p o t w o r ó w, k t ó r e p o l u j ą n a t w o i c h „c h ł o p c ó w”, c z y h a t u t e r a z n a c i e b i e, w t y m s a m o c h o d z i e.

Pomysł był absurdalny, ale nie po raz pierwszy czuł się zaatakowany przez niespokojne duchy, które w sobie nosił. Jego praca obligowała go do opuszczania muzealnych korytarzy ministerstwa i stawiania czoła koszmarom będącym dziełem jednej i drugiej strony: niebezpiecznych szaleńców i strasznych przynęt. Nikt nie był w stanie zrozumieć, ile odwagi, ile męstwa trzeba było wykazać, żeby po prostu pozostać codziennie takim samym.

Otworzył drzwiczki i lekko je uchylił. Wnętrze samochodu, które mógł obserwować z zajętej pozycji, było ciemne i puste. Podmuch powietrza przyniósł jego nozdrzom lekki zapach płynu do golenia.

- Cześć? - rzucił ostrożnie.

- Wejdz - odpowiedział znany mu głos.

Uspokojony Álvarez schylił się i zajął miejsce pasażera, umieszczając neseser w schowku i zbierając poły płaszcza, by zamknąć drzwi.

- Mam nadzieję, że to potrwa tylko godzinę - rzucił w kierunku osoby siedzącej za kierownicą - i że warto...

I wówczas się zorientował.

Nie byli sami. Niewątpliwie jakaś inna postać ukrywała się na tylnym siedzeniu, a teraz się podniosła. Alvarez widział jej cień na desce rozdzielczej.

Ostatnie, co pomyślał, odwróciwszy się i zetknąwszy z ciemnością, to że nie zdąży na czas na holokonferencję z synem w Londynie.

17

Jak zawsze wykonałam swoją pracę z pogardą. I jak zawsze starałam się wykorzystać tę pogardę na własny użytek.

Wciąż brzmiał w moich uszach nosowy ton głosu Gensa, gdy chwilę wcześniej wyjawiał mi, czego chce.

- Daj mi Piękno. Całkowite. Od dawna tego nie widziałem. Usidlił mnie tym.

- Nie mogę usidlić pana Pięknem. To nie pana filia.

Ale Gens nie uznał moich obiekcji.

- Jestem aurofilem, więc wiesz, że możesz, jeżeli zrobisz to dobrze i dasz z siebie w s z y s t k o... A włożysz - stwierdził z przekonaniem. - Twoich rodziców torturowano i zabito, a twoją siostrę brutalnie pobito, kiedy miałaś dwanaście lat. Ty także tam byłaś, ale tobie prawie nie zrobiono krzywdy. Wiesz dlaczego?

- Nie pamiętam - odparłam roztrzęsiona.

Gens skinął głową ze swojego krzesła.

- Och, oczywiście, zablokowałeś to wspomnienie, bo czujesz się winna. Od tamtego czasu uważasz, że masz dług wobec Very. Chcesz się dla niej poświęcić, chcesz ją uratować i wiesz, że ja jestem twoją jedyną szansą, by upolować Widza... Dlatego dasz mi Piękno całą sobą. Jeżeli mnie usidlisz,

pomogę ci.

Jego obrzydliwy szantaż nie zaskoczył mnie. To był Víctor Gens we własnej postaci.

Nie jakiś staruszek o miłym wyglądzie, który poddaje się rutynowym badaniom lekarskim, jada pomarańcze i popija kawę z mlekiem. Przyzwyczajona byłam do nienawiści wobec niego. Przygotował mnie mentalnie już wcześniej na tego rodzaju spotkanie.

- Zgoda - wyszeptałam.

Czułam gniew i pogardę dla samej siebie. Wiedziałam, że Gens chce się mną n a s y c i ć jak narkotykiem. To, żeby szkoleniowiec posługiwał się przynętą dla własnej przyjemności, było już perwersją, zboczeniem. Oczywiście, zdarzały się takie przypadki, chociaż ja nie znałam żadnej przynęty, która by się łatwo zgodziła na tego typu upokorzenie.

Ale pomyślałam, że o ile go usidlę, zdobędę informację, jakiej pragnęłam, choćby się wzbraniał, by mi ją powierzyć. Jeżeli Gens zamierzał grać nieczysto, to ja byłam gotowa odbijać ciosy.

Sprawdziłam ścianę za sobą. Ścianę w przedpokoju przy salonie. Wisiało tam lustro w grubych ramach i stała krzywa komoda, oba meble może za bardzo rzucające się w oczy, ale światło dochodzące z przodu zasłoniłoby je moim własnym cieniem. Posłużyłabym się pogardą jako barierą dla wzmocnienia efektu.

Piękno potrzebuje dystansu: dotknąć go to je zniszczyć. Chodzi tu o maskę Woli.

Polega ona na tym, żeby przekonać twoją zdobycz, że jesteś n i e o s i ą g a l n a. Stopień Piękna rośnie tym bardziej, im mniej dostępną i bliską udajesz. Szyfr znajduje się w komedii *Wieczór trzech króli*, w której każdy bohater kocha albo udaje, że kocha, niewłaściwą osobę.

Gens oczekiwał na początek spektaklu w milczeniu. W świetle lampy nie potrafiłam nic odczytać z jego twarzy, ale wyobrażałam sobie, że się uśmiecha, pochylony, dysząc jak stary zboczeniec, który zapłacił za chwilę rozkoszy. To mi pomagało zdystansować się od niego.

Pierwsze, co uczyniłam, to wycofałam się kilka kroków i oparłam o komodę.

Opuściłam swobodnie ramiona, lekko ugięłam kolana i wykonałam „zmianę stanu”: otworzyłam usta, uwolniłam oddech i nagle się uśmiechnęłam.

- Sądziłam, że pana znam, profesorze... Myślałam, że jest pan naukowcem, mędrceem...

Ale widzę, że jedyne, na czym panu zależy, to poużywać sobie...

Grałam. Wyrzucałam z siebie jakikolwiek tekst, zaimprovizowany, aby móc posłużyć się odległym tonem głosu, właściwym dla części wstępnej Piękna.

- Chce pan obejrzyć przedstawienie, prawda? - dorzuciłam - No to zaspokoję pana...

- Przedstawienie nie jest odmienne od prawdy - wyszeptał Gens z mroków. - Ja wiem, dlaczego to robisz. Ty wiesz, dlaczego to robisz. Nie ma oszustwa. Wiedziałaś również, dlaczego na dzisiejszy dzień ubrałaś się tak, a nie inaczej, w tę bluzkę przezroczystą na bokach... - Jego kolana wynurzyły się ze strefy cienia, a gdy mówił, rękoma wygładzał

pogniecione turkusowe spodnie. - Nigdy, nigdy do końca nie zrozumiałaś tej drobnej różnicy, Diano... Jeżeli ty udajesz, a ja w to w i e r z ę, to jakie wówczas znaczenie ma prawda?

- Prawda jest istotna, bez względu na to, jak jest.

- Dajże spokój. Jeżeli wierzę, że mnie kochasz, to dla mnie to będzie prawda. A jeśli wierzę, że jesteś piękna, to jesteś. Nie mogę pójść dalej niż twoja maska. Nikt nie może. To, w co w i e r z y m y, że jest - j e s t. Teraz widzę cię stojącą przed sobą i nie bardzo wiem, co starasz się zrobić... Twoje słowa, twoje gesty... czy wszystkie one stanowią część maski?

Jesteś dla mnie zagadką, podobnie jak ja dla ciebie. Ale jeżeli ofiarujesz mi rozwiązanie swojej zagadki, a ja je przyjmę, to jakie znaczenie może mieć to, czy jest ono fałszywe, powiedz sama? Dla mnie to będzie j e d y n e r o z w i ą z a n i e.

Po chwili dodał:

- Ale nie wiem, po co to mówię... Wybacz, że ci przerwałem, proszę...

Zdałam sobie sprawę ze sprytnej pułapki, jaką na mnie zastawił. To rozumowanie, najwyraźniej dobrze przygotowane, stanowiło jego linię obrony. Gens wiedział, co go czeka, i wznosił mur obronny z cegieł wulgarnej logiki. Jednakże, dodając, że nie wie, po co mi to wszystko mówi, sprawił, że zwątpiłam w jego prawdziwe zamiary.

Był chytry jak lis, ale nie miał przed sobą nowicjuszeki.

Podczas gdy Gens mówił, wymyślałam kształt, w jakim światło lampy powinno odbić się na moim ubraniu. Piękno wymaga światła zenitalnego, ale my, przynęty, musiałyśmy improwizować z tym, czym w danej chwili dysponowałyśmy. Pochyliłam się, sprawiając, że zafalowały refleksy na mojej bluzce, rozstawiłam nogi, podniosłam prawą rękę do uda.

Neutralna ekspresja.

- Będzie, jak będzie, jeżeli chce pan, żebym udawała, zrobię to - powiedziałam obojętnie. - Dam, o co pan prosi. I gówno mnie obchodzą motywy. - Oparłam lewą rękę o brzeg komody. - O cokolwiek pan poprosi...

Ręce do włosów, jakbym chciała je przygładzić, gestowi towarzyszy delikatne dyszenie. W ten sposób uwaga zdobywszy nadal skupia się na mojej twarzy w obramowaniu ramion i światła. Prawa ręka opada powoli, dłoń do góry; oczy Gensa będą usiłowały śledzić jej trajektorię. Zatrzymałam ją na wysokości uda i odsunęłam od ciała.

Wydawało się, że na scenie zapanował nagły spokój. Mimowolny świadek sądziłby, że starzec

naprzeciwko mnie zasnął, ale ja wiedziałam, że zdołałam dokonać wyłomu w jego obronie. Sam Gens nazywał tę fazę „godziną policyjną”: psynom, zatopiony w przyjemności, zaczyna się buntować, a rozum zamierza go zdusić kneblem wymuszonego spokoju.

- Jesteś... dobra - wyszeptał. - Ale są granice, pułap dla tej maski, i wiesz o tym...

Żadna przynęta tego nie przekroczy. Przegrasz.

- Możliwe.

- Podoba mi się, że się nie poddajesz. Że nadal walczysz.

- To nie ja walczę. To pan.

Uniosłam podbródek. Niespodziewanie pochyliłam gwałtownie głowę. Nazywaliśmy to „zoom”: publiczność wzrokiem obejmuje część ciała, którą dwukrotnie poruszasz. To samo robią czarodzieje. Wykorzystałam tę chwilę na zmianę ekspresji: lekki odcień dumy. To powinno rozproszyć jego uwagę na tyle, żeby mój gest skrzyżowania rąk na wzniesieniu łonowym zdołał go zaskoczyć.

Kiedy szykowałam się do kolejnego ruchu, Gens odezwał się:

- Chyba powinniśmy przestać. Zatrzymać się w tym miejscu.

Na początku ten komentarz mnie zmylił. Ale gdy stwierdziłam, że Gens nic więcej nie robi ani nie mówi, zrozumiałam, że zaserwował mi kolejny głupi tekst, aby zahamować rozkosz, którą w nim wywoływałam. Użyłam tej słabej obrony dla podkreślenia swoich nacisków.

- Prosił pan, więc daję.

Wymyśliłam sztuczkę, żeby pokazać, że jestem nieosiągalna, udawać, że gram Piękno pod p r z y m u s e m. Udałam, że zżerają mnie nerwy, jak debiutantkę. Drobne drżenie koniuszków palców, mruganie powiekami, dolna warga przygryziona. Sprawiałam mu rozkosz, pokazując, że o d r z u c a m n i e dawanie mu rozkoszy. Co zresztą było prawdą. Ale w naszym teatrze przynęty uciekały się do prawdy, żeby udawać.

Gens jęknął. Wiedziałam, że mogę nadal podnosić napięcie.

- Chyba... uda ci się mnie usidlić - przyznał. - Ale nigdy nie zdołasz zmienić mnie w...

Jak powiedziałaś?... W równowagę między pożądaniem a strachem Widza... Psychole rozkoszują się p o z o r n i e. Dla nich nie istnieje różnica między sceną a widownią...

Bohater sztuki jest tym samym co aktor dla psychologa i... Och, Boże...

Ten rozpaczliwy ton... Nie udawał. Zaczynałam na Gensa oddziaływać.

Nieubłaganie otwierałam sobie drogę do jego psynomu.

Lecz Gens się nie poddawał: ciągnął swoją perorę z uporem kapitana, który odmawia porzucenia tonącego statku.

- Piękno ma swój pułap... Powiem ci jaki: nie możesz uniknąć udawania. Teraz udajesz, że udajesz... Wywołujesz we mnie reakcję, ale moja świadomość wie, że udajesz.

Jesteś zamknięta we własnym teatrze... I to jest twoja klęska...

- Zrobię, co się da.

Skrzyżowałam ręce na udach. Wykonałam obrót, tak żeby Gens mógł zobaczyć moje plecy odbite w lustrze za mną. Moje plecy miały do niego przemówić innym językiem. Dwa ciała, dwa różne przekazy.

Ten gest sprawił, że przerwał swoją gadaninę i nachylił się ku mnie. Wówczas gwałtownie zerwałam kontakt między naszymi oczami, jak gdyby nagle zainteresował mnie jakiś punkt na ścianie. W ten sposób umożliwiałam mu głęboki oddech, ale nie zmniejszałam napięcia.

Gens wykorzystał tę przerwę, by dojść do siebie.

- A jak przekonasz publiczność, że twoje udawanie to prawda...? Publiczność to z definicji niedowiarki... Jak można postąpić krok dalej? To samo mamy teraz... Maską może cię upiększyć w dowolnym stopniu, ale nigdy nie zdołasz ukryć, że ją nosisz. Im będzie piękniejsza, tym bardziej widoczna się okaże...

Starałam się, by jego sprytnie słowa nie rozproszyły mojej uwagi, i niespodziewanie zmieniłam taktykę.

Stanęłam bokiem. Światło padło w pełni na przezroczystą część bluzki. Gens nie s p o d z i e w a ł s i ę tego ruchu i zaniemówił. Kusić go własnym ciałem, nagim pod rozcięciem od szyi do butów, było ewidentnie błędem nowicjuszki. Traciłam wtedy niedostępność, na której zbudowanie tyle pracowałam. Ale ja posunęłam się d a l e j.

Schyliłam się, prześlizgnęłam rękami po łydce do suwaka prawego buta i odsunęłam go.

Zdjęłam but, jakbym smarowała nogę kremem, delikatnymi, regularnymi ruchami. Zdejmując buty, nie przestawałam mówić, podając tekst tonem spontanicznym, jakbym była rozczarowana:

- Och, panie profesorze... Po co udawać? Jeżeli tego pan chce, czemu pan nie mówi?

Nie ma to dla mnie znaczenia, spodziewam się nawet... Czegóż innego mógłby szukać ktoś taki jak pan? Od lat mieszka pan sam... Od jak dawna nie widział pan kobiety? - Tekst był

idiotyczny, ale wierzyłam w szczerłość t o n u, jakim mówiłam.

Zdjęłam drugi but i krótkie pończochy identycznymi ruchami, bez żadnej pauzy.

Powszechnym błędem początkującej przynęty grającej Piękno jest sprzedać drogo swoją nagość, jak gdyby chodziło o erotyczny spektakl, nie zauważając, że pokusa płynąca z tego, co ukryte, działa przeciwko sobie w każdej chwili. Właściwa droga polega zawsze na ujmowaniu wagi z ujawnianiem, dzięki czemu stanie się ono nie „kresem”, lecz początkiem czegoś więcej. W ten sposób można bez przerwy podnosić napięcie aż do usidlenia.

Bez wątpienia Gens odgadywał, do czego zmierzam, gdyż siedział w całkowitym milczeniu.

- No i co, profesorze, tego właśnie pan chce?

Bosa, stanęłam przed nim. Rozstawiłam nogi. Najpierw chciałam rozebrać się do naga, ale ponownie uznałam, że Gens tego właśnie o c z e k i w a ł. Jednakże przerwać gwałtownie ten striptiz także byłoby błędem. Wybrałam więc trzecią drogę. Pośrednią. Ażeby nadal uchodzić za nieosiągalną.

Bluzka miała suwak na plecach. Umieściłam na nim obie ręce i zrobiłam taki ruch, jakbym go rozsuwała. Był to naturalny gest, który powiązałam z wcześniejszymi. Stanęłam na palcach. We własnej wyobraźni zachowywałam się tak, jak gdyby niewidzialny prysznic obmywał mnie albo rozsmarowywał mi po plecach krem, ale w rzeczywistości przesyłałam Gensowi f a ł s z y w y s y g n a ł, ż e z a c h w i l ę rozbiore się do naga. Nie robiłam tego, ale moje gesty raz po raz słały taki właśnie przekaz. Zaimprovizowałam taki tekst:

- Biedny profesor... Upadły idol...

Jednakże uświadamiałam sobie, że docieram do kresu drogi. Tekst słabł i mogłam utracić nieosiągalność zarówno wtedy, gdybym zdecydowała się nadal rozbierać, jak i wtedy, gdybym to opóźniała. Postęp w Pięknie, kiedy stoi się nago, jest możliwy, ale pozostaje to w zasięgu przynęt najwybitniejszych w tej masce, a ja do nich nie należałam.

Umilkłam. Zaprzestałam gry. Przyznanie się do klęski odebrało mi wszystkie siły.

Usłyszałam brawa, skąpe i raczej sarkastyczne.

- Doskonale - powiedział Gens - doskonale. Ten pomysł, żeby odegrać striptiz... Tekst podany jako naturalna wymówka... Przez chwilę... - przesunął ręką po twarzy - przez chwilę s t w a r z a ł a ś p o z o r y, że jesteś najpiękniejszą rzeczą, jaką widziałem przez ostatnie lata... Ale już nie możesz zrobić kroku dalej i wiesz o tym. Przegrałaś, ale dziękuję ci za te starania. Rozkoszowałem się - chrząknął.

Czułam się umęczona tą grą. Podniosłam z podłogi pończochy.

- Niech pan idzie do diabła - powiedziałam.

- To nie twoja wina. Żeby zdołać zagrać Piękno tylko z udziałem własnej woli, trzeba mieć łut szczęścia... Moricke miał do dyspozycji specjalne sceny, żeby...

- Niech mi pan oszczędzi wykładu, proszę. Jestem kretynką, że tu w ogóle przyszłam.

- Przełknęłam łzy i gwałtownym ruchem zasunęłam suwak buta.

- Zaraz, chwileczkę... - Gens nagle się zirytował. - To ty prosisz o rzecz niemożliwą.

To ty przysłałaś tu, żebym ci powiedział, jak możesz zmienić się w d o s k o n a ł y obiekt dla tego szaleńca, i chciałem ci tylko pokazać, dlaczego twoja niewiarygodna wola jest w tym przypadku przeszkodą... Od chwili, gdy tego chcesz, g r a s z, a kiedy grasz - u d a j e s z.

Nie potrafisz pójść dalej...

- Do widzenia, panie profesorze. - Nie byłam już w stanie dłużej go słuchać. Czułam, że się rozplaczę, jeżeli stamtąd nie wyjdę. Skończyłam wkładać buty i szłam po płaszcz, gdy Gens odezwał się:

- Nie potrafisz pójść dalej... chyba że ci powiem jak.

Widząc, że zatrzymałam się w drzwiach, zachichotał.

- Spróbujmy rzucić nieco światła na tę skomplikowaną sprawę - dodał i machnął ręką.

Lampa zgasła, żaluzje się podniosły do połowy, odsłaniając pas szarego światła.

Pozbawiony kryjówki w oślepiającym blasku Gens znowu wydawał się zniedołężniałym starcem.

- Powiedz mi, w której sztuce Szekspira znajdziemy Piękno?

- W *Wieczorze Trzech Króli*.

- A jaki jest główny szyfr w tej sztuce?

- Bohaterowie kochają tych, którzy nie mogą ich kochać. Nieosiągalnych.

- A w której parze najbardziej widać nieosiągalność?

Przypomniałam sobie egzaminy, którym poddawał mnie Gens podczas szkoleń.

- Viola i Olivia - odparłam. - Viola przebiera się za chłopaka, a Olivia się w niej zakochuje.

Gens wstał z krzesła i nieoczekiwanie odezwał się scenicznym głosem:

- „Zostań jeszcze. Powiedz, co o mnie myślisz...”

- „Że ty sama myślisz, iż jesteś nie tym, kim naprawdę jesteś” - odparłam, rozpoznając dialog między Violą a Olivią, który Gens kazał nam ćwiczyć na scenie.

- „Jeśli tak - myślę to samo o tobie...”

- „I myślisz słusznie: nie jestem, kim jestem”⁷.

Gens gestykulował, jak gdyby słowa krążyły w powietrzu a jego ręka wskazywała mi, bym je

odczytywała.

- Co widzisz? - zapytał.

- Viola przyznaje wobec Olivii, że jest w przebraniu.

- Właśnie tak, ale wydaje się, że Olivia ją rozpoznaje. Olivia jest zakochana w p r z e b r a n i u, a jednocześnie wie, że powinna oddzielić przebranie, które kocha, od istoty, która je nosi, i tylko w ten sposób zdoła odnaleźć Sebastiana, bliźniaczego brata Violi, który jest p r z e b r a n i e m będącym człowiekiem. *Wieczór Trzech Króli* - medytował

Gens, targając brodę - święto Objawienia Pańskiego... Jedna z najgłębszych sztuk teatralnych.

Czy Szekspir nauczył się klucza do Piękna w Kręgu Gnostyków Johna Dee? Nie sędzę.

Zawsze odnosiłem wrażenie, że ten Krąg to jakiś wymysł, że to grupa arystokratów nonkonformistów, pragnących powrotu do dawnych obyczajów religijnych, które Henryk ósmy i Elżbieta pierwsza całkowicie w kraju wyeliminowali... Choć jest także możliwe, iż ten oszust Dee znał się na psynomach... Ale odchodzę od tego, co chciałem powiedzieć.

Popatrzmy: jeśli chcesz stać się kimś wyższym niż twoja siostra, najbardziej intymnym pożądaniem Widza, to co teoretycznie powinnaś mu dać?

- Wszystko - odparłam.

- Czy to takie proste: „dać mu wszystko”? - indagował Gens. - Diano, byłaś moją 7 W. Shakespeare, *Wieczór Trzech Króli albo Co zechcecie*, tłum. S. Barańczak, Kraków 2008, Znak, akt III, scena 1.

najlepszą uczennicą, razem z Claudią... Widz jest nieskończenie krwiożerczy, jak każdy psychol. Pragnie twoich nóg, twojego seksu, twojego mózgu, twojej duszy, twojego konta bankowego, twojego samochodu, twojego domu... Czegóż więcej? Co możesz mu dać, żeby pragnął c i e b i e ponad wszystko?

Teraz przemawiał do mnie z bliska. Próbuując znaleźć odpowiedź, czułam, jak jego oddech owiewa moją twarz, brudny i gorący.

I nagle pewien obraz przemknął mi przez głowę. Ukryte, porażające wspomnienie.

A t e r a z m a s z s i ę ś m i a ć, d i e w o c z k a.

Gens krzyknął do mnie:

- Powiedz! Czy on chce tylko w s z y s t k i e g o, c z y m j e s t e ś?

- Nie... - wyjąkałam.

- Więc czego jeszcze chce o d c i e b i e?

- Chce także... wszystkiego, czym n i e j e s t e m.

W milczeniu, jakie zapadło, kryła się większa siła niż w naszych głosach.

- Właśnie. - Gens wymierzył we mnie palec. - Chce twojego kłamstwa, twojego przebrania, t w o j e g o t e a t r u... Chce twojego *Wieczoru Trzech Króli* - zaśmiał się. -

Chce widzieć, jak grasz. Widz pragnie posiąść aktorkę. - Urwał, po czym odezwał się znowu tonem mało doniosłym, jak gdyby wszystko, co istotne, zostało już wypowiedziane. - Próbuj z maską na odległość: Spektakl albo Ekspozycja, na przykład. Zaczynj w domu, prowadź

normalne życie przez jeden, dwa dni... Potem idź w jakieś szczególne miejsce, miejsce, w którym poczujesz, że u d a j e s z, i zagraj Holokaust. Folwark może być do tego dobry.

Możliwe, że tam go złapiesz.

- Ale folwark nie jest rejonem polowań.

- Nie będziesz potrzebowała żadnego rejonu polowań. Wyczuje cię, sam do ciebie przyjdzie. Dowiedziono, że psynom nie zna dokładnych granic: uzależniony jest od przyjemności, jaką oferujesz. Nieskończona pokusa ma nieskończony zasięg. Dostrzeże cię i będzie cię szukał, sam nawet o tym nie wiedząc. Przyjdzie do ciebie, choćby miał się włóczyć zaśliniony po całym Madrycie. - W oczach Gensa pojawił się błysk podniecenia. - Tylko tak przezwycięzysz jego zręczną sztukę pozwalającą mu unikać najlepszych przynęt -

zakończył.

- Jego „pracownicy” - podsunęłam, ale Gens zaprzeczył ruchem głowy.

- Och, nie bądź naiwna, ma tylko j e d n e g o. Ale dobrze go wykorzystuje.

- Niemożliwe. Są ślady różnych filii w tym jego wybieraniu, a ciała...

- Proszę cię, Diano! Czy jesteś równie głupia jak wszyscy profilowcy w tym kraju? -

Gens zaśmiał się chrapliwie. - Ci „eksperci” i ich komputery kwantowe! A może cała armia

„pracowników”? Nic podobnego! Postawiłbym raczej na rozwiązanie najprostsze: korzysta z pomocy j e d n e j o s o b y, ale z psynomem amorficznym, jeszcze niezdefiniowanym.

Dlatego sprawia wrażenie, że ma filię, która imituje wiele innych, a mimo wszystko wykazuje najwięcej wpływów holokaustu... To d o s k o n a ł a sztuczka. - wpatrywał się we mnie z uwagą, może oczekując odpowiedzi, którą chyba w końcu dostrzegł w moim przerażonym wzroku, bo przytaknął. - To najbardziej logiczne, prawda? Oceniam, że jego „pracownik” ma z dziesięć, jedenaście lat...

Pomysł wydawał mi się zatrważający, niezrozumiały.

- Porwał... porwał d z i e c k o, żeby mu pomagało?

Twarz Gensa skamieniała.

- Nadal nie rozumiesz? - wykrzywił się w grymasie uśmiechu. - Jestem pewien, że posługuje się własnym synem.

18

Mężczyzna miał wracać do domu, ale zastanowiwszy się, zaczął krążyć samochodem po ulicach.

We wnętrzu wygodnego jaguara windsor, którego używał do jazd po mieście, było gorąco. Czuł, że płonie mu twarz. Ale chłopiec poprosił go, by nie włączał klimatyzacji, i mężczyzna się zgodził: był przecież środek października i wieczorem robiło się zimno. Tak więc znosił upał z uśmiechem, chociaż spocona prawa ręka, którą trzymał kierownicę obitą skórą, ślizgała się na niej. Zaczynał zapadać zmrok, zapalały się światła w oknach wystawowych, błyszczały reklamy z wysokimi, wystylizowanymi kobietami w lateksowych butach. Zastanawiał się, ile już czasu jeżdżą tak po Madrycie bez żadnego konkretnego celu.

Przynajmniej dwie godziny, bo odebrał chłopca ze szkoły o szóstej, a teraz było parę minut po ósmej. I oczywiście to nie głupi incydent z nauczycielką sprowokował tę jazdę. To nie sprawa z Demi ani odwołane spotkanie z Cristiną, ani zaplanowane na następny dzień spotkanie z analitykiem systemu, Rebeką Jakaśtam o intrygująco zielonych oczach. Żadna kobieta nie mogłaby zmienić jego zwyczajów. Postanowił po prostu przejechać się przed kolacją.

Szkoła była niedaleko poddasza w dzielnicy Salamanca, gdzie mieszkali, kiedy nie mogli wyjechać na wieś. Był to nowoczesny międzynarodowy ośrodek, a mężczyźnie podobał

się jego wyszukany, elitarny klimat, zarazem przyzwalający i sztywny, bez śladu religijności.

Edukacja neutralna, szanująca indywidualność, nie tylko piercing i długie, brudne dredy Pabla. Ograniczano się tam do nauczania, nie grzebano w życiu uczniów. Ośrodek był bardzo drogi, ale mężczyzna wpłacał jednorazowo całą kwotę, a ponadto oferował duże dotacje, co czyniło z niego osobę pożądaną dla dyrekcji: była to kwestia odpowiedniej uwagi dla miejsca, gdzie chłopiec spędzał czas, kiedy nie przebywał z nim.

W ową środę mężczyzna przyjechał na dziesięć minut przed końcem lekcji, jak zawsze. Kilka luksusowych samochodów, prawie w każdym przypadku z szoferem, czekało już na parkingu i mężczyzna zaparkował swojego jaguara w pobliżu wyjścia. Chłopcy zaczęli wychodzić punktualnie o szóstej, roześmiani w tym szarym jesiennym popołudniu, ale mężczyzna zatopiony był w myślach o własnych sprawach; zaabsorbowany zajadał

migdały, czekając w samochodzie, i z początku nie zorientował się. Zawsze zapełniał talerzyk z minibarku w samochodzie migdałami. Delektował się ich mięsistą miękkością, kolorem opalonej skóry, zaokrąglonymi kształtami, które pozwalały się gryźć...

- Pan Leman?

Jakiś cień stał przed szybą.

- Dzień dobry, Demi, co słyhać? - Mężczyzna przestał jeść, opuścił szybę i uśmiechnął się uprzejmie spod ciemnych okularów. Denerwowało go takie wtrącanie się, ale nic w jego twarzy tego nie zdradzało. Przypomnił sobie, że dziewczyna jest jedną z nowych nauczycielek Pabla, bardzo oddaną pracy i pełną entuzjazmu. Amerykanka wychowana w Londynie i Madrycie. Mężczyźnie wydawała się mało niebezpieczna: jedna więcej w stadzie, przynajmniej do tej pory.

- Chciałabym z panem porozmawiać. Ma pan chwilę?

- O! Coś się dzieje?

- Proszę się nie przejmować, nic się nie stało... - Demi mówiła prawidłowo po hiszpańsku, ale z silnym akcentem.

- Pablo jest bardzo mądry i uczy się bardzo dobrze. Tylko że... Moglibyśmy przejść na chwilę do mojego biura?

- Teraz nie, spieszę się. Mam ważne spotkanie.

- To może jutro?

O kilka metrów na lewo od dziewczyny stał chłopiec. Spuścił oczy i czekał grzecznie na koniec rozmowy. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Na Boga, Demi, co się dzieje? Proszę mnie nie trzymać w nerwach do jutra...

- Nie, nic się takiego nie dzieje, naprawdę... - Zarumieniła się i pochyliła bardziej ku szybie, by mówić cicho. Bawiła się etnicznym naszyjnikiem i odsuwała kosmyki włosów z twarzy. Mężczyzna pomyślał, że usiłuje być atrakcyjna. - Po prostu wczoraj spytałam Pabla, co robił w weekend, i odpowiedział mi, że był z kolegą z klasy w kinie... Przez przypadek ja też widziałam ten film, więc zapytałam o kilka rzeczy i okazało się, że nic nie umie powiedzieć... A dzisiaj zapytałam tego kolegę... W żadnym momencie nie był z Pablem. Jego matka to potwierdziła. Kiedy ponownie zapytałam Pabla, odparł, że skłamał...

Mężczyzna roześmiał się.

- To wszystko? Demi, proszę, tak mnie pani przestraszyła... Pablo rzeczywiście był przez cały weekend w domu. Nie miał ochoty nigdzie wychodzić.

- Wiem. Chcę tylko powiedzieć, panie Leman...

- To tylko drobne kłamstwo między chłopakami.

- Nie, panie Leman, nie „między chłopakami”... Pablo oszukał mnie. I, jeżeli mam być szczerą,

najbardziej nie podobało mi się to, że gdy zapytałam, dlaczego to zrobił, odparł, że po prostu tak chciał i tyle. Nie wyglądał na przejętego, ani przedtem, ani potem. Pablo ma dopiero jedenaście lat i kłamstwa w tym wieku...

- Demi - przerwał mężczyzna z najwspanialszym ze swoich uśmiechów - sędzę, że przywiązuje pani zbyt dużą wagę do sprawy zupełnie banalnej...

- Proszę wybaczyć, panie Leman, ale sędzę, że...

- Pablo jest bardzo mądry, sama pani tak mówi...

- Nikt w to nie wątpi, ja tylko...

- Ale wychował się bez matki, co powiększyło jego nieśmiałość. Moja rola polegała na tym, by dawać mu pełne wsparcie i starać się być z nim jak najwięcej, ale nigdy nie zastąpię mu matki. Nigdy. Powinna pani to zrozumieć.

- Wiem, że Pablo bardzo pana kocha, panie Leman. Jest pan dla niego całym światem.

I właśnie dlatego...

- W ł a ś n i e d l a t e g o, Demi - odparł mężczyzna, wpadając jej dość brutalnie w słowo, ale nie podnosząc głosu - w ł a ś n i e d l a t e g o... - urwał na chwilę, po czym ciągnął, stukając palcem wskazującym w kierownicę - sędzę, że ma pani rację. Powinniśmy obserwować jego postępowanie.

Zmiana w zachowaniu dziewczyny zdradzała ulgę.

- Właśnie, panie Leman, chciałam, żeby to właśnie pan zrozumiał, tylko...

- Tak, zdecydowanie, musimy się tym jak najprędzej zająć. Porozmawiamy jutro.

Dziękuję za wszystko, Demi...

- To ja panu dziękuję, panie Leman. Chcę jedynie, żeby Pablo czuł się szczęśliwy...

- Wiem o tym, Demi, wielkie dzięki. - Mężczyzna zastanawiał się, jakie dziewczyna ma sutki. Piersi miała małe, ale on był pewien, że sutki są ciemne i duże, jak te migdały, które trzymał w ręku, i może twardnieją w kontakcie z wodą. Wyobraził ją sobie w wannie, wystawiającą piersi. Przepiękna ruda Holenderka, z którą jego ojciec był związany po rozwodzie z matką, miała małe piersi, ale mężczyzna doskonale pamiętał jej spiczaste sutki.

Miała zwyczaj wołać go, kiedy się kąpała, żeby ją obserwował.

- Teraz muszę już jechać... Pablo, wsiadaj. Może migdałka, Demi? - Podziękowała z uśmiechem, nie chce utyć.

- Naprawdę, dzięki za wszystko.

Po odjeździe ze szkoły zaczął przemierzać ulice na chybił trafił, nie bardzo nawet zdając sobie z tego sprawę. Coraz to powracał do niego w myślach głos Demi z tym jej dziwnym akcentem. „Dziękuję panu. Dziękuję”. W pewnej chwili odwrócił się do chłopca.

- Następnym razem, jak komuś wciśniesz tak wyrafinowane kłamstwo, nie przyznawaj się potem, że skłamałeś.

- Co to jest „wyrafinowane kłamstwo”? - zapytał chłopiec.

- Skomplikowane.

Chłopiec ograniczył się do zapięcia pasa i wyglądania przez okno. Mężczyzna obserwował w lusterku wstecznym jego bejsbolówkę w dwóch odcieniach niebieskiego i długie brązowe dredy. Z profilu chłopiec przypominał Jessie, swoją matkę, która była bardzo piękna: miał nawet identyczny piercing w wardze. Mężczyzna zastanawiał się, nie po raz pierwszy, co powiedziałyby Jessie, gdyby żyła dostatecznie długo, by ujrzeć istotę, jaką dla niego wydała na świat.

Wiele go kosztowało przekonanie jej. Prócz tego, że była jedną z jego najlepszych studentek informatyki w Brukseli, Jessie uwielbiała tańczyć w balecie i początkowo wzdragała się na samą myśl, że miałyby zdeformować sobie sylwetkę ciążą. Mężczyzna udał, że akceptuje jej decyzję, ale kilka dni później spakował rzeczy Jessie i oznajmił jej, że skoro ich związek nie ma przyszłości, czuje się w obowiązku rozstać się z nią i wyrzucić ze wspólnego mieszkania. Jessie była posłuszna - starannie taką dziewczynę wyszukał - i koniec końców uległa, wśród łez, pojednań, kaca po szampanie i skrętach. „Zróbmy sobie syna, Juan, dam ci syna, Juan...” Jessie uwielbiała się upijać i mężczyzna wykorzystał ten błogosławiony nałóg w chwili, gdy zmontował domniemany wypadek samochodowy, który zakończył życie młodej matki dokładnie po dwóch miesiącach i trzech dniach od porodu. Naprawdę nie mogła dalej żyć, jako że posiadanie dziecka nie było kaprysem, lecz nieodzowną potrzebą. Dziecko było obroną przed zasadzkami: mężczyzna starannie to wykalkulował. Mógł zgodzić się na więzienie i wiedział, że któregoś dnia tam skończy (podobnie jak wiedział, że także stamtąd wyjdzie), ale nie był w stanie myśleć nawet o możliwości, że wpadnie w którąś z tych zasadzek. Tylko nie to. Cokolwiek, tylko nie to, że jakaś dziewczyna go oszuka.

Prowadził samochód, pragnąc zapomnieć o banalnym incydencie z Demi, i jednocześnie sporządzał w myślach listę rzeczy, które musi jak najprędzej kupić. „Nowy wełniany dywan. Gumowe worki. Sznur. Kilka nowych latarek. Jeszcze jedną wiertarkę.

Środek znieczulający. Biologiczną gąbkę. Taśmę izolacyjną”. W pewnym momencie machnął

ręką przed sensorem dźwięku i samochód wypełnił techno-rap na cały regulator. Ani on sam, ani chłopiec nie sprawiali wrażenia, że słuchają tej ogłuszającej muzyki. Najpilniejsze to gumowe torby i sznur. Zdjął okulary przeciwsłoneczne, ponieważ szybko się ściemniało, a ciemne chmury zdawały się opadać na Madryt, i schował je do kieszeni na piersiach w fioletowej marynarce od Valentina. Lubił kolor fioletowy, Pablo także. Kolejnym machnięciem ręki wyłączył muzykę. Przypomniawszy sobie zniechęcający widok: piersi trupa, jedna sutka stwardniała, druga schowana. Wciąż się pocił i nie wiedział dlaczego.

- Tato - odezwał się chłopiec.

- Co?

- Nie możesz na chwilę zostawić włączonej muzyki?

- Nie.

Chłopiec wzruszył ramionami, włożył rękę do kieszeni kurtki i wyjął przenośną konsolę. W chwili gdy mężczyzna skręcał kierownicą, wjeżdżając samochodem w przecznicę, jego uwagę rozproszył jeden z wielu afiszy reklamujących zbliżające się Halloween: dynia, którą jakaś dziewczyna zakrywała sobie organy płciowe. Widać było tylko ręce, brzuch, krągłe biodra. Czytał gdzieś, że Halloween to bardzo dawne święto, pogańskie, orgiastyczne, wykoślawione jak wiele innych przez nowoczesne społeczeństwo. Ludzie poprzystrajani w jelenie rogi, wyśmiani przez boginię Dianę. „Boginie i rogacze”, pomyślał, po czym nacisnął

przycisk telefonu w samochodzie. „Szkoła, dyrektor”, powiedział. Usłyszał dwa sygnały, a potem głos sekretarki i później pana Brooke’a. Rozmowa trwała krótko, ale mężczyzna i tak miał dość czasu, by myśleć o czymś innym, kiedy dyrektor szkoły, w napięciu, demonstrował

swoją hiszpańszczyznę przeznaczoną specjalnie na użytek wpływowych rodziców.

- Ależ oczywiście, panie Leman, jeżeli takie jest pańskie życzenie, my...

- Dziękuję.

- Muszę jednakże zwrócić panu uwagę, iż Demi jest nową nauczycielką i nie zna jeszcze...

Mężczyzna wciąż myślał, co jeszcze ma do zrobienia. Zadzwoi do Cristiny i zaproponuje inny termin spotkania. Zamówi dla niej bukiet kwiatów. Spotkanie z Rebecą, analitykiem systemu, która aplikuje o pracę w jego specjalistycznej firmie, przewidziane jest na jedenastą w czwartek, czyli na następny dzień. Nie planował zapraszać jej na lunch, bo może przyjdzie w towarzystwie, a nie chciał, aby ktokolwiek patrzył na niego, gdy on wpatruje się w zielone oczy Rebeki. Ponadto rano musi odebrać mercedesa z warsztatu, do którego odstawił go w poniedziałek, żeby usunęli zadrapanie z karoserii, które ta parka złodziei...

Zrobił błąd, przypominając sobie tę historię. Jego knykcie zbieleły, gdy zacisnął

dłonie na kierownicy.

- ...to świetna nauczycielka, choć jeszcze zielona, gdy chodzi o panujące stosunki...

- Rozumiem, panie Brooke - przerwał niecierpliwie mężczyzna. - Ale nie chcę więcej wracać do tej sprawy. Po prostu nie życzę sobie, żeby ta pani udzielała lekcji mojemu synowi.

De facto, nie chcę jej więcej widzieć. Nie chcę nawet natknąć się na nią przypadkiem. Jest mi obojętne, czy jest zielona, czy żółta. Jeżeli ją zobaczę, panie Brooke, jeżeli tylko jeszcze raz ją

zobaczę, nawet z daleka i z uśmiechem, nawet odwróconą tyłem, panie Brooke, jeżeli jeszcze raz zobaczę ją w szkole, porozmawiam z pana przełożonym, panie Brooke, i odbiorę od was syna. Ale przedtem porozmawiam z pana przełożonym, żeby było jasne, kto jest za to odpowiedzialny... Pan wybiera.

- Oczywiście, panie Leman, oczywiście... Chciałem jedynie...

- Pan wybiera, panie Brooke.

- Tak... Już wybrałem, panie Leman.

- Dziękuję, panie Brooke. Do widzenia panu.

Zakończył rozmowę, zaciskając zęby. Istnieją kobiety przekonane, że wszyscy faceci to masochiści, stwierdził. On, skądinąd, mógłby być, do pewnego stopnia. Przypomniawszy sobie o istnieniu jednej z tych rzeczy... (nazwy techniczne zawsze go niepokoiły)... tak, „filii”, zwanej filią Leopolda, związanej z Sacher-Masochem, z jego własną „filia” oraz ze sztuką *Wesołe kumoszki z Windsoru*, w której kobiety wyśmiewają się z mężczyzn, zmuszając ich do noszenia na głowie jelenich rogów. Już sama myśl, że jakaś kobieta mogłaby się z niego wyśmiewać, wywoływała u niego erekcję, ale nie przypisywał tego faktu żadnej „filii”, tylko poczuciu szczerości: kiedy kobieta kpi z mężczyzny, jest szczerą, uważał. On sam, czasami, zmuszał je do kpin z tego samego powodu. Sadzał je w ubikacji, kazał na siebie patrzeć i śmiać się. Jako dziecko podglądał w łazience najpierw matkę, a potem kobiety mieszkające z ojcem, i zawsze śmiały się, odkrywszy go. *Wiesz, czym jesteś?*, łajała go matka. Kobiety wyśmiewały się po mistrzowsku, uczyły się tego od dziecka, ćwiczyły jako nastolatki, a doszedłszy do wieku dojrzałego, „kumoszki” nie robiły już nic innego.

Zorientował się, że wyjechał na autostradę, zauważył zjazd, skręcił i zawrócił do Madrytu. Był pewien, że złapał grypę: pocił się obficie.

- Możesz, proszę, wyłączyć konsolę? - zapytał. - Drażni mnie ten szum.

Chłopiec wyłączył urządzenie, ale go nie schował.

- Po powrocie do domu masz się przede wszystkim wykapać. Czuć cię błotem - dodał mężczyzna.

- To jedziemy do domu? - zapytał chłopiec.

- Pewnie, że do domu. Tylko trochę się pokręcimy.

- Będę mógł obejrzeć holowideo przed kąpielą?

- Nie.

- A po?

- Zobaczmy.

Zdał sobie sprawę, że nie zapalił świateł pozycyjnych, i natychmiast to zrobił.

Samochód zapalał je automatycznie, ale mężczyzna wyłączył wszystkie systemy automatyczne, gdyż przeszkadzało mu, że maszyna myśli za niego. Ponadto w ten sposób oszczędzał.

- Co powiedziałeś?

- „Wagina” - odparł chłopiec. - Naru mówi, że to jest to samo co „cipa”.

Mężczyzna zaśmiał się i uświadomił sobie, że mija mu zły humor.

- Powiedz swojemu hinduskiemu koledze, że w przeciwieństwie do ciebie nie widział prawdziwej cipy w całym swoim życiu... Nie, lepiej mu tego nie mów. Żartowałem.

- To, co mówi Naru, to też „rafinowane kłamstwo”?

- Nie. Tylko pomyłka. Poza tym mówi się: „wyrafinowane kłamstwo”.

- Aha - przytaknął chłopiec. - Wybieramy? - zapytał nagle, odwracając głowę, by wyjrzeć przez okno i przyjrzeć się grupie roześmianych dziewczyn na chodniku.

- Nie. Robimy okrążenie, nic poza tym.

- Nie mieliśmy jechać dzisiaj do drugiego domu?

- Tak, to znaczy nie. Pojadę sam.

Mężczyzna zagryzł wargę, usiłując uchwycić mały włosik. Pytanie chłopca przypomniało mu, że rzeczywiście miał jechać do domu w górach, żeby zabrać ciało.

Klimatyzator w drugiej piwnicy zakonserwuje je przez jakiś czas, ale nie chciał czekać. Ta ostatnia faza stawała się coraz bardziej skomplikowana, a fakt, że dziewczynie wysiadło serce podczas sesji z tokarką, zaskoczył go kompletnie: liczył na to, że utrzyma ją przy życiu przynajmniej przez trzy...

- Tato.

- Tak.

- Słyszałeś, o co pytałem?

- Nie.

Zapadło milczenie, a kiedy chłopiec powtórzył pytanie, mężczyzna nie wiedział, czy pyta o to samo co poprzednio, czego nie usłyszał, czy już o coś innego.

- Nadal jestem twoim asystentem?

Uśmiechnął się lekko. Znał powody tych wątpliwości. Począwszy od niedzielnej nocy, próbowali się zdecydować bez skutku; nie zgadzał się na żadną z tych, które wybierał

chłopiec: albo za młode, albo za niskie, albo za dojrzałe, to zaś zwiększało wątpliwości jego syna, choćby mu długo wyjaśniał, że wybranka musi się podobać im obu. Przy paru okazjach uległ już dziecięcemu gustowi Pabla, a nawet jego kaprysom, ale nie mógł dalej ustępować.

Jednakże należało go jakoś zachęcić, bo Pablo stanowił jego ubezpieczenie na życie.

Jeżeli chłopiec miał wpływ na dokonany wybór, on sam unikał pułapek.

I nagle poczuł się o wiele lepiej. Nadal sływał potem, ale już nie myślał, że jest chory. Spojrzał na zegarek na desce rozdzielczej - dwudziesta trzydzieści pięć, środa - i stwierdził, że w zasadzie czemu nie, tak czy inaczej potrzebują następnej, więc dlaczego jeszcze raz nie spróbować. Może tej nocy szczęście im dopisze.

- Oczywiście, że nadal jesteś moim asystentem - zapewnił, skręcając w kolejną przecznicę. - Najlepszym, jakiego kiedykolwiek miałem. I wiesz co? Zmieniłem zdanie...

Otwórz szeroko oczy, asystencie, bo zapewniam cię, że dziś w nocy wybieramy.

19

Kiedy otworzyłam oczy, wokół była tylko ciemność.

„N a z y w a s z s i ę E d u a r d o. A t e r a z m a s z s i ę ś m i a ć, d i e w o c z k a”.

Wówczas zorientowałam się, co mnie obudziło: natrętny dzwonek telefonu.

Wyciągnęłam rękę, zapaliło się światło. Ujrzałam krzesło z rogoży, rozpoznałam własną sypialnię. Zmięte prześcieradła leżały u moich stóp, jakbym spędziła noc na jakiejś awanturze. Zegarek cyfrowy wskazywał, że jest czwartek, 6.50 rano. Krzyknęłam:

„Odpowiadam”.

I przygotowałam się na jakąś złą wiadomość.

*

Potem przypomniałam sobie, co mi się tamtej nocy śniło. Widziałam tatę i mamę, pięcioletnią Verę, Aíde Domínguez - ostatnią znaną ofiarę Widza, Claudię Cabildo - ostatnią ofiarę Renarda. I wiele innych postaci. Wszystkie patrzyły na mnie takim niewidzącym spojrzeniem, jakie mamy wówczas, gdy przypadkiem zerknijemy na kogoś w lustrze, albo jakie miały te brudne, okaleczone lalki, które Renard wieszał nad ciałami zabijanych osób.

Myślałam, że wszyscy wymagają ode mnie... właściwie czego? Nie sprawiedliwości ani zemsty. Chyba poświęcenia. Czy może po prostu: działania.

Wszystkie ofiary tej niekończącej się wojny wzywały do działania w ich imieniu, do założenia maski bez wyraźnych rysów i do zagrania im zapomnienia.

*

Poprzedni ranek, w środę, dzień po rozmowie z Gensem, spędziłam w łóżku z laptopem na kolanach, zajęta analizą maski Ekspozycji i popijaniem kawy. Gens zapewniał

mnie, że mogę ćwiczyć tę maskę w domu, prowadząc „normalne życie” przez dwa-trzy dni, i wypełniałam jego instrukcje. Miałam pójść do sklepu i na siłownię, obejrzeć telewizję.

Nieprzyjemną wizytę na folwarku odłożyłam na czwartek.

Maska Ekspozycji została odkryta przez francusko-algijskiego psychologa Didiera Korę, ale Gens sądził, że szyfr do niej zawiera się w okrutnej satyrze na temat wojny trojańskiej zatytułowanej *Troilus i Kresyda*, którą Szekspir wypełnił perwersyjnymi wojownikami, wulgarnymi donosicielami i niewiernymi kochankami i w której wartość życia i godność zależą od opinii innych. „Człowiek ceni bardziej to, czego jeszcze nie ma”, mówi Kresyda, a gesty maski polegają na eksponowaniu ciała i włączeniu nieświadomości, przy stłumieniu pożądania i ekspresji, „niczym biżuteria na wystawie: wyeksponowana, ale dobrze strzeżona”, jak to określał Gens.

Kiedy poczułam się przygotowana, wzięłam się do roboty. Przebranie dla tej maski było proste i szybko je znalazłam: czarne buty na obcasie, skąpa czarna bielizna. Rozebrałam się, uczesałam świeżo umyte włosy i związałam je w kucyk. Potem włożyłam swój kostium.

Gens sugerował, żebyśmy włączali nieświadomość, przypominając sobie jakieś nieprzyjemne, traumatyczne wydarzenie. Przynętom nie brakowało takich doświadczeń, a ja posłużyłam się własnym dramatem. Spróbowałam skoncentrować się na tym, co sobie przypominałam u Gensa w domu, poprzedniego dnia: to, co zrobili naszej rodzinie Człowiek Koń, Oksa i ta druga kobieta. Potem zasłoniłam okna w salonie i zapaliłam lampy, tak żeby oświetlały pustą ścianę, której potrzebowałam jako sceny. To wszystko należało do typowego teatru Ekspozycji.

Jedynie, czego nigdy przedtem nie robiłam, to gra bez publiczności.

Kiedy poruszałam głową na tle ściany, na rozstawionych nogach, recytując raz po raz fragmenty z *Troilusa* i starając się włączyć pamięć, przy maksymalnym stłumieniu percepcji i emocji, zastanawiałam się, czy to w ogóle czemukolwiek służy. „Jesteś tam? Czujesz mnie?”, pytałam ciszę. Wyobrażałam sobie moją t a j e m n ą m i ł o ś ć, mój cel, mojego skurwysyna, siedzącego w ciemności, obserwującego moje gesty, słuchającego mojego głosu...

Po półgodzinie przerwał mi telefon. Zła byłam na siebie, że zapomniałam go wyłączyć. Ale kiedy na wyświetlaczu pojawiła się informacja, że to Vera na bezpiecznej linii, ucieszyłam się. Nie rozmawialiśmy od czasu tamtej kłótni sprzed tygodnia i fakt, że teraz do mnie dzwoni, przyjąłam z

ulgą. Przerwałam próbę zdyszana, włożyłam majteczki, które wcześniej zsunęłam, i odebrałam telefon, wyobrażając sobie, że wszystko jest możliwe: Vera będzie mnie obrażać, płakać, przeproszać. A może - aż bałam się o tym myśleć - chodziło o coś poważniejszego. Ale pierwsze, co usłyszałam, to informacja, że nadal nie znaleziono nawet śladu Elisy.

- To już tydzień, jak zniknęła... - Nosowy, drżący głos Very wypełniał salon. - Cały tydzień... Gdyby jej się udało, już byśmy coś wiedzieli, prawda?

- Może tak, a może nie.

- Sądzisz, że nadal może próbować?

- Elisa jest dobra. Mogło się wydarzyć cokolwiek.

Obie wiedziałyśmy, że jeżeli porwał ją Widz, Elisa już nie żyje albo jej życie legło w gruzach, ale Vera wykonała pokojowy gest i nie chciałam za żadne skarby psuć tej chwili.

Wykorzystałam ten moment odpoczynku, żeby pójść do łazienki, zmyć z siebie pot i wysuszyć się. Słuchałam głosu Very dobiegającego z głośników.

- Padilli puszczają nerwy... Założył nam, wszystkim nowym, podskórne czujniki...

Systemy pozycyjne, nano-mikro, wiesz sama.

- To znaczy... - zaczęłam i urwałam w porę. Tasowałam w myślach opcje:

„kretynizm”, „bezsens”, „absurd”. Ale uświadomiłam sobie, że Vera chce tylko, żebym uwierzyła te działania. - To jest do przyjęcia - stwierdziłam.

- Wiem, że to na wiele się nie zda, ale przynajmniej świadczy o tym, że coś znaczymy...

- Naturalnie.

„To znaczy, że chce cię zachować w czystości, ten idiota - pomyślałam. - Jeżeli nosisz na sobie aparaciki, czujesz się pewniejsza i będziesz grała w sposób naturalny”. Nie zamierzałam jednak wyjaśniać tego Verze, choć nadal czułam potrzebę chronienia jej.

Wróciłam do salonu, w którym lśniło światło lamp, i zatrzymałam się z założonymi rękami, czekając, aż Vera skończy rozmowę, by wrócić do prób.

- Padilla dzwonił do mnie do teatru co wieczór w weekend, wiesz? Szkoliłam się i czuję się już przygotowana...

- Zamierzasz wyjść dzisiaj w nocy? - zapytałam, starając się nie okazywać niepokoju.

- Wychodzę c o n o c od poniedziałku, Diano. Chcę, żeby to m n i e udało się ocalić Elisę.

Musiałam zagryźć wargi, żeby nie błagać jej, aby została w domu. Było to tak samo trudne jak powstrzymanie wymiotów.

- A ty co robisz? - zapytała.

- Nic. Odpoczywam. - Poprawiłam gumkę przy majteczkach, zwiniętych na biodrach.

- Tutaj się mówi, że podobno wróciłaś do pracy...

- Nie. Rzuciłam to.

Zadała mi jeszcze kilka pytań, które mnie zaintrygowały, bo brzmiały, jakby chciała pogrzebać w moim życiu. I dodała:

- Chciałam do ciebie zadzwonić, żeby przeprosić za tamten dzień. Czułam się wtedy okropnie...

Przerwałam jej.

- Nie musisz się z niczego tłumaczyć. Lepiej o tym zapomnijmy - mówiąc to, zauważyłam, że telefon sygnalizuje kolejną rozmowę. „Dr Valle” - widniało na wyświetlaczu.

- Muszę kończyć, Vero, uważaj na siebie - powiedziałam, starając się, by mój głos zabrzmiał magicznie i naprawdę ją chronił. „Ona albo ja - myślałam z całkowitą pewnością -

w y b i e r z e jedną z nas”.

- I ty także - odparła Vera. - Całusy.

I banalnymi słowami zakończyłyśmy rozmowę. Wydawało mi się, że aby rozstać się pokojowo, obie musiałyśmy udawać.

*

- Dziękuję, że zechciał mnie pan zobaczyć - powiedziałam na powitanie doktorowi Valle.

- Dlaczego miałbym nie chcieć cię zobaczyć?

Valle patrzył mi prosto w oczy. Wyglądał na nieufnego.

- Nie wiem - odparłam. - Sądziłam, że na tym etapie spakował pan już walizki i ukrył

się w jakimś odległym kraju pod fałszywą tożsamością... Żartuję. Naprawdę ucieszyłam się z pańskiego telefonu.

- A ja żałuję, że tamtego dnia byłam taki nieuprzejmy - odpowiedział i dodał również żartobliwie: - Bardzo jesteś dziwna, ale gdybym nie lubił dziwaków, to co miałbym robić w tym zawodzie?

- Poniekąd zadaję sobie takie samo pytanie.

Po tym wstępie okraszonym uśmiechami Valle spoważniał.

- Ja także cieszę się, że przyszłaś. Chciałbym chwilę porozmawiać.

- Proszę.

- Ale zastanawiam się... Co powiesz, żebyśmy gdzieś poszli? Ostatni pacjent już wyszedł... Moglibyśmy pójść na kawę... albo na kolację.

Mówił z coraz mniejszą pewnością, a na koniec niemal szeptał. Ja natomiast stwierdziłam nagle, że odpowiada mi towarzystwo doktora Valle tej nocy. Wydawał się jeszcze bardziej zdziwiony niż ja, gdy się zgodziłam, włożył elegancką marynarkę na białą koszulę i odrzucił moje protesty, że zupełnie do niego nie pasuję w swojej kurtce, koszulce i džinsach. Lokal, który zaproponował, znajdował się za rogiem, nosił nazwę Cassandra, a we wnętrzu pobłyskiwały posągi Buddy, złote maski, greckie hełmy i zdjęcia Dalajlamy, wszystko w tajemniczej symbiozie, dopasowane do proponowanej w menu fuzji kuchni greckiej i hinduskiej. Wielki ekran telewizora z wyłączonym głosem, usytuowany w sali z piecem *tandoor*, nastawiony na kanał informacyjny, dodawał wszystkiemu europejskiego akcentu. O tej wczesnej godzinie nie było tam prawie nikogo, z wyjątkiem kilku cudzoziemców.

Podczas gdy przed naszymi oczami przesuwały się strony z menu, podsuwane przez kelnerkę o odpowiednio egzotycznej urodzie, ponownie podziękowałam doktorowi Valle za zaproszenie.

- Proszę, mówmy sobie na ty - zaproponował, rozkładając na kolanach serwetkę. -

Jestem Mario.

- Myślałam, że się nazywasz Arístides.

- Arístides Mario. Jeżeli ci starczy odwagi, używaj pierwszego imienia.

- Mario mi się podoba.

Zdecydowaliśmy, że pominiemy przystawki i zamówimy od razu kurczaka w curry i butelkę wina. Kiedy kelnerka odeszła z zamówieniem, Valle rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy jesteśmy dostatecznie odseparowani od innych klientów. Pochylił się ku mnie i domyśliłam się, że nadeszła chwila rozmowy. Przytaknęłam, gdy zapytał, czy czuję się na siłach rozmawiać o „moich sprawach”.

- Zastanawiałem się nad twoją przedziwną profesją, Diano - zaczął. - Muszę przyznać, że widziałem w życiu wiele poświęcenia, wielu ludzi oddających wszystko za innych... Ale twoje jest olbrzymie. Jesteś wyjątkową osobą.

Zaprzeczyłam.

- Nie jestem wyjątkowa i nie zgadzam się, że to poświęcenie. Wszyscy jesteśmy posłuszni naszemu psynomowi. Wszyscy robimy to, co lubimy, chociaż nie wiemy, dlaczego to lubimy. Po prostu tylko to możemy robić.

- Jesteś dla siebie zbyt surowa. Widzieć sprawy z tej perspektywy - to musi być okropne... Czemu się śmiejesz?

- Bawi mnie, że to mówi psycholog.

Valle wzruszył ramionami.

- Fakt, że przyjmuję teorię psynomu, nie oznacza, że uważam, iż brakuje nam wolności decyzji. Na tym zawsze opierałem swoje terapie: na wskazaniu akceptowalnej ścieżki i oferowaniu pacjentowi możliwości zmiany. Wszyscy możemy zmieniać swoje drogi.

A każda z nich jest mniej lub bardziej akceptowalna.

- A jaka jest moja?

- Nie do zaakceptowania.

- Tak myślałam - roześmiałam się.

- Poświęcać się, będąc niewinną, aby karać winowajców, to nie do przyjęcia, Diano.

- A ja widzę sprawy w mniej skomplikowany sposób, doktorze... Mario. -

Rozsmarowałam na małej grzance trochę czegoś, co wyglądało na sos jogurtowy. - Wszyscy musimy jeść: jedni jarzyny, inni zwierzęta, jeszcze inni - ludzi. Moja praca polega na tym, by tych ostatnich powstrzymać od jedzenia. Winowajcy? Niewinni? Tym się już nie zajmuję.

Valle przyglądał mi się z powagą.

- A ja zajmuję się właśnie tym. Ty i twoi koledzy jesteście niewinni. Jedyni winowajcy to te sukinsyny, które cię zatrudniły. Twój zawód powinien zostać zdelegalizowany.

- Mój zawód jest tak samo „nielegalny” jak zabijanie, a tu mamy wojnę.

- Jestem pierwszym pacyfistą świata Diano, ale muszę przyznać, że są wojny nieuniknione.

- A ta nie jest? Sam zobacz.

Wskazałam ruchem głowy na ekran telewizora, na którym widać było ludzi w kapturach, ofiary zamachów, zakładników w rękach międzynarodowych grup przestępczych.

- Kto zdoła to wszystko powstrzymać? Jak mamy to powstrzymać?

- Chcesz powiedzieć: bez przynęt?

- Tak, co innego możemy zrobić? Policja i wojsko już od jakiegoś czasu są nieskuteczne w związku z rozwojem nowych technologii, a nowe technologie od jakiegoś czasu są nieskuteczne w związku z

tym, że wszyscy mają do nich dostęp. Jak możemy zapobiec dzisiaj czemuś takiemu jak 9-N?

- Na Boga, Diano, przestańmy już używać 11-S, 11-M i 9-N do wszystkiego... Nie możemy składać w ofierze niewinnych ludzi, żeby unieszkodliwić potwora. To barbarzyńskie i nieludzkie.

Przyniesiono nam *tandoori*, co nieco osłabiło temperaturę naszej dyskusji. Nikt nie potrafi docenić wagi takich drobiazgów. Stuknęliśmy się kieliszkami. Valle wznosił toast:

„twoje zdrowie”, a gdy zaczęliśmy jeść, całe napięcie praktycznie już wyparowało.

- Czytałem co nieco o psynomie - odezwał się Valle innym tonem. - Nic, co by się odnosiło do psychologii kryminalnej...

- Niczego takiego nie znajdziesz. To się odbywa inaczej.

- Tak przypuszczałem. I przejrzałem niektóre „oficjalne” teksty Víctora Gensa.

Wymienia często Szekspira, to fakt. Jak sądzisz, dlaczego Gens przypisywał mu taką wagę?

Mówiłaś, że w jego sztukach tkwi szyfr do psynomów, ale dlaczego? Mam na myśli... No dobrze, wiem, że był geniuszem, ale Homer, Cervantes, Kafka - także... dlaczego właśnie Szekspir?

- Słyszałeś o Johnie Dee?

- To marka jakiegoś ciężkiego sprzętu.

O mało nie udławiłam się winem ze śmiechu. Wyjaśniłam, że chodzi o Johna Dee, a nie spółkę John Deere.

- A, ten astrolog ery elżbietańskiej?

- Tak, domniemany nadworny alchemik i astrolog Elżbiety pierwszej. W owych czasach było wielu ludzi niezadowolonych z oficjalnej religii anglikańskiej narzuconej przez ojca królowej, Henryka ósmego. Zależało im, by lud się zbuntował i chciał powrotu do teoretycznej czystości religii średniowiecznej. Byli wśród nich papiści, inni chcieli wprowadzenia własnej wizji chrześcijaństwa i John Dee był właśnie jednym z nich. Założył

konspiracyjną sektę, którą nazwał Londyńskim Kręgiem Gnostyków. Zbierali się w szlacheckich domach i odgrywali przedstawienia, którymi Dee usiłował zmienić społeczeństwo...

- Przedstawienia?

Włączyłam swego automatycznego pilota. Znałam na pamięć teorię Gensa i teraz starałam się ją streścić. Dee widział w Europie pewne rytuały, które oddziaływały na psynomy, ale przypisywał je magii. Po powrocie do Anglii rozwinął te rytuały w Kręgu i sprawdzał ich skuteczność w wywoływaniu określonych emocji. Gnostycy chcieli, aby rytuały te, w zaszyfrowanej formie, były obserwowane przez publiczność, bo liczyli, że w ten sposób uda się doprowadzić do buntu.

Postanowili zatem wykorzystać do tego oficjalny teatr i wyedukować młodych autorów w sztuce szyfrowania przekazu. Szekspir nie był jedynym autorem należącym do Kręgu. Byli w nim także Marlowe, Jonson, Wilkins i Middleton, aczkolwiek Szekspir był najwybitniejszy. Jego dzieła stanowiły zatem kamuflaż, przykrywkę dla rytuałów.

- I co osiągnęli? - zapytał Valle z uwagą.

- Nic. Gens twierdzi, że jedynie nieskoordynowane emocje, bo psynom nie był jeszcze dość dobrze rozumiany ani tak dokładnie sklasyfikowany jak obecnie. Dee zmarł wiele lat po królowej, a nowy król odsunął Szekspira od sceny. Teatr wrócił do swego oficjalnego koryta i utracił całą magię. Koniec opowieści.

- Ciekawa teoria... Dowiedziona?

- Nie. - Roześmieliśmy się oboje. - Wszystko, co dotyczy Szekspira, jest tajemnicze.

Gens twierdził, że to najbardziej zagadkowy autor. Nam bardzo się przydaje w pracy.

Zapanowało milczenie, a potem zaczęliśmy mówić jednocześnie i rozbawiło nas to.

- Co? - zapytałam, czując lekki szum w głowie.

- Nie, najpierw ty powiedz to, co chciałaś, przepraszam.

- Chciałam powiedzieć, że już wiem, co myślisz o „naszej pracy”.

- A co myślę?

- Że to perwersja. - Sądziłam, że takim stwierdzeniem wywołam rumieniec na twarzy doktora i gorączkowe zaprzeczanie, więc jego uśmiech mnie zaskoczył.

- Może nie mam racji? Zobacz, ty myślisz jak pani psycholog, a ja starałem się myśleć jak przynęta...

- Ach, tak? I co myślałeś?

Valle ukroił kolejny kawałek soczystego kurczaka i zanurzył go w curry.

- Jestem przekonany, że gdybym miał coś w rodzaju... siły, by prowokować reakcję w innych ludziach, to nigdy nie rzuciłbym takiej pracy. To byłoby jak narkotyk.

Przestałam się śmiać. Wpatrywałam się w twarz doktora, który mówił dalej.

- Wiesz, ludzie zwykle uważają za „narkotyk” tylko to, co nosi taką nazwę, ale samochód, ideologia czy sport mogą także stać się narkotykiem. Od czasów dzieciństwa w Bogocie przez całe życie spotykałam się z uzależnieniami wszelkiego rodzaju, Diano: z mężczyznami zatrutymi okrucieństwem, kobietami zatrutymi przemocą, dziećmi zatrutymi miłością, starcami zatrutymi strachem... Ty, jak przypuszczam, nazwałabyś to

„zaspokajaniem psynomu”. Zwał jak zwał, moja praca polegała zawsze na uwolnieniu innych od narkotyku. - Podniósł serwetę do ust, a potem dodał ze wzrokiem utkwionym w talerz: -

Chyba prosiłaś mnie o pomoc po to, żebym ciebie także uwolnił od narkotyku. Chcesz przestać pracować w tym koszmarze. Chcesz przestać cierpieć.

- Chcę żyć z kimś, kogo kocham - powiedziałam, siedząc nieruchomo. - Nie użyłabym określenia: „przestać cierpieć”, tylko „zmienić narkotyk” - przez moment zauważyłam zmianę w wyrazie twarzy doktora, jakieś nagłe emocje.

- Co ci jest?

- Nie, nic... - uśmiechnął się bezmyślnie i tym razem lekko zarumienił. - Mówiłaś już, że... że jesteś w kimś zakochana... cieszę się.

Zapadło milczenie.

- A ty? - uznałam, że czas zmienić temat. - Jesteś w kimś zakochany?

- Moja partnerka porzuciła mnie dwa lata temu; nienawidziła, gdy ją poddawałem analizie podczas kolacji.

Gdy się śmialiśmy, zauważyłam przypadkiem na ekranie z najnowszymi wiadomościami, za plecami doktora Valle, zdjęcia ofiar Widza. Serce skoczyło mi do gardła, bo pomyślałam od razu, że pewnie chodzi o kolejne porwanie albo znalezienie nowego ciała, okazało się jednak, że był to reportaż dotyczący wcześniejszych przypadków.

- Zastanawiam się, co ci wzbrania to rzucić... - odezwał się doktor Valle - co cię zmusza do pozostania, jeśli całą swoją istotą nienawidzisz tego, co robisz...

- Mam jeszcze coś do zrobienia - mruknęłam i machnęłam ręką na to, że Valle wyczuje moje napięcie i podąży za moim wzrokiem.

Reportaż właśnie się zakończył, ale Valle sprawiał nagle wrażenie mocno zdenerwowanego.

- Diano, rzuć to wreszcie... - Nie odpowiedziałam. Nachylił się ku mnie i ciągnął

ślugałnie: - Opowiadałaś mi, jak cię zwerbowano... To było potworne. Czy dla ciebie to oznaczało „zaspokajanie psynomu”? Byłaś zaledwie dwunasto- czy trzynastoletnią dziewczynką... Przeżyłaś straszliwą tragedię, którą inni wykorzystali, żeby zmienić cię w... w co właściwie? W jakiś rodzaj broni? - Jego wargi wykrzywiły się w pogardzie. - Ci, którzy to uczynili, zasługują na karę śmierci, Diano. Pozwól sobie pomóc. Wiele dla mnie znaczysz.

Naprawdę wiele...

I nagle nie znajdowałam się w restauracji, tylko w jakimś ciemnym miejscu, gdzie twarz doktora Valle - owalna, ze spokojnym spojrzeniem zza okularów bez oprawki -

stanowiła jedyny oświetlony punkt.

- Wiesz? - powiedziałam - przypominałam to sobie wczoraj. To, czego nie mogłam sobie przypomnieć. To, co zrobili z moimi rodzicami, z moją siostrą i ze mną. To, co m n i e zrobili.

O k s a, i d ź p o d z i e w c z y n k i.

Wydawało mi się, że z każdym słowem, które odradzało się w mojej pamięci, zbliżam się do owego światła, jakim był Arístides Mario Valle.

- Wpełzłam na czworakach do pokoju Very, która spała. Budziłam ją, jak umiałam, i ukryłam ją pod łóżkiem, ale Oksa natychmiast nas znalazła. Próbowałam się bronić, ale zagroziła Verze i zorientowałam się, że zdołam ją uratować tylko wtedy, gdy będę posłuszna.

Pozwoliłam się sprowadzić na dół. Oksana zaciągnęła nas do salonu na parterze, a tam zakneblowali i przywiązali Verę, tak samo jak rodziców, ale kiedy próbowali i mnie przywiązać, ktoś... ktoś, kogo nazywam Człowiekiem Koniem, powiedział, że przyszło mu coś śmiesznego do głowy. „Ty się wydajesz silna, dziewczka”, powiedział. Tak mnie nazywał. „Zobaczmy, czy taka jesteś naprawdę”. I kazał mi robić wszystko, co rozkaże.

„Będziesz się śmiać. Albo kasłać. Albo wyć jak pies. Albo dasz buzi mnie, albo Oksanie.

Albo zdejmiesz majtki i będziesz tańczyć...” Powiedział, że jak nie będę dość dobrze udawała, będą kolejno bić kogoś z rodziny...

Umilkłam. Moje łzy były takie jak słowa: gorące i ciężkie.

- Staralam się. Weszłam w tę grę. Miałam dwanaście lat, myślałam, że tylko w ten sposób zdołam ocalić rodziców i Verę... „A teraz masz się śmiać, dziewczka”, mówił ten człowiek, a jeśli nie śmiałam się tak, jak sobie życzył, bił mamę. Zmusił mnie do tańca. Do śpiewania. „Widać, że udajesz”, mówił i walił Verę po głowie. „Udajesz. Zrób to jeszcze raz”. Kiedy serce taty nie wytrzymało i umarł, mama, mimo knebla, zaczęła histerycznie szlochać. Ten człowiek przystawił jej nóż do gardła i kazał się zamknąć, bo inaczej ją zabije.

Krzyknęłam: „Mamo, ty t e ż u d a w a j, mammo, proszę!”. Ale mama ciągle krzyczała i ten człowiek poderżnął jej gardło...

Po chwili milczenia dodałam:

- Ktoś z sąsiadów usłyszał te hałasy i zadzwonił na policję. To nas uratowało, Verę i mnie... Tych ludzi aresztowano kilka dni później. Chyba dalej siedzą w więzieniu, ale nie wiem. Nie obchodzi mnie to.

Poczułam, że jakaś ręka dotyka mojej, jakby chcąc mnie z powrotem wciągnąć w rzeczywistość. Otworzyłam oczy i zobaczyłam obrus, kieliszki i talerze. Valle patrzył na mnie, gładząc moją rękę. Sądziłam, że zaraz zacznie mi okazywać współczucie, ale jego zachowanie ponownie mnie zaskoczyło.

- Ten facet miał rację - powiedział - źle udawałaś.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Zrozumiałam, że to właśnie chciałam usłyszeć, że na takie słowa czekałam przez te wszystkie lata.

- Nigdy nie chciałaś udawać, Diano. Robisz to przez wzgląd na pamięć o rodzicach i Verze, ale jesteś złą aktorką. Nie tworzysz teatru. Teraz rozumiem, czego ode mnie oczekujesz: chcesz, żebym ci pomógł przestać udawać. Chcesz odzyskać swoją szczerłość.

Rozpłakałam się ponownie, ale czułam się już lepiej. Zrezygnowaliśmy z deseru.

Czekałam na to i stało się to w drzwiach, kiedy już ostatni z kelnerów przestał nas żegnać w ukłonach, otwierając szklane drzwi, byśmy mogli wyjść. Noc była zimna, mżył

deszcz. Mario Valle przystanął na dłużej niż powinien, wkładając marynarkę, i zauważyłam, że po raz pierwszy jego oczy pozwoliły sobie na relaks i wędrują ku mojej koszulce opinającej się na piersiach; nie miałam stanika - postanowiłam wyjść w kostiumie Ekspozycji pod ubraniem. Nadal miałam na sobie skąpe czarne majteczki i buty na obcasie. Potem Mario Valle popatrzył na mnie. Widząc, jak się rumieni, domyśliłam się, że to nie mój wygląd wywołuje w nim takie poruszenie, ale „narkotyk”: wspomnienie reakcji, jaką w nim wywołałam przy poprzednim spotkaniu.

- Chciałbym, żebyśmy się znowu spotkali - powiedział.

- Ja także - przyznałam. - Dziękuję za... wszystko.

Poszukałam jego policzka i ust. Przysunął głowę i przypadkiem musnęliśmy się wargami. Roześmieliśmy się, zaskoczeni, ale potem popatrzyliśmy na siebie i zaczęliśmy się całować. Każdy pocałunek był czymś nowym, a ostatni sprawiał wrażenie, jakbyśmy nie całowali się nigdy.

I nagle uznałam, że nie mogę ani chwili dłużej zostać w jego towarzystwie.

Nie mogłam sobie pozwolić na najmniejszą słabość. Jeszcze nie teraz, póki Verze grozi niebezpieczeństwo.

Widz czekał; musiałam nadal być aktorką.

- Muszę iść - powiedziałam, ale Valle zatrzymał mnie ruchem ręki.

- Diano. Bez względu na to, co r o b i s z, proszę, uważaj na siebie.

Zostawiłam go pełnego niepokoju i radości, przeszłam na drugą stronę, pomachałam ręką na pożegnanie i ruszyłam na przystanek autobusowy. Dotarłam do domu prawie o jedenastej w nocy, ale na ulicy było jeszcze sporo ludzi. „Jesteś gdzieś tutaj? Wyczuwasz mnie?” Rozejrzałam się wokół i nacisnęłam kod wejściowy. Wyłączyłam alarm w mieszkaniu, rozebrałam się do butów i majtek i zaczęłam powtarzać Ekspozycję. „Pożądaj mnie. Udaję, że jestem twoja. Chodź do mnie, chcę cię o s z u k a ć”. Takie były sugestie Gensa: „Zaakceptuj, że jesteś przynętą, nie zamykaj się przed sobą, nie staraj się tego ukryć”.

Jednakże kiedy skończyłam dwie godziny później, poczułam się zniechęcona. Jak mam w ten sposób przyciągnąć Widza? Gens bredził.

Zapadłam w sen natychmiast, wbrew własnym oczekiwaniom. Ale nie śnił mi się Mario Valle, jego pocałunki czy nasza tak wyjątkowa kolacja, podczas której opowiedziałam mu coś, czego nigdy nikomu nie opowiadałam, a mnie powiedziano coś, czego nikt mi nigdy nie mówił. Nie śnił mi się też Widz. Śniły mi się wszystkie ofiary, które znałam, publiczność pełna bólu, dla której pracowałam. Ci, którzy nadal potrzebowali mojej gry.

Kiedy więc telefon obudził mnie o 6.50 w czwartek rano, byłam przygotowana na najgorsze wiadomości.

*

- Diana? - usłyszałam głos Miguela. Słuchałam go jeszcze w łóżku, w ciemnościach -
chciałem... chciałem, żebyś jak najszybciej się dowiedziała...

Błagałam, żeby chciał mi tylko przekazać, że znaleziono Elisę Monasterio, ale jeszcze zanim usłyszałam wiadomość, domyślałam się, że nie o to chodzi.

„To Vera - pomyślałam z całkowitą, straszliwą pewnością. - W y b r a ł V e r ę”.

20

W środę w nocy Vera, zajęta malowaniem warg przed lustrem w łazience, stwierdziła, że chyba usłyszała jakiś hałas.

- Stop - powiedziała głośno i miniodtwarzacz, który monotonicznie powtarzał nagrywane przez nią fragmenty z *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*, zatrzymał się.

Nasłuchiwała. Nic. Zdawało jej się, że słyszy dźwięk klucza w zamku. Może jakiś sąsiad. Od kiedy zabrakło Elisy, nerwy miała napięte jak postronki, nawet gdy chodziło o sprawy najbardziej banalne. Przypomniała sobie, że chwilę wcześniej zadzwonił telefon i też wywołał u niej przyspieszone bicie serca. W słuchawce panowała cisza, więc uznała, że to pomyłka, ale mimo wszystko poczuła się idiotycznie zdenerwowana.

Jej problem polegał na tym, że nie była przyzwyczajona do samotności w domu.

Mimo to wyjrzała zza uchylonych drzwi łazienki. Był to absurdalny odruch, bo mogła stamtąd dojrzeć wyłącznie własną sypialnię, małą, jak całe mieszkanie. Na nieposłanym łóżku, na którym zaledwie przed tygodniem spała u boku Elisy, leżały części jej przebrania: pończochy, egzotyczne rękawiczki, ażurowe spodnie, przezroczyste topy. Na nocnym stoliku paliła się lampka, a niewielki salon także był oświetlony. „Ale z ciebie idiotka”, pomyślała.

Pokręciła głową, czując, że policzki płoną jej ze wstydu. Kończyła właśnie czytać artykuł

Königa o tym, jak ważna jest kontrola nad emocjami, żeby usunąć służebną rolę instynktu rozkoszy podczas techniki Ofiary, a teraz, przy najlżejszym hałasie, pozwalała się ponieść niepokojowi. Reakcja nowicjuszek.

Z westchnieniem rezygnacji wobec swojego zawstydzającego braku praktyki powróciła do malowania warg na granatowo. Zielone paznokcie, granatowe wargi: sztuczność wzmagała szansę, że maska Ofiary wyjdzie dobrze. Miała na sobie połyskliwy pomarańczowy top sięgający nasady brzucha i ażurowe jasnoniebieskie spodnie do połowy bioder. Oba kolory wybrał dla niej komputer, dla ułatwienia spektaklu Ofiary. Potem miała się okryć kurtką z neolateksu z dużą liczbą sprzączek, aby Holokaust rzucał się w oczy. Gdy pochyliła się przed lustrem, top zamigotał iskrami odbitego światła i Vera aż zamrugowała oczami.

Połączenie kostiumu Holokaustu z kształtami i kolorami Ofiary było jej własnym pomysłem. Uważała, że taki zestaw będzie atrakcyjniejszy. Olga Campos zaakceptowała to i Vera aż pękała z dumy. Czowała się w tym przebraniu naturalnie: od dziecka uwielbiała kombinacje kolorów i zwracanie na siebie uwagi egzotycznymi kreacjami. Stryj Javier, brat ojca, u którego obie z Dianą zamieszkały po stracie rodziców, nazywał ją „Cyganką” ze względu na upodobanie do obwieszania się wszystkim, co znalazła w szkrzyniach w starym saragossańskim domu stryjostwa. Za domem był duży ogród, po którym Vera lubiła spacerować z Fantomasem, pręgowanym kotem stryja, bawiąc się, że jest księżniczką przybyłą z jakiejś odległej planety. Próbowała sobie teraz przypomnieć, co się stało z Fantomasem, i uświadomiła sobie, że ciotka, jedyna osoba, która jeszcze pozostała w rodzinnej siedzibie - odwiedzały ją wraz z Dianą na Boże Narodzenie - mówiła jej kiedyś, że zdechł.

Zamknęła usta i oceniła rezultat swoich zabiegów w lustrze. Potem spojrzała na zegarek wpięty w skórzaną bransoletę opinającą nadgarstek: 21.22, czasu aż nadto. Jak skończy z makijażem, włoży na siebie coś mniej jaskrawego, żeby nie szokować swoim wyglądem w sąsiedztwie, przeprawi się do Cyrku metrem i przygotuje się do polowania w toalecie na stacji, gdzie schowa plecak ze swoim „normalnym” ubraniem. Jeszcze nie wiedziała, czy przed udaniem się do Cyrku zaaplikuje sobie jakiś narkotyk. Olga Campos nie zabraniała im tego ani nie zalecała, ale Elisa uciekała się do nich, kiedy...

Wspomnienie Elisy sparaliżowało Verę na moment. Szminka w palcach zdrzała.

„Nie. Teraz o niej nie myśl. Kontroluj emocje”.

Ale to było nieuniknione. Jak tu nie myśleć o najlepszej przyjaciółce? Mieszkały razem, uczyły się razem, dostarczały sobie rozkoszy. Dwa lata temu zabrała ją nawet do swojego starego domu, gdzie spędziły niezapomniane popołudnie; nie proponowała tego wcześniej żadnej innej koleżance. Było to tak, jakby otworzyła przed nią własną duszę, ponieważ to Saragossa, gdzie Diana i Vera mieszkały u stryjostwa, zanim Dianę zwerbował

Víctor Gens, stanowiła i c h w ł a s n e m i e j s c e na ziemi, nie Madryt. W Madrycie pozostało zrujnowane dzieciństwo i twarde pragnienie, by sprawiedliwości stało się zadość, najpierw w przypadku rodziców, teraz Elisy.

„Żeby ten sukinsyn zapłacił za to, co jej r o b i. Albo co już z r o b i ł”.

„Nie myśl”.

Obróciła się przed lustrem, obciągając top i sprawdzając dokładnie, dokąd sięgają jej spodnie. Ciekawa też była, w jaki sposób światło pokazuje jej nagi biały brzuch z koleczkiem połyskującym w pępku.

Zamierzała rozpieprzyć tego skurwiela. Przysięgła, że to zrobi. Nigdy już nikomu nie wyrządzi krzywdy.

Potrzebowała trochę cienia do powiek. Na toalecie znalazła paletę i wybrała bardzo ciemny kolor. Po namyśle zdecydowała nie włączać magnetofonu: słyszała już tyle razy te same zdania i mogła je przywołać z pamięci, grając maskę. Na pomysł rejestrowania fraz używanych przy masce, jaką przyszło w danym dniu grać, wpadła Elisa. Vera pamiętała dzień, kiedy przyjaciółka jej o tym powiedziała i poprosiła o opinię. Elisa miała silną osobowość, ale kiedy zwracała się do Very, zawsze liczyła się z jej zdaniem. Nie zmuszała jej do niczego, po prostu pytała i czekała na odpowiedź. To sprawiało Verze dużą przyjemność, choć wiedziała, że to skutek petycjofilii. Wszystko jedno zresztą, w przeciwieństwie do Diany, Elisa zawsze liczyła się ze zdaniem Very.

Diana. Jej siostra. Jej uniwersum. Jej prywatne niebo i piekło. Czasami myślała, że całe jej życie kręci się wokół Diany. Bez względu na to, co akurat robiła, nie mogła uciec od jej ogromnego wpływu, na dobre czy na złe. Dlaczego Diana nie zdawała sobie sprawy, że Vera była jej o d d a n a? Jak to możliwe, że nie widziała, iż Vera ją u w i e l b i a?

Przecież właśnie dlatego, na skutek tej ślepej adoracji, Vera sądziła, że byłaby chyba w stanie z a b i ć j ą w ubiegłym tygodniu, kiedy dowiedziała się, że Elisa zniknęła, a wielka Diana, Diana Łowczyni, użyła swoich wpływów, żeby wycofano Verę z gry. I chociaż zadzwoniła do siostry i przeprosiła ją za tamto, Bóg jeden wiedział, że nadal płonie z gniewu.

Skończyła nakładać cienie na powieki. Nic w jej wyglądzie nie było jednak definitywne. W przypadku przynęty przebranie jest rzeczą drugorzędą. „Jak grasz i jak n i e grasz: to się liczy w masce”, powiedziała jej Diana przy jakiejś okazji. Dianusi trudno było zaakceptować fakt, że Vera też chce być przynętą, ale, rzecz jasna, ugięła się. Pamiętała dzień, kiedy Diana pojechała uczyć się do „szkoły specjalnej”. Vera miała tylko dziesięć lat i bardzo płakała, zostając sama u stryjostwa. Pięć lat później poddano Verę tym samym testom i dowiedziała się, o jakiego rodzaju „szkołę specjalną” chodzi. Diana, zawodowiec, naciskała, jak mogła, by uniemożliwić Verze pójście tą samą drogą, ale osiągnęła tylko tyle, że Vera włożyła w swoje szkolenie całą wolę.

Podkreśliła ołówkiem cienie, pozostając nadal myślami przy Dianie.

Istotnie, nie powinno dziwić, że była jedną z najlepszych przynęt na świecie: Diana u r o d z i ł a s i ę, żeby nosić maski. Nigdy nie wiedziałaś, co naprawdę myśli, była taka sprytna! „Jest dla ciebie bogiem, za bardzo jej pozwalasz wpływać na siebie”, mówiła Elisa.

Wiedziała, że Diana i Elisa nie czują do siebie sympatii, ale w tym przypadku przyjmowała, że Elisa miała rację. Jej zdaniem nawet ogromne doświadczenie Claudii Cabildo nie mogło się równać z doświadczeniem Diany.

Dlatego tak ogromnie się zdziwiła, gdy Diana oświadczyła, że rzuca pracę.

„A wszystko po to, by związać się z kimś takim jak Miguel Laredo”, myślała Vera, zaciskając szczęki. Ten teatralny żigolak, przystojniak, który porzucił zawód, żeby - o c h, p r o s z ę - chronić swoją piękną cerę przed bliznami. Wcale jej nie obchodziło, co zrobił

Laredo, nie była też zazdrosna - wbrew złośliwym uwagom Elisy - o to, że jej siostra z nim sypia; nie mogła jedynie pojąć, że Diana woli z w i ą z a ć s i ę z tym człowiekiem, niż nadal trwać w szeregach przynęt. To na tym polegało dojrzewanie? Na tym, że wybiera się wulgarność, tchórzostwo? Na wycofaniu się na czas, zanim ktoś - o c h, p r o s z ę - zdoła naprawdę zrobić ci krzywdę, jak Claudii Cabildo (a l b o j a k E l i s i e, a l e l e p i e j o t y m n i e m y ś l)? A skoro tak się bałaś, dlaczego zgodziłaś się być przynętą?

Dlaczego powiedziałaś: tak, siostrzyczko? Nie byłoby lepiej zrzucić habit przed ślubami?

Kogo n a p r a w d ę się boisz? Widza? A może jej siostra powinna poprosić o radę Elisę:

„Co należy zrobić, żeby być jak ty, Eliso, żeby wyjść na arenę i przyciągnąć uwagę byka, zamiast chować głowę jak struś, jak tchórz?”.

Zauważyła, że oczy jej zwilgotniały, co zagrażało tak pracowicie wykonanemu makijażowi. Zaczerpnęła powietrza i postanowiła zakończyć przygotowania. Ułożyła ponownie długie ciemnokasztanowe włosy, czesząc je z przedziałką pośrodku. Wpięła w uszy długie srebrne kolczyki. Zamknęła pudełeczka i tubki z kosmetykami, zebrała je wszystkie i włożyła do bocznej kieszeni plecaka, który zostawiła w sypialni. Wróciła do sypialni i nacisnęła klawisz „Delete”, usuwając nagranie zawierające zdania pochodzące z *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*, jednej z rzadziej granych i mniej znanych sztuk Szekspira, aczkolwiek jej samej podobała się historia głównej bohaterki, Heleny,

„kopciuszka”, który rzucał się w ślad za swoją prawdziwą miłością mimo dzielącej ich różnicy klas, a nawet wbrew człowiekowi, którego kocha. W zawodzie przynęt zachowania takie jak w przypadku Heleny klasyfikowano jako maskę Ofiary, ale Verę fascynowały siła i zuchwała odwaga bohaterki. „Cóż to za moc, która wynosi moją miłość tak wysoko...?” Wróciła do sypialni i schowała miniodtwarzacz do szuflady nocnego stolika, nie patrząc na inne leżące tam przedmioty, których obecność tak bardzo przypominała Elisę.

Telefon Very leżał na łóżku, nadal włączony. Zamknęła rozpisany tekst *Wszystko dobre...* i otworzyła stronę z mapą dystrybucji przynęt w rejonach polowań Widza.

Czekając, aż strona się załaduje, uśmiechnęła się. Boże, ależ lubiła tę pracę. Nie mogła się od niej oderwać: zarazem wprawiała ją w przerażenie i ekscytowała. Poprzedniej nocy zdołała usidlić w Cyrku młodego pijaka, który przekroczył cienką linię między zwykłym czepianiem się a agresją. Jeszcze dziś śmiała się na wspomnienie, jakie to było łatwe: zwykła fantazja Vaughna, aby wyzwolić jego nieświadomość i uspokoić jego pożądanie pozycją Ulricha. T y l k o t y l e. A l e s u p e r w i d o k, ten gość śliniący się z...

Skamieniała.

Teraz usłyszała wyraźnie: skrzypienie drzwi.

Wewnątrz mieszkania.

Z niepokoju poczuła suchość w gardle. Ruszyła do salonu. Kątem oka dostrzegła postać obłąkańczo prowokacyjną, poruszającą się na tle ściany, i dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że to jej własne odbicie w lustrze.

Na pierwszy rzut oka salon wyglądał tak samo, jak go zostawiła: stoliczek na środku, fotele, plakaty z jej ulubionymi gwiazdami muzyki, na stole resztki pospiesznie jedzonej kolacji. Dalej wąski korytarz wejściowy, a na lewo kuchnia, której wnętrza nie mogła dostrzec z miejsca, gdzie stała.

Przypomniała sobie, że drzwi od kuchni skrzypią. Elisa nieraz jej mówiła, że powinny wezwać fachowca, bo wszelkie smary nie pomagały.

K u c h n i a.

Nie mógł to być wiatr, wszystkie okna w domu pozostawały zamknięte.

K t o ś był wewnątrz. Umiałaby nawet wytyczyć w myślach jego trasę: „Wszedł do domu, kiedy się malowałam... To był ten pierwszy hałas. Ukrył się w kuchni, a kiedy chciał zamknąć drzwi...”.

Jej serce biło mocno, gdy zastanawiała się, co ma robić.

Najpierw chciała wezwać policję, ale szybko odrzuciła tę myśl. Do licha, przecież jest przynętą. Cały oddział policjantów nie jest tak niebezpieczny jak ona, tym bardziej w przebraniu. Kilka gestów z repertuaru Ofiary powinno wystarczyć, by usidlić domniemanego złodzieja.

Nie ma się czego obawiać: to intruz powinien mieć się na baczności.

Zmusiła się do kroku naprzód. Wokół panowała absolutna cisza. Przeszła przez salon i zauważyła, że drzwi do kuchni są otwarte. Pamiętała, że tak je zostawiła, ale świeży alarm w jej młodym instynkcie zaczynał wyc w jej mózgu, ostrzegając ją, że mimo pozorów, osobnik, który bez wątpienia czeka schowany w kuchni, c h c e, by ona trwała w przekonaniu, że nikogo tam nie ma.

„Widz”, pomyślała nagle Vera i poczuła, jakby po plecach spływał jej strumień lodowatej wody. Ale przecież ten morderca nigdy nie łapał po domach, komputery nie wskazywały na taką możliwość, o i l e w i e d z i a ł a. Absurdem jest myśleć, że...

Wówczas doszła do wniosku, że nie wzięła pod uwagę rzeczy najbardziej banalnej.

Rzuciła szybkie spojrzenie na klawiaturę alarmu przy drzwiach. Nie był wyłączony.

W domu nie ma nikogo. Pomyliła się.

Odetchnęła z ulgą. Bez wątpienia hałas dochodził z sąsiedniego mieszkania. „Boże, naprawdę nerwy mi puszczejają...”

Uspokojona przeszła odcinek, który jej pozostawał do kuchni, i jej cień pojawił się na progu. Nie zobaczyła nikogo. Kuchnia była wprawdzie w kształcie litery L, ze schowanym zakolem, w którym stała pralka, i ta przestrzeń, choć mała, starczała, by zmieścić ukrywającą się osobę. O s t a t n i a m o ż l i w a k r y j ó w k a. Poruszyła nieco drzwi i usłyszała ich typowe skrzypienie. Przedtem nie mogły poruszyć się same. Przeraziła się znowu.

- Kto tam jest? - rzuciła w pustą przestrzeń. Czuła się głupio, stojąc tak w drzwiach, nie mając odwagi, by wejść do własnej kuchni.

„Nie wchodź - szeptał jej instynkt. - Uciekaj. Odejdź stąd”.

Ale to przecież absurd. Jak może się tam ktoś chować? Jak ktoś mógł wejść do domu, nie wyłączając alarmu? Boże, nikogo nie ma, jest tego pewna!

Albo prawie.

Postanowiła wejść do kuchni. Przedtem, jak każda dobra przynęta, przygotowała się mentalnie na odegranie przedstawienia, które powinno ją ustrzec od wszelkiej możliwej agresji.

W masce Ofiary wyciągnęła rękę, zapaliła światło i weszła.

21

Jedno było pewne: nigdy nie wróciłabym na folwark, gdyby nie chodziło o Verę.

Ale telefon od Miguela rozwiał wszelkie wątpliwości. Był jak zimny prysznic: odświeżył mnie, wprowadził w ruch, pozbawił czucia.

„Zniknięcie”: tego właśnie słowa nie chciałam nigdy usłyszeć w związku z Verą, ale w tym przypadku nie było lepszego na określenia tego, co się właściwie stało. Po prostu chwilę wcześniej znajdowała się we własnym mieszkaniu, przygotowując się do wyjścia na polowanie, a minutę później jakby pochłonęła ją ziemia. Znikł nawet sygnał jej podskórnego nadajnika. Dyżurujący w Los Guardeses debile nie zwrócili uwagi na ten ostatni szczegół, bo sądzili, że Vera „przymknęła gruchota” i aktywuje go po dotarciu do Cyrku. Próby połączenia się z jej różnymi telefonami nic nie dawały. Pilne przeszukanie mieszkania także nie: drzwi były nienaruszone, alarm działał, żadnych śladów walki. Przez całe rano szukano jakiegokolwiek śladu i dyskretnie wypytywano sąsiadów.

- Padilla zmontował gigantyczną operację - mówił Miguel. - G i - g a n - t y c z -

n ą, kochanie... - podkreślał.

- Czeka tylko na zielone światło od Álvareza, żeby rozpocząć, ale ten jest gdzieś poza domem...

Mówię o Álvarezie. Starają się go zlokalizować. Jesteś tam?

- Tak - słuchałam go w łóżku, ze wzrokiem wbitym w sufit.

- Zastanawialiśmy się, czy... czy Vera powiedziała ci cokolwiek na temat... No, że gdzieś się wybiera, nie wiem. Jest taka impulsywna... Przypominasz sobie coś?

- Nie, nic mi nie mówiła.

Milczenie.

- Kochanie, dobrze się czujesz? Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

- Nic mi nie jest, dzięki. Nie, nie przyjeżdżaj. Zadzwoń do ciebie.

Miguel nie zrezygnował ze swojej rozpaczliwej próby dodania mi odwagi.

- Profilowcy mówią, że m o ż l i w e, iż to nie Widz. Wiesz, lokal służbowy Very nie jest przecież rejonem polowań.

„Ale mógł ją śledzić aż do domu, jeżeli widział ją w Cyrku poprzedniej nocy -

pomyślałam. - Mógł również zmienić strategię albo rejon, w związku ze współdziałaniem z tym »pracownikiem«, który, jak podejrzewa Gens, jest jego synem”. Jakkolwiek by było, wiedziałam, że Miguel starał się wzbudzić we mnie fałszywe nadzieje, podobnie jak ja w Verze poprzedniego ranka. Ograniczyłam się do słuchania go bez ruchu.

- Poza tym, w najgorszym wypadku, Vera może stać się idealną przynętą do usunięcia go... Wierz mi, kochanie, wszystko będzie dobrze.

- Okay. Dzięki.

W okresie mojego szkolenia niektóre próby, jakim mnie poddawano, nie wymagały ode mnie inteligencji, pamięci, zręczności, siły fizycznej ani nawet woli, by je przejść.

Wymagały tylko, żebym je p r z e t r z y m a ł a. Płynnie, bezproblemowo, żeby czas minął, tik-tak, tik-tak, i ten ból albo rozkosz nie do wytrzymania - a często jedno i drugie naraz - w końcu ustąpiły. Kiedy Miguel starał się mnie uspokoić, zrobiłam to samo. Nie rozmyślałam nad tym, co się stało. Nie wywnętrzałam się przed nim. Nie zacisnęłam zębów ani nie napięłam mięśni ciała. Jedyne ze wzrokiem utkwionym w sufit starałam się w y t r z y m a ć.

A c o t e r a z, d i e w o c z k a? A t e r a z b ę d z i e s z s i ę s m i a ć.

Podróż na folwark stanowiła element tego samego ćwiczenia: nacisnąć pedał gazu i wytrzymać. Wyjechałam rano, po odegraniu w domu jeszcze jednej Ekspozycji. Wzięłam prysznic, naszykowałam wszystko, co chciałam ze sobą zabrać, zjechałam na parking w bloku, wzięłam samochód, nacisnęłam gaz i mam wrażenie, że nie zdjęłam z niego nogi, póki nie dotarłam na miejsce. Droga w ogóle nie

zapisala się w mojej pamięci. Z szarego nieba zwały się od czasu do czasu, jakby bezwiednie, strugi deszczu. Prowadząc samochód, myślałam o Verze. Myślałam o niej prawie przez godzinę, bo tyle mniej więcej trwała podróż na folwark.

Znajduje się on jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Madrytu, w rejonie niezamieszkanym po wybuchu bomby atomowej w dniu 9-N. Miejsce to nie doznało bezpośrednich efektów wybuchu atomowego, ale rząd zdecydował o ewakuacji z powodu zagrożenia promieniowaniem. Przedmieścia, zakłady przemysłowe i działki rolne opustoszały. A kiedy niebezpieczeństwo minęło, właściciele nie wykazali chęci powrotu.

Wyplacono odszkodowania, opracowano nawet ambitny plan odbudowy z pomocą Unii Europejskiej, ale jego realizację co rusz przekładano z powodu niekończących się debat i wahnięć wyborczych. W efekcie tego wszystkiego wiele lat później okoliczne tereny przekształciły się w spore miasto-widmo, ze zrujnowanymi domami i fabrykami, idealne miejsce do budowy siedziby zarazem zamkniętej i otwartej, jakiej życzył sobie Gens, doskonałego klasztoru dla młodych nowicjuszek.

Jeszcze dzisiaj trudno mi opowiadać o folwarku. Koniec końców uznałam, iż był to okres niezbędny dla mojej pracy, a bezspornym faktem jest to, że swoją pracę l u b i ł a m.

Przypuszczam także, iż my, zawodowe przynęty, uczymy się rozdzielać rozum od pragnień i że nad wyrwą, jaka między nimi powstaje, most przerzucić może jedynie siła woli. Niemniej jednak racjonalna część mojej istoty, wszystko, co nie stanowiło mojego psynomu, buntowała się z oburzeniem na wspomnienie eksperymentów, jakie odbywały się na folwarku w okresie szkolenia. Cieszyło mnie, że treningi stawały się mniej intensywne podczas nieobecności Gensa i że moja siostra nie musiała przeżywać takiego upokorzenia.

Gens gardził oficjalnymi teatrami. Twierdził, że wielu masek należy się uczyć w całkowitym odosobnieniu i w poczuciu swoistej bezbronności. Nierzadko kazał nam ćwiczyć na pełnym morzu, na pokładzie swojej żaglówki, podczas nieprzyjemnych podróży. Albo u siebie w domu, w Barcelonie, gdzie jedynie on ustalał reguły. Tęsknił jednak za szczególną atmosferą, za miejscem oddalonym, a jednocześnie nieodległym, gdzie jego przynęty” czułyby się naprawdę słabe i bezbronne.

Gdy więc wybrał ten zrujnowany folwark w wyludnionej strefie-widmie, wiele karków zgięło się w szybkich ukłonach i wiele rąk pospieszyło podpisać odpowiednie papiery. To były oczywiście inne czasy: czasy lęku i paniki w obliczu tego, do czego mogą doprowadzić nienawiść i szaleństwo „wspólnego wroga”. Przekazanie doktorowi Gensowi oddalonego domu i grupy nastolatków w celu obrony kraju nie musiało kosztować wysokich urzędników, dla których pracował Álvarez, więcej niż nazistowskie władze decyzja o przekazaniu laboratoriów i żydowskich dzieci doktorowi Mengele. Koniec końców jednych i drugich uniewinniono, bo stanowili tylko anonimową, ciągle zmieniającą się na stołkach biurokrację. Jeżeli ktoś ponosił za coś winę, to Gens; w pozostałych przypadkach mówiło się o „odpowiedzialności politycznej”, łatwej do ponoszenia dzięki ciągłym dymisjom. Jeżeli chodzi o udręki i szykany, które musieliśmy znosić na folwarku my, nieopierzone nastolatki, które Gens wybrał do specjalnych treningów, przypuszczam, że określano je mianem „szkód ubocznych”.

Komputer prowadził mnie drogą wyjazdową na Estremadurę, wskazując zjazdy, skręty, drogi lokalne, ścieżki. A kiedy ujrzałam folwark pośrodku opustoszałych pól La Manchy, podobnie jak wówczas, gdy jeździliśmy tam autokarem, pod koniec drogi pełnej błota po niedawnych deszczach, biegnącej wśród krzaków i obiektów urbanistycznych, poczułam ukłucie żalu, lecz także nagły s k o k czystej adrenaliny. Pomijając wszystko, była to dekoracja dla wielu superprodukcji pojawiająca się w moich koszmarach.

Opony ślizgały się po świeżym błocie, aż w końcu zatrzymałam się na podjeździe; nie wysiadając z auta, kontemplowałam rozciągający się przed oczami widok. Dwie szopy o pofalowanym dachu, z kamiennymi ścianami i oknami bez szyb, stary wiatrak przekształcony w coś w rodzaju ściętej wieży, by mógł służyć za dekorację. Nie powiem, że to wszystko, co pozostało, ponieważ to było tam zawsze. W lecie, albo wtedy, kiedy tak zdecydował Gens, choćby to był środek zimy, trenowaliśmy tam, w tym strasznym miejscu, jakie miałam teraz przed oczami. Przy innych okazjach schodziliśmy do piwnic, jakie powstały po przystosowaniu starej bodegi, gdzie klimatyzatory utrzymywały wysoką temperaturę, ale gdzie ćwiczenia okazywały się wyjątkowo trudne.

Gdy patrzyłam na to wszystko, niemądrze zaciekawiona, zastanawiałam się, co by powiedział Gens, gdyby ze mną przyjechał. Może: „Ciesz się, Diano Blanco, ciesz się: to miejsce zmieniło cię w jedną z najlepszych przynęt w kraju”. Może to i prawda, ale nie odczuwałam z tego powodu krzty radości. A już w żadnym razie nie wróciłam na folwark z tęsknoty.

„To tutaj mam na ciebie czekać? - pytałam w myślach mój cel, moją zdobycz, moją tajoną namiętność. - Przyjdiesz tu po mnie, gdziekolwiek jesteś, z a ś l i n i o n y, ze swoim s y n e m albo bez niego?”. Nie wierzyłam w to, ale nie miałam innego wyboru, niż zaufać Gensowi. I nagle pomyślałam, że jeżeli ten ogrom cierpień przeżytych tutaj, w tych kamiennych ścianach miałby mi się teraz przydać do ocalenia siostry, to oczywiście tak, profesorze...

„Jasne, że się cieszę. Czuję cholerną r a d o ś ć”.

Spojrzałam na zegarek na desce rozdzielczej i stwierdziłam, że do zmroku brakuje mniej niż trzech godzin. Musiałam zacząć działać.

Drzwiczki mojej toyoty trzasnęły jak śmiercionośny wystrzał, kiedy je zamknęłam.

Dzięki temu poczułam panującą wokół ciszę. Było tu zimniej niż w mieście, ale tego się spodziewałam. I ten zapach: wilgotna ziemia, gnijące drewno. Zabrałam z tylnego siedzenia sportową torbę i ruszyłam ku wejściu.

Główna szopa miała drzwi zamknięte na potężną kłódkę, co wydawało się śmieszne, zważywszy na to, jak łatwo można było się dostać do środka, przeskakując przez okno.

Otrzeprawszy kurz z moich znoszonych dżinsów, przebiegłam parter. Było tam jedno tylko pomieszczenie z kilkoma załomami. Światło jeszcze tam docierało, aczkolwiek słabo, tworząc szare czworoboki pod otworami okiennymi. Pośrodku znajdowały się schody prowadzące do części podziemnej. Minęłam je, ale rzecz jasna nie miałam ochoty schodzić. Dochodziły mnie jakieś odległe hałasy, jakby tupot stóp, i pomyślałam, że nie po raz pierwszy słysząc szczury w tym pomieszczeniu;

dawały o sobie znać, zwłaszcza gdy przybywaliśmy po dłuższej nieobecności. Ze zdziwieniem przypominałam sobie, że Gens czasami posługiwał się nimi podczas prób.

Gruz, ściany z odpadającym tynkiem, gdzieś nawet jakieś używane przez nas materace - teraz ustawione pionowo pod ścianą - i zwoje zakurzonych zasłon w kącie.

Wszystko wyglądało mniej więcej tak, jak pamiętałam, aczkolwiek teraz sprawiało wrażenie bardziej zniszczonego. Zrozumiałam, że dwa lata zaniedbania wyrządzą szkodę nawet ruinom.

I wtedy, dotarłszy do końca salonu, spojrzałam przypadkiem przez okno w okna drugiej szopy i zobaczyłam człowieka.

Wysuwał połowę ciała przez okno i opierał się nogą w próżni, co tworzyło wraz z wychylnym korpusem jakiś nieprawdopodobny kąt. Całość wyglądała strasznie, a przynajmniej niepokojąco. Ale spodziewałam się czegoś takiego. Był to jeden z manekinów.

Gens posługiwał się nimi jak niemymi statystami przy maskaradach czy scenach z Szekspira.

Mieliśmy zwyczaj przebierać je i na każdym zawieszać kartkę z imieniem danego bohatera sztuki, kiedy odgrywana scena wymagała obecności kilku naraz. Ten był nagi i łysy, a w jego namalowanych oczach widać było zdziwienie. Za nim, w cieniu drugiej szopy, dostrzegłam ręce, nogi i głowy zwalone w nieładzie we wspólny dół. Skłęłam tego, co wpadł na pomysł

umieszczenia manekina w oknie w celu odstraszenia przypadkowego przechodnia.

Wiedziałam, że w tym „rejonie duchów”, jakim jest 9-N, działają jakieś bandy chuliganów, i modliłam się (dla ich dobra), żeby nie wpadło im do głowy mi przeszkadzać.

W każdym razie nie zamierzałam się przejmować ani szcurami, ani chuliganami.

Wróciłam tam, gdzie stały materace, postawiłam sportową torbę na ziemi i otworzyłam ją. Nie zamierzałam ukrywać, że przyjechałam tu, żeby czekać. „Zrób wszystko bez udawania, jakby twoja własna rzeczywistość stanowiła także teatr”, radził mi Gens.

Wyjęłam kilka kanapek zapakowanych w celofan, termos z kawą, butelkę wody mineralnej, koc i płaską latarkę o przedłużonym działaniu. Położyłam jeden z materaców i potrząsnęłam nim, aby usunąć kurz. Wilgotny, ale nadawał się. Usiadłam na nim, wyjęłam z torby notebook, otworzyłam pliki z maską Holokaustu opracowaną przez profilowców i zaczęłam je studiować, jedząc kanapki i popijając wodę.

Kiedy poczułam się przygotowana, zaczęłam. Dla wygody zdjęłam kurtkę i sportowe buty, ale zostałam w żółtej koszulce na ramiączka, džinsach i skarpetkach. „Żadnych przebrań i nie rozbieraj się. Zrób maskę tak, jakbyś go miała przed sobą”, radził Gens. Najpierw wykonałam wersję klasyczną maski Holokaustu, a potem nową, dzieło profilowców. Gens zapewniał, że wszystko jedno, którą wybiorę. „Ważne jedynie, żebyś nie była subtelna.

Wykonaj ją całą, z użyciem gestów i wypowiedzi, jakie powstrzymałabyś podczas próby.

Użyj wspomnień z miejsca, w którym jesteś, pomyśl, że robisz przedstawienie, żeby go przyciągnąć. Przede wszystkim: b a d ż k o m p l e t n i e c z y s t a”. Znaczyło to, że nie powinnam ukrywać, po co i dla kogo to wszystko robię. „Nie ukrywaj własnych wątpliwości”, dodawał i to wychodziło mi całkiem dobrze. De facto gdy tak skręcałam się i jęczałam na materacu, nie mogłam przestać myśleć, że to wszystko to jakaś głupota. Nie da się przyciągnąć Widza w odległości kilometrów od rejonu polowań. Aczkolwiek teoretycznie można było jakąś maską osiągnąć to, że psynom zdobyczy wyczuwał ją z daleka, choć zdobycz nie była tego świadoma, jednak działało to tylko w przypadku celów niespecyficznych. Nazywaliśmy to „siecią przyciągania”: łapały się w nią także niewinne ryby. Konkretna zdobycz wymagała konkretnego dystansu. Gens był w błędzie.

Mimo wszystko ćwiczyłam nadal. Moim zadaniem nie było rozumieć, tylko wytrwać, bez przeznaczenia, bez woli. Być przynętą nie znaczyło nic albo znaczyło mniej niż nic. Nie musiałam nawet „słuchać” jak żołnierz swojego przełożonego. „Miałam” czy „robiłam” to pomyłka. Tylko przestając być „mną”, będąc tym „czymś”, co skręca się na obrzydliwym materacu wśród jęków, potu i rumieńców, zagubię siebie samą. A tylko zagubiwszy siebie samą, mogę uwierzyć, że bestia mnie znajdzie i rzuci się mnie p o g r y ż ć.

A kiedy to zrobi, mój potrzask zatrzaśnie się bezbłędnie na jej gardle.

Skończywszy, włożyłam z powrotem kurtkę i buty i jeszcze siedząc na materacu, pochłonęłam drugą kanapkę, popijając kawą z termosu. Potem rozłożyłam koc, opatuliłam się nim i przygotowałam na spędzenie wielu godzin na oczekiwaniu. W y c z u j e c i ę, p r z y j d z i e d o c i e b i e. Pomyślałam, że wykonałam wszystkie instrukcje Gensa. Nie rozumiejąc ich i nie akceptując, ale za to dokładnie. Były czy nie szaleństwem, wykonałam je wiernie, jak zazwyczaj. I nie mogłam zrobić nic więcej.

P r z y j d z i e d o c i e b i e,

c h o ć b y m u s i a ł w l e c s i ę

z a ś l i n i o n y p r z e z c a ł y M a d r y t.

Pułapka została zastawiona i teraz należało jedynie czekać, aż zwierz ją wyczuje i zbliży się do niej.

Pułapką byłam ja.

*

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zorientowałam się, że coś się dzieje.

Noc zaczynała już zapadać, to wiem, ponieważ powietrze przybrało tę niewyraźną właściwość błękitu późnych godzin na wsi. Kąty salonu były już tylko gniazdami mroku.

Siedziałam w kucki na materacu, zawinięta w koc, patrząc, jak zapada ciemność, i nasłuchując bieganiny szczurów, gdy nagle coś do mnie dotarło. Czasami tak się dzieje, mówimy wtedy: „Jak to możliwe? Cały czas miałam to w zasięgu ręki i nie widziałam...”.

Cały czas.

S z c z u r y.

Nagle straciłam pewność, że to one wywołują ten hałas.

Zaczęłam nasłuchiwać. Powtórzył się. Cisza. Powtórzył się. Nie ustawał, o ile wiem, od mojego przyjazdu na folwark, ale nie wydawał się zwykłą kotłowaniną gryzoni. Brzmiał

tak, jakbyśmy dmuchali na szybę i słyszeli nasz własny oddech: głuchy, falujący chrzęst.

Skąd to dochodziło?

Zaintrygowana wyszłam spod koca i wychyliłam się przez najbliższe okno, ale wsi, już czarnej, ani zrujnowanej wieżyczki wiatraka nie było słychać. Tylko podmuchy zimnego wiatru zginającego gałęzie zarośli. Także z drugiej strony panowała cisza, w drugiej szopie, w której spoczywały manekiny.

Pozostawała jeszcze trzecia możliwość.

Po kilku sekundach bezmyślnych poszukiwań w ciemnościach znalazłam cienką blachę latarki i przytrzymałam ją niczym odznakę policyjną w rękę. Światło, ogromne i czyste, rzuciło cienie na ściany. Skierowałam się ku wąskim schodom pośrodku salonu i zeszłam powoli, myśląc, że drzwi do piwnicy są zamknięte, ale okazało się, że nie. Hak od kłódki był pusty. Popchnęłam je lewą ręką, podnosząc prawą z latarką; stare drewno zaskrzypiało jak w klasycznych horrorach. Dalej panowały ciemności. Wyszukałam po omacku wyłączniki, pamiętając ich usytuowanie, ale usłyszałam tylko głuchy trzask; rząd nie zamierzał płacić za elektryczność w niepotrzebnej siedzibie. Skierowałam więc na wewnątrz piwnicy snop światła z latarki.

Poczułam się tak, jakby ktoś zadał mi silny cios. Przystanęłam, ogłuszona, wobec dokuczliwej inwazji obrazów. „Przy tej ścianie Lilian... W tym rogu Claudia i ja... Boże, to ten stary metalowy taboret... i wysiedziana ceglasta kanapa, na której...” Nikt, komu folwark był obcy, nie zdołałby oczywiście ujrzeć tego co ja. Zobaczyłby jedynie wilgotną, czarną, lodowatą czeluść pozbawioną wyjścia na zewnątrz, z kilkoma starymi meblami. Może zwróciłyby jego uwagę manekiny porozsadzone po kątach i zdumiewająca obecność kabiny prysznicowej pod ścianą. Ale nie zdołałby wyobrazić sobie wiecznej orgii nastoletnich ciał, teatralnych scen wykrzykiwanych przez nasze młode gardła, wejść i wyjść Gensa, który pokazywał, reżyserował.

Trudno mi było iść dalej tą drogą naszpikowaną minami pamięci. Co krok kolejne wstydlive wspomnienie uderzało mnie w twarz. To tu przestałam raz na zawsze być dzieckiem. Tu Cece i ja, podobnie jak tylu innych, zmieniłyśmy się w czystą wściekłość i czyste kłamstwo. Tu teatr wybuchł w naszym wnętrzu.

Ale to nie godziny udawanych lub prawdziwych okrucieństw, które musieliśmy znosić, nasuwały mi na myśl najgorsze upokorzenia, tylko pusty wzrok Gensa utkwiony w naszych ciałach w drobiazgowym skupieniu, jakby mistrz rusznikarstwa obserwował kolejny pistolet, który wykonuje.

Naturalnie, ani ciemność, ani stan tego miejsca nie stanowiły przeszkody, by je dokładniej zbadać.

Jego plan miałam w głowie jakby wypalony ogniem, więc usłyszawszy ponownie ten sam hałas, teraz gdzieś bliżej mnie, i przewyciężywszy pierwsze wrażenie, ruszyłam swobodnie.

Wiedziałam, że piwnica ma dwie duże sceny po każdej stronie korytarza, prowadzącego do innych pomieszczeń: magazynu na rekwizyty i kostiumy, jadalni i obszernego pokoju w głębi, służącego nam za sypialnię. Wszystko przygotowane, by móc spędzić wiele dni w tym miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi. Hałas dochodził skądś spoza korytarza. Tak-tak, klop-klop. Zeszłam z pierwszej sceny i skierowałam snop światła na pomieszczenia, czarne niczym paszczeńka wilka. Odsuwając jakieś obrazy na chybił trafił, oświetliłam drugą scenę. Rozpoznałam wielkie lustro z metalową ramą wiszące na ścianie przy wejściu i olbrzymią czerwoną kurtynę w głębi na drewnianym podium.

W ciemnościach stały dwie lub trzy osoby.

Niespecjalnie się zdziwiłam, ale nadal czułam się tak, jak gdyby cała moja krew była napojem gazowanym, którym ktoś potrząsnął przed otwarciem butelki. Co innego odkryć dziwnie upozowanego manekina, a co innego zauważyć, że te poubierane były w kaftany, krezy, długie buty i spódnice, j a k w i e k i t e m u. Pozostałe - mniej więcej tuzin -

brudne i nagie leżały na podłodze. Wyglądało to tak, jakby ktoś wybrał w ł a ś n i e te trzy manekiny, odkurzył je i wystroił specjalnie na tę okazję.

Dwa manekiny męskie opierały się o ścianę na wprost lustra, a manekin żeński wspierał się o kurtynę. Podeszłam do nich i z niejakim zdziwieniem stwierdziłam, że z kostiumów zwisają im etykiety podobne do tych, jakie przyczepialiśmy im podczas prób:

„Angelo”, „Książę”. Pierwszy manekin - „Książę” w czarnym kaftanie i pelerynie - obsypany był brokatem. Jedno oko zdrapały szczury albo czas. „Angelo” był łysy. Oba manekiny wznosiły ręce, jakby błagały o litość. Przerażeniem napawała sama myśl, że siedzą sobie ot tak, w tych ciemnościach. Pamiętałam sztukę, do jakiej ich potrzebowaliśmy, *Miarka za miarkę*, jedna z najbardziej perwersyjnych komedii Szekspira. Angelo, człowiek surowych zasad, w którego ręce Książę przekazuje rządy na czas swojej upozorowanej nieobecności, ogarnięty nagłym pożądaniem pragnie posiąść nowicjuszkę, która błaga go o darowanie życia bratu, lecz Książę wszystko odkrywa i wymierza mu karę. Według Gensa w sztuce tej, odnoszącej się do nieposzlakowanej sprawiedliwości - „miarka za miarkę” - zawiera się także ukryty szyfr maski Czystości.

Najbardziej jednak rzucały się w oczy afisze; zwróciłam uwagę, że tusz z flamastra błyszczy w świetle latarki, jakby ktoś niedawno pisał.

Oceniałam wagę tego odkrycia, gdy nagle ponownie powtórzył się hałas po mojej lewej stronie, tym razem gdzieś bliżej. Prawie nie musiałam się odwracać, by wiedzieć, co było jego źródłem.

Stara kurtyna, która pokrywała całą ścianę w głębi, od sufitu po drewnianą podłogę podium, poruszała się leniwie i żeński manekin, wsparty o nią, kołysał się w przód i tył, ale nie na tyle, by upaść. Na hałas składały się falowanie kurtyny i uderzanie plastikowych kończyn o podium. Powtórzenie. Ustanie. Powtórzenie. Pomyślałam o podmuchach wiatru, które poruszały gałęzie zarośli. Ale to absurd: wiedziałam, że z tyłu, za kurtyną, nie ma okien ani drzwi, tylko ściana z cegieł

i belek. Chodziło o pewne efekty optyczne, którymi posługiwaliśmy się przy niektórych maskach.

Powtórzenie. Tak-tak, klop-klop. Ustanie.

Manekin zdawał się kiwać do taktu blond głową. Miał perukę zamiast welonu, nie wyobrażał więc Izabelli, zakonnicy z *Miarki za miarkę*. Właściwie to nie miał żadnej etykiety. Odziany był w wyszywaną w czerwone kwiatki suknię, a jego wzniesione ręce pokazywały wnętrza dłoni, jakby zapraszając mnie, bym podeszła.

Mając wrażenie, że to wszystko sen, postawiłam stopę na podeście, który zaskrzypiał

okrutnie, delikatnie odsunęłam manekin i ułożyłam go na podłodze. Skupiłam całą uwagę na kurtynie. Bez wątpienia poruszał ją w i a t r, a kiedy ją odsunęłam, odkryłam dlaczego.

Były tam drzwi. W ścianie. Fakt, że zawsze tam się znajdowały, mógł się wydawać oczywisty, ale tak mi się wówczas wydawało, jako że ich wykonanie było bardzo staranne: skrzydło, otwarte na ścianę boczną po mojej prawej stronie, było wypełnione kawałkami cegły. Gdyby drzwi były zamknięte, trudno byłoby je zauważyć na tle ściany. W dodatku ściana ta zawsze była zasłonięta matą w kolorze écru, którą teraz ktoś zdjął - leżała pod kurtyną.

Dalej wąski korytarz wyglądał jak wejście do opuszczonej kopalni. Powietrze dochodziło tam z gęstej ciemności, która prowadziła zapewne gdzieś na zewnątrz, ale po drodze przesiąkało fetorem. Czułam się tak, jakby trup dmuchał mi na głowę, mierzwiąc nieściągnięte gumką włosy, i zlizywał mi pot z twarzy. Oświetliłam latarką próg, by przyjrzeć się otoczeniu. Pod nogami miałam klepisko, ściany zaś wyłożone były cienkimi deskami, jak wnętrze łodzi.

Cóż to było? Naturalnie całość nie sprawiała wrażenia dopiero co wykonanej konstrukcji, ale w ogóle nie pamiętałam tego miejsca. Spędziłam kilka lat na szkoleniach na folwarku, o krok od tej ścianki działowej, i zawsze widziałam tylko matę rozwieszoną na ceglach. Nikt nigdy nie odkrył przede mną faktu istnienia tego tunelu, czy co to właściwie było. Przez chwilę zastanawiałam się, czy w związku z tym powinnam odczuwać złość, czy może raczej wdzięczność.

I jak to możliwe, że teraz stoi otworem, a manekiny wyraźnie nań wskazują? Kto przygotował to wszystko? Może to Gens, w takim razie byłby to kolejny jego ślad - albo wyzwanie - ale jeżeli tak, to co to wszystko ma znaczyć?

Postąpiłam krok naprzód, potem jeszcze jeden. Zanim zdążyłam podjąć rozsądną decyzję, już się tam znajdowałam. Stąpając po ubitej ziemi, spojrzałam w górę, w obawie, że coś się na mnie zwali, ale sufit, aczkolwiek poza moim zasięgiem, nie znajdował się na tyle wysoko, bym nie dostrzegła starannie wykonanego sklepienia z krzyżujących się belek. Na niektórych były numery i liczby wypisane kredą i w jakiś tajemniczy sposób zachowane:

„2A”, „2B”, „3C”, „4D”... Odkrycie tego porządku architektonicznego sprawiło, że przeszedł mnie zimny dreszcz.

Korytarz był prosty, ale w pewnej chwili belki z prawej strony skończyły się i zarysował się otwór.

Coś, co sprawiało wrażenie kolejnego odgałęzienia, okazało się niewielką komorą bez wyjścia, ze ścianami wyłożonymi drewnem i wypełnionymi pustymi metalowymi regałami. Przeszłam przez korytarz i zatrzymałam się.

Skrzypienie. Dalekie uderzenia. Kroki.

- Witam - odezwałam się głośno. - Kto tam?

Cisza, potem znowu hałasy, aż w końcu zaczęłam podejrzewać, że to jednak musiały być szczury. A l b o m o ż e m a n e k i n, k t ó r e g o b r a k u j e. M o ż e t o I z a b e l l a s u n i e w s w o i m b i a ł y m w e l o n i e. Głupio mi się zrobiło z powodu tych fantastycznych rojeń; wiedziałam wprawdzie, że duchy istnieją, tyle że to zawsze żywi ludzie. Może to moja tajemna miłość? Tylko w jaki sposób Widz odkrył ten tunel?

Zlokalizowałam kolejną, nieco większą komorę, po prawej stronie; stały w niej składane metalowe meble: stół i krzesło, a w podłodze znajdowały się wyłączniki prądu. W

deskach, którymi wyłożone były ściany, tkwiły na różnych wysokościach haki. Korytarz wiódł dalej do kolejnych dwóch komór. Drzwi do wszystkich stały otworem, chociaż wszystkie zaopatrzone były w zasuwki. W tych ostatnich komorach drzwi miały je o d z e w n ą t r z. Pierwsza wyglądała na magazyn, druga na małe biuro, ale ostateczne ich przeznaczenie jakoś mi umykało: znacznie więcej haków i wyłączników tkwiło w ścianach i w ziemi, z sufitu zwisały łańcuchy...

Nie chodzi o to, że nie rozumiałam, d o c z e g o mogły służyć te akcesoria. Mimo że moje CV okazałoby się niewiele warte w przypadku aplikowania o uczciwą pracę, to dominowały w nim prawdziwe i nieprawdziwe doświadczenia nabyte w sceneriach podobnych do tej. W pamięci zawodowych przynęt istnieje taka komnata Sinobrodego zamknięta na zaczarowany klucz; staramy się nie otwierać jej nigdy. Ale kilka razy usłyszałam s k r z y p zawiasów i oglądałam sceny, których wolałabym nie pamiętać: psychol, który kazał mi wisieć na rękach przez długie godziny, zanim wreszcie zdołałam go usidlić; jacyś sadyści, którzy przykuli mnie łańcuchami do ściany i zabawiali się gaszeniem papierosów na mojej skórze, póki jeden nie wyeliminował drugiego... Komory pozbawione dopływu powietrza, kneble, ciemności i łańcuchy stanowiły część mojego życia. Na ciele miałam drobne blizny niczym parafy p o r o z p o c z ę t y c h, szczęśliwie zawsze powstrzymanych na czas torturach. A jednak każda tortura, choćby tylko zainicjowana, stanowi tego rodzaju doświadczenie, że nie zapomina się go do końca życia, jak jazdy na rowerze.

Sądziłam, że wiem, d o c z e g o mogła służyć ta odosobniona twierdza, ale nie wiedziałam d l a c z e g o a n i k o m u. Ostatecznie nasze szkolenie na folwarku polegało na ćwiczeniach, podczas których pozostawaliśmy w zamknięciu, skrępowane przez wiele godzin, a odwiedzano nas tylko po to, by nas wychłostać. Nie rozumiałam sensu istnienia tej

„wydzielonej” strefy: to tak, jakby utajnić istnienie jednej sali operacyjnej w zalanym krwią szpitalu. Co tu się działo?

Kilka metrów dalej podłoga korytarza zaczynała się podnosić. Musiało tam być przejście do kolejnej odnogi, w dodatku otwarte, sądząc po cyrkulacji powietrza. Może u wejścia znajdowały się otwory

wentylacyjne, których nie zauważyłam, a które wznagaly przewiew? Była tam kolejna komora, kolejna dławiąca twierdza, której wcześniej nie zauważyłam, ponieważ drzwi do niej były zamknięte, choć pozbawione zasuwki. Popchnęłam je czubkiem sportowego buta i usłyszałam jakiś odgłos. Najwyraźniej uderzyły o jakąś przeszkodę. Pchnęłam je silniej wolną ręką, ale nadal nie chciały się otworzyć, wobec tego zajrzałam za nie.

Przerażenie zmieniło światło mojej latarki w reflektor teatralny w rękach wariata.

Nie krzyknęłam, przynajmniej nie pamiętam, żebym krzyczała, ale też nie wiem, ile czasu tak stałam i patrzyłam, usiłując pojąć, o co chodzi. Działo się ze mną to samo co w chwili, gdy skakałam na głowę do basenu, zeszywniała ze strachu: nie byłam w stanie posklejać żadnej spójnej myśli na własny temat, w moim organizmie dokonała się zmiana warty, a cała moja istota gubiła się w tym, co w i d z i a ł a m.

Tak naprawdę ta komora nie różniła się niczym specjalnym od innych. W kącie leżały koce, zgniłe drewno, czuć było zapach wilgoci. Wyróżniało ją coś, co wisiało pod sufitem.

Cztery lalki zwisające na sznurach z wyższych belek. Trzy z nich to naprawdę lalki, łyse, brudne, nagie i bez rąk. Czwarta była od nich większa, wielkości człowieka: to ona blokowała drzwi. Była również naga i choć miała wszystkie kończyny, to w wyrazie twarzy i w oczach wychodzących z orbit odczytać można było więcej cierpienia niż w pozostałych trzech twarzach. Kołysała się delikatnie, leniwie, a u jej stóp leżało przewrócone krzesło i elegancki garnitur dżentelmena.

Był to Álvarez.

*

- Nie pojawił się w pracy przez całe rano - wyjaśniał Miguel, gdy zadzwoniłam do niego po raz drugi owej nocy; jego uspokajający głos wypełniał wnętrze mojego auta, pędzącego z powrotem do Madrytu. - Na początku wszyscy myśleli, że jest w podróży, ale ani w domu, ani w ministerstwie nikt nic nie wiedział... W południe uznano oficjalnie, że zaginął... I mówisz, że znalazłaś jego samochód?

- Tak, po wyjściu z tego... tunelu. Jest tam taka klapka, wychodząca na tyły wieży, akurat była otwarta. Álvarez zaparkował w tym miejscu, dlatego nie widziałam go, gdy przyjechał.

- Tak - Miguel mówił, często przerywając, jakby jednocześnie robił notatki. - Musiał to być dla ciebie okropny widok, kochanie. Tak strasznie mi przykro.

- Nie był to miły spektakl. - Zagryzłam wargę, wyprzedzając samochody, które wyglądały, jakby stały na autostradzie. - Miguel, jesteś pewien, że nie miałeś pojęcia o tym tunelu?

- Najmniejszego. Ale jeżeli istniał już wtedy, kiedy się szkoliliśmy, to logiczne, że o nim nie wiem... W owych czasach byłem przecież także przynętą, pamiętasz? I, jakżeby inaczej, przeczytałem tekst wypisany drobną czcionką w moim kontrakcie, w którym wymienia się materiał zastrzeżony...

Brakowało mi cierpliwości, by wysłuchiwać klasycznie prawniczego wywodu Miguela, ale starałam

się pocieszyć.

- Wiem, że o wielu rzeczach nam nie mówiono. Zastanawiam się głównie, c o t o było...

- Nie wiem. Przeszukałaś wszystko? Mam nadzieję, że niczego nie dotykałaś... W tej chwili cała armia mędrców w kamizelkach odbaskowych przeszukuje folwark.

- Nie, niczego nie dotykałam... Naturalnie, Álvarezowi to miejsce było znane.

- Naturalnie - powtórzył Miguel i wyczułam jego wahanie. - Wiesz chyba, że będą chcieli z tobą rozmawiać. Mam w tej chwili coś koło tuzina zgłoszonych rozmów i pięć w oczekiwaniu, w tym dwie od Padilli... Załatwią to, dzwoniąc z dwóch różnych telefonów, wiesz - dodał, znajdując cudem moment, żeby wtrącić żart, który mnie lekko rozbawił - chcę powiedzieć, że... naprawdę pojechałaś na folwark, żeby... porozmyślać?

Przekazałam mu taką idiotyczną wersję, żeby uniknąć rozmowy o planie, jaki mieliśmy z Gensem. Nawet gdyby Miguel wiedział, że Gens żyje, nie miał pojęcia, że się z nim widziałam, a ja rzecz jasna nie czułam się na siłach, by w owej chwili cokolwiek wyjaśniać. Powtórzyłam więc swoją wersję, dodając, że bardzo mnie niepokoi zniknięcie Very i musiałam wszystko przemyśleć w miejscu, w którym stałam się przynętą. Ale nagle przyszło mi do głowy, że w pytaniu Miguela kryje się coś więcej.

- Posłuchaj, w przypadku Álvareza mówi się o samobójstwie, prawda? - spytałam, zatrzymując się przed pierwszymi światłami, na jakie natrafiłam przed wjazdem w granice Madrytu. W uszach mi szumiało.

- Jasne. - Miguel zdawał się zaskoczony, że to ja mam jakieś wątpliwości. - Kiedy zadzwoniłem do Padilli, żeby mu przekazać informację, powiedział, że właśnie znaleźli list pożegnalny u niego w biurze... I, prawdę mówiąc, można się było tego spodziewać. Ostatnio czuł się wycieńczony pracą. Z pewnością wybrał folwark ze względu na jego oddalenie.

„Och, biedaku. W y c i e ń c z o n y. Nie chciałaś zauważyć, jak się czujemy my, przynęty”, pomyślałam wściekła, przypomniawszy sobie swoją rozmowę z Álvarezem dwa tygodnie wcześniej, kiedy informowałam go o swojej dymisji. Naprawdę żal mi go było (t a p r z e r a ż a j ą c a

t w a r z,

j a k

g d y b y

powieszenie

s i ę

stano wi ł o p o w o l n ą t o r t u r ę), ale nie tak znowu bardzo.

Pewne szczegóły były dla mnie szokujące. Chciałam je omówić z Miguelem.

- Te manekiny, które tam pousadzał, poprzebierane za bohaterów *Miarki za miarkę*...

To dziwne. O ile pamiętam, Álvarez w ogóle nie interesowała nasza praca...

- Ostatnio czytał co nieco o filiach i teatrze, Padilla mi mówił.

- Ale po co te lalki zwisające z sufitu, Miguel? Tak podobne do... - umilkłam, pozwalając, by wyczuł coś, czego nie miałam odwagi powiedzieć.

R e n a r d.

- Rozumiem, co masz na myśli, kochanie - mruknął Miguel - ale muszę ci przypomnieć, że Renard zginął prawie trzy lata temu, kiedy miano go aresztować...

- Wiem o tym, ale czemu Álvarez zrobił coś takiego?

- A dlaczego robią to, co robią, ludzie nieprzytomnie zakochani? - odparł Miguel. -

Przypuszczam, że miał swoje powody, choć nigdy nie dowiemy się jakie... Kochanie, muszę kończyć, bo inaczej Padilla przyśle komandosów, żeby wyważyli mi drzwi do mieszkania...

- Dobrze. Mam nadzieję, że zdołasz powstrzymać lawinę dzisiaj rano? Jestem wyczerpana, Miguelin, nie chcę z nikim rozmawiać... Sama rozmówię się z Padillą wcześniej rano, przyrzekam. I przygotuję raport.

- Nie ma problemu. Mam nadzieję, że nie - zachichotał. - Jest prawie jedenasta, Powiem im, że potrzebujesz snu i że mogą przesłuchać cię jutro. Najważniejsze, żebyś odpoczęła... Najpierw Vera, teraz to... Powinnaś odzyskać siły, kochanie...

„Powinnam go już z ł a p a ć”, pomyślałam. Ale żaden zaśliniony Widz nie szukał

mnie na folwarku. Robiłam sobie wyrzuty, że posłuchałam stetryczalego sklerotyka.

Nieoczekiwanie, gdy dojeżdżałam do mojej ulicy i zjeżdżałam na parking, naszedł

mnie inny obraz: leżałam sama, w pustym łóżku, w gnieździe pełnym prześcieradeł, gdzie lęgnie się moja bezsenność, i pragnęłam prosić Miguela, niemalże go błagać, żeby przyszedł.

Chciałam go objąć, poczuć obok siebie jego ciepłe ciało. Ale wiedziałam, że to niemożliwe.

Musiał za mnie zaręczyć aż do następnego dnia.

- Kocham cię, skarbie, nie zapominaj - zakończył naszą rozmowę.

- Kocham cię - powiedziałam głośno, przewyciężając nieznośne dławienie w gardle. -

Kocham cię, kocham cię...

Zaparkowałam i zgasiłam silnik, ale nie wysiadałam. *W y t r z y m a ć*, czyż nie to umiałam najlepiej? Znieść tę ciszę.

Przez chwilę patrzyłam, jak łzy spadają na kierownicę. Myślałam o Miguelu, o Verze, o mojej klęsce jako przynęta, o Gensie, o tym ciemnym tunelu, na którego końcu Álvarez zdecydował się położyć kres własnej klęsce, nie bacząc na nic. Ale przede wszystkim o Miguelu, o moim pragnieniu, by znaleźć pocieszenie w jego kojącej obecności.

Nieco później, kiedy zdołałam się uspokoić, ta Diana, która stała na straży mojej świadomości, oznajmiła: „Jesteś wykończona, idiotko. Idź spać. Jutro na wszystko spojrzysz inaczej”.

Przyjęłam tę radę i wysiadłam z auta. W połowie drogi przez opustoszały parking nabity samochodami uświadomiłam sobie, że zapomniałam zabrać z tylnego siedzenia sportową torbę. Przeklinając pod nosem, zawróciłam i niemal z kimś się zderzyłam.

Fioletowa kurtka, długi daszek bejsbolówki, dredy do ramion i twarz - twarz śmiertocznie piękna. Chłopiec.

- Wiesz, czym jesteś? - zapytał beznamiętnie.

W tej samej chwili coś przeleciało mi gwałtownie przed twarzą i było tak, jakby kurtyna spadła mi na oczy.

II

ANTRAKT

Zstąp,

Nocy, która zszywasz nam powieki;

Przesłoń wrażliwe i pełne litości

Oko dnia...

WILLIAM SHAKESPEARE,

tłum. S. Barańczak, Kraków 2006, Znak, akt III, scena 2

22

Ciemności.

Dwa przebijające się przez nie światła.

Czwartkowa noc, autostrada na północ.

Wygodne siedzenie, zautomatyzowana deska rozdzielcza, miękkość kierownicy, ciche dźwięki saksofonu z głośników jak aksamit głaszczący uszy... To wszystko najwyraźniej uspokajało mężczyznę. Komputer pokładowy sygnalizował mu przebieg drogi i informował o natężeniu ruchu. Wkrótce mieli dojechać do zjazdu do wioski w górach i do miejsca, gdzie znajdował się dawny pawilon myśliwski. Najwyżej pół godziny jazdy.

Blask bijący od deski rozdzielczej oświetlał twarz mężczyzny na niebiesko.

Opuchnięte powieki zdradzały ślady zmęczenia, ale poza tym malował się na niej spokój.

Czasami, gdy wyprzedzał ich jakiś samochód, światła omiatały go jak kurtyna otwierająca się i zamykająca nad jego twarzą: migotanie, a potem znowu ciemność.

Nie musiał się spieszyć.

Chłopiec siedział na miejscu obok, dziwnie milczący. Mężczyzna rzucił na niego szybkie spojrzenie - mały miał głowę odchyloną do tyłu, a przekrzywiony daszek bejsbolówki zasłaniał mu połowę twarzy.

Miarowe kołysanie terenowego mercedesa sprawiało, że przypięty pasem bezpieczeństwa chłopiec kiwał się niczym lalka. To nie spodobało się mężczyźnie.

- Hej, asystencie - odezwał się z uśmiechem.

Różowy koniuszek języka pojawił się między wargami chłopca i przejechał po nich, zwilżając je. Daszek odwrócił się wolno w kierunku mężczyzny, a światła mijającego ich właśnie samochodu kazały zamrugać zaspanym oczom.

- Nie śpij, chłopie. Zmęczony jesteś?

Pytanie było głupie, ale mężczyzna wiedział, iż chłopcu trzeba wszystko dokładnie tłumaczyć. Oczywistości stanowiły dla niego materiał do przemyśleń.

- Trochę. - Cichej odpowiedzi towarzyszyło ziewnięcie.

- No dobrze, to śpij. Obudzę cię, jak dojedziemy.

W rzeczywistości irytowało go, że chłopiec zasypia, aczkolwiek łatwo było to zrozumieć: spędzili ponad sześć godzin w nieustannym napięciu. On sam czuł się wyczerpany.

- Daleko jeszcze? - spytał chłopiec.

- Ja też chciałbym już dojechać, Pablo.

- Tylko pytam.

Mężczyzna westchnął, uznawszy, że nie ma sensu się obrażać.

- Kwestia pół godziny, mniej więcej... Nie chcę jechać za szybko, widziałem tłumy policji... z drogówki - dodał z uśmiechem, spostrzegłszy, że chłopiec wpatruje się w niego. -

Nie chcesz chyba, żeby wlepili nam mandat, co? Słuchaj, a właściwie dlaczego nie zdejmiesz kurtki? Potem, jak wysiądziesz z auta, będzie ci zimno...

- Tak mi dobrze.

- Tylko pytam - zachichotał mężczyzna.

- Dlaczego wszędzie tyle drogówki?

- Niby skąd mam wiedzieć? To nieważne.

Kłamał. Wzdłuż spokojnej autostrady widział w wielu miejscach nie tylko drogówkę, lecz także wozy operacyjne, które wyprzedzały ich bez syren i kogutów, jakby chcąc pozostać incognito. „Spokojnie: przede wszystkim nie rzucaj się w oczy. Sprawdź wszystkie kontrolki, żeby cię nie zatrzymali za brak świateł”. Jeszcze w mieście zdawało mu się, że widzi więcej wozów patrolowych, zaparkowanych i w ruchu. Podejrzewał, że prowadzą jakieś szczególne poszukiwania.

Co gorsza przy wyjeździe z Madrytu musiał się zatrzymać, bo chłopiec chciał siusiu, a on sam zapomniał w tym całym zamieszaniu napełnić bak potężnego mercedesa bluefire.

Wybrał stację, którą znał i obok której znajdował się prowadzony przez Filipińczyków sklepik spożywczy; skorzystał z okazji, by kupić coś na kolację, jako że w domu prawie nie było zapasów jedzenia. Kiedy napełniał bak benzyną, zauważył kolejne dwa wozy policyjne stojące na wysokości zjazdu z autostrady, z agentami w środku. Czy nie przyglądali mu się z niezdrową ciekawością? Później w sklepiku, gdy wybierał zapakowane hermetycznie kanapki, chipsy, batoniki, napoje dla Pabla i piwo dla siebie, uznał, że nieliczni klienci -

włącznie z naćpaną kurwą o szklistym wzroku - szpiegują go, wcale się z tym nie kryjąc.

Wyglądali, jak gdyby wszyscy myśleli: „T o o n! T o o n!”. Zdawał sobie sprawę, że głód i zmęczenie mogą wywoływać fałszywe wrażenia, ale mimo to drżała mu lekko ręka, którą podawał

banknoty, płacąc gotówką za benzynę i zakupy.

Monotonia podróży pomogła mu rozproszyć resztki niepokoju. Teraz, po północy, czuł się świetnie, zastanawiał się nawet, czy nie zatrzymać się gdzieś po drodze, by coś zjeść, zanim dojadą, ale chłopiec przerwał te rozważania.

- Nie pójdę jutro do szkoły?

- Nie, jutro nie. Będę musiał pojechać do pracy koło dziesiątej, ale szybko wrócę.

Chcę, żebyś w tym czasie odrobił lekcje.

- Nie mam żadnych lekcji.

Mężczyzna przyglądał się chłopcu przez chwilę: rozwalony na siedzeniu, z opadającymi na ramiona dreadami, we wściekle fioletowej kurtce, najwyraźniej na niego za dużej, przypominał zepsutą zabawkę.

- Matma i języki - powiedział - ułamki i czasowniki. Już masz lekcje. Potem możesz się trochę pobawić na górze. Albo na chwilę zejść na dół, jak zechcesz.

- Co mogę z nią zrobić?

Wiedział, że chłopiec doskonale zna odpowiedź na to pytanie, ale nie umknął jego uwadze ostrożny ton. W przypadku Pabla oznaczało to irytację. Uznał, że na razie to pominie, i odpowiedział łagodnie:

- Żadnych amputacji, uderzeń w głowę czy aparatów, póki nie wrócę... To pierwszy dzień, więc wiesz... Słuchaj, Pablo, obraziłeś się?

Chłopiec nie odpowiedział.

- Wiem, że tym razem dokonaliśmy wyboru inaczej niż zazwyczaj, ale nadal jesteś moim asystentem i obiecuję ci, że będę bardzo uważał... Bardzo.

- Ona ci się nie podoba - stwierdził Pablo takim tonem, jakby wskazywał na fakt równie oczywisty jak to, że jadą drogą w środku nocy.

Mężczyzna myślał przez chwilę.

- No tak, nie bardzo - przyznał wreszcie, czując suchość w ustach.

- Ani mnie.

Przerażało go - jak, mimo swego wieku - chłopiec umie trafić w sedno: nie chodzi o to, czy dziewczyna jest atrakcyjna, po prostu to nie jego typ i właśnie to było tak niepokojące.

Dziewczyna w dżinsach, kurtce dobrej dla żebraczki, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona, za

którą w innych okolicznościach nawet by się nie obejrzał na ulicy.

Bardzo niepokojące.

Wziął zakręt z szybkością większą niż dozwolona i zdjął nogę z gazu. Dłonie miał spocone i czuł, że włosy lepią mu się do czoła.

Podjeżdżał z jakiego powodu. Przez lata czytał na ten temat wszystko, co tylko się dało. Wiedział, że są sposoby, by zmusić człowieka do wybrania tego, co wywołuje w nim w s t r ę t. Inaczej mówiąc: wybiera się to w ł a ś n i e dlatego, że odrzuca. Pamiętał, że jedna z technik, zwana maską Spektaklu, została chyba opisana w *Hamlecie*. Zmontujemy sztukę, aby przyciągnąć twoją świadomość, taki teatr-sidla, żeby przytrzasnąć ci palce, p u ł a p k a n a

m y s z y.

Oferujemy

ci

ten

teatr,

którego

najbardziej

n i e n a w i d z i s z i właśnie dlatego nie możesz oderwać od niego oczu. N a t ę f a ł s z y w ą p r z y n ę t ę z ł o w i m y t w o j e g o k a r p i a p r a w d y.

Musiał rzecz jasna dopytać o kilka rzeczy, wyjaśnić pewne kwestie. Przesłucha ją, z całą pewnością. Zachowa maksymalną ostrożność, jak gdyby manipulował przy środku wybuchowym w postaci płynnej, ale musi podjąć to ryzyko, ponieważ w grę wchodzi jego tożsamość istoty wolnej i świadomej, ten czarny wir, którym jest całe jego istnienie.

Znienacka poczuł, że jedzie dalej w ciemnościach, jakby się zgubił i nie potrafił odnaleźć w rzeczywistości. Wziął głęboki oddech, posłuchał przez chwilę muzyki granej na saksofonie i to uczucie minęło. Przypisał je zmęczeniu. „Spokój... To o n a leży w ciemnościach, to ona straciła wszystko i to ona będzie krzyczała... Damy jej...”

- Co? - usłyszał.

- Czego chcesz? - Spojrzał na chłopca zdezorientowany.

- Mówiłeś coś, tato.

Najwyraźniej wypowiedział jakąś myśl na głos, więc roześmiał się, odzyskując swoją przewagę w grze z chłopcem.

- Mówiłem, że damy jej w dupę... - zanucił.

I powtórzył głośniejszym głosem, jak chciał, by usłyszano go dalej:

- Damy tej kurwie w dupę.

- Czy to jedna z tych... p u ł a p e k? - Pablo wypowiedział to słowo w tak szczególny sposób, jakby było mu z jednej strony świetnie znane, a z drugiej - jakby budziło w nim obawy. Mężczyzna postanowił udzielić chłopcu tym razem optymistycznej odpowiedzi.

- Zapewniam cię, Pablo, że jeżeli tak, to szybko się przekonasz, że z nas też są dwie dobre p u ł a p k i, więc nie...

- Monitor komputera pokładowego odzyskał nagle życie, rysując białą błyskawicę na twarzy mężczyzny. - Cholera.

- Co się stało?

Nie odpowiedział, między innymi dlatego, że sam nie był jeszcze do końca pewien.

Migające światła w odległości niecałego kilometra. Monitor sygnalizował niewielki korek.

Mogło się tam stać wszystko.

Zmniejszył prędkość, pragnąc, by chodziło o wypadek.

*

Ciemności.

Wewnątrz i na zewnątrz.

Nie tylko nic nie widziałam, ale moje własne oczy wydawały mi się do niczego niepotrzebne. Gdy mrugałam powiekami, coś zwilżało mi rzęsy. Usłyszałam bełkot: mój własny głos. Chciałam się poruszyć, ale mogłam to zrobić tylko siłą woli, bo ciało stać było jedynie na niekontrolowane skurcze.

Czy to był sen? Nie miałam pewności.

Chwilę przedtem leżałam na czymś w rodzaju noszy. Widziałam światła sali operacyjnej i słyszałam ciche dźwięki saksofonu oraz szum silnika pochodzący z pewnością ze sprzętu chirurgicznego. Człowiek Koń pochylał się nade mną, jakby miał mnie operować.

W usta włożono mi jakieś gumy, więc ledwie mogłam mówić, a kończyny skrępowano.

Musiałam wygiąć talię, żeby wypracować maskę (Spektakl, według techniki Baumanna), ale zdołałam jedynie poruszyć głowę; kiedy to zrobiłam, ujrzałam na noszach obok mnie nagie i poskręcane ciało Álvareza z oczami siłą wepchniętymi na powrót w oczodoły i językiem nabrzmiętym niczym zwłoki ropuchy. Człowiek Koń, cały we krwi, trzymał w ręku nóż.

A t e r a z m a s z s i ę s m i a ć, d i e w o c z k a.

W tej samej chwili dźwięki saksofonu umilkły, ucichł także szum silnika, a sala operacyjna zniknęła w gęstej, wszechogarniającej ciemności.

Usiłowałam nabrać powietrza ustami, ale mi się nie udało. Zaalarmowało mnie to, mimo że nosem wdychałam powietrze przesycone silnym zapachem róż. Faktycznie, miałam coś między zębami, jakąś cienką, długą gumę. Żując ją, także wyczuwałam zapach róż. Nie przeszkadzało mi to, ale wolałabym móc oddychać normalnie.

I nagle zorientowałam się, że to nie sen: nie mogłam się ruszyć, mówić ani czegokolwiek zobaczyć, dusiłam się. Gdyby to zsumować, wynik brzmiałby: panika, ale podczas szkoleń nauczyłam się, że muszę doświadczać każdego uczucia oddzielnie, nie sumując ich w przytłaczającą algebrę strachu.

Z początku uczucie, że się duszę, nie było zbyt silne. Gdy oddychałam przez nos, nie wysilając się na próby oddychania ustami, miałam dość powietrza, by się nie udusić. Nos był

zatem jednym z niewielu organów, które funkcjonowały właściwie. Drugim były uszy: to, co do mnie docierało, kazało mi myśleć, że chyba ktoś otworzył okno na ulicę, choć dźwięki odbierałam nieco przygaszone, jakbym była zawinięta w watę. Przejeżdżające samochody.

Gwar rozmów. I jakiś głos, twardy... rozkazujący.

- Zechce pan... z wozu i poproszę... dokumenty...?

Nie wysilałam się na próby przypomnienia sobie, co się stało, bo i tak prędzej czy później do tego dojdę, a próżne wysiłki jedynie wzmogą niepokój. Zamiast tego starałam się sięgnąć myślami za zewnątrz, zbadać sytuację, tak jak mnie uczono: „Możecie zostać zamknięte w skorupce orzecha - mówił Gens - i czuć się jak władcy nieograniczonej przestrzeni: przypominajcie sobie Hamleta, Hamleta i zawsze Hamleta”.

Faktem jest, że żyłam, ale moje życie było nie do pozazdroszczenia. Leżałam na boku na czymś twardym, ręce miałam wykręcone do tyłu, a nadgarstki skrępowane na plecach czymś, co wydawało mi się gumą. Sięgała ona aż do kostek, tak że moje nogi, silniejsze, ciągnęły ramiona, sprawiając, że wyginałam się boleśnie. Na twarzy czułam bandaż, w ustach knebel. Składał się on z podwójnej gumy związanej w supeł na karku; środkowa część była nieco grubsza i wpychała mi język w głąb ust. Mogłam ją gryźć, co zresztą robiłam. Mogłam jęczeć, ale moje jęki tłumił gruby pas taśmy klejącej przytrzymującej knebel; szczypała mnie w policzki. Bandaż całkowicie zasłaniał mi oczy i chyba nie był związany na supeł, tylko zapięty; owijał mi kilkakrotnie głowę i kończył na środku nosa.

Byłam ubrana, wprawdzie bez butów, ale w skarpetkach. Czułam, że mam na sobie bieliznę, dzinsy i koszulkę, której jedno ramiączko, to na ramieniu znajdującym się obecnie wyżej, opadło prawie do łokcia. Chyba rozpoznawałam ubranie: była to moja żółta bluzka, której czasami używałam do masek Spektaklu i Holokaustu. Musiałam ją włożyć z jakiegoś konkretnego powodu, ale nie mogłam sobie przypomnieć z jakiego - w głowie miałam mętlik.

Wyczuwałam także materiał, który dotykał mojej skóry od zewnątrz: coś w rodzaju prześcieradła, które na mnie zarzucono.

Ale nie tylko w prześcieradło, bo gdy próbowałam poruszyć głowę we wszystkich możliwych kierunkach, wyczuwałam tę samą przeszkodę, a opuszkami palców mogłam wymacać podłogę.

„Worek. Jestem w worku”.

To wyjaśniało poczucie braku powietrza i gorąco, które sprawiało, że spływałam potem, jak również to, że wszystkie dźwięki docierały do mnie jak przez mgłę, jakbym miała ucho przyklepione do szyby akwarium: szum silników aut, dalekie głosy, wyraźny, głośny rozkaz:

- Proszę podjechać bliżej.

Mocny, władczy głos, ten sam co poprzednio, teraz z bliższej odległości.

- Mógłby pan otworzyć... bagażnik?

I odpowiedź, łagodna, skądś bliżej:

- Czy coś się dzieje, panie władzo?

- Nie... kontrola, proszę pana. Proszę otworzyć...

Skoncentrowałam się na słuchaniu, chociaż zaczynałam odczuwać zawroty głowy i słowa zaczynały mi umykać, jak woda przeciekająca przez palce.

- Proszę posłuchać... mój syn był na... urodzinach i wiozę go do... Ale źle się czuje...

moglibyśmy, proszę, jechać dalej...? Nigdy nie wiadomo...

- To nie potrwa długo... bagażnik, proszę...

Co się ze mną stało? Jak się tutaj znalazłam? Obrazy manekinów i powieszonych lalek krążyły po mojej obolałej głowie, napływały i odpływały jak na karuzeli. Nie miałam wątpliwości, że podano mi narkotyk. Z a p a c h r ó ż. Nacho Puentes, jeden z profilowców, mówił mi, że istnieje środek usypiający, który wydziela ten zapach, kiedy...

Wówczas łagodny głos powiedział coś w rodzaju: „Zaraz wracam... Spokojnie, dzieciaku”, a drugi głos, też gdzieś blisko, odpowiedział:

- W porządku - ostro, beznamiętnie, jak kiepski aktor z teatru dla dzieci.

Chłopiec. D r e d y p o d c z a p k ą. F i o l e t o w a k u r t k a. B a r d z o ł a d n a t w a r z.

Doznałam natychmiastowego olśnienia.

„Czekali na mnie na parkingu, chłopiec odwrócił moją uwagę, a on podszedł od tyłu i przyłożył mi coś do nosa i ust...”

Nerwy wywróciły mi żołądek i przez chwilę zamarłam z przerażenia na myśl, że będę wymiotować i uduszę się własnymi wymiocinami. Ze wszystkich sił starałam się skoncentrować na myśleniu. „Nie zostawiaj umysłu w beczynności: umysł, który nie pracuje, wpada natychmiast w pułapkę strachu”, wyjaśniał Gens. H a m l e t, H a m l e t, z a w s z e H a m l e t, w każdej sytuacji: myśleć, myśleć, myśleć.

Co się działo? Gdzie byliśmy? Przedtem słyszałam szum silnika - znajdowałam się w samochodzie. „Dokądś mnie wiozą”. Ale zatrzymaliśmy się. Dlaczego?

Nieprzewidziany hałas, jak wystrzał w mojej głowie. Drzwi otwierające się w bliskiej odległości. „To bagażnik, jestem w worku, w bagażniku samochodu. Ale czemu go otwiera?”

Przypominałam sobie, co usłyszałam przed chwilą: C z y c o ś s i ę d z i e j e, p a n i e w ł a d z o? N i e, k o n t r o l a.

Wówczas zrozumiałam. Chodziło o wyrywkową kontrolę, oczywiście, policja wybierała jeden na dziesięć samochodów w jakimkolwiek punkcie na drodze, zatrzymywali go i rewidowali wnętrze przenośnym skanerem. Prawdopodobnie te środki ostrożności zostały podjęte przez Padillę po zniknięciu Very. Domyśliłam się, co będzie potem. Znajdą podejrzany worek. Nie będą nawet musieli prosić o otwarcie, skaner mnie odkryje. Aresztują go.

Według tego schematu zostało pięć sekund do końca.

Ale wydarzyło się coś dziwnego.

Bagażnik zapewne był otwarty, a worek na widoku. Słyszałam wyraźnie ruch na szosie, rozkazy innych policjantów, nawet słabe pikanie czegoś, co musiało być skanerem. W

takim razie dlaczego policjant nie pytał o worek? Usiłowałam jęczeć, ale z ust wydobył mi się tylko słaby bełkot. Usłyszałam ciąg dalszy rozmowy.

- Co jest w tych pudłach?

- Och, części zamienne do sprzętu ogrodowego. Chcę w weekend trochę popracować.

- Może pan otworzyć jedno z nich?

- Oczywiście - metaliczne uderzenia tuż przy mojej głowie, niedosłyszane słowa -

...samodzielny montaż. Przepraszam, czy już skończyliśmy? Syn czuje się...

„Pudła” pomyślałam szybko. Wiedziałam, że nie znajduję się w pudle, tylko w czymś miękkim. Może ukryta za nimi? Tak i nie. Bez wątpienia chodziło o jakiś bardziej wypracowany podstęp: duży samochód, specjalnie przygotowany bagażnik, przegroda między pudłami a mną. Policjant musiałby zauważyć podwójne dno. Na wypadek skanera w pudle z

„częściami zamiennymi” mógł być schowany deformatsor sygnałów. Naturalnie o n przewidział kontrolę drogową.

Przemysłna sztuczka, ale z poważnym błędem.

Ja.

M ó j s y n ź l e s i ę c z u j e. Zrozumiałam niepokój kryjący się w tonie głosu.

„Chłopiec n i e c z u j e s i ę ź l e, to ciebie trafia szlag, co, kolego? Podejrzewasz, że działanie środka znieczulającego już minęło, a jeżeli nie śpię, to mogę narobić hałasu, prawda?”

Nadal potrzebowałam powietrza, bolały mnie nawet koniuszki włosów, ilekroć napinałam jakiś mięsień, myślałam, że umrę, i czułam mdłości, ale wiedziałam, że jeżeli tylko spróbuję, uda mi się wykonać kilka niewygodnych czynności: poruszyć workiem za pomocą rąk albo stóp, albo jeszcze lepiej, obracając się. Przestrzeń, w której się znajdowałam, była bardzo wąska i wiedziałam, że jeśli tylko się zegnę, narobię hałasu.

Policjant znowu się odezwał:

- Proszę go zawieźć do lekarza, jeżeli tak źle się czuje...

- Na pewno to zrobię, o ile pozwoli mi pan odjechać...

Postanowiłam wykręcić ciało w lewą stronę. Nawet gdybym nie zdołała wywrócić skrępowanymi nogami podwójnego dna, narobiłabym hałasu i policjant powinien mnie odkryć. Ale została mi chwila do końca kontroli. Nabrałam jak najwięcej powietrza, przygotowałam się. Zaczęłam krótkie odliczanie.

- Czy pan skończył?

„Trzy... dwa...” Nagle przestałam.

Przyszło mi do głowy coś innego.

Zadałam sobie pytanie, co się stanie, jak go teraz aresztują. „Proces... wyrok...

Dziesięć lat, piętnaście?” Ile lat spędzi w więzieniu, zanim skrócą mu karę, albo zanim zapominalski sąd zasypie ziemią sprawę Aídy Domínguez i pozostałych ofiar i zlituje się nad winnym? Zakładając, że w ogóle zostanie aresztowany. To urodzony wojownik, tak dobry w swoim fachu jak ja w swoim.

Może uda mu się wskoczyć do wozu i zwać, zanim ci policjanci zdążą zareagować. A jeśli dotrze do swojej nory, to choćby go aresztowano pół

godziny później, co się stanie z moją siostrą?

Narobić hałasu albo nie narobić. W ą t p l i w o ś c i H a m l e t a.

- Zgoda - odezwał się policjant - może pan jechać, dziękuję.

- Dziękuję panu.

„Wobec tego... - mocne uderzenie, jakby mi przywalono żelazną płytą... - nie”.

Wyobraziłam sobie, że zamknął bagażnik z ulgą, nie podejrzewając, że ulgę odczułam t a k ż e j a. Niemal się roześmiałam pomimo knebla. „Na zawsze razem, ty i ja”. Nie zgubię go teraz, gdy już go mam. Och, z pewnością nie. „Nie przybyłam posłać cię do więzienia, skurwysynu: przybyłam cię z n i s z c z y ć”.

Poczułam wibrację. Ruszyliśmy w drogę. Kręciło mi się w głowie, chciało mi się pić, byłam na wpół uduszona, udręczona bólem i pragnęłam jedynie zakończyć te katusze, ale wiedziałam, że wkrótce dojedziemy tam, dokądkolwiek mieliśmy dojechać. „Nie zabije mnie po drodze. Musimy być gdzieś blisko”.

I zastanawiałam się, czy Widz podejrzewa, że z nas dwojga to on tak naprawdę znajduje się w niebezpieczeństwie.

23

I skończyło się, oczywiście. Jak wszystko w życiu. Nagle przestałam się kiwać.

Otworzyły się jakieś drzwi. Chwilę później następne.

Ale jakoś długo po mnie nie przychodzili i moje męczarnie teraz, gdy liczyłam na to, że zostanę uwolniona, stały się nie do zniesienia. Czułam się tak, jakbym miała zatańczyć taniec klasyczny w wannie: musiałam utrzymać równowagę, choć wszystko mnie bolało.

Jeżeli dawałam odpocząć kolanom, kręgi szarpał mi ostry ból. Kiedy sądziłam, że z bólu zemdleję, przeszkadzało mi w tym pragnienie. Żeby nie myśleć o pragnieniu, koncentrowałam się na oddychaniu coraz mniejszą ilością powietrza, więc musiałam zachowywać się spokojnie, aby je oszczędzać. Ale gdy zbyt długo leżałam spokojnie, dawałam odpocząć kolanom i wszystko zaczynało się od początku, niczym w dantejskim kręgu. Gens mawiał: „Czasami będziecie musieli udawać, że jesteście umordowani, ale nie przejmujcie się, bo większość z was będzie się tak czuła n a p r a w d ę”.

Po chwili, która mnie wydawała się wiecznością, nadeszły oczekiwane odgłosy: bagażnik, pudła, przegroda. Coś dźwignęło mój worek i poczułam, że niosą mnie czyjeś ramiona. Nie odzywali się, ani on, ani chłopiec, ale słyszałam, jak ciężko dyszą. On niósł

mnie jak pan młody pannę młodą w noc poślubną. „Pójdź, Desdemono; godzinę mam tylko do poświęcenia miłości i innym sprawom domowym”⁸. Wyobraziłam sobie tę kwestię przy akompaniamencie odpowiednich westchnień stłumionych przez knebel. Poczucie, że on unosi mnie w ramionach, tuląc jak zmię do piersi, dało mi nową energię. Wiedziałam, że w nieunikniony sposób moja zdobycz wprowadza we własne ognisko domowe truciznę, która ją zniszczy. „Tak, tak, zabierz mnie ze sobą, nie wypuszczaj mnie...” Puścił mnie, ale delikatnie. Jednakże znowu zobaczyłam gwiazdy, gdy to zrobił, i zagryzłam suchy knebel jak wściekły pies nadpalony patyk.

Usłyszałam jego głos:

- Pablo, otwórz drzwi.

Nie sądziłam, że chodzi mu o drzwi wejściowe do domu. Znajdowałam się na gładkiej 8 W. Shakespeare, *Otello*, tłum. J. Paszkowski, akt I, scena 3, w: Szekspir, *Dzieła dramatyczne*, Warszawa 1980, PIW, t. V.

posadzce i słyszałam pogłos wywołany bliskością sufitu. Może to był garaż. Pomyślałam o imieniu: Pablo. Powtarzałam je jak mantrę: P a b l o, P a b l o. Imię chłopca. Tej

„enigmy”, jak go określił Gens. Czego chciał, czym był Pablo? Należało to koniecznie zrozumieć, bo w jego przypadku żadna maska nie przyniesie efektu.

Nagle poczułam się tak, jakbym wracała do życia: suwak, rozcięcie, worek zsunął się do ramion. Nareszcie błogosławione świeże powietrze. Starłam się jednak panować nad sobą. Kiedy cierpisz, moment największej słabości to właśnie ulga: wiedzą o tym wszyscy mistrzowie tortur i to wówczas dokręcają ci śrubę. Więc kręciłam się i jęczałam na lodowatej podłodze, demonstrując typowe zachowanie sparalizowanej strachem i błagającej o litość dziewczyny, co tak się podoba różnym zbrodźcom.

- Trzymaj tu, Pablo.

Uwolnili mi głowę. Resztę uwolnili przy następnym rozcięciu. Usłyszałam odgłos zgniatanej gumy i zamykającej się metalowej bramy. Pazur światła przebijał się przez niższe warstwy bandaża, ale nie mogłam zobaczyć nic prócz własnego nosa, nie można lepiej tego określić. I usłyszałam inne brzęczenie, ale zanim zdążyłam się zaniepokoić, guma łącząca moje kostki z nadgarstkami pękła.

Nie czułam ulgi, tylko jeszcze gorszy ból, najmocniejszy od chwili, gdy się obudziłam. Nagłe rozciągnięcie mięśni było dla moich kończyn czymś porównywalnym z wykonaniem skoku z obrotem przez koziół. Krzyknęłam, a przynajmniej usiłowałam, choć z moich ust wydobyło się tylko zwierzęce skomlenie. Nowe brzęczenie i kostki nóg zostały rozdzielone. Poczulałam palce przyciskające mój lewy nadgarstek pod gumą i mylnie sądziłam, że rozwiążą mi także ręce. Ale to były jedynie środki ostrożności. „Upewnią się, czy dobrze się czuję, czy nic nie wymaga specjalnej uwagi”. Zmierzył mi puls, potem chwycił moje ramię i pociągnął. Usiłował mnie podnieść, ale, szanowny panie, to oczywiście niemożliwe, moje nogi zachowywały się niczym dwie protezy dopiero co zamocowane na kikutach.

Nastąpiła zmiana strategii, czyjaś ręka uwolniła moje ramię i chwyciła kosmyk na głowie. Zostałam uniesiona do góry za włosy. Taśma samoprzylepna na ustach dosłownie spuchła od moich krzyków. Usiłowałam się gorączkowo utrzymać na tych dwóch przedmiotach, które usiłowały odzyskać rolę nóg, w tej chwili drżących i czujących jedynie mrowienie. Kolejne pociągnięcie i ruszyłam, potykając się. Kiedy stryj Javier miał atak, który go częściowo sparaliżował, mówił, że najgorsze, czego można doświadczyć, to poczucie zbędności własnych nóg, Jak czegoś, czego mamy w nadmiarze”. Nie byłam sparaliżowana, ale czułam się tak, jakbym uczyła się chodzić. Ślizgałam się, potykałam, przewracałam na kolana i znów wstawałam, wszystko naraz, jak w komedii. Wreszcie moje stopy w skarpetkach zdołały się jakoś skoordynować, a ciągnięcie za włosy zelżało.

- Pozwól mi przejść, synu.

Przeszliśmy przez próg. Poznałam po zmianie światła na skraju bandaża. To uratowało mnie przed skręceniem kostki, bo wyczułam stopnie, zanim stanęłam na pierwszym z nich.

„Oczywiście, piwnica. Prowadzi mnie do piwnicy”.

Nie ułatwiał mi sprawy: sprowadzał mnie bez chwili odpoczynku, popychając i szarpiąc, zgiętą w pół z rękami skrępowanymi na plecach i zawiązanymi oczami. Nie było dla niego ważne, czy się nie poranię, czy sobie czegoś nie złamię; jak każdy typowy holokaustofil ogarnięty pożądaniem, wołał mnie mieć pod stałą kontrolą, niż dbać, by nic mi się nie stało.

Na końcowym odcinku, gdzie schody się spłaszczwały i zakręcały, straciłam równowagę i wówczas poczułam, że czyjeś ramię obejmuje mnie w talii: zależało mu zatem, żeby nic mi się nie stało. Szybko jednak znowu mną szarpnięto.

Intensywniejszy chłód, zapach medykamentów: to moje pierwsze wrażenie z piwnicy.

Silne uderzenie prawym udem o róg metalowego stołu - to drugie. Podskoczyłam i zawyłam z bólu, pociekły mi łzy i krople moczu. Odpowiedzią było kolejne silne szarpnięcie, ale po chwili zatrzymaliśmy się. Najwyraźniej to kolejna z jego wyrafinowanych technik, by zademonstrować swoją męskość i władzę, jaką ma nade mną: polegała na zmuszaniu mnie, żebym domyślała się, co mam robić, przy zerowej informacji. Tym razem musiałam zgadnąć, że chce, abym uklękła. Szarpnięcia, kuksańce, w końcu upadłam na kolana. Moje wilgotne ręce i stopy dotknęły ściany. Jakaś obręcz z lodowatego metalu zatrzaskała się na mojej mokrej od potu szyi i doszedł mnie odgłos mechanizmu zaciskowego gdzieś z tyłu. Nie mogłam usiąść ani stanąć, co mnie zdeprymowało, bo doskonale wiedziałam, w co po kilku godzinach zmienia się klęcząca osoba.

Ponowne sprawdzanie pulsu, teraz na szyi. Dolny brzeg bandaża odsunął się. Robak pod moim lewym okiem. Za plecami cienki błysk, trzask i bandaż opadł na dół.

Oślepiła mnie dojmująca biel, oczy łzawiły, ale twarz mężczyzny pochylającego się nade mną stawała się coraz wyraźniejsza.

O n.

- Witam - powiedział.

Żadne przeżycie nie może się równać ze spotkaniem z potworem.

Pomijam te policyjne zdjęcia, jakie wybierają media, starając się pokazać nam, jak przewrotnie albo jak normalnie na nich wygląda; liczy się poznanie go tu, w jego świecie, wśród należących do niego rzeczy, o centymetry od własnej twarzy.

Widziałam wiele potworów i bez względu na dzielące ich różnice wszyscy mają jedną cechę wspólną. Jest ona tak zwyczajna jak nos, usta albo oczy. Żaden aktor w żadnym filmie o psychopatach nie wiedział, jak to zagrać. To coś, czego nie da się naśladować.

Chodzi o to, że potwór n i g d y c i ę n i e w i d z i.

Może na ciebie patrzeć albo nie, siedzieć cicho albo nie, interesować się tobą albo cię lekceważyć, śmiać się z twoich żartów albo płakać razem z tobą. Nieważne, co robi lub gdzie kieruje swój wzrok: n i g d y c i ę n i e w i d z i. A kiedy ty przyglądasz się potworowi po raz pierwszy, właśnie ta cecha najbardziej rzuca się w oczy. Dla potwora jesteś n i e w i d z i a l n a.

Nie wiem, jakie są tego przyczyny. Nie jestem naukowcem. Gens zapewniał, że dzieje się tak dlatego, że potwory są całkowicie poddane własnemu psynomowi. Żyją do wewnątrz -

tak jakby miały oczy umiejscowione odwrotnie: źrenice zwrócone w głąb czaszki, a bezproduktywne białe gałki oczne wystające z oczodołów. To coś niezwykle dziwnego i za każdym razem, gdy widzę coś takiego, czuję się jak sparaliżowana, ponieważ zawsze sądziłam, że każdy, kto ma jakąś twarz, kto na ciebie patrzy, mówi do ciebie i uśmiecha się, to istota ludzka.

Ale są wyjątki.

Przyglądałam się twarzy mężczyzny mniej więcej przez sekundę i już wiedziałam. To był o n.

Cała reszta to banalne szczegóły: jakieś czterdzieści lat, sylwetka korpulentna, twarz kanciasta, wargi wąskie, włosy ciemnobrązowe. Podstarzały idol rocka albo wykładowca uniwersytecki, z tych co uwodzą studentki. Ubrany w czarne spodnie i koszulę, brązowe buty marki Camper. Na palcach lewej ręki - serdecznym i kciuku - dwie niewyszukane obrączki.

Gównu mnie obchodziło, na kogo wygląda. To był Widz.

I wyczuwałam jego pożądanie. Okrutne pożądanie, jakie czuł do mnie, porównywalne jedynie z pragnieniem zniszczenia go, jakie było moim udziałem.

Oboje, jedno głodne drugiego, taksowaliśmy się wzrokiem.

Wyciągnął rękę i zerwał mi taśmę samoprzylepną z ust. Potem przejechał między kneblem z gumy a moim policzkiem ostrzem noża o ząbkowanych krawędziach, którym przedtem rozciął bandaż. Był to jakiś rodzaj noża elektrycznego. Przyłożył płaskie ostrze do mojej twarzy, nie dotykając jej, nacisnął guzik, poczułam ruch powietrza i gumy pękły z trzaskiem.

Nie przełknęłam śliny. Moje usta były jałowe, wargi wysuszone i spierzchnięte, język przylepiony do podniebienia. Jęknęłam i odkaszlnęłam. Zobaczyłam nachyloną ku mnie plastikową butelkę i zaczęłam łapczywie pić, rozlewając część płynu na brodę i dzinsy. Woda była tak świeża, że smakowała jak pierwszy pocałunek z ukochanym. Jednocześnie wpiłam paznokcie w ścianę za plecami, aż zabolalo. „Nigdy nie pozwól, by zdobycz tobą manipulowała: jeżeli sprawia ci to przyjemność, postaraj się poczuć niekomfortowo”, radził

Gens.

Kiedy opróżniłam butelkę, Widz odsunął ją ode mnie i uśmiechnął się.

- Kim... pan jest? - wybełkotałam w roli ofiary.

- Och, wiesz dobrze - machnął upierścienioną dłonią - a ja wiem, kim jesteś ty, więc nie traćmy czasu. Zrobiłaś mi coś specjalnego, chcę wiedzieć, co to jest.

Wpatrywałam się w niego, mrugając powiekami przez kosmyki włosów. Odgarnął mi je z czoła delikatnym gestem. Drugą rękę włożył do kieszeni i wyjął elektroniczny identyfikator ze swoją fotografią. Udałam przerażenie.

- Nazywam się Juan Leman Godoy, firma, którą kieruję, to AZ-Sec. Mam zaledwie trzydziestu pracowników, ale jesteśmy liderami w dziedzinie bezpieczeństwa drugiego stopnia w Europie. Wiesz, co to znaczy? Wyjaśnię ci. Projektujemy software bezpieczeństwa informatycznego. Pracujemy z osobami prywatnymi i z organizacjami publicznymi, w tym także z hiszpańską policją i z Europol. Ja nie sprawdzam haseł dostępu do poufnych dokumentów, ja je w y m y ś l a m. Wiem dość dużo o przynętach, choć nie znam waszej tożsamości. Ale wiem, że ciebie przygotowano dla mnie - jego wąskie wargi ponownie rozciągnęły się w uśmiechu. - Przyjechałaś wyratować koleżanki? Żyją, są na dole, przywiązane do tokarki.

Wskazał głową zamknięte drzwi na drugim końcu pomieszczenia, przy schodach. Mój wyraz twarzy się nie zmienił, ale żołądek podszedł mi do gardła.

- Przypuszczam, że wiesz, do czego służy tokarka - ciągnął Widz - widziałaś przecież zdjęcia ofiar, a ja dodałem kilka drobiazgów. - Wyciągnął ramiona, jakby pokazywał dom gościowi. - Widzisz tę małą kamerę na monitorze? Tę, która miga? To czujnik zachowania.

Jest i drugi w tym wsporniku. Nagrywają cię. Nie wierzysz? Wiem, że potrzebny jest komputer kwantowy do wykrywania maski przynęty i nie omieszkać kiedyś się w taki zaopatrzyć. Ale w ł a m a ł e m s i ę do systemu Departamentu Psychologii Kryminalnej, od lat to robię, więc mogę się nim posługiwać jak własnym. Tokarkę tam na dole kontroluje inny komputer, który otrzymuje sygnały z pierwszego. Jeżeli zakładasz maskę, tokarka zostaje wprawiona w ruch i... - złożył obie dłonie przed moją twarzą, a potem je powoli rozłożył - dla twoich koleżanek to będzie jak balety rosyjskie: wystylizowane sylwetki, nogi rozsunięte. Wierzysz mi teraz?

Nie, nie wierzyłam mu. Nawet w części. Wiedziałam, że gra własną rolę, tę, która najlepiej wychodzi potworom: rolę skazanego o s z u s t a, manipulatora, Jagona nad Jagonami. Informacje,

jakimi dysponował, nie dowodziły niczego, a owe aparaty mogły tyleż być czujnikami zachowania, ile najzwyklejszymi kamerami na prąd zmienny.

Mimo wszystko nadal czułam przenikające mnie od wewnątrz zimno. Zrozumiałam, że on nie oczekuje, bym mu uwierzyła: chce igrać z moimi wątpliwościami, spożytkować je na własną korzyść.

Wpatrywałam się w niego bez słowa, ciężko oddychając.

- Ty i ja doskonale się zrozumiemy - powiedział. - Wyglądasz na inteligentną dziewczynę i od razu zrozumiesz układ: jeśli mi powiesz to, co chcę wiedzieć, zabiję was szybko. Ciebie i twoje koleżanki. Żadnych tokarek, bólu czy nadużyć: po prostu strzał w głowę. Przysięgam. Przynęty nie podniecają mnie, do niczego mi nie służą. Ale jak mi nie powiesz, postaram się utrzymać was przy życiu jak długo się da... Miesiąc, dwa na tokarce i zamienicie się w ośmiornice, z głową pośrodku ciała w postaci galarety. Mogę to zrobić. Ty wybierasz.

- Nie... nie wiem, o czym pan mówi... - wyszeptałam, trzymając się swojej roli.

- Proszę, przestań udawać. Powiedz, co mi zrobiłaś.

- Nic panu nie zrobiłam. Nie wiem, o czym pan mówi.

Widz mlasnął językiem. Wydawał się zawiedziony.

Chwycił nie bez trudności, jako że było mokre od potu, jedno z ramiączek mojej koszulki, to, które zsunęło się do połowy ręki, i na powrót delikatnie przesunął je na ramię, na ramiączko stanika. Jęknęłam, okazałam strach. Odezwał się łagodnie, nie zwracając uwagi na moją grę.

- Posłuchaj, wczoraj po południu, w środę, odebrałem syna ze szkoły - wskazał

chłopca, który siedział na stole, machając nogami, wciąż jeszcze w kurtce i bejsbolówce przyklepionej do dredów. - Miałem wracać do domu, ale zamiast tego zacząłem jeździć samochodem w kółko bez żadnego konkretnego celu. Nie zamierzałem wybierać, ale też nie wiedziałem, czego właściwie chcę. No i zobaczyłem cię przypadkiem, a przynajmniej tak początkowo myślałem, już po nocy, jak wjeżdżałaś do garażu. Zakręciłem na rondzie i o mało co nie zderzyłem się z innym wozem. Zapamiętałem numer domu. Potem sądziłem, że o tobie zapomniałem, i zająłem się kwestią porwania twojej koleżanki z jej własnego mieszkania. Już ją śledziłem przy innej okazji i wiedziałem, gdzie mieszka. Kiedy skończyłem, wróciłem do swojego madryckiego mieszkania i chociaż byłem zmęczony, włączyłem komputer i wszedłem na strony biura ewidencji ludności. Nie znalazłem cię wśród właścicieli, ale domyślałem się, że twój lokal służbowy jest wynajmowany. Sprawdziłem umowy najmu w bloku i znalazłem cię. Elena Fuentes, lat dwadzieścia pięć, telefonistka. Na tej podstawie wydobyłem resztę. Tej nocy prawie nie spałem, a kiedy zamykałem oczy, widziałem cię. Było oczywiste, że stanowisz p i e p r z o n ą p u ł a p k ę, ale musiałem się dowiedzieć, jak to zrobiłaś. Jak doprowadziłaś mnie do obsesji, choć prawie się nie pokazałaś, w ciągu zaledwie kilku sekund.

Umilkł na chwilę i pogładził mały nóż elektryczny. Teraz klęczał na podłodze, jak ja.

Jego przydługa perora guzik mnie obchodziła: stanowiła dowód oszałamiającego sukcesu techniki Gensa. Natomiast przytłaczała mnie, i nie mogłam usunąć jej z głowy, myśl, że p r a w d o p o d o b n i e Vera żyje nadal, przywiązana do tokarki, i że moje maski wprawia w ruch maszynę. Oczywiście, nawet jeżeli nie wiedział, że to moja siostra, miał

mnie czym szantażować. „Jak będzie do ciebie mówił, będzie się starał tobą manipulować -

powiedział Gens. - Doskonale posługuje się innymi; między jego celem a nim samym istnieją jedynie narzędzia”. Ale czy mogłam ryzykować? W tym stanie, w jakim byłam: na kolanach, z obręczą na szyi, Holokaust był łatwy. „Ale jeżeli Vera...” Oceńłam możliwość wykonania szybszej maski; w końcu było kilka takich, na które czujniki mogły nie zareagować, jak na przykład Agonia, oparta na technikach, którymi Jagon oszukuje i torturuje innych bohaterów Otella, ale nie zawsze się one udawały.

Widz chyba spostrzegł mój dylemat, bo uśmiechnął się.

- Rano byłem w podziemnym garażu w twoim bloku, zlokalizowałem twój samochód i umieściłem chip pod tylnym błotnikiem, dzięki któremu mogłem śledzić cię przez cały dzień na ekranie... Reszta była czekaniem. Wyszłaś w południe i pojechałaś autostradą na Estremadurę w kierunku strefy ewakuowanej po 9-N. Byłaś tam przez całe popołudnie.

Przypuszczałem, że pojechałaś potrenować, wiem, że wykorzystujecie opuszczone budynki do tego celu. Czekaliśmy wraz z synem na twoim parkingu, obaj głodni jak wilki, co, Pablo? -

Chłopiec przytaknął. - Byliśmy zmęczeni i zdenerwowani i przez chwilę sądziłem, że spędzisz noc poza domem, ale w końcu punkt na ekranie się poruszył. Worek i więzy to kwestia późniejsza. Chciałem, żebyś miała niewygodną podróż. - Nieoczekiwanie podniósł

ostrzy czubek noża i prześlizgnął nim po mojej twarzy. Odsunęłam głowę. - A teraz powiem ci, co myślę. Znam maski. Nie całkiem je rozumiem, ale czytałem dostatecznie dużo na ich temat... Ale to jest coś innego, prawda? To coś jak być pijanym albo palić opium. Nie podobasz mi się, nie jesteś w moim typie... Może inaczej ubrana mogłabyś nawet uchodzić za atrakcyjną, ale nigdy... nigdy, żeby do tego stopnia. Powiedz, co zrobiłaś.

Zaczęłam coś bełkotać, ale mój głos zanikał, przechodził w szept.

- Wiesz co? - powiedział. - Bardzo źle udajesz.

Przez chwilę patrzyłam na niego.

Z r ó b t o j e s z c z e r a z, d i e w o c z k a.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi - oznajmiłam twardo.

Widz westchnął.

- Twoje koleżanki czują się jeszcze dobrze... ale mogę powoli włączać tokarkę.

- Nie wiem, o jakich koleżankach pan mówi - odparłam tym samym tonem.

Skierował wzrok w jakiś punkt sufitu i przełożył nóż do drugiej ręki. Obserwowałam go, więc zdołałam uprzedzić jego ruch i odwrócić głowę, ale mimo wszystko uderzenie w szczękę było mocne. Oboje krzyknęliśmy. Odwracając głowę, poczułam ucisk obręczy na szyi i wróciłam do poprzedniej pozycji, żeby się nie udusić. Poczulałam krew spływającą z kącików ust.

- Coś takiego. Przysłali najsilniejszą z drużyny - powiedział, rozcierając sobie kostki.

To znaczy wydaje mi się, że tak powiedział, bo uderzenie częściowo mnie ogłuszyło. - No dobrze. - Wstał i zwrócił się do chłopca. - Pablo, chcesz już jeść?

- Tak.

- Pójdę wyjąć rzeczy z samochodu. Umyj ręce. - Skierował się ku schodom i zaczął wchodzić na górę.

24

Chłopiec został przez chwilę po odejściu Widza, patrząc na schody.

P a b l o.

Skupiłam się na jego wyglądzie. Niebieska czapka, fioletowa kurtka, dzinsy, żółte buty, brązowe dredy, kolczyk w wardze. Wielobarwna papuga o wyglądzie zamyślnego anioła. Drogie ubranie, samotne życie, zbyt dużo pobłażania, introwertyk. Oceniałam go na jakieś dziesięć, jedenaście lat, tak jak przypuszczał Gens. Zbyt blada cera. „Nie ogląda światła słonecznego”. Wyobraziłam go sobie w zamkniętych piwnicach, w świetle lamp, zajętego...

no właśnie: czym? Ze zgrozą myślałam, co mógł robić albo na co patrzył.

Postanowiłam go wysondować. Przełknęłam tę niewielką ilość śliny, jaką miałam w buzi.

- Proszę... - zaczęłam. - Pomóż mi...

Spojrzał na mnie i nie spuszczał ze mnie wzroku, gdy powtórzyłam prośbę, co było dobrym sygnałem. Przynajmniej nie unikał mnie. Ale w jego oczach nie kryły się żadne emocje. Z jego mruganiem powiekami było tak, jakby wrzucić do stawu dwa kamienie: plusk, wir, a potem nic.

Ważne było wiedzieć, czy da się nim manipulować. Oczywiście bez stosowania masek. Dziecięcy psynom jest niestabilny i nawet najprostsze maski są w przypadku dzieci nieskuteczne. Może któraś, jak na przykład Destrukcja, mogłaby na nie w p ł y n ą ć, o ile zastosuje się dokładne wskazówki techniczne, ale nie mogłam ryzykować próby. Groźba Widza, prawdziwa czy nie, skutecznie mnie powstrzymywała.

Musiałam spróbować rozpoznać, co kryje się za tymi wielkimi czarnymi oczami.

Odezwałam się spokojnym głosem. Postanowiłam zwracać się do niego po imieniu.

- Pablo... Masz na imię Pablo, prawda?

Zsunął się ze stołu i odszedł bez odpowiedzi. To także mi się spodobało. „Gra jakąś rolę”, pomyślałam. Stara się mnie zignorować, ale ta pierwsza próba dawała nadzieję.

Podążyłam za nim wzrokiem. Przystanął przy nieskazitelnie czystej umywalce, jakby żywcem przeniesionej z laboratorium, i stał odwrócony do mnie tyłem, a ja słyszałam odgłosy z kranu. Potem zrobił coś typowego dla dzieci: zdjął kurtkę p o umyciu się, jakby zdał sobie sprawę, że może sobie zmoczyć rękawy. Pod spodem miał koszulę w równie jaskrawych kolorach, coś między pomarańczowym a lila.

Wykorzystałam chwilę, kiedy się mył, żeby rozejrzeć się wokół i mniej więcej zorientować, gdzie jestem.

Miejsce nie wywoływało żadnych skojarzeń z „piwnicą”. Był to obszerny, prostokątny pokój, z klimatyzacją, wyposażony w alarm przeciwpożarowy. Przykuto mnie do jednej z dłuższych ścian, przeciwległej do schodów i do zamkniętych drzwi drugiej piwnicy. Lampy o regulowanym natężeniu światła odbijały się w dwóch stołach, z których jeden przypominał

stół do autopsji ze względu na podziurkowaną powierzchnię i rurkę odprowadzającą. Przy obu znajdowały się metalowe wieszaki z butlami na kroplówki. Na ścianach oszklone półki z buteleczkami. Kompletne wyposażenie do utrzymania zabawki przy życiu - dla rozrywki.

Wszystko krystalicznie czyste, surowe. Biel, modny kolor: białe regały z narzędziami o białych trzonkach, białe pojemniki, białe pokrowce. Nawet ekrany, na których miały niby być zainstalowane czujniki skierowane na mnie, były białe. Przypominałam sobie niespodziewanie stary i głupi dowcip, który bardzo bawił mnie i Verę, kiedy opowiadał go tata: biały człowiek spada z białego balkonu na biały chodnik; przyjeżdża biały ambulans, który wiezie go do białego szpitala. Wchodzi lekarz w zielonym fartuchu i nagle mówi: „O, cholera, pomyliłem dowcip”. Chociaż znałyśmy końcówkę, nigdy nie mogłyśmy przestać się śmiać. Cztero- czy pięcioletnia Vera klaskała w rączki, ubawiona tonem, jakim odzywał się tata, gdy cytował lekarza: „O, cholera, pomyliłem dowcip”.

„Mroczny człowiek i mroczne dziecko przynoszą cię do białego pokoju...” Umywszy się, chłopiec wyciągnął z kurtki przenośną konsolę do gier. Nie byłam specjalistką od gier wirtualnych i nie miałam pojęcia, w co lubi grać. Szkoda. Otworzył

konsolę, nałożył okulary, nie zdejmując czapki, i jego głowa wyglądała teraz jak łąpek muchy. W czarnych szklach odbijały się światła. Nie spodobało mi się to, bo oddalało go od mojej obecności. Na szczęście chyba szybko się znudził, a może obawiał się, że ojciec niebawem zejdzie i go przyłapie, zdjął więc okulary, schował je i zamknął konsolę.

Powtórzyłam swoją prośbę.

Ku memu zdumieniu tym razem spokojnie odpowiedział, patrząc na mnie wielkimi oczami:

- Nie mogę ci pomóc. Boję się taty.

Ta odpowiedź była tak nieoczekiwana, że aż zaniemówiłam. Skinęłam głową i szukałam jakiejś odpowiedzi, gdy usłyszałam kroki na schodach.

Widz wszedł, niosąc kartonowe pudło zasłaniające mu twarz.

Domyślałam się, że to jedno z tych, które wiozł w bagażniku, to z „częściami zamiennymi”. Na wierzchu rzucił rozliczne torby z supermarketu. Postawił pudło na podziurkowanym stole. Wyjmował z niego i ustawiał na drugim stole wszystkie zakupy: chipsy, hermetycznie zapakowane kanapki, suszone owoce, słodczyce, przeróżne puszki z napojami. Upuścił jedną z puszek i kiedy się schylił, by ją podnieść, zauważyłam, że łysieje na czubku głowy. Chłopiec podszedł jak psiak, który liczy, że ktoś go nakarmi.

- Nie mieli pepsi, niestety - odezwał się Widz przepaszającym tonem, podając chłopcu inny napój.

Jedli i pili o kilka metrów ode mnie, Widz oparty o stół, chłopiec na stojąco... Od czasu do czasu mężczyzna mówił coś banalnego, a chłopiec potakująco kiwał głową:

„migdały są bardzo dobre i o wiele tańsze” niż te, które zwykle kupowali „koszula Pabla jest poplamiona pasztetem” i trzeba ją „oczyścić”. Wszystko rozwijało się w sposób tak naturalny, że sprawiało wrażenie wcześniej przygotowanego spektaklu, który miał pokazać mnie, na kolanach i przykutej do ściany, że moja obecność w ogóle ich nie obchodzi.

Postanowiłam zmienić taktykę. Przypominałam sobie, co mówił nam Gens o *Królu Learze*. Dumny król rozkazuje swoim trzem córkom opisać mu, jak bardzo go kochają, zaznaczając, że ta, która lepiej opowie, dostanie większy posąg. Dwie pierwsze wychwalają ojca do niemożliwości, trzecia zaś, najmłodsza, Kordelia, która najprawdopodobniej kocha go najbardziej, nie mówi nic. Gens wyjaśniał: „Lear, oburzony jej milczeniem, wydziedzicza ją, ale potem przez całą sztukę jej szuka. Właśnie z powodu milczenia, właśnie dlatego że reprezentuje Enigmę, Kordelia staje się o b s e s j ą Leara, tą, która naprawdę go pociąga, chwyta i na koniec n i s z c z y”.

W tej późnej sztuce Szekspir zawarł szyfr do maski Destrukcji: milczeć i poświęcić się bez udawania. Nie chciałam grać żadnej maski, chciałam natomiast wykorzystać elementy jej zasadniczej budowy. Na początku uczepiłam się mojej roli: błagałam i jęczałam, podczas gdy Widz z synem jedli. W pewnej chwili przestałam, żeby moje milczenie stało się dla nich wyzwaniem. To sprawiło, że Widz, zaintrygowany, kilkakrotnie na mnie spojrział.

Odwzajemniłam to spojrzenie, okazując, że się tym wszystkim przejmuję, nie w nadmiarze jednak. Jednocześnie rozcierałam koniuszkami języka kącik ust, krwawiący po uderzeniu, chciałam wyglądać na osobę dwuznaczną, a nie łatwą. Bez względu na to, na ile wiedział -

czy też zdawało mu się, że wie - iż jestem przynętą, musiałam mu pokazać, że droga wiodąca ku mnie jest kręta. Jeżeli rzeczywiście Vera nadal żyje, jeżeli jej życie zależy od tego, co zrobię, powinnam siedzieć cicho i przestać udawać, stać się obsesyjnie nawracającą enigmą.

Czym jestem? Co myślę? Należało go pomęczyć tymi pytaniami.

- Pozbieraj to wszystko, Pablo. Ja zejść na dół po rzeczy.

Wprowadził kod bezpieczeństwa i zniknął w drzwiach w głębi pomieszczenia, a ja skoncentrowałam się na działaniu. Bolały mnie kolana z powodu pozycji, w jakiej się znajdowałam, i prawe udo, którym uderzyłam o stół; pewnie też krwawiło. Policzek przy kąciku wargi puchł, jakbym miała w ustach kartofel, czułam pragnienie, głód, a także ochotę, żeby się wysiusiać. Zestawiłam te wszystkie fakty, żeby je przekuć na emocje. Uciążliwości fizyczne przerzuciłam w brzmienie głosu.

- Pablo.

Chłopiec zbierał puste opakowania po kanapkach. Spojrzał na mnie.

- Pablo, jak mi pomożesz, to ja pomogę tobie, okej?

Brak odpowiedzi. Rzuciłam spojrzenie na drzwi w głębi.

Widz pozostawił je uchylone, zszedłszy po schodach do drugiej piwnicy, słyszałam jego kroki. Ile czasu minie, nim wróci z „rzeczami”? Nie sądziłam, że wiele, może zresztą śledzą mnie jego ukryte kamery. Nie miałam nic do stracenia.

Gens powiedział przecież: „Chłopiec może stanowić klucz. Nieprawdopodobne, żeby cię uznał za współniczkę, ale mimo to postaraj się go urobić”.

Pablo nadal sprzątał i wyrzucał śmieci do metalowego, również białego, kosza.

Upuścił puszkę, jak niedawno ojciec, ale powtórzył cierpliwie operację i okazał zadowolenie dopiero wtedy, gdy pokrywa kosza zamknęła się całkiem. „Obsesyjnie dokładny przy swoich zajęciach”, pomyślałam. Spróbowałam odnieść się do jego praktyczności:

- Jeżeli mi pomożesz, obiecuję, że twój tata nie zrobi ci żadnej krzywdy. Będzie nas dwoje.

- Nie możemy pokonać taty - odezwał się nagle. - Jest bardzo silny.

- Ale możemy uciec.

- Złapie nas. Tata dużo biega.

- Znasz to miejsce. Ukryjemy się na wsi.

- Nie, ja nie umiem dobrze się chować.

Naciskać dalej byłoby błędem. Zauważyłam, że czymś się bawi, i zmieniłam ton.

- Co to jest?

Wzruszył ramionami. Była to mała zabawka, którą wyjął z przezroczystego opakowania i która prawdopodobnie została dołączona do chipsów albo słodyczy: czarna dynia na giętkiej ręczce. Jak się potrząsało ręczką, oczy w dyni zaczynały sypać iskry i rozlegało się wycie. Uświadomiłam sobie, że przecież za parę dni Halloween. Potrząsnąwszy kilka razy, chłopiec chyba się znudził i zgiął ręczkę, jakby chciał ją złamać. Zauważyłam, że to nowe zajęcie całkiem go pochłonęło, i postanowiłam to wykorzystać, by zdobyć jego zaufanie.

- Tak tego nie złamiesz - powiedziałam - za bardzo się wygina.

- Koledze z klasy się udało - oznajmił - Naru. To Hindus, nie Indianin.

- Gratulacje dla Naru. Ale po co chcesz to zrobić? Chcesz zdjąć dynię?

- Nie, chcę to złamać.

Przycisnął ręczkę żółtym butem i pociągnął, ale bez skutku. Podniósł zabawkę do ust.

Zauważyłam, że na stole bez dziurek leży ten elektryczny nóż, ale czujnie o nim nie wspomniałam. Pablo raczej nie należał do dzieci, które zapominają posłużyć się czymś najprostszym, jeśli trzeba. Staralam się myśleć jak on, żeby mu jakoś pomóc.

- Posłuchaj, jeżeli pociągniesz mocniej, uszkodzisz sobie zęby. Ten plastik jest mocniejszy niż guma do żucia. Zrób lepiej tak: zagryź tę ręczkę i zacznij ją skręcać. Skręć ją -

chłopiec posłusznie wykonywał moje polecenia. - Dobrze. A teraz ciągnij raz w jedną stronę, raz w drugą...

- Wszystko jedno - powiedział w końcu i popatrzył na pogryziony plastik. Potem wrzucił zabawkę do kosza. Dynia trochę powyła i ucichła.

- Pablo, wiesz, jak się otwiera tę obręcz? - uniosłam podbródek, żeby popatrzył.

- Tak. Mogę ją otworzyć. To łatwe.

- A potem będziesz mógł rozciąć więzy na rękach tym... - wskazałam ruchem głowy nóż elektryczny. - Co ty na to? Będziesz mógł to zrobić, prawda?

Chyba się zastanawiał. Wymuszona pozycja - na kolanach - zaczynała mi doskwierać.

Przerzucałam ciężar ciała z jednego kolana na drugie.

- Jesteś jedną z tych pułapek? - zapytał, spoglądając najpierw na nóż, a potem na mnie.

- Nie, Pablo, nie jestem pułapką.

- Jak ci pomogę, tata pójdzie do więzienia.

Myślałam gorączkowo.

- Nie, pójdzie do szpitala. Tam go wyleczą.

- To tata jest chory? - Wyraz twarzy pod niebieską czapką nie zmienił się.

- No tak, najpierw trzeba będzie go przebadać, prawda? Może okaże się, że nie, ale trzeba to sprawdzić. Jemu też należy pomóc... Nie chcesz przecież, żeby dalej robił to, co robi, prawda? - Kątem oka spoglądałam na drzwi w głębi, czujna na każdy szmer.

- A co robi?

- To, co robi... co robi dziewczynom...

- Nie jesteście dziewczynami, tylko kurwami.

W jego tonie nie było nawet śladu zniecierpliwienia, zabrzmiało to tak, jakbym źle wymówiła jakieś słowo, a on mnie poprawił. Zignorowałam ten komentarz i uśmiechnęłam się.

- Pablo, jeżeli będę wolna, zanim tata wróci, przekonam go, że ma iść do szpitala.

- A jak nie zechce?

- To zrobię, co każe - kłamstwa musiały być proste i należało nie dawać mu czasu na zastanowienie.

- To co, spróbujesz mnie uwolnić?

Spojrzenie na nóż. Potem na mnie.

Wyteżałam słuch, ale panowała cisza. Drzwi, w których zniknął Widz, wydawały się nieruchome.

Chłopiec wziął nóż i pochylił się nade mną.

- Dobrze, Pablo - zachęciłam go. - Nie, poczekaj... najpierw zdejmij mi tę obręcz.

- Nie, najpierw więzy - przytrzymał mi ręce i pociągnął do tyłu i w górę, przez co napiął się łańcuch przytrzymujący obręcz. Rozdzieliłam, na ile mogłam, ręce, żeby dać mu lepszy dostęp do więzów, ale Pablo przytrzymał mój mały palec lewej ręki, odgiął go, doszedł

mnie odgłos wybuchającego kapiszonu i nóż elektryczny dotknął palca.

Mój krzyk stłumiła obręcz, gdyż na niespodziewany ból zareagowałam wychyleniem się do przodu. Przez ułamek sekundy dusiłam się, odzyskałam oddech, dopiero gdy odgięłam się do tyłu.

Wiedziałam, że jak zemdleję, to się uduszę, co mogło się w każdej chwili zdarzyć, bo krew odpływała mi z głowy, brocząc z kikuta, i choć jej nie widziałam, czułam, jak ciepłe krople plamą mi dzinsy. Zaczęłam widzieć wszystko jak przez mgłę i nie mogłam się utrzymać na kolanach z uniesionym korpusem. Obręcz zaczynała mnie dusić.

Coś uderzyło mnie w policzek. Mój mały palec. Chłopiec rzucił nim we mnie.

- Umieraj - powiedział beznamiętnie.

Miałam ochotę posłusznie wykonać polecenie. Było mi bardziej żal Very niż siebie i pomyślałam o niej przelotnie, zamykając oczy.

Wówczas jakiś cień przesłonił światło i znalazłam się na podłodze, z lewą ręką uniesioną do góry. Widz pochylał się, śmiał, bił brawo.

*

Krzyk. Otworzyłam oczy. Zobaczyłam krzyż.

Był ogromny, uciskał moje prawe oko. Poruszyłam głową i zmienił się w skrzydło.

Muskało moje rzęsy, drapało szorstkim brzegiem. Były to sznury. Czułam je także w ustach, chociaż mogłam przez nie wyciągnąć język. Krępowwały mi twarz, związane w supeł na karku.

„K r ę p u j e i m t w a r z e”.

Kręciło mi się w głowie, byłam złana potem. Z miejsca, gdzie się znajdowałam, widziałam biały kosz na śmieci z dynią wystającą spod pokrywy, czarną, szyderczą.

Wywnioskowałam z tego, że nie przenieśli mnie gdzie indziej. Natomiast zmieniła się moja sytuacja.

Leżałam na boku na podłodze i szybko zdałam sobie sprawę, że jestem zupełnie naga.

Związali mnie ponownie, jak przedtem w bagażniku, łącząc kostki z nadgarstkami, tyle że teraz sznury były cieńsze. Gdy poruszyłam ręką, poczułam coś wokół małego palca, rodzaj utwardzonego opatrunku. Przypomniałam sobie, że palec mi amputowano. Nie czułam silnego bólu, przypuszczałam, że to na skutek jakiegoś znieczulenia. Ile krwi straciłam?

Miałam koszmarne pragnienie, czułam, że skóra lepi mi się od potu i pewnie od zaschłej krwi.

Krzyk się powtórzył, a raczej pisk, rozpaczliwy, ogłuszający. Jęknęłam, gdyż niemal pękały mi bębenki. Tym razem nie mogło chodzić o żadną zabawkę: to był krzyk żywej istoty, cierpiącej do granic możliwości. Pomyślałam o Verze i poruszyłam się mimo więzów.

Przynieśli ją do mojej piwnicy? Torturują ją w mojej obecności?

Próbowałam wykręcić głowę i rozejrzeć się, ale po wyczerpującym wysiłku zdołałam jedynie dojrzeć nogi pierwszego stołu. Lampy pod sufitem oślepiały mnie.

Dwie małe łapy pokryte gładką skórą, teraz poplamioną krwią, zatrzymały się o pół

metra od mojej głowy. Coś upadło obok kosza na śmieci, uderzyło w niego i przez chwilę toczyło się

po posadzce. Usłyszałam głos chłopca.

- Zrobił kupę.

Zamarłam. Zapomniałam prawie o własnym bólu i nawet lęk o Verę przeszedł na drugi plan. Widziałam w życiu wiele okrucieństw, ale to, co ujrzałam, zrobiło na mnie wrażenie, którego nie podejmuję się opisywać.

To był szczeniak. Chyba labrador, trudno to było stwierdzić, nawet gdybym znała się na psich rasach. Nikt nie byłby w stanie określić na pierwszy rzut oka rasy tego tłumoczek o ciemnej sierści, zdeformowanego w niemiłosierny sposób, z pociętymi i obandażowanymi nogami i oczami jak dwa purpurowe kalafiory. Ale przeraziły mnie nie tyle rany, dawne czy świeże, co ten wyraz poddania się, rezygnacji, pozostania tam, gdzie go ciśnięto, jak worek, puchnący przy każdym oddechu i jęczący w agonii, która zdawała się nie mieć końca.

Wówczas chłopiec się pochylił. Miał na sobie szorty i koszulkę na ramiączkach z numerem jakiegoś koszykarza na plecach, a na głowie nadal czapkę z daszkiem. Jego ubranie było splamione krwią, ręce również. Wziął psa z obrzydzeniem i zniknął z mojego pola widzenia. Usłyszałam kilka skomleń, potem nic.

Po chwili światło na suficie zniknęło znowu. Spojrzałam w górę: sylwetka z długimi dreadami zdawała się jak nie z tego świata.

Zimny strumień spadł na moją twarz, zamrugałam powiekami. Pomyślałam, że to mocz albo kwas, ale to była woda.

- Pij.

Miałam straszliwe pragnienie i chciwie wyciągnęłam głowę, ale wtedy strumień wody się przemieścił. Wyciągnęłam szyję, a płyn znalazł się poza moim zasięgiem.

- Pij - powtórzył.

Woda była o krok ode mnie. Wykręciłam ciało, prawie wbijając się w więzy, i niemal krzyknęłam, gdy znalazłam się w pozycji na brzuchu, z piersiami rozplaszczonymi na lodowatej posadzce. Czołgałam się milimetr po milimetrze. Moje skrępowane kostki i nadgarstki kołysały się w powietrzu, a szorstka posadzka raniła sutki.

„Ruszaj się. Pij” - jedyne, co słyszałam, raz za razem, i dźwięk wody lejącej się o centymetry od mojej twarzy. Zdołałam trochę wypić, zlizując podłogę i chwytając krople, które spadały blisko, ale na koniec wyczerpana zrezygnowałam.

Wtedy woda przestała ciec i nieoczekiwanie mała i zimna ręka oparła się o mój policzek i jakiś przedmiot znalazł się w moim prawym uchu. Mógł to być szpikulec. Jego ostry koniec znalazł się w środku i zatrzymał tuż przy bębenu. Strach mnie sparaliżował.

Twarz chłopca przesłoniła mi cały świat: niesamowity blask uważnych oczu. Puste, nic

niewyrażające spojrzenie, ani śladu, że go to bawi.

- Rusz się albo ci to wbiję.

Twarz oddaliła się, ale szpikulec tkwił nadal w moim uchu. Woda znów zaczęła lecieć i nie pozostało mi nic innego, jak skręcać się niczym opętana. Nagle pojęłam, czego chłopiec chce, i starałam się to wykonać. Chciał tego, czego mogło chcieć każde dziecko: bawić się.

Zabawiał się ze mną tak samo jak wcześniej z psem i obciąłby mi drugi palec albo wbił

szpikulec w ucho, jeżeli to miałyby go rozbawić bardziej niż moje wygibasy. Nie miałam dosięgnąć wody, miałam go rozbawić. Tego oczekiwał od zabawki z krwi i kości, którą się dla niego stałam. Więc nie próbowałam pić ani czołgać się naprawdę, tylko o d g r y w a ć to. Oferowałam mu taki teatr chrząknięć, wyciągniętego języka i spazmów na podłodze, na jaki chciał patrzeć, i po chwili stracił zainteresowanie, wyjął szpikulec i poszedł sobie.

Pragnienie nie minęło, ale ucho miałam całe.

Starałam się skoncentrować podczas przerwy. Każdy oddech wiele mnie kosztował w pozycji, w jakiej leżałam, bo gdy nabierałam powietrza, poruszały się moje plecy, napinając bardziej sznury łączące kostki z nadgarstkami. Odkryłam, że jeśli zrobię wysiłek i wciągnę brzuch, lepiej napełnię płuca. Serce mi biło, jakby jego puls tryskał z posadzki. Wydawało mi się, że nie minęło wiele czasu od chwili, gdy wniesiono mnie do piwnicy. Skurcze i ogłuszenie nie były nadmierne, a znieczulenie, czy cokolwiek to było, usuwało ból po amputacji palca. To skłaniało mnie ku myśli, że musiało minąć zaledwie kilka godzin. Byłby to więc piątek rano, najwyżej. Wyobraziłam sobie, że chłopiec i ojciec poszli się chwilę przespać, zostawiając mnie tutaj, chłopiec obudził się wcześniej i zaczął się bawić z psem. W

każdym razie tatuś niebawem przyjdzie.

Fakt, że Widz przybiegł z drugiej piwnicy w samą porę, by powstrzymać krwotok i obandażować mi rękę, nie dowodził, że mnie obserwował, ale istniała taka możliwość: czujniki i zwykłe kamery. Potem mnie rozebrał i skrępował sznurami. Nie przypuszczałam, że zostałam wykorzystana seksualnie, gdy spałam: raczej rozebrał mnie po to, żeby zrobić ze mnie zdegradowaną materię, którą niebawem zniszczy. Czulałam się brudna, cuchnęłam potem, moczem i krwią, co podkreślało mój wygląd zwierzęcia w rzeźni, gotowego na ubój. Który z nich dwóch zacznie? On? Chłopiec?

Skłęsam się w duchu za błąd wobec chłopca. Starałam się go oswoić w sposób r a c j o n a l n y, nie pojmując, że to całkowicie poza moim zasięgiem. De facto to on mnie oszukał. Może w szkole albo przy ojcu zachowywał się wedle obowiązujących reguł, ale wobec mnie, podobnie jak wobec szczeniaka, był c z y s t y m p s y n o m e m. „Ślepą materią”, powiedziałyby Gens, stworzeniem przepełnionym niczym niepowstrzymanym pożądaniem. Ze mną doszedłby tam, gdzie kazałaby mu pójść przyjemność, i nic we mnie by go nie powstrzymało: pokaleczyłby mnie, posiekał, przepuścił przez maszynkę, przeorał moje ciało jak termit, aż by się nasycił. Nie dało się z nim nic zrobić na płaszczyźnie ludzkiej. Jego nieszczęsne krótkie życie u boku Widza przekształciło go w coś takiego. Powinnam była to wiedzieć.

Popełniłam poważny błąd, zdenerwowana obawami o Verę, i drogo za to zapłaciłam.

Rozważałam, co mi pozostało. Nic nie przychodziło mi do głowy. Gens mnie ostrzegł: „Od chwili, gdy cię rozbierze i skrępuje ci twarz, zacznie się odliczanie.

Możliwości, że nim zawładniesz, będą od tej chwili minimalne”. Oczywiście, zarówno Gens, jak i ja zakładaliśmy, że będzie m o ż l i w e grać maski i, zgodnie z tym, przygotowałam się na Widza w jedyny sposób, w jaki umiała to zrobić przynęta. Ale nie wyczułam jego podstępów. Spodziewałam się znaleźć siostrę, żywą lub martwą, a nie być narażona na szantaż z czujnikami, prawdziwymi czy też nie. To mnie zmyliło, to krępowało mnie bardziej niż same więzy. Byłam niemal pewna, że Widz kłamie, że jest niemożliwością, aby jego kamery wyłowiły szybką maskę. I jeżeli chciałam liczyć na jakąś minimalną możliwość wyratowania Very i utrzymania się przy życiu, musiałam nastawić się, że prędzej czy później zagram którąś maskę.

Potrzebowałam jednak czasu i spokoju, aby podjąć decyzję, a wiedziałam, że Widz nie zamierza mi ich ofiarować.

25

Nie słyszałam, jak wszedł. Chłopiec puścił ostrego rocka.

- Wyłącz to - odezwał się Widz.

Nagła cisza przeszkadzała mi tak samo jak hałas. Na tym etapie już mało co mi nie przeszkadzało.

- Napoiłeś? - Przez chwilę nie wiedziałam, czy chodzi o szczeniaka, czy o mnie.

Nie było odpowiedzi. Widz powtórzył pytanie i chłopiec odparł „tak”.

- Odpowiadaj, jak cię pytam, Pablo.

Leżałam nadal twarzą do posadzki, podtrzymując sznury łączące kostki z nadgarstkami, żeby złagodzić napięcie. Kiedy się męczyłam, starałam się napinać mięśnie nóg. Ból po uciętym palcu był jak głodny pies, który stara się uwolnić. Wszystko wyglądało cholernie źle, ale wiedziałam, że najgorsze jeszcze przede mną.

Poczułam dotyk jego palców i zapragnęłam, żeby moja skóra była kwasem i spaliła go. Zmierzył mi puls na szyi, sprawdził bandaż i poczułam ukłucie w prawe ramię. Zapewne jakiś rodzaj podskórnego środka przeciwbólowego. Widz nie chciał, żebym zemdląła, zanim rozpocznie się przedstawienie. Dostrzegałam jedynie jego wsparte o posadzkę kolano w czarnych spodniach, nieskazitelnie czystych i świeżo wyprasowanych. Wyczułam zapach męskiej wody toaletowej. Nagle pociągnął mnie za ramię i ułożył na boku. Jęknęłam.

Poczułam w ustach, między więzami, plastikową rurkę. Wypiłam wszystko, co mogłam.

Część wody zwymiotowałam. Widz był jakąś niewyraźną sylwetką w świetle lamp.

- Odpoczęła pani? - Zamknął butelkę korkiem. - Jest pani głodna? Czy coś możemy dla pani zrobić?

Na żadne z tych pytań nie oczekiwał odpowiedzi. Zauważyłam natomiast, że od czasu do czasu oglądał się do tyłu i nieco odsuwał. „Upewnia się, czy nie zasłania czujników”, pomyślałam.

Usłyszałam skomlenie, teraz słabe, i srogi tatuś podniósł głowę.

- Zabierz psa na dół, Pablo.

- Nie mogę trzymać go tutaj?

- Słyszałeś, co powiedziałem. I weź prysznic, przebierz się i włóż buty.

Zapadła pełna napięcia cisza, przerwana przez coś, co stuknęło o stół, za Widzem, i potoczyło się aż do brzegu: chłopiec, z pewnością zirytowany, rzucił nóż elektryczny, który trzymał w ręku, zanim odszedł. Jego ojciec westchnął. Znowu na mnie popatrzył i uśmiechnął

się. Wyglądał, jakby przepraszał sąsiadkę za zachowanie syna.

- Wyznam ci, że czasami sam się go boję - powiedział. - To bardzo mądry chłopiec, ale żyje we własnym świecie. Przypuszczam, że to cena, jaką musiałem zapłacić za poczucie bezpieczeństwa. Przekonałem jego matkę, w Brukseli... Wiesz, że wiele lat tam mieszkałem?

Pracowałem jako wykładowca informatyki, tworząc jednocześnie własną firmę ubezpieczeniową... Była studentką, Amerykanką z pochodzenia. Przekonałem ją, że powinniśmy mieć dziecko. Potem ją usunąłem. Potrzebowałem dziecka. Czytałem wiele na wasz temat i wiedziałem, że dziecko będzie doskonałą obroną. Pułapka za pułapkę, jak sądzę.

Wy oszukujecie, to i ja oszukuję. Logiczne.

Mówiąc, cały czas mnie dotykał: odgarniał mi włosy z czoła, gładził piersi, pupę albo uda. Drugą ręką masował się między nogami. Był w czystej fioletowej koszuli i zamszowych butach.

- Nie uwierzysz. Wiesz, co zmieniło moje życie? Dzień 9-N. Do tej pory moja firma była niewielka, prawie rodzinna, ale po wybuchu bomby atomowej w Madrycie rządy zaczęły prosić o pomoc wszystkich z naszej branży. Jestem Hiszpanem, więc uznali, że będę idealny, żeby zapewnić bezpieczeństwo. To 9-N przywiodło mnie z powrotem do Hiszpanii, tak. -

Uśmiechnął się, jakby wierząc, że pójdę za jego przykładem. - Potem odczekałem, aż Pablo skończy jedenaście lat, żeby zacząć na serio. Poczekaj, zobaczę, jak to wygląda.

Odwrócił mnie znowu na brzuch, podnosząc za oba ramiona. Zajrzał pod bandaż.

Może mi go zmieniał, nie wiem, cała ta część ciała była jakby pozbawiona czucia. Mimo wszystko bolało mnie. Mruknęłam coś przez knebel. A on mówił dalej.

- Nie życzyłem sobie przede wszystkim, żeby ktokolwiek mnie oszukiwał. Macie władzę. Jesteście

wiedźmami. Posługujecie się psychologią, jak wcześniej miksturami magicznymi. Wiem, że wiele podobnych tobie krąży po Madrycie, czyhając na mnie.

Czasami wydawało mi się, że spotykam taką, i wpadłem w istną obsesję, nie mogłem spać.

Ale zawsze pozwalałem, by to Pablo dokonywał wyboru. Jego nie oszukacie. Aż do chwili gdy zobaczyłem ciebie.

I nagle już wiedziałam: bał się mnie o wiele bardziej niż ja jego. Działo się tak dlatego, że pożądał mnie jak nikogo wcześniej. Technika Gensa utorowała sobie drogę w jego psynomie niczym wezbrana rzeka, porywając ze sobą wszystko, obalając jego wypracowane techniki obrony, a nawet racjonalną wiarę w syna.

- Niemal przez całe życie to robię - ciągnął. - Nie tylko kobietom, ale przede wszystkim kobietom. W wielu miastach Europy. Kiedy odkryłem, że da się wymazywać ślady i zmieniać raporty przy użyciu zwykłego komputera, mogłem się temu poświęcić w całości, powiedzmy. Jedyna różnica, że teraz stałem się nagle sławny, bo robię to w jednym i tym samym mieście i zacząłem posługiwać się Pablem. Ty sądzisz, że jestem potworem, a ja to rozumiem. Ale pytam cię: czy to wszystko nie zawiera się w tym, co nazywacie

„psynomem”? Jeżeli zrobiłem tylko to, do czego wy, przynęty czy nie przynęty, nakłaniacie mnie, to kto jest temu winien? Jeżeli przywiozłem cię tutaj, dlatego że to t y s a m a mnie skusiłaś, to kto jest temu winien? Czy mogę przestać robić to, co robię? Kiedyś w Brukseli porwałem niemieckiego technika psychologii i zmusiłem go, żeby mi powiedział, jaką mam filię. Spodobała mi się nazwa: holokaustofil. Więc nie mogę zrobić nic przeciwko temu.

Holokaustofil - oto czym jestem. W dawnych czasach psychologia stwierdzała, że jesteśmy chorzy albo mamy jakieś wady. Teraz wiemy, że jesteśmy tacy, a nie inni, bo mamy określony psynom. To tak, jak urodzić się z niebieskimi oczami czy z ciemną skórą. Musimy zaspokajać naszą filię, jak każdy inny. Szekspir ujął to najlepiej: Makbet nie jest bardziej winny niż Lear, prawda? Zobaczmy... Nie wygląda źle...

Domyśliłam się, że mówi o mojej ranie. Czułam na skórze dotyk gazy i maści.

Leżałam nadal na brzuchu, moje ciało tworzyło łuk, prawy policzek rozpląszczał się o posadzkę, więzy krępowały twarz, a także nadgarstki i kostki nad pośladkami. Musiałam znieść badanie z napiętymi mięśniami, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Były chwile, gdy czułam, że zaraz zemdleję, i gryzłam sznury knebla, żeby temu zapobiec.

- Przykro mi z powodu palca - powiedział Widz, bandażując na nowo rękę. -

Zwymyślałem Pabla, ale trzeba mieć na uwadze, że próbowałaś go przekupić, co? Kiepski pomysł. No, rana przestała krwawić. I posmarowałem ją maścią, żeby bandaż się nie przyklejał. Boli cię?

Nie odpowiedziałam. Patrzyłam na niego, mrugając powiekami.

Nachylił się mocniej. Jego oddech tuż przy mojej twarzy pachniał kawą.

- Powiedz, proszę, co mi zrobiłaś. Tylko tyle, t y l k o t y l e, a zabiję cię od razu, przysięgam.

Wymamrotałam jakieś przekleństwo przez knebel.

Nie wyglądał na zdziwionego ani obrażonego. Delikatnie poklepał mnie po ramieniu.

- Zrobię ci większą krzywdę, niż możesz sobie wyobrazić - rzekł uprzejmym tonem. -

Tak, że na koniec uwierzysz, że jestem Bogiem, i będziesz się modliła, żebym przestał.

Będziesz myślała o śmierci jak o orgazmie i przejdiesz na tamten świat, mając w pamięci, co ci zrobiłem. A jak się ponownie narodzisz, będzie ci się każdej nocy twojego nowego życia śniło to, co się teraz z tobą stanie, i będziesz się budziła z krzykiem. W każdym kolejnym istnieniu będziesz szalona przez to, co wycierpisz tu i teraz, za chwilę...

Mówił tak, jak gdyby już mi coś zrobił. Był to klasyczny ton psychologa, który tyle razy wcześniej słyszałam. W teatrze horrorów własnego umysłu wszystko to już się wydarzyło.

Potem pocałował mnie we włosy, wstał i tak jak zwykle: wyglądało, że o mnie zapomniał, i zajął się chłopcem, który właśnie wrócił przebrany w bermudy i błyszczące żółte buty.

Zjedli coś, ale znajdowali się poza zasięgiem mojego wzroku. Potem ustawili coś w rodzaju statywu i przez chwilę zajmowali się małą holokamerą, ustawiając światło i kolor obrazu. Pracowali ręką w rękę, bez okazywania sobie przywiązania, ale i chyba tego nie potrzebowali. Byli „symbiotyczni”, jak to określił Gens, wspomagali się wzajemnie: Makbet i lady Makbet, współpracujący przy tym, co oboje najbardziej lubili. Tatuś chciał wiedzieć, w jaki sposób kolor mojej skóry mógłby najlepiej kontrastować z bielą ścian za mną i co zrobić, żeby kamera poruszała się automatycznie i filmowała mnie na pierwszym planie, kiedy mnie będą przenosili na stół. Moje nogi określił jako „zbyt długie i słabe”, rozwlekłe mówił o moich piersiach albo pupie, jakby napawał się tym, że chłopiec tego wszystkiego słucha.

Byłam obiektem, który trzeba spenetrować, pokroić, spalić, złamać. Nie sądziłam, by ta rozmowa miała inny cel niż podgrzanie ich własnych emocji. Przyzwyczajeni już byli do tego.

Usunęli statyw i wyłączyli kamerę, a potem podeszli do mnie.

- Za pół godziny muszę jechać do biura, Pablo - odezwał się Widz - ale zacznijmy.

To zdanie mnie zelektryzowało, poczułam, że żołądek podchodzi mi do gardła. Nic nie mogło ich już powstrzymać. Mogłam zastopować Widza na chwilę jakąś szybką maską, ale granie maski dla ratowania własnego życia, nie wiedząc, co się dzieje w drugiej piwnicy, nie wchodziło w grę. Zagryzłam więzy - nie mogłam pozwolić, aby mój strach ujawnił się w jęku, a wtedy Widz się nade mną pochylił.

- Wiesz, czym jesteś? - wydyszał. Zorientowałam się, że to jakieś rytualne zdanie, cyngiel, żeby wystrzelić we mnie całą złość. Ale wtedy odezwał się chłopiec.

- Szklana szkatulka.

- Nie przyniosłeś? Idź po nią.

- Nie mogę sam.

Tatuś wymamrotał: „Okej”, wstał, usłyszałam, że wychodzą i idą po schodach.

Plan, jaki sobie wytyczyłam, był niemal absurdalny, ale musiałam coś zrobić i nieoczekiwanie zarysowała się przede mną taka możliwość. Zapewne ostatnia.

Opierała się na jednym przedmiocie. Słuchając całej głupiej perory mojego kata, nie przestawałam o nim myśleć. Ujrzałam go, kiedy Widz odszedł ode mnie, żeby coś zjeść i przygotować pokój: nóż elektryczny, który obrażony chłopiec rzucił na stół i który potoczył

się aż do brzegu.

A ż d o b r z e g u.

Nie ruszyli go. Leżał tam nadal, demonstrując dumnie swój ostry czubek. Pod nim noga stołowa znajdowała się na poziomie moich ud.

Był to desperacki plan, idealnie zgodny z moją sytuacją. „Daj mi tylko kilka sekund”.

Zaczerpnęłam powietrza, napełniając nim płuca. Zaciskałam zęby na krępujących mi twarz więzach, miałam nadzieję, że w końcu je przegryzę. Zaczęłam się czołgać, jak wówczas, gdy chłopiec się mną zabawiał. Szybko dotarłam do nogi stołowej, ale wiedziałam, że nie zdołam jej uderzyć w tej pozycji. Musiałam znaleźć się twarzą do góry. Na szczęście mogłam się odwracać prawym bokiem, dzięki czemu oszczędzałam ranę po małym palcu, która sprawiała mi głuchy, narastający ból.

Napięłam mięśnie i spróbowałam dokonać tego dwufazowo. Najpierw przytrzymałam więzy, jakby to były lejce, i opadłam na bok. To było łatwe. Ale gdy chciałam się całkowicie obrócić i znaleźć w pozycji twarzą do góry, zorientowałam się, że nie zdołam. Zawiodły mnie kalkulacje i znalazłam się zbyt blisko stołowej nogi. Zdenerwowałam się i przewróciłam na podłodze, pomrukując, tak blisko i zarazem tak daleko od mojego celu. Obraz okaleczonego szczeniaka oszałamiał mnie i przez chwilę nawet nie myślałam o swojej siostrze, tylko o samej sobie, o panice wobec perspektywy tortur w takiej postaci. Ale ta droga wiodła jedynie do studni, która pochłonęłaby moje ciało. „Nie, tędy nie. Przede wszystkim zachować spokój”.

Odetchnęłam głęboko raz, dwa, trzy razy. Słyszałam odległe hałasy. Już nadchodzą?

Wszystko jedno. Postanowiłam, że to nie ja skapituluję.

Zbadałam sytuację. Leżałam na prawym boku, oparta plecami o stołową nogę, mogłam więc uderzać w mebel piętami. Niezbyt mocno, jako że miałam kostki związane razem z nadgarstkami, ale znajdowałam się dostatecznie blisko i nie musiałam kopać. Chyba też mogłam posłużyć się lewym udem. Nóż znajdował się na brzegu stołu, a jego trzonek był

okrągły. T o c z y ł s i ę. Przy odrobinie szczęścia potrzebowałam jedynie, żeby stół

zareagował na mój szturm.

Przez bandaż na ranie ucisnęłam pośladki, wygięłam się do tyłu, oparłam piętę o mebel i zaczęłam walić w niego nogami. Z wyjątkiem noża i kilku plastikowych opakowań stół był pusty i moje zabiegi sprawiły, że zaczął się chwiać. Hałas, jaki przy tym robił, był

niewielki.

Nie chciałam myśleć, co się stanie potem, co zrobię, kiedy nóż spadnie - o ile spadnie

- albo co mi pozostanie, jeżeli upadnie z drugiej strony. „Przyszłość to duch, a wymyślamy ją, żeby nas samych przestraszyć - mówił Gens. - Makbeta przeraża to, co m o ż e się stać, i to doprowadza go do stanu, w którym nie orientuje się, co się naprawdę d z i e j e”.

Nie przestawałam walić nogami w stół.

- Popatrz na nią, Pablo, znudziło jej się czekać na nas i zasnęła... Och, pomyliłem się, nie śpi. Długo nas nie było? Tylko przez parę minut... Co za brak cierpliwości. Zostaw to tutaj, Pablo...

Zamszowe buty poruszające się wte i wewte: od stołu sekcyjnego do drugiego stołu, stop, zwrot, czubki zwrócone w moją stronę.

- Zmęczony jesteś, Pablo? - Odpowiedź niedosłyszalna wśród brzęku metalowych przedmiotów. - Spokojnie, zrobimy to po naszymu. Teraz trochę, reszta później... Spędzi z nami wiele czasu. Nieważne, czy to pułapka, czy zwykła kurwa... Przyszła sama, jest sama, nikt jej nie może tutaj bronić, tak jak i nikt nie mógł bronić pozostałych... Zrobimy z nią wszystko, na co nam przyjdzie ochota... Pamiętasz, jak wrzeszczała, gdy jej obciąłeś palec? -

Odpowiedź twierdząca. Poruszające się buty. - Zawsze na koniec krzyczą, nieważne jak silne się wydają, jak twarde, jak dumne... Bez ubrania, skrupowane, są tylko ciałem. Logiczne przecież. - Brzęk ustał. Wahanie się czubków butów.

I nagle oczekiwany zwrot. Pięty zamiast czubków.

- Zostawmy to tutaj... To pudło na wspornik...

Podniosłam wzrok. Widz stał odwrócony do mnie tyłem.

- Mogłaby przyspieszyć tę chwilę, ale wybrała udawanie... Szkoda. Szczerłość zanika.

Żadna kobieta nie jest szczerą.

„Teraz”.

- A tak bardzo chciałbym znaleźć szczerłość, prawdziwą szczerłość, a nie ten teatr...

Zaczęłam wyciągać nogi, ramiona... Wówczas buty znówu się odwróciły i usłyszałam, że coś kliknęło. Spojrzałam w górę.

Oczy Widza były niewiele żywsze od wylotu lufy automatycznego pistoletu.

- Ale pewnie proszę o z b y t w i e l e, prawda? - uśmiechnął się. - A teraz bądź

grzeczna, skoro nie możesz być szczerą, i połóż na podłodze ten elektryczny nóż, proszę.

Znieruchomiałam. Ojciec i syn stali przede mną. Dwuosobowa, zgodna rodzina. Dwie pary oczu wpatrzone we mnie. Plus lufa pistoletu.

- Daj spokój, nie mów, że uwierzyłaś w mój własny t e a t r... - Widz wydawał się zaskoczony. - Czy to ta farsa z kamerą i stojakiem kazała ci myśleć, że nie ma innych kamer, które cię śledzą? Sądziłem, że jesteś mądrzejsza. Rzeczywiście, sądząc po wyglądzie fizycznym, bez zarzutu. Jesteś w formie: poruszasz się mimo więzów, zrucasz nóż ze stołu, pełniesz, żeby po niego sięgnąć... Bawiliśmy się doskonale, patrząc na to przedstawienie, więc dałem ci czas, żebyś sądziła, że ci się udało. A teraz coś ci wyjaśnię: nie zabiję cię, nie miej takiej nadziei... Ale policzę do pięciu i jeżeli nie oddasz noża, rozwalę ci ramię. Potem cię wyleczę i zrobię z tobą to, co i tak chciałem zrobić, mimo braku ramienia. Do ciebie należy wybór. Jeden, dwa...

Wyciągnęłam nogi na ile się dało i kawałki sznura, którym miałam skrepowane kostki, spadły na ziemię. Wyplułam knebel z ust, który także zdołałam przeciąć. Pokazałam nóż w prawej ręce i położyłam go przed sobą na podłodze.

- Świetnie. - Widz wyglądał na zadowolonego. - Teraz zaczynasz być szczerą.

Z lufą wciąż skierowaną we mnie, uśmiechnięty, postąpił krok naprzód. Widząc grymas jego ust i palec zaciskający się na spuście, pojęłam, że tak czy inaczej, strzeli.

- W i e s z , c z y m j e s t e ś? - spytał ochryple.

- Tak - odparłam z poziomu podłogi. - Jestem pieprzoną pułapką, bałwanie.

Zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, o sekundę za późno.

Oczywiście mój plan nie polegał w y ł ą c z n i e na tym, że się uwolnię. W

teatrach uczono nas, że powinniśmy opracowywać więcej niż jeden sposób. Nazywali to

„drogami alternatywnymi”. Po przecięciu więzów udało mi się kilkoma ruchami doprowadzić do tego, że czujnik zachowania z mojej prawej strony został zablokowany przez stół, a ja, już wolna, czekałam, aż Widz własnym ciałem niepostrzeżenie zablokuje drugi czujnik.

Wiedziałam, że nie da się ich zablokować na długo, ale takie nagłe zaćmienie dałoby mi aż nadto czasu.

Nie starczyłoby czasu na Enigmę, ale na Zło - tak. Maskę Zła można wykonać na dwa sposoby: szybko i wolno. Pierwszej używa się, żeby odeprzeć nieoczekiwaną agresję; skutkuje przy wielu filiach. Polega na wykonaniu „obietnicy” i na natychmiastowym jej złamaniu, przy użyciu określonych emocjonalnych gestów i min. W stylu wiem z *Makbeta*: skusić domniemaną prawdą, która miałaby spełnić się w przyszłości, ale która okazuje się pułapką. Nie trzeba do tego żadnych specjalnych dekoracji, pozycji, świateł czy kostiumów.

Można ją wykonać w restauracji, w sali koncertowej, w plenerze. Mnie się udało w dwie sekundy na podłodze. Poruszyłam się, uśmiechnęłam, spoważniałam, zamknęłam oczy i otworzyłam je. Efekt był krótkotrwały, ale na to też liczyłam.

Nic innego niż rozkosz nie sprawia, że stajemy się kompletnie bezbronni, nawet strach. Jeżeli chcesz kogoś naprawdę rozbroić, nie groź mu, doprowadź go do rozkoszy. Widz opuścił rękę z pistoletem i gapił się na mnie, a to pozwoliło mi wstać i pochwycić nóż.

Każdemu, kto by patrzył na tę scenę, mogłaby się ona wydawać przerwana próbą teatralną.

„Przerwa, panowie: aktorka wstaje, aktor zostawia pistolet zabawkę”. W następnej chwili, rzecz jasna, wszystko miało się zacząć od nowa.

Ale ja rzuciłam się na niego, zanim ta chwila nadeszła.

Udało mi się, ale nie w pełni. Nie był to ani strzał w dziesiątkę ani nawet za dziewięć punktów. Przez wiele godzin byłam związana, miałam zeszywniałe mięśnie i gdy tylko się podniosłam, poczułam zawrót głowy. Ale przynajmniej poczułam, że ostry czubek noża bez przeszkód wchodzi w lewy bok cudownej fioletowej koszuli. Co tu mamy? Śledzionę? Nie było to może najlepsze miejsce, ale i nie najgorsze. Widz jęknął głucho i wypuścił z ręki broń.

I wtedy popełniłam błąd: chciałam wyciągnąć nóż, aby ponownie uderzyć nim Widza.

Strata czasu! Wyciągnęłam go, ale wyslizgnął mi się ze spoczonej dłoni. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać, a ja, rzecz jasna, nie byłam godną przeciwniczką. Kręciło mi się w głowie, byłam obolała, naga i pozbawiona palca. Miałam szczęście i udało mi się uniknąć pierwszego uderzenia, bo odchyliłam głowę do tyłu, ale mój brzuch znajdował się na wysokości jego kolan. Kopnął mnie dwukrotnie, w żołądek, a potem w twarz, odbierając mi oddech. Cofnąłam się, aż uderzyłam pupą o gładki brzeg stołu, krzyknęłam z bólu i upadłam na plecy, na powierzchnię pełną metalowych przedmiotów. Na stół. I chyba Widz spostrzegł

na nim coś, czego mógłby łatwo użyć, bo nawet nie schylił się po pistolet. Rzucił się na mnie jak pajak z rozstawionymi nogami. Lewą rękę przyciskał do rany na brzuchu, prawą zaś usiłował dosięgnąć tego, co zobaczył, czegoś, co znajdowało się obok mojej głowy. Złapałam go za wyciągnięte ramię, uniosłam kolana niczym mur obronny i zaczęliśmy walczyć.

Instynktownie wyczułam, że bez względu na to, o jaki przedmiot mu chodzi - nóż czy lancet -

jeżeli Widz go dosięgnie, walka będzie skończona.

Jego ramię stopniowo sięgało coraz dalej. Moja kondycja fizyczna nie była zła, ale on miał więcej siły i był w lepszym stanie. Zauważyłam, że śmieje mi się w twarz. Był to wściekły grymas triumfującego w walce psa. Tylko że my, przynęty, nie byłyśmy zapaśniczkami, ale pułapkami. „Wiedźma” - nie tak mnie nazwał? Postanowiłam go zaskoczyć.

Zamiast starać się z nim walczyć, zacisnęłam nogi na jego plecach, krzyżując kostki, jakbyśmy uprawiali seks. Sprzączka jego paska odcisnęła mi się na wzgórkę łonowym, a jego twarz przykleiła się do mojej: dwa naczynia z wrzącym płynem.

I wtedy po prostu puściłam jego ramię i pozwoliłam mu chwycić ten przedmiot.

Zdezorientowany spojrzał na mnie. Zużył całą swoją energię, by go zdobyć, a ja mu nagle mówię: „No to masz, a przy okazji masz mnie. Dwa do jednego”. Zatkano go, wybałuszył oczy. A ja wykorzystałam tę chwilę, by zgiąć lewy łokieć i, czego się zupełnie nie spodziewał, przyłożyć mu w twarz.

U osób o silnej budowie łokieć jest raczej tępy, ale w przypadku ludzi szczupłych, jak ja, ramiona dadzą się objąć jedną męską dłonią, a łokieć stanowi zespół ostrych kości, prehistoryczny kamień obrobiony jak krzemienisty nóż. Przy wielu okazjach posłużyłam się łokciem z dobrym skutkiem. Teraz wymierzyłam go w prawe oko Widza i uderzyłam w nie, szeroko otwarte ze zdumienia i bezbronnie jak dziecko w kołysce. Przyznaję, że z satysfakcją poczułam, jak gałka pęka w oczodole, a płyn oczny, pełen obrazów torturowanych dziewczynek, cieknie mu na ramiona.

Widz zawył. Była to jakaś sylaba, nie zwykle: „aaa!”, raczej „me!” albo „ma!”. Może wołał matkę. Pewne jest, że rzucił się do tyłu, a ja rozwarłam nogi, żeby mógł się odsunąć, potem zaś tymiż nogami zgrabnie przyparłam go do ściany. Wyciągnęłam rękę i pochwyciłam pierwszy z brzegu przedmiot: metalowy wieszak z wiszącą na nim butlą z serum.

Nie był to dobry wybór: wieszak sporo ważył, i kiedy próbowałam dźwignąć go i sama się podnieść, zorientowałam się w panice, że mój przeciwnik znalazł swój pistolet i siedzi na podłodze, najwyraźniej z zamiarem użycia go. Chyba jednak coś sobie zrobił w lewe ramię, gdy uderzył nim o ścianę, prawa ręka zaś trzęsła się bezładnie, chcąc uchwycić pistolet. Ból i drgawki po stracie oka ośwładnęły nim tak bardzo, że nie był w stanie trafić ręką w pistolet.

Zrozumiałe jednak, że tym razem to on wygrał.

Było to jak zabawa w „kamień-papier-nożyce”: ja miałam metalowy wieszak, on pistolet. Nawet jeżeli udało mi się przy pierwszym ciosie, gdybym teraz nie obezwładniła go tak, że straciłby przytomność, nie uniknęłabym strzału, nawet przy nieprawdopodobnym szczęściu i omamieniu go kolejną szybką maską. Ja miałam w ręku głupi wieszak, on pistolet.

Zaryzykować? Uznałam, że lepiej nie.

Zwaliłam mu wieszak na głowę, pragnąc, by butla z serum rozbiła się na jego twarzy, i rzuciłam się do ucieczki.

Kątem oka dostrzegłam czyjąś sylwetkę. Chłopiec. Ale usunął mi się z drogi i nie zwróciłam na niego uwagi. J e d e n k r o k , d w a . Moje bose stopy przeskakiwały przez porozrzucone na posadzce przedmioty. Obliczyłam w myślach, ile czasu trzeba Widzowi, by wymierzyć we mnie i wystrzelić. T r z y k r o k i , c z t e r y . Na wprost miałam kręte schody na górę, niedające żadnej osłony, oraz otwarte drzwi do drugiej piwnicy i schody na dół. P i ę ć k r o k ó w , s z e ś ć . D w i e o p c j e .

Wybrałam tę drugą, bo zawsze szybciej się zbiega w dół, niż wchodzi do góry. Nie pomyliłam się. Kiedy pochyłona przekraczałam próg, usłyszałam huk wystrzału. Druga kula trafiła w futrynę, trzecia w ukośny sufit nad schodami i zalał mnie deszcz odprysków.

Przeskoczyłam dwa ostatnie stopnie.

Schody wychodziły na krótki korytarz o białych ścianach. To było nowe terytorium.

Punkt dla Widza. Dostrzegłam jedno wyjście na lewo, drugie w głębi. Na lewo znajdowało się niewielkie piwniczne pomieszczenie: weszłam do niego, wstrzymując oddech, i gorączkowo rozglądałam się wokół. Bidony, puszkki z łatwopalnymi płynami, nieprzeliczone akcesoria do majsterkowania, ustawione przy ścianach. W s z y s t k o mogło stać się bronią i dlatego właśnie była to kusząca pułapka. Świat szpikulców, ostrych narzędzi, metalu i benzyny do masakrowania ciał, potrzebne były jeszcze jednak akumulatory, części zamienne, zręczność i zapalniczki, żeby to mogło zadziałać. Na pierwszy rzut oka nic tak jednoznacznego jak pistolet, młotek czy klucz francuski.

Straciłam wiele cennego czasu w tym domku z czekolady pełnym fałszywych sposobów na pokonanie szaleńca. Słyszałam jego ciężkie kroki na schodach. Kulał, ale z całą pewnością dla jego pistoletu nie miało to znaczenia.

Wyszłam na korytarz i skierowałam się do drzwi w głębi. Miały kod dostępu, ale były otwarte, gdy przekroczyłam próg. Odrzuciły mnie szczypiący chłód i odór zgnilizny.

Zamknęłam drzwi za sobą i stałam jak sparaliżowana.

Komnata Sinobrodego. T o t a m . T a m j e s t m o j a s i o s t r a .

Była to piwnica mniejsza niż ta powyżej, oświetlona surowym, bucącym światłem w kolorze jasnoniebieskim, jak w lodówce. Regały z buteleczkami stały przy jednej ścianie. Był

tam także umocowany na stałe stół z dwiema haniebnymi klatkami dla szczeniaków oraz komputerami przykrytymi osłoną. Ale wszystko to zobaczyłam później.

W owej chwili mogłam patrzeć jedynie na potężną maszynę w kształcie poziomo ułożonych tarcz, stojącą na środku. To na pewno tokarka. Na niej spuchnięte ciało twarzą do dołu. Na nogach, przykutych do dłuższych krańców łopatek, widać było żyły. Z miejsca, gdzie się znajdowałam, widziałam jedynie straszliwe rany szarpane na pośladkach.

Byłam tak przerażona, trzęsłam się tak mocno, dyszałam i rozcierałam zmarznięte ciało, że w sumie mało mnie obszedł wściekły okrzyk Widza idącego korytarzem:

- Jesteś z a m k n i ę t a, kurwo! Stąd nie ma wyjściaaaa!!!

Spokojnie czekałam na śmierć.

A l e t o o k r o p n i e w y k o n a ł a ś, d i e w o c z k a.

I wtedy się poruszyłam, ale nie żeby się ratować. Myślałam tylko, jak go zniszczyć.

Przeniosłam się w głąb pokoiku, omijając kable biegnące po podłodze. Nie miałam najmniejszego zamiaru przyglądać się twarzy trupa, ale musiałam spojrzeć na nią chociaż przelotnie. I nagle uświadomiłam sobie, że to nie moja siostra. Zrozumiałam, że w żadnym wypadku nie mogła to być Vera: ta dziewczyna leżała tu martwa od kilku dni i jedynie temperatura pomieszczenia zapobiegała rozkładowi. Nie była to także Elisa Monasterio, tylko jakaś nieznajoma. To odkrycie nie dodało mi sił ani nie ujęło, poruszyło mnie jednak mocno.

I nagle cała moja istota skoncentrowała się na kontrataku.

Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Skłęłam się, że nie pomyślałam, żeby się jakoś zabarykadować od środka. Teraz było już za późno. Odrzuciłam pomysł oszukania go kolejną maską: strzeliłby, gdyby tylko mnie zobaczył, a ja z obolałym, zeszywniałym z zimna ciałem nigdy nie wykonałabym odpowiednich gestów dostatecznie szybko.

Jakoś nie kwapił się wchodzić. Wiedziałam dlaczego: trzymał pistolet w jedynej sprawnej ręce i musiał pokonać skomplikowany rygielek w drzwiach. Dawało mi to trochę czasu. Na stole przy komputerze widziałam metalowy pręt długości mojego ramienia, ciężki, ale w miarę wygodny, i duże plastikowe klawisze z oznakowaniami, do których biegły kable.

Z prawej strony miałam jakiś załom z czymś w rodzaju spalarki oraz niewielką ubikację, gdzie z pewnością zmuszał ofiary, by się wypróżniały w jego obecności. Przycupnęłam tam z prętem w rękę i wtedy drzwi się otworzyły.

Krok, potem drugi, jego głos.

- Wiem, gdzie jesteś... W i e m, g d z i e j e s t e ś, k u r w o...

Pozwoliłam mu podejść. Nie mogłam go widzieć, ale mogłam wyliczyć, gdzie się znajduje, bo jego kulejące kroki były słyszalne. Czekałam przy akompaniamencie buczącego światła kostnicy, sztywne ze strachu i wściekłości, ściskając pręt i wydzielając nosem i otwartymi ustami obłoczki pary. Włosy przykleiły mi się do czoła, jakbym właśnie wyszła spod prysznic, a cały pot zamarzał na moim nagim ciele. K r o k i. K r o k i. W i e m, g d z i e j e s t e ś. Kolejny krok.

Nagle zobaczyłam jego cień odbity w monitorach. Znajdował się nareszcie na wysokości tokarki, tak jak sądziłam. Musiał przejść koło niej, żeby dotrzeć do mnie. Wtedy błyskawicznie wyciągnęłam lewą rękę. Bolała mnie okrutnie, ale nie użyłam palców, tylko umięśnionej nasady kciuka, żeby uderzyć w klawisz uruchamiający tarcze, wyraźnie oznakowany, modląc się w duchu, by tokarka była podłączona. Wiedziałam, że tarcze nie otworzą się szybko, miałam jednak nadzieję, że ich ruch go zmyli.

Dał się słyszeć zgrzyt. Jednocześnie wyskoczyłam z kryjówki i odgięłam się do tyłu, dzierżąc oburącz pręt, niczym bejsbolista. Nie chciałam mierzyć zbyt wysoko: próba uderzenia go w głowę na ślepo niosła ze sobą znaczne ryzyko, że nie trafię. Dlatego też wymierzyłam w jego lewe ramię, to zranione. Krzyknął i uniósł pistolet, ale tarcze rozpedzały się za jego nogami i stracił równowagę. Uderzyłam go w rękę, i tym samym rozbroiłam.

Potem w brzuch i w kolana, aż upewniłam się, że nie wstanie. Kiedy wszystko się skończyło, nacisnęłam wyłącznik, podeszłam do ciała rozciągniętego na podłodze i przygniotłam lewą stopą i prętem jego szyję.

- Gdzie one są? - spytałam.

Oboje drżeliśmy. Moje pytanie chyba go rozbawiło i przez chwilę patrzył na mnie szyderczo zdrowym okiem. Z powieki drugiego ciekła krew.

- Nie ma ich... Nigdy ich nie było... - zdołał uśmiechnąć się z wysiłkiem, jak gdyby czuł się zwycięzcą. - Ja n i e porwałem twoich koleżanek... Te czujniki to też kłamstwo: nigdy by niczego nie wykryły... Widzisz? Chciałem cię mieć pod kontrolą, to sztuczka, i udało się... Wy oszukujecie, to i ja oszukuję... Ale teraz ważne jest...

Przerwałam mu, naciskając mocniej piętą na jego szyję.

- O ich zniknięciu nie mówiono w mediach, kanalio. Nie będziesz więcej kłamał, skurwysynu.

- Nie kłamię... - chrząknął z wysiłkiem. - Już ci mówiłem, że mogę się dostać do policyjnych raportów... W sobotę dowiedziałem się, jak zniknęła pierwsza z nich, a wczoraj druga... Ale posłuchaj, bo to cię zainteresuje: k t o ś zmodyfikował prawdopodobieństwa w obu przypadkach...

- Że co?

Zaniósł się głuchym, pustym śmiechem. Lewą ręką uciskał ranę w brzuchu. Biała para wydobywała się z ust przy każdym oddechu.

- Nie wiedziałaś, co? Komputery u ciebie w departamencie oceniają prawdopodobieństwo, na ile każde porwanie można przypisać mnie... Najpierw dokonuje się wstępnej analizy, szybkiej, potem drugiej, pogłębionej. Wstępne analizy twoich dwóch kolegów dają prawie sto procent prawdopodobieństwa, że to ja... Intrygujące, więc postanowiłem to zbadać... Nie zajęło mi wiele czasu, by zrozumieć, co się stało... Wiem, kiedy dochodzi do modyfikacji danych o d w e w n ą t r z, jestem ekspertem i mogę cię zapewnić, że ktoś nimi manipulował, żeby zrzucić odpowiedzialność na mnie... Ktoś z waszych ludzi oszukuje was, kretyni... I może to ja mógłbym wam pomóc go złapać, ale jak mnie oddasz w ręce policji, nigdy się nie dowiesz kto to...

Spojrzałam na zwłoki dziewczyny przywiązane do tokarki. Żywa byłaby w wieku Very.

- Nie zamierzam cię oddawać w ręce policji.

Jego jedyne oko otworzyło się szerzej, a ja pokręciłam przecząco głową.

- Nie... nie zabijesz mnie przecież... bezbronnego... nie odważysz się.

- Nie, nie odważę się.

Zdjęłam stopę z jego szyi i rzuciłam pręt na podłogę. Kiedy zorientował się, co zamierzam zrobić, przestał się zachowywać jak dorosły facet.

Zignorowałam jego jęki i błagania, i rozstawiłam nogi ponad jego ciałem, poruszając jednocześnie ramionami. Klasyczna technika Ashburna dla maski Holokaustu. Moja nagość i fakt, że zdobycz obserwuje mnie od dołu, wzmocniły efekt. Zawładnięcie nim zajęło mi piętnaście sekund. Potem odsunęłam się, żeby mnie więcej nie widział, i pozbawiłam go tym samym najwyższego przedmiotu rozkoszy, w chwili gdy niemal go posiadał. Wywołało to u niego bolesne, agonalne wypalenie.

Wył, gdy go zostawiłam i poszłam oglądać zwłoki na tokarce. Myślałam o jego pozostałych ofiarach. Piekło wymyślono dla ludzi takich jak on. Ale ja go nie potrzebowałam: Widz już b y ł w piekle. Jego krzyki stawały się coraz bardziej przejmujące, w miarę jak jego psynom, nie mogąc mną zawładnąć, cofnął się do stanu bardziej podstawowego.

Wyrzucił z siebie całe przerażenie, samotność i udrękę, zawarte we własnym życiorysie.

Krzyczał ponad ludzką kondycję. Krzyczał z czystej ż ą d z y. Potem odchylił głowę i zaczął

walić nią o kamienną posadzkę rytmicznie, gorączkowo, nie przestając nawet wówczas, gdy krew zaczęła tryskać na kafle. Przyspieszał tempo, jakby uderzał w bęben w jakimś złowróżbnym rytuale. Z ust ciekła mu piana i cały się trząśł. Wyglądało to tak, jak gdyby demon usiłował wydostać się z jego czaszki w trakcie egzorcyzmów. „Spalę ci duszę...

P a l ę c i d u s z ę...” - myślałam.

W końcu postanowiłam się zlitować i kopnęłam w jego stronę pistolet, ale było już za późno, żeby mógł go użyć. W pewnej chwili szyja skręciła mu się w dziwną stronę i dał się słyszeć trzask. Gdy upadł, głowa leżała bezwładnie.

„Podobała ci się moja g r a?”, zapytałam go w myślach. Jego tortura trwała zaledwie minutę; tortury jego ofiar - całe długie dni. Pewne sprawy w tym życiu cechował zupełny brak równowagi.

I wtedy coś się ze mną stało. Obserwowałam koniec Widza bez ruchu, z wściekłością i poczuciem triumfu, jak płomień ognia: czasami przygasające, a czasami wybuchające z siłą.

Ale kiedy wszystko się skończyło, poczułam się wykończona, wyczerpana, jakbym w ciągu owej minuty przeżyła pięćdziesiąt lat. Nagle nie mogłam już dłużej wytrzymać i nie myśląc nawet o tym, żeby wyjść z tej lodowatej piwnicy czy się ubrać, upadłam na kolana.

Przeklinałam swoje życie, swoją pracę. Trwałam tak, zgięta wpół, jak ludzka szmata, płacząc niepowstrzymanie. Przez głowę przelatywały mi twarze rodziców, Very, Miguela, doktora Valle...

Nie chciałam myśleć, że płacę też nad Widzem, płaczem wściekłym i głębokim, płacę, nie mogąc zrozumieć tego, co niezrozumiałe, nadać sensu rzeczom. K t o j e s t t e m u w i n i e n?

Kiedy zdołałam się uspokoić, zdałam sobie sprawę, że zapomniałam o chłopcu.

Postanowiłam go poszukać. Zobaczyłam go, gdy tylko otworzyłam drzwi. Czekał na mnie, stojąc w korytarzu, z twarzą zacienioną daszkiem bejsbolówki i dredami, trzymając w ręku coś, co natychmiast skierował w moją stronę. Tłusty płyn oblał mnie od stóp do głów.

Śmierdział benzyną. Gdy zobaczyłam, że wyjmuje z kieszeni bermudów niewielkie pudełko, wyciągnęłam przed siebie ręce.

- Pablo, nie! - krzyknęłam zdjęta trwogą.

Jego pozbawiona wyrazu twarz rozbłysła na sekundę w świetle zapalanej zapalki.

Rzucił we mnie zapalką.

26

Psynom.

Matematyczne wyrażenie naszej rozkoszy.

Teraz wydaje się, że odkryto go już przed wiekami, ale nie minęło nawet pięćdziesiąt lat. Sung Yoo, Giacomo Pallatino, David Allen, Charles Bliss, Nathalie Parks... ich nazwiska nic ci nie powiedzą, ale to oni dowiedli jego istnienia. A eksperymenty Davida Suna wprowadziły go w życie.

Niebieska ściana, czerwone prześcieradło, jakiś gest albo czyjś głos wywołują u ciebie w różnym stopniu poczucie przyjemności. Jest to przyjemność tak wysoce subtelna i zmienna jak kształty chmur na niebie; nawet ty sam nie zawsze możesz ją zaobserwować. Jednakże komputery kwantowe zdołały rozpracować i sklasyfikować przyjemności w foldery. Każdy folder to jak kod genetyczny pożądanego danej osoby: jest on w nich opisany za pomocą cyfr.

Nazwano to psynomem. Potem dowiedziono, że można je pogrupować według wspólnych cech. Każdą z tych grup nazwano filią. Istnieje pięćdziesiąt osiem typów filii zidentyfikowanych dla gatunku ludzkiego.

I tu niespodzianka. Okazuje się, że na samą podniecie przyjemności reagujesz identycznie jak wszyscy ci, którzy posiadają tę samą filię co ty: drapiesz się w nogę, unosisz brwi, przełykasz ślinę, mówisz „kocham cię”, płaczesz, masz orgazm. N i e m o ż e s z zrobić nic innego.

Kolejna niespodzianka: jeżeli podniecie jest bardzo intensywne, zostajesz zawładnięty.

To znaczy: stajesz się jej niewolnikiem. Robisz to, co ci każe: zabijasz siebie, zabijasz innych, torturujesz, gwałcisz.

A wiesz, co jest najśmieszniejsze? Podniety można odegrać. U d a w a ć. Jak w teatrze, z kostiumami i rekwizytami, wykorzystując mowę gestów, światła, głos. Nazywa się to „maską”. Nieważne, czy jesteś ślepy, głuchoniemy, opóźniony w rozwoju - albo czy jesteś geniuszem: jeżeli maska zostanie dobrze wykonana, odbierzesz ją zawsze w taki, a nie inny sposób, odczujesz przyjemność, zostaniesz zawładnięty.

Począwszy od tej chwili, każdy domysł pasuje. Może już urodziliśmy się jakoś szczególnie predestynowani, a potem to los sam nas wybiera. Może seryjny zabójca odróżnia się od innych ludzi rodzajem podniety, jaką otrzymał, gdy dopiero się rozwijał. Na toczącej się za zamkniętymi drzwiami sesji Kongresu Stanów Zjednoczonych doktor Nathalie Parks zaproponowała wręcz dogłębną rewizję przepisów prawa. Jeżeli nie mamy innego wyjścia, niż robić to, co nam się podoba, to dlaczego zamykamy niektórych ludzi? Dlaczego ich skazujemy? Dlaczego dokonujemy egzekucji? Należałoby rozważyć, stwierdziła, konieczność powszechnej amnestii.

Nikt nie zwrócił uwagi na doktor Parks. Uznano, że lepiej wykreować przynęty.

- Rozumiem - powiedział Seseña.

Nie, nie rozumiał, ale to akurat wydawało mi się normalne. Gonzalo Seseña, młody i zupełnie świeży adwokat o kuriozalnie szpakowatych włosach, atrakcyjnej twarzy i miłych manierach, był nowym oficerem łącznikowym po śmierci Álvareza. Mianowano go w pośpiechu pod koniec tygodnia, co często się zdarza w tym kraju, żeby tylko zamaskować dziurę, i poruszał się w nowym świecie po omacku. Pierwszym obowiązkiem, jaki na niego spadł na nowym stanowisku, było odwiedzenie mnie w KOS - Klinice Obrony Specjalnej.

Pod tą pompatyczną nazwą krył się szpital, do którego wożono nas, gdy się psuliśmy, i który wszyscy nazywaliśmy „warsztatem”. Była niedziela rano i Seseña nie zdążył się ogolić, był

bez krawata, miał na sobie pognieciony szary garnitur i bez przerwy mrugał powiekami. Jego ochroniarze, bardziej od niego elegancy, otaczali go niczym kwoki świeżo wyklutego kurczaka, zmuszając go, by uświadomił sobie wagę swojej osoby, ale Seseña wciąż czuł się jak uczeń.

Po oficjalnej prezentacji zarzucił mnie gradem technicznych pytań na które starałam się odpowiadać, po części dlatego, że jego towarzystwo było miłe.

- A Szekspir? Co on ma z tym wspólnego?

- To tylko teoria Gensa, ale wielu ją przyjmuje...- i ciągnęłam wątek.

- Rozumiem - powtarzał Seseña po wysłuchaniu mnie. Siedział w nogach łóżka w moim przestronnym szpitalnym pokoju. Był naprawdę przystojny, ale w przeciwieństwie do profilowca Nacho Puentesa nie sprawiał wrażenia, że bez końca gapi się na siebie w lustrze. -

Nawiasem mówiąc, jaka jest moja filia?

Odparłam, że według mnie jest aurofilem, i chyba zrobiło to na nim wrażenie.

- A co to znaczy? - zapytał.

- Aurofilia oznacza, że twoje oczy rozglądają się zawsze wokół, że najpierw badają dekorację, potem osobę. Tak właśnie zrobiłeś, wchodząc do tego pokoju: obejrzałeś dokładnie wszystko, zanim się ze mną przywitałeś. I za każdym razem, gdy się do ciebie odzywam, lekko się poruszasz. Niepokoi cię, że otrzymałeś mnie w taki wyizolowany sposób, niepokoi świadomość, że istnieje poza pewnym kontekstem... Potrzebujesz wkleić pozostałych w spreparowaną fotografię. Sztuka, która pokazuje tę filię, to *Antoniusz i Kleopatra*. Według Gensa bohaterowie nie są zakochani w sobie, tylko w wizerunkach, jakie stworzyli, i w kontekście, jaki jedno oznacza dla drugiego. To dwoje aurofilów.

- Mogę siedzieć nieruchomo, choćbyś wciąż do mnie mówiła - zaproponował, uśmiechając się.

Odwzajemniłam uśmiech, zachwycona prostotą Seseñi.

- Tak, ale... Widzisz? Gdy tylko zaczęłam mówić słowo „tak”, dwukrotnie, bardzo szybko, mrugnąłeś powiekami, co także stanowi symbol Aury... Okazuje się, że jest niemożliwością zrobić coś wbrew naszemu psynomowi. Łatwiej byłoby zatrzymać siłą woli serce.

- Rozumiem.

W tej właśnie chwili wtrącił się Padilla ze zwykłą u niego brutalnością.

- Przepraszam, Gonzalo, ale może byś zostawił na inny dzień drugą część „Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o psynomie, ale baliście się zapytać”? Moja dziewczyna jest wyczerpana.

- Wybacz, Julio - przerwał Seseña delikatnie, lecz stanowczo - ale jestem tu nowy i mam już na karku cały legion adwokatów, którzy koniecznie chcą wiedzieć, dlaczego ich klient, osławiony dyrektor AZ-Sec, mógł popełnić samobójstwo, waląc głową pięćdziesiąt razy o podłogę... Mam im dać twój telefon i sam odpowiesz?

- Na Boga, Gonzalo! - wymamrotał Padilla. - „Osławiony dyrektor!” Jak dodamy jego etap brukselski, mógłby startować do tytułu Potwora Roku, obok Andrija Czikiły i jemu podobnych!

- Nie mówię, że...

Ale Padilla już się rozochocił i nic nie mogło go powstrzymać.

- A jego ukochany synek, ten potomek „państwa Potworowskich”, otoczony teraz plastikowymi kubkami i rzeszą psychologów! Wiesz, co chciał zrobić ten aniołek z długimi kudłami?

- Diana już w i e, co chciał zrobić, ja również - odparł Seseña.

Była to prawda. Nie tylko wiedziałam, ale ilekroć ktoś o tym mówił, moje ciało ponownie zaczynało płonąć. Spaliło się co najmniej dwudziestokrotnie w mojej wyobraźni, gdy zapalka leciała ku mnie. Uratował mnie prosty fakt, że napastnik był dzieckiem. Dorosły nigdy nie próbowałby trafiać zapalką we mnie: upuściłby ją w kałużę benzyny. Ale Pablo był jeszcze dzieckiem, mimo wszystko, i

dlatego rzucił we mnie ładunkiem, jakbym była mutantem w jakiejś grze komputerowej: „Zgiń, potworze!”. Zapałka zgasła niczym spadająca gwiazda w połowie drogi, nawet mnie nie musnąwszy. Prawdziwy cud. Dzięki temu zdołałam podbiec do Pabla i pochwycić go, starając się nie zrobić mu krzywdy.

Ale krzywdę wyrządzono mu wcześniej i była ona straszliwsza niż strata małego palca u lewej dłoni, jak u mnie, czy perspektywa spalenia żywcem. Widać to było po zaciętej twarzy, która zmieniła się w pysk zgrzytajęcej zębami barakudy, gdy tylko rzuciłam się nań i unieruchomiłam go własnym, oblanym benzyną ciałem. Największą krzywdą dla chłopca było zmienić go w to, czym teraz był. Jeżeli Widz zasługiwał na dożywocie - to głównie z powodu tej jednej ofiary. W przeciwieństwie do torturowanych dziewczyn ten chłopiec nie zaznał p r z e d t e m i n n e g o ż y c i a. I nie zazna innego potem: na zawsze zasiedli piekło, które stworzył wokół niego ojciec.

Gdy huragan „Padilla” zelżał, Gonzalo Seseña odzyskał spokój.

- Chciałem tylko zrozumieć, o co w tym wszystkim biega, Julio...

Najniebezpieczniejszy zabójca, jakiego w ostatnich latach mieliśmy w Madrycie, został

złapany przy użyciu metod, powiedzmy, mało konwencjonalnych... Należy znać teren, po którym się stąpa... - Wstał z łóżka i rozejrzał się wokół („spojrzenie ze stopni pałacu”, jak określał Gens tę cechę Aury). Potem uśmiechnął się do mnie.

- Przepraszam za tyle pytań. Wiem, że powinnaś odpocząć.

Pogratulował mi „w imieniu szefa rządu i ministra”, następnie umknął wraz z ochroniarzami.

Gdy zostaliśmy sami, Padilla pokręcił łysą głową.

- W tym Seseña jest więcej gówna niż w szalecie publicznym w święto szpinaku -

oznajmił. - Ale mogę go zrozumieć, w końcu ten skurwysyn Lemán był jednym ze speców od bezpieczeństwa informatycznego, którzy udzielali konsultacji naszym ludziom... Okazuje się, że mieliśmy żmiję pod własną dupą i nie wiedzieliśmy o tym... Czasami zastanawiam, się, czy to możliwe, że kiedyś jedno z was pojawi się w Kongresie Deputowanych, zrobi jakąś maskę i przekona wszystkie partie polityczne, że musimy wykonywać naszą niewdzięczną robotę.

Jak się czujesz?

- Zmęczona, ale już lepiej - przyznałam.

- Żałuję, że nie mogłem przyjść wcześniej. W piątek, kiedy cię przywieziono, byłaś kompletnie nie do życia, a wczoraj, w sobotę, mieliśmy pilne spotkanie w ministerstwie, żeby zamknąć sprawę Widza... - Odparłam, że rozumiem, i Padilla ożywił się. - Jak tam, księżniczko? Widzę, że wśród kwiatów... Dobrze cię traktują? Karmią cię zupą fasolową i madryckimi specjałami? - Podszedł z rękami skrzyżowanymi na brzuchu i zniżył głos. -

Teraz, jak ten głupek sobie poszedł, powiem ci w zaufaniu, że Martos chce ci przyznać medal, order czy coś w tym stylu... Wszystko odbędzie się po cichu, ale jak widać, liżą ci dupę... I dobrze robią, sukinsyny - puścił do mnie oko i uśmiechnął się. - Wiesz, że jesteś bardzo piękna? Wyobrażałem sobie, że znacznie gorzej wyglądasz...

- No to żałuję, że cię rozczarowałam.

- Nie wygłupiaj się. Gratuluję ci, naprawdę. Niezła akcja. Chapeau.

- Dzięki.

Julio Padilla, zawsze niezdarny w okazywaniu sympatii, pogrążył się w niewygodnym milczeniu. Był korpulentnym mężczyzną, niemal tak szerokim, jak wysokim, z głową doskonale ogoloną, szarymi oczami i twarzą złego psa wyłaniającą się ze swetra z golfem.

Znał dobrze przynęty, ale swoje długoletnie doświadczenie na czele Departamentu Psychologii Kryminalnej zawdzięczał niezaprzeczanemu talentowi do wyrzucania piłek na aut, jak również chłodnemu charakterowi zręcznie pokrytemu emocjonalnym lakierem.

Mawiano, że duży wpływ wywarł na niego wypadek córki, po którym pozostała sparaliżowana. Jednakże był petycjofilem, jak Vera, i lubił czuć się niezbędny i wysłuchiwać próśb. W tym mogłam go zaspokoić.

- Nie chcę medali - odburknęłam - chcę jedynie wiedzieć, gdzie jest moja siostra.

- Szlag by to, królowo, gdybyśmy sami to wiedzieli... Przeskanowano cały rejon wokół tego cholernego domu w górach. Jutro, w poniedziałek, przeszukają pobliską zaporę.

Przysięgam ci, że...

Przerwałam mu, nie ruszając się z łóżka, nie podnosząc głosu, patrząc mu prosto w oczy.

- Widz jej nie porwał, Julio. Ani jej, ani Elisy Monasterio.

- Że jak? Skąd to wiesz?

- Sam mi to powiedział - odparłam z wahaniem.

- A niech to! I co ci jeszcze powiedział? Że chce cię prosić o rękę? To był psychol!

Powiedziałby ci, że jesteś królową Egiptu, gdyby tym samym...

- Nie miał po co kłamać. Nigdy nie eliminował ciał, a tym bardziej nie w jeden dzień.

Zwłoki tej Węgierki znajdowały się tam nadal...

- Rumunki - poprawił Padilla, drapiąc się w podbródek - Ewy Rutlu, lat dwadzieścia dwa. Była w

trakcie załatwiania papierów, więc nikt nie zgłosił jej zaginięcia...

- Rumunka czy Węgierka, było to jedyne ciało, Julio. Ostatnia dziewczyna, którą porwał.

- Diano, analiza informatyczna wykazała, że Verę i Elisę porwał ten facet, na dziewięćdziesiąt dziewięć, przecinek...

Słuchałam w milczeniu. „Ktoś grzebie w danych”, mówił Widz. „Ktoś z waszego departamentu oszukuje was”. Ale czy można mu wierzyć?

Zmęczony przytaczaniem danych liczbowych Padilla patrzył na mnie przez chwilę w zamyśleniu.

- Jesteś wyczerpana, Blanco. Zestresowana zniknięciem Very i polowaniem na Widza.

Ten dzikus i jego latorośl wyrządzili ci... wielką krzywdę. Ale twoja akcja była bez zarzutu.

Jesteś najlepsza, zawsze zresztą byłaś.

Zaskoczyły mnie te pochwały, typowe może w przypadku Claudii Cabildo. Jego samego chyba zresztą także, i być może dlatego niespodziewanie przeszedł na opcję pochwały i nagany.

- Naturalnie, zdaję sobie w pełni sprawę, czego dokonałaś i ja tego dokonałaś...

ale zważywszy na skutki, nie mam nic do zarzucenia, przeciwnie...

Wiedziałam, o co mu chodzi. Opowiedziałam już o moim spotkaniu z Gensem psychologom, którzy wypytywali mnie w szpitalu, opisałam też taktykę zastosowaną przy polowaniu na Widza. Nie było wielkich niespodzianek. Jak stwierdził sam Gens, wysocy rangą urzędnicy departamentu wiedzieli, że żyje, i od czasu do czasu przesyłali mu raporty.

Fakt, że Gens wyjawiał swoje sztuczki dawnej uczennicy wcześniej niż im, wkurzył ich, ale wpisywało się to w dumny wizerunek starego psychologa. Ale ja myślałam o czymś innym. I postanowiłam przedstawić to w sposób jak najbardziej naturalny.

- Julio, jak w końcu wygląda sprawa Álvareza?

Padilla zareagował na to jak na wejście pułkownika: powstał i wyprostował się z poważną miną.

- Samobójstwo. Zostawił list, typowe... Twój wyjazd na folwark przypadkiem zbiegł się z jego śmiercią, i tyle.

Wygładziłam prześcieradło nieobandażowaną ręką i przytaknęłam.

- A co to był ten... tunel? Przez lata byłam na folwarku i nie wiedziałam, że istnieje.

- Och, to takie poszerzenie piwnicy, które zrobił Gens, chcąc stworzyć nowe sceny.

Tylko nigdy nie zdołano tego wykorzystać.

Wejście pielęgniarka dało mu upragnioną wymówkę. Spojrzał na mnie jakby niezdecydowany.

- Przyjdę jutro. Spróbuj odpocząć.

Nie odpowiedziałam: myślałam o tym tunelu ze ścianami wyłożonymi drewnem i suficie ze skrzyżowanymi belkami.

I o tym, jak fatalnie kłamią wszyscy petycjofili, kiedy zadaje im się jakiegokolwiek pytanie.

*

Klinika zwana warsztatem była pozbawiona tabliczek i znaków szczególnych. Otaczał

ją suchy ogród, po którym my, przynęty, mogliśmy przechadzać się w szpitalnych koszulach, niczym starzy patrycjusze, którzy przekazali już potomstwu część posiadanego przez siebie świata. Szpital zbudowano w strefie przemysłowej leżącej bliżej Segowii niż Madrytu, Bóg jeden wie dlaczego. Dysponował salą operacyjną i oddziałem na dłuższy pobyt na dwadzieścia łóżek. Wystrój przypominał mi, niestety, wnętrza piwnic u Widza: białe ściany i meble, metalowe okna. U sufitu szpiegujące cię czujniki zachowania i kamery holowideo.

Ale to nie poczucie uwięzienia skłoniło mnie, by uciec stamtąd jeszcze tej samej niedzieli.

Decyzję tę podjęłam po wizycie Padilli. Miguel, który przyszedł w sobotę wycalować mnie i obstawić kwiatami od dawnych kolegów - taka nasza tradycja, gdy komuś udało się złapać oczekiwaną zdobycz - przyniósł mi także ubranie z domu. Po obiedzie wstałam, wzięłam je i przebrałam się w łazience.

Czułam się osłabiona, kręciło mi się w głowie, bolało mnie całe ciało. Na twarzy nadal miałam ślady gumowego knebla i uderzenia, na szyi czerwoną linię od obręczy, a na brzuchu, udach i plecach liczne sińce. Niestety, mimo że zależało mi na podjęciu takiej próby, nie udało się przyszyć mi z powrotem palca. Znalaziono go jeszcze w piątek, po desperackich, szczegółowych poszukiwaniach; stanowił część straszliwej kolekcji trofeów różnych ofiar, jaką Widz zgromadził w butelkach w drugiej piwnicy. Mimo że temperatura w tym pomieszczeniu nie przekraczała pięciu stopni, mój palec znajdował się w płynie konserwującym, więc tkanek nie dało się odtworzyć. Prawdę mówiąc, guzik mnie to obchodziło: pożegnanie z małym palcem okazało się mniej trudne niż przyjęcie do wiadomości utraty wielu innych rzeczy w życiu, nie mówiąc już o siostrze. Gdybym jakimś cudem mogła odnaleźć Verę całą i zdrową, posłałabym do piekła całą rękę.

W „warsztacie” pracują prawie sami mężczyźni, ubrani na biało, i niemal wszyscy przywykli do tego, żeby cię dotykać: klepią cię po plecach, ściskają rękę, osłuchują albo zmieniają bandaż. Mój pielęgniarka nazywał się Alfredo, był bardzo schludnym chłopcem o kanciastej szczęce. Pojawił się w moim pokoju akurat wtedy, gdy kończyłam zapinać buty.

Powiedziałam mu, że wychodzę, na co wezwał lekarza, a ten następnego. Uprzedzili mnie, że pięć szwów, jakie mi założyli na kikucie, zasklepiło się dobrze, ale przy wysiłku zawsze mogą się

otworzyć, i że muszą się jeszcze upewnić, czy nie mam obrażeń wewnętrznych. Ale gdy zwolniłam ich z odpowiedzialności i złożyłam stosowne podpisy, ustąpili. Byłam dla nich kimś w rodzaju pacjentki „z plecami”, bohaterką dnia. Zachowali się nawet przyzwoicie: autobusy chodziły według rozkładu niedzielnego, więc Alfredo ofiarował się, że podrzuci mnie do Madrytu własnym autem.

Po powrocie do domu sięgnęłam po telefon. Potem wzięłam prysznic i połknęłam środek przeciwbólowy, popijając szklanką mleka; zjadłam kilka herbatników i włączyłam telewizor. Powtarzano materiał, który widziałam już w szpitalu: śmierć „domniemanego” zabójcy prostytutek w Madrycie, w piątek, gdy „oddział specjalny” miał go aresztować.

Szczegółów nadal nie ujawniono, ale przypuszczano, że ofiara, „znany przedsiębiorca z branży bezpieczeństwa informatycznego”, odebrała sobie życie. Rozmówcy wypowiadali się z niepokojem na tle potwornego domu w górach.

O chłopcu wspomniano mimochodem, nie łącząc jego obecności z wydarzeniami.

Wiedziałam, że znajduje się teraz w ośrodku psychologicznym dla nieletnich i że czynione są starania, by odnaleźć jakichś jego krewnych.

Jednakże spokój sprzedaje się gorzej niż niepokój, więc porwanie dziewczynki w Barcelonie oraz doniesienia o kolejnej robocie Truciciela zajęły większą część dziennika.

Tym razem ofiarą była sześćdziesięcioletnia kobieta. Znaleziono ją w jej mieszkaniu w Moncloa. Właściwie wszystko w tej sprawie było niejasne i podważano nawet samo istnienie

„Truciciela”, ponieważ do tej pory nie udało się wyizolować trucizny. Potem zaczęto pokazywać zdjęcia porwanej dziewczynki. Smutne oczy, blondynka, sześć lat. Poczułam skurcze żołądka, wyłączyłam telewizor i ruszyłam na spotkanie, na które wcześniej umówiłam się przez telefon.

Było przepiękne jesienne madryckie popołudnie, jedno z tych, gdy niebo jest bezchmurne, a słońce, choć chyli się już ku zachodowi, jeszcze grzeje. Po tych kilku dniach w otoczeniu koszmarów powinnam była poczuć się lepiej, oddychając tym delikatnym, złocistym powietrzem. Byłam jednak zdenerwowana i czułam, że poca mi się ręce, którymi trzymałam kierownicę, jadąc przez Madryt w kierunku wyjazdu na Las Rozas. To, co zamierzałam zrobić, wcale mi się nie podobało i nie mogłam opanować napięcia. W

przeciwieństwie do mojego stanu ducha ulica Teseo wyglądała na kwitnącą oazę spokoju.

Nely Ramos wyszła mi na powitanie, jak tylko przycisnęłam dzwonek u furtki. Z uszu zwisały jej ogromne kolczyki.

- Wspaniale, że zadzwoniłaś! - rzekła z uśmiechem. - Uciesz się na twój widok... Ale co ci się stało?

Odparłam, że miałam „mały wypadek”, nie wdając się w szczegóły. Bandaż i tak zasłaniał brak małego palca. Poszła przodem w kierunku domu, ale nie weszliśmy do środka, tylko skierowałyśmy

się do ogródka na tyłach. Nely przez cały czas mówiła swoim głosem zarazem schrypniętym i miękkim, z kanaryjskim akcentem.

- Wyleguje się na słońcu jak jaszczurka, uwielbia, gdy świeci słońce... Myślę nawet, że jest wtedy bardziej świadoma, wiesz? Któregoś dnia poprosiła ogrodnika, żeby użył starej kosiarki do trawnika... Mówił jej, że to starość, że dzisiaj są elektryczne, ale ona tak się upierała, wiesz sama... wiesz, jaka jest rozkapryszona. W końcu ogrodnik przez całe popołudnie czyścił to żelastwo i szukał do niego paliwa... Wygląda na to, że warkot silnika przynosi jej wspomnienia z dzieciństwa... Ale to wszystko mało, żeby ją zadowolić, biedaczkę!

Leżała na leżaku w ogrodzie, bosa, z chudymi kolanami wystającymi spod prostej turkusowej sukienki. Włosy w kolorze słomy błyszcząły w słońcu jak korona. Starannie przycięty żywopłot stanowił ramę dla tego obrazu. Wydawało się, że śpi. Sprawiała wrażenie bezbronnej i jednocześnie majestatycznej.

- Clau, popatrz, kto przyszedł... Ale otwórz oczy, głupiutka! - Nely podniosła koc i okryła nim swoją podopieczną. Była śmieszna z tym swoim matkowaniem, bo przecież miała mniej lat niż Claudia. - Nie śpi, tylko jest bardzo, bardzo niegrzeczna... Lubi udawać, prawda?

Prawda, że Wasza Wysokość lubi udawać? - Claudia zaśmiała się jak dziecko. - Będiesz się tak zachowywała przy przyjaciółce? To Diana! Diana Blanco!

Żeby podejść do Claudii, należało przejść przez trawnik i moje buty zapadły się w błocie pozostałym po wcześniejszych deszczach. Nely żartowała, a ja uśmiechałam się z założonymi rękami.

- Cześć, Cece.

- Wow! Żyrafa. *Number one*.

Mówiła, nie otwierając oczu, i Nely i ja roześmiałyśmy się. Nagle poczułam, że głos więźnie mi w gardle, a z oczu płyną łzy. Nie słyszałam, co powiedziała Nely, zostawiając nas we dwie, chyba miała mi przynieść krzesło. Stałam wpatrzona w Claudię Cabildo, starając się powstrzymać emocje.

- To ty naprawdę jesteś *number one*, Cece - powiedziałam - i zawsze byłaś.

Otworzyła swoje nieprawdopodobne, niebieskie oczy. Rzeczywiście wydawała się bliższa życia, ale w pewnej chwili zorientowałam się, że wieczorne słońce świeci jej prosto w twarz, a ona patrzy na mnie, nie mrugając powiekami. To było tak, jakby okrągłe okna otworzyły się na pusty pokój.

- Ugryzłaś się? - zapytała.

Spojrzałam z uśmiechem na swój bandaż.

- Złapałam go, Cece - powiedziałam. - W piątek. Pamiętasz, że mówiłam ci o tym i zapewniałaś mnie, że mi się uda. Więc się udało. To taki wielki wąż, i ugryzł mnie, ale wyrwałam mu zęby. Już nikogo nie skrzywdzi.

- Jesteś *superwoman*.

- Ba! - powiedziałam obojętnie. - To było normalne polowanie, nie ma porównania z tobą i schwytaniem Renarda.

Przez chwilę patrzyła na mnie. Potem zamknęła oczy i pokręciła głową, bez odpowiedzi.

Wiedziałam, że to niezupełnie tak. Claudia nie odniosła sukcesu w walce z Renardem i tak naprawdę uratowała jej życie policja, znajdując przypadkiem na południu Francji kryjówkę, w której Renard ją przetrzymywał. Renard właściwie nie pozostawił blizn na jej ciele, ale wykorzystywał głód, pragnienie i prąd elektryczny, dzień po dniu, przez cały miesiąc, póki nie zwariowała, i żadna z masek, jakie starała się wykonać Claudia, nie zdołała go powstrzymać. Claudia Cabildo była dla nas wszystkich złowieszczym pomnikiem, znakiem, który uświadamiał nam, że nawet najbardziej doświadczona przynęta może ponieść klęskę.

Przerwało nam nadejście Nely z krzesłem. Usiadłam, odmówiłam poczęstunku i wyczekałam, aż sobie pójdzie, by rozpocząć od nowa naszą rozmowę. W tym czasie Claudia sprawiała wrażenie, że śpi. Wydawała się tak niewinna, że znów zaczęłam się zastanawiać, czy jednak nie zarzucić okrutnego planu. Ale to, że w porównaniu z dawną Claudią stała się ruiną człowieka, sprawiło, że się nie wycofałam.

„Tak trzeba - pomyślałam - także dla niej samej”.

- Renard - powtórzyłam łagodnie. - Ty go złapałaś.

- To on złapał mnie - odparła z zadziwiającą precyzją.

- Nie. Porwał cię tylko i skrzywdził, Cece, ale ty podałaś mu truciznę, spaliłaś mu duszę... Pamiętasz, jak rozmawialiśmy kiedyś o paleniu duszy psycholom?

- Renard - szepnęła, wpatrzona w jakiś punkt w ogrodzie, jakby tam właśnie dojrzała nagle Renarda wychylającego się zza żywopłotu.

- Tobie się udało, Cece, spaliłaś duszę temu potworowi. Renardowi. Mimo że więził

cię przez cały miesiąc w tej... w tej podziemnej grocie na południu Francji, w pobliżu Tuluzy, chyba... - Pochyliłam się ku niej i mówiłam wolno, patrząc na nią uważnie, tak jak patrzymy na kruchą tafłę lodu, po którym zamierzamy przejść. - Ta pieczara, o której opowiadałaś, że ścianami z kamienia...

- Moje życie, Żyrafo - otworzyła oczy. - Moje życie wysycha niczym mocz na słońcu.

Ostrożnie ciągnęłam watek.

- Ta jaskinia, Cece... Pamiętasz? Ta, w której cię zamknął...

- Były z drewna... Ściany z drewna...

Umilkłam i obserwowałam ją uważnie, ale był w niej jedynie spokój, jak nasłoneczniona nieruchomość liści leżących za nią. Jednak przynajmniej teraz wiedziałam, że jej pamięć jest dostępna. Choć pamiętałam dobrze, co powiedziała mi dawno temu na temat miejsca, gdzie ją przetrzymywano, starałam się, by ona sama powtórzyła to teraz.

- Tak, z drewna, zgadza się... - skinęłam głową. - Mówiłaś, że czasami spędzałaś wiele czasu, leżąc, i widziałaś jedynie sufit... Powinnaś dobrze pamiętać ten sufit... Był chyba gładki.

- Cieszę się, że cię widzę, Żyrafo... - odparła - Jesteś *superwoman*.

- Ja też się cieszę, Cece.

- Tyle razem przeżyliśmy...

- Pewnie, ale Renarda załatwiłaś sama.

- Tak, sama - przyznała.

- Trzymał cię miesiąc, miesiąc tam, w jaskini...

I nagle poczułam, że muszę przerwać: dławilo mnie w gardle, gdy mówiłam do niej w ten sposób. Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam ponownie.

- Cały miesiąc w tym strasznym miejscu, wśród ścian z drewna, z tyłoma ciemnymi korytarzami... z tym sufitem...

- Tylko jednym.

Zamarłam.

- Co mówisz?

- Myślałam, że jest ich wiele, ale był tylko jeden korytarz, prosty...

Podniosła do góry jeden chudy palec i na jej ręce zauważyłam bliznę po kajdankach, którymi Renard przykuł ją do ściany. Czułam, jak serce wali mi tak mocno, że Claudia to słyszy, ale po chwili zrozumiałam, że nawet mnie nie widzi. Sprawiała wrażenie, jakby ktoś wszedł do wnętrza jej oczu i rzucił swój cień na źrenice.

- Na początku nie wiedziałam... Zawiązywał mi oczy, przenosząc z jednej celi do drugiej... Potem zdejmował mi opaskę. Trudno jest robić maski, gdy się nic nie widzi... -

Przytaknęłam dla zachęty. - Ale robiłam je nawet wcześniej... Nie przestawałam próbować, Żyrafo... Próbowałam wszystkiego... „Nie poddawaj się, nie poddawaj”, powtarzał ciągle...

- Kto? - przerwałam jej.

- Co?

- Kto ci powtarzał „nie poddawaj się, nie poddawaj”?

Uśmiechnęła się, gładząc koc, którym była okryta.

W ogrodzie panowała cisza. Czasami przerywał ją warkot samochodu jadącego gdzieś za żywopłotem.

- Doktor Gens zawsze nam to powtarzał, Żyrafo.

- Tak, ale mówiliśmy o Renardzie.

- O Renardzie? - Zamrugwała kilkakrotnie powiekami i na jej twarzy uwidaczniały się zmiany jak na świecy pod wpływem płomienia. Spróbowałam innej metody.

- Nieważne. Pamiętasz pomieszczenia?

- Cele.

- Tak jest, cele.

- Bez krat... Drewniane drzwi... Czasami pozwalał mi spać na podłodze... Zawsze we mnie wierzył, tyle mnie nauczył...

Zaschło mi w gardle. Czułam, że przechodzą mnie ciarki, jakbym się ocierała o gada.

- Teraz mówisz o Gensie, Cece.

- Nie, o Renardzie... Trzymał mnie tam miesiąc...

- Ale mówiłaś o doktorze Gensie. Powiedziałaś: „Zawsze we mnie wierzył, tyle mnie nauczył...”.

- Tak, Gens. Ufał mi. Trzymał mnie tam miesiąc, ale spaliłam mu duszę...

- Mówisz o Gensie czy o Renardzie, Cece?

Słodki głos Nely, od strony domu, nie zabrzmiał tak miękko jak zazwyczaj.

- Słuchaj, przepraszam cię, ale chyba lepiej już przestań... doprowadzasz ją do strasznego stanu...

Zignorowałam podchodzącą Nely i pogłaskałam ramię Claudii.

- Cece, proszę, wysil pamięć... Widziałaś w tym miejscu Gensa? Widziałaś Gensa, s i e d z a c w t y c h c e l a c h?

- Wyraz oczu Claudii nie zmienił się, wpatrywała się we mnie z pustym okrucieństwem. Ale jej wargi drżały.

- Claudia, słyszysz, co mówię?

Ktoś stanął między nami.

- Wystarczy! - obwieściła Nely tonem nieznoszącym sprzeciwu, obejmując swoją podopieczną. - Zobacz, do czego ją doprowadziłaś! Już dobrze... Wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie... - przerwała tylko na chwilę, by spiorunować mnie wzrokiem. - Będzie lepiej, jak sobie wreszcie stąd pójdziesz, Diano...

Przeprosiłam, pożegnałam się z obiema i ruszyłam ścieżką w kierunku furtki.

Oddalając się od nich, słyszałam nieobecny głos Claudii:

- Na belkach były litery i cyfry... Liczyłam je... Dwa A, trzy B, cztery...

27

„Proszę, Miguel, odezwij się”.

Dzwoniłam do niego wielokrotnie, do domu i na komórkę, ale odzywała się jedynie poczta głosowa. Przypomniałam sobie wreszcie, że kiedy odwiedził mnie w „warsztacie”, mówił, że zamierza spędzić weekend w Los Guardeses, przygotowując przynęty do operacji przeciwko gangowi handlującemu kobietami na południu. Wiedziałam, że ma zwyczaj wyłączać telefon, gdy pracuje. W końcu postanowiłam zostawić mu wiadomość, poprosić, by oddzwonił. Starłam się mówić naturalnie, żeby nie budzić podejrzeń, gdyby ktoś mnie podsłuchiwał.

Wszystko wówczas wydawało mi się możliwe.

Minęła ósma, gdy dojechałam do miasta. Zmierzchało, a ja nie mogłam znieść myśli, że mam wracać do opustoszałego mieszkania. Nie po tym, czego się dowiedziałam, albo wydawało mi się, że się dowiedziałam od Claudii. Musiałam z kimś pogadać. I już wiedziałam z kim.

Nawet go nie uprzedziłam o wizycie. Była niedziela i gabinet pozostawał zamknięty, ale powiedział mi, gdzie mieszka, dodając, że mogę do niego przyjść, kiedy tylko zechcę.

Budynek był luksusowy, choć miał cechy bezludnej wyspy albo otoczonej murem twierdzy. Do znanego klubu nocnego w podziemiach zaczynali właśnie ściągać pierwsi klienci. Nacisnęłam numer mieszkania, myśląc w duchu, że jeśli go nie zastanę albo nie zechce mnie widzieć, spróbuję podjechać do Los Guardeses. Jednakże po prześwietleniu mnie przez dwie kamery bezpieczeństwa otwarto drzwi.

Czekał na mnie dziesięć pięter wyżej, na progu mieszkania.

- Mój Boże - odezwał się na mój widok.

Doktor Arístides Mario Valle był jak zawsze wytworny i wypachniony. Miał na sobie elegancką jasnozieloną koszulę wyłożoną na wierzch i pasujące do niej spodnie w kolorze sukna ze stołu

bilardowego. Szpakowate włosy były porządnie uczesane, a okulary bez oprawek połyskiwały czystymi szklami.

- Nic mi nie jest - powiedziałam, świadoma, że mój wygląd sugeruje coś dokładnie przeciwnego. - Przyszłam bez uprzedzenia, więc jak ci w czymś przeszkadzam, pójdę sobie.

Poważnie.

- Nie, w niczym mi nie przeszkadzasz. Wchodź.

Mieszkanie, obszerne i wygodne, oświetlały dyskretnie ukryte światła; ściany zdobiły dzieła sztuki indiańskiej, podobnie jak gabinet, a całość zdradzała dobry gust i duże pieniądze. Olbrzymi ekran na jednej ze ścian w salonie pokazywał wiadomości, ale bez głosu.

Valle usiadł albo raczej opadł na puf, a mnie zaproponował wygodny ergonomiczny fotel.

- Wiedziałem, że to ty - oznajmił, oglądając z bolesnym wyrazem twarzy moje rany wojenne na twarzy i ręce. - Wiedziałem. Wiedziałem od razu, gdy w piątek podano tę wiadomość, ale nie chciałem dzwonić, żeby uszanować twoją... twoją pracę.

- Dobrze zrobiłeś. Bardzo ci dziękuję.

- Jak się czujesz? - mówił szeptem, jak gdyby hałas mógł mi zaszkodzić.

- Dobrze, naprawdę. Wszystko się udało. - Spojrzałam na zabandażowaną rękę i uśmiechnęłam się. - Sądzę, że mogło się udać lepiej, ale mogło też być znacznie gorzej.

- Chcesz o tym mówić?

- Niewiele tu do powiedzenia. Dokonałam tego i jedynie to się liczy.

Valle nabrał powietrza, potakując, a ja nagle zarumieniłam się, jakbym mówiła o romansie.

- Przepraszam - odezwał się po chwili milczenia - siedzę tu jak idiota... - Wstał i machnął ręką w powietrzu. Telewizor zgasł i przestrzeń wypełniły miękkie dźwięki jazzu. -

Napijesz się czegoś? Jeżeli to dla ciebie nie za późno, zaparzę kawę.

- Wystarczy coś zimnego.

Rozejrzałam się po mieszkaniu, gdy Valle poszedł po napoje. W otaczającej mnie schludności dało się dostrzec pewien bałagan: popodkreślane wydruki z drukarki, otwarta książka leżąca grzbietem do góry, zeszyty i laptop na stole, przy kanapie, której wgnieciona powierzchnia zdradzała ślad niedawnego używania. Wszystko wskazywało na to, że Valle czytał i pisał przed moim przyjściem. Książka to przekład na hiszpański *Tymona Ateńczyka* Szekspira. Na ścianach plemienne maski i seria holografii, niektóre w ruchu. Podeszłam, żeby się im przyjrzeć z bliska. Stanowiły niezłą kronikę życia Maria Valle: tu z przyjaciółmi, tam z królem Hiszpanii, tam znowu wśród przemądrzałych

brodaczy. Na innych znowu Mario w młodości, chudy, spocony, w słomkowym kapeluszu, w otoczeniu grupy tubylców z Amazonii.

- Mieszkałem wiele miesięcy wśród różnych plemion, zanim wyjechałem z kraju -

wyjaśnił, podając mi szklanę. - Uświadomili mi, że godność jest więcej warta niż wszystkie dobra materialne. Nowoczesne społeczeństwo zaatakowało ich ze wszystkich stron, ale nie rezygnują z samotnego życia, z dumy z siebie samych i z mądrości przodków. Ty i ja mamy chyba z nimi coś wspólnego... Twoje zdrowie - zakończył, podnosząc szklanę.

- Nie czuję się zbyt dumna z siebie - odparłam na ten toast. - Wykonuję swoją pracę, to wszystko.

- Twoja skromność jest godna pochwały - oświadczył doktor Valle - ale bierze się stąd, że nauczono cię, jak być narzędziem, a nie jak się nim posługiwać. To o tobie powinni mówić w wiadomościach, o tobie i twoich kolegach... - wskazał ręką telewizor. - Godzinami rozprawiano o śmierci tego szaleńca... I cały splendor spada na policję, a na ciebie nic.

- Ja też jestem z policji.

- Naturalnie. Wiem, że gadam głupoty. Jesteście „zastrzeżonym materiałem”, fakt. Ale wkurzyło mnie, że nikt nie docenił twojej... pracy.

Chciałam powiedzieć mu, że gdybym mogła wybierać, wolałabym sławę ofiary niż przynęty, ale uznałam, że lepiej zmienić temat, po części po to, żeby przerwać ten sentymentalny nastrój, który tworzyły delikatny ton głosu i uważne spojrzenia doktora Valle.

- Dzięki, że masz dla mnie czas, Mario.

- Nie mów głupstw. Cieszę się, że przyszedłeś. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Wskazałam ręką na stół i zapytałam z uśmiechem:

- Odrabiałeś lekcje?

- No cóż, już kiedyś mi przedstawiono wielkiego Williama, ale teraz czytam go uważniej. - Valle odwzajemnił uśmiech i podniósł książkę. - Znasz tę sztukę?

- Znam wszystkie, to część mojej pracy. Tymon to człowiek bogaty, hojny i prostoduszny, który po stracie pieniędzy i przyjaciół postanawia wyjechać... - urwałam, a potem dodałam złośliwie - ...do Amazonii?

Valle po raz pierwszy, od kiedy go poznałam, wybuchnął donośnym śmiechem.

- Przypominam ci, że to ja jestem psychologiem - wycelował we mnie książkę - ale poniekąd masz rację, w jakiś sposób się z nim identyfikuję. Nie jestem mizantropem, ale filantropem też nie. Ludzkość nie daje zbyt wiele nadziei. Ciekawa jest interpretacja tego dzieła dokonana przez Víctora Gensa... Wyciągnąłem ten tekst z internetu... - Wziął do ręki popodkreślane papiery. - Nie wymienia

rzecz jasna masek, ale mówi, że Tymon w drugiej części, kiedy udaje, że wszystkimi pogardza, jest hojniejszy niż kiedykolwiek. Do tego stopnia, że oddaje się całkowicie, ciałem i duszą, ofiarowuje swoją krew do picia i swoje ciało do jedzenia... Jak Chrystus... i jak przynęty. - Popatrzył na mnie.

- W rzeczywistości ma na myśli filię Okrucieństwa - skorygowałam. - Żeby usidlić kogoś z taką filią, musisz udawać, że bez względu na to, ile zła chce ci wyrządzić, nigdy nie uda mu się skrzywdzić cię naprawdę, bo ty chcesz cierpieć bardziej. To go blokuje... Szyfr, według Gensa, kryje się w pozornej pogardzie Tymona.

Valle słuchał mnie, potakując. Gdy skończyłam, odezwał się:

- Droga Diano, pozwól, że ci powiem, że twój zawód jest...

- Skurwysyństwem, wiem.

- Tak jest, absolutnym.

Odłożył książkę i papiery na stół. Wykorzystałam tę chwilę.

- Przyszłam ci coś opowiedzieć, Mario.

- Och, to z kolei s k u r w y s y ń s t w o mojego zawodu: wszyscy chcą mi coś opowiedzieć...

Zapadła krępująca cisza, której żadne z nas nie umiało przerwać. Mario Valle niezdarnie podsunął mi fotel, sam wrócił na puf i wyłączył muzykę. Potem oparł łokcie na udach, a brodę na palcach wskazujących, przybierając postawę zawodową. Wstyd zabarwił

mu policzki na wiśniowo.

- Przykro mi - zaczął. - Kiedy robię z siebie idiotę, staję się ostatnim idiotą.

- Nie, proszę. To ja przyszłam bez uprzedzenia.

- Nie wiem, kto powiedział, że mężczyzna pocałowany w głowę przestaje się nią posługiwać - wymamrotał i oboje uśmiechnęliśmy się nieporadnie. - Chyba Erich Fromm -

zakończył żartobliwie.

- Pocałowany... czy aby na pewno w głowę? - zasugerowałam, a Valle ponownie wybuchnął donośnym śmiechem, tak bardzo kontrastującym z jego doskonałymi manierami.

- To już n i e jest Erich Fromm? - roześmieliśmy się. Zauważyłam nagle, że czuję się zrelaksowana, gotowa mówić. Valle zachęcił mnie gestem, a moja powaga okazała się najwyraźniej zaraźliwa.

- Przypuśćmy - zaczęłam - że mnie oszukano. W pracy.

Wyprostował się gwałtownie, jakby to oskarżenie dotyczyło jego.

- Kogo masz na myśli?

Wyjaśniłam. Opowiedziałam mu o Claudii Cabildo i Renardzie. W pewnej chwili przerwałam. Zdjęłam kurtkę, z niejakim wysiłkiem, bo jednak bolało mnie lewe ramię. Pod nią miałam prostą purpurową bluzkę w odcieniu zbliżonym do koloru moich siniaków. Valle wstał i usłużnie mi pomógł.

- Nie pamiętam tej informacji - odezwał się, gdy z powrotem usiadł.

- Nie podano jej do publicznej wiadomości. W teorii Renard był pośrednim ogniwem, potrzebowano go, by złapać grubszą rybę, szefa mafii z Marsylii, z którego chciano wyciągnąć zeznania, ale nie wiedziano jak. Ale był też niezłym psycholem...

- Niezłym... czym?

- Psychopatą. Osobiście torturował swoje ofiary i miał w zwyczaju pozostawiać przy zwłokach zepsute i powieszane lalki. Był właśnie przykładem filii okrucieństwa - wskazałam egzemplarz *Tymona Ateńczyka*. - Największy problem stanowiło to, że wiedział o istnieniu przynęt, co oznaczało dla nas dodatkowe niebezpieczeństwo. Powierzono jego przypadek doktorowi Gensowi, a on wybrał moją koleżankę, Claudię, żeby wkradła się w jego łaski...

Było to klasyczne zagranie: Renard prędzej czy później zacząłby ją podejrzewać, a potem przesłuchiwać. Wtedy miała go usidlić, przesłuchać, a na koniec wyeliminować. Ale coś w tej operacji zawiodło. Renard zamknął Claudię w jakiejś dziurze na południu Francji i przez miesiąc ją torturował, a Claudia nie była w stanie go usidlić. Starła się na wszystkie sposoby, bez skutku. Natomiast... Renard o w s z e m, zadziałał skutecznie.

Mówiłam, patrząc na swoją obandażowaną rękę spoczywającą na dzinsach.

Podniósłszy wzrok, zauważyłam, że Valle jest blady.

- Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się nas uczy, jest umiejętność ukrycia się w sobie w chwili, gdy zaczyna się ból. Ale Renard postarał się zniszczyć wszystkie kryjówki Claudii, jedną po drugiej, aż nie miała dokąd się schronić. Policja francuska znalazła wprawdzie tę jego dziurę, zanim Renard zdążył zabić Claudię, ale wcześniej wpadła w kanał... To takie wyrażenie, którego używamy, gdy chcemy powiedzieć, że ktoś z nas stracił rozum. Żyje, ale nie odzyskała zdrowia psychicznego.

- A co się stało z tym... Renardem?

- Policja go zastrzeliła.

Valle odetchnął głęboko i potarł oczy pod okularami.

- Rzeczywiście, Diano, to coś potwornego. Rozumiem, że...

- Ale nie to jest n a j g o r s z e - weszłam mu w słowo.

I opowiedziałam mu o przedziwnym podobieństwie tunelu na folwarku i miejsca, gdzie torturowano Claudię. Nie mówiłam o samobójstwie Álvareza ani o powieszonych lalkach, choć moim zdaniem były to jawne dowody wyrzutów sumienia jednego z domniemanych sprawców. Valle słuchał mnie z rosnącym zdenerwowaniem.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że Renard w s p ó ł p r a c o w a ł z twoimi szefami?

- Chcę ci powiedzieć, że być może Renard w o g ó l n i e i s t n i a ł. - Coraz trudniej mi było wyjaśniać. Całe zmęczenie i ból spadły na mnie nagle, jak lawina. Roztarłam ramiona, nagie i bezbronne. - Staram się ci powiedzieć, że być może był to eksperyment, że chciano coś na nas wypróbować... I być może te eksperymenty trwają nadal: moja siostra i jej koleżanka zniknęły jakiś czas temu... Analiza informatyczna stwierdza, że stały się ofiarami zabójcy prostytutek, ale są... - w tym miejscu się zawahałam. Co właściwie było? Słowa Widza przeciw słowom tych, którym ufałam? Doszłam jednak do wniosku, że nie ufam nikomu. - Są fakty, które pozwalają podejrzewać, że tę analizę celowo zafałszowano -

zakończyłam, patrząc Mariowi Valle prosto w oczy.

Światła zmieniły ściany wokół nas w białe pustkowie: tego samego koloru była twarz doktora Valle.

- Musisz złożyć doniesienie... - wyjąkał w końcu.

- Brak mi dowodów, mam tylko słowa chorej umysłowo koleżanki. - „Oraz słowa zabójcy”, dopowiedziałam w myślach.

- Powinnaś je zdobyć! Pomogę ci!

- Już mi pomagasz dzięki temu, że mnie słuchasz.

- Dzięki temu, że...? Diano, proszę, jak to możliwe?

Valle podniósł się gwałtownie i podniósł rękę do ust, jakby chciał zapobiec, by popłynęły słowa bez sensu. Potem zaczął chodzić od jednej ściany do drugiej, mówiąc bez przerwy, z trwogą, której sam zdawał się nie dostrzegać.

- Posłuchaj, muszę ci to wreszcie powiedzieć: przestań, proszę, myśleć, jak żołnierz na wojnie! Przyznaję, że swoją pracą uczyniłaś wiele dla dobra społeczeństwa, przyznaję! Ale już koniec, rozumiesz!? Nie jesteś im nic winna! Nie jesteś n i k o m u nic winna! -

Śledziłam jego nerwowe kroki. - Czego jeszcze od ciebie chcą? Lubisz to, co robisz, czy nie, co ci jeszcze pozostało? Spójrz na siebie! Spójrz na swoje ciało! Walczyłaś, okrutnie cię poraniono, zrobiłaś to, czego od ciebie chcieli... A czym ci odpłacają? Kłamstwami? To taką sprawiedliwość proponują? Dość tego, Diano! Oni mogą być wilkami, ale ty nie jesteś mięsem!

Na ścianie wisiało lustro w kształcie azteckiego słońca. Valle zatrzymał się przed nim.

- Poznałem wiele cierpienia - dodał łamiącym się głosem. - niesprawiedliwość przyjmuje wiele

form, jak narkotyki, o których ci mówiłem... Widziałem dzieci sprzedające swoje ciała, żeby żyć, a i tak nie miały życia. Nędza jest psychopatą na skalę światową, najokrutniejszym. Mówisz o Renardzie, o zabójcy prostytutek, o komórkach terrorystycznych i o porywaczach... To jak patrzeć na zdjęcia Żydów w obozach śmierci i mówić: „Tu kryje się j e d y n e zło, jedyna deprawacja”... Ale to wszystko stanowi teatr tej świętej cywilizacji Zachodu, wymówkę Pierwszego Świata, żeby móc przymknąć oczy na największą ze zbrodni.

Czy ty wiesz, ile ja widziałem dzieci wyglądających tak samo jak ci Żydzi, Diano? Czy wiesz, ile dzieci przebywa w tym obozie koncentracyjnym, jakim są kraje najslabiej rozwinięte? Wszystkie one są przynętami, jak ty. Pracują, oferując własne ciało i krew na pożarcie. A tymczasem nasz świat montuje sobie farsę zabójstw, zbrodni, terroru... a od nich się odwraca. - Valle popatrzył na mnie. Jego oczy za szklami okularów błyszczały tak, jakby same były ze szkła. - Porzuć ten teatr, Diano... Zejdź ze sceny, nie bierz udziału w grze hipokrytów, dorobkiewiczów... błagam cię o to, jak przyjaciel.

- A ty nie uczestniczysz w ich grze?

Pytanie zbiło go z tropu. Podniósł brwi, twarz przybrała wyraz bólu.

- Nie toleruję farsy - odezwał się w końcu. - Życie z plemionami w dżungli nauczyło mnie być, kim jestem. Bez masek. - Zrobił kilka kroków w moim kierunku. - Prosiłem cię któregoś dnia, nie znając cię, i proszę cię teraz po raz kolejny: odrzuć maski na bok i bądź

sobą.

- Już nie jestem twoją pacjentką - odparłam nieco gniewnie. - Wyleczyłam się.

- Toteż nie mówię ci tego jako psycholog, tylko jako... jako człowiek, którego tamtej nocy całowałaś.

Wypowiedział to zdanie bardzo cicho, ale jednak z nadzwyczajną prostotą.

Podniosłam się. Staliśmy teraz twarzą w twarz.

- Pomyliłam się co do ciebie... - powiedziałam i wydawało mi się, że każde słowo sprawia mi nagły ból. - Kiedy się dowiedziałeś, że nie nazywam się Elena, powinnam była wyjść... Powinnam opuścić twój gabinet i nie wracać więcej! A co zrobiłam? Wplątywałam cię w to wszystko coraz bardziej! - Valle zaprzeczał, ale jego zaprzeczenia trafiały na mój szloch. - Naraziłam cię na niebezpieczeństwo, mówiąc o tym wszystkim! I to nie raz! Znam ryzyko, ale myślę tylko, jak sobie ulżyć!

- No to ulżyj sobie - powiedział miękko, otwierając ramiona.

- Wykorzystuję cię... po to, by móc s t a ć s i ę s o b ą!

- Wydaje mi się, że to dobrze...

- Ale naraziłam cię na niebezpieczeństwo! - urwałam i wyszeptalam: - A przecież zależy mi na tobie.

- A mnie na tobie, Diano.

Znalazłam się w jego ramionach, w jego serdecznej ciemności, skuliłam się w nim, jakby jego ciało było tym, co oznaczało jego nazwisko: przytulną, bezpieczną doliną, z falującym powietrzem jego oddechu. Zamknęłam oczy, ale łzy wymknęły się i tak spod powiek i ciekły jak krople rosy.

- Pozwól mi sobie pomóc... - szeptał Mario Valle, przytulając mnie i sprawiając mi niechcący ból, ale jakoś mi to nie przeszkadzało. - Proszę, przestań wreszcie bawić się we własnego tatusia i własną mamusię i pozwól, żeby ktoś ci pomógł!

Przy pierwszym pocałunku nie myślałam właściwie o niczym innym niż jego usta.

Wyciągnęłam rękę i zdjęłam mu okulary, jak ktoś, kto pozbawia partnera maski podczas tańca na balu. Całowaliśmy się znowu i nagle poczułam ten pociąg, ten przyspieszony upadek, ten tobogan ciała, który, gdy już raz nabierze pędu - nie masz odwrotu, bo nie możesz i nie chcesz hamować, i pędzisz aż do końca.

Uświadomiłam sobie, że wciąż trzymam jego okulary, gdy prowadził mnie do sypialni.

Mario Valle kochał się namiętnie i delikatnie, z zadziwiającą czułością, na którą nie było stać Miguela, ale pod koniec jego ciężki oddech przeszedł w szloch, jakby sprawiała mu ból własna rozkosz albo to, że dawał ją mnie.

Potem, gdy leżeliśmy oboje na plecach, odszukał moją rękę i trwaliśmy tak, złączeni, jakbyśmy chcieli przejść się razem po krawędzi dachu. Sypialnia była przestrzenią wypełnioną słabym światłem, o ścianach w tym kolorze ziemi, jaki mają rzeki płynące przez Amazonię.

- Czy to byłaś... ty? - zapytał nagle, patrząc na mnie. - Nie było... nic innego?

Na początku nie zrozumiałam, co chce powiedzieć, dopiero po chwili pojąłam: myślał

wciąż o masce, którą go uraczyłam w gabinecie podczas tamtej wizyty. Tamta rozkosz wbiła mu się w psynom jak cierń. Zapewniłam, że teraz nie było nic, tylko ja.

- Chcę być z tobą - szepnęła.

- Oszalałeś.

- Tak.

Jeszcze w łóżku zaproponował mi „indiański masaż leczniczy”. Położył dłoń na moim brzuchu i z nieskończoną delikatnością roztarł mi sińce. Bolało, ale nie chciałam tego powiedzieć. Przez chwilę gładził ręką moje ciało, a potem wyszeptał:

- Diano, wiem, że kochasz kogoś innego... Kolegę, jak mówiłaś... Posłuchaj mnie...

Proszę cię tylko... o decyzję. Twoja praca, twoje nieustanne poświęcenie dla tego świata, który cię

wykorzystuje, albo mój świat plus ja i ty, taka jaka jesteś, bez żadnych masek. Oboje będziemy walczyli o to, by prawda wyszła na jaw, odnajdziemy twoją siostrę i postawimy cały ten śmietnik przed sądem... Pomyśl o tym i zastanów się. Jeśli zostaniesz ze mną, będziesz sobą. Nie mogę się zgodzić, żebyś cierpiała. Nie a k c e p t u j ę cierpienia. Proś o cokolwiek, tylko nie o to. Ale jeżeli wolisz trwać w tym, w czym dotychczas, wówczas... -

uniosłam brwi, a Valle pochylał się i mnie pocałował. - Wtedy, niech to szlag. Nie uwolnisz się ode mnie... - Zaśmiałam się lekko. - Nie, poważnie: ty decydujesz. Będę ci nadal pomagał, bez względu na decyzję, ale jeżeli wybierzesz własną drogę, ja... przysięgam, że nigdy ci nie przeszkodzę...

- Dziękuję.

- Obiecujesz, że to przemyślisz?

- Obiecuję.

Telefon wymyślono po to, by psuć chwile takie jak ta. Usłyszałam dzwonek dochodzący ze sterty ubrania na podłodze. Wyobraziłam sobie, kto to, i podniosłam aparat z poczuciem wstydu.

Ale wystraszony głos, który dobiegł do moich uszu, błagając o pomoc, nie był głosem Miguela.

*

- Nie wiem, co się z nią dzieje! - jęczała zmartwiona Nely, oczekująca mnie w drzwiach. - Przysięgam! Powinnam to wiedzieć, a nie wiem! Przykro mi!

- Nely, kochanie, spokojnie. - Weszłam do domu i poczułam się tak, jakbym zstąpiła do grobu: wszędzie ciemność i cisza. - Dlaczego nie ma światła?

- Nie chce, żeby je zapalić! Wpada we wściekłość! Od twojej wizyty jest potwornie zdenerwowana, Diano! - Nely prowadziła mnie jak cień przez ciemne korytarze. - Nie wiem, o czym rozmawiałyście, ale już nie była taka jak wcześniej... Nie chciała nic jeść, a kiedy chciałam ją wykąpać wieczorem, odmówiła... Jestem przerażona!

- Dzwoniłaś do kogoś?

- Nie pozwala mi! - zaszlochała Nely. - Ani do lekarzy, ani do Padilli! Powtarza tylko:

„Niech przyjdzie Diana. Zadzwoń do niej, chcę zobaczyć Dianę!” Na początku myślałam, że poradzę sobie sama, ale już prawie jedenasta, a z nią ciągle to samo! Przepraszam, że ci przeszkodziłam...

- Dobrze zrobiłaś, kochana. - Uświadomiłam sobie, że Mario Valle pomyślałby inaczej: wyszłam pośpiesznie z jego domu i zostawiłam go zdenerwowanego, przejętego.

Nely otworzyła podwójne drzwi w głębi salonu. Claudia stała za nimi, słabo oświetlona blaskiem latarni, wdzierającym się przez otwarte okno. Miała na sobie tę samą prostą turkusową sukienkę i wydawała się taka mała i chuda, że ledwie ją było widać pośród mebli. Kiedy odwróciła twarz, by

na mnie spojrzeć, zauważyłam jej trupa bladość.

- Przypomniałam sobie... Żyrafo... - odezwała się niemal natychmiast. - Co nieco.

- Uspokój się, Cece, jestem tutaj... - Dałam znak Nely, żeby się wycofała. - Mogę zapalić światło, Cece?

Zignorowała moje pytanie.

- Widziałam doktora Gensa... Widziałam go w mojej celi. Patrzyłam w górę. Nie było łatwo patrzeć w górę: bolało mnie wszystko, nawet oczy... Bolały cię kiedyś oczy? Nie mogłam mówić ani się poruszać, ale patrzyłam i widziałam go. Twarzy Renarda nigdy nie widziałam: nosił maskę...

- Cece, posłuchaj...

- Nie mogłam mówić ani się poruszać. Nie lubił, jak się poruszałam. Nie musiał mnie krępować: Renard był bardzo p r z e k o n u j ą c y - zaśmiała się chrapliwie. - Wiesz, co kiedyś zrobił? Oblał mnie benzyną i kazał mi trzymać zapaloną zapalniczkę w zębach, a sam... No dobrze, „nie bił mnie” ani też „nie dotykał mnie”... Może i wszystko naraz. A n a j c i e k a w s z e, jak by powiedział Gens, najciekawsze ze wszystkiego było to, że ja chciałam wypuścić tę zapalniczkę. Pragnęłam płonąć jak gówno na polu. - Zadrżała i wykrzywiła twarz. Teraz, gdy znajdowałam się bliżej niej, dostrzegłam jej szaleństwo, niczym pot, którym była zлана, dziwaczność całej postaci, odległość, z jakiej przemawiała, jakby z głębi studni. -

Umrzeć tysiąc razy... Nie, znacznie więcej. A ty ile razy chciałaś umrzeć?

- Już po wszystkim, Cece... - Podeszłam do niej powoli, wyciągając ramiona.

- Ale nie wypuszczałam zapalniczki. Wolałam żyć jak gówno. Doktor Gens zrobił mi wielki prezent... Wiele go to kosztowało, ale mu się udało. Na koniec wyrzygałam wszystko, czym byłam. Na koniec dowiedziałam się. To znaczy: czym byłam. Dlaczego chciałam zostać przynętą. Wyrzygałam to. Ty tego nie znasz, Żyrafo: potrzebujesz Renarda, żeby doprowadził

cię do wymiotów... Bo ja wiem, czym jesteśmy. W y m i o c i n a m i. Bo nawet nie żółcią.

M d ł o ś c i a m i. Tym właśnie jesteśmy my, przynęty.

- Tak, Cece, tym właśnie jesteśmy... A teraz pozwolisz nam, żebyśmy się tobą zajęły, dobrze? - Popatrzyłam na skulony cień Nely przy drzwiach. - Nely, zadzwoń do departamentu i...

- W p a d ł a m w k a n a ł! - przerwała mi Claudia z rozpaczą. Potem popatrzyła na nas, najwyraźniej przestraszona własnym krzykiem. - I wiesz, co to jest, Diano? To olbrzymie lustro. Ale najpotworniejsze jest to, że przeglądasz się w nim i nie widzisz nic...

- Nely - powtórzyłam ostrożnie - zadzwoń do departamentu albo pozwól, że ja to zrobię...

W końcu Nely się ruszyła. Ale jedyne, co zrobiła, to złapała mnie za ramię.

- To był zły pomysł zadzwonić po ciebie, jest z nią jeszcze gorzej! - Zaczęła mnie szarpać. - Odejdź, Diano, odejdź! Ja sama zajmę się wszystkim!

Nie chciałam opuścić pokoju, ale w końcu pozwoliłam się wyprowadzić. Stan Nely wydał mi się nagle jeszcze gorszy niż Claudii. Przeszliśmy do salonu i tam chwyciłam ją za ramiona.

- Nely, uspokój się! Claudia jest chora i potrzebuje nas. Musimy jej pomóc!

- Już dłużej nie mogę! - Nely kręciła głową. Szlochała gwałtownie, a jej twarz stawała się coraz brzydsza. - Za długo już się nią zajmuję i już nie mogę! Bardzo ją kocham, ale przysięgam ci, że już nie mogę!...

Przytuliłam ją i pozwoliłam się wypłakać na własnym ramieniu. I wtedy obie to usłyszałyśmy: jakieś uderzenia w sąsiednim pokoju, trzask otwieranych szuflad. Wpadłyśmy przez podwójne drzwi w samą porę, by ujrzeć, jak Claudia ciska na podłogę plastikową butelkę, której zawartość wylała sobie na głowę. Silny i dobrze znany zapach rozszedł się po całym pomieszczeniu. W ułamku sekundy odkryłam, skąd wziął się płyn. K o s i a r k a z s i l n i k i e m n a...

Na widok światełka w rękach Claudii przeżyłam, w jakimś okrutnym *déjà vu*, scenę z synem Widza sprzed dwóch dni. Nie pamiętam, ile razy krzyknęłam jej imię i ile razy usłyszałam krzyczącą Nely, gdy obie rzuciłyśmy się w jej kierunku.

Dopóki nie zatrzymał nas oślepiający wybuch, w jaki zmieniała się Claudia Cabildo.

28

Czasami wydawało mi się, że w środku jestem pusta. Jak gdybym była stworzona z kolejnych warstw błota uformowanych w postać kobiety. Przyzwyczajona byłam do udawania tak wielu emocji, że często wiele mnie kosztowało sprawdzenie, co tak naprawdę odczuwam.

Nic takiego nie przytrafiło mi się podczas pogrzebu Claudii.

Claudia Cabildo nie była moją przyjaciółką. Nigdy bym z nią nie poszła do kina czy na imprezę, nigdy nie pamiętałam o jej urodzinach. Ale stanowiła dla mnie symbol: naszej walki, naszego cierpienia, naszej klęski. A teraz także kłamstwa, w jakim żyliśmy, potwornej farsy, w której kazano nam grać.

W tym przypadku nie czułam pustki. Wiele w sobie nosiłam: głęboki, choć może nie dojmujący ból, który zostawiał dość miejsca na powstrzymywaną z trudem wściekłość. Całe moje ciało trwało w napięciu, łyzy paliły mnie niczym lawa. Czułam się tak, jakbym była gotowa ponownie stoczyć bój z Widzem.

Mój stan pogorszył się tylko wobec rytuału, w którym przyszło mi uczestniczyć.

Dzień poprzedzający pogrzeb był wyczerpujący. Po tym, jak strażacy i sanitariusze uratowali to, co pozostało z domu przy ulicy Teseo w Las Rozas - zwęglone ciało i cztery poczerńiałe ściany - odbyło się wycieńczające przesłuchanie na policji. Nie wiem, ile razy opowiadałam, jak Claudia złożyła się

w ofierze, niczym kapłanka, może z jakąś straszną premedytacją, wykradłszy dostateczną ilość benzyny ze starej kosiarki. Albo jak Nely i ja biegałyśmy po całym domu, na próżno szukając czegoś, czym dałoby się ugasić kulę płomieni, która przetaczała się z wyciem, paląc wszystko, co napotkała po drodze. Gdy musiałyśmy już obie zrezygnować wobec tego, co nieuniknione, siłą wyciągnęłam Nely z domu. Na szczęście Padilla dotarł na komisariat w samą porę, by przejąć inicjatywę i uwolnić mnie od odpowiedzialności jako świadka. Po powrocie do domu wyłączyłam telefon i rzuciłam się w ubraniu na łóżko. Począwszy od tej chwili, niewiele pamiętam, jakby poniedziałek zniknął z mojego kalendarza.

W nocy znalazłam dość siły na przejrzenie wiadomości w telefonie. Znalazłam jedną od Miguela: następnego dnia miała się odbyć ceremonia ku czci tej, która była „jedną z wielkich”. Prywatna, rzecz jasna, w domu pogrzebowym Las Columnas, przy wylotówce na północ. Byliśmy zaproszeni. Postanowiłam, że wezmę w niej udział, po części dlatego, że chciałam porozmawiać sam na sam z Miguelem, jeżeli nadarzy się taka okazja. Ale sprawy potoczyły się inaczej, niż oczekiwałam.

We wtorek, ostatni dzień października, nie padało, gdy dotarłam do Las Columnas, chociaż na wielkiej esplanadzie nieba zbierały się szare chmury. Byłoby eufemizmem powiedzieć, że pogrzeb był dyskretny. Odbył się raczej potajemnie. Pięć lat aberracji i walki i kolejne pięć szaleństwa streszczały się w dwóch służbowych samochodach i dziesięciu uczestników: Padilla, Gonzalo Seseña, wicedyrektor Olga Campos, profilowcy Nacho Puentes i Ricardo Montemayor, kilkoro byłych przynęt, Miguel i ja. Co dziwne, pojawiła się także matka Claudii, wysoka, w żałobie, o bardzo krótkich szarych włosach, której nigdy nie widziałam. Zdziwiłam się, że Claudii pozostały jakieś kochające osoby, a może i nie pozostały, bo twarz owej kobiety w chwilach, gdy zwracała ją w moją stronę z pierwszej ławki w kaplicy, była właściwie niewzruszona. Sądziłam, że przyszła, bo tego wymagała etykieta, jak Padilla i Seseña: konsulowie przemieszani z plebsem podczas ostatniego pożegnania wojownika.

Kaplica miała durny artystyczny wystrój, w środku najpierw rozlegała się duma *Sonata księżycowa*, a potem śpiewał durny chór dziecięcy. Młody i łysy ksiądz, niski jak dziecko, zająknął się, gdy miał wymienić nazwisko Claudii, i zrobił przerwę, żeby przeczytać scenariusz. Trumnę umieszczono na dwóch przypominających krzesła podporach, a przed rozpoczęciem mszy Nacho Puentes szepnął mi do ucha, żeby jakoś rozładować ponury nastrój: „Braki w budżecie”. Ale wcale mnie to nie rozbawiło. Niespodziewanie zdałam sobie sprawę, jakie to wszystko teatralne.

Albo prawie. Miguel ucałował mnie i kilkakrotnie zadeklarował szczerze „kocham cię”. Była także chwila wzruszającego płaczu biednej Nely, która przyszła, gdy ceremonia już się rozpoczęła. Związała włosy i wydawała się starsza o dwadzieścia lat. „Teraz także ona wymaga opieki”, pomyślałam na jej widok. Ból Nely, bez wątpienia jedynej prawdziwej przyjaciółki, jaką Claudia miała w życiu, zdziwił mnie bardziej, niż sądziłam. Może dlatego, że jej zazdrościłam. Pragnęłam móc jak ona wyrazić to, co czułam, wobec tych wszystkich polityków, przynęt i profilowców, udających ostrożny żal. Paradoksalnie tylko Nely, jedyny widz wśród tylu aktorów, pozwoliła sobie na uczucia.

Nikt nie przemawiał jak na amerykańskich pogrzebach. W Hiszpanii nie mamy takiego obyczaju, tym bardziej że wcale nie było łatwo powiedzieć coś o Claudii. W jej życiorysie zabrakło wielkich rodzinnych tragedii, inaczej niż w przypadku większości z nas.

Jej rodzice pochodzili z Walencji, żyli w separacji, w dzieciństwie jakieś problemy charakterologiczne i niewiele więcej. Gens wybrał ją, żeby ją osobiście ukształtować, i to było właściwie najważniejsze.

A także, wedle mojej wiedzy, osobiście ją zniszczył.

Ale mój gniew skierowany był nie tylko przeciwko Gensowi czy przeciwko władzom, które wszystko ukrywały. Nienawidziłam przede wszystkim samej siebie.

Chociaż z trudem przyjąłm to do wiadomości, to ja wskrzesiłam koszmary Claudii po trzech latach zapomnienia. I na nic się zdało pocieszanie się myślą, że lepiej znać prawdę, bo prawda wyrażała się w nędznej trumnie zawierającej zebrane i szybko skremowane szczątki dziewczyny zdradzonej przez własnych mentorów („Och, kochana - powiedziałaby Nacho Puentes - ty się naprawdę s p a l a ł a ś w pracy”). Poczucie winy okazywało się nie do wytrzymania.

Może to z tego powodu wydarzenia potoczyły się tak, a nie inaczej.

- Amen.

Krótką ceremonią dobiegła końca, ksiądz wymknął się bocznym wyjściem i pierwszy rząd zaczął pustoszyć. Padilla w czarnym płaszczu i golfie, z Olgą Campos i szkoleniowcem, którego nazwiska nie pamiętam, przeszedł koło mnie, posłał mi przelotne spojrzenie i westchnął.

- Wreszcie wszystko się już skończyło - stwierdził z miną wyrażającą rozżalenie.

I właśnie to stwierdzenie, wypowiedziane, gdy pozostali uczestnicy, włącznie z kobietą występującą w roli matki, odwracali się od trumny, jeszcze zanim ją wyprowadzono poza kaplicę, wywołało moją reakcję.

W s z y s t k o s i ę j u ż s k o ń c z y ł o.

Odsunęłam ramię Miguela i z oczami pełnymi łez, ukrytymi za czarnymi szklami okularów przeciwsłonecznych, odwróciłam się do Padilli.

- Nie, nie wszystko się już skończyło - powiedziałam drżącym głosem. - Dopiero się zaczęło.

Padilla przystanął, choć wydawał się mniej zaskoczony, niż należałoby oczekiwać od osoby niewinnej. Jego jajowata twarz była blada i postarzała. Podejrzewałam, że wyrzuty sumienia zżerają go jak Álvarez, i to dodało mi siły, by mówić dalej.

- Dotrę do samego końca tej sprawy, Julio. Będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię przed porzuceniem tej zsranej roboty, ale przysięgam ci, że od tej chwili nie będziesz mógł nawet usiąść w twoim zsrany biurze, nie myśląc o mnie... Będę wrzodem na twojej zsranej dupie...

- Nic nie rozumiem, przepraszam. - Padilla zamrugał powiekami.

Na nieszczęście nigdy nie umiałam niczego zrobić dobrze, jeżeli popuściłam wodzy p r a w d z i w y

m emocjom. Prawie zawsze tracę kontrolę, jak Koriolan, dumny wojownik z Szekspirowskiego dramatu. Oddałam kilka celnych strzałów, a potem rozpoczęłam absurdalną, beładną strzelaninę.

- Jeszcze nie wiem, czy sprawa mojej siostry ma coś wspólnego z Claudią... Chyba tak... Więcej, jestem pewna... Zdobędę dowody, uprzedzam cię...

- Diano, najdroższa - powtarzał Miguel za moimi plecami.

Nie podnosiłam głosu, a mimo wszystko już otaczali nas ludzie. Upewniwszy się, że matka Claudii już poszła, Seseña popatrzył na nas i to samo zrobili Olga, Nacho i Montemayor.

- Lepiej idź do domu i odpocznij, Blanco - oznajmił Padilla. - Jesteś przemęczona.

- Chcesz, żebym sama to opowiedziała? - Podeszłam do niego tak blisko, że mój niebieski sweter pod kurtką ocierał się o jego płaszcz. - Mam opowiedzieć Oldze i Seseñi, jak Claudia wpadła w kanał, czy już to wiedzą? - Padilla pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie zasługuję na odpowiedź, i oddalił się, ścigany moim głosem. - Claudia umarła, ale ja nie! Słyszysz? Ja jeszcze nie wpadłam w kanał! Puść mnie, proszę!... - Odtrąciłam rękę Miguela i nagle, na widok wyrazu jego twarzy, zawstydziłam się.

- Przepraszam.

- Diano, chcę z tobą porozmawiać - odezwał się Miguel - ale nie tutaj.

- Ja też chcę z tobą porozmawiać - odparłam twardo.

- Chodźmy.

Kaplica, pusta już, przytłaczała mnie gęstą wonią kwiatów z wieńców, ale na zewnątrz szary i zimny dzień jesienny mnie orzeźwił. Samochody służbowe odjeżdżały, a nieliczni uczestnicy, nie tak oficjalni, kierowali się niespiesznie ku parkingowi. Nikogo już nie było we wnętrzu długiego, oszklonego przedsionka domu pogrzebowego.

Albo prawie nikogo.

Rozpoznałam go natychmiast: ciemna sylwetka posuwająca się utykającym krokiem w głąb przedsionka. Mimo że szedł wolno, był już daleko, z czego wywnioskowałam, że uczestniczył w ceremonii, stojąc w drzwiach, jak ktoś, kto wykupił miejsce w ostatnim rzędzie, żeby móc wyjść ze spektaklu wcześniej niż pozostali.

„I dyskretnie, prawda? Och, tak, przede wszystkim d y s k r e t n i e”.

Podjęłam szybką decyzję: rozmowa z Miguelem mogła poczekać, natomiast nie wiedziałam, kiedy nadarzy mi druga podobna okazja. Ucałowałam Miguela, zapewniłam, że zadzwonię w ciągu dnia, zignorowałam bezsensowne pytania i pobiegłam za oddalającą się postacią.

*

- Panie Peoples! Już pan odchodzi? Ominie pana impreza. Padilla zaprasza nas wszystkich na kielicha, dla uczczenia sukcesu w operacji Renard...

Na dźwięk mojego głosu Victor Gens nie zmienił tempa, chociaż na wzmiankę o Renardzie wyraźnie zdrętwiał. Ubrany był w rygorystyczną czerń od stóp do głów: kapelusz, płaszcz, rękawiczki. Od tyłu jedynie siwizna włosów między kapeluszem a kołnierzem płaszcza stanowiła jakąś odmianę kolorystyczną. Lakierowane drewno laski połyskiwało w słońcu.

- Diana... - wymamrotał, jakby wymawianie mojego imienia przyprawiało go o ból w pachwinach. - Nie mam ochoty rozmawiać z tobą, moja droga.

- No to dowie się pan, co się czuje, robiąc coś, na co się nie ma ochoty.

Przecięłam mu drogę. Czulałam, że jak będzie trzeba, podstawię mu nogę.

- Chcę mojej siostry, Gens.

Roześmiał się głucho.

- Nigdy w to nie wątpiłem: to ona jest twoim słabym punktem. Jak się czuje Vera?

- Powiem, jak się czuje, gdy się dowiem, gdzie jest.

- Wyminął mnie, ale ponownie znalazłam się na wprost niego. - Proszę, niech mi ją pan odda, a daję słowo, że nie złożę na pana doniesienia, doktorze...

To go zatrzymało. Spojrzał na mnie przelotnie. Miał na nosie okulary o okrągłych szklach, tak czarnych, że w jego bladej, kościstej twarzy wyglądały jak dwa puste oczodoły.

Miałam wrażenie, że obserwuje mnie czaszka w kapeluszu.

- Poważny problem wszystkich zawodowców - rzekł. - Mieszanie uczuć z pracą.

Naprawdę, moja droga, nie zamierzam z tobą rozmawiać, jestem zmęczony...

Mogłabym uderzyć go pięścią w tę jego starczą twarz, ale powstrzymał mnie nie tyle respekt, ile gest, jaki uczynił ręką, w której nie trzymał laski: jakby kogoś przywoływał.

Znajdowaliśmy się w pobliżu bocznego wyjścia i za białym murem domu pogrzebowego znajdowała się uchylona furka, a przy niej zaparkowany samochód. Obok niego czekało dwóch ludzi. Jeden wyglądał na silnego kierowcę tira i mógł być szoferem Gensa. Drugi, młody i chudy, podszedł z wojowniczą miną, huśtając ramionami pod dżinsową kurtką.

- Tak, doktorze? - odezwał się z silnym akcentem ze Wschodu. - Panienska przeszkadza?

- Tak jest, Wasilij - przyznał Gens. - Usuń ją.

Sądziłam, że Wasilij użyje rąk, i przygotowałam się. Ale zamiast tego rozstawił chude nogi, podniósł palce do piersi i rozpostarł je, skłaniając jednocześnie ciało pod kątem prostym i przenosząc jego ciężar z nogi na nogę. Rozpoznałam pierwszy krok Bassianiego w klasycznej masce Enigmy. Zestaw gestów i dekoracja w postaci białego muru, który okalał

jego sylwetkę, sprawiły, że poczułam gęsią skórę i przeszedł mnie dreszcz niewyraźnej rozkoszy. Ta technika była bardzo, ale to bardzo skuteczna, by powstrzymać agresję czy gwałtowne ruchy, a samo wykonanie okazało się do przyjęcia. Był tylko jeden błąd, drobny, ale znaczący.

Nie było z mojej strony żadnej agresji.

Dla porównania: zasypiasz, a ktoś cię nagle całuje. Albo całkiem się rozbudzisz, albo udało ci się zasnąć chwilę przedtem. Mojemu psynomowi s p o d o b a ł o s i ę to, co zrobił Wasilij, nie na tyle jednak, by mnie to przyblokowało. Za to sama zrobiłam co innego.

Obserwowałam wyraz twarzy Wasilija, gdy padał rozkaz Gensa, i pomyślałam, że może być mówcofilem. Uciekłam się więc do techniki Orville'a: zmieniłam pragnienie przesłuchania Gensa w fałszywy afekt, złożyłam ręce na głowie i wyjąkałam: „jakże mi przykro”.

Wiedziałam, że efekt zostanie wzmocniony dodatkowo poprzez ubranie, jakie na sobie miałam: czarna kurtka z podniesionymi klapami i skórzane spodnie. Maska miała przedstawiać silną istotę, którą wiele kosztuje prosić kogokolwiek o cokolwiek. Jak Koriolan w politycznym dramacie Szekspira, który z trudem rezygnuje z własnej dumy, by prosić o poparcie ludu. Szybki Mówca to całkowity przypadek, nie służy nam jako maska „na podorędziu”, ale jeżeli ci się uda, zawsze wygrasz główną nagrodę, tak więc warto ryzykować.

Mnie się udało.

Kiedy ten cały Wasilij zrobił minę idioty, albo może przestał udawać, że idiotą nie jest, uśmiechnęłam się.

- Teraz zatrudnia pan przynęty na zlecenie, Gens?

Gens się roześmiał. Jego śmiech brzmiał tak, jakby w chwili urodzin przydzielono nam konkretne ilości śmiechu, a jemu pozostawało już niewiele.

- Biedny Wasilij! - mruknął. - Dobry z niego asystent, ale nauczył się zaledwie kilku sztuczek... Mimo wszystko pomyliłaś się: to nie Mówca, tylko Niewinność, ale obie filie łączą się ze sobą i udało ci się go oszołomić... No, Wasilij, do wozu, zaraz przyjdę... Nie obrażaj się, człowieku, zrobiłeś, co mogłeś, ale masz przed sobą Dianę Blanco. Sam ją szkoliłem - dodał z dumą. - Nawet stu takich jak ty nie dałoby jej rady.

Wasilij gapił się na mnie, jakbym się zmaterializowała nago w jego łóżku w nocy, pomiędzy nim a jego żoną. Po słowach Gensa przestał i odszedł krokiem zombi. A Gens stał

przede mną, uśmiechnięty.

- Dobrze, wygrałaś. Jest tu niedaleko ładna ścieżka spacerowa, zrobmy sobie jesienną przechadzkę wokół domu pogrzebowego...

Las Columnas zawdzięczały swoją nazwę krótkiej, krętej ścieżce, przy której architekt ustawił rezultat nadmiaru wyobraźni i granitu: pół tuzina kolumn. Były to proste walce pozbawione ozdób, ale obecność Gensa zdawała się przekształcać je, w niepojęty sposób, w scenografię jakiegoś filmu o starożytnym Rzymie. Przystanął przy jednej z nich i badawczo mi się przyjrzał. Nagle poczułam się na słabszej pozycji, jak podczas próby.

- Opowiadano mi, że dokonałaś czegoś niewyobrażalnego - oznajmił. - Och, nie musisz dziękować... Dokonaaliśmy wymiany: przyjemna sesja Piękna za odpowiednią technikę... Wygrałaś jednym celnym strzałem do bramki, jak widzę. Nie uszkodził cię za bardzo, co? Parę zadrapań na twarzy, parę uderzeń i... - Wskazał laską na bandaż na ręku - co to było? Mały palec? Wiedziałem, że dzieciak jest zdolny do czegoś takiego... To prawdziwe narzędzie, ten mały: widziałem holowideo z ośrodka

psychologicznego i przekazałem raport z zaleceniem, żeby przeniesiono go do szkoły i zrobiono z niego „Artura”. Ma wszystko, co trzeba, żeby stać się kimś takim jak ty: jest ładny, sprytny, do urobienia i tak uwielbia kłamać, że nawet nie zdaje sobie sprawy, że to robi... Jakby tego było mało, przeżył rodzinną traumę.

Prawdziwy „syn Koriolana”, oddany bez reszty przyszpilaniu żywych motyli. Dobrze wyszkolony stanie się doskonałą przynętą...

- A pan będzie z nim eksperymentował jak z Claudią? - zapytałam. Gens powtórzył to imię z pewną niechęcią, jakby chcąc dowiedzieć, że wszystko mu jedno, co na ten temat powiemy, ale ja się nie wycofałam. - Pozwoli pan, że o coś zapytam? Po co pan tu dzisiaj przyjechał, doktorze? Chciał pan obejrzeć efekt swoich prób czy też może nadal czuje pan coś w rodzaju wyrzutów sumienia?

Odwzajemnił spojrzenie.

- Skoro już widzę, że przeżywasz w pełni kryzys etyczny, ja również o coś cię zapytam. Czy mogłabyś bez wyrzutów sumienia wyeliminować kogoś takiego jak Widz? Czy to wyrzuty sumienia odczuwałaś, niszcząc ten... ten oszlifowany diament czystej rozkoszy?

- Chce pan wiedzieć, co czułam? Wstręt. Do siebie samej i do tej pracy. Tak jakbym, rozgniatając owada, zdała sobie sprawę, że sama jestem owadem.

- Czułaś wstręt, bo odczuwałaś rozkosz. To nie moja wina, że od dziecka uczy się nas, że po pierwszej musi niechybnie nadejść następna. On czuł rozkosz, rozbierając cię i krępując. Jego syn odczuwał przyjemność, amputując ci palec. Ty czułaś rozkosz, niszcząc ich obu. Nigdy nie przyjęłaś do wiadomości, co to znaczy być przynętą, i dlatego jesteś w tym tak dobra.

Kręciłam przecząco głową. Nie chciałam wdawać się w jego dialektyczne gierki.

- A jak pan myśli, co czuła Claudia, gdy pojęła, że Renard nigdy nie istniał? Albo kiedy przypomniła sobie, że asystował pan przy torturowaniu jej?

- Diano - Gens podniósł do twarzy dłoń w rękawiczce - za godzinę jestem umówiony na badanie online z moim lekarzem... - wskazał na kliniczną bransoletę. - Wiesz już, że serce, że ciśnienie, wszystkie te głupie dolegliwości starych ludzi... I chciałbym już być w domu.

Więc powiedz mi, proszę, czego ode mnie chcesz?

- Chcę wiedzieć, dla kogo dotychczas pracowałam.

- Nikt ci nie mówił, że to będzie łatwa praca.

- I nigdy nie była - przyznałam. - Ale ani Claudia, ani ja nie wiedziałyśmy, że największym problemem będzie pan.

Nad naszymi głowami, na szarym niebie, rozległ się grzmot niczym pomruk oceanu.

Nagły podmuch rozwiął czarne poły płaszcza Gensa. Oboje podnieśliśmy wzrok, ale ja spuściłam oczy wcześniej.

- To przez maskę Yoricka, prawda? Pana osobiste delirium, pana obrzydliwe pragnienie, by ją odkryć... Wykopał pan potajemnie ten tunel, wynalazł psychola, albo wypożyczył go pan z jakichś archiwów, i zamknął pan Claudię, każąc jej wierzyć, że pełni prawdziwą misję. Starła się raz za razem wykonać jakąś maskę przeznaczoną dla filii Renarda, ale bez skutku i teraz już wiem dlaczego. Powiedziała mi to Claudia, choć sama nie mogła tego zrozumieć: Renard miał zawsze zasłoniętą twarz. To byli r ó ż n i ludzie, myślę się? Każdego dnia torturował ją inny typ z innym psynomem, a ona starła się usidlić ich w s z y s t k i c h jedną maską. To był pana sposób na maskę Yoricka, prawda, doktorze?

Zręczne.

Byłam pewna, że mam rację, ale Gens nie zamierzał tego przyznać. W owej chwili chyba mnie nawet nie słuchał: stał z głową dumnie uniesioną ku burzowemu niebu, albo może chciał dorównać otaczającym nas kolumnom.

- Psynom - powiedział, jakby to słowo wyjaśniało wszystko, co się wcześniej wydarzyło. - Najważniejszy krok ludzkości od czasu, gdy zyskała świadomość samej siebie.

Nie my pierwsi podejrzewaliśmy jego istnienie, to fakt. Dawni kabaliści mówili o czymś pośrednim między ciałem a duchem, nazywali to *zelem*, co niektórzy utożsamiają z goleniem, stworem wykonanym na nasze podobieństwo, rajskie podobieństwo, nośnik rozkoszy. Nie szczęścia - podkreślił. - Rozkoszy. Co może doprowadzić nas albo do najwyższego szczęścia, albo do krańcowego nieszczęścia. John Dee był kabalistą i wykorzystał znajomość tych faktów do założenia swojego Kręgu Gnostyków. Może Szekspir od dziecka był uczniem Kręgu i dlatego poczęły się w jego wyobraźni dzieła, które są niczym innym jak rytuałami wywodzącymi się z tego, czego się nauczył. Psynom... To, że ruchy czyjegoś ciała albo czyjś głos doprowadzają nas do szaleństwa lub ekstazy. Przyczyna wierzeń i namiętności.

Możliwość kontroli nad masami przez jedną osobę... I mielibyśmy teraz utrudnić eksplorację tego uniwersum z ciała i ducha jakimiś fałszywie pojętymi przeszkodami moralnymi? -

Ponownie zwrócił ku mnie spojrzenie skryte pod czarnymi oczodołami okularów przeciwsłonecznych, niepotrzebnych w tej szarej samotności dnia. - To oczywiste, że Padilla i Álvarez zaakceptowali plan! Ty też byś go zaaprobowała na ich miejscu. Nie dało się zrobić inaczej: wasze próby były bardzo ciężkie, ale w i e d z i e l i ś c i e, że to tylko próby. Przy Yoricku należało koniecznie sprawić, żeby przynęta uwierzyła, że wszystko dzieje się n a p r a w d ę. Było tam wiele krwi, tak, ale, jak mówi Koriolan, „uzdrawiającej”...

Oczywiście, że zaakprobowali... A potem zamietli pod dywan, aż temu kretynowi Álvarezowi wpadło do głowy wszystko ujawnić...

- On przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, że się zabił.

Chyba mnie nie słuchał: jego twarz wykrzywiła się z wściekłości.

- Wiesz, dlaczego postarali się zamieść sprawę pod dywan? Powiem ci: bo mi się nie udało. Gdybym osiągnął Yoricka, miałbym teraz pod sobą przynętę w całej Europie. A co osiągnąłem w zamian? Że Álvarez i Padilla podjęli decyzję o mojej oficjalnej „śmierci”, że rząd hiszpański prawie wydezynfekował miejsca, w których bywałem, a teraz... osiągnąłem to, że mnie nienawidzisz. Poniosłem klęskę. Albo raczej: to Claudia p o n i o s ł a k l ę s k ę.

Tym razem tak. Tym razem zrobiłam to.

Sekundę później spojrzałam na własną rękę, jakby wiele mnie kosztowało uwierzyć, że uderzyłam w twarz staruszka. Okulary Gensa spadły bezgłośnie na ziemię, a on sam oparł

laskę o kolumnę i zaczął ich szukać w milczeniu, może przesadnie udając, że drży, żeby wzmóc we mnie poczucie winy. Ale mnie przepełniała bynajmniej nie wina i nawet nie pogarda, jedynie bezbrzeżny, niewyczerpany smutek.

- Zawsze się zastanawiałam, dlaczego zgodziłam się zostać przynętą - powiedziałam, patrząc na jego ruchy ślepeca na trawie. - A teraz już wiem: chciałam nią być, żeby uwolnić świat od stworów takich jak pan.

Nie wróciliśmy do rozmowy, póki Gens nie założył z powrotem okularów, nie poprawił kapelusza i nie ujął laski w urękawicznioną dłoń. Potem podrapał się po policzku, który przybierał czerwoną barwę po uderzeniu mojej pięści, i zdałam sobie sprawę, że to jedyny rumieniec, na jaki ludzie w rodzaju Gensa mogą sobie pozwolić. W owej chwili zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, razem z moimi łzami.

- Dlaczego Claudia? - załkałam. - Kochała pana. Uwielbiała... Dlaczego to musiała być o n a? Boże, Gens... Dlaczego o n a?

- Właśnie dlatego. Bo mnie kochała i wiedziała, że się nie podda. Claudia stanowiła jakby część mnie. Była całkowicie oddana. Dałaby mi Yoricka...

- A pan w zamian zdradził ją... i zniszczył.

- Ale to nie przy mnie oblała się benzyną.

Gens powiedział to cicho, czym upokorzył mnie we właściwy sobie sposób.

Odpowiadało mi nawet takie okrucieństwo: mój szloch ustał. Zdał sobie najprawdopodobniej sprawę, że stoi na straconej pozycji, bo zmienił ton i udawał współczucie.

- Ale ja nie porwałem Very, chociaż pewnie sobie myślisz... Tajne eksperymenty skończyły się po klęsce akcji z Renardem. A ja jestem poza grą od lat...

- Gówno prawda: ma pan ochroniarzy, którzy znają techniki przynęt. Dlaczego? Nie pasuje to do kogoś spoza gry...

- Myśl sobie, co chcesz. Co do mnie, powtarzam, nie wróciłem do prób, ani tych zakazanych, ani tych oficjalnych. - Krople deszczu, coraz liczniejsze, uderzały w jego kapelusz. - A teraz, jeżeli już przestałaś mnie bić, muszę jechać do domu. Ten deszcz jest szkodliwy dla mojego psynomu... - Ruszył niepewnym krokiem, ale odezwał się jeszcze, nie odwracając się, jak to miał w zwyczaju: - To Padillę musisz pytać... Jeżeli ktoś coś ukrywa, on o tym wie.

Jednakże, patrząc, jak się oddala, miałam nieodparte wrażenie, że kłamie.

29

Julio Padilla był niespokojny.

Nie czuł jakiegokolwiek racjonalnej obawy wobec konkretnego zagrożenia, tylko niejasny niepokój, jak ktoś, kto czeka na bliżej nieokreślone, ale na pewno nieprzyjemne wydarzenie.

Nie znał przyczyn tego uczucia, chociaż przyznawał, że wynikły pewne kłopoty. Nie musiał mieć tytułu psychologa kryminalnego, jaki widniał na tabliczce na drzwiach jego biura, by zrozumieć, że samobójstwa Álvareza i Claudii wyrzuciły na powierzchnię zatopione kiedyś śmieci i że na dodatek grzebała w nich Diana.

Ale nie przypisywał swojego złego samopoczucia tym faktom. Te problemy były znane i dało się je łatwo kontrolować. Nie dochodzisz do pozycji szefa takiego departamentu jak Psychologia Kryminalna, jeżeli pozwalasz, by przeszkody nie dawały ci spokoju.

Może to ta wisząca w powietrzu burza, może ponury pogrzeb, z którego właśnie wracał, a wszystko zmieszane z silnym bólem głowy i wieloma nocami niespokojnego snu.

Ale nic, czemu nie dałoby się zapobiec chwilą prawdziwego odpoczynku, uznał.

Gdy się tak nad tym zastanawiał, poczuł na kolanie rękę Olgi Campos i podświadomie zerknął na szofera, który wiozł ich z domu pogrzebowego do teatru Los Guardeses, ale oczy kierowcy skoncentrowane były na drodze. Padilla odwrócił się do Olgi i popatrzył na jej pełne zmysłowe wargi.

Olga go zachwycała. Była kiedyś wybitną przynętą, a przy tym doskonałym współpracownikiem i czasami także wyjątkową kochanką. Na jakiś czas ich stosunki uległy ochłodzeniu, Padilla bowiem był żonaty i nie przejawiał najmniejszych chęci porzucenia rodziny, ale po wielu zerwaniach i pojednaniach utrzymywali obecnie serdeczny dystans i starali się wzajemnie szanować. Olga była bardzo mądra, a poza tym młoda i ambitna, Padilla zaś wiedział, że wykorzystywała go dla własnego rozwoju, podobnie jak on ją, podczas wizyt u niej w domu. Trwał między nimi swoisty rozejm, tak przynajmniej uważał, i póki wszystko tak właśnie wyglądało, niewiele go to obchodziło.

- Jak się czujesz? - zapytała Olga.

- Dobrze - skłamał. - Da się przeżyć.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - mówiła, głaszcząc go dalej po kolanie. - Ale nie

powinieneś był zapraszać Diany na pogrzeb.

- To nie ja ją zaprosiłem, tylko Seseña.

- Tak czy inaczej nie powiedziała nic, o czym Seseña i tak by nie wiedział.

Padilla przytaknął.

- Od schwytania Widza Diana zachowuje się jak nienormalna - dodała Olga tytułem wyjaśnienia. - A zniknięcie jej siostry dodatkowo nie pozwala jej odzyskać spokoju. Może wpadła w kanał. Trzeba będzie obserwować ją z bliska. Chcesz, żebyśmy się tym zajęli?

Ton jej głosu nie umknął uwadze Padilli. Wiedział, że eksprzynęta subtelnie wkrada się w jego łaski retorycznymi pytaniami, które sprawiają tak wielką przyjemność petycjofilom. Uścisnął rękę kobiety, ale jednocześnie odsunął ją od swojego kolana.

- Bardzo dobrze. Olgo, królowo, posłuchaj...

- Co takiego?

- Jestem zmęczony. Chyba mam grypę. Mogłabyś się zająć resztą spraw na dzisiaj i pozwolić mi zamknąć interes i pójść do domu?

- Jasne. Nie ma sprawy.

- Dzięki, moja piękna. Zobaczymy się jutro.

- Jutro ja zamykam interes, Julio, jest święto. - Olga nie roześmiała się, ale w każdej chwili była na to gotowa: otwarte usta z widocznymi zębami, wesoła mina.

- Zapomniałeś?

- Cholera, rzeczywiście. Pierwszy listopada, faktycznie. Zabawne.

- Co jest zabawne?

Postanowił nie odpowiadać, w rzeczywistości bowiem nie sądził, by cokolwiek, o czym myślał, istotnie było zabawne. Dotarłszy do Los Guardeses, zabrał swoje dokumenty i laptop, schował je do nesesera i odjechał do domu własnym autem. Podczas jazdy widział tu i ówdzie powykrawane dynie i krasnale pod grzybami, zwiastujące nadchodzące święto Halloween. Rzeczywiście, to przecież t e j nocy. Święto masek. Trzydziesty pierwszy dzień października, oczywiście. „W dzień taki jak ten, trzy lata temu, rozpoczął się eksperyment z Renardem - uświadomił sobie - co za zbieg okoliczności”.

Zanim Padilla dojechał do domu przy ulicy Artura Sorii, deszcz się nasilił.

Wycieraczki pracowały jak szalone, a samochód utknął w gęstym korku, jakie tworzą się w Madrycie w przeddzień każdego święta. W normalnych okolicznościach Padilla by zaklął i nacisnął klakson,

ale w owej chwili własne myśli - i ten przeklęty n i e p o k ó j -

absorbowały go całkowicie.

„Powinniśmy byli zburzyć folwark do fundamentów... Ale wszyscy sądziliśmy, że można go będzie ponownie wykorzystać... Cholera, co za absurd!” Wydawało mu się rzeczą niepojętą, że Álvarez chciałby swoim samobójstwem otwierać puszkę Pandory. Po co wieształ się w tunelu? Z powodu wyrzutów sumienia, napisał

w pożegnalnym liście. A dlaczego wyrzuty sumienia trzy lata po fakcie? To Gens był jedyną osobą odpowiedzialną za tamten eksperyment i, co gorsza, nie odniósł wówczas sukcesu. Co do Claudii Cabildo, była przecież przynętą, czyż nie? Przynęty służyły do doświadczeń i akcji. Wyrzuty sumienia? „Raczej w stosunku do ofiar, kurczę, raczej z powodu tych wszystkich, którzy cierpią!” Oczy mu zwilgotniały - w efekcie jakiegoś przedziwnego ciągu skojarzeń pomyślał teraz o swojej córce Carolinie. „Z powodu tych wszystkich, których życie zostało złamane na zawsze, u diabła, pocuj je z powodu...” W tym momencie zdał sobie sprawę, że dotarł już do Artura Sorii i właśnie minął swój dom.

Tym razem zaklął głośno. Skręcając kierownicą na rondzie, by zawrócić, zauważył, że pocą mu się ręce. Możliwe, że poza wszystkim innym naprawdę łapie go jakaś grypa.

Jego dom, jeden z ostatnich wybudowanych tu po renowacji dawnej alei, wyposażony był w najnowocześniejsze systemy bezpieczeństwa. Miał wszystkie cechy typowej rezydencji z dzielnicy willowej, z ogródkiem, garażem i psem. Padilla wystukał kod na pilocie, otworzył

bramę garażu i wprowadził samochód, pozostawiając za sobą ulewny deszcz. Ucieszył się, że honda jego syna, Álvaro, stoi w garażu - chłopak był już w domu. Uświadomił sobie, że Álvaro idzie wieczorem na imprezę i najprawdopodobniej wyszedł wcześniej z uczelni. Myśl o imprezie nie ucieszyła go: oznaczało to, że syn wyjedzie wkrótce na motorze i wróci nad ranem po sporej dawce alkoholu. Choć wiedział, że Álvaro jest ostrożny, ten plan nie bardzo mu się podobał. Ponadto istniał pewien palący problem w związku ze świętem, więc przygotował się do walki zaraz po wejściu do domu.

Álvaro, osiemnastoletni chłopak, wysoki i przystojny, przeglądał w salonie pliki muzyczne w komputerze przy telewizorze, aby przenieść je na swój nośnik, na pewno na wieczorną imprezę. Klęczał odwrócony tyłem do drzwi, a jego długie nogi wystawały z nogawek bermudów. Dźwięki muzyki zagłuszały wszystko.

- Ścisz to, Álvaro - krzyknął Padilla.

- Szybko wróciłeś, tato. - Syn nawet nie odwrócił głowy, wykonując polecenie.

- Wziąłem dzień wolny. A gdzie mama?

- Nie wróciła. - Tym razem Álvaro, owszem, popatrzył na ojca z uśmiechem. - J e s t wcześniej.

- Tak.

Rebeca, żona Padilli, była adwokatem i pracowała w kancelarii. Padilla poznał ją na wydziale prawa, gdzie sam studiował przez kilka semestrów. Czasami Álvaro śmiał się z ojca, mówiąc, że „studiował wszystko to, czym się potem w ogóle nie zajmował”, na przykład prawo i zarządzanie. Po części ironia była słuszna, bo jego pozycja na czele Departamentu Psychologii Kryminalnej nie wiązała się z posiadaniem wykształcenia w którejś z tych dziedzin, a studia z psychologii zrobił już po mianowaniu go na stanowisko. Ale diabeł

dobrze wiedział, czego trzeba, by kierować takim departamentem, i dlatego, jak przypuszczał, wybrał jego.

Zdjął płaszcz, odwiesił go do szafy w przedpokoju i sprawdził, czy wszystkie systemy ochrony, na które składały się też czujniki zachowania, działają. Robił to odruchowo, ale tym razem skontrolował wszystko szczególnie starannie. Nadal był niespokojny. Z korytarza dochodził szum deszczu, który lał się na ganek jak z prysznicza w łazience.

- Wychodzisz wieczorem, Álvaro?

Syn odwrócił się i spojrzał na niego jak na wariata.

- Dzisiaj jest Halloween, tato. Jest impreza. O co ci chodzi?

- Nie, o nic. A co w końcu postanowiłeś w sprawie siostry?

Álvaro westchnął, ale Padilla osiągnął przynajmniej tyle, że tym razem syn nie zapytał, czy o coś mu chodzi.

- Tato, umówiłem się z Michelle na Plaza de Castilla o dziesiątej, jasne? Jadę motorem. Już ci o tym mówiłem, nie mogę zabrać Caroli.

- Możesz - uciął Padilla, wpadając w gorszy humor, niżby chciał. - Weźmiesz samochód matki, zawieziesz ją o dziewiątej i wrócisz w samą porę po twój przeklęty motor i przeklętą Michelle... Potem ją ją odbiorę. Twoja siostra ma prawo do rozrywki.

- Świetnie, więc to wy ją zawieźcie!

- Nie będę z tobą dyskutował, Álvaro. - I naprawdę tego nie chciał, ale usłyszał

odpowiedź syna.

- W zeszłym tygodniu powiedziałeś, że postarasz się ją zawieźć.

Zapomniał o tym. Ten cios poniżej pasa w jego pamięć sprawił, że zarumienił się i w lustrze w przedpokoju dostrzegł całą swoją jajowatą ogoloną głowę w kolorze różowym.

Normalnie nie był przecież taki. Co się z nim dzieje? To niewątpliwie ten niepokój. Ale z jakiego powodu?

Postanowił odłożyć dyskusję i poszedł do sypialni, żeby się przebrać, ale wtedy zauważył służącą wychodzącą z pokoju Caroliny i zdał sobie sprawę, że córka także już wróciła ze szkoły i jest w domu.

Padilla przepuścił dziewczynę i wszedł do pokoju córki jakby w poszukiwaniu tlenu.

Jasne, dobrze oświetlone pomieszczenie miało ściany w kolorze turkusowoseledynowym.

Carolina siedziała na wózku inwalidzkim z elektrycznym napędem, przed sztalugami, i przesuwała delikatny pędzel, pachnący akwarelami, podobnie jak cały pokój. Padilla ucieszył

się na ten widok. Patrzył na córkę z niesłabnącą dumą: długie, gładkie włosy, jasne jak u Rebeki, niebieskie oczy i okrągła twarz odziedziczone po nim, pomarańczowa bluzka i czarny kostium gimnastyczny używany przy rehabilitacji. Niewtajemniczony obserwator oceniłby, że nie była to najpiękniejsza na świecie czternastolatka, ale Padilla uważał, że uroda jest także kwestią poznania duszy. A Carolina, wewnątrz i na zewnątrz, była najpiękniejszą istotą, jaką znał.

- Cześć, tatusiu, wczesnie wróciłeś.

- Cześć, córeczko. - Chwilę później zorientował się, że może z powodu nerwów przesadził z powitaniem: chwycił córkę w swoje potężne ramiona i ucałował w głowę, przeszkadzając jej w malowaniu.

- Co się stało? - spytała zaskoczona Carolina, nie przestając się uśmiechać, ale z wyrazem wątpliwości na twarzy. - Coś w pracy?

- Nie, nic. Po prostu cieszę się, że cię widzę.

Nigdy nie rozmawiał o pracy. Nawet Rebeca wiedziała jedynie tyle, że mąż kieruje wyspecjalizowaną jednostką do określania psychologicznych portretów przestępców. Świat przynęt stanowił odrębną całość i Padilla nigdy nie mówił o tym w domu.

„Nie, nic, nic mi nie jest - myślał, obejmując córkę.

- Dzisiaj pochowaliśmy przynętę i stąd te nerwy. Ale nic już nie można poradzić”.

Zaakceptowanie tego, co Victor Gens zrobił z Claudią Cabildo, było błędem, zgoda, ale co z tego? Álvarez także na to pozwolił, choć udał, że umywa ręce. A gdyby ten kretyn wybrał

sobie inne miejsce, żeby się powiesić, sprawa nie znalazłaby się teraz na biurku Seseñi. Ale to także nie problem. Olga ma rację, obecny rząd zna przypadek Claudii i nie ma zastrzeżeń.

Jedyne, czego chce, to zapomnieć o sprawie. Co do Diany zaś, to zajmą się nią, zatkają jej gębę pieniędzmi, jak zawsze, albo będą wywierać naciski przez Miguela Laredo. Nikogo nie interesuje zmartwychwstanie spraw dawno umarłych, nie można lepiej powiedzieć.

„Uspokój się. Wszystko w porządku. Trzeba tylko rozwiązać kilka spraw...”

- Ja też się cieszę, że cię widzę, tatusiu - odezwała się Carolina, wciąż pełna energii. -

Co o tym sądzisz? - Pokazała mu swoje dzieło, a Padilla wypuścił ją z objęć, ale wciąż się nad nią pochylał, żeby móc ucałować ją w policzek po obejrzeniu obrazu.

- Genialne - stwierdził. - Ale anioł jest za poważny.

- Dlatego, że jest aniołem. Nie śmieje się i nie płacze. To będzie miało tytuł: *Zmartwychwstanie*. Przepięknie ci to wyszło, królowo.

Padilla obserwował w zamyśleniu postać w długiej białej szacie ze skrzydłami i rozpostartymi ramionami, unoszącą się nad morzem. Bolało go to, że Carolina zawsze umieszczała motyw wody na swoich obrazach: morze, jezioro... Tak jakby starała się zmierzyć z pamięcią o katastrofie: gdy w wieku sześciu lat głupi upadek na brzegu basenu w poprzedniej szkole spowodował pęknięcie rdzenia kręgowego. To właśnie wtedy Padilla objął

stanowisko dyrektora Departamentu Psychologii Kryminalnej i dlatego czuł w sobie dość energii i zimnego wyrachowania, by posłać jakąś dziewczynę, będącą czasami w wieku jego córki, na polowanie na potwora. Przynęty to przynęty, pracowały właśnie po to, by inni, chłopcy, dziewczyny, mogli żyć spokojnie, do diabła z tym. Był o tym głęboko przekonany i uważał, że tak było zawsze; wypadek córki nie miał na to żadnego wpływu.

Patrzył wciąż na obraz. „Zmartwychwstanie”, pomyślał.

Carolina coś do niego mówiła.

- ...żeby umieścić Thaisę, ale w końcu postanowiłam zostawić to tak...

- Kogo?

Westchnęła trochę żartobliwie.

- Tatusiu, nie znoszę, jak mnie nie słuchasz.

- Przepraszam.

- Mówiłam, że chciałam umieścić Thaisę w ramionach anioła, ale w końcu tego nie zrobiłam. Wiesz, kim jest Thaisa? Thaisa, żona tego księcia z książki, którą mi dałeś...

Po chwili przypomniał sobie. Podarował Carolinie napisany prozą tom opowiadań na motywach dzieł Szekspira. Wśród nich znalazł się *Perykles*. Było to jedno z ostatnich dzieł, pełne przygód, magii i miłości. Gens widział w nim szyfr do filii Padilli, do Petycji, zwłaszcza w niesamowitej scenie ponownego spotkania bohatera z córką. Ale Padilla nigdy nie powiedziałby o tym Carolinie.

- Wyszło bardzo dobrze - zapewnił, starając się ukryć złe samopoczucie, jakie ogarnęło go na wspomnienie tego starego dziwaka. - Nie musisz tu nic dodawać...

- Tatusiu, wiem, co ci dolega.

Powaga w głosie córki sprawiła, że ponownie na nią spojrział. W ogrodzie Pirat, golden retriever, obszczekiwał przechodniów mimo deszczu.

- Chodzi o moje wyjście na imprezę wieczorem, prawda? Słyszałam twoją dyskusję z Álvarem i naprawdę nie chcę, żeby mnie tam zawoził, nie chcę, żeby się na mnie obrażał...

Padilla miał już coś powiedzieć, kiedy gdzieś zadzwonił telefon. Usłyszał głos Álvara:

„Tata, do ciebie!”. Ucałował ponownie córkę i skierował się do drzwi.

- Pogadamy potem - rzekł, wychodząc - ale pojedziesz na tę imprezę klasową, Carola, wszystko jedno, kto cię zawiezie. Wiem, że będziesz się dobrze bawiła.

Córka zgodziła się. W przeciwieństwie do Álvara ona nigdy nie protestowała. Może dlatego, że, jak mawiał jej brat, „zawsze osiągała swój cel”. Z tą wesołą myślą w głowie Padilla, czując się już lepiej, skierował się do sypialni, gdzie znajdował się najbliższy telefon.

„Numer nieznanym”, odczytał na wyświetlaczu.

- Słucham - powiedział do słuchawki.

Po chwili zakłopotania odłożył ją. Nic nie usłyszał. Pewnie jakaś pomyłka.

Wstał i przeszedł z sypialni do gabinetu.

„Nic się nie stało. Tylko że są sprawy do załatwienia...” Włączył komputer na biurku i otworzył pocztę. Wysłał plik na określony adres i zamknął pocztę. Wrócił do sypialni, pogwizdując jakąś melodię, i przypomniał sobie, że w samochodzie zostawił neseser. Miał

czas, żeby po niego pójść. Dużo czasu. Przedtem trzeba go dobrze wykorzystać. Pochylił się nad czujnikiem telefonu.

- Telefony - powiedział - wyłączenie.

Obserwował z rozbawieniem, jak światełka wszystkich kanałów po kolei gasły. Potem przeszedł do salonu, gdzie Álvaro nadal przegrywał pliki muzyczne, które słyhać było w całym domu, i wyłączył czujniki ochrony. Zawahał się, patrząc na syna. „Nie, jeszcze nie. Po pierwsze to, co po pierwsze...”

Wszedł do kuchni. Służąca Amelia z przymkniętymi oczami manipulowała przy ekranie dotykowym kuchenki mikrofalowej. Padilla zaczął się za nią, wysunął szufladę i wyjął z niej podłużny przedmiot. Pochylił się ku dziewczynie.

„Po pierwsze, zanim po drugie...”

Pozostawił Amelię na podłodze w czerwonej kałuży, która ubabrała mu buty i brzeg spodni, i wrócił

do salonu drugimi drzwiami. Syn nadal siedział odwrócony tyłem, całkowicie pochłonięty sprzętem muzycznym. Padilla zbliżył się do niego krokiem miękkim, ale zdecydowanym, z ociekającym krwią nożem do mięsa w ręku.

*

Carolina Padilla wykańczała swój obraz, kiedy jej uwagę zwrócił jakiś hałas, jakby gdzieś w domu coś się przewróciło.

- Co się stało? - krzyknęła.

Nikt nie odpowiedział. Może nie usłyszano jej, bo drzwi do pokoju były zamknięte, a w salonie słychać było muzykę, którą przegrywał brat. Na zewnątrz Pirat ujadął bardziej niż zwykle, a deszcz nie ustawał.

Wywnioskowała z tego, że to widocznie nic poważnego. „Pewnie to znowu Amelia.

Kolejna ozdoba do śmieci”. Uśmiechnęła się i wróciła do obrazu. Po chwili uznała, że zmęczyło ją malowanie, odłożyła pędzel do niewielkiego naczynia z wodą, w którym stały już inne, i wytarła ręce. Była bardzo staranna i czysta, lubiła mieć wszystko poukładane i w jej pokoju panował niepokalany porządek. Wiele lat wcześniej brat, krytykowany przez rodziców za bałaganiarstwo, kpił z niej: „Carola nie robi bałaganu, bo się nie rusza”. Była awantura, krzyki, płacz mamy. Ale ona nie poczuła się dotknięta tym okrutnym zdaniem. Bardzo kochała Álvara i wiedziała, że on odwzajemnia to uczucie. „To dlatego, że jest chłopakiem -

myślała - chłopcy wszyscy są tacy głupi”. Nie zamierzała bynajmniej psuć mu imprezy wieczorem.

Spojrzała na zegarek i zorientowała się, że Amelia powinna lada moment zapukać do drzwi, żeby powiedzieć, że obiad czeka. Ją zawsze powiadamiano, brata nigdy. Carolina nie znosiła, kiedy rodzice traktowali ją w „specjalny” sposób. Czasami myślała, że bardziej ich obchodzi jej inwalidztwo niż ona sama: poświęcali czas i pieniądze na zapewnienie jej rozlicznych seansów rehabilitacyjnych czy nieznosnych i niepotrzebnych terapii z zastosowaniem tak zwanych komórek macierzystych. Dlaczego nie akceptowali jej taką, jaka była? Przeszkadzało jej to, ale nie wiedziała, jak im to powiedzieć, żeby się nie obrazili.

Wydawało jej się, że ktoś podchodzi do drzwi. Na pewno Amelia. Ale ktokolwiek tam stał, nie miał odwagi wejść. Zastanawiała się, czy to aby nie brat chce jej spłatać figla.

- Słyszę cię - powiedziała głośno, uśmiechając się.

Nikt nie odpowiedział. Miała włączyć pilota wózka, żeby podjechać do drzwi, gdy nagle coś na obrazie przykuło jej uwagę.

Tata miał rację: anioł jest za poważny. Namalowała go z ramionami tak szeroko rozpostartymi, że nie sprawiał wrażenia, by chciał nimi kogoś osłonić, ale raczej jakby zamierzał pochwytać niewinną ofiarę. Jego palce rozwierały się niczym szpony.

J e s t e ś m o j a , C a r o l i n o .

Był źle namalowany, nierzeczywisty. Tylko jego oblicze przyciągało uwagę, bo choć wyglądało na poważne, Carolinie wydało się, że w jego oczach dostrzega jakiś błysk...

Drzwi się otwarły z hukiem i postać, która, zataczając się, wtargnęła do pokoju, okazała się także źle wykonana i nierzeczywista. Wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu grozy, zalana krwią, z uniesionym nożem. Carolina nawet nie krzyknęła. Po prostu n i e u w i e r z y ł a własnym oczom. Czyjeś szpony pochwyciły jej bluzkę, poczuła, że jakaś siła ściąga ją z wózka, że jej bezużyteczne nogi tańczą w powietrzu jak odnóża kalmara, a potem upada na plecy na łóżko, na którym sypiała. Nie czuła bólu: była jakby odłączona od tego, co się dzieje, obserwowała wszystko jak fragment własnego obrazu. A kiedy ten człowiek rzucił się na nią i przygniótł swoim sapaniem, odorem surowego mięsa, zwierzęcymi ruchami, i zaczął ściągać z niej spodnie od kostiumu, Carolina zdała sobie sprawę, że to nie jej ojciec, t o n i e m o ż e b y ć o n , ale anioł. Wiedziała to, bo w oczach anioła dostrzegła to samo, co widziała teraz, z bliska, w oczach tego człowieka.

Rozkosz.

30

Spędziłam resztę popołudnia, zadając sobie te same pytania. Dlaczego czuję, że Gens coś ukrywa? Czy może wie, gdzie znajduje się Vera? Co mam myśleć o porwaniu Elisy? Czy zniknięcie obu dziewczyn wiąże się z przypadkiem Renarda?

Próbowałam rozmawiać z Padillą, ale w los Guardeses powiedziano mi, że wziął

wolny dzień, a ja nie znałam jego prywatnego telefonu. Moją jedyną nadzieją był Miguel. Ale także nie odbierał telefonu. Zostawiłam mu wiadomość. Zadzwoił, kiedy już zmierzchało.

Wydawał się zadowolony, przeproszał, że nie odezwał się wcześniej, i zaproponował

spotkanie w meksykańskiej knajpcie przy Princesa, którą oboje lubiliśmy. Nie miałam właściwie ochoty wychodzić na kolację, ale Miguel zapewnił mnie, że jedynie szuka jakiegoś miłego miejsca, gdzie moglibyśmy porozmawiać. W końcu zgodziłam się, włożyłam kurtkę i przejechawszy przez cały zimny, złany deszczem Madryt, znalazłam się w restauracji wcześniej niż on. Musiałam przyznać, że nastrój w lokalu, dosyć pełnym w tę wigilię Halloween, oraz wspomnienie poprzednich wizyt tutaj i pierwsze łyki margarity ożywiły mnie. Przeglądałam kartę zawierającą zdjęcia potraw, gdy zobaczyłam czyjs cień i podniosłam wzrok. To był on.

- Cześć, kochanie.

- Cześć.

Wyglądał rewelacyjnie w opalizującej czarnej koszuli, ze swoimi kręconymi, śnieżnobiałymi włosami i dobrze przyciętą brodą. Jego uśmiech rozgrzał mnie bardziej niż koktajl. Dotarło do mnie nagle, że spotkanie tutaj było dobrym pomysłem.

Miguel złożył szybkie zamówienie, a potem zamienił się w słuch. Zaproponowano nam stolik w pobliżu kuchni, więc słyszeliśmy głosy kelnerów, byliśmy tu jednak oddaleni od gwaru rozmów i śmiechu innych klientów, a świat i tak przestał dla mnie istnieć, kiedy opowiadałam Miguelowi o spotkaniu z Gensem i moich podejrzeniach co do zniknięcia Very.

Miguel gładził mnie po obandażowanej ręce. Przypomniałam sobie podobny gest Maria Valle, w innym lokalu, zdawałoby się, że całe wieki wcześniej. Kiedy skończyłam mówić, Miguel głęboko westchnął.

- Chcesz wiedzieć, co dokładnie o tym myślę?

- Tak jak byśmy byli w „pokoju szczerości”.

- Sądzę, że sama się pchasz w ślepy zaułek, kochanie.

- Okay. To odpowiedz mi na pytanie: znałeś prawdę o Renardzie?

- Nie. - Patrzyłam prosto w jego piękne oczy i widziałam w nich wyłącznie szczerość, jak w lustrach odbijających moje uczucia. - Nic o tym nie wiedziałem, przysięgam. Ale będę z tobą szczery, Diano, wcale mnie to nie dziwi. Przeprowadzano próby z przynętami na całym świecie... Poczekaj, daj mi skończyć... Jeżeli mnie zapytasz, jak się na to zapatruję z etycznego punktu widzenia, powiem ci, że to naganne, zgoda? Czy sądzę wobec tego, że należy wywołać skandal, powiadomić media, złożyć oficjalne doniesienie? Nie, nie sądzę.

Nie przypuszczam także, aby to, co się stało z biedną Claudią, miało cokolwiek wspólnego ze zniknięciem twojej siostry... Zafałszowane dane w komputerach? Wybacz, że to mówię, ale słowa psychologa, którego właśnie wyeliminowałaś, nie wydają mi się godne zaufania...

Początkowo jego opinia tak mnie wyprowadziła z równowagi, że nie byłam zdolna do odpowiedzi. Po chwili jednak odezwałam się:

- Miguel, profesor Gens sfingował porwanie naszej koleżanki Claudii i torturował ją przez miesiąc pod pozorem naukowego eksperymentu. Czy to jest jedynie „naganne”?

- Wszyscy przechodziliśmy przez trudne próby podczas naszych...

- To nie była jakaś p i e r d o l o n a próba!

Wiele twarzy zwróciło się w naszym kierunku. Pomyślałam z okrutną radością, że może są tu gdzieś agenci tajnych służb i następnego dnia pojawią się w gazetach nagłówki:

„Dwie przynęty aresztowane nad talerzem nachos z sosem guacamole za rozmowę podniesionym głosem o tajnych operacjach”. Przyglądałam się przez chwilę dziewczynie, która wpatrywała się we mnie ze zdumieniem, przymierzając bransoletkę, i przypominałam sobie, że w tej restauracji kobietom wręcza się pod koniec kolacji tandetną biżuterię rzekomo w stylu azteckim. Dziewczyna odwróciła wzrok.

Na szczęście Miguel znalazł mnie i nie odpowiedział na mój protest jakimś „nie krzycz, proszę”, „wszyscy na nas patrzą” czy innym podobnym idiotyzmem, które tylko zachęcają do dalszych krzyków. Milczał i maczał nachos w sosie guacamole. Potem wytarł ręce serwetką i upił łyk wina.

- Diano, kochanie, nic z tego, co robią przynęty, nie jest normalne, zgodzisz się chyba?

- Nie musisz mi o tym przypominać.

- Nasza praca polega na fikcji, na teatrze, na oszukiwaniu...

- Ale są sprawy prawdziwe. Nasze uczucia są prawdziwe. To, co trwa między nami, jest prawdziwe.

- Tak, to, co trwa między nami, jest prawdziwe - przyznał, patrząc na mnie.

- I nasza godność jako istot ludzkich także.

- Wybacz, ale czy myślałaś o swojej godności istoty ludzkiej, kiedy przygotowywałaś się do polowania na Widza? Nie pragnęłaś oddać mu się w pełni? - Wyczułam nagle jakieś emocje pod pozorami spokoju: wylewał na mnie całe swoje rozdrażnienie. - Co robi dziewczyna, którą kocham, ta, która postanowiła raz na zawsze porzucić pracę, żeby zacząć ze mną nowe życie? Biegnie do rzeźni i kładzie głowę pod topór. - Pokręcił głową. - Staram się tylko wyjaśnić ci, że to, co robimy, jest całkowicie nienormalne, ale godzimy się na to.

Nawet nam się to podoba. A kiedy przestaje się nam podobać, jak w moim przypadku, wtedy do widzenia. Odchodzimy. Nikt nikogo nie zmusza do pozostania.

- Claudię zmuszono.

- Nie: tylko ją okłamano. Była gotowa oddać się Renardowi, ale Gens wybrał ją do czegoś więcej niż tylko do powstrzymania jednego szaleńca: wybrał ją, bo chciał odkryć, jak można powstrzymać ich wszystkich. I jeżeli ktokolwiek mógł dać Gensowi maskę Yoricka, to jedynie ona. Claudia była jedną z najlepszych przynęt, nie tylko w kraju, w całej Europie.

Podobnie jak ty.

Ostatnie zdanie wypełniło powietrze jak intensywny zapach. Popatrzyliśmy na siebie.

- Ale Gens wybrał ją - powiedziałam.

- Z czego ja w duchu bardzo się cieszę.

Zaniemówiłam wobec tej prostej, strasznej deklaracji.

Miguel dodał:

- Przykro mi z powodu Claudii. Mam dla niej tyle samo współczucia ile dla żołnierza, który ginie od strzału, bo walczy za mnie. To współczucie... ale także ulga, że to nie byłaś ty.

„Dzięki Bogu, myślę sobie, dzięki Bogu, że to ona, a nie Diana”. - Wzruszył ramionami. -

Moja miłość jest po prostu egoistyczna.

Przyniesiono nam główne danie, ale ja siedziałam nieruchomo, wpatrzona w obrus.

- Nawiasem mówiąc, chciałem ci powiedzieć co innego - odezwał się Miguel tonem, który miał wzbudzić moje zaciekawienie. - Poszukiwania Very utknęły w martwym punkcie, bada się obecnie możliwość, że po prostu wyjechała.

Podniosłam wzrok, zszokowana. Miguel wyjaśnił mi, że Vera posłużyła się jedną ze swoich poprzednich tożsamości służbowych, by wykupić bilet do Londynu. Dążyła się zgadzała, zaczęto już wydzwaniać do wielkich angielskich szkoleniowców, by dowiedzieć się, czy może jest u któregoś z nich.

- To typowe dla twojej siostry - dodał - obraziła się na ciebie i postanowiła dać nam wszystkim do wiwatu...

- Mój Boże - czułam nieomal fizyczną ulgę. - Mój Boże.

- Chciałem sam ci przekazać tę dobrą nowinę.

Uścisnęłam jego rękę i postanowiłam go nie oszukiwać.

- Czuję się lepiej. Moja miłość pewnie też jest egoistyczna...

Miguel pochylił się, żeby mnie pocałować w czoło, a ja powstrzymywałam łzy. Po chwili dodał cicho, ale tak wyraźnie, jakby otaczała nas leśna cisza:

- Chciałbym, żeby to było dla ciebie jasne, kochanie: bez względu na to, co postanowisz, będę cię wspierał. Jeżeli chcesz z powodu Claudii rozszarpać obrus, zrobimy to razem.

- Kocham cię - wyznałam.

- Ja ciebie też. Ale nasze tacos de Jalisco stygną.

I od tej chwili wieczór odwrócił się na moją korzyść. Nie chodzi o to, że uwierzyłam do końca w to, że sprawa z Verą rozwiąże się tak prosto, ale sama możliwość, że mogło się tak stać, uspokajała mnie. I wydawało mi się to możliwe: moja siostra niejednokrotnie wyrażała pragnienie uczenia się w teatrach Scotland Yardu. Przypomniałam sobie, że w planach miała kursy u Sophie Atanassio, jednej z największych specjalistek od masek Nieuświadomianej Relacji. Pamięć podsunęła mi wydarzenie z przeszłości. Vera w Los Guardeses, ubrana jedynie w rękawiczki, ćwicząca technikę „Blush” dla maski Negocjacji, mówiąca: „Chcę wiedzieć, czemu w tej fazie to nie wychodzi. Chciałabym to wyjaśnić z profesorem Atanassio”.

„Och, mój Boże, mój Boże, Vera - myślałam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu -

niech cię diabli. Dowiesz się, jak wrócisz... Przeczytam ci liścik...” Kolacja była wyśmienita. A jeszcze wyśmienitsza była chwila, gdy na propozycję kelnera polecającego na deser tort malinowy Miguel odparł, patrząc na mnie:

- Deser wolałbym chyba skonsumować gdzie indziej.

Nawet kelner roześmiał się wraz z nami. Miguel miał sposób mówienia, który wszystkich zachwycił, a ja zdałam sobie sprawę, że spędzenie z nim nocy było tym, na co właśnie miałam ochotę po tym potwornym dniu. Zaproponował, byśmy pojechali do mnie, każde oddzielnie, jako że oboje przyjechaliśmy samochodami, a on musi z samego rana jechać do Los Guardeses. Zyskałam w ten sposób czas na przeanalizowanie wszystkiego podczas samotnej jazdy po szerokich alejach w centrum, gdy raz po raz zerkałam w lusterko wsteczne, by sprawdzić, czy światła jego samochodu wiernie suną za mną. Od czasu do czasu mijałam rozbawione grupy przebierańców, jak gdyby Halloween stało się dla Madrytu czymś w rodzaju drugiego karnawału.

Zastanawiałam się, co mogę zrobić w sprawie Claudii, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nie pierwszy raz zresztą ktoś powiązany ze światem przynęt zdradza jakieś sekrety.

Nigdy jednak nie osiągnięto konkretnych rezultatów z dwóch powodów. Po pierwsze, wszyscy woleliśmy raczej zachować milczenie, jak milczy się w przypadku wspólnie popełnianych grzechów. Mieliśmy świadomość, że istnieją śmieci, ale także tego, że jedyne, co można z nimi zrobić, to wyrzucić je do kosza i poddać recyklingowi.

A po drugie: pojęcie psynomu jest zbyt skomplikowane dla mentalności zwykłych ludzi. Nawet niewyspecjalizowani psycholodzy, jak doktor Valle, mają trudności, żeby uznać wszystkie konsekwencje, jakie ze sobą niesie. To, że narkotyk wywoła halucynacje - zgoda, ale to, że jakiś gest, ton głosu czy przelotne pokazanie części ciała doprowadzą do szaleństwa

- to trudne do uwierzenia. To rzecz nie z tego świata. Wiadomość anonsująca podobny fenomen prawdopodobnie wywołałaby nie mniejszą sensację niż informacja, że CIA ukrywa dowody na lądowanie kosmitów.

A co by się stało, gdybym, mimo wszystko, zdecydowała się mówić? Gens oficjalnie nie żył, a skandal i tak nie zwróciłby życia Claudii. Stałabym się donosicielką, osobą zadżumioną, a to na początek zaszkodziłoby karierze Miguela, nie mówiąc o zagrożeniu dla naszego życia czy życia Very. Przynęty to niesłychanie delikatny świat. Należymy, żeby tak to ująć, do „genitalności” Systemu, którego żywotne miejsca łatwiej zaatakować niż miejsca wrażliwe: zapewne można doprowadzić do uwięzienia ministra, dymisji szefa rządu czy upadku całego rządu, ale ostrożnie z dobieraniem się do jaj Systemu.

Gdy dojeżdżałam do domu, nadal gnębiły mnie wątpliwości, postanowiłam jednak zostawić swoje przemyślenia w zaparkowanym samochodzie. W owej chwili obchodziło mnie tylko jedno: być z Miguelem. Czułam się zrelaksowana chyba po raz pierwszy od chwili, gdy Vera zniknęła, i nie chciałam tracić ani sekundy. Bez dłuższych wstępów przeszliśmy od pieścot do łóżka i Miguel kochał się ze mną, a ja wpatrywałam się w jego twarz piękniejącą z każdym oddechem i pieściłam jego szerokie ramiona. Czułam, że z każdym pocałunkiem ulatywały istniejące między nami różnice, a

zostawały jedynie piękne wspomnienia, i jęczałam przygnieciona jego ciałem na wąskim łóżku w mojej sypialni, pragnąc, by to wszystko nigdy się nie skończyło. A gdy się jednak skończyło, w jakiś sposób trwało nadal, bo oboje byliśmy podnieceni i wydawało nam się, że mamy dla siebie całą noc, więc możemy pozwolić sobie na chwilę przerwy. Chociaż chciałam go przekonać do wspólnego prysznica, rozbawiło mnie, w jaki sposób powiedział: „Ty idź pierwsza, daj mi odetchnąć”. I śmiałam się sama do siebie w łazience na samą myśl, że go kocham, że chcę z nim być, i myślałam o tym nadal, wychodząc z łazienki, wycierając się ręcznikiem w powietrzu pełnym pary, i nawet wówczas, gdy poczułam ucisk lufy pistoletu na karku i zobaczyłam w lustrze, z którego stopniowo zniknęła para, starannie mierzącego we mnie Miguela Laredo, gotowego do strzału.

*

- Nie ruszaj się, Diano. Żadnego ruchu.

Nie ruszyłam się, naturalnie. Nie mogłabym, nawet gdyby mi nie groził.

Wpatrywałam się w lustro z ręcznikiem w ręku, z mokrymi, rozczochranymi włosami.

- A teraz owiń ręcznikiem głowę.

- Ręcznikiem - wybąkałam głupio.

- Tak. Głowę. I nie odzywaj się. Zrób to szybko, nie odwracając się.

Zachciało mi się śmiać, sama nie wiem czemu. Może dlatego, że to wszystko wydawało się śmieszne. Dopiero co skończyliśmy się kochać, całować, szeptać czułe słówka.

Miałam nadal obok siebie Miguela Laredo i jego głos; choć wyczuwało się w nim napięcie, pozostawał tym samym głosem, którym uspokajał mnie, gdy sypialiśmy razem i budziłam się nagle po niespokojnym śnie.

- Na głowę, Diano - powtórzył. - Ręcznik. Albo strzelam.

Wykonałam polecenie. Świat nagle zwilgotniał i zapachniał zelem pod prysznic.

Poczułam rękę obejmującą mnie w talii i dałam się ciągnąć jak ślepa tancerka w gwałtownym walcu. Moja bosa stopa nadepnęła na jego but i zorientowałam się, że kiedy brałam prysznic, Miguel ubrał się całkowicie. Na szczęście moje mieszkanie jest małe i nie ma w nim korytarzy między pokojami ani innych przeszkód niż drzwi.

W sypialni usłyszałam kolejne instrukcje: uklęknęłam na łóżku z rękami podniesionymi do góry i ręcznikiem na głowie. Duch spod prysznica. Przypominałam sobie próby *Cymbelina* na folwarku, gdy grałam okryta jedynie prześcieradłem.

I znowu lufa przy skroniach. Jego głos szepecący mi wprost do ucha. Gdy mówił, zbliżył twarz do ręcznika, ale nie dotykał mnie bezpośrednio.

- Wiem, do czego jesteś zdolna, Diano. I masz świadomość, że ja wiem. Oboje jesteśmy zawodowcami. Możesz mnie usidlić szybkimi maskami, ale ostrzegam cię, że będziesz musiała być bardzo szybka. Jeżeli spróbujesz i ci się nie uda, nie powstrzymasz mnie od strzału. Wierz mi, ten ręcznik chroni bardziej ciebie niż mnie. Jasne?

Odpowiedz, tak czy nie?

Wymamrotałam szybkie, obojętne „tak”. Rozumiałam aż za dobrze. Filia Miguela to Negocjacja, a jego słaby punkt to relacja przynęta-więzień. Maski wymagały, by moje ciało, zwłaszcza twarz, pozostawały doskonale widoczne, tak więc ręcznik stanowił środek zapobiegawczy na wypadek, gdybym chciała go usidlić. To przekonało mnie, że sprawa wygląda poważnie. Wpadłam w przerażenie.

Jego palce puściły mnie, ale pistolet nadal tkwił przy mojej głowie. Uspokoiliam się, odzyskując oddech. Nie widziałam przed sobą nic poza światłem nocnej lampki prześwitującym przez tkaninę. Gdy spoglądałam w dół, widziałam swoje falujące piersi i nasadę ud. Trzymałam ramiona na pewnej wysokości, tak jak mi kazał. Obandażowana ręka bolała.

Nagle usłyszałam jego głos.

- A teraz powiedz mi: co robiłaś dzisiaj po pogrzebie?

- Widziałam się z Victorem Gensem w domu pogrzebowym, rozmawiałam z nim...

Wiesz przecież... Potem wróciłam do domu. Dzwoniłam do ciebie wielokrotnie, ale nie odpowiadałeś. Potem sam zadzwoniłeś...

- Byłaś tutaj cały czas?

- Tak.

- Możesz tego dowieść?

- Dowieść? - jęknęłam. - Nie... Nie wiem... Byłam sama... Miguel, o co chodzi?

Zapadło milczenie. Tak długie, że zaczęłam się już zastanawiać, czy Miguel nie odszedł. Wtedy ponownie usłyszałam jego głos, beznamiętny, jakby się modlił.

- Padilla nie żyje. Dzisiaj w południe, po powrocie z pogrzebu, u siebie w domu, wziął

nóż z kuchni, zarznął służącą i syna, a potem zgwałcił swoją sparaliżowaną czternastoletnią córkę, zanim ją także zamordował. Potem wykuł sobie oczy i poderznął gardło. Żony nie było wówczas w domu, co uratowało ją przed tą jatką.

Na samo wyobrażenie tej sceny zjeżyła mi się skóra.

- Czy on... popadł w obłąd? - wybąkałam.

- W p ę d z o n o g o w obłąd.

- Co?

- Jestem pewien, że rozumiesz, co chcę powiedzieć - odparł.

Całe ciepło niedawnego prysznicza wyparowało z mojego ciała. Czułam się tak, jak gdyby ktoś otworzył tuż za mną drzwiczki zamrażarki.

- Oczywiście analiza informatyczna potrwa kilka dni - dodał Miguel - ale badania wykonane na miejscu nie pozostawiają cienia wątpliwości: ktoś nim zawładnął. I mamy już rezultaty analizy kwantowej domniemanego „samobójstwa” Álvareza, sam Padilla dzisiaj nam to przysłał. Domyśl się: mikroprzestrzenie w wyrazie twarzy, sposób, w jaki zostawił

swoje rzeczy i ubranie na ziemi, supeł na sznurze...

Wiedziałam, ku czemu to wszystko zmierza. Staralam się mówić spokojnie.

- Miguel, ja im nic nie zrobiłam.

- To ty znalazłaś ciało Álvareza na folwarku, Diano - przerwał mi. - I nie muszę ci przypominać, jakie groźby rzucałaś pod adresem Padilli dzisiaj rano na pogrzebie. Jeżeli jest wśród nas przynęta zdolna kogoś usidlić tak potężnie, to jesteś nią ty...

- Dlaczego właśnie ja? To absurd!

- Oczywiście nie przy użyciu zwykłej maski - ciągnął - i nawet nie jakiejś bardziej n i e z w y k ł e j... Jeszcze nie wiemy, jak tego dokonałaś, ale w przypadku Widza też się przecież posłużyłaś rewolucyjną techniką, prawda?

- To, co mówisz, n i c z e g o nie dowodzi!

- Zdejmij ręcznik z głowy - powiedział nagle - tylko z głowy, powoli.

Przeraził mnie ten nieoczekiwany rozkaz. Do czego Miguel zmierza? Uniosłam brzegi ręcznika powoli, drżącą ręką i zsunęłam go na kark. Nocna lampka świeciła mi prosto w twarz i zamrugałam powiekami, ale mimo wszystko dostrzegłam, co leży na łóżku i co mi pokazuje Miguel. Poczułam falę mdłości z czystego strachu.

- To było u ciebie w szafie - powiedział.

Była to stara lalka, brudna, goła, łysa i bez oczu. Brakowało jej także rąk. Wokół szyi miała zawiązany sznurek. Na podłodze walały się części mojego ubrania, biżuteria i buty.

Miguel stał przy krześle z rogoży należącym do moich rodziców, celując we mnie. Na jego twarzy malowały się strach i napięcie.

- Nie patrz na mnie - wycedził.

- Co to jest? - zapytałam, odwracając wzrok.

- Obok ciała Álvareza wisiały trzy lalki, pamiętasz? A po rzezi rodziny Padilla powiesił kolejną taką lalkę u sufitu w domu - z trudem wymawiał te słowa, trzymając mnie wciąż na muszce. - A t ę znalazłem właśnie w głębi twojej szafy, Diano... Dla k o g o ją przeznaczyłaś? Kto miał być twoją trzecią ofiarą?

Nagle zauważyłam, że pewne fragmenty tego koszmaru zaczynają do siebie pasować.

Jeszcze mi brakowało kilku ważnych części, ale mogłam już dostrzec początek.

Pojęłam, że nie jedliśmy razem kolacji, nie wyznawaliśmy sobie miłości, nie przeżyliśmy rozkoszy w łóżku: odgrywaliśmy jedynie j e g o t e a t r. Jak Iachimo w tej scenie z *Cymbelina*, kiedy po wyjściu ze skrzyni w komnacie, w której śpi Imogen, stara się uzyskać fałszywe dowody, że się z nim przespała, tak Miguel uwodził mnie podczas kolacji i w łóżku starannie wypracowanymi gestami mojej własnej filii, filii Pracy, po to tylko, by dostać się do mojego domu i móc go przeszukać. Gens mówił, że ta scena z jednego z ostatnich dzieł Szekspira to symbol Negocjacji, podobnie jak dekapitacja bohatera przebranego w cudze szaty albo przebranie Imogen. Dla mnie jednak scena ze skrzynią stanowiła metaforę zawiedzionego zaufania.

W tym przypadku jednak była to podwójna zdrada. Próbowałam mu to wyjaśnić.

- Ktoś zastawił na mnie pułapkę - odezwałam się z całym spokojem, na jaki mnie było stać, nie patrząc na Miguela i nie poruszając się, by dowieść mu, że nie zamierzam atakować.

- Pułapkę... - powtórzył.

- To nie moja lalka, ktoś włożył ją do mojej szafy, żeby zrzucić winę na mnie.

Usłyszałam, jak mlasnął językiem. Po chwili odezwał się wyraźnie strapiony.

- Diano, kiedy znalazłem tę lalkę, sprawdziłem kody dostępu do twojego mieszkania.

Tylko t y tu wchodziłaś od miesiący... Proszę, posłuchaj mnie. Nie utrudniaj tego wszystkiego jeszcze bardziej. Spędziłem całe popołudnie, od chwili, gdy policja znalazła zwłoki Padilli, na przekonywaniu Olgi, żeby cię nie aresztowała, żeby pozwoliła mi poszukać konkretnych dowodów... Nie możemy nawet ufać temu, co ty sama s ą d z i s z, nie rozumiesz? - Jego głos wyrażał teraz taki ból, że zadrzałam. - Jeżeli wpadłaś w kanał, nie odpowiadasz za to, co robisz...

A więc tak myśleli: zniknięcie Very, moje wysiłki, by schwytać Widza, odkrycie prawdy o przypadku Renarda, wszystko to sprawiło, że straciłam rozum, że, jak mawialiśmy w naszym żargonie, „wpadłam w kanał”. Rzeczywiście śmierć Álvareza i Padilli oraz ten koszmar, sarkastyczny szczegół, w stylu nieistniejącego Renarda, jakim były powieszona lalki, sprawiały wrażenie dzieła szaleńca. Ale kto się mógł kryć za tym wszystkim? Przez chwilę, widząc lalkę na łóżku i słuchając Miguela, czułam, że kręci mi się w głowie: czy to możliwe, żebym rzeczywiście

dokonała czegoś podobnego, nie zdając sobie z tego sprawy?

- Pójdę teraz zadzwonić. Przykryj głowę ręcznikiem, proszę. - Kątem oka dostrzegłam, że zamierza użyć komórki wprawionej w purpurową bransoletę, którą nosił na rękę. Zauważyłam ją już w restauracji.

Jedno wiedziałam z całkowitą pewnością: jeżeli Miguel zadzwoni, jeżeli zawiadomi Olgę lub policję, nie będę miała żadnej szansy. Przynęty oskarżone o zbrodnie znikają z mapy. Byliśmy zbyt niebezpieczni, by nas wysłać do zwykłego więzienia. Odbyłby się proces, naturalnie, ale nie wcześniej, niż podjęto by wszelkie środki konieczne, żeby mnie zmienić w istotę niepotrzebną i bezbronną. *Habeas corpus* nie ma zastosowania, gdy oskarżona jest bombą z zepsutym zapalnikiem.

- Miguel, zaczekaj, proszę...

- Zrób, co mówię.

Starałam się myśleć szybko i nagle znalazłam rozwiązanie.

- Víctor Gens - powiedziałam.

- Diano, zakryj głowę - upierał się Miguel, ale moje słowa zastanowiły go.

- Miguel, posłuchaj, to może być Gens... - I nagle ten pomysł wydał mi się oczywisty.

- Przecież nadal używa przynęt, sama tego dziś doświadczyłam! Możliwe, że to wszystko to jego robota, kolejny eksperyment! To musi być Gens! Proszę cię, wyślij kogoś do niego do domu! Wiem, gdzie mieszka!

To, co wówczas usłyszałam, zabrzmiało w moich uszach jak dźwięk rozbitego talerza.

- J u ż byli u niego w domu, Diano. Dzisiaj po południu, kiedy zginął Padilla, departament poszukiwał Gensa. Ale nie znaleziono go. Spakował się pospiesznie, zadzwonił

do kierowcy i do służącej, żeby im oznajmić, że na jakiś czas wyjeżdża. Nie powiedział

dokąd. Trwają poszukiwania.

- To dowodzi, że ma coś do ukrycia!

- Albo boi się, że skończy tak jak Álvarez i Padilla - odparł Miguel rozsądnie. - W

każdym razie, Diano, znajdą go, możesz być pewna. A teraz powtarzam ci po raz ostatni: zakryj głowę. Nie zmuszaj mnie, żebym tego użył, proszę. Nie wobec ciebie - dodał.

Poczułam, że ten ręcznik jest dla mnie czymś w rodzaju kurtyny ostatecznie zapadającej na koniec spektaklu. Jak znowu mnie zakryje, koniec. Ale wiedziałam również, że jeśli nie posłucham, Miguel strzeli. A może strzeli, nawet gdybym grała czysto. Byłam naga, na kolanach, z odkrytą głową: nawet

najmniejszy ruch z mojej strony, spojrzenie, drżenie ust, zwykła zmiana pozycji, mogły być błędnie zinterpretowane. Jakie miało znaczenie, czy powiem prawdę? Godzinę wcześniej Miguel mówił, że mnie kocha, co może i było prawdą, ale w tym samym czasie odgrywał swoją rolę. Prawda między przynętami jest tylko jeszcze jednym tekstem w wielkim teatrze świata.

Skupiłam uwagę na pistolecie. Składany, jak z klocków lego, który możesz nosić nienaładowany, w kieszeni spodni. Miguel wyjął części, gdy siedziałam w łazience, i złożył je w pięć sekund. Do tego tłumik. Strzał w nogę albo w ramię unieruchomiłby mnie w krótszym czasie, niż mnie udałoby się doprowadzić go do obłądu z rozkoszy. Trzymał palec na cynglu i, co zupełnie zrozumiałe, był kłębkim nerwów. W i e d z i a ł a m, że użyłby broni.

Oszacowałam możliwość, że go oszukam, że mimo wszystko zrobię maskę, ale okazało się, że nie umiem zaatakować Miguela. Wszystko, tylko nie to.

Zaczęłam unosić ręcznik. W tym samym czasie Miguel podnosił ramię z bransoletą, żeby zadzwonić.

I nagle coś sobie uświadomiłam.

B r a n s o l e t a.

- Zaczekaj - wyszeptałam - on ma kliniczną bransoletkę.

- Co mówisz?

- Víctor Gens. Ma na rękę bransoletę do badań online - nie patrzyłam na Miguela, ale sądząc po jego milczeniu, zrozumiałam, że tego n i e wiedzieli.

- Aktywną? - zapytał po chwili.

- O ile wiem, tak. A gdyby nawet ją wyłączył, wystarczy, że nadal ma ją na rękę.

Nowoczesne bransolety kliniczne zawierały wszystkie istotne parametry biologiczne pacjenta: były jak jego linie papilarne, a przy tym można je było namierzyć na odległość.

Gdziekolwiek Gens by się znajdował - o ile miał ją nadal na rękę - był widoczny dla komputerów jak huragan dla satelity.

Miguel opuścił rękę z telefonem, ale nie cofnął pistoletu.

- Diano, mam ci aż tak zaufać?

- Proszę cię tylko o to, żebyś najpierw znalazł Gensa... Możesz zadzwonić do Olgi i powiedzieć jej, że właśnie ci przekazałam tę informację... Miguel, wiem, że Gens ma szyfr do wszystkiego... Zrób tylko to, błagam cię... A potem, jak chcesz, to złóż na mnie doniesienie.

Zapadła cisza. Zakryłam głowę i skuliłam się na podłodze. Nie pozostało mi już nic innego: począwszy od tej chwili, wszystko spoczywało w rękach Miguela.

- Zrobimy tak - odezwał się w końcu - zadzwonię do Olgi i powiem jej o Gensie.

Jeżeli ma bransoletę, namierzemy go natychmiast. Ale muszę jej też powiedzieć, co znalazłem u ciebie, Diano. To, że Gens uciekł, nie oznacza jeszcze, że jesteś niewinna.

Było to typowe dla Miguela poczucie sprawiedliwości. Przyjęłam jego warunki, nie miałam innego wyjścia. Zabronił mi się ruszyć, gdy dzwonił.

I wtedy przerwał nam znajomy dźwięk telefonu.

- Może to Olga - rzekł Miguel, czekając, by ten telefon w moim mieszkaniu zadzwonił dwukrotnie. - Odbierz.

Jednakże głos, jaki usłyszeliśmy w głośnikach w sypialni, nie należał do Olgi.

- Diana i Miguel, witajcie... Rozpoznaliście mnie, prawda? Víctor Gens... - jego charakterystyczny, skrzeczący głos, dumny, gniewny i zdyszany, jakby z trudem hamował

wściekłość. - Wiem, że jesteście razem, mogę was widzieć i słuchać... - Przerwa. - Punkt dla ciebie za bransoletę, Diano, rzeczywiście, nie pomyślałem o tym, a teraz już za późno, by ją niszczyć. - Przerwa. - Ale i za późno, by wołać o pomoc. - Przerwa. - Chcę was oboje zobaczyć natychmiast. Jestem na folwarku. Znacie drogę... - Rozległ się chrapliwy śmiech. -

Muszę was uprzedzić, że mam pod kontrolą wszystkie wasze telefony, Miguel, więc nie zawiadamiajcie nikogo, bo się pogniewam. A mój gniew raczej ci się nie spodoba, Diano...

Chcesz wiedzieć dlaczego?

Nagle usłyszałam inny głos, przerażony, straszny krzyk.

- Diano? Diano, p o m ó ż mi!

Zanim zdołałam jakoś zareagować, w głośnikach rozległ się ponownie głos Gensa.

- Mam twoją siostrę.

31

- Przykro mi.

- To nie twoja wina.

- To coraz powszechniejsze u przynęt weteranów... Mam na myśli wpadanie w kanał...

Ale nie uwierzyłem w to, póki nie znalazłem tej lalki w szafie... Ja...

Miguel pochylał się mocno nad kierownicą, opowiadając mi to wszystko.

Przypomniałam sobie pewną technikę dla maski Gry, w której należało się pochylać w taki właśnie sposób, po to, by się wyróżniać na tle dekoracji. Widziałam jednak, że w owej chwili Miguel starał się jedynie okazywać szczerość.

- Już dobrze - zapewniłam go.

Nie życzyłam sobie żadnego rachunku sumienia. I naprawdę go rozumiałam. Czasami sama wierzyłam, że jestem o krok od wpadnięcia w kanał. Przynęty igrwały z własnymi emocjami, własnymi przyjemnościami, własnymi najintymniejszymi prawdami, aż granica między maską a tym, czym pod nią byłyśmy, zacierała się. O ile byłyśmy c z y m ś więcej, a nie, jak twierdził Víctor Gens, tylko kolejnymi maskami niczym warstwy geologiczne skrywające w głębi magmę rozkoszy.

„Gens”, pomyślałam. On chyba także wpadł w kanał.

- Chciałem ci ufać, Diano... - Miguel roztaczał nadal przede mną swoją niepotrzebną skruchę. - Chciałem ci wierzyć, przysięgam... Ale miałem zadanie do wykonania. I muszę ci wyznać, że było ono najtrudniejsze, jakie w życiu otrzymałem...

- Wiem.

Aż za dobrze znałam nieomal obsesyjną obowiązkowość Miguela przy wykonywaniu poleceń. Była to cecha, która najmniej mi się u niego podobała, coś, co pasowało bardziej do mentalności odmóżdżonego żołnierza, jaką przypisywał nam Mario Valle. Ale nie chciałam go oceniać: każdy z nas na swój sposób przewycięża wstyd, u niego to był posłuch. Żeby grać w teatrze, aktor Miguel musiał ślepo wykonywać polecenia reżysera.

Przez chwilę patrzyłam na niego z mojego fotela: przystojna twarz, śnieżnobiałe włosy i broda jak u króla z bajki. Prawdę mówiąc, niewiele mnie obchodziły jego podejrzenia wobec mnie. Freud stwierdziłby zapewne, że starałam się odzyskać utraconego ojca. Gens powiedziałby, że gdy po raz pierwszy ujrzałam Miguela, zrobił on coś, albo też coś się stało koło niego, że mój psynom został usidlony. Nieważne. Obojętne, co to było, ja to nazywałam miłością. I zastanawiałam się, czy da się uratować nasz związek, jak ten koszmar się skończy.

- Zrobiłeś to, co musiałeś - powiedziałam. - I dziękuję ci, że postanowiłeś nie prosić teraz o pomoc.

- Nie możemy ryzykować życia Very. Ten sukinsyn nie żartuje. Nie wiem, jak to zrobił, ale chyba przechwycił dostęp do policyjnych kanałów. Nie przekażę naszym ludziom tej wiadomości, bo i tak ją wyłapie.

Rzeczywiście. Miguel starał się dodzwonić do Olgi, gdy ja się ubierałam, a potem wybiegaliśmy z mojego mieszkania i wsiadaliśmy do jego samochodu, ale głos, który odezwał się w komórce, był ponownie głosem Gensa. Zapowiedział, że nie pozwoli nam na kolejny tego rodzaju nieposłuszeństwo, i zdecydowaliśmy się przyjąć jego zasady gry.

Świat wokół nas zmienił się w zawrotną ciemność, gdy Miguel przyciskał gaz do dechy. Świtało i wszyscy ci, którzy zamierzali wyjechać z miasta lub się do niego dostać, żeby tu spędzić świąteczny

dzień, już to zrobili. Byliśmy niemal sami na autostradzie, nasze twarze rzadko uwidaczniały się w światłach nielicznych mijających nas aut czy latarni.

Szybko wjechaliśmy w strefę „duchów”, między opustoszałe wsie, na wieki zahibernowane po 9-N, i wówczas noc ogarnęła nas całkowicie.

Gdzieś tam czekał na nas Gens. Z moją siostrą.

Co zrobimy po przyjeździe na folwark? Rozmawialiśmy o tym, choć nie mieliśmy pojęcia, czy i w jaki sposób Gens może nadal nas podsłuchiwać. Miguel miał przy sobie pistolet, ale oboje wiedzieliśmy, że żadna broń nie będzie bardziej niebezpieczna niż my dwoje. Tylko że teraz nie chodziło o zwyczajnego psychola. Miguel postawił sprawę jasno.

- Oszalał czy nie, to Víctor Gens, który zna przynęty lepiej niż ktokolwiek inny. Nie wiem, czego chce: uwięzić nas czy usunąć, żebyśmy nie mogli złożyć doniesienia w sprawie Renarda... Ale jeżeli naprawdę ma twoją siostrę, musimy bardzo uważać...

- „Jeżeli naprawdę ma”? - powtórzyłam, a Miguel przytaknął.

- Nie zapominaj, że słyszeliśmy jedynie jej głos... Jeśli nawet to rzeczywiście głos Very, nie oznacza to jeszcze, że ona tam jest albo że on ma ją w ręku. To, co ci wcześniej mówiłem, było prawdą: pewne fakty pozwalają przypuszczać, że Vera wyjechała do Londynu... Jeżeli one także zostały sfalszowane przez Gensa, to znaczy, że jest on królem wszechświata.

- Może i jest.

Zamilkł, a do mnie dotarło, co chce powiedzieć. To, co się stało z Álvarezem i Padillą, podrzucenie lalki do mojego mieszkania, zdradzały nie tylko zwykłą przebiegłość. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, jak Gensowi udało się to wszystko lub kogo mógł do tego nakłonić, ale intuicyjnie wyczuwałam, że na folwarku nie będzie na nas czekał ten Gens co zawsze, jeżeli ktoś taki w ogóle kiedykolwiek istniał. I tego bałam się najbardziej. Jak wówczas, gdy wiedziona najwyższą koniecznością wykonywałam jakąś maskę i przegrywałam: czułam strach i zmieszanie. Nie mówiąc już o tym, że bałam się, co się mogło stać z Verą, jeżeli Gens naprawdę ją porwał.

D i a n o, p o m ó ż m i.

Wolałam o niej nie myśleć.

Poczułam na ramieniu dłoń Miguela i zrozumiałam, że nasza wzajemna telepatia zaczyna ponownie działać.

- Nie pozwolę, żeby skrzywdził Verę. Przysięgam, kochanie. Ta Świnia nic nie zrobi żadnej z was.

Spojrzałam w oczy, które na chwilę oderwały się od drogi, żeby zwrócić się ku mnie, w twarz obramowaną ciemnością za oknem, i uwierzyłam mu.

- Żadnemu z nas trojga - sprostowałam i uścisnęłam jego dłoń.

Nie rozmawialiśmy podczas dalszej podróży, jakbyśmy chcieli w ten sposób przedłużyć ciepło i światło tej deklaracji. Niedługo potem zatrzymaliśmy się przed monstrualną czernią folwarku. Znów padało, choć nie tak intensywnie; wysiadając z samochodu, poczułam chłód. Niesione wiatrem krople deszczu smagały nam twarze. „Tu się dla mnie wszystko zaczęło - pomyślałam - i tu się wszystko skończy”.

- Víctor! - krzyknął Miguel, i zabrzmiało to niemal obscenicznie w tej straszliwej pustce. - Przyjechaliśmy! Słyszysz pan? Dlaczego nie wyjdzie pan i nie porozmawia z nami?

Staliśmy każde po innej stronie samochodu, w deszczu, i czekaliśmy na odpowiedź.

- Chyba nikogo nie ma - stwierdził Miguel.

- Można się tam dostać z drugiej strony - zauważyłam. - Álvarez zaparkował tam swój samochód.

Przywieźliśmy ze sobą latarki i teraz zapaliliśmy je, zgasiwszy światła samochodu.

Miguel niósł swoją w lewej ręce, w prawej trzymał pistolet. Na ziemi widać było wydłużony cień tej ręki. Przy tym świetle zabudowania składające się na kompleks zwany przez nas

„folwarkiem” wyglądały na niezmienną od lat. Dwa budynki o porysowanych ścianach i oknach bez szyb plus wiatrak, z którego pozostała wieża, były wciąż szare i opustoszałe.

Zarośla dookoła nie podrosły, jak gdyby życie bało się powrócić w te martwe tereny.

Mieliśmy już zapuścić się w budynki, kiedy Miguel przystanął przed pierwszym z nich. Jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle okna, gdy oświetlał latarką wnętrze, którego ja jeszcze nie mogłam ujrzeć. Potem przełożył nogę przez okno i wyglądało to tak, jakby folwark go połknął.

- Och, litości - doszedł mnie szept z czeluści.

- Co się dzieje?

Przeszłam przez okno i strwożona znalazłam się przy nim. Przez dłuższą chwilę oboje nic nie mówiliśmy, poruszaliśmy tylko latarkami, oglądając to miejsce.

Cały zapchany parter w zasięgu snopów światła z naszych latarek. Znajdowały się w różnych pozach, jak sfotografowane na balu. Karnawał sparaliżowany w czasie. Krynoliny, kaftany, krezy, peleryny, rajtuzy, maseczki. N o c H a l l o w e e n. C h o d ź d o n a s n a t ę n i e z w y k ł ą n o c, D i a n o. Wystarczyło spojrzeć uważniej i widziało się amputowane kończyny, twarze bez życia, oczy, których rysunek wyblakł albo które pocięty gryzonie, manekiny pokryte kurzem podobnie jak ich kostiumy. Nie miały etykietek, ale wygląd niektórych przypominał mi bohaterów, jakich wyobrażały podczas naszych prób:

„Hamlet”, „Lady Makbet”, „Otello”, „Julia”... Szekspirowskie uniwersum w nieładzie.

P r z y j d d o n a s z e g o t e a t r u, D i a n o. B ę d z i e m y z n o w u p r ó b o w a ć r a z e m S z e

k s p i r a.

- Co ma oznaczać to szaleństwo... - mamrotał Miguel.

- On to zrobił - odparłam. - Poubierał wszystkie manekiny.

Było ich tyle, że z trudem dało się między nimi przejść, nie potracając ich i nie odnosząc koszmarnego wrażenia, że niektóre są żywe: tu i ówdzie jakaś ręka opadała w powietrzu, chwiała się jakieś ramię, wypływał jakiś uśmiech... Jedna z figur odwróciła się do mnie.

Ale to był Miguel.

- Opuść światło - szepnął.

Pokazywał schody prowadzące w kierunku scen w piwnicach, w pewnej odległości od nas. Obok nich znajdowały się uchylone drzwi i widać było za nimi słabe, ale wyraźne światło. Było oczywiste, że Gens chciał ściągnąć nas właśnie tam. Porozumieliśmy się gestami. Już podczas jazdy przygotowaliśmy zasadniczy plan ataku i obrony, z zastosowaniem szybkich masek, i przygotowani byliśmy, by się nim posłużyć. Zaczęliśmy schodzić. Najpierw Miguel, dzierżący w rękach broń i latarkę, jak gdyby działanie obu przedmiotów było jednakowe. Gdy znalazł się przy drzwiach, poczułam niepokój.

- Uważaj - poprosiłam.

- Víctor? - zapytał głośno Miguel, popychając drzwi nogą. - Doktorze Gens? - dodał

tonem, który zmroził mi krew w żyłach.

Zeszłam na sam dół schodów i oboje zdezorientowani zatrzymaliśmy się na progu.

Wnętrze, w którym znajdowała się pierwsza scena, oświetlała jedna lampa kempingowa umieszczona na podłodze. Dalej nie było nic, z wyjątkiem mebli stanowiących część wyposażenia podczas naszych prób, zsuniętych teraz pod ścianę, oraz starej kabiny prysznicowej.

I oprócz odwróconej tyłem ludzkiej postaci.

Z miejsca, gdzie staliśmy, nie mogliśmy dostrzec jej twarzy, choć biała czupryna nie pozostawiała wątpliwości kto to. Człowiek ten siedział na fotelu z popękanego drewna, jednym z naszych teatralnych „tronów”, a jego pochylone ramiona okrywało chyba coś w rodzaju płaszcza czy peleryny.

Miguel zawołał ponownie, ale odpowiedziała mu cisza, taka, że miałam wrażenie, iż serce przestało mi bić. Podeszliśmy bliżej, z obu stron, ja z prawej. Wydawało mi się, że Víctor Gens - byłam przekonana, że to on - skurczył się pod ciężarem grubej szarozielonej tuniki, która spowijała go od kwadratowego czubka butów po szyję. Siedział na tronie niczym wiekowy król teatru, opadły z sił dawny Lear, i nawet nie dziwiło, że to właśnie imię było wypisane niezgrabnymi literami na małej karteczce samoprzylepnej przyklejonej na piersi.

Ręce opierał na podłokietnikach. Na dłoniach miał te same czarne rękawiczki co rano w domu pogrzebowym. Jego twarz natomiast przyprawiła mnie o paniczny strach.

Od nasady włosów po gardło skryta była pod maską. Brakowało tasiemki do zawiązania maski z tyłu głowy, więc wydawała się ona niemalże przylepiona do twarzy. Biała niczym czaszka, z otworami na oczy i usta, pozbawiona jakichkolwiek wyraźnych rysów.

Głowa Gensa była pochylona, włosy opadały na tę dziwaczną maskę. Jego spokój upodabniał go do manekinów z góry.

- Profesorze... - wybełkotał Miguel. - Víctorze?

Spojrzałam na Miguela i zorientowałam się, że myślimy tak samo. Ta pozycja, ten podbródek oparty o piersi, ta całkowita nieruchomość ciała... Mieliśmy przed sobą zwłoki.

Ale nie było nigdzie śladów krwi czy walki.

- Zdejmę mu to. - Miguel wyciągnął rękę.

I nagle, gdy już miał dotknąć Gensa, maska uniosła się, a otwory ożywił jakiś straszliwy blask.

*

- Pozwólcie mi najpierw przemówić!

Podniósł urękawicznione dłonie, jak gdyby chciał zapobiec zdjęciu maski. Miguel wciąż trzymał go na muszce.

- Czemu się pan tak przebrał, Víctorze? Co to wszystko znaczy?

- Teatr - odparł Gens. - A cóżby innego. To był zawsze teatr, nie tylko to zresztą...

Odetchnął głęboko, a może się zaśmiał, trudno stwierdzić, usta nadal okrywała maska.

Ale to był Gens, bez żadnych wątpliwości, aczkolwiek jego głos brzmiał teraz inaczej niż ten, który słyszeliśmy godzinę wcześniej w telefonie. Może to maska go tłumiała, może to ten brak otworu na usta, w każdym razie brzmiało to tak, jakby wzmocnienie każdego słowa sprawiało Gensowi duży wysiłek. Może wcześniej zaaplikował sobie jakiś narkotyk, może był chory i ledwie mógł mówić. Właściwie niewiele mnie obchodziło, co będzie dalej. Interesowało mnie tylko jedno.

- Gdzie ona jest? - zapytałam niemal błagalnie. - Co pan zrobił z moją siostrą...

Zlekceważył mnie. Sprawiał wrażenie, że rozmawia z kimś innym niż my dwoje.

- ...to, co myślimy... - musiałam się nad nim nachylić, żeby cokolwiek zrozumieć - to, co robimy... Albo to, co każą nam robić inni... Twarz. Psynom. Bał maskowy... Co pozostaje, gdy to już

odkryjesz? Nic. Puste na zawsze. Szklanki napełnione tym, co wrzucą inni... -

Nadal trzymał ręce niczym ekran przed maską. Palce trzęsły mu się pod czarnymi rękawiczkami. Były nowe, w kosztownej skórze odbijało się światło naszych latarek, a cienie rzucane przez palce Gensa na maskę przywoływały na myśl wielkie czarne pająki wdzierające się w głąb czaszki.

- Jestem winny - dodał.

- Jak pan wykończył Álvareza i Padillę, profesorze? - spytał Miguel. - Kto panu pomógł?

- Jestem winny - powtórzył z uporem Gens i pokręcił głową. Powoli opuszczał ręce, a potem ułożył je znowu na oparciach fotela.

Mówienie kosztowało go chyba coraz więcej, wymawiał słowa, jakby coś przeżuwał.

- Ale nie powiem „jestem”... Jestem tym, kim chcesz, żebym był, a ty tym, kim ja...

Mówię, mówimy „jestem”, „jesteśmy”... ale jesteśmy jedynie rozkoszą... Jej brakiem lub jej nadmiarem... I mimo wszystko jestem winny.

- Zdejmę panu tę maskę, Víctorze.

Gens ożywił się na tę propozycję i poruszył w geście obrony.

- Nie! Zawsze ją nosiłem. Ty nosisz swoją, więc pozwól mi nosić moją! Już ci mówiłem: jestem winny. Winny temu, że obudziłem dawną moc... Coś, co drzemie w nas i powinno było umrzeć wraz z nami... Zaczekajcie! Chcecie wiedzieć więcej? Powiem wam tyle: Szekspir znał tę moc i opisał ją...

Pochyliłam się nad nim i zauważyłam drobny szczegół: na karteczce widniało nie

„Lear”, tylko „Leontes”. Fałdy tuniki przesłoniły częściowo litery, co sprawiło, że napis odczytałam błędnie.

Leontes to król z *Opowieści zimowej*, jednego z ostatnich dzieł, jakie wyszły spod pióra angielskiego dramaturga, baza dla maski Gry. Zazdrosny o swoją żonę Leontes torturuje ją, aż ta udaje, że nie żyje, w rzeczywistości jednak przeżywa i w magicznej scenie końcowej

„zmartwychwstaje”, udając przedtem pomnik. Wielkie dzieło, pełne symboli, które jednak w owej chwili nie interesowało mnie w ogóle, podobnie jak przydługa perora Gensa.

- Ale Szekspir zrozumiał na koniec, że... że nie może nic zmienić w swoim teatrze, bo jeżeli wszyscy zmienimy pozostałych naszymi gestami i słowami, to kto skontroluje tę zmianę? Dlatego to rzucił... John Dee, jego mistrz, zmarł w tysiąc sześćset dziewiątym roku...

W roku następnym Szekspir wycofał się na zawsze, Krąg Gnostyków się rozwiązał, głosy jego członków umilkły... a psynom spoczywał w nas dalej, póki nauka go nie wskrzesiła...

Nagle straciłam resztki cierpliwości.

- Dostyc! Niech pan sobie poszuka innej publiczności, Gens. - Ujęłam latarkę w obandażowaną dłoń i chwyciłam go za prawą rękę, nadal uniesioną ku twarzy. - Niech pan przestanie się z nami zabawiać!

Miguel pokazywał mi na migi, żebym się uspokoiła, ale we mnie narastały niepokój i gniew. Pomyślałam sobie, że słuchałam tego starego oszusta przez tyle lat, że teraz nie obchodzi mnie, czy zwariował, czy też może odzyskał rozum: nie zamierzałam mu pozwolić, by nadal okradał mnie z tego, co najbardziej kochałam.

- Niech mi pan powie, co pan zrobił z Verą! - krzyknęłam.

Gens uwolnił rękę z mojego uścisku, za to chwycił mnie z nieoczekiwaną siłą.

- Nie zobaczysz j e j w i ę c e j ż y w e j - wykrzyknął.

To wystarczyło, by ogarnęła mnie ślepa furia. Szarpnęłam się, żeby mnie puścił, i rozdarłam jego rękawiczkę.

I zamarłam.

Ręka Gensa wyglądała jak okryta kolejną rękawiczką, w kolorze intensywnie połyskującej czerwieni. Paznokcie pokryte tą substancją były niemal niewidoczne. Wbiłam palce w brzeg maski, ale była ona niczym przyklepiona do skóry. Gens odsunął głowę, dało się słyszeć jakieś chrupnięcie, po czym gęste czerwone strugi zaczęły spływać przez otwór, pod moimi palcami, plamiąc mi dłonie. Wyglądało to tak, jakby twarz Gensa była płynna i po pęknięciu obręczy, która ją ścisnęła, zaczęła się rozlewać.

Nagle usłyszałam coś, co sprawiło, że przestałam o tym wszystkim myśleć.

- Vera! - Rzuciłam się w kierunku korytarza. Nie zatrzymał mnie nawet krzyk Miguela.

- Diano, zaczekaj! Tu się dzieje coś dziwnego...! Nie idź sama, to może być pułapka! -

kolejny krzyk wyeliminował Miguela z mojego pola percepcji, nieomal także z mojej świadomości.

Przebiegłam korytarz i zagłębiłam się we wnętrzu z drugą sceną. Moja latarka oświetlała manekiny, sylwetki, podniesione ręce, stare kapelusze, ślepe twarze. Kilka manekinów leżało na ziemi. W głębi czerwona kurtyna została zerwana i zauważyłam mimochodem, że zwisała teraz z wielkiego lustra stojącego na lewo ode mnie. Płótno, które okrywało ścianę nad podestem, także zostało zerwane i widać było teraz zamaskowane wcześniej cegłami drzwi. Były one otwarte i to do nich się rzuciłam, gdy krzyk się powtórzył.

Przewracałam w biegu manekiny, jakbym przedzierała się przez skamieniały tłum.

Światło latarki, zapach pleśni, gęste ciemności... wszystko to zmieniało korytarz w tunel grozy. Teraz prócz krzyków słyszałam również uderzenia. A kiedy ustały, usłyszałam własny zdyszany oddech i własny głos powtarzający imię mojej siostry. Podejrzywałam, gdzie mógł ją uwięzić ten stary

szaleniec, ale bałam się nawet myśleć o tym, co mógł jej zrobić, albo co się tam teraz dzieje.

Gdy byłam w połowie drogi, zastanowiła mnie kompletna cisza. Zawołałam, nikt mi nie odpowiedział. Przebiegłam już obok pokoi pozbawionych rygli, ale kilka innych było jeszcze przede mną, wszystkie pozamykane. Próbowałam otworzyć pierwszy z nich. W

zdenerwowaniu nie mogłam sobie poradzić ze starą zasuwką. Kiedy wreszcie mi się udało, podniosłam latarkę do góry. Pokój był pusty. Ruszyłam do kolejnego. To samo. Gdy podeszłam do trzeciego, usłyszałam za drzwiami cichy szloch.

- Vera! - Cuchnące powietrze wywoływało napady kaszlu. - Vera! To ja! - Zasuwka w drzwiach była bardziej oporna. Pociągnęłam z całej siły, aż w końcu puściła. Powstrzymałam chęć kopnięcia drzwi w obawie, że Vera siedzi tuż za nimi. Kiedy je otwierałam, przeżywałam sto razy ten moment, gdy otwarcie tych czy tamtych podobnych drzwi (nie pamiętałam już dokładnie, których) doprowadziło mnie do koszmaru, jakim było odkrycie ciała Álvareza.

Ale tym razem drzwi otworzyły się bez przeszkód.

Zaskoczyła mnie znowu panująca cisza. Szlochanie ustało. Miałam wrażenie, że otworzyłam grób.

Skierowałam w głąb pomieszczenia światło latarki. Z początku sądziłam, że i ten pokój jest pusty. Ale chwilę później zobaczyłam ją, odwróconą tyłem, skuloną w kącie.

- Vera?

Gdy powtórzyłam jej imię, odwróciła ku mnie drżącą twarz. B o ż e, t o n i e V e r a, pomyślałam w straszliwym ułamku sekundy.

Dopóki nie odwróciła się do mnie całkiem.

Paradoksalnie to wówczas właśnie dosłownie zamarłam.

Chudsza, pomyślałam, blade policzki, podkrążone, zaczerwienione oczy oślepięte światłem. Włosy wilgotne od potu, przyklejone do skroni, na ramionach jakaś narzutka, a pod nią połyskliwy, chociaż brudny top w kolorze pomarańczowym i turkusowe spodnie. Nieco zmieniona, pomyślałam, ze śladami cierpienia, ale chyba nie poważnie ranna. Przerażona, ale chyba nic jej nie jest. To ona.

Jęknęła i wyciągnęła ramiona.

Objęłyśmy się.

- Jestem tutaj - powiedziałam z głową na jej ramieniu, przytulając ją - już wszystko minęło...

Przez chwilę istniało dla mnie tylko to, że trzymam ją w objęciach. Chronię ją, osłaniam na zawsze. T e r a z b ę d z i e s z s i ę ś m i a ć, d i e w o c z k a. Nie, nie będę się śmiać. Już mnie nie przerażasz. Już nam nic nie zrobisz. Nigdy więcej. Już ją mam.

Już jest ze mną. A jeżeli ona jest ze mną, to tata i mama t e ż s ą r a z e m z n a m i. Już nam nic nie zrobisz. Nikomu.

Zapytałam ją o Elisę, ale tylko popłakiwała. Uznałam, że chyba jest pod wpływem narkotyków, ale to nie był moment, żeby sprawdzać, co jej jest, tylko żeby uciekać z tej nory.

- Wydostanę cię stąd - wyszeptałam.

Nie miałam nawet ochoty przeszukiwać pozostałych pokoi. Obandażowaną ręką trzymałam latarkę, a prawym ramieniem objęłam mocno Verę, i nie przestając szeptać jej uspokajających słów, zawróciłam do tunelu i ruszyłam ku wyjściu. Musiałam dostosować swoje kroki do powolnych ruchów Very. Choć mogła iść, stawiała drobne kroczyki, obejmując mnie w pasie i drżąc na całym ciele, jakby wolała, żebym ją niosła. Zastanawiałam się, wściekła, co też Gens z nią zrobił.

Ale gdy weszłam do pomieszczenia, gdzie stał Miguel, prawie zapomniałam o stanie Very.

Stał nieruchomo, w uniesionych do góry rękach nadal trzymał pistolet i latarkę.

- Diano, odsuń się od niej.

- Co?

- Odsuń się od niej... - Przez chwilę myślałam, że zwariował, ale przyjrzawszy mu się dokładniej, zauważyłam, że jest po prostu przerażony. - Czy nie rozumiesz? To n i e G e n s to wszystko zrobił! To nie może być o n!

- Co masz na myśli?

Nigdy przedtem nie widziałam Miguela tak przerażonego. Czułam w tej ciemnej, ponurej piwnicy, że jego strach mi się udziela, na rękach miałam gęsią skórkę.

- Zdjąłem mu maskę i drugą rękawiczkę... Boże, dobrze, że tego nie widziałaś... Ma całą twarz... Chyba to zrobił własnymi rękami, zanim tu przyjechaliśmy, rozumiesz? Skóra, mięśnie... Poranił się do kości... - Miguel gestykulował lewą ręką przed twarzą Gensa, szeptał, z odrazą, wściekłością - I robi to nadal teraz! Jest najwyraźniej z a w ł a d n i ę t y, Diano...

O n t a k ż e.

- To nie Vera - powiedziałam, obejmując ją. - Vera nie umiałaby nim zawładnąć!

- Więc kto? Może i niedoświadczona, ale Vera jest przynętą! I była tutaj!

- Może jest ktoś jeszcze - szepnęłam.

To była niepokojąca możliwość. Rozejrzeliśmy się wokół. W świetle latarek twarze manekinów uśmiechały się kpiąco.

Nagle Vera wyslizgnęła się gwałtownie z moich ramion, cofnęła się tyłem ku ścianie z lustrem i uniosła rękę. Sądząc po malującym się na jej twarzy najczystszy przeżeniu i bełkotliwej mowie, zobaczyła chyba ducha.

- Co się dzieje? - zapytałam.

Jej gest zaskoczył mnie tak bardzo, że zajęło mi dłuższą chwilę, zanim zrozumiałam, że coś nam pokazuje. Coś, co znajdowało się z a n a m i. Najwyraźniej chciała nas ostrzec przed niebezpieczeństwem.

Miguel i ja odwróciliśmy latarki w tej samej chwili. Powstrzymałam krzyk.

W głębi, za pierwszym rzędem manekinów, któryś kolejny się poruszał.

Powoli opuszczał ręce i szedł ku nam.

Drobna figurka, szczupła, kobieca, w długiej zżartej przez mole sukience: rozpoznałam suknię w kwiaty, w jaką odziany był manekin oparty o kurtynę, ten, dzięki któremu odkryłam tunel. Głowa pochylona, nie byłam w stanie dojrzeć twarzy, ale wyraźnie widziałam etykietkę przyklejoną na piersi: „Hermiona”. Żona Leontesa z *Opowieści zimowej*, kobieta, która udaje, że umarła, a potem nagle porzuca statyczność fałszywego pomnika i wraca do życia.

Hermiona, zmartwychwstała.

U c i e l e ś n i o n y m a n e k i n . Ż y w a

l a l k a .

Obsesyjnie myślałam, co to wszystko znaczy, i nie mrugnęłam powieką nawet wtedy, gdy figura, delikatnymi ruchami, bez wysiłku wyrwała pistolet z ręki Miguela i strzeliła do niego z bliska; nawet wtedy, gdy z identyczną łatwością pozbawiła mnie latarki, a potem podniosła głowę i oświetliła własną twarz, szyję, piersi... Całą swoją postać, zrodzoną z cieni, zmaterializowaną z ciemności innego życia, kanciastą, roześmianą.

H e r m i o n a , z m a r t w y c h w s t a ł a .

- Witaj w mojej śmierci, Żyrafo - powiedziała.

III

FINAŁ

Mój potężny czar

Działa; wrogowie, spętani oblędem,

Są w mojej mocy.

Claudia Cabildo roześmiała się. Nawet nie musiała ponownie uciekać się do użycia pistoletu: usidliła ich z łatwością Enigmą. Trwałoby to zaledwie parę minut, ale Miguel i tak był poza wszelką walką: trafiony celnym strzałem konał na podłodze. Co do Diany zaś... cóż, nie przedstawiała większego problemu.

De facto jej obecność przydawała całemu planowi ekscytujących modyfikacji.

Claudia przyjrzała się jej w świetle latarki.

- Zawsze byłaś zbyt mądra, Żyrafo. To twoja ogromna wada.

Diana Blanco, kurwa, której się poszczęściło. Nic nie wiedziała. Nigdy nie odczuła, co znaczy n a p r a w d ę doznać cierpienia z czyichś rąk. Może nadszedł moment, żeby dowiedziała się, jak to jest.

Usłyszała łkanie dochodzące z kąta. Ta głupia Vera dalej się trzęsła, skulona na podeście sceny. Jej także nie musiała się obawiać: została zawładnięta, a przedtem krzyczała i waliła w drzwi celi, wypełniając jej własne instrukcje. To ona, Claudia, kontrolowała sytuację. Pozostali byli jedynie figurantami na jej usługach, manekinami, statystami w dziele jej autorstwa, w którym sama grała główną rolę.

Powróciła do Diany i zauważyła, że porusza ona ustami.

- O co chodzi, kochanie? - zagadnęła. - Masz z całą pewnością wiele pytań...

- Popełniłaś samobójstwo... Widziałam cię umierającą, płonąącą żywcem...

Claudia wybuchnęła śmiechem.

- Zmartwychwstać naprawdę to jedyna rzecz, do której maski j e s z c z e nie potrafią doprowadzić. To wszystko było teatrem. Przez cały czas widziałas jedynie mój t e a t r z y k k u k i e ł k o w y. I sama byłaś doskonałą marionetką. Od dwóch lat tworzę to dzieło. Niezłe, prawda?

Mówiąc to, zaczęła ściągać z siebie starą sukienkę, pochodzącą, jak wszystko inne, z garderoby folwarku. Zsunęła ją przez wąskie biodra aż do kostek, przesunęła jedną stopę, potem drugą. Pod spodem miała minitop na ramiączkach, krótką plisowaną spódniczkę, getry do kolan i buty na obcasach, wszystko czarne. Kostium idealny dla maski Pracy, filii Diany.

- Oczywiście, nie dokonałam wszystkiego sama. Padilla współpracował

bezinteresownie. Zawładnęłam nim rok temu, parę miesięcy po zawładnięciu Nely. Okazało się wielce przydatne mieć w ręku naszego dyrektora, Żyrafo, cała akcja, kobieto. To Padilla wykorzystywał na przykład protokoły z nadzwyczajnych zebrań i to on umówił Álvareza w ustronnym miejscu, w samochodzie, tego samego dnia, kiedy ty przepytywałaś Gensa w Strefie Zero. Ja czekałam na tylnym siedzeniu, wykonałam Dwuznaczność, jak tylko Álvarez wsiadł, i zaprogramowałam go, żeby się powiesił właśnie tutaj, kilka dni później. Z nim poszło łatwo. Z przyłapaniem starego - nieco trudniej. Stary, rzecz jasna, nie ufał nikomu. Ja wiedziałam już, że nie zginął na tej pieprzonej łódce, że żyje gdzieś w ukryciu, nawet to, że korzysta z ochroniarzy-przynęt. B a ł a m s i ę. Postarać się, żeby Padilla go zlokalizował, oznaczałoby postawienie go w stan pogotowia. Ale sam Padilla powiedział mi, że tobie jednej Gens pozwolił na kontakt ze sobą. Nie znaleźliśmy kryptonimu „pan Peoples”, ale byłam pewna, że jeżeli ty poprosisz o spotkanie, stary wychyli nos z nory, gdziekolwiek by przebywał.

Faktem jest, że nie mogłam stosować wobec ciebie masek, żeby zmuszać cię do spotkania z nim, Gens by to wykrył. Stary był grubą zwierzyną, wiesz sama. Więc posłużyłam się twoją siostrą. Widz jako pretekst pasował idealnie do mojego planu: nie byle jaki psychol, skomplikowany przypadek, zagadka godna samego Gensa... Każda dobra intryga potrzebuje usprawiedliwień. Tak więc pewnej nocy Nely i ja poszłyśmy w rejon polowań Elisy Monasterio, przyjaciółki Very, a kiedy pojawiła się przed naszym samochodem, wyszłam i zawładnęłam nią. Ukryłam ją w piwnicy u mnie w domu i zaprogramowałam. Policja znajdzie kiedyś w końcu jej zwłoki w północno-zachodniej zaporze, do której sama się rzuciła.

Dlatego zachowanie Very stało się dla ciebie logiczniejsze. Genialne, co? Przynęty, które wykorzystują przynęty jako własną zdobycz, żeby złapać inne przynęty. Zupełnie jak w dziełach Williama.

Zdjąwszy brudną sukienkę, Claudia zamilkła i wykorzystwała pięciosekundową przerwę, by wykonać maskę Pracy. Posłużyła się klasyczną techniką Goniłowa: skręciła się pod odpowiednim kątem i z odpowiednią szybkością, uniosła ręce do plis spódniczki i ściągnęła mięśnie ramion, oświetlając je latarką, gdy jednocześnie przez moment prezentowała pośladki. Potem odwróciła się profilem i udawała, że się namyśla. Na koniec stanęła przodem z rozwartymi, sztywnymi nogami. Maską Pracy oparta była na gwałtownych kontrastach: mięśnie i kruchość ciała, delikatność versus siła. Ariel i Kaliban, dwie dziwne postaci, które służą magowi Prosperowi w *Burzy*, to jej symbole: zwiewny duch powietrza i dziki półdemon ziemi. W ostatnim swoim dziele napisanym osobiście Szekspir chciał

zawrzeć tajemny szyfr Pracy. Technika Goniłowa oparta była na takich właśnie kontrastach.

Wykrzywiona twarz Diany i sposób, w jaki otworzyła usta, dowiodły Claudii siły, z jaką maska oddziaływała na jej psynom.

„Zawładnięta”, uznała. Teraz chodziło o to, by jej nie wypuścić. Mówiła dalej:

- Rzecz jasna, zawładnęłam Verą również dzięki mojemu asystentowi, naszemu drogiemu Padilli, który doprowadził do tego, że raz mnie odwiedziła. Vera miała kod dostępu do twojego służbowego mieszkania i nie musiała forsować drzwi, gdy wtedy rano tam weszła.

To ona ukryła w szafie lalkę i zainstalowała mikrokamery w czujnikach w salonie i sypialni, zanim jeszcze przysłałaś. Tak więc miałam już pod kontrolą twoje zachowania i rozmowy telefoniczne. Potem się z tobą pokłóciła, zabiła portret rodziców... Wszystko to brzmi bardzo prawdziwie, prawda? Pogódź się z tym. Przełknęłaś to. Wiedziałam, że starasz się schwytać Widza, żeby ją ocalić, i w ten sposób zmuszałam cię, żebyś prosiła o pomoc Gensa, co zresztą uczyniłaś. A kiedy już wiedziałam, gdzie mieszka stary, mogłam kontrolować także jego. Gdy usłyszałam, że wysłał cię tutaj na trening, sprawiłam, że Álvarez przyjechał tu przed tobą i zanim się powiesił, rozmieścił lalki i napisy... Musiałam cię w to wszystko powoli wmieszać, sprawić, że powiążesz przynęty... Gens wykreował Renarda wraz z jego zwyczajem pozostawiania powieszonych lalek obok ciał ofiar, prawda? Postanowiłam zrobić to samo.

Taki był mój przekaz: „Renard powrócił”. Posłużyłam się symbolem z *Miarki za miarkę*, dzieła o sprawiedliwości. Chciałam, żeby Gens pocił się i zamartwiał, zanim po niego przyjdę. Ostatnie czynności okazały się mistrzowskie, musisz to przyznać. Porwałam twoją siostrę tej samej nocy, kiedy miała ruszyć na polowanie, przeprogramowawszy ją wcześniej tak, żeby otworzyła mi drzwi, kiedy zadzwoni telefon. Schowałam się u niej w kuchni i kiedy weszła, wykonałam Petycję. Rozkazałam jej rozłączyć podskórny chip i zabrałam ją ze sobą.

W ten sposób miałaś uwierzyć, że stała się ona kolejną ofiarą Widza, a to z kolei zmuszało cię, żebyś jeszcze bardziej wdepnęła w całą intrygę. Najpierw ukryłam Verę u mnie w piwnicy, potem tutaj. Oczywiście Padilla, stosując się do moich instrukcji, zmodyfikował

wyniki analiz informatycznych...

Zamilkła. Dlaczego wydawało jej się, że Diana za bardzo mruga powiekami? Była pewna, że nie zdoła się wymknąć usidleniu, posługując się wyłącznie własną wolą, ale zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo niebezpieczna jest jej dawna koleżanka. Przez chwilę patrzyła jej w oczy i mruganie ustało.

- Co ci jest Żyrafo? Zdenerwowana? Uspokój się i „siadaj; gdyż dowiesz się więcej”⁹ -

lubiała to zdanie Prospera, maga z *Burzy*. - Nie chcesz wiedzieć, jak udało mi się „umrzeć”?

Miałam to zaplanowane prawie od roku, ale dopiero latem znalazłam idealną dziewczynę: Ukrainkę, kelnerkę z jakiegoś baru na Ibizie. Olenę. Dla przyjaciół „Leni”, jak nam wyznała, 9 W. Shakespeare, *Burza*, akt I, scena 2.

gdy nią zawładnęłam. Jej podobieństwo fizyczne do mnie było uderzające. Skusiliśmy ją ogłoszeniem fałszywej agencji organizującej castingi i została zawładnięta podczas próby.

Była siłofilem, więc poszło łatwo, wystarczyła technika z *Komedii pomyłek*. Potem moje wybitne zdolności pozwoliły mi ją zaprogramować. Instrukcje na pozór proste: po moim ponownym telefonie musiała przylecieć do Madrytu pierwszym samolotem. Zadzwoniłam do niej, kiedy ty znalazłaś Álvareza, i ukryłam ją w piwnicy. W niedzielę, po twoich odwiedzinach i serii pytań, wiedziałam, że nadeszła chwila mojego „samobójstwa”. Zająłam się nawet tym, byście uwierzyli, że mam benzynę, dzięki sprowadzeniu starej kosiarki do trawnika. Nely miała jedynie zatrzymać cię poza moim pokojem, a wtedy bach! Dokonała się podmiana: Olena weszła do środka przez okno, a ja właśnie

skończyłam odgrywać swoją rolę dziewczyny doprowadzonej do szaleństwa traumą, jaką przeżyła, i przypominającą sobie nagle pewne szczegóły. Wymknęłam się tą samą drogą, po czym czekałam na zewnątrz, podczas gdy ona, ubrana i uczesana tak jak ja, paliła się w twojej obecności. Dom był

pogrążony w ciemnościach z powodu mojego rzekomego „kryzysu nerwowego”, więc łatwo cię było zmylić. Poleciałam płonącej Olenie, żeby obiegała możliwie cały dom, jako że w piwnicach trzymałam przez dłuższy czas różnych ludzi, więc ogień miał zniszczyć wszelkie ślady. Potem wsiadłam do samochodu, gdzie przedtem umieściłam Verę, i odjechałam, zanim przybyła straż pożarna. Och, nie patrz tak na mnie. Ta dziewczyna pragnęła dostać swoją wielką rolę! I dostała. Zagrała naprawdę „z ogniem” - dodała ubawiona. - Ale tak było trzeba.

Przy zeznaniach twoich i Nely Padilla nie miał problemu z ciałem i niepotrzebna była autopsja. Koniec spektaklu: Claudia Cabildo nie żyje. A dzisiaj, po moim domniemanym pogrzebie, stary uznał, że już nie musi się mnie bać; wracając do domu, nie skorzystał z usług swoich ochroniarzy. Czekałam tam na niego. Wystarczyła maska Aury, rozkazałam mu spakować walizkę i powiadomić, że wyjeżdża. Potem przywiozłam go tu, na folwark i powiedziałam: „Skoro zawsze przywiązywałeś taką wagę do twego wspaniałego mózgu, sprawię ci tę przyjemność, że zdołasz go dotknąć na żywo...” - zaśmiała się, rozbawiona swoją wypowiedzią. - Zaczął rozdrapywać sobie twarz własnymi palcami. Przyszło mi do głowy, żeby go przebrać w kostium Leontesa i założyć mu maskę, gdy tylko dowiedziałam się, że muszę ściągnąć na folwark Miguela i ciebie. Sprawiałam, że to Gens cię wezwał.

Powtarzał moje własne słowa... Szczerze mówiąc, Żyrafo, nie chciałam takiego zakończenia.

Zamierzałam jedynie zabić Gensa i twoją głupią siostrę, a potem zniknąć, i tyle - wykonała jakiś gest w powietrzu. - Wina spadłaby na ciebie, zostałabyś zamknięta, a ja mogłabym zacząć od nowa gdzieś na jakiejś bezludnej wyspie, jak Prospero. A jednak dzięki twojemu wspaniałemu odkryciu w sprawie bransoletki wy znaleźlibyście Gensa, zanim ja zdołałabym uciec... Tak więc zmusiłaś mnie do improwizacji. Innymi słowy, rozegrałaś to zbyt mądrze, kochanie. A teraz zobacz, co osiągnęłaś: przy okazji zajęłam się i „twoim” Miguelem.

Wreszcie.

Diana ponownie zamrugnęła powiekami. Teraz cała się trzęsła. Mówienie najwyraźniej przychodziło jej z wielkim trudem.

- Po co... Po co... to wszystko? - zapytała.

Claudii pytanie wydało się głupie.

- Chcesz wiedzieć, po co to wszystko zrobiłam? Co sądzisz o słowie „zemsta”, Żyrafo? Mnie się wydaje za krótkie. Przez rok wymiotowałam, gdy tylko zasypiałam, wiesz?

Zamykałam oczy, widziałam znów tych facetów w maskach, którzy udawali, że są jednym i tym samym; dotykali mnie, razili prądem, i budziłam się, wymiotując... Wiele razy w ciągu tego roku chciałam się zabić, ale nie pozwalano mi. Rząd opłacał mi dom i służbę, ale to pierwsze było

najeżone czujnikami zachowania, a to drugie było dawną przynętą.

Zrozumiałam, że lepiej udawać szaloną przy tych rzadkich wizytach, jakie mi składaliście -

lekarze, Padilla i ty... Po roku postanowiłam działać na własny rachunek. Pewnego dnia zaprowadziłam Nely w jedyne miejsce w domu pozbawione czujników: do jej łazienki. Tam zawładnęłam nią natychmiast. Odkryłam, że dzięki doświadczeniom z Renardem zyskałam nowe środki... Od tej chwili Nely stała się moim głównym narzędziem. Szkoda, że dla niej była to także ostatnia rola.

Skierowała latarkę na ziemię, w okolicy drewnianego podestu. Wydawało się, że leży tam jakiś rozkraczony manekin, ale w świetle pojawiły się ścięгна, śniada skóra i czarne loki.

Strużka krwi pod głową już wyschła.

- Nie ochrzciłam jeszcze postaci, którą odgrywała - ciągnęła Claudia. - Chyba powinna się nazywać Ariel. Sługa, zwiewny duch. Padilla był moim Kalibanem, niewolnikiem-bestią. Ciekawe jest to, że, gdy po raz pierwszy zawładnęłam Padillą, chciałam go jedynie przesłuchać... Musiałam wiedzieć, co się stało z Renardem, dlaczego wszystkie moje maski zawiodły w jego przypadku... I, co za niespodzianka, opowiedział mi coś, czego n i e o c z e k i w a ł a m - pokręciła głową. - Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie, jak to jest, gdy słuchasz, co z tobą zrobili? Czy możesz sobie choć częściowo wyobrazić, Diano Blanco, co się dzieje z tobą, gdy sądzisz, że torturował cię, i to w sposób przekraczający absolutnie wszelkie granice, jakiś psychol, a potem nagle dowiadujesz się, że zamieszani w to byli twoi szefowie? - Przesunęła wzrok po atletycznej sylwetce byłej przynęty. - Nie, nie możesz. Ty byłaś rozpieszczoną dziewczynką. Departament zawsze miał dla ciebie więcej szacunku, Żyrafo... Gdy mieli wybrać królika doświadczalnego, pomyśleli sobie: „Lepiej Claudię. Jest niższa. M n i e j stracimy”... - Starła się opanować. - Coś ci wyznam. Kiedy słuchałam Padilli, naszła mnie ochota rozkazać mu, żeby rozbił lustro i zjadł rozbite szkło kawałek po kawałku. Ale wówczas pomyślałam sobie, że jeśli to zrobię, nigdy nie uda mi się zemścić na wszystkich. Wiec zaczęłam działać powoli i metodycznie. Nasz drogi dyrektor był

kluczowym elementem i zanim go zniszczyłam, wycisnęłam z niego wszystko. Dzięki niemu miałam samochód, fałszywą agencję castingową i mogłam zwerbować Olenę na Ibizie, wykorzystując w ten sposób mój pobyt w kurorcie... I mogłam dopaść Álvareza. Dla Álvareza miałam więcej litości, w pewnym sensie... Dla pana Julia Padilli - a n i t r o c h ę. Álvarez w końcu ograniczył się jedynie do zaakceptowania pomysłu z Renardem. Natomiast Padilla od początku wspierał Gensa. To on wpadł na pomysł wybudowania tego tunelu, wiedziałaś o tym, Żyrafo? Chciał dostać maskę Yoricka, tak samo jak Gens, a wybranie mnie do tego eksperymentu kosztowało go mniej niż zabicie muchy na własnej łysinie. Dlatego przy ostatnim programowaniu dołożyłam ciekawe polecenia dla jego rodziny. A dzisiaj, w noc Halloween, w trzecią rocznicę genialnego eksperymentu, zadzwoniłam i kazałam mu działać.

Wystarczyło mu powiedzieć: „Zrób to”. Gdy usłyszał mój głos w słuchawce, jego psynom przejął nad nim władzę i od tej chwili kierował się wyłącznie rozkoszą. Natomiast Nely nie cierpiała nadmiernie. Kazałam jej jedynie udusić się własnoręcznie, zanim jeszcze przyjechaliście. Było to konieczne: po ponad roku zawładnięcia jej psynom nie zdołałby przeżyć samodzielnie i byłoby

rzeczą niebezpieczną zostawić ją samą. Oczywiście nikt nie powinien łączyć jej osoby z tym, co się stało, więc zaraz pozbędę się jej ciała... Bardzo mi przykro, Nely - rzuciła Claudia w kierunku zwłok - na pocieszenie powiem ci, że innych czeka o wiele g o r s z y los...

- O-ona cię ko-ochała - wybełkotała Diana - po-odobnie ja-ak Ve-era i j-a...

Trzęsła się i bełkotała jak w gorączce. Claudię zaintrygowała ta reakcja na usidlenie, uznała jednak, że mieści się ona w granicach możliwości.

- Kochała? - Claudia po raz pierwszy poczuła, że ogarnia ją wściekłość. - Nie sądzisz chyba, *superwoman*, że twoje litościwe odwiedziny przez te pieprzone lata i twoje poklepywania po kolankach zmieniały moją opinię o tobie? Nigdy nie byliśmy przyjaciółkami, więc właściwie po co przychodziłaś? Powiem ci: żeby poczuć się winna.

Obie byłyśmy tyle samo warte... Nie, ja zawsze byłam warta w i ę c e j niż ty... A kiedy ten stary wieprz postanowił pozbyć się m n i e, wiedziałaś, że żyjesz tylko dzięki układowi, i przychodziłaś, żeby mi mówić: „Och, jakże mi przykro, Cece, dali ci w dupę, żeby mnie się nic nie stało...”. Jasne, że tak się czułaś, kurwo... Czułaś p o t ę ż n ą u l g ę!

Ogarnięta wściekłością Claudia nie zauważyła zmiany w zachowaniu swojej ofiary.

Zorientowała się, gdy było już za późno. „T o n i e m o ż l i w e - pomyślała. - Nie może się wydostać z usidlenia tak...”

W chwili, gdy to myślała, otrzymała cios.

Nie był to zręczny gest, bez trudu powinna go uniknąć. Diana spróbowała uderzyć ją ponownie, ale poruszała się jak ogłuszony ciosami bokser i straciła równowagę. Claudia nie dała jej kolejnej sposobności. Ujęła się lewą ręką za prawe ramię, pochylając się jednocześnie i zginając kolana. Potem nagle wyciągnęła ramiona w geście kapitulacji i napięła mięśnie klatki piersiowej, wydobywając z siebie dziwny jęk. Typowa szybka maska Pracy. Efekt był

natychmiastowy: wszystko wskazywało na to, że Diana Blanco nagle nie wiedziała, co robi.

- Kurwo - powtórzyła Claudia, odzyskawszy władzę.

Zastanawiała się, jak jej była koleżanka zdołała tego dokonać. Jakim cudem zaatakowała ją mimo usidlenia? Oświetliła podłogę u stóp Diany i już wiedziała. Krople krwi spadały spod brudnego, poszarpanego bandaża na lewej ręce. Pokręciła głową, zaskoczona taktyką Diany: rozdrapała ranę na kikucie, aż puściły szwy. Intensywny ból odsuwał rozkosz i osłabił usidlenie.

Claudia

nie

miała

za

przeciwnika

nowicjuszek.

„Jest

kurewsko

niebezpieczna”, pomyślała.

Ale sama była szybsza. I miała za sobą doskonały trening: studiowała złożoności maski Pracy, przewidując, że nadejdzie chwila, gdy zawładnie silną koleżanką. Trzymając nadal w rękach pistolet i latarkę, ujęła w obie ręce brzegi spódniczki i zdjęła ją, podkreślając wysiłek starannie dobranymi gestami. To właśnie miało hipnotyzować pracofilów: p o z o r y wysiłku. Pozbyła się również butów. Składała się teraz z białego ciała i trzech czarnych elementów: topu, stringów i getrów. Odwróciła się profilem i spojrzała na Dianę w jakimś ostatecznym geście. Niespodziewanie uniosła latarkę, oświetlając twarz przynęty z bliska. Stwierdziła, że już nie mruga powiekami: znajdowała się w stanie bliskim wstępnego zawładnięcia.

Ale Claudia musiała się upewnić. W obliczu demona takiego jak Diana wszelka ostrożność nie zawadzi.

- Zdejmij kurtkę i podaj mi ją - rozkazała. Diana natychmiast wykonała polecenie, a Claudia odrzuciła kurtkę daleko od siebie.

- Uklęknij. - Diana niemal padła na kolana. Latarka ujawniała krople potu na jej twarzy, szyi i ramionach - ewidentny dowód wstępnego zawładnięcia. Koszulka na ramiączkach w kolorze pomarańczowym, którą miała na sobie, lepiła się do jej wilgotnego ciała.

- Uderz się w twarz prawą ręką. - Ujrzała, jak Diana pada na podłogę, uderzona w policzek własną dłońią, a jej długie nogi w dzinsach tracą równowagę. Nagle jednak podniosła się, uklękła ponownie, odwracając twarz, jakby oczekiwała na kolejny cios. Nawet nie jęknęła. Jej reakcja była ostateczna.

Nie było już żadnej wątpliwości: Diana znajdowała się całkowicie pod kontrolą Claudii i nawet dojmujący ból nie pozwalał jej poruszać się zgodnie z własną wolą.

Claudia przyglądała się jej przez chwilę, świadoma swojej władzy: Diana u jej stóp, ze zgiętym karkiem, dobrze widoczną szyją, ciężko dysząca, gotowa zaatakować własną wolę.

Jak Nely Ramos, Álvarez, Padilla czy Gens. M o j e c z a r y n i e m i j a j a .

Przeszkadzał jej jedynie fakt, że jeszcze nie zawładnęła Dianą w pełni. Ten sam stan czy pozycję dowodzącą poniżenia mogła osiągnąć już samą zmianą głosu, wystarczyło coś zanucić, jak w przypadku tajemniczych piosenek Ariela, wiedziała jednak, że to zniszczyłoby jej dokładnie przemyślany plan. Oczywiście, że zawładnie całkowicie Dianą, ale najpierw zrobi to, co zamierzała.

Wzmocniła jeszcze bardziej maskę, pozorując określony gest: opuściła głowę i podeszła, pozwalając, by jej kolana musnęły koszulkę Diany. Nie chciała jej ponaglać.

Poczucie dominacji nad zdobyczą taką jak ta było czymś nowym i bardzo intensywnym.

Czuła się jak wirtuoz, rozkoszowała się uderzaniem w klawisze swojego psynomu z określoną siłą, obserwując efekt: tik na powiekach, cichy jęk, otwarcie i zamknięcie ust... Nie czuła nienawiści do Diany, ale odkryła, że zawsze chciała dowieść jej, która z nich dwóch jest lepsza.

- Powiem ci, co zamierzam zrobić, Żyrafo - wyszeptwała, poruszając latarką nad twarzą Diany, niczym treserka nad głową ulubionego delfina. - To proste. Zemsta nie jest doskonała, jeżeli mściciel zostanie schwytany. Ty i ja jesteśmy dwiema najlepszymi przynętami w Europie: jedna z nas mogłaby zrobić wszystko, więc potrzebuję ciebie, żeby zapomniano o mnie... Chociaż oficjalnie jestem „martwa”, to gdyby szybko nie znaleziono winnego, ktoś mógłby rozpocząć drobiazgowe śledztwo, co mi nie odpowiada, bo gdy tylko pozacieram za sobą wszelkie ślady, wyjadę. Tak, ty spędzisz resztę życia na lekach w więzieniu czy w szpitalu, ale pamiętaj, że ja spędziłam trzy lata w piekle, Żyrafo. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Bawiło ją patrzenie, jak Diana stara się dotknąć jej ręki ustami, ilekroć się do niej zbliżyła. Odsuwała rękę, prowokując u Diany psie odruchy uwielbienia. Nie powinna jeszcze pozwolić jej dotykać swojej nagiej skóry, gdyż mogła wtedy zostać zawładnięta przed czasem.

- Zostaniesz zawładnięta - oznajmiła. - Potem każę ci zabić siostrę i oddać się w ręce policji. - Obserwowała nagłą zmianę w wyrazie twarzy Diany i stwierdziła, że tli się w niej jeszcze dość woli. Nie zamierzała wydawać jej poleceń, dopóki nie zawładnie nią całkowicie.

Podejrzewała nawet, że jeżeli Diana straci z nią na chwilę kontakt wzrokowy, usidlenie znowu minie. Ale to nie powinno się wydarzyć, rozkosz zerwie z niej ostatnie strzępy woli z taką samą łatwością, z jaką pozbywamy się strzępów skóry spalonej słońcem. Padilla zgwałcił

ukochaną sparaliżowaną córkę i z tego powodu pozbawił się życia. Żadna wola nie zdoła pohamować niszczącej siły rozkoszy, Claudia wiedziała o tym doskonale.

Zrobi z Dianą to, co zamierzała.

- Tak samo - mówiła dalej - przyznasz się do winy w sprawie śmierci Álvareza, Padilli, Gensa i Miguela... Nie będzie żadnych niespodzianek: jesteś weteranką, pomyśl, że jako przynęta wpadłaś w kanał. Właściwie gdybyś nie wspomniała o bransoletce, byłabyś już w więzieniu, może nawet z gotowym aktem oskarżenia. Ale tak jest nawet lepiej... w ten sposób nie ma żadnych wątpliwości... Sama się przyznasz. Tylko najpierw muszę tobą zawładnąć i z tym jest największy problem. Jak sama wiesz, analiza mikroprzeźrzeni zbrodni może wykazać, czy dana osoba była, czy nie była zawładnięta. Tak się stało w przypadku Álvareza i Padilli. To samo będzie z tobą, a ja nie mogę do tego dopuścić. Chciałam, żeby pozostały ślady usidlenia nawet w przypadku Gensa, ale nie w twoim, ponieważ twoja rola w tej sztuce to rola winowajcy... Więc jak tego uniknąć? Może jest jakiś sposób oszukania komputera kwantowego? Okazuje się, że tak. Wypróbowałam to na Padilli i komputerach w departamencie: z maską Yoricka się to udaje.

Uśmiechnęła się, oczekując ze strony Diany jakiejś reakcji na tę rewelację, ale zrozumiała, że jej niewolnica nie jest już w stanie zachowywać się racjonalnie: na klęczkach, z odrzuconą do tyłu głową, oddawała się Claudii niczym w niekończącym się orgazmie.

- Tak, maska Yoricka istnieje, Diano - zapewniła. - Gens wyrwał ją ze mnie, doprowadzając mnie w zamian do ruiny. I ten sam Gens bał się jej, a jednocześnie p r a g n ą ł, żebym ją zademonstrowała. Dlatego ukrył się, ale w Madrycie. Stary magik czekał przyczajony w swojej jaskini, chroniony przez dwie przynęty, aż się pokażę... A jego mały Ariel nie zawiódł go. Nie miałam czasu, żeby go drobiazgowo wypytać, ale najprawdopodobniej wiedział, że eksperyment z Renardem n i e s k o ń c z y ł s i ę k l ę s k ą... Może to intuicyjnie wyczuł w ostatnich dniach, na chwilę przedtem, zanim politycy, świadomi skandalu, kazali mu przerwać tę próbę i zaaranżowali operację

„wyratowania mnie”. W rzeczywistości Yorick nie jest j e s z c z e j e d n ą maską, tylko d o d a t k i e m. Nazywam to „specjalnym wkładem Claudii”. Służy nie tylko temu, by wzmocnić jakąkolwiek maskę do niepojętych granic, ale temu, by oferowana rozkosz była tak potężna, że psynom ofiary pogrąża się w otchłani, wiesz? Dosłownie. Jak księga Prospera: głębiej, niż może jej osiągnąć jakąkolwiek sonda... I na tej głębokości rozkosz miesza się z bólem lub szaleństwem. Żaden komputer tego nie wykryje. Zalety? Oczywiście. Wady?

Więcej czasu zajmuje ci zawładnięcie, ale...

Cofnęła się o krok. Był to dobrze obliczony ruch. Jej zdobycz jęknęła, widząc, że obiekt rozkoszy oddala się o kilka centymetrów. Na to liczyła Claudia: chciała zwiększyć pożądanie Diany, zanim dokona się ostatni akt.

- ...ale mam dwie wiadomości: dobrą i złą, *superwoman*. Zła: j u ż t o p r z y g o t o w a ł a m...

Była to prawda. Technika Yoricka polegała na wyobrażeniu maski w najdrobniejszych szczegółach, jakby się ją już wykonywało: nie tylko pojedynczy gest, ale tę całość, jaka podziała na zdobycz. Im dłużej Claudia była na tym skoncentrowana, tym bardziej czuła, że Yorick nabiera mocy, niczym bateria, która się ponownie ładuje. I w owej chwili była już gotowa.

- A dobra wiadomość brzmi: s k o r z y s t a s z n a t y m, kobieto. Chyba ci nawet zazdroszczę. Śmieję się z orgazmów. Począwszy od tej chwili, twoja seksualność będzie polegała na rozpamiętywaniu, jak zerwałaś czaszkę okrywającą mózg twojej sio...

W owej chwili Claudia poczuła, że coś podcina jej nogi od tyłu, że upada tuż obok skulonego ciała swojej ofiary. Niemal spostrzegła, jak delikatna żyłka łącząca ją z psynomem Diany pęka.

I gdy padała na ziemię, usłyszała agonalny krzyk Miguela Laredo.

- Diano! Jej... pistolet!

D i a n o!...

Imiona nie istniały. Czymże było imię, jeśli nie formą rozdzielania? Ale w mojej percepcji ramię stanowiło część ciała, lecz także powietrza, w którym się poruszało.

Dekoracje i aktorzy stanowili niepodzielną całość.

...j e j...

Hałasy i obrazy upodabniały się w podziwianiu długiego korytarza z wielu różnych perspektyw lub twarzy z gemm widocznych w świetle. Lewa ręka i szczęka bolały mnie, owszem, ale chodziło jedynie o ból dodany dogłębnie, skraj ubrania. Najważniejsze uczucie, albo jedyne, jakie pamiętam, było niemal geometryczne: jak gdybym była niedomkniętym jeszcze kołem, kawałkiem, który czeka na odpowiednią chwilę, by je zamknąć.

...p i s t o l e t!...

Wówczas te w y c h u d z o n e kolana zderzyły się ze mną. Doszło do lekkiej zmiany na scenie. Światło lampy obróciło się, jak w obozie koncentracyjnym podczas masowej ucieczki więźniów. I ujrzałam publiczność: dobrze odżywną grupę zwłok w strojach z epoki, stojącą na nogach. Jedne z nich przypominały Annę Boleyn, ale jeszcze z głową na swoim miejscu.

Począwszy od tej chwili, wróciło mi poczucie rzeczywistości.

- Miguel... ty żyjesz! - Nasłuchiwałam odpowiedzi.

I nagle wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko, jakby ktoś przewijał taśmę wideo.

Siedziałam na podłodze, nadal ogłuszona ciosem wymierzonym Claudii, a obok mnie leżał

pistolet. Rozpoznałam go: składana broń, którą Miguel groził mi w domu. Wydawało mi się, że pamiętam, jak Claudia trzymała go w dłoniach i upuściła. Miguel z jakiegoś powodu chciał, żebym go podniosła.

Wyciągnęłam rękę w jego kierunku, ale wtedy znowu usłyszałam głos Claudii.

- Chyba jednak w ostatnich latach nie poświęciłam dostatecznie dużo czasu na poprawienie wyników w strzelaniu...

Wstała i wiedziona impulsem wyciągnęła prawą nogę w kierunku ciała Miguela, skulonego na podłodze. Mimo że nie miała na nogach butów, cios wykonany piętą był

brutalny. Miguel jęknął i potoczył się, zostawiając za sobą wilgotny, ciemny ślad, aż znieruchomiał, zderzywszy się z jakimś manekinem, który się na niego przewrócił.

Widziałam dwa leżące, nieruchome ciała. A w moim polu widzenia pojawiła się inna ręka, jak delikatna macka, i wyrwała pistolet.

- Ale błąd da się naprawić, prawda? - odezwała się Claudia, celując do Miguela.

P r z y p r o w a d ź d z i e w c z y n k i, O k s a.

Na widok Claudii kopiącej Miguela wróciła mi zdolność reagowania.

Nic, co Claudia powiedziała czy zrobiła, nie obchodziło mnie zbytnio. Miałam świadomość, że jestem wstępnie zawładnięta i że Claudia straciła kontrolę nade mną dlatego, że kopnęła Miguela, który mimo obrażeń starał się usilnie dosięgnąć jej nóg, póki ona mówiła. Włączyłam się tylko dlatego, że chciałam zapobiec kolejnemu strzałowi.

Rzuciłam się ku niej w tej samej chwili, w której z dźwiękiem podobnym do otwierania puszkę piwa coś śmiertcionośnego i niewidocznego wylatywało z małej lufy. Nie dotarłam na czas, by chwycić ją, zanim wystrzeli, ale mój atak spowodował, że poruszyła się, by go odeprzeć, przez co kula zmieniła trajektorię. Kiedy z nią walczyłam, usłyszałam uderzenie i błagałam w duchu, żeby to było niegroźne trafienie w ścianę.

Nie mogłam już nic więcej zrobić dla Miguela, teraz musiałam zająć się sobą.

Claudia wprawdzie była szczupła, ale stanowiła czystą tkanę, giętką niczym lina, i gdy uderzyłam ją w brzuch, sama zostałam bardziej poszkodowana. Ale przynajmniej przesunęłam ją i zmieniłyśmy się obie w jedną z tych machin latających, jakie wynaleźli nasi przodkowie: ja byłam silnikiem, a Claudia machała rękami. Przekotłowałyśmy się tak przez pół pokoju i zdołałam w samą porę odsunąć rękę, zanim doszło do zderzenia.

Ale nie uderzyłyśmy w ścianę, zorientowałam się, usłyszawszy metaliczny dźwięk: było to olbrzymie lustro ukryte za kurtyną. Szkło chyba było całe. Ja na szczęście też.

P i s t o l e t.

Mówiłam już, że nie mam dużego doświadczenia w walce wręcz. Jednakże wpojono mi podstawowy priorytet istotny w każdej potyczce. N a j p i e r w r o z b r o i ć p r z e c i w n i k a. Wykorzystałam uderzenie w lustro i chwyciłam prawy nadgarstek Claudii. Musiałam to zrobić prawą ręką, gdyż lewa, z poszarpanym bandażem, za bardzo mnie bolała. Kątem oka dostrzegłam, że Claudia uśmiecha się, czułam jej oddech na swojej twarzy niczym po wyczerpującej próbie, w której obie nawzajem się pieścimy. Coś do mnie mówiła, ale nie słyszałam co. W końcu pistolet wyslizgnął się z jej palców i upadł w jakieś nieznanne miejsce. Chyba zrozumiałam, co mówiła: „Chcesz mi go zabrać? To masz”.

Sama mi go rzuciła.

Claudia, rzecz jasna, t a k ż e nie miała doświadczenia w walce.

Byłyśmy przynętami, zastawiałyśmy pułapki. Nie chodziło o to, by dowieść swojej siły, tylko by lepiej oszukać. I podczas gdy ona przyciągała moją uwagę gestem upuszczania broni, uniosła lewe udo w taki sposób, że jej ciało zdawało się frunąć w powietrzu.

Odrzucił mnie w tył brutalny kopniak. Rozpostarłam ramiona i runęłam prosto w tłum zakurzonych duchów, które powitały mnie fałszywym wsparciem, niczym poddani obaloną królową - pochlebstwami. Próbowałam się ich ucześcić, ale zdołałam jedynie wywrócić kilka manekinów. Bałam się, że Claudia znowu mnie uderzy, więc starałam się szybko podnieść, ale ona tego nie zrobiła.

- Świetnie, *superwoman!* - krzyknęła. - Tak jest! Wstawaj!

Zamachnęła się pięścią, ale zrobiłam unik. Dosięgnął mnie natomiast kolejny cios i krew pocięła mi po brodzie.

- No, ruszaj się, Żyrafo! Uderz mnie!

Taktyka Claudii nie zmieniała się: czekała, uderzała, czekała. I wtedy zrozumiałam dlaczego. Chciała mnie trzymać na dystans, a nie walczyć ze mną. Nie stawiała sobie za cel doprowadzić mnie do utraty świadomości czy nawet zwyciężyć mnie, tylko usidlić ponownie.

P r z y g o t o w y w a ł a się do maski. To z kolei pozwoliło mi zaimprovizować obronę.

Cofnęłam się w kąt, naprzeciwko wyjścia i lustra, którego używałyśmy podczas prób.

Kurtyna, która je zasłaniała, opadła z jednej strony i zwisała z drugiej, blokując je częściowo.

Udałam, że upadam przy kolejnym ciosie, żeby znaleźć się za plecami Claudii, bardzo blisko lustra, i w ułamku sekundy przygotowałam własną maskę.

Claudia była krwiofilem. Nie chodziło o upodobanie do wampirów, tylko o pociąg do przynęt, które podziałają na jej psynom intensywną dekoracją z przewagą czerwieni. Gens wiązał to z *Henrykiem VIII*, jednym z ostatnich dzieł Szekspira, napisanym wspólnie z Johnem Fletcherem, domniemanym członkiem Kręgu Gnostyków. Dziwaczne i przesadnie rozbudowane sceny, majestatyczne dekoracje i purpurowe kostiumy bohaterów, takich jak na przykład Wolsey, tudzież fakt, że król zyskał sławę, rozkazując ściąć dwie spośród swoich żon, składają się na ukrytą symbolikę maski. Czerwone płyny, jak krew, wzmacniają efekt.

Gens kazał nam przy próbowaniu tej techniki rozlewać czerwone wino na nagą skórę.

Zrobiłam błyskawiczny przegląd niezbędnych elementów: światło - latarka w rękach Claudii, kostium - moja koszulka poplamiona krwią, tło - czerwona ozdobna kurtyna zwisająca z lustra. Uznałam, że to wszystko nadaje się idealnie. Podczas kolejnej fazy

„oczekiwania” między jednym ciosem a drugim podskoczyłam przed lustrem i obróciłam się w stronę Claudii, wykonując maskę.

Wyszła mi dosyć dobrze, ale zapomniałam o pewnym szczególe. Może dwóch.

Claudia także była dobra.

I stała się nawet jeszcze lepsza.

To było niczym poker. Obracałam się, demonstrując jej fula, a ona z uśmiechem pokazywała mi cztery asy.

A na koniec d ż o k e r. Wyciągnęła go z talii. Y o r i c k.

Część mojego umysłu, ta, która nie była wówczas całkowicie zaćmiona, zrozumiała, że to musi być Yorick, gdyż maska Pracy, jaką wykonała, choć nienaganna (rozwarcie ramion, ściągnięte mięśnie, latarka skierowana na brzuch), nigdy nie porwałaby mnie tak mocno, gdyby nie była czymś wspomagana.

Yorick przekształcił maskę Pracy w coś p r z y t ł a c z a j ą c e g o.

Wzdrygnęłam się i uderzyłam o lustro, chwytając się obiema rękami kurtyny.

- No - odezwała się Claudia, odyskując dech - patrzcie: schwyтана.

Tak właśnie się czułam: nie byłam jeszcze zawładnięta, ale już nie mogłam oderwać od niej wzroku. Jeszcze byłam zdolna myśleć, szukać wytłumaczenia, a jednocześnie dawałam się na nowo pociągnąć temu drobnemu ciału. Jakbym połknęła tonę afrodyzjaków i teraz odczuwała pierwsze objawy: gorąco, przyspieszony puls...

- Och, Diano, proszę - mała boginka poruszała głową z krótko obciętyimi jasnymi włosami, w geście wyrzutu, na wprost mnie. - Próbowalaś pokonać m a s k ą mnie?

Naprawdę, nie brak ci odwagi... Pozwól, że coś ci powiem: od lat się do tego przygotowuję.

Nawet bez Yoricka dałabym sobie z tobą radę, Żyrafo.

Starałam się myśleć logicznie.

- Podcinasz gałąź - wydyszałam - chcesz pozabijać tych, którzy cię naprawdę kochają, Claudio...

- Kochają mnie naprawdę? - odparła ze zdziwieniem - nie rozumiem. Kto niby kocha mnie „naprawdę”? Moi rodzice? Gens? Nely? Może ty? Nie istnieją uczucia „naprawdę”, Żyrafo, nie wiedziałaś? Jest tylko psynom. Teatr. Maski.

- Nigdy cię nie skrzywdziłam, ani ja, ani Miguel...

- Tłumaczyłam ci już: potrzebuję cię, żeby wyjść z tego cało. Twojego chłopaka sama tu ściągnęłaś.

- Jesteś chora... wpadłaś w kanał... Potrzebujesz pomocy...

Ufałam, że moje słowa wywołają w niej wściekłość, a kontrolowane uczucie, którym mnie wiązała, osłabnie. Był to błąd. Claudia zauważyła to natychmiast i przystąpiła do kontrataku na swój sposób: stanęła z półprofilu, ze zgiętym lewym kolaniem i napiętymi mięśniami swoich długich, chudych ud, a

przez ten czas mówiła tak, jakby jej głos wydobywał się z trudem:

- Tak sądzisz? To możliwe...

Poczułam, jakby fala gorączki przebiegła mnie od stóp do głów. Mogłam niemalże obserwować na własnym ciele trajektorię tego pioruna rozkoszy. Wygięłam się, wciąż trzymając się kurczowo kurtyny, wypięłam biodra w kierunku Claudii i dobyłam z siebie przeciągły jęk. Nie mogłam wyartykułować ani słowa więcej.

Odwrócona do mnie nadal profilem Claudia rozciągnęła gumkę stringów i przytrzymała latarkę między brzuchem a paskiem. Światło tak ustawione oświetlało jej korpus i twarz od dołu, tworząc niezwykle kontrasty. Jej odsłonięte uda były wyeksponowane i to ku nim kierowała się moja uwaga ofiary. Swoim ciałem i światłem Claudia tworzyła dekorację dla maski Pracy, tak majestatyczną, że czułam, jak ślina spływa mi z otwartych ust.

Nagle rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku Miguela i Very, bez wątpienia po to, by upewnić się, że tym razem żadne z nich jej nie przeszkodzi. Nie wydawało się to możliwe: Miguel leżał zemdlny lub nieżywy przy przeciwległej ścianie, a sposób, w jaki Vera kulila się na podeście, sugerował, że nadal jest zawładnięta.

Nie spiesząc się, Claudia ponownie zwróciła się w moim kierunku. W jej oczach, wokół których latarka malowała maskę cieni, pojawił się kpiący błysk.

- Nareszcie sam na sam, ty i ja. Wyobraź sobie teraz Yoricka, koleżanko. Kiedy walczyłyśmy, tworzyłam go. To będzie pionierskie doświadczenie. Nikt nigdy nie czuł

jeszcze takiej rozkoszy w całej zaszrannej historii... Zsikasz się z radości, zabijając swoją siostrę i Miguela, kobieto, to będzie czyste szaleństwo, wierz mi. Co za szkoda, że potem nie będziesz nic a nic pamiętać. Następnie zadzwonisz do departamentu... Sprawię, że polecisz prosto do nieba, Żyrafo. W ten sposób odkryjesz to, czego ja dowiedziałam się przy Renardzie: w jakim stopniu przypomina ono p i e k ł o. Dwie nieznośne krańcowości.

Wiedziałam, że nie żartuje. Kiedy mówiła, rozstawiła chude nogi, wbiła w ziemię stopy, skierowane ku mnie i zaczęła unosić w górę ramiona, oświetlona latarką od dołu. Było to tak, jak gdyby światło dobywające się z jej pachwin sprawiało, że cała jej sylwetka lśni własnym blaskiem.

Zrozumiałam, że za kilka sekund nie będzie już odwrotu. Ostatnie skrawki spójnych myśli umkną mi z głowy, niczym przedmioty z rozhermetyzowanej kabiny pasażerskiego samolotu na dużej wysokości.

- Powiem ci ostatnią rzecz - szepnęła Claudia, podczas gdy cienie jej rąk pięły się niczym bluszcz, w określonym rytmie, po ścianie za plecami. - Nigdy nie byłaś lepsza ode mnie. Byłaś piękna, atrakcyjna... Dlatego Gens cię zachował, podobałaś mu się. Ale nigdy nie byłaś j a k j a. - Jej chude ramiona wznosiły się niczym wschodzące słońce: kiedy osiągną określony punkt, słońce maski oślepi mnie całkowicie. Niemal mogłam usłyszeć nieuchronne nadejście rozkoszy, szum ciężkiego sprzętu wprawionego w ruch we wszystkich moich organach. Zostało mi zaledwie parę sekund. Ale należało dobrze rozplanować ten krótki czas, a koncentracja przychodziła mi z coraz większym trudem. -

Dałam mu Yoricka, Żyrafo... -

dodała Claudia, podczas gdy jej ramiona niemal sięgały celu; zwróciłam uwagę na jej ręce, otwarte, obracające się z delikatną dokładnością modułu statku powietrznego. - To ja go uzyskałam, nie ty... Zapamiętaj to na zawsze.

- Gratulacje, Cece - odparłam.

I wtedy to zrobiłam.

Byłyśmy przynętami, byłyśmy p u ł a p k a m i. Miałam nadzieję, że zdołałam ją oszukać próbą zrobienia maski. W rzeczywistości, tak jak miałam w zwyczaju, liczyłam na swój drugi plan, dziwniejszy. Moim celem było stanąć przed lustrem i ucześcić się kurtyny, która zakrywała je z jednej strony. W chwili gdy Claudia wykonywała ostatnie gesty, zrobiłam jedyny ruch, na który mogłam sobie pozwolić w stanie, w jakim wówczas byłam.

Nie mogłam jej zaatakować, nie mogłam uciec ani nawet zamknąć oczu.

Ale mogłam przestać się opierać, u p a ś ć do jej stóp.

I to właśnie zrobiłam, pozwalając, by ciężar mojego ciała pociągnął mnie w dół, jak fanekę przed obliczem uwielbianej aktorki. Moje ręce, wciąż ucześcione kurtyny, szarpnęły ją.

Spodziewałam się, że wystarczy silne szarpnięcie, by zerwać ją z karnisza.

Kurtyna opadła razem ze mną.

Nie krzyknęłam, otrzymawszy potężny cios w kolana, i nawet się nie „obudziłam”, jak w tych bajaniach o hipnozie. Sprawdziłam natomiast, że zachowałam jeszcze resztki przytomności umysłu i własnej woli.

Nie wiedziałam, czy tak samo było w przypadku Claudii.

Trwałam nieporuszona przed lustrem, w którym odbijała się moja postać zastygła w ostatecznym geście maski. Zaimprovizowałam ten plan, spodziewając się, że Claudia na widok własnego oblicza straci koncentrację, a efekty oddziaływania maski na mnie osłabną, ale końcowy rezultat przeszedł moje oczekiwania. Co się mogło z nią stać? Nie pamiętałam żadnego precedensu z przynętą zawładniętą przez samą siebie.

Odsunęłam się niechętnie od niej i przez chwilę ciężko dyszałam, leżąc na podłodze.

Nawrót nieprzyjemnych dolegliwości fizycznych - ból w kikutach i tam, gdzie trafiły mnie ciosy - kazał mi myśleć, że kontrola Claudii nade mną rozwiewa się. Kręciło mi się nadal w głowie, jak przy ciężkim kacu, ale byłam wolna.

Podniosłam głowę. Claudia stała w tej samej pozycji: rozstawione nogi, uniesione ramiona. Zdawało się, że nawet nie oddech. Było to coś tak przedziwnego, tak potwornego, że po krótkiej chwili

intensywnej fascynacji odwróciłam wzrok, unikając patrzenia jej w twarz.

W owej chwili nie mogłam się zastanawiać, co zrobić z Claudią; inne osoby wymagały mojej uwagi.

Podbiegłam do Miguela i odetchnęłam z ulgą, wyczuwszy puls, niestety słaby.

Zawiązałam ponownie bandaż na rękę, żeby móc użyć tych palców, które mi jeszcze zostały, i powstrzymać krwawienie. Zapaliłam latarkę Miguela i w jej świetle rozpięłam mu koszulę i zbadałam ranę. Kula przeszła nieco poniżej lewego obojczyka. To cud, że przeżył. Na szczęście trafiła go tylko jedna, ale chłód i połysk potu na jego skórze kazały mi myśleć, że znajduje się w stanie wstrząsu. Zauważyłam, że sam próbował powstrzymać krwotok, uciskając ręką, więc zrobiłam to samo, posługując się własną kurtką. Wyjęłam komórkę, choć przypuszczałam, że to na nic, skoro Claudia podłączyła pochłaniacze rozmów. A jednak na ekranie odczytałam, że mam zasięg. Prawdopodobnie Claudia uznała, że do tego stopnia panuje nad sytuacją, że porzuciła środki ostrożności, albo też rozproszył jej uwagę fakt, że wszyscy znaleźliśmy się na folwarku. Zadzwoiłam do departamentu, co było szybsze niż dodzwonienie się na policję, przedstawiłam się i wyjaśniłam, że mamy problemy z przynętą.

Kiedy się rozłączyłam, zauważyłam, że Miguel odwraca ku mnie głowę. Pochyliłam się nad nim i wyszeptałam, że go kocham. Objęłam go, pragnąc zasklepić jego ranę całą moją istotą, zapobiec, by stracił ostatnie krople krwi, albo przynajmniej je gdzieś zachować.

Zamknął oczy i wydawało się, że zapadł w głęboki sen. „Nie pozwolę ci umrzeć”, pomyślałam.

Wróciłam do Claudii. Chyba nie zmieniła pozy nawet o milimetr. „To musi być Yorick”, uznałam. Maską Pracy, którą wykonywała, nigdy nie dałaby takiego efektu, ale zapamiętałam, że powiedziała, iż Yorick to tylko „dodatek”, który wzmacnia do niepojętych granic rozkosz wywołaną przez ją i k a k o l w i e k maskę. „Kontempluje o d b i c i e Yoricka w lustrze i z o s t a j e z a w ł a d n i ę t a”, wywnioskowałam.

W owej chwili usłyszałam jęk z innego kąta sceny.

Przypomniałam sobie o własnej siostrze i skierowałam latarkę w jej kierunku: nadal siedziała skulona na podeście, chociaż teraz uniosła głowę i patrzyła na mnie. Tak cudownie było patrzeć, jak z jej oczu opada mętna zasłona i powoli przytomnieje, że niemal zapomniałam o Miguelu.

- Diana? - wyszeptała.

- Tak, to ja. Uspokój się, wszystko będzie dobrze. - Odsunęłam latarkę, żeby jej nie oślepić.

Obserwowała mnie z ukosa, bojaźliwie, jakby w obawie, że ją uderzę, istniała jednak oczywista różnica między strachem a zawładnięciem: Vera coraz prędzej wydobywała się ze swojej studni. Zauważyłam, że ogarnia ją panika na widok Claudii.

- Co... co się z nią dzieje?

- Próbowała wykonać maskę - wyjaśniłam. - Chyba zawładnęła sama sobą.

- Ależ to... potworne!

- Wiem. Nie patrz na nią. Pomóż mi to zacisnąć na ranie Miguela, proszę - wskazałam na swoją wilgotną kurtkę. Vera podeszła i pomogła mi. Poczułam, że to, iż może być pomocna, uspokaja ją w pewien sposób. Spojrzałyśmy na siebie, i Vera zaczęła płakać.

- Claudia chciała... chciała ci wyrządzić krzywdę! Nienawidziłam jej, ale musiałam być jej posłuszna!

- Zapomnij o tym - szepnęłam.

- Chciałam to powstrzymać! Ale ona się uparła i musiałam...!

- Już wystarczy, Vero. Jesteśmy razem i tylko to się liczy.

- Nienawidziłam jej, Diano! Nienawidziłam jej! Nienawidziłam...!

Wiedziałam, do czego dąży: wymyślała głupie tłumaczenia, żeby pocieszyć samą siebie. Jedynym sensownym wytłumaczeniem był psynom, ale jej racjonalny umysł nie mógł

przyjąć, że rozkosz zawiodła ją aż tam, gdzie mogła mnie skrzywdzić.

- Vero - ujęłam jej twarz w dłonie - popatrz na mnie. Już wszystko minęło, kochanie.

Claudia nie stanowi już niebezpieczeństwa.

Jak gdyby wypowiedzenie jej imienia stanowiło jakiś znak, obie spojrzałyśmy na Claudię. Z miejsca, gdzie się znajdowałyśmy, pochylone nad Miguelem, widziałyśmy jej odwróconą tyłem do nas postać, chude gołe nogi, skraj czarnych getrów, pośladki niczym dwie kopuły mięśni po obu stronach stringów, plecy z łopatkami wystającymi niczym obumarłe skrzydła i wzniesione w górę ręce. Sylwetka tancerki, jedna z tych statuetek mających obrazować „ludzki ból” w parku Strefy Zero. Ale teraz było j e s z c z e c o ś.

Jakieś zmiany w jej wyglądzie.

Najbardziej rzucała się w oczy jej skóra: plecy i uda były niczym pokryte drobnymi cekinami lub gadzimi łuskami, które połyskiwały w świetle latarki. Zrozumiałam, że to pot.

Klonowane, geometryczne kropelki, jak gdyby wszystkie jej pory postanowiły nagle otworzyć się jednocześnie i wydzielić identyczną ilość płynu. Schyliłam się i ujrzałam jej twarz odbitą w lustrze.

Musiałam zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć.

Oczy Claudii były dwiema kulami z malowanego kamienia, wychodzącymi z orbit, i wydawało mi się, że dostrzegam, jak pot spływa po nich, a powieki się nie zamykają. Usta, niczym jeszcze jeden oczodół, otwarte i sztywne, język przyklejony do podniebienia. Twarz wydawała się wyostrzona. Wyobraziłam sobie, że jej psynom, ten władca, tyran przytłoczony rozkoszą, nie pozwolił jej stracić

nawet na ułamek sekundy tej wizji, którą się napawał, i żądał jeszcze więcej, przez co Claudia przybierała taką postać, by go zadowolić, a jednocześnie wyniszczała się. Było to coś w rodzaju sprzężenia zwrotnego. Jej widok przypominał mi słabą, chudą i aseksualną postać z *Krzyku* Muncha. „To Yorick”, pomyślałam znowu i zrobiło mi się niedobrze. Czaszka błazna z Hamleta, ta koścista twarz z otwartymi szeroko ustami i oczami niczym puste dziury, spoglądająca gdzieś ponad siebie, ponad rzeczywistość. Przypuszczałam, że Gensowi spodobałoby się obserwowanie końcowego efektu jego straszliwego eksperymentu.

Na myśl o Gensie odwróciłam głowę w kierunku drzwi. Zdołałam dostrzec drżące światło lampy kempingowej na sąsiedniej scenie: Gens siedział w tym samym miejscu, a jego twarz przedstawiała jakąś skoagulowaną masę. Chociaż w owej chwili nienawidziłam go bardziej niż kiedykolwiek, zapragnęłam ze wszystkich sił, żeby już umarł. Pomyślałam, że Víctor Gens doświadczył nieskończonego bólu, ale zapewne los Claudii zasługiwał na więcej współczucia, jako że chodziło o niekończące się zadowolenie; bólu pożądał i napotkał śmierć jako ostateczną ulgę, ale rozkosz zdawała się przedłużać życie w jakiejś wegetacyjnej ekstazie, zastygła, niezdolna. Jak możemy się bronić przed wieczną szczęśliwością? Claudia myliła się; niebo jest o w i e l e g o r s z e od piekła. Zabicie jej byłoby aktem litości, a jednak wolałam poczekać, aż nadejdzie pomoc.

- Czy Miguel wyjdzie z tego? - zapytała Vera.

- Na pewno tak. - Odsunęłam mokre od potu włosy z czoła Miguela i zauważyłam, że zareagował na dotyk mojej ręki. Skórę miał bladą i chłodną. Puls nadal wyczuwalny, ale coraz słabszy. - Uratowałeś mi życie - wyszeptałam. - A teraz musisz ocaleć, słyszysz? Nie odejdziesz, nie zrobisz mi tego...

Przeklinałam w myślach karetkę, która jeszcze nie dojechała, i nagle zaczęłam płakać.

Vera gładziła mnie po ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze - szeptała.

Spojrzałam na swoją siostrę, ledwie ją widząc przez łzy, i ogarnęło mnie nieoczekiwane uczucie. Nagle spostrzegłam, że jest kobietą. Nie tyle moją siostrą, dziewczynką z pękniętymi bębenkami, którą opiekowałam się w szpitalu po śmierci rodziców, ile przyjaciółką, kimś, kogo kocham, ale kogo nie powinnam zdręzczać swoją miłością. Jest osobą odpowiedzialną, niezależną, która powinna iść własną drogą, bez względu na wszystko. Opiekowałam się nią, ile było trzeba, ale chyba nadeszła pora, kiedy powinna zacząć żyć samodzielnie.

- Tak - powiedziałam, ocierając oczy, zaskoczona jeszcze tymi nieoczekiwanymi refleksjami. - Wszystko będzie...

- Wyteżyłam słuch. Wycie syreny dochodziło z oddali, ale na pewno się nie myliłam.

Część mojego złego samopoczucia ulotniła się nagle i uśmiechnęłam się do Very. - Posłuchaj!

Słyszysz? Przyjechali! Nareszcie!

Przerwał mi niesamowity wybuch. Obie z Verą jednocześnie zaczęłyśmy krzyczeć.

Odwrociłam głowę i przez chwilę nie mogłam pojąć tego, co działo się przed moimi oczami.

Ta skrwawiona postać, leżąca sztywno na całunie z rozbitego szkła, była niczym nieczytelny hieroglif.

Potem dostrzegłam rozbite na drobne kawałki lustro i zaczęłam pojmować.

W jakiś sposób Claudia Cabildo przezwyciężyła swój bezruch i rzuciła się na lustro, rozbijając je w drobny mak, a wraz z nim własne ciało, cienką skórę, która je spowijała.

Kawałki szkła wbiły się w nią całą, a krew pokryła ją, zabarwiając czarny top. Jak jej się to udało? Nie mógł to być jedynie triumf woli. Może jej psynom pchnął ją ku własnemu odbiciu, aby w ten sposób zawładnąć nią całkowicie?

Nie wiedziałam. I w owej chwili obchodziło mnie jedynie to, że ta sterta kości złączonych czarną magią rozkoszy, przypominająca ludzką sylwetkę, schyla się po jeden z ostrych kawałków szkła o rozmiarach myśliwskiego noża i rzuca się na nas.

Byłam pewna, że nie została już w niej ani krztyna rozumu, by zaplanować atak. To jedynie jej psynom, ucieleśniony w postaci władcy absolutnego, jakim był spragniony krwi Henryk VIII, szukał ciała, by się zaspokoić. I z tego samego powodu, gdy zbierałam się i odsuwałam od siebie siostrę, ujrzałam własną śmierć odbitą w tych oczach.

Miałam tylko czas, żeby wyciągnąć ramiona. Nagłość ataku sprawiła, że uderzyłam całym ciałem o ścianę i zawylałam z bólu. Prawą ręką zdołałam odsunąć ramię Claudii, nie pozwalając, by ostre szkło zagłębiło się w moim gardle, ale niewiele więcej mogłam zrobić.

Drugą ręką Claudia chwyciła mnie za włosy i ciągnęła tak mocno, że niemal mi je wyrwała.

Prawą ręką likwidowała z nieubłaganą łatwością przeszkodę, jaką ostatkiem sił

utrzymywałam. W moim polu widzenia znalazła się jej twarz: przerażająca czaszka z kawałkami szkła wystającymi z warg, brwi i policzków, nawet z gałek ocznych wpatrujących się we mnie.

Milczenie jej otwartych ust było ogłuszające.

W pewnej chwili szala zwycięstwa przechyliła się na jej korzyść i szklany nóż dotknął

mojej szyi. Wiedziałam, że umrę, i jedna myśl kołatała mi się w głowie, ulotna, ale intensywna: może Claudia miała rację i jest jakaś sprawiedliwość w jej ślepej zemście.

Koniec końców, wszyscy jesteśmy przynętami dla siebie samych. Przed psynomem nie ma ucieczki: jesteśmy jedynie tym, czego pragniemy. Zamknęłam więc oczy i czekałam na wyzwolenczą śmierć, na ostateczną rozkosz, na ostatnie pragnienie, i wówczas usłyszałam detonację. Poplamiona krwią Claudii, resztkami jej głuchych myśli, gdy tylko mogłam się rozejrzeć, zauważyłam jej przechyloną,

wychudzoną postać. Lewa skroń była rozbita, a na twarzy pozostał wyraz zaskoczenia, jak gdyby dyktatura psynomu ustała dokładnie w chwili śmierci i znowu była to ta sama Claudia co kiedyś. Obok dostrzegłam wykrzywioną, ale zdecydowaną twarz mojej siostry, a nieco powyżej wylot lufy pistoletu Miguela, który Vera nadal dzierżyła w ręku.

Pamiętam, że widziałam grupę sanitariuszy wokół ciała Miguela.

Pamiętam, że błagałam na cały głos, by go ratowali. Pamiętam nicość, ciemność, niczym kurtynę zapadającą na moje oczy.

Epilog

Madryt

dwa tygodnie później

- Cześć, mogę wejść?

- Oczywiście. Co za pytanie. Cieszę się, że cię widzę.

- Ja również.

- Siadaj, proszę.

Roześmieliśmy się oboje. Mario Valle poprawiał sobie okulary na nosie. Gabinet był

jak zwykle posprzątanym i eleganckim, choć wyjątkowo żaluzje pozostawały podniesione, pozwalając przeniknąć do środka południowemu słońcu.

Wybrałam kanapę zamiast krzesła po drugiej stronie biurka, co chyba rozbawiło doktora Valle. On z kolei usiadł na fotelu dla pacjentów, na wprost mnie.

- Jakies kolejne wyznanie?

- Poniekąd tak - potwierdziłam.

Uśmiech nie schodził mu z twarzy, ale sprawiał wrażenie, że to na skutek paraliżu.

- Coś się stało?

- Nic specjalnego. - Zdjęłam kurtkę i odłożyłam ją na bok. - Przepraszam, że ostatnio do ciebie nie dzwoniłam.

- Domyślałem się, że byłaś... że pracowałaś - powiedział.

- Tak, miałam parę drobnych spraw do rozwiązania.

Valle skinął głową.

- Już są rozwiązane?

- Można tak powiedzieć. I wybacz, że przyszedłam bez uprzedzenia. Pomyślałam, że przed przerwą obiadową skończyłaś już przyjmować, ale jeszcze nie wyszedłeś...

- Na Boga, Diano, skończyłaś już z tymi przeprosinami? Miło mi cię widzieć, naprawdę.

- Mnie także. - Roztarłam ramiona. - Namyslałam się.

- To zdrowe ćwiczenie, które ludzie powinni częściej praktykować. W dodatku do twarzy ci z namyslaniem się.

- Patrzył na moją lewą rękę z kikutem małego palca.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. Rany się zblizniają.

- Cieszę się. Wyglądasz przepięknie.

- Dzięki. Ty też wyglądasz doskonale.

Z przyjemnością zauważyłam, że Mario Valle zareagował na ten komplement jak większość mężczyzn: zignorował go, jakby chodziło o prawdę oczywistą. Gdy uśmiechnął się ponownie, wydawał się bardziej zrelaksowany.

- Jeżeli już urobiłaś psychologa, chwalać jego męską urodę, powiedz, nad czym się zastanawiałaś?

- No cóż, proszę, żebym podjęła decyzję, pamiętasz?

Przez chwilę Valle wyglądał jak człowiek, który podejrzewa, że cierpi na śmiertelną chorobę, i poinformowano go właśnie, że są już wyniki analiz.

- Nie mów mi nic, czego nie chciałabyś powiedzieć - powstrzymał mnie ruchem ręki.

- Pragnę ci to powiedzieć.

- Nie, Diano, nie. Naprawdę.

- Nie chcesz wiedzieć?

- Już wiem. Proszę cię, już wiem. Wiedziałem już w chwili, gdy cię poprosiłem, żebyś ją podjęła. - Machnął ręką. - Kochasz... kochasz jednego z kolegów, prawda? Planowałaś się wycofać i zamieszkać z nim. Doskonale. Jedyne, na czym mi zależy, na czym mi zawsze zależało, to żebyś rzuciła tę pracę. Słowo daję. Obchodzi mnie tylko twoje szczęście, Diano.

Chciałbym, żebyś już nie cierpiała. Nie patrz tak na mnie, mówię serio.

- Nie patrzę na ciebie w żaden określony sposób, tylko...

- Może ci powiedziałem coś, czego nie powinienem był mówić - dodał pośpiesznie. -

Dałem się ponieść jakiemuś impulsowi. Przypuszczam, że to typowe zachowanie dojrzałego człowieka, którego pociąga młoda i piękna dziewczyna. Nie chcę powiedzieć, że przesadziłem w kwestii swoich uczuć. Byłem szczery. Przez całe życie szukamy kogoś, kto mógłby nas zrozumieć, i nagle go znajdujemy. Tak mi się przytrafiło z tobą. Przykro mi.

- Mogę coś powiedzieć? - Podniosłam palec wskazujący.

- Nie, nie możesz. Nie chcę słuchać czegoś, co i tak wiem. Nie trzeba. Prośba o podjęcie decyzji była niepoważna, niewłaściwa w tym przypadku. Z czego się śmiejesz?

- Śmieszni jesteście wy, psychologowie. Mówicie o trzech sprawach, z czego dwie to zawsze autoanaliza.

- Tamtego dnia chyba wymieniłem trzecią - odparł doktor Valle i zamilkliśmy, uśmiechając się. - Będzie mi ciebie brakowało - dodał po krótkiej chwili głosem tak miękkim, jakby mówił sam do siebie. - Ale nie musisz się tłumaczyć z własnego wyboru.

- Nie przyszedłam się tłumaczyć z mojego wyboru, Mario.

Doktor Valle przyglądał mi się. Gdybym była sejfem, zapewne tak patrzyłby na mnie doświadczony kasiarz. Ja też spojrziałam na niego. Jego delikatność, miłe usposobienie, nawet ta próżność eleganckiego mężczyzny - w owej chwili miał na sobie zielone spodnie i koszulę oraz bordowy podkoszulek - sprawiały wrażenie podporządkowania jednemu celowi.

Tak jakby powiedział: „Czekam tu, jestem sympatyczny, miły, mogę cię wysłuchać i postaram się zrozumieć”. Podobał mi się jego sposób bycia.

Przestałam się uśmiechać, ale nie patrzeć na niego. Odetchnęłam głęboko i dodałam:

- Przyszedłam ci powiedzieć, że wybrałam ciebie.

*

Dwa tygodnie wcześniej nie byłabym w stanie wyobrazić sobie, że mogłabym to powiedzieć. Ale, rzecz jasna, miałam o czym myśleć, a ludzie z wydziału bezpieczeństwa w moim departamencie zajęli się, jak zawsze, udowadnianiem, że myślenie to trudna sprawa.

Wdarli się na scenę folwarku w ową tragiczną noc Claudii, wyposażeni w typowy sprzęt używany w przypadku niebezpiecznych przynęt: czujniki deformacji obrazu i filtry dźwięku, a nawet podskórne pistolety, mimo że wiedzieli, iż dobrze wykonana maska pokona taką mało finezyjną obronę. Ja straciłam przytomność już po tym, gdy Vera strzeliła do Claudii, ale oni współpracowali bezinteresownie wbijając mi cierń w gardło.

A po zapadnięciu kurtyny - „warsztat”. Ci sami co zawsze pielęgniarze, ta sama ochrona. Może nieco gorsza niż zazwyczaj.

Spędziłam długie godziny, czując się tak, jakby sam mój oddech zarażał wirusem wywołującym gorączkę krwotoczną. Trzymano mnie za półprzezroczystymi zasłonami i przyglądano się mi jak nieskatalogowanemu zwierzęciu. Zmieniano mi bieliznę bez uprzedzenia, czasami zabierano mi ją na dobrych kilka minut, tak że nie miałam możliwości zaplanowania sobie jakiejś maski z konkretnym kostiumem. Oczywiście pomijano moje niewygodne pytania, aż wreszcie przyszedł Ten Który Odpowiada, facet w koszuli z podwiniętymi rękawami, w okularach, patrzący chyba bardziej na ekran niż na istoty ludzkie.

Wszedł otoczony ochroniarzami.

- Pani siostrze nie grozi żadne niebezpieczeństwo - powiedział. Moje pytanie dotyczyło także Miguela i milczenie na temat jego stanu sprawiło, że czułam się tak, jakby lodowaty wiatr wiał mi prosto w kark.

Urzędnik założył ręce i dodał:

- Laredo stracił wiele krwi i nadal przebywa na oddziale intensywnej opieki. Strzał nie uszkodził mu serca ani ważnych naczyń krwionośnych, ale przebił mu górną część lewego płuca. Prognozy co do jego stanu są ostrożne.

Fakt, że Miguel żyje, oznaczał dla mnie taką ulgę, że chciało mi się skakać. Ale nawet się nie uśmiechnęłam, jak przystało na dobrze wyszkoloną przynętę. Nierzadko można wszystko stracić, gdy w niewłaściwy sposób okaże się uczucie. Wiedziałam to doskonale.

W zamian za tę informację musiałam przekazać swoją. Mówiłam o Claudii, o Gensie, o tym, co, jak podejrzewałam, uczynili, i o tym, co uczynili na pewno. Także o Yoricku, o tym, co według mnie oznacza, i o uczuciach, jakie wywołuje. Ta ostatnia część mojego zeznania była drobiazgowa, ponieważ poza mną i Verą wszyscy ci, którzy doświadczyli lub próbowali tej maski, włącznie z Claudią i Gensem, zabrali ten sekret do grobu. Ja mówiłam, a mój interlokutor słuchał i potakiwał. Nikt nie robił notatek i uznałam, że gdyby moje myśli były obrazami, umieszczono by jeszcze jedną kamerę, żeby spróbować je sfilmować.

A kiedy przesłuchanie się skończyło, pozwolono mi odwiedzić Verę.

Przebywała w pokoju podobnym do mojego, ale przy drzwiach stali ochroniarze.

Rzecz jasna nie chodziło o to, by chronić ją przed tym, co mogliby jej zrobić inni, tylko o to, by chronić innych przed tym, co mogłaby im zrobić ona. Zwykła dziewczyna, a przynajmniej taką się wydawała, ale zawładnięta przez Yoricka, było więc oczywiste, że ten Yorick wyprowadzał ich z równowagi. W dodatku czasami nie było jasne, kiedy jakaś maska przestawała być skuteczna, a kiedy po prostu nie udawała się, choć można było próbować ponownie. Niezależnie od wszystkiego, pozwolono mi do niej wejść. Leżała drobna, skromna, ze spuszczonego wzrokiem, bezbronna.

Znalazłszy się koło niej, poczułam dziwne emocje, z rodzaju tych najbardziej skrajnych: radość i żal, zaufanie i wątpliwości, spokój i niepewność. Według Gensa emanują one z ostatnich dzieł Szekspira, w których starał się on przekroczyć granice teatru i literatury.

Przypomniałam sobie konkretnie o s t a t n i e dzieło, które napisał wraz z Fletcherem: *Dwóch szlachetnych krewnych*. Tak wyglądałyśmy Vera i ja: ubrane w identyczne szpitalne szlafroki, zjednoczone naszym niewielkim, ale widocznym podobieństwem fizycznym; szlachetne czy nieszlachetne krewne, które spotykają się właściwie po raz pierwszy po długim rozstaniu.

Jakby na dowód łączących nas więzów rodzinnych odezwałyśmy się niemal równocześnie:

- Jak się czujesz?

I oczywiście roześmiałyśmy się, nie wiedząc, jak rozpocząć tę tragikomiczną scenę.

- Ty pierwsza - zaproponowałam.

- Wszystko dobrze. Sypiam prawie po dwanaście godzin na dobę. A ty?

- Tak samo. Wiesz, żeby doświadczyć wyżyn luksusu, wystarczy zachorować.

Ucieszyłam się, dostrzegłszy na jej twarzy typowy dla niej uśmieszek.

- Nie wyglądasz na bardzo niegrzeczną - zauważyła.

- Chodzi ci o to, że utylam?

- Nie, jesteś wysoka, szczupła i...

- I „przymulona” - dokończyłam żartobliwym epitetem, jaki czasami wypowiadał tata.

Poczułam coś w rodzaju bolesnego zdziwienia. Po raz kolejny zadałam sobie pytanie, na ile naprawdę moja siostra pamięta naszych rodziców, a na ile ma ona w pamięci tylko to, co ja sama jej o nich opowiadałam. - Nie sądzę, żebyśmy mogły przytyć na tutejszym jedzeniu.

- Rzeczywiście. - Vera skubała brzeg prześcieradła. Nie chciałam denerwować jej rozmową o tym, co się wydarzyło, ale w końcu była moją siostrą i przynętą jak ja: byłyśmy przygotowane na to, by zagłębiać lancet w najsubtelniejsze pokłady świadomości. Usiadłam więc przy niej i pogładziłam jej rękę.

- Przykro mi z powodu Elisy... Bardzo przykro. - Vera skuliła się, ale powstrzymała łzy; najwyraźniej chciała okazać, że potrafi to znieść. - Pamiętasz wszystko?

- Tak - wyjąkała. - Nie udało mi się...

- Nie, uratowałaś mi życie. I zachowałaś się jak prawdziwa profesjonalistka.

- Pozwoliłam sobą zawładnąć. Wpadłam w pułapkę.

- Claudia była za silna dla nas wszystkich.

Ale to nie była jej ostatnia myśl, a ja, starając się usunąć drobne usterki, nie zauważałam, jak idiotka, poważniejszej awarii.

- Wiesz... - wyszeptała Vera - na początku nie chciałam... strzelić... do...

Przytaknęłam, rozumiejąc, co ma na myśli. „Nie chciałam strzelić d o n i e j, t y l k o d o c i e b i e” - to było zdanie, którego nie miała odwagi wypowiedzieć.

Naturalnie, miała inne zamiary, gdy schylała się po pistolet, ale zmieniła zdanie albo z m u s i ł a s i ę do tego jakimś wysiłkiem woli w ostatniej sekundzie.

- Vera, kochanie, uspokój się. - Zauważyłam, że płacze, i przytuliłam ją. - Intensywne zawładnięcie pozostawia skutki, nie musisz czynić sobie wyrzutów z tego powodu. Twój psynom dążył do tego, by c h r o n i ć ją, ponieważ Claudia stanowiła dla ciebie źródło rozkoszy, ale na koniec postanowiłaś ocalić mnie, co dowodzi, że widocznie umiem cię uszczęśliwić. - Nie udało mi się sprawić, żeby się uśmiechnęła, ale przynajmniej przestała płakać. Ucałowałam ją w głowę i dodałam: - Poza tym dobrze, że doświadczyłaś, jak to jest zostać zawładniętym. Każda dobra przynęta powinna wypróbować własne lekarstwo...

Odsunęła się ode mnie i popatrzyła zapłakanymi, szeroko otwartymi oczami.

- „Każda dobra przynęta”?

Przytaknęłam.

- Jesteś dobra, a w przyszłości będziesz jeszcze lepsza.

- Nie jestem pewna, czy chcę nadal w tym tkwić...

- Za wcześnie, żeby o tym decydować, nie sądzisz?

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej uśmiechy były jak noworodki umierające zaraz po urodzeniu.

- Ale ty przecież nie chciałaś, żebym... żebym nadal...

- Myliłam się, teraz to wiem. - Odsunęłam jej włosy z czoła i wzięłam głęboki oddech.

- Nie jesteś już dzieckiem. Nie potrzebujesz mojej osłony, Vero. - W chwili, gdy to mówiłam, pomyślałam, że to wcale nie takie pewne. Ale jednak było, więc natychmiast się poprawiłam.

- Albo raczej nie potrzebujesz jej bardziej niż ja t w o j e j. Więc przemyśl to spokojnie. To twoje życie, a ja pozwalam ci żyć, jak chcesz. Powiem ci tylko jedno: cokolwiek zrobisz, n i e rób tego przez wzgląd na mamę i tatę. Już im zwróciliśmy z nawiązką miłość, jaką nam dali. Wiedzą, że nigdy

o nich nie zapomnimy, ale teraz musimy im pozwolić odpocząć.

Cokolwiek więc zrobisz, zrób to dla siebie.

- A ty? Co będziesz robiła?

Nie popełniłam błędu, by ukrywać własne wątpliwości.

- Nie wiem. Też muszę podjąć jakąś decyzję.

- No to jesteśmy w takiej samej sytuacji - uśmiechnęła się.

- Tak, w takiej samej. - Objęłyśmy się i kiedy czułam jej oddech przy sobie, wiedziałam, że ta dziewczynka z popękаныmi bębenkami, o którą przez całe życie dbałam, zniknęła na zawsze. Teraz Vera i ja byłyśmy dwiema kobietami, przed którymi rysowała się różna przyszłość. I żadna z nas nie potrzebowała tej drugiej. Każda z nas, w końcu, była sama.

I z tego właśnie powodu obie, na koniec, byłyśmy razem.

Cała reszta sprowadzała się do posprzątania bałaganu. Takie miałam wrażenie w następnych dniach: odsłonić własny świat i zobaczyć, co z niego pozostało. Stan Miguela poprawiał się i chociaż mogłam spędzać z nim jedynie krótkie chwile, cieszyłam się, widząc, że z każdym dniem jego puls staje się coraz silniejszy, a spojrzenia intensywniejsze.

Rozmawialiśmy niewiele - nigdy o przyszłości. Należało zaczekać, aż nabierze sił, i dopiero wtedy podzielić się z nim wątpliwościami, nadziejami, wciąż obecnym cieniem mojej decyzji.

Ale tymczasem musiałam też posprzątać bałagan gdzie indziej. Claudia zaplanowała więcej zagadek niż rozwiązań i zaczynała rozpowszechniać się idea, że Yorick to rewolucyjny wynalazek. Jedynym świadkiem tej maski, zdolnym wszystko opowiedzieć, pozostawałam ja, więc zanim wypisano mnie ze szpitala, przeżyłam odwiedziny kilkorga wyższych urzędników. Przyszli Vincent Jolia i Stephen Barth z Departamentu Psychologii Kryminalnej FBI w Wirginii, Jean Paul Alain z Paryża, dobry przyjaciel i stary współpracownik Gensa.

Poczułam się tak, jakbym była jakąś jarmarczną atrakcją. Powtarzałam wszystko jak papuga, z wyjątkiem tego, co dotyczyło samego Gensa. Nasz nowy dyrektor departamentu -

profilowiec Ricardo Montemayor - i nasz łącznik z rządem Gonzalo Seseña powiedzieli mi, że według powszechnego przekonania, Gens już dawno umarł i nie trzeba zabijać go po raz kolejny. Ale z jakiegoś powodu postanowiono sprawić mu drugi pogrzeb.

Odbył się on w Barcelonie, trzy dni po moim wyjściu ze szpitala. Była to prywatna ceremonia, na którą - co bardzo dziwne - zaprosił mnie Seseña. A co jeszcze dziwniejsze, postanowiłam przyjąć zaproszenie. Wsiadłam w samolot i przez całą ceremonię na cmentarzu nie odzywałam się i stałam w pewnej odległości od rodzinnego grobowca Gensów, do którego spuszczone urnę z jego prochami. Myślałam, że owo mauzoleum z gargulcami niczym maski na fryzach to właściwe miejsce dla szczątków Gensa. Teatrzyk kamiennych marionetek, końcowa kurtyna dla pana Peoples, człowieka,

który pokazał, że ludzie są aktorami, że świat jest teatrem i że o tym wszystkim wiedział już pewien człowiek pięćset lat wcześniej. I przypominałam sobie tego człowieka, tak bardzo odległego od nas w czasie.

Opowiedział mi o nim Gens. Po napisaniu ostatnich dzieł, przy których współpracowali „oficjalni” autorzy, ukrywając w nich rytualne szyfry, William Szekspir oddalił się do swego rodzinnego miasta, gdzie niedługo potem zmarł. „Inteligentny sposób: rząd usunął go szybko i bez przymusu, nakazując mu jedynie życie wraz z rodziną -

komentował żartobliwie Gens. - Ja na szczęście nie mam rodziny - dodawał - co każe mi myśleć, że nie uda im się usunąć mnie tak łatwo. Umrę, tworząc, umrę w bitwie”.

Przypominałam sobie te słowa i pomyślałam, że różnice zostały już zniwelowane: Szekspir i Gens spenetrowali już najdalsze zakamarki, zostali obaj pochłonięci przez własne dzieła, a teraz są jedynie zagadką i pomnikiem.

W tych ostatnich dniach myślałam o Gensie, o Claudii - której Seseña pragnął złożyć spóźniony hołd, burząc folwark - i, naturalnie, o Miguelu i doktorze Valle, ale przede wszystkim o tym świecie szaleńców, pozbawionym głębszych prawd, opartym na rozkoszy, w którym jedynie wiedza i teatr mogą spróbować zaprowadzić własną sprawiedliwość.

I którejś nocy podjęłam decyzję.

A następnego dnia zjawiłam się w gabinecie Maria Valle.

*

- Wybrałam ciebie - powtórzyłam, bardziej stanowczo.

Mario Valle wstał.

- Diano... ty... Nie... Przecież kochasz innego...

- Zawsze tak myślałam - wyznałam. - Nie oszukiwałam cię: kochałam kogoś.

Przypuszczam, że kocham go nadal, ale... nie chodzi jedynie o wybór spośród dwóch mężczyzn, Mario, to także wybór określonego stylu życia. Wiem już, że nie mogę zaakceptować tego, który on jest mi w stanie ofiarować.

- Może się oszukujesz.

- Może.

Twarz doktora Valle wyglądała, jakby malowały się na niej skutki otrzymania jakiejś złej wiadomości; słyszałam, jak posapuje, czekając, co powiem. Uśmiechnęłam się.

- Jeżeli zmieniłeś decyzję co do mnie, zrozumiem, naprawdę. Ja...

- Nie, nie - przerwał mi. - Chcę tylko, żebyś była tego pewna, Diano. Ze względu na krzywdę, jaką możesz sobie sama wyrządzić, czy też moglibyśmy wyrządzić sobie nawzajem..

- Nie była to łatwa decyzja, ale już została podjęta.

Podniosłam się także. Staliśmy naprzeciw siebie, jak tamtego dnia u niego w domu, kiedy zaczęliśmy się całować. Ale teraz nie było pocałunków, jedynie głębokie spojrzenia, zaskoczenie i długie milczenie. W końcu doktor Valle uśmiechnął się.

- Do licha, co za końcówka konsultacji! - Roześmiałam się, słysząc westchnienie w jego głosie. - Tak czy inaczej... musimy porozmawiać... Zastanawiałem się, czy mam tu gdzieś butelkę szampana, ale nie zostało nawet piwo. Jest tylko woda.

- Niech będzie woda.

- Jeśli chcesz, mogę poprosić sekretarkę, żeby poszła po szampana...

- Nie upijaj mnie przed obiadem, proszę. Wznieśmy toast wodą.

Śmieliśmy się jak dzieci. Valle poszedł do sąsiedniego pomieszczenia, w którym zapewne znajdowała się kuchenka. Słyszałam, jak dzwonią szklanki. Podeszłam do drzwi i zobaczyłam, jak nalewa świeżą wodę z małego dzbanka wyjętego z otwartej lodówki. Stał

tyłem do mnie, dlatego nie było mi trudno przyłożyć mu do karku lufę małego pistoletu, który wyjęłam z kieszeni spodni.

- Zostaw wszystko, co trzymasz w rękach, Mario, i odwróć się powoli.

Zamarł. Powtórzyłam polecenie, odbezpieczając ten prawie płaski pistolet, który udało mi się ukryć w dopasowanych spodniach. Ujrzałam, że Valle odstawia na stół kolejno wszystkie przedmioty, jakie trzymał w rękach: dzbanek z wodą i małą fiolkę, którą wyjął z nie większego niż dłoń dziecka schowka, ukrytego głęboko za półką nad lodówką.

Zauważyłam tam więcej takich fiolek oraz buteleczkę bez etykiety.

- A teraz odwróć się z rękami na głowie. I niczego nie próbuj.

Ten Mario Valle, który odwrócił się w moim kierunku, nie wykazywał wielkiego podobieństwa do doktora Valle sprzed kilku chwil, ani też do tego, którego znałam: dostrzegłam nerwowy tik na powiece i wyszczerzone zęby. Dominującym uczuciem było u niego nie tyle kompletne zaskoczenie, ile wściekłość.

- O co chodzi, Diano...? Co mi zrobiłaś?

- Spowodowałam u ciebie wypalenie. To taki sposób na przezwycięzenie usidlenia, żeby psynom przez kilka sekund zapanował nad świadomością. To jak w przypadku mieszanki kokainy i alkoholu: jednych prowokuje do kłótni, innych do wyciągnięcia noża, a ciebie doprowadziło bezpośrednio do

otwarcia tego ukrytego schowka, który masz za półką...

Valle spoważniał nagle.

- Od kiedy mnie oszukujesz?

- Od samego początku - odparłam. - A przynajmniej jakiś czas po tym, jak się stałeś Trucicielem.

- Ja... nie jestem...

- Och, przestań - przerwałam. - Co tam przechowujesz? To wygląda na sejf z niewidocznym zamkiem szyfrowym. Zapewne wyposażony w blokady skanera. Jak go dobrze zamkniesz, nikt go nie wykryje. To droga rzecz. Co tak cennego kryje się w tych fiolkach, doktorze? Założę się, że to jakaś trucizna organiczna, z tych, które nie zostawiają śladów w organizmie, przygotowana na podstawie dawnych indiańskich receptur tych plemion, wśród których żyłeś, nie mam racji?

Wypalenie jest jak błyskawica: gwałtowne, nieprzewidywalne, czasami śmiertelne, ale ulotne. Zauważyłam przebliski rozumu w oczach doktora Valle, w ruchu jego brwi, w mruganiu powiek. Wiedziałam, że usidlenie minęło. Ale nie sądziłam, żebym musiała usidlać go ponownie.

- Nie ma żadnego prawa zabraniającego trzymać w gabinecie różne trucizny -

powiedział ten bardziej rozumny Valle, o wiele chłodniejszy, ale równie urażony. - Chcę się skontaktować z moim adwokatem. To, co ty robisz, jest niezgodne z prawem. Działalność przynęt jest nielegalna.

- Nie jest natomiast nielegalne trucie pacjentów, którzy przychodzą do gabinetu po pomoc.

- Nikomu nie zrobiłem krzywdy. - Zamilkł, ale po chwili dodał: - Nie zamierzałem ci tego podać.

- Wiem. Wypalenie s p o w o d o w a ł o, że jedynie zdradziłeś swój mały sekret.

- Nie masz dowodów... Nie macie nic.

Ten Valle przechodzący do defensywy zaczynał mnie brzydzić. Nie przestając trzymać go na muszce, uśmiechnęłam się.

- Proszę raczej powiedzieć, że odkrycie trucizny daje nam wszystkie dowody, doktorze. Komputery ustaliły powiązania z dwoma lub trzema lekarzami i psychologami, których mogły odwiedzać ofiary, w tym z panem. Naturalnie dostęp do Winf-Pat pozwalał

panu wymazywać dane pacjentów, którzy przychodzili tu po raz pierwszy, prawda? W ten sposób prawie niemożliwe było dowiedzieć się, że w s z y s t k i e o n e odwiedziły ten gabinet. A działanie trucizny nie było natychmiastowe: pan podawał im szklankę wody i pozwalał odejść. Czy to nanokapsułki? Uwalniają się one w organizmie po kilku tygodniach, może miesiącach, i nie pozostawiają żadnego śladu... Nikt nie może wpaść na ich ślad i oczywiście żaden sędzia nie podpisze nakazu rewizji w lokalach, które wskazał komputer.

Potrzeba do tego przynęt. Mnie przydzielono do pana. Kiedy zamierzałam podać się do dymisji, zajmowałam się dwoma polowaniami: na mordercę prostytutek i na pana. Jeszcze nie byliśmy pewni, że to pan jest Trucicielem, ale skoro miałam porzucić pracę, odwiedziłam pana po raz ostatni. Miałam pożegnać się w sposób „naturalny”, aby ustąpić miejsca kolejnej przynęcie, która mnie zastąpi. A potem, gdy postanowiłam jednak zostać, ciągnęłam oba polowania i nadal pana odwiedzałam. Znalezienie mojego prawdziwego imienia i nazwiska w Winf-Pat oraz wykorzystanie moich wspomnień i prawdziwej tożsamości było zaplanowane zawczasu. Część spektaklu.

Valle kręcił przecząco głową, siląc się na ironię.

- To absurd - wypalił. - Sama mówisz, że byłem podejrzany, a jednak wyznałaś mi całą prawdę o sobie, włącznie z tym, że jesteś policyjną przynętą...

- To była część maski. Pana filia to nie Zdobyycz, jak mówiłam wcześniej, tylko inna, podobna, choć dosyć rzadka: nazywają ją przynętofilia. Nazwa jest nieważna, liczy się to, że aby mój teatr z panem okazał się skuteczny, musiałam powiedzieć panu prawdę o s o b i e.

Maska Przynęty wymaga, aby przynęta przyznała otwarcie, że nią jest. Nie mogłam niczego zataić, z wyjątkiem własnych intencji. Maski ta jest pracochłonna, wymaga wielu dni drobiazgowych przygotowań. Ja udoskonalałam ją przy każdej wizycie u pana. A dzisiaj uznałam, że to idealny moment na wypalenie.

- Wszystko, co zrobiłaś, jest niezgodne z prawem - powtórzył Valle z czołem mokrym od potu.

- A czy zgodne z prawem jest trucie pacjentów?

- Nikogo nie trulem! Nigdy nikomu nie wyrządziłem krzywdy, Diano! Przynosiłem im ulgę w straszliwych cierpieniach... Byli uzależnieni! Uzależnieni od własnych obsesji!

Chłopak ledwie dwudziestoletni, wyniszczony heroiną... kobieta po sześćdziesiątce, ze zdiagnozowanym rakiem, która liczyła dni, jakie jej jeszcze pozostały, póki środki przeciwbólowe, których używała, jeszcze przynoszą efekt... Facet, który maltretował żonę, nie przejmując się więzieniem czy nakazem separacji... Mówiłem ci, że wiele się nauczyłem, żyjąc wśród amazońskich plemion, nie tylko tego, jak sporządzać trujące mikstury. Oni nie są tacy jak my! Nie czepiają się kurczowo nędznego życia! Przy nich nauczyłem się doceniać godność! Nauczyłem się tego, że kiedy nasze życie pozbawione jest godności, najlepiej, żeby nas usunięto z drogi!

- Dokładnie tak samo myślę - odparłam, patrząc mu prosto w oczy. - I dlatego chcę pana usunąć z drogi, doktorze.

Przez chwilę milczał, nie spuszczał ze mnie wzroku. Wszystko, co powiedział, zostało nagrane przez mały odbiornik, jaki nosiłam wmontowany w bransoletce, i przypuszczałam, że sędzia nie zawaha się przed nakazem aresztowania, a policja pojawi się szybko.

Ale Valle jeszcze nie skapitulował. Powoli opuścił ręce, uśmiechając się do mnie jakby wyzywająco.

- Diano... w co ty ze mną grasz? Mówisz, że aby mnie usidlić, musiałaś opowiedzieć p r a w d ę o sobie... ale nie tylko opowiedziałaś mi swoje życie...

- Ręce na głowę, doktorze.

- Nie. Nie posłucham. Spróbuj mnie zastrzelić. - Nadal trzymałam go na muszce.

Uśmiechał się, otwierając ramiona. - Nie jestem zabójcą, Diano. Myśl sobie, co chcesz, ale ja wiem, że jedynie p o m a g a ł e m ludziom. Dwa lata temu porzuciła mnie żona, która nie znosiła mojej pracy. Uważała, że za bardzo się poświęcam pacjentom, że nie mam prawie wcale czasu dla niej... A ja ją kochałem, ale zgodziłem się. Zrozumiałem, że moją misją jest samotność. I niesienie pomocy tym, co cierpią...

Wiedziałam już, do czego zmierza: jak Widz, jak Vera, szukał uzasadnienia dla swojego psynomu. Nie samotność i nie pragnienie niesienia pomocy pchały go do zabijania, tylko rozkosz, jakiej wtedy doświadczał. Ale nie chciałam mu tego wyjaśniać. Dla mnie rozkoszą było złapanie go.

- Nie skrzywdzisz mnie, Diano... - ciągnął z szerokim uśmiechem, widząc, że nie strzelam. - Opowiedziałaś mi prawdę o swoich uczuciach... Tego nie da się udawać. Kochałaś mnie, otworzyłaś się przede mną... To n i e b y ł teatr...

- Ręce, doktorze - ostrzegłam go ponownie.

- I to także nie jest t e a t r powiedział, nie zwracając na mnie uwagi i nacisnął

szufladkę po swojej prawej stronie. Pistolet, który z niej wyjął, był większy od mojego, choć z pewnością równie skuteczny z tej odległości. - Ty nie strzelisz. Bo mnie kochasz. Ale ja znam wartość swojej własnej godności.

Kiedy podniósł lufę do ust, wykonałam Kurtynę.

Maska Kurtyny jest bardzo przydatna przy powstrzymywaniu agresywnych zachowań u zdobywczo-filów lub przynęto-filów. Polega ona na tym, że wyraża się intensywnymi kontrastami, posługując się głosem i gestami w bezpośredniej opozycji, i niemal natychmiast się je przerywa, jakby zapadła kurtyna. Spodziewałam się określonych reakcji, a moje ubranie -

czarna bluzka, białe spodnie, długie czarne buty - dostosowane było do tej techniki. Według Gensa szyfr do tej maski zawiera się w dramacie *Dwóch szlachetnych krewnych*: w walce, którą dwaj bohaterowie toczą o tę samą kobietę. To, że Szekspir zakończył swoje twórcze życie, zaszyfrowując maskę Kurtyny, Gens postrzegał jako udaną metaforę.

Otworzyłam, zamknęłam ręce, wyprostowałam się, jęknęłam ponuro i złączyłam palce przed twarzą, ukrywając ją. Łatwe. Valle rzucił się w tył, drżąc. Wręczył mi swój pistolet, gdy tylko wyciągnęłam rękę. Był jeszcze pod wpływem Kurtyny, gdy usłyszałam przerażony głos jego sekretarki i gdy drzwi gabinetu otworzyły się, by wpuścić oddział policjantów. Mario Valle pozwolił skuć sobie ręce, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

- To były twoje prawdziwe uczucia... - mamrotał. - Oszukałaś mnie tylko dzisiaj, informując o swojej decyzji, ale posłużyłaś się prawdziwymi uczuciami, żeby mnie okłamać...

zdajesz sobie z tego sprawę, Diano? Całe twoje nędzne życie to t e a t r... Co z ciebie zostanie, gdy przedstawienie się skończy? Kochasz mnie, przecież wiem... Nie udawałaś.

Czemu mi to robisz?

Przypuszczam, że mogłam mu odpowiedzieć cokolwiek. Mogłam powiedzieć, że decyzja, której podjęcie tyle mnie kosztowało, nie dotyczyła nigdy wyboru pomiędzy Miguelem a nim, tylko pomiędzy kontynuacją albo porzuceniem pracy. Mogłam mu powiedzieć, że wybrałam pozostanie w zawodzie i kiedy Miguel dojdzie do siebie, zamieszkamy razem, a ja będę nadal tym, czym jestem, tym, czym zawsze byłam, choćbym nie wiadomo jak tego nienawidziła. Nie nadawałam się do żadnego innego zawodu, nigdy nigdzie indziej nie pracowałam. Nie marzyłam, jak Víctor Gens czy Mario Valle, o teatrze ani o godności. Nie miałam idealistycznej wizji, że świat mnie potrzebuje. Była to kwestia zaakceptowania własnego losu, dochowania wierności temu, co naprawdę sprawiało mi przyjemność, nieoszukiwania siebie samej.

Mogłam mu tyle powiedzieć... ale powiedziałam tylko:

- Ponieważ jestem przynętą.

Policjanci wypełniali gabinet, przybyli także eksperci od toksykologii. Valle nie stwarzał już żadnego niebezpieczeństwa, nawet dla samego siebie: znajdował się pod wpływem maski. Teraz kolej na sędziów i adwokatów. Moja rola się skończyła.

Wykonałam półobrót i zesłam ze sceny, pozostawiając na niej doktora Valle, czekającego, aż opadnie Kurtyna.

Posłowie Autora

Są rzeczy większe, niż się wydają, rzeczy, w których zawiera się coś więcej, rzeczy nieomal nieskończone: Szekspirowskie dzieło się do nich zalicza. Nie da się o Szekspirze powiedzieć ani wymyślić nic nowego. A mimo to, gdy zbierałem materiały na temat mojego ulubionego autora specjalnie pod kątem tej książki (której każdy rozdział, należy zaznaczyć, poświęcony jest jednemu z dzieł opisujących daną filię czy maskę), chociaż przeglądałem wielokrotnie specjalną, przygotowaną przez wydawnictwo Arden, kompletną edycję dramatów w języku angielskim (i chociaż zżymałem się raz za razem na brak współczesnej, kompletnej edycji w języku hiszpańskim), przeczytałem dziesiątki książek, które starają się powiedzieć coś nowego. Spośród nich wymienię trzy: *Shakespeare. The Invention of the Human* Harolda Blooma (chyba istnieje hiszpańskie wydanie opublikowane przez Anagramę)

- prowokacyjny tekst dla szekspiromanów, *Shadowplay* Clare Asquith - oryginalną, ale chyba jednak fantazję na temat ukrytych znaczeń szekspirowskich dzieł - i *Shakespeare and Modern Culture* Marjorie Garber - jak sam tytuł wskazuje: pochwałę „mody” na Szekspira.

Psynom jest fikcją, a m o ż e i Szekspir także. Ale znaleźli się i tacy, co pokazali mi ogromną wartość każdej fikcji. Mój przyjaciel i reżyser teatralny Denis Rafter, mimo że nie zasięgałem jego konsultacji przy pisaniu tej książki, był obecny w mojej pamięci podczas redakcji. Denis odpowiada za wystawienie mojego pierwszego dramatu *Miguel Will*, który także traktował o Szekspirze, odważył się nawet zaprosić mnie na swoje inteligentne próby.

W ten sposób miałem okazję zobaczyć maskę od środka. Dzięki, Denisie, i podziękowania dla twojego zespołu aktorskiego, który brał udział w sztuce, bo bez was ani *Miguel Will*, ani ta książka nie byłyby tym, czym są. Dziękuję również wszystkim przyjaciołom, z którymi urządzaliśmy tyle niezapomnianych Świąt Szekspirowskich w domu (był wśród nich i Denis), a których poświęcenie i pasja stanowią dla mnie dowód, że można się bawić - i to doskonale -

przy autorze zmarłym ponad czterysta lat wcześniej. Mam także dług wobec lekarza i przyjaciela Ignacia Sanza, który doradził mi w kilku kwestiach medycznych. Dziękuję, jak zawsze, moim stałym wydawcom, Davidowi Tríasowi, Emilii Lope i Nurii Tey, za entuzjazm i zaufanie, oraz moim wspaniałym agentkom: Carinie Pons, Glorii Gutiérrez, Glorii Masdeu i ich współpracownikom, jak również, zawsze i nieodmiennie, Carmen Balcells, za jej nieocenioną i nieskończoną skuteczność i zachętę. Oczywiście, to wszystko na nic by się zdało, gdyby nie wy, czytelnicy. Przyjmijcie moje największe podziękowania.

Reszta nie jest milczeniem: to moi synowie José i Lázaro oraz moja żona María José.

Dziękuję wam za to, że udaje wam się nadać mojemu światu sens i cel, kiedy kończę pisać.

Co nie udało się nawet Szekspirowi.

JCS

Listopad 2009